

Okładkę projektował ANDRZEJ HEIDRICH

Lektura szkolna dla klasy VI i VII

Przy jednej z najskrajniejszych i najcichszych ulic miasta Ongrodu * znajduje się ogromne podwórze z wysokim niegdyś, lecz w gruzy rozwalającym się murem dokoła, z wysoką, czerwoną ścianą wielkiej budowy w głębi. Monotonną powierzchnię starego i opuszczonego gmachu przerywają długie rzędy okien pozbawionych szyb, więc ziejących ciemnością i pustką, wśród nich z rzadka, tu i ówdzie, w górze kędyś lub nad samą ziemią, mętnie świeci szkło zielono-nawe zwiastując, że ruina ta udzieliła schronienia jakiemuś ubóstwu. Tu i ówdzie także podwoje i bluszcze wieszają po gzymsach i załomach muru zwikła-ne gałęzie, a spośród szczelin wychylają się dzikie lewkonie z bladożółtym kwiatem.

Gmach ten wraz z otaczającymi go mniejszymi budynkami i leżącym przed nim ogromnym dziedzińcem był własnością i mieszkaniem pewnej możnej rodziny, po czym przez zbieg okoliczności przeszedł w posiadanie władz krajowych, które nie czyniąc zeń użytku żadnego pozwalają od czasu do czasu zamieszkiwać w nim, w zamian bardzo małej opłaty, ludziom biednym, tak biednym, że aż nie lękającym się panującej tu pustki i ruiny.

Przebywające tu niegdyś bogactwo pozostawiło ślady, które przetrwać zdołały dziesiątki lat. W czterech rogach podwórza stare lipy ocieniają rozłożystymi gałęzmi niezmierną gęszcz chwastów bujących wysoko i szeroko, pomiędzy chrzanowych i łopuchowych liści wykwiata tu i ówdzie zdrobniały hiacynt lub połyskuje wąż asterka, kolczate osty uginają się pod ciężką gałęzią dziczałego bzu lub w krzew głogowy zmienionej róży. Zresztą, gęsta trawa porasta dziedziniec, który nigdy brukowanym nie był, a gdy promienie słońca zaglądną do głębokiej sieni gmachu przez drzwi od dziesiątków lat nie zamykane, widać migocące po ścianach jej spłowiałe barwy starych malowideł,

* Ongród — tak Orzeszkowa w swych utworach nazywała często Grodno.

deł, a w kątach jej leżące pokaleczone i pajęczynami osnute odłamy posągów.

Mniej puste i smutne są budynki drewniane stojące naprzeciw wielkiego gmachu, z oknami zwróconymi ku cichej, wąskiej ulicy. Były to niegdyś pałacowe spichrze i stajnie. Drewniane ściany ich, długie, niskie, szerniały od starości, zdają się znikać wobec przykrywających je staroświeckich dachów, wysokością swoją przenoszących o kilka razy ich wysokość, spiczastych w górze, szeroko rozpostartych u dołu. Z cienia omszałych i daleko wystających gzymsów dachów tych wyglądają skromne okienka nierówno, bo niżej i wyżej osadzone w niskich, pochyłych ścianach, niepodobne ze sobą rozmiarami i wyglądem, bo złożone z mniejszych lub większych szyb wprawionych w ramy z nowego, żółtego drzewa lub spróchniałe i kruszące się, stosownie snadź do stopnia zamożności żyjących za nimi mieszkańców. Tu, nad samym chodnikiem, wąskim i spiczastymi kamieniami zjeżonym, Żydówka stara, niska i zgarbiona, w barwistym, starożytnym zawoju na głowie, utrzymuje sklepik wiktuałów i przez okno o sporych, lecz mętnych szybach ukazuje przechodniom od lat już niepamiętnych rzędy serów stwardniałych, żółtych obwarzanków i różnokształtnych butelek z różnobarwnymi płynami. Tu szukają schronienia służący chwilowo zostający bez służby; rzemieślnicy nie mogący nigdy wybrnąć z ostatecznego ubóstwa zamykają w ciasnych izdebkach liczne rodziny swe, a sami

każdej prawie nocy budzą uliczne echa odgłosami nierównych stąpań swych i pijanych okrzyków; tu, w najlichszych i najciemniejszych kątach tulą się liczni żebracy i co wieczór napełniają wielki dziedziniec gwarem zawziętych kłótni o podział zdobytych groszy, a co rano rzucają nań chrapliwe, basowe tony pieśni nabożnych, które z towarzyszeniem stuku koszturów i kijów uderzających o kamienie dygocą i wloką się czas jakiś po cichej ulicy, aż milkną tonąc w dalekim gwarze. Tu,

8

rza, kędy lipa stara opuszcza na gzyms czarnego dachu wielkie swe gałęzie, ozywają się niekiedy słabe dźwięki fortepianiku ze starymi, brzęczącymi strunami, a z innej strony, z głębi wielkiej budowy o pustych oknach, wychodzi głośny i monotony turkot magła zataczającego od rana do nocy wielkie skrzynie swe pełne kamieni. Od czasu do czasu gdy milknie ponury głos magła, w oficynie malutkiej, której niska, biaława ściana do połowy prawie kryje się za szarą zielenią rozłożystych chwastów, ciszej, lecz weselej turkoce mała maszyna do szycia. Schylona nad nią szwaczka, z twarzą chudą i bladymi oczami, nie śpiewa nad robotą swą, jak to według opisów wszelkich czynić zwykły kobiety szyjące, lecz co chwilę z niepokojem spogląda w okienko, przy którym siedzi, i głosem piskliwym, rozdrażnionym dlatego może, iż ze zmęczonej piersi wychodzi, wykrzykuje parę spieszczonych imion dziecięcych. Właściciele imion tych są to istoty z bosymi stopami i rozczochranym włosiem, które w towarzystwie wielkiej liczby istot im podobnych napełniają dziedziniec wrzawą krzyków wesołych lub płaczliwych i tętentem mnóstwa stóp drobnych, deptających twardego gruntu dziedzińca w swawolnej gonitwie.

Rzecz dziwna! Ludność zamieszkująca zakątek ten zmienia się bardzo często, a jednak zawsze jest jakby tą samą. Gdybyś przez lat dziesiątki co miesiąc, co tydzień, co dzień zaglądał na ogromne podwórze, zobaczysz tu te same widoki i te same odgłosy posłyszysz. Służący czasowo bez zajęcia zostający rozchodzą się stąd w różne strony, aby na czas jakiś zamieszkać w pięknych kamienicach i ładnych dworach miejskich, z których w zamian wychodzą mniej szczęśliwi ich towarzysze i tu przybywają; dziadowie i baby kościelne idą szukać dochodniejszej parafii albo kłaść się na wieki po najuboższych kątach miejskiego cmentarza, a ci, co przy pogrzebach ich zawadzili pieśni żałobne, stukają koszturami i kijami swymi po tych samych kamieniach, po których niegdyś stukali

y

tamci; z bramy dziedzińca od czasu do czasu wynoszą małe trumienki zamykające w sobie martwe ciała dziecięce, a za nimi grubiańscy ci i nierządni ludzie, którzy co nocy budzą mieszkańców ulicy pijanymi okrzykami postępują z wolna ze zwieszonymi głowami i płaczą, a liczba drobnych istot z bosymi nogami i rozczochranym włosiem hałasujących po wielkim podwórzu nie zmniejsza się jednak; przez okna oficynki, nad gęstwiną chwastów, zamiast chudej szwaczki o wyblakłych oczach wygląda zarumieniona od ognia z nagimi, mokrymi rękami praczka i rozdrażnionym głosem przywołuje ku sobie swe dzieci. Wszystko tu tak samo, choć wszyscy są inni. I tylko magiel ten sam zawsze co i przed lat dziesiątkami turkoce ponuro w głębi starego gmachu i ta sama Żydówka, mała i przygarbiona, kołysze starą głowę swą, obciążoną spłowiałym już zawojem, za oknem ubranym w

obwarzanki, butelki i sery. Właścicielki maglu zmieniały się wiele razy, lecz on sam pozostał zawsze na dawnym swym miejscu; starej Żydówce dopomagały w handlu córki jej, potem wnuczki, a potem prawnuczki, lecz ona sama siedzi zawsze tam, gdzie siadywała przed laty, i bezzębnymi ustami rada jest opowiadać każdemu, kto słuchać zechce, długie i różne historie o wielkim podwórzu, starym gmachu i wielu, wielu pokoleniach mieszkańców ich, które przesuwają się przed jej oczami niby szeregi cieniów rozmaitych a wiecznie tych samych.

U murowanej, wysokiej, czerwonej i na poły rozwalonej bramy wielkiego podwórza tego jedna z bab-żebaczek, która wczesnym rankiem zwlokła się ze swego barłogu, znalazła raz spoczywające na ziemi, grubą chustą owinięte, przed kilku dniami na świat wydane dziecko. Ranek był ciepły, choć jesienny; szara, lekka mgła zwilżyła chustę okrywającą nieruchome ciało, ale promień wschodzącego słońca osuszał ją i ogrzewał.

W kilka minut potem gwar niezwykły panował na wielkim podwórzu. Pośrodku podwórza stała stara

10

żebaczka, w podniesionych nieco, łachmanami okrytych ramionach trzymając dziecko i ukazując je ludziom otaczającym ją ścisłym kołem. Patrzone i dziwowane się; jedni oburzali się i ściskali pięści, inni wzruszali ramionami, marszczyli czoła i spoglądali w górę jakby chcieli i mogli domyślić się, do kogo właściwie należeć mógł przedmiot znaleziony; był ktoś, kto roześmiał się głośno i grubiańsko, i ktoś, kto grubą ręką otarł łzę z zaspanych jeszcze oczów. Rozbudzona gwarem rozmów i wykrzyków nadeszła nawet ze sklepiku stara Żydówka, Złotka, i spoglądając na dziecko przymrużonymi oczami kołysała przez chwilę głową w znak zdziwienia i żalu. Potem zwróciła się ku ludziom stojącym dokoła i pomarszczonym palcem ukazując dziecko zapytała:

— A có wy z tym zrobicie?

Praktyczne to było pytanie, które jej pierwszej dotąd przyszło do głowy.

Radzono godzinę całą. Głos jakiś męski odezwał się trochę nieśmiało, aby dziecko znalezione oddać w ręce zarządu policyjnego, który niech tam sobie zrobi z nim, co zechce, lecz w odpowiedź na to podniosły się jednocześnie dwa czy trzy głosy kobiece takie piskliwe i taki potok łajzących wyrzutów wylały na głowę wnioskodawcy, że wniosek ów, poparty zresztą przez innych biernym zaledwie milczeniem, upadł w zupełności.

— Nieboractwo!

— Biedny robaczek!

— Niegodziwa matka jakaś!

— Łotr ojciec!

— Wstydzila się...

— Albo to łotry tylko tak robią!...

I znowu:

— Co z nim począć?

Praczką z małej oficyny rzekła pierwsza:

— A niechby sobie hodowało się tutaj!

Słowa te długo nie otrzymały odpowiedzi, aż po chwili dopiero właścicielka maglu,

najzamożniejsza

11

osoba z całej osady, poglądając po wszystkich oczami, które niespokojnie migotały wśród tłustej twarzy, zapytała:

— Niechby sobie hodowało się! Ale u kogo?

Milczenie powszechne trwało potem długo. Kilka osób zniknęło nawet z tłumu i widać je było spieszenie umykające ku swym mieszkaniom. Inni stali z opuszczonymi rękami.

— A cóż? — ozwała się na koniec stara Żydówka — co tu długo gadać o tym? U kogo? Niech będzie u wszystkich i koniec.

Zaledwie wymówiła te słowa, wyszedł z tłumu podstarzały mężczyzna w ubogiej, długiej kapocie i zdjąwszy z głowy czapkę oszytą baranym futrem wyciągał ją gestem proszącym od osoby do osoby przechodząc. Był to rymarz — jedein z tych, którzy nigdy z biedy wybrnąć nie mogli. Twarz jego nabrzmiała i gorąco zaczerwieniona nie świadczyła dobrze o cnocie i przyzwyczajeniach jego, ale w tej chwili okryła się szczególnie rozrzewnionym wyrazem. Trząśł głową tak, jakby bardzo, bardzo litował się nad czymś, wzdychał, a mętnymi oczami mrugał filuternie, zachęcając niby lub przymilając się.

— No! no! — mówił — cóż robić? cóż robić?

— Cóż robić? — powtórzono chórem dokoła.

Przygarbiona imość w wатовanej salopce i kapturku nie ukrywającym zupełnie siwych włosów zbliżyła się do dziecka, popatrzyła na nie przez okulary i pierwsza rzuciła w czapkę rymarza drobny srebrny pieniążek. Potem wyjęła dziurawą chusteczkę z worka, w którym było mnóstwo drobnych robótek z bawełny i włóczki, otarła nią sobie oczy i podreptała na miasto, kędy od domu do domu chodząc rozsprzedawała nędzne i tanie wyroby starych rąk swoich.

Do czapki rymarza upadło następnie kilkanaście miedzianych monet, otyła właścicielka magła rzuciła w nią dumnym gestem banknot rublowy i odeszła ku wielkiemu gmachowi ze wspaniałą postawą i z wolna, bo idąc przysłuchiwała się okrzykom zdziwie-

12

nia i rozczulenia, które w gromadce obudziła wielka jej wspaniałości.

Dawcy darów tych, większych i mniejszych, wraz po uiszczeniu się z tego, ku czemu pobudziła ich litość, próżność lub wstyd wobec oczu ludzkich, odchodzili — niebawem na środku podwórza zostało troje już tylko ludzi: żebraczka trzymająca wciąż dziecko, rymarz z czapką w ręku, na dnie której znajdowało się trochę pieniędzy, i kobieta z bosymi stopami, nagimi po łokcie ramionami, w krótkiej spódnicy i jaskrawej chustce na rozartganych włosach. O kilka kroków dalej stała jeszcze stara Żydówka ze sklepu, która wciąż odchodziła i wracała, mrucała coś niezrozumiale do siebie, w ziemię patrząc.

— No! imość bierz to sobie, bo mnie już ręce boją od trzymania i do kościoła na mszę świętą pora! — zagadała żebraczka i wyciągnęła ku stojącej przed nią kobiecie ramiona trzymające dziecko.

— Imość karmisz teraz robaka swego — dodała.

Kobieta z bosymi stopami skinęła głową w znak

jakby determinacji powziętej i nic nie mówiąc wzięła dziecię z rąk żebraczki.

Wtedy rymarz wysypał do fartucha jej znajdujące się w czapce pieniądze, a stara Żydowica zbliżywszy się na ucho jej mruzczała:

'— Niech dziecko te będzie u imości, a ja już co miesiąc zbiorę u ludzi tyle pieniędzy, ile ich tu teraz jest, i imości oddam. Już jak ja zbierać będę, to one zbiorą się, bo do mnie każdy zagłada i interesy ze mną ma...

Rzekłszy to zwróciła się ku rymarzowi:

—: A teraz może na kieliszeczek? co? jegomość?

Rymarz ręką niechętnie rzucił, ale jakby z przyzwyczajenia, nierówno stąpając powlókł się za Złotką do otwierającego się właśnie jej sklepiku.

Jednocześnie magiel zaturkotał, porwane struny fortepianu zabrzęczały, zawrzeszczały dzieci wylatujące z krzykiem ze wszystkich drzwi domostw, dziadowie i baby stukając koszturami o kamienie bruku

13

zawiedli pobożne swe pieśni, westchnęła przy słabo płonącym ognisku żona rymarza wychylającego w sklepiku pierwszą, lecz nie ostatnią w dniu miarkę trunku, i wszystko na wielkim podwórzu starego gmachu weszło w codzienny zwyczaj i ład. Tak więc pierwszymi ramionami, które Juliankę podjęły z ziemi i ukazały ludziom, były ramiona że-braczki owinięte w brudne, strzępiaste łachmany. Pierwszy zaś obraz, który dostrzegła oczami budzącymi się do rozpoznawania przedmiotów zewnętrznych, przedstawił jej niską izdebkę z szarymi ścianami i ogniskiem szeroko płonącym w kominie z czarną głębią. Z balii ustawionej na stołkach pośrodku izby podnosiły się gęste, szare wyziewy i ciężkimi kłębami czołgały się w powietrzu aż ku grubym, wykrzywionym belkom niskiego sufitu. Nad balią pochylała się kobieta w krótkiej spódnicy; z wielkimi, bosymi stopami. Twarz jej niewiele mniej czerwoną była od chustki okrywającej roztargane jej włosy, a spływał wciąż po niej kroplisty pot utrudzenia; ocierała go rękawem grubej koszuli, zawiniętym aż po łokieć, po czym znowu nagie ramiona swe zanurzała w wodzie pieniącej się rozpuszczonym w niej mydłem. Niekiedy zbliżała się do ogniska i rzucała w płomień ciężkie duszki żelazek albo odejmowała od ognia kocioł z gorącą wodą i dźwigała go ku balii stękając z cicha. U nóg pracującej kobiety tej siedziało lub pełzało drobne dziecię, dwoje innych, chłopak i dziewczynka, wbiegali do izby i wybiegali z niej ż tętentem nóg bosych i hałasem swawoli lub płaczu. Chłopak silny i z twarzą ponurą, choć śmiałą, ile razy wbiegał do izby, zarzucał ramiona na szyję matki i całował głośno oba rozognione a wilgotne jej policzki, dziewczynka chwyciła na ręce najmłodsze dziecię i skakała z nim po izbie śpiewając. Gdy dzieci wybiegły, słyhać było znowu tylko plusk wody w balii, trzask ognia i od czasu do czasu stękanie lub gniewne jakieś, niecierp-

14

liwe mruczenie praczki. Czasem przestawała ona na chwilę pracować i szemrać, wyprostowywała się i z brodą wspartą na dłoni stała nad balią nieruchoma, szklistym wzrokiem patrząca kędyś — w młodość swą minioną, a może jaśniejszą, w terażniejszą ciężką czy w przyszłość swych dzieci.

Gdyby ktokolwiek bywał wtedy w izbie owej, dostrzegłby jeszcze małe dziecię, wpółnagie, bo grubą, bardzo krótką koszulą okryte, siedzące w kątku izby za stojącą

tam wielką, rozstrzępioną miotłą. Suche i kolczaste gałęzie miotły za każdym poruszeniem się dziecka strzępiły mu gęste włosy coraz wyżej i wyżej, lecz ono spoglądało zza nich na wijące się płomienie ogniska, na iskry z nich tryskające, na wyjmowane z ognia duszki żelazek tak rozpalone, że iskrzące się szkarłatem i złotem, na rozmydloną wodę wylewającą się z balii i ciekącą po podłodze pianistymi strumieniami, na długą deskę do prasowania, której koniec jeden piętrzył się śnieżną już i wygładzoną bielizną, i wpółotwartą szafę z głębokim, ciemnym wnętrzem. Kiedy ogień palił się szeroko i złoto z trzaskiem wesołym, dziecię uśmiechało się spokojnie i nieruchomo; gdy rój iskiek tryskał zeń w górę, a grad rozżarzonych węgli wylatywał z komina padając aż na środek izby, śmiało się ono cichym, lecz długim i nieutulonym śmiechem. Niekiedy blask ognia dosięgał kątką, w którym siedziała dziewczynka, i złocił twarz jej śniadą i powierzchnię czarnych oczów; wtedy wyglądała ona zza różeg miotły wesoło i figlarnie, lecz gdy przygasały płomienie, kryła się w mroku i tylko widać było dwie nóżki nagie i chude, nieruchomo wyciągnięte na chropowatej desce podłogi.

W południowych godzinach chłopak i dziewczynka wbiegali do izby i z wesołymi krzykami czepiali się spódnicy matki, która odejmowała od ognia garnek z żywnością. Siadali na ziemi i z misy stojącej na ławie jeść poczynali. Wtedy — w kątku, gdzie stała miotła, ożywał się szelest. Nagie, chude nóżki poruszały się i przebywały izbę w kierunku dzieci jedzących

15

i jadła; w wędrownce tej dopomagały im też zrazu i drobne ręce poznaczone czerwonymi szramami, okryte tu i ówdzie sinymi piętny oparzenia kipiąt-kiem lub ogniem. Zaledwie jednak dziecię dosięgało kresu swej podróży i wyciągało rękę ku łyżce drewnianej, którą praczka nieodmiennie kładła na ławie obok tych, którymi jadły jej dzieci, starszy chłopak uderzał je łyżką swą po głowie, czole lub plecach, po czym śmiał się głośno, a ono oo prędzej ze zwinnością kota kryło się pod ławę.

Kobieta wołała czasem na syna gniewnie i krzykliwe:

— Pozwól jej jeść!

Czasem nic nie mówiła zapatrzona w ogień lub w głąb balii. Mała córka jej trzymała w ramionach mniejszego od siebie braciszka i ze śmiechem, z pocałunkami wlewała mu w usta ostudzoną starannie strawę; od chwili do chwili wyjmowała z krupniku kartofle i rzucała je pod ławę, gdzie chwytało je i zjadało przytulone do ziemi dziecię, a najstarszy chłopiec pochylając się zaglądał ku niemu i śmiejąc się wołał:

— Julianka! na tu, na! chwytaj!

O szarej godzinie praczka dawała dzieciom po kawałku chleba; Julianki nie omijała. Jeżeli pilnej nie miała roboty, gasiła ognisko i przy świetle małej świeczki łojowej szyła, cerowała, łątała pstrą i lichą odzież. Dzieci spały. Niekiedy jednak ze snu budziło je szybkie poruszenie matki zrywającej się ze stołka. Robota jej spadała z kolan na ziemię, ona, stojąc nieruchomo z przechyloną głową, wsłuchiwała się w odgłosy przylatujące do wnętrza izby stałym jeszcze echem, bo z daleka, kędyś z ulicy. Były to odgłosy chrapliwej pieśni męskim, basowym głosem wyśpiewywanej, a przerywanej bezładnymi wykrzyki lub wybuchami pijanego śmiechu. Echa te zwiastowały zbliżające się przybycie ojca rodziny, który w różnych domach miejskich pełnił służbę kucharza. Człowiek ten nieczęsto odwiedzał rodzinę swą:

żona jego zapracowywać musiała-sama na siebie i dzieci; ile razy przecież chrapliwy śpiew jego ozwał się na ulicy,

16.

kobieta rozpoznawała go uchem wprawnym, a zanim dziedziniec zatętnił pod ciężkim i nierównym jego stąpaniem, przebiegała izbę niespokojnie, wzrokiem błyszczącym i ruchliwym szukając najtajemniejszego kątku, w którym ukryć by mogła trochę miedzianej monety owiniętej w płócienną szmatkę.

W kilka chwil potem wielki hałas podnosił się w izbie. Był to gruby krzyk męskiego głosu, a wtórował mu piskliwy, ostry zanoszący się wrzask kobiety, zrazu pojedynczo, potem z towarzyszeniem pisków, jęków i szlochań dziecięcych.

Julianka budziła się nagle i wnet zaczynała drżeć na całym ciele. Szeroko rozwartymi od trwogi oczami patrzyła jednak przed siebie poprzez suche gałęzie przysłaniającej ją miotły. Wtedy przy mętym oświetleniu łójówki widywała wysokiego, barczystego mężczyznę podnoszącego pięść i opuszczającego ją na plecy kobiety, która wydobywała z piersi swej przeraźliwą gamę krzyków i rzucała gwałtownie ramionami usiłując ciosami odpłacić za ciosy; widywała, jak ogromna ręka męska chwytając splątany warkocz kobiecy i dopóty w dół go ciągnęła, dopóki kobieta nie runęła na ziemię wijąc się u stóp mężczyzny z wściekłości i bólu; jak starszy chłopak broniąc matki rzucał się na ciało jej pod stopy ojcowskie i podnosząc twarz swą zuchwałą a rozżarzoną ciskał ku ojcu z iskrzących się oczu nienawistne spojrzenia; jak młodsze dzieci z trwogi wielkiej spadały z matczynego łóżka na ziemię, drżały i szlochały; jak następnie mężczyzna odnajdywał pieniądze ukryte przez kobietę kędyś za belką sufitu lub w głębi komina i odchodził rzucając drzwiami, aż drżały wątle ściany izby, a kobieta po odejściu jego z ciężkością dźwigała się z leżącej postawy, siadała na ziemi i z twarzą ukrytą w czerwone dłonie płakała głośno zrazu, a potem tak cicho, że można było prawie słyszeć jak łzy jej strumieniem wielkiem spływały na podartą spódnicę okrywającą drżące jej kolana.

Na wszystko to spoglądało, wszystkiego tego słu-

chało dziecię siedzące w najciemniejszym kątku, a słuchając i patrząc tuliło się coraz mocniej do ściany albo rękami obejmując miotłę przyciskało ją do siebie przerażonym gestem.

Raz jednak, wśród jednej ze scen podobnych, zmartwiało całkiem z trwogi.

Spojrzenie wysokiego barczystego mężczyzny upadło na ciemny jej kątek. Było to spojrzenie oczu wypukłych, czarnych, groźnie pałających śród ogromnej, ponurej twarzy. Dziewczynka spotkawszy się wzrokiem ze spojrzeniem tym zmartwiała całkiem i niewyraźnie, bardzo niewyraźnie słyszała, jak mężczyzna zapytywał kobietę o pieniądze, które ludzie płacą jej za podrzutka, i jak kobieta odpowiedziała z krzykiem, że dawno nikt jej, za utrzymanie jego nic, nic nie płaci, bo ludzie, którzy płacili wprzódy, wynieśli się z tego podwórza, a nowi słuchać o nim nie chcą. Wtedy mężczyzna postąpił ku ciemnemu kątkowi, a Julianka zamknęła oczy i czuła tylko, że silna ręka pochwyciła skraj grubej jej koszuli, że niesiono ją tak przez chwilę i rzucono na ziemię przed drzwiami domus. Potem już nic nie widziała i nie słyszała, tak zupełnie jakby spała głęboko. Gdy otworzyła oczy, cisza głęboka panowała dokoła, nagie nogi jej pogrążone były w trawie zwilżonej deszczem, a mokre zielska

chłodnym dotknięciem muskały szyję jej i plecy. Dziecię drzeć zaczęło znowu i lękać się bardzo. Czego? nie wiedziało samo. Wszystkiego zapewne. Grubego głosu ludzkiego, który brzmiał mu jeszcze w uchu, ciężkich obłoków sunących nisko pod dżdżystym niebem, mokrych chwastów, które jak zimne gadziny pełzały mu po nagim ciele, gałęzi drzew, które w szarym zmroku poruszały się i szemrały na kształt widm czarnych wiodących z sobą ponurą rozmowę.

Wśród ciemności tej i wszystkich tych strasznych dla niej przedmiotów przed oczami Julianki błysnęło w dali jedno samotne światło. Było to bledziutkie, drobne światełko, drgające w małym oknie umieszczonym w rogu podwórza nad samą prawie ziemią.

5 — Orzeszkowa

18

Julianka wiedziała dobrze, kto mieszka tam, w rogu podwórza, po długim też wahaniu wstała z ziemi i powoli bardzo, bo ogarniał ją wciąż strach nadzwyczajny i drobne jej stopy plątały się wśród zielsk wysokich a mokrych, poczęła dążyć ku mdłemu światełku.

W rogu podwórza znajdowała się izdebka mniejsza jeszcze i niższa niż ta, którą zajmowała praczka ze swą rodziną, ale wcale inaczej wyglądająca. Tam ściany i sufit czarnymi już prawie stały się od dymu i pyłu, tu zachowały one swą przedwieloletnią białość, bo starannie snadź chroniono je i czyszczono; tam od nieustannie płonącego ogniska powietrze było gorące, upalne i duszne, tu panował ciągle chłód przejmujący i nasiąkły wilgocią, albowiem w piecyku małym i kruszącym się w gruzy nigdy prawie nie zjawiał się ogień. Izdebka ta mieściła w sobie stare bardzo łóżko z pościelą tak szczupłą, że niemal jej widać nie było, skrzynię drzewnianą przykrytą rozpadającym się w szmaty dywanikiem, stół trochę kulawy, lampkę z długim, kopącym kominkiem, starą watowaną sa-lopkę wiszącą na ścianie, wielki, czarny krzyż nad łóżkiem i — starą, małą kobiecinę, która siedząc na skrzyni przy świetle lampki robiła siatkę z bawełny.

Była to istota drobna i niziutka, z plecami przygarbionymi i ciałem wyschłym. Ubrana w wytarty, watowany szlafrok nie sięgający ziemi, na głowie nie miała nic oprócz rzadkich siwych włosów, nierównymi pasmami opadających na plecy jej i czoło.

Pochylała twarz nisko nad robotą swą, a małe, pomarszczone jej ręce szybko poruszały iglicą i kłębkami. Przy tym mówiła wciąż do siebie przyciszonym półgłosem, ale mówiąc poruszała daleko mniej ustami, wklęsłymi, i tak prawie białymi jak twarz cała, niż czołem, którego liczne zmarszczki podnosiły się wciąż w górę, to opadały, przybliżały się ku sobie lub rozbiegały się, tak zupełnie, jakby tajemniczymi znakami opowiadały komuś niewidzialnemu długą jakąś, zadziwiającą historię.

Nagle malutka, siwa pracownica ta podniosła gło-

19

wę. Powieki jej czerwono świecące zza wielkich szkieł okularów mrugać poczęły. U niskich, zamkniętych drzwiczek ozwał się cichy szelest. Umilkł i ozwał się znowu.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — wymówiła kobieta.

Nie było odpowiedzi. Podniosła rękę do czoła, jakby przeżegnać się chciała, lecz u

drzwi zaszeleściło mocniej i dało się nawet słyszeć bardzo ciche jakieś jęknięcie czy łkanie.

Wstała i nadstawiając ku' drzwiom ucha głośniejszy zapytała:

— Kto tam?

Za drzwiami cichutki głos odpowiedział:

— Julianka.

Gdyby głęboka cisza nocna nie panowała dokoła, stara kobieta nie usłyszałaby głosu tego, tak był on cichym. Było to westchnienie raczej niż głos. Usłyszała i niechętnie rzuciła ręką. Wzięła jednak lampkę i idąc z nią ku drzwiom gderliwie mruczała:

— A że też te dzieciśka nigdy mi spokoju nie dają! We dmie mi urwis ten kamień przez okno rzucił, a teraz oto wśród nocy przychodzi ta...

Otwierając drzwi mówiła jeszcze coraz to głos podnosząc:

— Czegóż włóczysz się nocami...

Tu umilkła i lampkę swą nisko trzymając patrzyła ku ziemi.

W drzwiach ukazała się i u progu nieruchomo stanęła Julianka. Nagie nogi jej, widzialne do kolan spod krótkiej koszuli, drżały i ugiwały się pod nią, bujne krople deszczu gęsto osypywały włosy jej i twarz.

Stara kobieta milcząc już drzwi zamknęła i wzięła dziecko za rękę.

— Czego ty tu przyszłaś tak późno? w nocy! — zapytała.

Długo nie było odpowiedzi. Po chwili dopiero dziecko odpowiedziało z cicha:

20

— Wyrzucili.

— Aha! — przeciągle rzekła kobieta i usiadłszy na kuferku swym patrzyła na dziecko.

— Wyrzucili cię! — powtórzyła — a któż cię wyrzucił?

— Pan! — odpowiedziało dziecko.

— Pan! to znaczy Jakub, obrzydłe pijaczysko to, co tu po nocach takie hałasy wyprawia. Bił żonę? co?

— Bił — potwierdziło dziecko i zaszlochało.

— No, proszę! bił znowu! A to kiedyś kryminalista będzie z niego, ani chybi! A ciebie wziął i tak bez ceremonii za drzwi wyrzucił na deszcz, chłód i noc! Skądże ci znowu przyszło do głowy przyjść do mnie? Ot, pewno dlatego, że ci tam onegdaj chleba odrobinę dała. No, a chcesz teraz mleka?

Głośniejszy daleko niż wprzód dziecko odrzekło:

— Chcę.

Stara kobieta pochyliła się i wydobyła spod stołu mały garnek przykryty papierem. Podała go dziecku.

— Wypij połowę — rzekła — a resztę ja jutro sama na śniadanie wypiję. No — dodała — i tobie też dam trochę!

Dziecię piło chciwie, lecz gdy dosięgło połowy zawartości garnuszka, stara mu go z rąk odebrała i znowu schowała pod stół.

— Czegóż tak trzęsiesz się cała, jakbyś miała febrę, hę? czy ci zimno? Czy to innego odzienia nie masz, tylko ot tę koszulinę?

— Nie masz — odpowiedziała Julianka.

— No, to już ja ci z pewnością nie dam, bo mi ot też ostatni łachman drze się na

plecach. Tylko tam jeszcze jest jakaś szmata...

Ściągnęła z łóżka chustę dużą, podartą, istną szmatę, i owinęła nią, spowiła w nią prawie dziecko. Potem zaprowadziła ją do kąta pomiędzy piecem i ścianą.

— Teraz usiądź tu albo połóż się i śpij! Ot, chustkę mi tylko moją zabrałaś i nie będę miała czym okryć się w nocy... chyba tym oto szlafrokiem... no, śpij spokojnie... Jakub tu nie przyjdzie...

21

Julianka usiadła, ale pomimo zmęczenia się nie usypiała, lecz patrzyła na nową opiekunkę swą, która siedząc znowu na skrzyni robiła już swą siatkę i wciąż mówiła:

— A ja tu jeszcze kawałeczek siatki zrobię... nie-późno... niepóźno... jedenasta godzina nie biła jeszcze na farnym zegarze, a do jedenastej trzeba zawsze robić siatkę... siatkę... nie co innego... włóczkowe roboty robią się w dzień, bo oczy więcej męczą... oj! oczy! oczy! uciekają!

Westchnęła i spojrzała ku kątkowi, w którym siedziało dziecko.

— Nieboractwo! Ten dragal Jakub do kryminału kiedyś pójdzie, a i syn jego kryminalistą będzie ani chybi! jabłko od jabłoni... Kamienie mi tu śmie rzucać przez okno! Patrzcie go! gdyby tak trzydzieści lat temu, kazałabym mojej służbie złapać łotra i dobrze go skarcić... Moja służba! oj! oj! była kiedyś, była! ale już dawno jej nie ma! Kto by to spodziewał się...

Przy ostatnich wyrazach fałdy czoła jej tak podniosły się w górę, jakby ogarnięte były niezmiernym zdziwieniem, a pasma siwych włosów żałośliwie opadały na nie.

Wtem kędyś, w dalekim środku miasta, kościelny zegar wybijać począł godzinę.

Stara kobieta wyciągnęła w górę cienki, biały palec i liczyła:

— Raz! dwa! trzy! cztery!

Gdy wyrzekła: „Jedenaście!” — zegar bić przestał. Wstała i składać poczęła swą robotę.

— Dawniej siedziało się do pierwszej i do drugiej po północy, w salonie... z gośćmi... Salon! oj! oj! był kiedyś, był! ale dawno go już nie ma... Jest za to ta oto klitka. Kto by się to spodziewał!

Zdjęła okulary i zamrugęła powiekami.

— Żeby tak dawne oczy moje, wyszyłabym dywan taki, jak był ten, co przed kanapą moją kiedyś leżał! Ot, wzięłabym za niego pieniędzy gmach, ale oczy... oj! oj! są jeszcze, są, ale już uciekają... a jak do reszty uciekną...

22

Tu nie tylko zmarszczki czoła jej poruszały się żwawo, ale i głowa cała trząść się zaczęła, tak zupełnie jak gdyby przepowiadała, że coś strasznego, okrutnie strasznego stać się musi, gdy „oczy do reszty uciekną”. _

Gasząc lampkę szeptała: „Kto się w opiekę odda Panu swemu”, a potem wśród ciemności kładnąc się na zaledwie przykrytej słomie wymówiła jeszcze parę razy: -

— Kto by się spodziewał! kto by się kiedy tego spodziewał!

W kątku pomiędzy piecem a ścianą gorączkowo i niespokojnie śpiące dziecko zaszeptało:

— Wyrzucili!...

Nazajutrz Julianka wnet po otwarzeniu oczu zaśmiała się głośno i srebrzyście. Co obudziło śmiech jej? Któż wie? To może, co sprawia, że o dnia brzasku śpiewają

ptaki i że złoty owad wesoło brzęczy wieszając się w zaraniu na promieniu słońca.. Promień wschodzącego słońca zaglądał w okno izdebki i ślizgał się po siwych włosach małej staruszki, która drobne, suche ręce swe nabożnie splótłszy przez małą szybę patrzyła ku górze i półgłosem mówiła: „Ojciec nasz, któryś jest w niebie!” Usłyszawszy śmiech dziecka powiedziała: Amen! — i odwróciła twarz ku izdebce.

— Obudziłaś się! — rzekła — spałaś dobrze? ciepło ci było?

Juliance ciepło było i dobrze w spowiciu urządzonym ze starej, grubej chusty. Siedziała więc chwilę jeszcze w kątku swym, podobna do małej, nieruchomej mumijki, z błyszczącymi oczami i śmiejącymi się ustami. Potem zerwała się żwawo i ciągnąc za sobą chustę, która rozwinawszy się przykrywała już tylko jej plecy, biegła i wyciągnęła ręce do podawanego jej przez starą kobietę garnuszka.

— Napij się mleka, ale i mnie trochę zostaw! — rzekła stara.

Julianka piła; z wyrazu oczu jej znać było, że

23

dziwiła się bardzo nad tym, iż pije rzecz tak smaczną.

— A teraz ja! Ot, widzisz, to całe moje śniadanie. Połowę go oddałam tobie, niech ci na zdrowie służy! Pawniej pijałam herbatę, kawę albo czekoladę, ale to już bardzo dawno temu. Teraz kontenta jestem, kiedy mam trochę mleka, kto by się był tego spodziewał! No! nie ma co! człowiek bywa na wozie i pod wozem! ja na wozie już byłam, spadłam z niego i nigdy już więcej nie będę, ale ty może jeszcze będziesz, kto wie? mała jesteś, życie przed tobą. Tymczasem nie masz innego odzienia jak tę oto koszulinę, z której dawno wyrosłaś. Kolana ci spod niej widać, pfe! to nieskromnie. Trzeba mi taim dla ciebie wyprosić sukienczynę jaką starą u moich znajomych państwa!

Mówiąc to wszystko mała staruszka wkładała na siebie watowany swój zrudziały szlafrok i siwe włosy okrywała dziurawym nieco czepcem z białego muślinu.

— Bo, widzisz, ja mam dużo znajomych państwa, którym roboty moje sprzedaję... Ot, tak chodzę od domu do domu i sprzedaję... Po wschodach mi ciężko, a na dziedzińcach tych znowu, gdzie jednopiętrowe domy stoją, psiska szkaradne rzucają się na mnie i drą mi odzież... jeden mię nawet raz za nogę ukąsił... opuchła cała i tydzień potem chodzić nie mogłam... Czasem to i gburzyska te lokaje albo kucharki łają mię i odpędzają krzycząc na mnie: „Żebraczka”. Kto by się był tego spodziewał! Szklisobłękitne oczy jej zza szkarłatnych powiek" spojrzwały kędyś daleko, daleko w przestrzeń.

— Żebraczka! żebraczka! a jaka to ja żebraczka jestem! alboż nie pracuję? albo to moje roboty nie piękniejsze od tych, co po sklepach na wystawach wiszą? Serwety, kołdry, antolarze *, patarafki ** robię i robić będę, dopóki oczy nie uciekną... ot, już gdy uciekną...

Głowa jej zatrzęsała się znowu tak, jakby się czegoś

•Antolarze — rodzaj koronek nicianych.

** Patarafki — wyszywane lub plecione serwetki pod lichtarze czy lampki.

24

nagle i bardzo przelękną, a zmarszczki na czole rozbiegły się w różne kierunki w wielkim niby popłochu. Podniosła chustkę swą, która z ramion dziecka upadła całkiem na ziemię, i zarzuciwszy ją sobie na plecy głowę okrywała czarnym

kapturkiem.

— Teraz — mówiła — idź ty sobie na dziedziniec. Ja iść muszę na miasto i drzwi zamknę. Nad wieczór możesz przyjść znowu do mnie. Mleka napijesz się i przenocujesz. Obiady ja w domu nie jadamy, bo ot widzisz, że piec rozwalił się i zapalić w nim nie można. Chodzę sobie tedy do jednej kobieciny poczciwej, która kominek ma. Ja daję parę groszy, ona daje parę groszy i przystawiamy sobie do ognia garnuszek z krupnikiem albo kartoflami. Kiedy roboty mam dużo, siedzę w domu i jem na obiad obwarzanki rozmoczone w wodzie... Kto by się był spodziewał! No, idź-że już na dziedziniec, bo drzwi zamykam. A przychodź nad wieczór, może i przyniosę ci z obiadu mego krztę jakiej żywności...

Wyszły obie. Starowinka podreptała na ulicę, dziecko w krótkiej koszuli stanęło na dziedzińcu i oparło się plecami o ścianę domostwa. Nie śmiało się już, bo dzień wietrzny był i zimny, a jesienne słońce świeciło nie ogrzewając. Julianka drząc zaczęła od chłodu i po chwili puściła się ku mieszkaniu praczki. Stała przed drzwiami oficyny i stała długo. Wyciągała małą rękę ku drzwiom i cofała ją. Wtem drzwi te otworzyły się i na progu stanęła praczka dźwigając na ramieniu drąg gruby z dwoma pustymi wiadrami u końców. Szła snadź po wodę. Twarz jej nosiła ślady wczorajszych uderzeń. Obrzękła była od płaczu i sina od uderzeń. Gruba kosa jej, szochrana, stargana, zwisała na koszulę z porozdzieranymi rękawami. Ujrawszy Juliankę przed progiem jej stojącą gniewnie krzyknęła:

— Czego ty tu znowu przyszłaś na moją głowę! Czy ja mało męki mam i bez ciebie! Albo ty moje dziecko jesteś, żebym ja ciebie potem moim karmiła,

25

a później jeszcze za to piekło cierpiała? Precz mi idź i na oczy mi się nie pokazuj! Gwałtownym gestem odepchnęła dziecko od progu i drzwi zamykając zawołała do wnętrza mieszkania:

— Antek! nie puszczać mi do chaty podrzutka!

Antek nie dawał sobie mówić tego dwa razy. W krótkim spencerku i z bosymi nogami wybiegł na próg i czyniąc poruszenia takie, jakby rzucić się chciał na dziecko, krzyknął:

— A pójdziesz!

Julianka cofnęła się o kilka kroków i stanęła. Chłopak postąpił znowu ku niej i powtórzył wołanie swe.

Twało tak parę minut, gdy w oknie oficynki ukazała się głowa ośmioletniej dziewczyny z długimi, płowymi włosami i zawołała:

— Antek! Antek! chodź no tu, pomóż mi ogień dla matuli rozpalić, bo ja nie zdążę...

Chłopak wbiegł do mieszkania, a Julianka pozostała na miejscu, do którego ją przygnał. Stała nieruchomo i na ścianę oficynki patrzyła. Nie płakała i od zimna już nie drżała. Gdyby ktokolwiek spojrział teraz w te oczy dziecięce, suche i szeroko rozwarte, nie znalazłby w nich wyrazu bólesci. Malowało się w nich tylko nadzwyczajne jakieś zdziwienie i błyskał także cichy, bo bezsilny gniew.

Tak stojącą znalazła ją praczka wracająca z napełnionymi wodą wiadrami. Stała, kilka sekund popatrzyła na nieruchome dziecko i mrużąc coś do siebie weszła do oficynki. Niebawem jednak wyszła znowu niosąc spory kawał czarnego chleba.

Podawała go dziecku mówiąc:

— Na, weź, będzie ci na dzień cały! Chleba ci dam czasem, ale niech cię Bóg broni, abyś do chaty weszła. Różgą obję i w pokrzywy rzucę!

Julianka wzięła chleb, ale nie poniosła go do ust, tylko długo jeszcze stała i patrzyła na ścianę oficynki. I wtedy dopiero, kiedy drzwi otworzyły się na oścież, a przez nie goniąc się z hałasem wybiegły dzieci praczki, ona pobiegła także, pobiegła, jak mo-

26
gła najprędzej małymi stopkami swymi, ku staremu, wysokiemu gmachowi. Tam zniknęła w wielkiej sieni, nad którą w tej chwili właśnie ozwał się doniosły, ponury turkot magła.

W kilka miesięcy później, kiedy mała staruszka wracała z wycieczek swych po mieście do domu, Żydówka Złotka siedząca za progiem sklepiku swego zawołała na nią:

— Pani sędzino! pani sędzino! czy to już teraz pani sędzina opiekujesz się podrzutkiem?

Staruszka stanęła i sarknęła:

— Ot, moja kupcowo! nie miała baba kłopotu...

— Zapewne! zapewne! Imość sama potrzebowałabyś już opieki! No, ale tymczasem dziewczyna u pani sędziny je i nocuje.

— Je, kiedy jest co, a nocuje, kiedy na dworze zimno. U mnie bo chłód taki sam prawie jak na dworze... Kto by się był spodziewał!

Podreptała ku bramie, w dziedziniec, półgłosem mówiąc do siebie:

— Opiekujesz się! opiekujesz się! A jak ja opiekować się mogę? czy ja magnatka! Dawniej opiekowałam się ubogimi dziewczętami, stroiłam je, żywiłam, edukowałam.... Teraz one gdzieś fruują, latają po szerokim świecie, a o mnie ani myślą... Kto by się był spodziewał! Opiekujesz się! Jak ja teraz dzieckiem opiekować się mogę? Kłopot to tylko dla głowy mojej... czy to ja jej matka albo babka?

Otwierając drzwi mieszkania swego starała się nie wypuścić z ręki zawinięcia z papieru zawierającego w sobie mały kawałek gotowanego mięsa i parę kartofli.

— To dla dziecka! — mówiła. — Ale gdzie ta dziewczyna wiecznie lata?

I wychyliwszy się przez okno piskliwym i trzęsącym się głosem wołała:

— Julianka! Julianka!

Na wołanie to dziecko przybiegało i wsunąwszy się do malutkiej, białej izdebki, chciwie zjadało podane

mu pożywienie. Stara kobieta siadała na skrzyni swej i wydobywała ze spłowiałego worka różnobarwne włóczki.

— Siadaj — mówiła do dziecka — ot, tu, przy mnie, na ziemi i rób pończochę.

Wkładała w drobne ręce jej druty i kłębek, a potem schylona uczyła:

— Nitkę trzymaj na palcu... drut włóż pod nitkę... teraz przewlec... ot, widzisz... zrobiło się oczko... no, nie spuszcza nitki z palca... rób tak ciągle...

Prostując się stękała i dobierając kolory włóczek swych zaczynała mówić znowu:

— Nauczyć cię chcę, czego mogę... pacierz mówić i pończochę robić... Innych rzeczy niech cię tam już ludzie nauczą... ja tylko zacznę edukację twoją... już to ja zawsze wszystko dla ciebie zaczynam... Ot i wtedy, kiedy to cię tam przy bramie

porzucono, ja pierwsza dałam czterdziestkę rymarzowi, który na ciebie składkę zbierał...

Dziecię opuściło na kolana druty ze splątaną bawełną i wlepiając w twarz staruszki uważne oczy zapytało:

— A kto mnie tam przy bramie porzucił?

Mała staruszka niespokojnie poruszyła się na swej skrzyni i przełknięm czegoś wzrokiem spojrzała na dziecko.

— A Bóg że go wie, moja droga, Bóg tylko wie, kto to był taki... — mówiła z pomieszaniem niezmiernym, potem namyśliwszy się nieco dodawała: — Wielki ptak ten zapewne, który malutkie dzieci po świecie roznosi...

Julianka zdawała się głęboko przez chwilę namyślać. Potem zapytała znowu:

— A dlaczegoż ten ptak nie zaniósł mię do pani Jakubowej albo do pana rymarza, albo do kogo innego, ale tak wziął i pod bramą rzucił?...

— No, no — odpowiadała staruszka, żywo bardzo przewlekając szydełko przez oczko włóczkowe — co to ty mi tam głowę kołatasz pytaniami swymi! na co 28

ci to wiedzieć? ot, rób pończochę i ucz się pacierza. Mów: „Wierzę w Boga...”

— „Wierzę w Boga...” — szepnęło dziecko walcząc z drutem swym, który nie chciał jakoś wchodzić w zbyt ciasne oczko pończochy.

— „Wszechmogącego...”

— „Wszechmogącego” — powtórzyło dziecko.

— Ale ty nie rozumiesz, co to znaczy... ja ci to zaraz wytłumaczę... Boga nazywamy wszechmogącym dlatego, że on wszystko może... Rozumiesz?

Julianka znowu nie robiła pończochy, tylko z rękami na kolanach i podniesioną głową zamyślane oczy wlepiała w twarz swej nauczycielki. Po chwili zapytywała:

— A dlaczegoż Pan Bóg nie kazał temu ptakowi zanieść mię do pani Jakubowej albo do pana rymarza... ich dzieciom lepiej jak mnie...

Siwa głowa staruszki aż zatrzęsa się cała.

— No, no — zaszepiała — w młodej dziecinie... skąd jej się takie pytania biorą.

— Bóg wszystko może i litość a dobroć Jego granic nie mają... On chciał pewnie, żeby ci dobrze było, ale ot tyle tylko, że dał cię złym ludziom jakimś...

— To nie ptak wielki, ale ludzie rzucili mnie tam pod bramą!... — wykrzyknęło nagle dziecko.

Stara mieszała się coraz bardziej. Rozgniewała się niby srodze i pogroziła dziecku szydełkiem.

— No! no! cóż to znów pytać będziesz i pytać! A kto? a jak? a dlaczego? Kiedy ci źle na świecie, to widać, że Pan Bóg chciał, aby tak było! Z wolą boską zgadzać się trzeba zawsze. Pamiętaj, abyś zgadzała się zawsze z wolą boską! Cóż? czy zgadzasz się?

— Zgadzam się — z cicha odpowiedziało dziecko.

— Ot, tak dobrze! Widzisz, i mnie życie nie lekkie, a jednak zgadzam się! Nie szemrzę i nie pytam się o nic, choć czasem i mnie dziw wielki bierze, jakim sposobem moja starość zrobiła się niepodobna taka do mojej młodości... Kto by się był spodziewał... Rodziców miałam, posag piękny, potem męża takiego do-

brego-- Sędzią był... szanowali go wszyscy... żyliśmy sobie jak król i królowa, ot w tym samym mieście... w tym samym... Tylko dzieci Bóg nie dał, a jak mąż umarł, i majątek gdzieś stopniał, i krewni się gdzieś podzieli... i ot, świat ten pustynią mi, a ręce karmicie-le, no i oczy także... bo bez oczu ręce nic nie zrobią... Kto by się był spodziewał? Ot, widzisz! teraz proszę już Boga o to tylko, żeby mi oczy nie uciekły... a uciekają! Kiedy nauczysz się pacierza, poprosisz i ty...

— Poproszę! — odpowiedziało dziecko.

Tymczasem zmrok zapadał i stara imość zapalała lampkę.

— Dobrze by było teraz herbaty napić się — mruzczała — starym kościom Zimno i w gardle po tym słonym krupniku schnie... cóż, kiedy nie ma skąd jej wziąć! Kto by był się spodziewał? No, ciemno ci już tam na ziemi pończochę robić... złóż ją, przesuń się do mnie bliżej i ucz się pacierza, mów: „Odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy...”

— „Odpuść nam nasze winy...” — zaczynało dziecko, lecz milkło nagle, a po chwili wymawiało nieśmiało i jakby o pozwolenie prosząc:

— Pani! ja nie odpuszczę!

— Czego nie odpuścisz? komu? — z zadziwieniem w głosie pytała staruszka.

— Nie odpuszczę Antkowi — energiczniej odpowiadała Julianka, a oczy jej ogniście połyskiwały w zmroku.

— Pfe! to nieładnie! Taka zawziętość w dziecku! Wstydz się! Antek urwis i łotr, ale odpuścić mu trzeba. bo Pan Bóg tak kazał. Odpuść mi zaraz Antkowi! cóż? odpuszczasz?

Dziecko milczało chwilę, potem zawołało nagle i gwałtownie:

— Nie odpuszczę! nie odpuszczę! nie odpuszczę! tak mi Boże dopomóż! żebym tak na świat patrzała! żebym tak nie chorowała! żeby tak nieprzyjaciele moi poumierali! nie odpuszczę! kiedy zrobię się bardzo silna, złapię go i wytlukę, wytlukę... Ot tak, jak pan Ja-

30

kub żonę tłucze... Żeby jemu Pan Bóg nie odpuścił... żeby jego...

Pięści drobne ścisnęła i oczami błyskała z nienawiścią zaciętą i namiętą. Potok zaklęć i przekleństw, które z ust jej małych i pąsowych wychodziły, zapożyczonym był z dykcjonarza wszystkich mieszkańców wielkiego podwórza: Jakuba, Jakubowej, Antka, rymarza, Złotki itd. Stara kobieta przerwała jej groźnym gestem:

— Milcz mi zaraz i idź za drzwi, kiedyś taka...

Julianka podniosła się z ziemi i szła ku drzwiom.

Gdy była już przy progu, stara wołała:

— Jeżeli odpuścisz, pozwolę ci wrócić i mleka dam...

Dziecię nie odwracało się i brało już za klamkę.

— Wróć się! — wołała imość.

Julianka wracała i stawała przed opiekunką swą, nasepiona cała, ponura.

Staruszka spoglądała na nią przez chwilę zza okularów swych, potem pomarszczoną dłoń kładła na jej włosach.

— No, odpuść — zaczynała proszącym głosem — ja jeżeli cię czegokolwiek dobrego nie nauczę... Przyszłaś tu do mnie w nocy zziębła, zgłodniała i wypędzona...

a ja zaraz pomyślałam: „Niech tam sobie ta młoda duszyczka przytuli się trochę do mnie...” Świat pustynią i mnie, i tobie... Kto by się był spodziewał? Kłopot mi przy tym sprawiasz, połowę żywności mej zjadasz i w nocy w chustce mojej sypiasz, a ja ot, szlafrokiem okrywać się muszę i niszczyć go przedwcześnie... Wdzięczną być mi powinnaś i słuchać mię... Kiedy ci mówię: odpuść, to odpuść! Cóż, odpuszczasz? Przy ostatnim wyrazie dłoń starej zsunęła się z włosów dziecka na zasepione jego czoło i gładziła je lekko.

— Cóż? odpuszczisz Antkowi? — pytała proszącym głosem.

— Odpuszczę! — cicho odpowiedziała Julianka

31

i uśmiechnęła się. Zd ją wszy z twarzy swej pieszczącą ją rękę pocałowała ją.

— No tak, to dobrze! Siadaj że teraz znowu przy mnie, a ja ci opowiadać będę historię świętą, jak Pan Bóg stworzył świat, człowieka i o wszystkim, co potem było... Ja bo, widzisz, kiedyś edukację miałam i wszystkiego po trochu uczyłam się... Mowna byłam, wesoła i dowcipna, ludzie mówili o mnie, że jestem miłą i wykształconą osobą... Gdzie teraz ludzie ci? gdzie?...

Westchnęła.

— Kto by się był spodziewał?

I z wolna, uroczyście, wznosząc często w górę pomarszczony palec i przerywając wątek mowy swej mnóstwem zбочzeń i wspomnień, opowiadała historię świętą dziecku, które z głową na kolanach jej złożoną usypiało niebawem, a spało tak dotąd, aż z dalekiej głębi miasta przyplłynął poważny dźwięk farnego zegara wygłaszającego jedenastą godzinę. Wtedy mała staruszka wstawała i starannie zwijała siatkę swą, a dziecię budziło się i owinięte w starą chustę z sennymi oczami szło do kącika swego, pomiędzy kruszący się piec i ścianę.

W ten sposób żyły ze sobą i wzajem wspierały się dwie te nędze. Po dwóch dopiero czy trzech latach stara sędzina zmieniła nieco zwyczaje swe, rzadziej daleko zaczęła wychodzić na miasto i przestała całkiem uczyć dziecko modlenia się i robót na drutach. Własne też ręce jej wolniej, coraz wolniej poruszały szydełkiem i iglicą, w zamian coraz silniej trzęsła się jej głowa i zmarszczki czoła, coraz ruchliwiej i większą jakby trwogą gnane, falowały w różne kierunki. Z wysileniem nadzwyczajnym wpatrując się we włóczki, aby rozróżnić ich barwy, głębokim i pełnym dziwnych drzeń szeptem mówiła ona do siebie:

— Uciekają już... uciekają... Ot, już i do reszty uciekają...

W istocie, w biały dzień nieraz brała włóczkę żółtą zamiast różowej, a błękitną zamiast zielonej i nie-

32

prędko dostrzegłszy omyłkę swą, pruć robotę, nad którą ostrożnie i jakby lękając się uszkodzić kruchy jakiś przedmiot, końcem palca ocierała łzę z krwistej powieki.

Czasem mówiła do dziecka:

— Zmów pacierz na intencję oczów moich... Panu Bogu miłe modlitwy dziecinne...

Siadywała wciąż wieczorami na skrzynce swej aż do chwili, w której zegar kościelny wybijał jedenastą, lecz nie pracowała tak pilnie jak dotąd, owszem, często bardzo opuszczała ręce na kolana i zza okularów patrząc kędyś daleko, daleko w przestrzeń,

zamyślała się tak bardzo, że nawet nic do siebie nie mówiła, a zmarszczki czoła jej zbiegały się wszystkie w jedno miejsce i nieruchomą chmurą wisiały nad małą, wyschlą twarzą.

Bywało, że po dni kilka nie miewała już mleka i nie chodziła do miasta na obiad. Posyłała wtedy Juliankę do Złotki po dwa obwarzanki. Złotka zamiast dwóch dawała trzy, które potem stara maczała w wodzie, dawała dziecku i sama jadła.

Raz Julianka usłyszała ją szemrzącą:

— Nadchodzi już godzina... ot, i nadchodzi już straszna godzina...

Julianka nie pytała ją, o jakiej mówiła godzinie, bo zajęta była całą zniknięciem dnia tego z małej izdebki łóżka i jednej poduszki, która dotąd na nim leżała. Na miejscu, gdzie stało ono, leżała na ziemi słoma przykryta grubym płótnem, z malutką, sianem wypchaną poduszczyką wezgłowia. Potem zniknęła ze ściany watowana salopka i stoła już pod oknem nie było, a w izdebce została tylko nędzna pościel leżąca na ziemi, wielki, czarny krzyż nad nią i skrzynia pusta, naga, na której mała staruszka siedziała już całkiem beczynną, powiekami strasznie nabrzmiętymi mrugała i wciąż powtarzała:

— Kto by się spodziewał? kto by się kiedy był tego spodziewał?

Pewnego ranka dziewczynka, budząc się w kątku

33

swym o dnia brzasku, usłyszała starą mówiącą do siebie:

— Boże Wszchemogący! dlaczegoś pozwolił mi dożyć dnia dzisiejszego?

Wymówiła to z dziwnym jakimś wybuchem głosu, ale gdy w godzinę potem Julianka widząc przez okno złoty blask słońca wychodziła cichutko z izdebki, siwa głowa nieruchomo już spoczywała na małej poduszce z zamkniętymi oczami. Dzień jesienny szybko przeminął. O zmroku Julianka, po kilkogodzinnym błądzeniu śród ścieżek podwórza i ścian starego gmachu, otworzyła drzwi izdebki, aby, jak zwykle bywało, wsunąć się do niej i usiąść na ziemi przy nogach swej opiekunki. Nagle cofnęła się i stanęła za progiem w postawie osłupiałej. Cicha zazwyczaj izdebka pełną była gwaru, rozmów i grubych śmiechów. Stało w niej kilka sprzętów dziecku nie znanych, a pośrodku, dokoła stołu, na którym stała butelka i czarka cynowa, siedzieli trzej mężczyźni i przy świetle łojowej świecy rzucali wzajem ku sobie brudne, podarte karty. Przy tym palili cygara. Kłęby dymu napełniały niską izdebkę a zza nich, niby jedyny ślad bytności tu małej, siwej staruszki, niby jedyna tu po niej pamiątka, surowym zarysem przebijał się wiszący na ścianie wielki krzyż czarny... Julianka długo stała za progiem nieruchomo. Potem w oczach jej kręcić się zaczęły łzy. Odeszła i z wolna bardzo przekroczywszy bramę stanęła na progu sklepiku Złotki.

— Pani! — odezwała się zdławionym głosem.

— Aha! to ty! a czego chcesz? — zwróciła się ku niej stara Żydówka.

— Gdzie moja pani? — zapytało dziecko.

— Twoja pani?

Złotka zdawała się namyślać czy litować nad czymś. Patrzyła na dziecko i trzęsła głową.

— Twoja pani? — powtórzyła — a kto ją wie, gdzie ona być może! Ot, wzięła w rękę kij i do miasta poszła... Czy ona z tobą nie pożegnała się?

— Orzeszkowa

34

Dziecko nie odpowiedziało. Po chwili dopiero zapytało:

— Czy ona tu nie powróci?

— A czego ona ma tu powracać? — odparła Złotka — nie płaciła za kwatere, to i kazali jej wynieść się... a na jej miejsce przyjęli tych trzech lokajów bez służby, co to w karty tylko grają i wódkę piją... Żeby ja choć z nich zarobek miała... ale gdzie tam! nabiorą na kredyt, a potem nie zapłacą...

Mruczałyby tak dłużej, ale przerwał jej krzyk rozlegający się na progu. Dziewczynka, nieruchoma dotąd, zatopiła obie ręce w gęstwinie swych włosów, targała je i przeraźliwie krzyząc płakała ogromnym strumieniem łez... Daremnie Złotka dobrotliwie uspokoić ją chciała głaskaniem i obwarzankiem. Odepchnęła gładząc ją dłoń, cisnęła o ziemię obwarzanek i pobiegła w ciemny, wielki dziedziniec, gdzie długo jeszcze w noc słyhać było przycichające stopniowo łkania jej i krzyki. Wychodziły one z najciemniejszego, najgłębszego kąta dziedzińca, kędy żadna gwiazda, żadne światelko niebieskie lub ziemskie nie oświecało drobnej postaci dziecinnej, lgnącej ku zimnej ścianie rozplakaną twarzą, po raz trzeci już w krótkim swym życiu oddanej w opiekę mokrej ziemi, dżdżystemu niebu, wiatrom zimnym, wiejącym w nocnych ciemnościach.

Odtąd można było widzieć ją wychodzącą każdego ranka z głębokiej sieni starego gmachu. Sypiała tam pomiędzy rozrzuconymi wśród śmiecia i pajęczyn szczątkami starych sprzętów. Wynałazła sobie w najgłębszym kątku odwieczny fotel bez nóg i pokrycia, z wysokimi tylko poręczami i trochę pilści, w której gnieździły się myszy. Gdy zimno było, wciskała się pomiędzy spróchniałe poręcze i leżała wśród nich ze skurczonymi nogami jak w ciasnej kolebce. Spod niej wyskakiwały myszy i przebiegłszy po ciele jej puszczały się dokoła fotelu w harce pełne chrupań, pisków i szelestów. Nie lękała się ich jednak, owszem, weselej jej było, gdy wśród grobowej ciszy panującej w sta-

35

rych murach szmer ich usłyszała. Wychylała się nawet z poręczy swej dziwnej kołyski i wyteżony wzrok zapuszczając w grube mroki spostrzegła czasem, jak małe, zwinne stworzenia ciągnęły z chrzęstem białawe szmaty papieru albo ze stukiem toczyły kość nagą. W cieplejsze i jaśniejsze noce nie wtłaczała się w poręcze starego fotela, lecz kładła się po prostu na ziemi wśród najszerszej smugi księżycowego światła. Obok niej leżały rozsypane tu i ówdzie szczątki pięknych może niegdyś rzeźb i posągów. Zajmowały one ją nierównie więcej jeszcze jak myszy. Oglądała często ze stron wszystkich i rękami gładziła kamienną głowę pozbawioną nosa a białą przy świetle księżyca i wsparta na łokciu, wpatrywała się póty w nieruchome jej oczy, aż z głową opartą za złamanej ręce lub ostrym brzegu Skruszonej jej piersi — usypiała.

Przez czas pewien codziennie z rana ujrząwszy hasającą po wielkim podwórzu gromadę dzieci rzucała się ku niej z wyciągniętymi ramionami i wybuchami srebrzystego śmiechu. Podobną wtedy była do ptaka, który rozwija skrzydła i z głośnym szczebiotem goni lecące stado pokrewnych mu ptaków. Jej przecież szczebiot trwał zazwyczaj krótko i ramiona, swawolnie zrazu trzepoczące, opadały na

kształt skaleczonych nagle skrzydeł ptaka.

W gromadzie dzieci było kilku srogich jej nieprzyjaciół i daremnie córka praczki, Anka, z płowymi, rozpuszczonymi włosami, rozciągając nad nią chciała opiekę swoją, daremnie osłaniając ją sobą z rozpostartymi ramionami wołała, że ona chce bawić się z nią w konia i pozwala jej znosić kamienie i piasek na dom wspólnymi siłami wnoszony pod zrębem starej studni; brat jej, Antek, krzyczał z sił całych, że on nie myśli przepędzać czasu w towarzystwie podrzutka, a dziewczyna od krawca, z długimi, nagimi nogami i w brudnej chustce na roztarganych włosach, oświadczała, że jeżeli podrzutek przyjętym do zabawy zostanie, ona tu nigdy więcej nie przyjdzie, pójdzie bawić się do innych dzieci, na inne podwórze,

36

i tam swoją lalkę zanieśie. Lalka ta była wprawdzie niczym więcej jak wielkim i dość potwornym bałwanem, który ojciec krawiec, ku pociesze córki swej uwinął ze szmat pstrych i skrawek jedwabnych materii; zawsze jednak towarzystwo całe przerażało się niepomiernie groźbą jej właścicielki, bo ten to właśnie potwór zamieszkiwać miał dom wnoszony przy studni i do niego to z wizytą jechały dwie dziewczynki owiązane uprzężą ze sznurów i popędzane z hałasem przez trzech chłopców uzbrojonych w bicze. Co do Anki, ta najbardziej przerażała się groźbą wiekuistego utracenia lalki-potwora, bo po matce i małym braciszku kochała ją najgoręcej na świecie.

Julianka tedy traciła jedyną swą obronicielkę, która zasmucona trochę, oddalała się od niej, a wtedy dzieci inne otaczały ją ścisłym kołem, uderzały ją, szczypały i z przeraźliwą wrzawą śmiechów i słów obelżywych tak ją tłoczyły, że wyparta spośród nich — odchodziła ona samotnie w inną stronę podwórza. Zrazu odchodziła płacząc, lecz potem nie płakała już nigdy, tylko oczy jej iskrzyły się, a drobne usta szeptały coś cicho i gwałtownie. Z czasem zaprzestała nawet całkiem prób bawienia się z dziećmi, daremnych i pozostawiających jej tylko na ciele bolesne sińce, a nawet ile razy przebywała dziedziniec, obchodziła swawolną gromadę, jak mogła najbardziej z daleka, skośne tylko i ponure rzucając na nią wejrzenia. Nie ochroniło jej to przecież od prześladowań. Antek i rówieśnicy jego spostrzegłszy ją biegli ku niej udając, że chcą dopędzić ją i wybić. W zimie rzucali na nią gałki ze śniegu. Toteż usiłowała ona ile możliwości ująć ich wzroku i dlatego przywykła chodzić, przesuwać się raczej tuż pod ścianami domostw, gdzie latem przysłaniały ją nieco gałęzie krzewów i wysokie chwasty, a w zimie gromadzące się tam zasy pył śniegowe. Przesunawszy się tak przez dziedziniec, wchodziła czasem na szerokie, lecz próchniejące wschody starej budowy. Jeść chciała, szukała pożywienia. Wsuwała się do sali ogromnej, z grubą podłogą i su-

37

fitem malowanym w pociemniałe od starości wianki i arabeski. Tam z dwóch stron wielkiego magła stały dwie kobiety odpychające, to znowu ku sobie przyciągające szuflady pełne kamieni, które tocząc się ciężko na grubych wałkach huczały i turkotały monotonnie i ponuro. Pod ścianami, przy stołach, robotnice inne pilnie składały wymaglowaną już bieliznę i napełniały nią kosze, które potem wносиły ustępując miejsca nowoprzybywającym. Otyła i dumna właścicielka magła wchodziła często do pracowni swej, naglądała roboty i odbierała należne sobie zapłaty. Czyniąc

to wszystko z powagą wielką, szeleszcząc sztywną suknią i wspaniale udzielając robotnicom rad swych, pochwał lub nagan, spostrzegła Juliankę siedzącą przy drzwiach i z jednostajną zawsze ciekawością przypatrującą się suwanym wciąż szufladom magła. Jeżeli była w wesołym humorze, zbliżała się do dziecka, pulchną dłonią dotykała jego włosów i rozkazywała służącej przynosić dlań chleba i sera. Niekiedy nawet obdarzała dziewczynkę wydobytym z kieszeni piernikiem. Nie zawsze jednak bywała w dobrym humorze. Czasem, niezadowolona z zarobku lub na robotnice rozgniewana, przechadzała się po sali sapiąc głośno, gderząc i łajac. Wtedy siedząca u drzwi Julianka niecierpliwiła ją. Rozkazywała jej odejść natychmiast. — Cóż to? — mówiła — czy ja cię tu jedna żywić mam i przyodziewać? Kiedy cię ta żebraczka spod bramy wzięła i lichy wie na co tu przyniosła, wszyscy przyrzekali składać się na ciebie... A teraz co? do mnie tylko chodzisz a chodzisz! Czy ja magnatka jaka? Jużci pewno, że wyżej stoję od całego tałajstwa tego, co cię teraz na kark mój spycha, ale magnatka nie jestem i siostrzenice mam, które edukować muszę... Ot, i krowa mi zdechła przeszłego tygodnia... Idź sobie... nic nie dostaniesz!...

Julianka wstawała i wychodziła. Wychodziła ze starego gmachu i szła w tę stronę podwórza, w której ochryple brzęczał stary fortepianik. Stawała za ma-

łym niskim okienkiem, nad którym zwieszały się gałęzie starej lipy, i wspinając się na palce zaglądała do izby małej, w której przy fortepianie z wążiuchną klawiaturą i politurą spelzłą siadywał wysoki, bardzo chudy mężczyzna, z długą, bladą twarzą, grał i kaszłał.

Był to niegdyś kandydat na artystę, po świecie z koncertami jeżdżący, potem metr muzyki wzięty, teraz suchotnik dający na mieście kilka lekcji w tygodniu, po złotówce za lekcję. Nie był jeszcze starym, ale niezmiernie wychudzonym, a łagodne oczy jego paliły się blaskiem gorączki. Siadywał przy starym fortepianiku swym godzinami całymi i grał, czasem też próbował nucić, ale wnet kaszleć zaczynał, a tony wychodzące spod długich, kościstych jego palców stawały się tak cichymi, że przechodziły w zaledwie dosłyszalne brzęczenie. Ujrawszy głowę Ju-lianki zaglądającą mu w okno muzyk uśmiechał się i mówił:

— Przyszłaś? co? przyszłaś znowu?

— Przyszłam — odpowiadało dziecko.

— I cóż powiesz? — zapytywał.

Julianka nie miała snadź nic do powiedzenia, bo milcząc chwytając nisko zwisające gałęzie lip i z ich pomocą podniósłszy się "nad ziemię, siadała na otwartym oknie.

— Jak ptaszyna! — mówił muzyk uśmiechając się ciągle.

I grać zaczynał dla ptaszyny. Nie grał wtedy nic smutnego, owszem, skoczne polki, wesołe, choć tęskne walce, a nawet eleganckie kontredanse tłumnymi tonami przepelniały izdebkę i ulatywały w dziedziniec. Julianka słuchała i czasem zaczynała przyspiewywać w takt muzyki. Cienki głosik jej mieszał się z brzęczącymi dźwiękami fortepianiku. Muzyk zaczynał śmiać się.

— Śpiewaj! — wołał ochryłym szeptem — śpiewaj! śpiewaj!

Julianka śpiewała z coraz większym, zapalem, aż

głowę podnosiła i czarnymi oczami patrzyła w górę na niebo błękitniejące zza gałęzi drzewa. Nagle przestawała śpiewać i jękliwie mówiła:

— Jeść chcę!

Wtedy muzyk wstawał od fortepianu i dawał dziecku garstkę pastylek od kaszlu. Nieraz też wynajdował pomiędzy stosami starych, opylonych nut kawałek bułki szczerstwiej lub zimnej pieczeni. Dziecko chrupało pastylki lub chciwie pożerało mięso, a wysoki, chudy muzyk stał przy nim u otwartego okna. Oczy jego, rozpalone gorączką, przybierały wtedy wyraz przepaścistej zadumy. O czym tak myślał, w chwili gdy wynędziała, biała ręka jego machinalnie przesuwiała w palcach gęste kędziory dziecka? O zgasłych na zawsze, świetnych ambicjach niedawnej młodości? o wesołych przyjaciółach, z którymi razem roił bogactwo i sławę? o pięknej dziewczynie, którą kochał kiedy? o tym, że nie miał nigdy żony ani dzieci?

O samotności swej, biedzie, śmierci bliskiej i grobie samotnym, nad którym zapłaczę chyba obłok dżdżysty, a nie wyrosnie żaden liść śnionych niegdyś wawrzynów? Co pewna, to że gdy zamyślał się w ten sposób, kaszleć zaczynał coraz silniej i zbudzony tym z zadumy mówił Juliance, aby zeszła z okna, bo on je zamknąć musi. Zamykał okno przed drażniącymi mu pierś powiewami, a dziecko odchodziło w inną stronę podwórza, tam najczęściej, gdzie śród ciemnej, niskiej ściany jaśniały dwa okienka czyste, przejrzyste, ozdobione trochę zieleni rosnącej w glinianych wazonach. Za oknami tymi była izba obszerna, biała

1 widna, a w niej huczał warsztat tokarski i wesoło trzaskało rozpalone ognisko. Przy warsztacie z okręcającym się szybko kołem stał mężczyzna silny i siwiejący, czerstwy na twarzy i w białym fartuchu. Przy oknie siadywało szyjąc dziewczę młodziutkie, z rumianymi policzkami i złotą kosą spuszczoną na pstrą chustkę skrzyżowaną u piersi. Nad warsztatem wisiały ramki i ramy puste, rozmaitych kształtów i rozmiarów, po kątach stały

40

nogi do sprzętów różnych i laski do parasolów. Obok izby była malutka kuchenka, przez której otwarte drzwi widać i słycać było pałący się ogień. Różowy blask ognia padał na przeciwną ścianę izby, gdzie nad łóżem szerokim połyskiwały złożonym papierem oklejone ramki świętych obrazków.

Ojciec toczył, od chwili do chwili ocierając sobie fartuchem pot z czoła i twarzy, córka szyła, a z kuchenki dochodziły odgłosy rozmów prowadzonych przez gruby głos kobiecy i cienkie głosiki dzieci.

Gdy Julianka wdrapywała się na ławkę u ściany stojącą i siadała przed oknem mieszkania tego, dziewczyna ze złotą kosą podnosiła głowę i wołała:

— Tatuś! tatuś! sierotka przyszła!

Mieszkanie tokarza było jedynym miejscem, w którym nie nazywano jej podrzutkiem. Odpowiedź barczystego, szpakowatego tatusia przygłuszana była turkotem tokarni, ale z kuchenki wychodziła kobieta z tłustą, rumianą twarzą, z dzieckiem jednym na ręku, a drugim czepiającym się grubej jej spódnicy.

— Boże, zlituj się — mówiła — a toż biedactwo to tuła się i tuła wciąż jak ten, nie przymierzając, pies bezpański! Kachna, skocz no po miseczkę mleka!

Kachna zeskakiwała ze stołka i przynosiła Juliance miseczkę kwaśnego mleka, w

zimie zaś podawała jej przez otwarty lufcik okna kawałek chleba i sera. Julianka zjadała, ale potem nie odchodziła zaraz i bądź to w lecie przez liście stojących na oknie wazonów, bądź w zimie przez czystą, sporą szybę patrzyła długo, długo w głąb mieszkania. Opierała czasem łokieć na wystającej desce ściany, a twarz na dłoni i z przechyloną nieco głową — patrzyła. Nie było tam jednak widoków mogących zaciekawić ją lub zachwycić. Kręcącemu się kołu tokarni i obrazkom na ścianach przypatrzyła się była dawno i nie na nie wyłącznie patrzyła; być może chyba, że spokój i czystość, i skromny dostatek panujące w mieszkaniu tokarza dawały od pocznienie dziecięcym oczom jej, przyzwyczajonym do widoków nędzy, kłótni i smutku, i że nie zdając

41

sobie sprawy z tego, co czuła, pragnęła ona jak najwięcej przedłużyć chwilę tego spoczynku. Jednak i inne myśli różne snuć się musiały wtedy w małej tej głowie, bo raz oz wała się głośno:

— Ja bym chciała, żeby mię ten ptak wielki rzucił do pana tokarza i do pani tokarzowej zamiast pod bramę.

Stojąca w pobliżu okna pani tokarzowa zaśmiała się głośno i grubo.

— A bój się Boga, dziewczyno! Już nam i bez ciebie ptak ten tyle dzieciaków naprzynosił, że nie wiadomo, co z nimi i robić!

Mówiąc to uczyniła ruch taki, jakby trzymane w ramionach dziecko wyrzucić chciała za okno, a potem przycisnęła je do piersi i głośno pocałowała.

Julianka tymczasem wstrząsała głową.

— To nie ptak rzucił mię tam pod bramę... — rzekła — ja tylko tak sobie powiedziałam, ale wiem, że to nie ptak...

— A któż by taki? któż by to taki zrobił? — zagadnęła kobieta z żartem, lecz i zmieszaniem pewnym.

— Matka! — krótko i obojętnie rzekła Julianka.

Wiedziała już, że miała matkę, tak jak i wszystkie inne dzieci, i że ona to, a nie ptak żaden rzuciła ją pod bramę. Powiedziała jej o tym gruba i wiecznie śmiejąca się sługa właścicielki maglu, a gdy Julianka usłyszawszy to zapytała, czy i ojca miała także, tak jak wszystkie inne dzieci, dziewczka odpowiedziała jej chichocząc:

— No, a jakże!

— A gdzie mój ojciec? — zapytało dziecko.

Dziewka od śmiechu wzięła się za boki.

— Goń wiatr w polu! — zawołała i pobiegła maglować, ale Julianka zapamiętała jej odpowiedź i ciągnąc rozmowę swą z żoną tokarza zauważyła:

— I ojca ja miałam.

— A gdzie twój ojciec? — zaszcebiotało kilkolet-nie dziecko tokarza.

42

— Goń wiatr w polu! — z powagą wygłaszanej sentencji odparła dziewczynka. Od chwili, w której po raz pierwszy usłyszała słowa te, w Wyobraźni jej powstał obraz szczególny.

0 polu nie miała pojęcia żadnego, ale wyobrażała sobie człowieka jakiegoś latającego w powietrzu po wielkim podwórzu. W dniach szczególnie silnych i

zimnych wichrów obraz ten tak stawał przed jej oczami, że wpatrywała się przez godziny całe w szumiącą przestrzeń i myślała, że tuż, tuż latający człowiek stanie przy niej i weźmie ją w ramiona, tak jak to czynił często z dziećmi swymi tokarz, a nawet, w wyjątkowych chwilach trzeźwości i czułości, pijak kucharz.

Tokarz naprawiając coś u warsztatu swego usłyszał to, co Julianka rtiowała o matce i ojcu, i żywo zwrócił się ku izbie.

— A Chryste Panie! — zawołał — kobiety! wesprzyjcie czym to dziecko! dajcie jej odzież jaką... wszak to w łachmanach całe, nakarmcie i przytulcie choćby przez godzinę jaką! A sądu bożego nie bał się łotrzyśko jakieś...

Resztę mowy jego zagłuszył turkot koła, które obracać się poczęło niezmiernie szybko, stukając, skacząc i warcząc, w gniewie jakby i oburzeniu nadzwyczajnym.

— Chodź do nas! — rzekła tokarzowa.

Julianka nie dała sobie tego dwa razy powtarzać. Wbiegła do białej, cichej, ciepłej izby i pół dnia przepędziła w rozkoszach nieopisanych. Noc przespała z Kachną, na ziemi wprawdzie, ale z siennikiem pod bokami i poduszką pod głową; wszyscy tam byli dla niej dobrzy, dali jej spódniczkę całą i mleka na śniadanie, ale gdy odchodziła, nikt nie powiedział jej: „Zostań!” Nie dziw! Tokarzostwu wielki ptak ponosił dzieci obfitość. Oprócz trojga będących w domu, dwóch chłopców terminowało w rzemiośle... szóste urodzić się miało... a tokarz choć najpracowitszym był

1 najporządniejszym spomiędzy mieszkańców podwó-
43

rza, fakt już sam; że zamieszkał rudere tę, świadczył

0 tym, iż nie był bogatym...

W ten sposób chodząc od okna do okna i od jednego do drugiego z ubogich mieszkań — żyła. Najgorsza sprawa bywała dla niej, gdy nadchodziły zimowe noce z silnymi mrozami. Wtedy kostniała od chłodu w Wielkiej sieni starego gmachu i tak trzęsła się cała, że aż jej zęby szczękały i we wnętrzościach boleć coś zaczynało okropnie.

Toteż szła wtedy zawsze szukać sobie schronienia lepszego. Czasem wsuwała się do wielkiej sali na górze, zanim ją jeszcze zamknięto,

1 noc przepędzała pod magłem; to znowu stukiała lekko do okna chorego muzyka, a on kaszląc i uśmiechając się otwierał drzwi, wskazywał jej kątek przy źle ogrzanym piecu i dawał kilka pastylków. Niekiedy wkradała - się też do ciemnej sionki, za którą było mieszkanie Żydówki Złotki i jej rodziny, albo też z wieczoru jeszcze uczuwszy, że mróz się wzmaga, Kachna od tokarza wybiegała na dziedziniec i wołała:

— Julianka! Julianka! a pójdz no do nas na noc! Tatuś i matula żałują cię, abys nie zmarzła!

Raz przecież w jeden z mroźnych strasznie wieczorów takich Julianka znalazła się w kłopotach srogim. Magiel zamknięto tak wcześnie, że nie spostrzegła tego; do okna muzyka stukiała, ale nie usłyszał snadź, spał może albo sił nie miał wstać z łóżka, aby je otworzyć; okna tokarza były zbyt wysokie, aby do nich zastukać mogła, a ławeczkę, po której dostawała się do nich, odjęto z powodu obfitych śniegów.

Chodziła od domostwa do domostwa brnąc w śniegu, kurcząc się, trzęsąc i aż jęcząc z zimna. Przyszła na koniec pod drzwi oficynki, w której mieszkała praczka, i

zapominając już nawet i o Jakubie, i o Antku, zastukała. Zastukała, jak można było najsilniej, zatrzęsła potem kłamką.

— Kto tam? — zapytała z wewnątrz praczka.

Dziecko odpowiedziało:

— Julianka!

44

— Panie litościwy! a toż dzieciak ten na dworze w mróz taki siarczysty! Ani chybi, trup z niej jutro będzie. Anka, otwórz no!

Odsunęła się zasuwka z wewnątrz i otworzyły się drzwi ciemnej izby. Z kąta ozwał się zaspiany i bur-kliwy głos Antka:

— Puszczajcie, matulu, podrzutka do chaty! puszczajcie! a jak ten przyjdzie, to co będzie? a?

Praczką nic nie odpowiedziała, ale Anka zakrzy-czała z gniewem:

— Już ty, Antek, milcz tylko! oczy stul i śpij! jeżeli ojciec nadejdzie, to ja ją przed nim schowam!

— Ciekawym gdzie? Za miotłę nie wlezie już! wielka zrobiła się!

Anka nie odpowiadając nic wzięła dziecko za rękę i przyprowadziła ją do siennika swego:

— No, połóż się, a ja przy tobie!

Przez chwilę chicho było w izbie, potem wśród ciemności ozwał się głos Anki:

— Matulu!

— No, a czego tam jeszcze!

— Ja wszystką bieliznę brudną zbiorę i przy sienniku swoim położę, a jak ojciec przyjdzie, to ją na Juliankę rzucę, żeby nie zobaczył.

Praczką mruknęła coś niewyraźnie, Anka chodziła po izbie zbierając i znosząc ku posłaniu swemu bieliznę, aby mieć ją w pogotowiu, gdy chwila niebezpieczeństwa nadejdzie — potem usnęli wszyscy.

Jakub nie nadszedł tej nocy. Z rana dwie dziewczynki, które obok siebie przespały, obudziły się jednocześnie i usiadły na sienniku. Anka o głowę wyższa była od Julianki; płowe włosy jej, rozpuszczone jak zwykle, opadały na ramiona sieroty i mieszały się z kruczymi jej kędziorami. Blade były obie i w grubych koszulach. Przy białym świetle dnia śnieżystego spojrzały na siebie i pocałowały się. W godzinę potem Julianka wychodziła z mieszkania praczki z dwoma pieczonymi kartoflami w rękach, ale przebiegający obok niej Antek wyrwał jej z ręki kartofle i rzu-

45

cił daleko, w śnieg. Dziewczynka pięści ścisnęła i wstrząsając nimi w kierunku chłopca, który był już daleko, szeptała coś gwałtownie. Potem poszła szukać swoich kartofli.

Zdarzały się dni, w których ludzie więcej zajęci byli jak zwykle lub troskami napastowani, chorzy lub w złych humorach, wtedy Julianka nie mogła zwrócić na siebie ich uwagi albo umiając już z twarzy odgadywać usposobienia ludzkie lękała się nasuwać się im na oczy. W dniach takich szła do Żydówki Złotki i milcząc siadała na progu sklepiku. Złotka była dla niej zawsze jednostajna, niezbyt czuła, litościwa jednak. Dawała jej bułkę lub obwarzanek, a jeśli zimno było, wołała ją do sklepiku i uczyła, jak ma rozgrzewać zziębłe nogi nad garnkiem pełnym żarzących się węgli,

nad którym ona sama rozgrzewała stopy swe w sinych pończochach.

Raz nad wieczór, siedząc tak w kątku sklepiku, Julianka zobaczyła wchodzącego Antka z dwoma rówieśnikami. Chłopcy mieli po lat dwanaście i trzynaście, wieczoru tego byli szczególnie weseli i głowy podnosili wysoko. Jeden z nich szczególnie, obdarty i prawie bosy, rozprawiał głośno, pięściami trącał innych i wyglądał w gromadce na przywódcę i tryumfatora. On też zbliżył się do stołu zastawionego butelkami i nędznymi przekąskami i zawołał z butą:

— Cipa! wódki! po pół kruczka na każdego!

Złotki nie było w sklepiku, tylko co wyszła. Za stołem siedząca wnuczka jej, czternastoletnia dziewczyna z głupowatą twarzą, podniosła się i postawiła przed chłopcami trzy czarki napełnione trunkiem. Wypili. Krwisty szkarłat buchnął im zrazu do twarzy, Antek zakaszał się i spluć zaczął.

— Jeszcze po pół kruczka! — zawołał przywódca rzucając na stół srebrną dwuzłotówkę.

— Ja nie chcę — oparł się Antek — matka zgryzie się...

— Pij! — zawołali dwaj inni.

46

. _____ I ma^m^i



Wypili znowu, zachodząc się od śmiechu. Wypiwszy krzywili się strasznie i spluwali, ale był to snadź nowy rodzaj swawoli, który bawił ich i w dumę przy tym wbijał.

— Cipa! jeszcze po pół!...

Wychodzili ze sklepiku chwiejąc się i niezrozumiale już bełkocąc. W tej samej chwili wróciła stara Złotka, a spojrzawszy na wychodzących chłopców krzyknęła na wnuczkę:

— A po co ty dzieciom wódkę dawała! Czy ty nie widzisz, że ja dzieciom nigdy nie daję i łaję ich, kiedy proszą! Głupia dziewczyna! na ciebie z niczym spuścić się nie można!

— Aj! aj! — odmruknęła Cipa — a co z tego za korzyść? Kiedy my im nie damy, to oni pójdą do tego szynku, co na rogu ulicy, i dostaną sobie! Niech my lepiej zarobim!

Niebawem Julianka wyszła ze sklepiku. Wychodząc na dziedziniec zobaczyła kogoś leżącego na ziemi pod bramą. Zbliżyła się i poznała Antka. Pierwszym wrażeniem jej była trwoga, jakiej zawsze wobec niego doświadczała. Cofnęła się nieco, stanęła jednak i patrzyła. Antek upojony wódką spał snem kamiennym z rozchyłoną u piersi koszulą, obłożonym spencer-kiem, z nogami i głową grzęznącymi w mokrej ziemi.

— Ot, i upił się! — szepnęła Julianka i stanęła tuż nad chłopcem. Pojmowała, że w stanie tym niebezpiecznym dla niej nie był. v

Po chwili szepnęła:

— Ot, teraz to bym go mogła wytłuc!... wytłuc!...

I zaśmiała się aż głośno na myśl o zemście. Ścisnęła obie pięści i schylona nad śpiącym chłopcem szeptała:

— Zobaczysz ty, jak tobie dobrze będzie, kiedy ja ciebie będę tłuc, tak jak ty mię

zawsze tłuczesz... gonisz ty mnie zawsze jak psa jakiegoś i od podrzutków wyzywasz... przez ciebie ja wiele nacierpiałam się... siniaków ty mnie dużo narobiłeś... narobięz ja ci ich teraz... będę ciebie i szczypać, i drapać, i tłuc...
47

Rumieniła się szepcząc tak, oczy jej błyszczały w zmroku i usta drżały. Ścisnęła wciąż drobne pięście i już, już opuścić je miała na nieruchomo leżącego chłopca, gdy nagle zatrzymała się... Znać było, że myśl jakaś przysła jej do głowy i że walczyła z sobą.

— Opuść! — szepnęła — stara pani prosiła mnie: „Opuść!”

Milczała i myślała znowu:

„Kiedy powiedziałam starej pani: «Odpuszczę!*, to trzeba opuścić!”

A potem znowu:

„Oj, tak by dobrze było teraz jego wytłuc!”

Pięstki jej jednak rozchyłały się z wolna. Westchnęła.

— No — rzekła — odpuszczę! może zobaczę jeszcze kiedy starą panią, to powiem jej: „Opuściłam i nie wytłukłam Antka!” Ucieszy się!

Schyliła nieco głowę, palec przytknęła do ust i długo myślała nad czymś, myślała...

Potem z determinacją nagle powziętą rzekła:

— Ot, jeszcze i pacierz za niego zmówię, żeby nawrócił się i matki nie gryzł...

Uklęka i dziwnie by widzieć było, jak w zmroku porzucone dziecko to klęczało nad dzieckiem pijanym i ze splecionymi rękami półgłosem mówiło:

— „Ojczy nasz, któryś jest w niebie, przyjdź królestwo Twoje!...”

. W porze owej Julianka miała już lat siedem, ale małą była na wiek swój: powoli rosła. Rosły tylko szybko bardzo włosy jej, kruczej czarności, i wiły się w tysiączne pierścienie ze wszech stron ocieniając malutką, chudą jej twarz z bladymi ustami i ogromnymi oczami, czarnymi jak węgle. Miewała już ona wtedy na sobie stare spodniczki, długie do ziemi prawie, nie osłaniające jednak stóp nagich i wiecznie pokaleczonych, i kaftaniki luźne, strasznie stare i spłowiałe, które rozchylając się z przodu ukazywały podartą koszulę. Wyglądała brudno i nędznie, ale ogromne włosy jej i przesłoniczne oczy patrzące na świat z wyrazem

48

szczególnego w tym wieku zamyślenia zwracały na nią często uwagę ludzi, którzy jej nie znali. Nieraz widząc ją siedzącą na progu sklepiku przybywający doń zapytywali Złotkę:

— Czyje to dziecko?

Złotka flegmatycznie odpowiadała:

— Wszystkich!

— Jak to wszystkich? — pytano.

— Nu, niczyje!

— Wszystkich i niczyje! Jakże to być może! Co to znaczy?

Na wklęsłych wargach starej Żydówki osiadał szczególny uśmiech, przebiegły i trochę smutny. Trzęsła głową i z powagą odpowiadała:

— Kiedy ono niczyje jest, to powinno być wszystkich, nu, ale kiedy ono jest wszystkich, to tak, jakby było niczyje!

Pytający wzruszali ramionami nie rozumiejąc zagadkowych słów Żydówki, ale

głupowata Cipa z pogardliwym gestem tłumaczyła im:

— Podrzutek! znajda!

Julianka rozmów tych o niej słuchała zawsze z wielką uwagą, a ludzie pytający o nią usłyszawszy tłumaczenie Cipy wstrząsali głową w znak, że teraz już zrozumieli wszystko, i odchodzili.

Raz jednak...

Było to w pogodny, lecz zimny dzień jesienny. Do sklepiku weszła kobieta średniego wzrostu, szczupła i zgrabna, w sukiennym nieświeżym okryciu i starym kapelusiku przyozdobionym w kwiat blady i zgnieciony. Miała ona wielkie, błękitne oczy, drobne usta i postarzałe czoło, nad którym młodo wiły się bardzo jasne włosy.

Ujrawszy ją wchodzącą Złotka zawołała uprzejmie:

— A, nowa lokatorka nasza! Daj Boże szczęśliwie! daj Boże szczęśliwie w nowym mieszkaniu przeżyć!

49

— Dziękuję, moja kupcowo! — odpowiedziała kobieta i wnet potem poprosiła o parę funtów cukru, trochę herbaty i niewielką ilość nafty do zapalania lampy.

Żydówka, ważąc i mierząc żądane przedmioty, według zwyczaju swego rozpoczęła z przybyłą gawęd-kę.

— Panna na długo do nas? — zapytała.

— Dopóki Bóg pozwoli, chciałabym tu mieszkać jak najdłużej.

— A dostała już panna lekcje?

— Dostałam parę. Jednak moja kupcowo... gdybyś się wypadkiem dowiedziała o kim, kto by potrzebował...

— Wiem, wiem... na co mnie panna dwa razy powtarza... już ja nie zapomnę... A meble te, co ja do najęcia nastęrczyłam, czy podobały się pannie?

— Dobrze, bardzo dobrze; mnie lepszych nie potrzeba...:

— Nu, ale co ja pannie powiem! Meble najmować to zły interes... dobrze by było zapłacić za nie od razu i kupić!

— Zapewne, moja kupcowo, ja to dobrze rozumiem, ale skądże wezmę... Później kiedy może będę mogła...

— Daj Boże! ja pannie dobrze życzę, tylko nie spo-, dziewam się, żeby tak zaraz dużo lekcji było... U nas w mieście strach co guwernantek jest...

Szczupła kobieta ze zwiędłym czołem i jasnymi włosy głos miała cichy i mile wpadający w ucho. Rozmawiając z Żydówką oglądała się wciąż i przelotne spojrzenia rzucała na siedzącą u progu Juliankę. Przy tym oczy jej mglić się zaczęły szczególnym zmieszaniem.

— Czyje to dziecko? — zapytała ciszej jeszcze jak zwykle.

Złotka powtórzyła zwykłą swą odpowiedź:

— Wszystkich.

— Wszystkich?

4 — Orzeszkowa

— Nu, niczyje.

Cipa lejąca naftę w małe, blaszane naczynie wmieszała się do rozmowy:

— To podrzutek jest! Znajda!

— Podrzutek! — zawołała, krzyknęła prawie kobieta i rumieniec oblał twarz jej

aż po lniane włosy. Powściągnęła się jednak i dość obojętnie zapytała:

— Dawnoż znaleziono dziecko to? Nie pamięta kupcowa?

— Czemu ja mam nie pamiętać... Jego znaleźli akuratnie w tym samym roku i miesiącu, kiedy ja wnuczkę moją za mąż wydałam... nu, ona już siedem lat za mężem jest... to to dziecko siedem lat temu znaleźli... jesienną porą... z samego ranka...

Kobieta brała z rąk Cipy naczynie z naftą. Wydawała się zupełnie już spokojną, tylko ręka jej trochę drżała.

— Któż to je taki znalazł? — zapytała.

— Ot, żebraczka jedna. Ona już nie żyje... tu na tym dziedzińcu mieszkała i tu umarła... ,

— A jak dziecku temu na imię?

— Julianka.

— Czemuż dali mu imię to, a nie inne?

— Nu, ta żebraczka, co ją znalazła i na dziedziniec przyniosła, nazywała się Julianna. Ona ją do kościoła nosiła, żeby ją ochrzcieli, i prosiła, żeby jej takie same imię dać...

Kobieta trzymała już w rękach wszystko, czego żądała: herbatę, cukier i naftę. Nie odchodziła jednak, lecz dość obojętnie zapytała jeszcze:

— A któż nią opiekuje się?

— A kto by tu nią opiekował się? Tu wszyscy ludzie niebogaci i swoje dzieci mają... Ot, tak żyje sobie...

Kobieta patrzyła nieruchomo na różnobarwne paczki cygar papierosów ułożone pod przeciwległą ścianą, potem ukloniła się Złotce i odeszła. Przystępując

51

próg nie spojrziała na Juliankę, która też nie zwróciła na nią żadnej uwagi, bo i przywykła do słyszenia podobnych o sobie rozmów, i zajęta była bardzo okrywaniem dziurawą spódniczką stóp swych zsiniałych od chłodu.

W godzinę potem Julianka wchodząc na dziedziniec zobaczyła gromadkę dzieci stojącą naprzeciw starego gmachu i przypatrującą się czemuś z podniesionymi głowami i pootwieranymi ustami. Stanęła z daleka za dziećmi, podniosła też głowę i patrzeć zaczęła. Wkrótce też i jej usta otworzyły się, a oczy aż zaśmiały się od zachwycenia wielkiego. Zobaczyła, że na wysokim piętze gmachu, wyżej jeszcze od miejsca, w którym znajdował się magiel, w pusty wprzód otwór wprawiono okno. Okno to, o drewnianych, nie pobielonych i nie pomalowanych ramach, otwarte było teraz, a w nim powiewała biała sztora w zęby wycięta i wisiała klatka z kanarkiem. Szтора ta, a więcej daleko żółty ptaszek, którego śpiew aż na dziedziniec dolatywał, obudzały zajęcie małej gromadki. Julianka patrzyła tak długo, że inne dzieci rozbiegły się, a ona stała jeszcze. Wtedy w oknie otwartym ukazała się ta sama kobieta, która przed godziną była w sklepiku. Wychyliła się nieco i ręką uczyniła ku Juliance gest przyzywający. Dziecko nie zrozumiało zrazu, że gest ten zwrócony jest ku niemu, ale kobieta skinęła ręką energiczniej, z pewną nawet niecierpliwością, przy tym widać było, że patrzyła na nie wyteżonym wzrokiem. Julianka zerwała się z miejsca i pobiegła z uciechą wielką, bo zostać przywołaną przez kogoś, było to w życiu jej rzadkim i wielce szczęśliwym wydarzeniem.

Stary gmach znała najdokładniej, idąc więc po próchniejących schodach minęła salę z

maglem i dosięgła piętra domu całkiem nie zamieszkanego, gdzie przeszedłszy kilka pustych całkiem pokoi, bez okien ni drzwi, stanęła przed nadpróchniałymi i nieszczelnie zamykającymi się drzwiami, które też nieśmiało i z wolna otworzyła.

52

Przy samych drzwiach stała " szczupła, blada kobieta, bez okrycia już i kapelusza, w wąskiej, czarnej sukience i z grubą lnianą kosą dokoła małej głowy. Nie była też bladą w tej chwili, bo ognisty rumieniec twarzy jej okrywał. Za ledwie dziecko stanęło w progu, pochyliła się, porwała je w ramiona i uniosła w głąb pokoju. Nie wydawała się dość silną, aby móc dźwigać w ten sposób siedmioletnie, choć drobne dziecko, owszem, wyglądała na słabą, bardzo nawet słabą istotę, ale w tej chwili przybyło snadź ramionom jej siły i sprężystości. Niosąc dziecko biegła, wraz z nim usiadła na starej, obdartej kanapce i wnet potem Julianka uczuła na twarzy swej palące ciepło pocałunków i wilgoć łez spływających na nią strumieniem. Lniany warkocz kobiety osunął się z jej głowy, a włosy jej tak opłynęły twarz dziecka, że nic widzieć ono nie mogło prócz oczu całującej ją kobiety, wielkich i błękitnych, w łzach tonących a rozpalonych. Julianka nie rozumiała nic. Zdumiona, ogłuszona, duszona w namiętych uściskach, nie była jednak rozrzewniona. Pierwszy to raz w jej życiu całowano ją i płakano nad nią. Toteż gdy po długiej chwili kobieta przestała całować i płakać, a odsunawszy ją nieco od siebie poczęła jej przypatrywać się, na twarzy dziewczynki nie było innego wyrazu prócz głębokiego zdziwienia.

— Pocałuj że mię! — szepnęły drobne, blade, drżące usta kobiece.

Julianka pocałowała ją w rękę.

— Jakaś ty chuda — szepnęła kobieta dotykając dłonią nóg jej, rąk i piersi — jakaś ty chuda i mała na wiek swój!... Czy cię co boli kiedy?

— Boli — odpowiedziało dziecko.

— Co cię boli?

Julianka pokazała zziębłe stopy swe, a potem odwinęła luźny rękaw kaftana i ukazała ramię okryte znakami oparzenia, szczypania i stłuczenia.

— Jak byłam mała — mówiła — spadła na mnie duszka od żelazka... ot tu...

Potem Antek szczypał mię

53

bardzo... o tu... I tam w sieni, jak spałam, cegła upadła, ot tu... wczoraj... nie — poprawiła ^ię — nie wczoraj, ale jutro...

Nie mogła dotąd rozróżnić wyrazów: wczoraj i jutro. Słuchając ją kobieta dotknęła dłonią czoła swego, potem piersi, potem znowu czoła.

— Jadłaś dziś? — zapytała.

— Jadłam.

— Cóżżeś jadła?

— Obwarzanek od Złotki.

— A chcesz jeszcze jeść?

— Chcę — z nagle zrodzoną energią zawołała Julianka.

Wskutek wprawy uczucie głodu stanowiło w całej istocie jej fizycznej i moralnej strunę najsilniej rozwiniętą.

Kobieta wyjęła z niskiej szafki żywność jakąś, podała ją dziecku i usiadłszy przy nim zaczęła wpatrywać się w nie znowu. Julianka jadła, spoglądając na sprzęty skromne,

lecz czyste, na kanarka, który śpiewał wciąż w klatce, na białą sztorę fruującą z wiatrem i rozszczebiotała się na dobre. Zagadnięta parę razy o przeszłość swą, opowiadała, jak małą będąc (teraz już uważała się snadź za osobę dużą) mieszkała u praczki i jak ją pan Jakub, kucharz, w nocy za drzwi wyrzucił, i co potem stało się, o starej pani bardzo dobrej, która nie wiadomo gdzie podziała się, gdy jej oczy uciekły, o chorym panu ciągle grającym, tokarzu, tokarzowej, Ance i Antku — najbardziej

0 Antku, takim niegodziwym chłopcu... Przy wspomnieniu o chłopcu zacisnęła pięści i błysnęła oczami, wnet jednak z zamyśleniem dodała:
— Ale ja jemu odpuściłam... tak mi Boże dopomóż, odpuściłam i nie wy tłukłam go, kiedy leżał tam pijany pod bramą... Stara pani prosiła: „Odpuść!” —
1 odpuściłam...

Przy ostatnich wyrazach dziewczynki kobieta wzięła ją znowu w ramiona swe i topiąc usta w gęstwinie jej włosów szepnęła:

54

— Żebyś ty kiedyś innym ludziom tak odpuścić mogła... o! żebyś mogła!
Wstała potem i przeszła się parę razy po małym pokoju. Gdy usiadła znowu, wydawała się zupełnie spokojną. Widać było, że długa i ciężka wprawa nauczyła ją powściągać, ukrywać wrażenia doznawane i że w tej chwili uczyła potrzebę powściągnięcia ich i ukrycia. Przyciągnęła ku sobie dziecko i postawiwszy je przed sobą, poważnie zaczęła:

— Moja Julianko! ja dopóki tylko tu zostanę, opiekować się tobą będę... Cóż? czy rada jesteś z tego?

Dziecko milcząc obojętnie pocałowało ją znowu w rękę. Była to oznaka wdzięczności pewnej, ale radości ani czułości nie znać w niej było. Nie dowierzała i dziwiła się.

Kobieta mówiła dalej:

— Trzeba jednak, trzeba koniecznie, ażebyś nigdy nikomu, nigdy nikomu nie mówiła ani słowa o tym, co rozmawiać z sobą będziemy i jaką ja będę dla ciebie... rozumiesz mię, Julianko?

Dziewczynka skinęła twierdząco głową.

— Nie mów też nikomu o tym, że ja cię całowałam i pieściłam, pamiętaj, nie mów! I jeżeli czasem ja wymówię coś takiego... coś takiego... no! cokolwiek bym kiedy przy tobie mówiła do ciebie albo do siebie samej, albo przez sen — ty nikomu tego nie powtarzaj! rozumiesz mię, moje dziecko? nikomu ani słowa! Nie mów też przed nikim, że ja cię czasem moim dzieckiem nazywam...

Tu umilkła na chwilę. Można by myśleć, że głosu jej zabrakło. Spokojną jednak wydawała się wciąż i nawet trochę surową.

— Pamiętaj, ażebyś mię słuchała, bo jeśli nie posłuchasz, zgubisz... zrobisz mi wiele złego, a i sobie także. Cóż? będziesz mię słuchać?

— Będę, pani — odparło dziecię, które słuchało ją ze zdziwieniem, lecz i z uwagą.

— Słuchaj mię! ja ci za to sukienkę nową i ciepłą

55

uszyję, trzewiczki kupię, obiad co dzień dam i pięknych rzeczy różnych uczyć cię będę... A pacierz ty umiesz?

— Umieć. Stara pani nauczyła...

— Panie! odpłać jej! Panie! opiekuj się nad nią! Panie! daj jej rok szczęśliwy za każdy wyraz pacierza... — śpiesznie i drżącymi wargami zaszeptała kobieta.

— A robotę ty jaką umiesz robić?

— Umiałam pończochę robić, stara pani nauczyła; ale teraz nie wiem, czy już potrafię...

— Nauczę cię różnych innych robót. No, a teraz powiem ci, jak mię masz nazywać... Mam imię Janina, nazywaj mnie panną Janiną!

— Panna Janina! — powtórzyło dziecko.

— Dobrze! Pamiętajże o tym, co ci mówiłam. A teraz ja pójdę do miasta... guwernantką jestem, i uczyć muszę dzieci... idę więc dzieoi uczyć... co dzień tak chodzić będę, a ty zostań tu i nie chodź już na to brzydkie podwórze, do tych różnych ludzi... nie że-braj... nie potrzebujesz... syta już będziesz i odziana. Siedź tu. Możesz bezpiecznie siedzieć, bo obcy nikt tli nie przyjdzie... i złodziej nie przyjdzie..., po cóż by? Przypatruj się ptaszkowi; nazywa się on kanarek. Darowała mi go ostatnia uczennica moja, bom się do niego bardzo przywiązała... Cóż robić? trzeba się choć do ptaka przywiązać! Zresztą, połóż się sobie i zaśnij, a przed wieczorem ja wrócę. Ostatnie wyrazy mówiąc wkładała stare swe sukienne okrycie i kapelusik z kwiatkiem tak bladym i zmiętym, jak była twarz jej. W tej chwili zresztą, po długiej rozmowie z dzieckiem, twarz ta, delikatna i drobna, wyglądała bardziej jeszcze postarzałą i zmęczoną niż wprzód.

Wyszła. Julianka zostawszy samą zaczęła od przypatrywania się ptaszkowi i nie tylko przypatrywała się mu, ale i słuchała jego śpiewu. Potem podnosząc wciąż głowę, aby kanarkowi się przyglądać, zaczęła wyśpiewywać sama i duet ten złożony ze śpiewu pta-

56

ka i dziecka trwał póty, aż dziecko, zmęczyło się i poważnie, nieśmiało trochę, chodzić zaczęło dokoła pokoju oglądając wszystkie kąty jego i sprzęty. Te ostatnie nie miały w sobie nic nadzwyczajnego, Julianka jednak znalazła pomiędzy nimi takie, które napełniały ją zdziwieniem. Nędzną kanapkę oglądała długo i ze stron wszystkich, dotknęła z kolei kilku książek leżących na stole, a spróbowałszy pociągnąć ku sobie znajdującą się w nim szufladę wyciągnęła ją i zasuwała długo, a znać było z rozweselonej jej twarzy, że bawiło ją to niezmiernie. Na koniec usiadła na ziemi naprzeciw małego samowarka i przypatrując się błyszczącemu przedmiotowi temu — usnęła.

Spała aż do chwili, w której otworzyły się drzwi i weszła przez nie panna Janina.

Wbiegła raczej, niż weszła. Dziwne uradowanie jakieś oświecało twarz jej. Od progu już wyciągnęła ramiona ku dziecku, które obudziło się, lecz nie wstawało z ziemi.

— Cóż? nie przyjdiesz pocałować mię! Nie jesteś rada, że wróciłam? — zawołała.

Dziecko przybliżyło się z wolna i nieśmiało trochę pocałowało ją w rękę. Wyraz uradowania znikł z twarzy kobiety.

— Jaka obojętna! — rzekła.

Zapaliwszy lampkę czekała.

— Chodź, nauczę cię samowar nastawiać!

A do siebie szepnęła:

— Sama podobno nie bardzo umiem robić to...

Przy końcu wieczora panna Janina zsuwając z kolan swych dziecko, z którym rozmawiała przez wieczór cały, rzekła:

— Nocować u mnie nie możesz, bo ludzie powiedzieliby zaraz, że ja cię zupełnie do siebie wzięłam, i mogliby wpaść na domysł... mogliby mi wiele złego zrobić... Dnie przepędzać będziesz u mnie, spać ci trzeba gdzie indziej... A nawet powiesz ludziom, że ja cię na noc nie przyjmuję dlatego... dlatego, że u mnie ciasno, no i że... że każę tobie co wieczór iść sobie

57.

gdzie indziej!... Pamiętaj! powiedz im to... Ale gdzie sypiać będziesz?

Myślała długo nad pytaniem tym i wzięwszy lampkę poszła oglądać puste piętrowe gmachu. Znalazła tam kątek jakiś osłonięty wystającym murem od wiatru wnikającego przez pusty otwór okna.

v— Tu ci urządzę pościółkę! — rzekła.

Sporządziła naprędce sienniczek mały, położyła na nim jedną ze swych dwóch szczupłych poduszek, a zamiast kołdry rozesłała na pościółce ciepły, choć dobrze zniszczony szal.

— W mrozy wezmę już cię do siebie, a w cieplejsze noce śpij tu... Tylko — dodała po chwili — nie mów nikomu, że ci pościółkę urządziłam... pamiętaj, nie mów!

Nieprędko, bo w miesiąc lub więcej potem, gdy panna Janina wracając z lekcji do pokoju swego wchodziła, Julianka rzuciła się ku niej, ramionami kolana objęła i przypadłszy do samej ziemi całowała namiętnie jej stopy. Nie przyzwyczajoną była do objawów czułości; czułość też była struną istoty jej, która budziła się w niej z wolna bardzo, ale gdy raz drgnęła, widać było, że dziecię to mogło w płomień rozpalać się i topić się w łzy u stóp lub u łona tych, których kochało.

Pobyty u panny Janiny był w życiu dziecka tego pierwszym błyskiem szczęścia.

Szczęście też biło z twarzy jej, na której i rumieńce ukazywać się zaczęły, i z ruchów, które stawały się coraz śmielszymi. Długo nie ukazywała się wcale na dziedzińcu ani w żadnych z mieszkań dawniej sobie znanych. Nic ją tam snadź nie ciągnęło, a pokój panny Janiny i obszerne, nie zamieszkałe piętrowe gmachu przedstawiały do zabawy jej dość przedmiotów i przestrzeni. Raz na koniec, u początku zimy, zjawiała się na dole, w progu sieni. Miała na sobie tanią, lecz ciepłą sukienkę, pończochy i grube trzewiki, a włosy jej, porządnie uczesane, przewiązane były nawet barwistą wstążką.

Ujrząwszy ją dzieci hasające po podwórzu zbiegły się

58

wszystkie ku niej i strój jej oglądać zaczęły. Anka dotykała palcami i pożerała oczami wstążkę jej, bosa dziewczyna od krawca przyglądała się jej obuwiu. Antek tylko nic sobie z całej elegancji jej nie robił. Żartować z niej zaczął:

— Patrzcie! patrzcie! jaka panienska zrobiła się! A kto ci dał to wszystko? może matula twoja znalazła się albo ojca wiatr z pola przyniósł! Ot, nic ci nie pomogą ładne suknie! podrzutkiem byłeś i podrzutkiem jesteś!

Julianka rumienić się zaczęła i błyskać oczami. Nie odpowiadała jednak Antkowi, bo zajęta była rozwiązywaniem wstążki, którą miała na głowie. Rozwiązawszy ją zdjęła z głowy i milcząc oddała Ance. Anka podskoczyła z radości i wnet ubierać się w nią

zaczęła, a Antek wykrzywiając się żartować znowu począł:

— Ot, jaka mi księżniczka! prezenty teraz rozdaje! A pamiętasz, jak niedawno za miotłą u nas siedziałaś i kartofle pod ławą jadłaś...

W miarę jak chłopak mówił, Julianka piąstki swe ścisnęła. Zdawało się, że tuż, tuż rzuci się ku niemu. Nie uczyniła jednak tego, pochyliła się tylko i otworzywszy usta w całej ich szerokości ukazała mu — język. Tej zemsty odmówić już sobie nie mogła. Wykonała ją, ale wykonawszy zlekła się zaraz i pędem puściła się na wschody gmachu ku pokojowi panny Janiny.

Antek i inne dzieci gonić ją chciały, ale śmiałości im zabrakło. Nie śmiały napastować mieszkania guwernantki, którą mieszkańcy dziedzińca instynktowo uważali za coś wyższego od siebie. Imponował im może kapelusz, który nosiła ona, kanarek wiszący w oknie, a może i coś innego jeszcze.

— Dzieci uczy — mówili o niej — edukację mieć musi i taka jakaś delikatna! Co do edukacji tej, posiadanej przez szczupłą, bladą guwernantkę, Żydówka Złotka posiadała o niej wiadomości pewne, z własnych jej ust zaczerpnięte. Raz

59
panna Janina weszła do sklepika i kupując znowu małą ilość cukru i nafty zapytała Złotkę:

— A cóż, moja kupcowo, czy nie masz tam dla mnie dobrej jakiej nowiny? Złotka przecząco wstrząsnęła głową.

— Pytałam się u różnych ludzi — rzekła — starałam się, ale nie potrzebują... Strach, co teraz guwernantek u nas w mieście... więcej jak dzieci... A czy pannie mało tych lekcji, co panna ma?

— Bardzo mało, moja kupcowo. Życ nie ma z czego... tanio mi płacą.

— A dlaczego oni tanio płacą? Ja wiem, że guwernantki czasem bardzo drogo biorą za naukę, co ją w głowie swojej mają...

Panna Janina wpatrywała się znowu w różnobarwne paczki cygar okrywające przeciwległą ścianę.

— W tym bieda... — zaczęła — w tym bieda największa, moja kupcowo, że ja nauki tej mam bardzo mało...

Po chwili, nie zmieniając kierunku spojrzenia, dodała:

— Byłam zawsze guwernantką na początki... na początki nauk... płacono mi zawsze bardzo mało... bo i prawdę mówiąc, nie ma za co płacić wiele...

Złotka rozpostarła ręce ruchem zwątpienia.

— Nu, na to już nie ma żadnej rady! — rzekła.

Dnia tego wracając z miasta panna Janina nie uściśnęła jak zwykle Julianki, ale odtrąciła ją od siebie i gwałtownym ruchem usiadłszy, w zamyśleniu szarpała drżącymi rękami brzeg czarnego swego i zszarzałego kaftanika.

Dziecię zdziwione i zmartwione przysunęło się do niej, ale ona usunęła je znowu i szepnęła:

— Na moją niedolę urodziłaś się ty... i na swoją...

Cały wieczór potem kobieta siedziała nieruchoma i milcząca jak kamień, a dziecko szlochało z cicha. Nazajutrz z rana jednak Julianka budząc się w kątku swym, za wystającym murem pustego pokoju, ujrzą-

ła nad pościółką swoją stojącą pannę Janinę. Nachyliła się ku niej z uśmiechem i pocałowała ją w czoło.

— Chodź pokój zamiatać! — rzekła.

Uczyła ją co rano zamiatać pokój, nastawiać samowar, zapalać w piecu i słać łóżko, a gdy dziewczynka z trudnością wielką spełniała czynności te o wiele przechodzące jej siły, patrzyła na nią z przepaścistym smutkiem w wejrzeniu i mówiła:

— Żebyś ty przynajmniej porządną służącą zostać mogła!

Wieczorami uczyła ją katechizmu, czytania i szycia, przy czym łagodną bywała niekiedy i niezmiernie, namiętnie czuła, czasem znowu niecierpliwą, twardą, rozjątrzoną. Patrząc wtedy na nią, jak zrywała się co chwilę z siedzenia i siadała znowu, rzucała się po pokoju swym dotykając sprzętów wszystkich, całowała dziecko, odpychała je, za uchybienie każde w czytaniu lub szyciu uderzała je po rękach, a potem brała się za głowę i mówiła coś do siebie szybko a niezrozumiale — myśleć by można, iż była bliską szaleństwa. Potem jednak opanowywała się, zacinała drobne wargi, skrzyżowywała na piersiach ramiona i wyglądała jak ktoś zamierzający kosztem jakich bądź cierpień dotrwać w postanowieniu swoim.

Na wiosnę, kiedy ludzie zaczęli otwierać drzwi i okna, panna Janina weszła raz do mieszkania tokarza. Zawahała się chwilę przed drzwiami, ale weszła. Na widok jej tokarz przerwał pracę swą i uprzejmie ją pozdrowił, żona jego zmieszała się i osłupiałym nieco wzrokiem patrzyła na guwernantkę, aż opamiętała się i zawołała na Kachnę, by stółek podała. Panna Janina usiadła i wydawała się bardziej jeszcze zmieszana od tokarzowej.

— Chciałam poznać się z państwem, sąsiadką waszą jestem — rzekła czując jakby potrzebę usprawiedliwienia swej wizyty.

Tokarzowa powiedziała, że widuje ją co dzień przez okno idącą do miasta i wracającą.

— Dlaczego pani dziecka nigdy z sobą nie bie-

61

dziesz? — zapytała. — Niechby biedactwo to obejrzało się trochę po świecie.

Panna Janina zarumieniła się gwałtownie.

— Jakiego dziecka? — zawołała ze zdziwieniem niby.

— Ano! sierotki tej, którą pani opiekujesz się.

— Ależ ja nią nie opiekuję się wcale — tłumaczyła się kobieta — co mi do niej! ot, tak tylko, gdy widzę, że głodna, to ją nakarmię... przez litość... nic więcej jak przez litość... a że dziecko siedzi ciągle przy mnie, to i nie odpędzam go... co mi to szkodzi? Ale opiekunką jego nie jestem, wcale nie jestem...

Tokarz i żona jego patrzeli na nią ze zdziwieniem. Nie pojmowali, dlaczego tak żywo tłumaczyła się z tego, co w oczach ich było dobrym uczynkiem.

— To szkoda — rzekł po chwili tokarz — a my myśleliśmy, że nieboractwo to znalazło już sobie przytułek na całe dzieciństwo swoje... Jak wyrośnie, prędzej sobie da rady, ale póki małe, co ma robić? żebrać tylko, a może potem, nie daj Boże, i kraść...

Ledwie widzialne drgnienie poruszyło twarzą i rękami panny Janiny.

— Zapewne — rzekła — zapewne... nie odpędzę dziecka, dopóki żywić je i uczyć czegokolwiek będę mogła... Choć naprawdę co mi tam ono obchodzić może? Lituje

się przecież nad nim... Jednak nie wiem, czy długo tu zostanę, a jeśli bym odjechać musiała, to może by... może byście państwo... tak... przy swoich dzieciach i tę dziewczynkę przytulili!

Mieszała się strasznie mówiąc to, a głos jej pomimo silenia się na obojętność przybierał proszące dźwięki.

Tokarz po chwili zamyślenia odrzekł:

— Przyznam się pani, że mnie to samemu nieraz na myśl przychodziło i z żoną nawet o tym gadałem, ale... niebogaty jestem człowiek... sześcioro dzieci mam. Gdybym już tak zdecydował się i wziął tę sierotkę, nie chciałbym, aby marnowała się ona w domu moim, ale musiałbym jej i odzież porządną dać, i ja-

62

dło dostateczne, i potem roboty jakiej nauczyć... a to wszystko kosztowałoby wiele i byłoby z krzywdą własnych dzieci... Ja zaś uważam, że niedobrze jest, jeśli człowiek dopomaga jednym z krzywdą drugich. Zresztą, my ot i z tej kwatery wyniesiemy się w jesieni... A jak będziemy mieszkać het precz! na drugim końcu miasta, to i oczy nie będą nam boleć od patrzenia na nędzę tę...

Panna Janina słuchała ze spuszczonej oczami i wymówiwszy jeszcze kilka słów obojętnych odeszła. Przez cały wieczór potem płakała.

W środku lata jakoś wracała z miasta z wiązką ładnych kwiatków. Nie zanosila ich jednak do swego mieszkania, tylko przesunęła się pod ścianą bocznego domostwa i położyła je na otwartym oknie chorego metra muzyki. Muzyk, który przez całą zimę nie grywał na fortepianiku swoim, bo większą część czasu przepędzał w łóżku, grał teraz. Usłyszawszy szelest w oknie, nie przestając grać, ochryplym głosem zapytał:

— Czy to ptaszyna?

Podniósł potem głowę, a zobaczywszy za oknem stojącą kobietę zdziwił się nieco. Znał ją jednak z widzenia, jak wszyscy mieszkańcy podwórza.

— Jakie ładne kwiaty! — rzekł powstając z ciężkością. — Jaka pani dobra! Ja lubię kwiaty!

— To sierotka przysyła panu kwiaty te — szepnęła kobieta.

— A jakże ona tam hoduje się? Śliczne, biedne dziecko! Chciałbym je widzieć!

— Przyślę je kiedy do pana — odrzekła panna Janina.

Muzyk chciał coś powiedzieć jeszcze, ale zakaszał się strasznie i nie mógł. Panna Janina wchodząc na wschody starego gmachu szeptała:

— I w tym nadziei mieć nie można! Prędko u-mrze!

Pod jesień ludzie mówić zaczęli, że guwernantka musi być chyba chorą, bo tak powoli chodzi i tak mi-

63

źnie wygląda. Chorą jednak nie była, tylko widocznie gryzła ją na wskroś ciężka troska jakaś, ciężka dlatego może najbardziej, że siły jej były bardzo słabymi.

Raz weszła do sklepiku Złotki już nie dla kupna żadnego, ale tylko na rozmowę.

— Moja kupcowo! — rzekła — jaka to bieda, że lekcji więcej dostać nie mogę... Już i szyciem sobie dopomagam, ale i tak ciężko bardzo.

— No! — pocieszała Żydówka — co tam! byle przeżyć! potem może lepiej będzie!

— Ja bo i nie przywykłam do biedy takiej — mówiła dalej guwernantka — od

czasu gdy ojciec mój umarł... urzędnikiem był i biedy przy nim nie cierpiałam... przebywałam zawsze po domach różnych. Pensję brałam bardzo małą, taką tylko, aby móc jako tako przyodziać się, ale wygodę miałam wszelkie, bo przecież gdzie guwernantka jest, to już i obiad co dzień, i szklanka herbaty, i ciepły pokój być musi. Otóż przywykłam do wszystkiego tego, rozpieściłam się i teraz wytrzymać nie mogę.

••

Złotka przenikliwie patrzyła na skarżącą się kobietę.

— No — rzekła po chwili — a ja pannie radzę, żebyś wytrzymała... mnie zdaje się, że są rzeczy, co gorzej bołą jak głód i chłód...

— Są, o! są! — szepnęła kobieta.

Splotła małe, suche ręce swe i oparła je o stół z butelkami. Stała tak długo, potem rzekła:

— Na wiosnę chyba postaram się znowu o miejsce i pojadę.

— Ja pannie nie radzę robić tego — odparła Żydówka.

— Dlaczego, moja kupcowo?

— Niech już panna siebie samej zapyta się: dlaczego?

Wymówiła to ze znaczeniem. Panna Janina zarumieniła się nagle z gniewu jakby czy z trwogi.

— Ciekawam — zawołała żywo — dlaczego bym

64

nie miała zrobić tak, jak mi lepiej będzie! Zimę tylko przebyć tu jeszcze muszę, koniecznie muszę, bo mrozów boję się bardzo...

— Jeżeli panna boisz się mrozów — podchwyciła Żydówka — to dlaczego panna przed zimą nie wyniesiesz się z tego starego domu, który jest bardzo zimny, i nie poszukasz sobie miejsca z ciepłym pokojem.

Kobieta zmieszała się.

— Niech już sobie! — zagadła — zimę przebędę... na wiosnę może mi Bóg dopomoże... a jak lepiej mi będzie trochę, to i nadal tu zostanę, ja bym bardzo, bardzo pragnęła tu zostać...

Oprócz troski widać w niej było jeszcze ciąglą prawie trwogę jakąś. Rzadko bardzo spotykała spojrzeniem swym zwrócone na siebie spojrzenia, lecz mówiąc z ludźmi spuszczała najczęściej oczy albo patrzyła na przeciwległe przedmioty, co dawało jej pozór istoty wiecznie czymś zmieszanej. Obok tego widać w niej było kobietę nie przyzwyczajoną do rządzenia najmniejszym choćby gospodarstwem, a mającą pociąg do rzeczy zbytkowych. W ubiorze jej tylko zbytku nigdy nie było; można by powiedzieć, że rzekła się stanowczo zalotności wszelkiej, wszelkiej myśli o przystrajaniu się i elegancji. Odkąd tu przybyła, nosiła wciąż jedną suknię i jeden kapelusz, toteż suknia była zszarzałą bardzo, a kwiat przy kapeluszu, blady i zmięty wprzód, miał pozór zbrudzo-nej jakiejś szmatki. Lubiła przecież kwiaty, ptaki i łakocie. Przynosiła z miasta bukiety, ciastka, cukierki, kupiła drugiego kanarka, ostawiła okno roślinami w wazonach. W zamian zdarzały się tygodnie, w których nie posyłała do garkuchni po obiad, a skromne, lecz konieczne do życia wiktuały brała u Złotki na kredyt. Z całego jej postępowania i sposobu rządzenia się poznać można było, że była to kobieta-dziecko, jedna z tych kobiet, które przez życie całe zachowują słabość, trwożliwość, nieradność i łakomstwo dziecka.

Jednak żeby ją kto widział wtedy, gdy wśród głuchoj

65

nocy z lampką w ręku przebywała puste, ciemne, wiatrem świszczące pokoje nie zamieszkałego piętra gmachu i jak postawiwszy lampkę na ziemi stawała nad małą dziewczynką uspioną na niskiej pościółce, pojąc by musiał, że ta kobieta-dziecko cierpiała strasznie. Wyprostowana, sztywna, ze splecionymi dłońmi zarzuconymi na głowę i szeroko rozwartą, nieruchomą żrenicą, wyglądała ona wtedy jak tragiczny posąg rozpacz.

Niekiedy w zamyśleniu pytała:

— Boże! po coś mi dał serce?

Innym razem przykładła dłoń do piersi i gwałtownie wśród ciszy nocnej powtarzała:

— O sumienie moje! sumienie! sumienie!

Czasem przy świetle lampki przeglądała listy jakieś, wiązki kwiatów zeschniętych, kawałki spłowiałych wstążek — i płakała cicho, rzewnie, głęboko.

— Żebym mogła utracić pamięć... — szeptała z załamanyimi dłońmi — żebym mogła utracić pamięć tak, jak straciłam wiarę i nadzieję!...

W połowie zimy spotkawszy w sieni domu właścicielkę maglu spytała ją nieśmiało, czy nie zechce ona kupić u niej parę kanarków. Wspaniała potentatka ubogiej osoby odpowiedziała, że zapyta o to siostrzenic swoich.

— Jeżeli one zechcą posiadać ptaki te, nabędę je, bo ja paniąkom moim nic nie odmawiam, a jeżeli nie zechcą, nie nabędę.

Paniąki chciały posiadać ładne, śpiewające ptaki i właścicielka maglu przysłała po nie przysyłając zarazem odpowiednią kwotę pieniężną. Gdy wynoszono kanarki, Julianka czule żegnała się z nimi, usiłowała całować je poprzez pręty klatki i płakała.

— Nie płacz! — powiedziała do niej panna Janina — wkrótce może po czymś ważniejszym płakać będziesz...

Wkrótce po sprzedaniu kanarków powiedziała dziewczynie, która dotąd obiady przynosiła jej z miasta, aby nie chodziła już do garkuchni.

5 — Orzeszkowa

66

— U siebie w piecyku gotować będę! — rzekła — taniej mi przyjdzie!

Gotowała zrazu, ale parzyła sobie ręce, niecierpliwiła się, płakała i nic nigdy w zupełności nie sporządziła. Zaczęła tedy kupować lub brać na kredyt . w mieście rzeczy do jedzenia już przygotowane, zimne, które kosztowały ją tyleż, albo i więcej, co ciepłe i pożywniejsze obiady z garkuchni. Nie umiała snadź liczyć, a także szukała sobie wciąż czegoś, co by podniebieniu jej dogadzało.

Kiedy w pierwszy dzień wiosenny, jasny i słoneczny, weszła do sklepiku Złotki, Żydówka aż splotła ręce i zawołała:

— Aj! aj? jak panna źle wygląda! jak panna zmi-zerniała!

W istocie, cera jej zżółkła, oczy zapadły, a na czole przybyło zmarszczek. Postarzała i zeszeptniała, tylko lniane włosy jej wily się wciąż młodo i filuternie i usta drobne zachowały zarys młodości i wdzięku.

— Moja kupcowo — rzekła — przyszłam prosić cię

0 radę... Co tu robić? Miejsce mi zdarza się, wcale dobre nawet... w domu dość zamożnych i uczciwych ludzi... Pensję dają mi większą, niż kiedykolwiek brałam, bo

nie wiem dlaczego, podobałam się i rodzicom,

1 dzieciom...

Umilkła i rzucała dokoła siebie bardziej niż kiedy zmieszane spojrzenia. Złotka milczała chwilę i trzęsła starą głową swą, jak zwykle bywało, gdy zastanawiała się nad czymś smutnym lub zagadkowym. Utopiła potem pojętne i bystre, choć starością omglone oczy w twarzy stojącej przed nią kobiety i z wolna zapytała:

— No! a co z dzieckiem będzie?

Tym razem panna Janina była snadź tak zamyśloną czy zrozpaczoną, że nie zawołała jak zwykle: „A cóż mię to dziecko obchodzić może?” Owszem, splatając ręce i opierając je o stół, osłupiałym wzrokiem patrzyła przed siebie i głucho powtórzyła:

— Co z dzieckiem będzie?

67

— Dlaczego panna nie postarasz się przynajmniej

0 co dla dziecka tego?

— A jak? gdzie? u kogo starać się ja mogę? — wybuchnęła kobieta. — Alboż ja tu mam znajomości jakie, stosunki... prosiłam, kogo mogłam... nikt nie chciał... zresztą i prosić ja bardzo nie mogę, bo ludzie zaraz by... Ochronka jedna w całym mieście, pełniu-teńka zawsze... a żeby w niej miejsce i było, czybym ja ją wprosiła do niej... Sama jestem, uboga, bez protekcji ni środków jakich... O Boże mój! Boże! Boże!

Głos jej podnosił się teraz i nabierał jęklowych tonów. Bładą była jak chusta.

Złotka patrzyła, głową trzęsła, myślała. Po chwili obejrzała się po sklepie, a widząc, że jest sam na sam z guwernantką, zniżonym głosem zapytała:

— A czemu panna nie dasz wiedzieć o wszystkim jemu? Może by o n dopomógł, poratował?

Twarz panny Janiny z bladej stała się nagle szkarłatną.

— Kogo ja mam uwiadamiać? Kto by mi dopomógł? — wymówiła gwałtownie.

Wklęsłe usta starej Żydówki wygięły się w uśmiech dziwny, litosny i pogardliwy nieco.

— No — zaczęła z wolna — jeżeli panna nie wiesz, to ja o tym już mówić nie będę. Ja tylko to jeszcze powiedzić muszę...

Podniosła w górę pomarszczony palec swój i kołysząc z wolna głową dokończyła:

— Ja tylko to jeszcze powiem: wstyd czasem dobry jest, ale czasem niedobry...

On dobry wtedy, kiedy człowieka strzeże od grzechu, ale niedobry, kiedy nie pozwala człowiekowi, ażeby on grzech swój naprawił.

1 strach także dobry jest, kiedy on przed Panem Bogiem, ale kiedy on przed ludźmi, to on zły... Jak człowiek ciągle wstydzi się i boi się — to co on dobrego zrobić może?

Panna Janina drzeć zaczęła. Była znowu bardzo

68

"bladą. Gdy jednak podniosła powieki, w oczach jej błysnął gniew.

— Ja nie rozumiem, o czym kupcowa mówi — rzekła gwałtownie i odeszła.

Wieczoru tego do pokoju guwernantki wsunął się Żydek lichy odziany i grzecznie zrazu, potem coraz głośniej i natarczywiej upominał się o dług jakiś. Panna Janina płonęła rumieńcami, mieszała się, prosiła o zwłokę, na koniec przyrzekła, że dług za

parę dni wypłaci. Nazajutrz z rana miała jeszcze rozmowę podobną z kobietą jakąś, która w wielkiej chustce zarzuconej na głowę weszła do jej pokoju, grubiańsko rozsiadła się na kanapce, przemawiała do niej grubym głosem i patrzyła rozłoszczonymi oczami.

W kilka godzin potem panna Janina weszła do sklepiku Złotki. Widocznym było, że zdobywała się na zimną krew i śmiałość, ale przychodziło to jej z trudnością. Głowę podnosiła, patrzeć usiłowała śmiało i obojętnie, ale usta jej drżały i oczy nabiegały łzami.

— Moja kupcowo — rzekła przystępując do stołu, za którym siedziała Żydówka — ile ja kupcowej winną jestem?

Złotka sporządziła szybko mały rachunek i podała go jej milcząc.

— Dziś wieczór zapłacę — rzekła kobieta.

— Czy panna przyjęła już te miejsce?

— Idę właśnie, aby powiedzieć państwu temu, że propozycję ich przyjmuję. Jutro wyjadę z nimi na wieś...

— Daleko?

— Dwadzieścia stąd mil podobno.

Złotka milczała. Panna Janina nie miała już powodu żadnego do pozostania, jednak nie odchodziła. Po chwili milczenia zaczęła z cicha:

— Całorocznej pensji mojej zażądać z góry muszę... Połowę jej wydam na opłacenie długów, a i przyodziać się trochę trzeba, bo dom jest zamożny i wymagać tam będą porządnego ubrania. Jednak jeżeli

r

69.

kupcowa pozwoli, ja kupcowej zostawię trochę pieniędzy... dla małej...

Złotka ręką niechętnie skinęła.

— A co jej z tych pieniędzy — rzekła. — Wiele tam panna zostawić możesz?

Będę jej za nie jedzenie dawać, póki wystarczy... a potem co?

— Cóż ja więcej mogę? — szepnęła kobieta. — Wszak wrócę kiedyś... jak tylko uzbieram sobie trochę, zaraz wrócę... Tymczasem... moja kupcowo... starą jesteś kobietą i uczciwą... dzieci i wnuki masz...

Umilkła i ze splecionymi jak do modlitwy dłońmi patrzyła w twarz Żydówki.

— A co ja mogę? — zapytała Złotka ramionami wzruszając — ja nad nią litość mam, ale ja Żydówką jestem, a to chrześcijańskie dziecko... Do siebie jej wziąć nie mogę... a jak ja jej do siebie wziąć nie mogę... to co ja dla niej zrobię?

— Spójrzeć, nakarmić czasem, napomnieć....

— Nu, nu! — odrzekła Złotka z gestem przyzwalającym.

Panna Janina poszła na miasto i długo nie wracała, gdy zaś o zapadającym zmroku wróciła, znalazła w pokoju swym niecierpliwie oczekującą ją Juliankę. Ze sposobu, w jaki dziewczynka rozpostarła ramiona swe i poskoczyła ku wchodzącej, ze srebrnego, radosnego wykrzyku jej i pocałunków, którymi okryła jej ręce, poznać można było, że dziecko to wiedziało już teraz, co to jest — kochać. Prowadząc milczącą kobietę ku kanapce Julianka szczebiotała. Chwaliła się, że przez dzień cały uczyła się zadanej jej lekcji czytania i że teraz doskonale, doskonale już czyta i rozumie powiastkę o biednej Helence i wiernym jej piesku. Czy kobieta słuchała

szczebiotu dziecka — trudno było odgadnąć. Twarz jej rysowała się na tle zmroku jak blada i nieruchoma rzeźba z marmuru — milczała jak grób. W pokoju robiło się coraz ciemniej.

— Może lampę zapalić? — zaszczebiotało dziecko — ja umiem już zapalać lampę.

70

Zamiast odpowiedzi kobieta pochyliła się, wzięła dziecko w ramiona i posadziła je na swych kolanach.

— Julianko! — szepnęła.

— Co, pani? — wesoło zapytało dziecko.

— Posłuchaj mię; mówić ci będę o rzeczach ważnych i smutnych...

Julianka spoważniała i widać było w zmroku, jak błyszczące oczy dziecka wpatrywały się uważnie -w bladą twarz kobiecą.

— Będę ci mówić o twojej matce — szeptała kobieta.

— O matce? — z akcentem zdziwienia zapytało dziecko.

Kobieta ciężkim, zdławionym szeptem mówiła da-lej:

— Matka twoja jest bardzo nieszczęśliwą kobietą. Złą ona nie jest... owszem, ma ona serce i sumienie nie gorsze jak u kobiet innych... Ale raz w życiu popełniła ona grzech... i potem zwałił się jej na plecy ciężar taki wielki, że aby dźwigać go, sił jej nie stało. Pamiętaj o tym, Julianko, że matka twoja nie jest złą ani nieczułą, ani nikczemną, ona tylko jest bardzo nieszczęśliwą i bardzo słabą... Pamiętaj o tym i nigdy... nigdy nie miej nienawiści dla matki swej ani wyrzekaj na nią... o! nie czyn tego! Żałuj ją... a jeżeli ludzie źle o niej mówić będą przed tobą, odpowiedz im: „Ona chciała jak najlepiej, ale nie mogła... sił nie miała!...”

Dziecko słuchało na wpół tylko rozumiejąc. Znać jednak było, że szept kobiety, przerywany i westchnieniami nabrzmiały, nastrojał je uroczyście. Po chwili milczenia, wśród której słychać było tylko ciężki oddech kobiecej piersi, głos dziecinny zapytał:

— A gdzie jest moja matka?

Coś jakby stłumione szybko łkanie było na pytanie to pierwszą odpowiedzią. Potem kobieta półgłosem, z wolna bardzo mówić zaczęła:

— Matka twoja jest w jednym kraju takim, gdzie

71

wieczna panuje ciemność... nie świeci tam żadna gwiazda nadziei, a płomień miłości, jeżeli pali się jeszcze, to dlatego tylko, ażeby dręczyć, nie żeby pocieszać... Kraj to ciemny taki, jak najciemniejsza noc... ludzie uciekają zeń często do grobu... ale matka twoja nie miała siły uciekać... i myślała przy tym, że jak ucieknie, to na zawsze już ciebie porzuci... Została więc i mieszka tam ciągle, a z nią razem mieszka żal i wstyd, strach i bieda...

Dziecku na płacz się zbierało.

— A dlaczego... — zaczęło — dlaczego moja matka do tego ciemnego, straszego kraju poszła?

Po chwili milczenia kobieta ponuro i z dziwnym, obłąkanym jakby uśmiechem w głosie szepnęła:

— Dlatego, że bardzo cię kocha!

Milczały chwilę obie.

— Pani! — ozwało się dziecko. — Pani! a gdzie mój ojciec?

Głowa kobiety pochyliła się nisko.

— Wielki Boże! — zaszepiała gwałtownie.

Potem miękko, rzewnie jakoś wymówiła:

— Niech Bóg mu przebaczy!

— Przebacz mu! — mówiła dalej przykładając twarz swą ku twarzy dziecka — i matce swej, o! matce swej nade wszystko — przebacz! — I o tym także pamiętaj zawsze, co ci mówiłam, abys grzeczną była, łagodną dla ludzi, nie brała nigdy nic cudzego... Pamiętaj, że gdy tylko co złego zrobisz — serce twojej matki bardzo zaboli i ciemniej jeszcze zrobi się w kraju tym, w którym mieszka ona...

— A teraz — dodała po chwili — chodź... pomodlimy się razem...

Wstała i trzymając dziecko za rękę poprowadziła je ku oknu. Za oknem ciemno było, deszcz padał i lipy szumiały. W pokoju też panowała ciemność taka, że zaledwie wśród niej rozróżnić można było zarysy dwóch postaci — kobiecej i dziecięcej, klękających przed oknem.

— Złóż ręce... patrz w niebo... nie widać go teraz,

72

ale ono jest przecie... wiesz o tym, że jest tam... za ciemnościami... Mów: „Ojczy nasz!”

— „Ojczy nasz!” — z cicha powtórzyło dziecko.

— Głośniej, głośniej powtórz: „Ojczy nasz, któryś jest w niebie...”

— „Ojczy nasz, któryś jest w niebie...” — powtórzyło głośniej dziecko i zaczęło mówić dalej: „przyjdź królestwo...”

— Nie! nie! — zawołała kobieta — nachyl się aż do samej ziemi, mów, wołaj, powtarzaj za mną: „Zlituj się nad nami!”

Julianka tknięta dźwiękiem jej głosu zaszlochała z cicha, potem w ciemności głębokiej z ogromnym łkaniem wybuchnął wykrzyk dwóch głosów:

— „Zlituj się nad nami!”

I powtarzał się wiele, wiele razy, aż utonął w długim, coraz cichszym płaczu.

W parę dni potem Julianka stała w progu starego gmachu i z opuszczonymi rękami, sztywnym wzrokiem wodziła dokoła dziedzińca. Miała ona na sobie odzież dość całą jeszcze i zupełnie nowe obuwie, ale z włosów jej szochranych, twarzy nagle wychudłej i głębokiego zgnębienia piętnującego całą drobną jej postać poznać można było, że straszna boleść jakaś zmięła dziecięce to serce. Pierwszy to raz od wczesnego ranka tego, w którym tragarze wynosili z pokoju panny Janiny skromne jego sprzęty, a ona sama, nie spostrzeżona przez nikogo, wysunęła się na miasto, aby nie wrócić więcej, mieszkańcy dziedzińca zobaczyli Juliankę. Dotąd widywała ją tylko Żydówka Złotka, która parę razy na dzień, w zawoju swym i kwiecistej chustce na zgarbionych plecach, przebywała dziedzińcu i wchodziła do wnętrza gmachu. Za każdym razem niosła tam ona miseczkę z żywnością jakąś, a wracając mruczała coś do siebie i trzęsła głową. Komuś, kto zapytał ją o dziecko, odpowiedziała:

— No, ja nie wiem, co to za dziecko jest! Ja takiego

73

dziecka, jak żyję, nie widziałam! Twarz jej to już cała opuchła od płaczu. Siedzi w kącie pustego pokoju i ani gadać, ani jeść nie chce, tylko ciągle podłogę tę całuje, po

której kobieta ta chodziła... Ja jej mówiłam, żeby ona na dół zeszła i do moich małych wnuczek przyszła pobawić się, a ona na mnie jak wariatka popatrzyła i odwróciła się do ściany... Nu, co ja jej zrobię?

Po dwóch dniach jednak zeszła i w progu domu stanęła. Stała tak dość długo, spoglądając to na promienie słońca, ślizgające się po trawie złotymi smugami, to na ptaszki przelatujące, to na dzieci bawiące się w innej stronie dziedzińca, gdy w bramie ukazała się stara bardzo, mała kobieta. Miała ona zupełnie pozór żebraczki. W rękę trzymała kij gruby, którym nie tylko podpierała się, ale znać było, że szukała sobie drogi bezpiecznej, której dojrzeć już nie mogły oczy jej, krwisto świecące śród pomarszczonej twarzy. Plecy jej okrywał rodzaj salopy bez rękawów, połatanej z przodu i z tyłu, a tak starej, że żadnej już określonej barwy nie posiadającej, na nogach owiniętych szmatami płótna miała płytkie, dziurawe obuwie, a na siwych włosach zrudziały, watowany kaptur.

Żebraczka ta szła powoli bardzo, kijem swym stukając o kamienie tu i ówdzie z trawy wystające i z wysileniem wielkim ostatków wzroku swego poszukując na dziedzińcu kogoś lub czegoś.

Julianka spostrzegłszy żebraczkę głowę podała naprzód i zaczęła przypatrywać się jej z uwagą wielką. Nagle zeskoczyła z wysokiego progu i biec zaczęła. W połowie dziedzińca spotkała się ze starą kobietą i krzyknęła:

— Pani!

Jednocześnie pocałowała rękę jej, kij trzymającą.

— A!... kto to? czy to Julianka? — zapytała żebraczka chrypliwym, dygocącym głosem.

— Julianka! — odpowiedziało dziecko i pocałowało ją w rękę drugą.

Żebraczka niepewnym gestem ludzi nic już prawie

74

nie widzących poszukała głowy jej i położyła na niej dłoń szerniałą i pomarszczoną.

— Aha! — zaczęła — poznałaś mię i kontenta^ widać jesteś z tego, zem przyszła; to dobrze! Dobrze z ciebie dziecko! Ot, widzisz! przyszłam! Ja tu kilka razy już byłam i dowiadywałam się o ciebie. Cóż? Dobrze ci teraz... jakaś pani opiekuje się tobą...

żebyś mię zaprowadziła do niej, tobym z nią zaznajomiła się i potem przychodziłabym czasem, aby cię zobaczyć... A może byście też dały mi cokolwiek... szmatę jaką zbywającą albo łyżkę stawy ciepłej... Kto by się był tego spodziewał?

No, zaprowadzisz mię do swojej pani, co?

Dziecko słuchało ponuro patrząc w ziemię.

— Nie ma już jej — wyrzekła z cicha.

— Nie ma! A gdzie się ona podziała? Toż była jeszcze niedawno! U Złotki dowiadywałam się o ciebie... Gdzież ona?

— Nie wiem... pojechała gdzieś...

— Pojechała! — powtórzyła stara żebraczka. — No... a tyże?... -

Julianka nie odpowiadała chwilę. Gdyby stara kobieta wzrok jeszcze posiadała, spostrzegłaby, że oczy dziecka miały w tej chwili dzikie jakieś połyski.

— A ot, taka już dola moja! — rzekła po chwili z powagą dziwnie odbijającą od drobnej jej postaci i z wolna w ziemię patrząc ciągnęła dalej: — Matka mnie porzuciła i pani mnie porzuciła, i panna Janina mnie porzuciła... wszyscy mnie

wyrzucają tylko i porzucają...

— No, no! — przerwała żebraczka — nie wyrzekaj, nie wyrzekaj! z wolą boską zgódź się! A ja? Widzisz, do czego przyszłam? Żebrzę! żebraczką jestem! Kto by się był tego spodziewał? Nie porzuciłabym cię była z pewnością, żeby mi nie przysłała ta ciężka potrzeba... A co miałam robić z tobą? Ot, i teraz znowu sama jesteś... żal mi cię... ale cóż zrobić?... Żeby tak jeszcze oczy były, ale uciekły! zupełnie uciekły! drogi już na-

75

wet przed sobą nie widzę... No, bądź zdrowa! niech Bóg cię ratuje!

I szukała znowu trzęsącą się ręką głowy dziecka, aby je pożegnać, ale Julianka obu rękami uchwyciła brzeg połatanego jej płaszcza.

— Niech mnie już pani teraz nie porzuca... — zawołała — niech mię pani z sobą zabierze...

Żebraczka zamyśliła się.

— Zabrać cię... A cóż ty robić będziesz ze mną? Żebrać tak jak ja... Oj, to niedobrze! niedobrze! Ja to już drogą tą z życia wychodzę... Kto by się był spodziewał! Ale żebyś ty miała w nią wchodzić... to niedobrze... Panu Bogu za ciebie odpowiem! Duszę swą zgubię!

I opierając się jakby pokusie ogarniającej ją odchodzić chciała. Julianka przecież drogę jej zabiegła, płaszcza jej czepiała się i ręce jej całować zaczęła.

— Pójdę za panią! — szeptała — na koniec świata za panią pójdę... Sama tu nie zostanę już teraz za nic... za nic... Antek bilby mię znowu i głodem bym marła... A pani to tak nic nie widząc zabłądzi gdzie jeszcze i zginie albo upadnie i zabije się... ja panią prowadzić będę...

Ośleple oczy żebraczki nabiegły łzami.

— Lękasz się, żebym nie zabłądziła albo nie upadła — szepnęła. — O! mój Boże! nikt o to nie lęka się oprócz ciebie... Nie zapomniałaś mię przez czas tak długi i lubisz mię... Dobrze, wdzięczne z ciebie dziecko!... No, to już chyba wezmę cię z sobą! Chodź, prowadzić mię będziesz... a może ktokolwiek widząc cię ze starą, ślepą żebraczką zlituje się nad tobą... Weź mię za rękę i prowadź! Oj, jak mi lżej! czy to dlatego, że drogi kijem szukać nie muszę, czy że żywa dusza jakaś jest ze mną, ale lżej mi iść... lżej...

Wyszły razem z dziedzińca. Przed sklepikiem Złotki zatrzymały się. Julianka wbiegła do sklepiku i Złotkę w rękę pocałowała.

— Dziękuję pani za wszystko — rzekła.

żydówka, która widząc żebraczkę stojącą śród

76

chodnika domyśliła się wszystkiego, zaczęła bardzo trząść głową. Wyszła ze sklepiku i wkładając w rękę starej kobiety parę asygnat rzekła:

— Niech imość to weźmie. To ta guwernantka zostawiła u mnie te pieniądze dla małej...

— A dobrze, dobrze! — zaszeptała żebraczka z radością widoczną — będziemy sobie za to żyły obie czas jakiś... ręki nie wyciągając... Kto by się spodziewał?

Złotka patrzyła za nimi, gdy odchodziły, i zawołała jeszcze:

— Julianka, nu! Julianka! słuchaj! przyjdź tu kiedy i dowiedz się... może ona

znowu tobie co przyśle...

— Przyjdę! Przyjdę! — odrzyknęła Julianka wesołym prawie głosem. Wycieczka, w którą puszczała się, budziła w sercu jej mnóstwo nieokreślonych ciekawości i nadziei, a oczy jej chciwie i ze zdumieniem pogrążały się w głąb ludnej i gwarnej ulicy, na którą po raz pierwszy w życiu wchodziła.

Odtąd widywać zaczęto na ulicach i placach miasta starą, ślepa żebrażkę prowadzoną przez dziewięcioletnie dziecko, mające na sobie odzież dość porządną zrazu, potem coraz więcej zniszczoną i podartą. Najczęściej stawały one pod sklepionymi bramami kamienic. Na dziedzińcach domostw nie widywano ich nigdy; odstraszały je snadź stamtąd psy złośliwe i grubiańscy stróże domów. Przed wrotami kościołów nie siadywały też i nie stawały wcale. Ślepa staruszka drepcąc po nierównych kamieniach mawiała do prowadzącego ją dziecka:

— Pod kościół nie poszłam... ot! wstydziałam się, i tyle tam bab grubianek, nieobyczajnych... jeszcze by mię były obity... Najlepiej w bramach stawać... bo to zawsze pod przykryciem jakimś, nie tak się przed oczami całego świata stoi... Kto by się był spodziewał!... Jak tu sobie stoimy, to ludzie ci, co ulicą przechodzą, myśleć mogą, że czekamy na kogoś, a tymczasem idą tędy osoby rozmaite... Kiedy zobaczysz,

77

je pani jaka przechodzi albo pan, zaraz mię ostrzeż, ale sama nie proś... broń cię Boże... ręki nie wyciągaj i nie proś... ja wyciągnę i poproszę...

Stawały tedy w bramach, przez które przechodziły istotnie osoby różne. Za każdym razem Julianka pociągała płaszcz ślepej żebrażki i podnosząc głowę szeptała śpiesznie:

— Idzie! idzie!

. Wtedy mała, zgarbiona staruszka próbowała wyciągnąć rękę, nigdy jednak udać się jej to nie mogło. Coś ją od tego powstrzymywało gwałtem niezmożonym. Zamiast więc wyciągnięcia ręki wykonywała przed osobą idącą staroświecki dyg jakiś, szczególnie wyglądający przy połatanym jej płaszczu i nogach szmatami owiniętych. Chciała też zawsze mówić coś, ale trzęsła tylko głową w sposób objawiający prośbę i szybko, szybko, po kilka razy wyszeptywała:

— Kto by się był spodziewał? Kto by się był spodziewał?

Widywano je też niekiedy przed wystawami sklepów różnych. Tu staruszka stała przyciśnięta do ściany domostwa, aby nie zawadzić ludziom idącym chodnikiem, a dziecko oczami błyszczącymi od ciekawości i zachwycenia przypatrywało się przedmiotom zdobiącym okna sklepowe. Czasem obok ciekawości i zachwycenia we wzroku dziewczynki zjawiała się chciwość. Zatrzymywała się i staruszkę zatrzymywała nie tylko przed sklepami, ale i przed straganami nawet, ustawionymi wśród rynków lub na rogach ulic.

— Aj! jakie piękne bułki — mówiła — a jakie obwarzanki! piękniejsze daleko jak te, co u Złotki!

Czasem szeptem takim, jak by powierzała jej ważną jakąś tajemnicę, mówiła do staruszki:

— A jakie tu śliczne gruszki są!

— Może ty tam ruszasz co — zaczynała wtedy prawić żebrażka — może ty tam

co bierzesz bez pozwolenia? Broń cię Boże od tego! Siódme przykazanie boskie pamiętaj zawsze, jeżeli ci miłe szczęście ziem-

78

skie i zbawienie wieczne... Siódme przykazanie: „Nie I kradnij!” Jeżeli rozminiesz się kiedy z tym przyka- I zaniem, pójdiesz do turmy i w piekle będziesz...

Julianka była posłuszną, ale mała ręka jej mimo I woli wyciągała się wciąż ku straganowi pełnemu pie- I czywa lub owoców. Zdarzało się, że straganiarki, stare Żydówki najczęściej, w zabłoconych spódnicach i brudnych czepcach, spoglądając na tę rączkę dziecinną, wysuwającą i cofającą się ze drzeniem, dawały jej najtwardszą bułkę jaką albo najmizerniejsze jabłko. Wtedy dziecko mówiło z cicha: „Dziękuję!” i idąc dalej a jedząc odłamywało wciąż lub odgryzało kawałek bułki lub owocu i wspinając się na palce wkładało go do ust ślepej swej towarzyszki.

Tak w pogody i niepogody tułały się dwie istoty te I po mieście całym. Czasem siadywały na ziemi w miejscach ustronnych i spoczywały. Wtedy, gdyby ktokolwiek podsłuchiwał je, usłyszałby, jak stara kobieta opowiadała dziecku o przeszłości swej dawno, dawno minionej, o rozkoszach, których zażyła, i ludziach, których znała, powtarzając co chwilę: „Kto by się był spodziewał?” albo: „Gdzie teraz ludzie ci? gdzie?” lub też udzielała mu rad i nauk różnych.

— O to już tylko Boga proszę — mówiła — żebym żyła póty, dopóki nie podrośniesz trochę i nie bę-1dziesz mogła w służbę gdziekolwiek pójść... Przy mnie nie zmarnujesz się jeszcze do ostatka, a żebyś już choć dwanaście lat miała, tobyś mogła komu za kawałek chleba i dachu posługiwać... A potem z silnymi rękami biedy by ci nie było... Najważniejsza rzecz, żebym żyła, póki z najmniejszej małości nie wyjdiesz... ale nie wiem, czy będę żyła... Wilgotna ta dziura, w której nocujemy, okropnie mi na reumatyzmy moje szkodzi... Kto by się był spodziewał? A co się tyczy kości moich, to tak, jakby zaraz rozsypać się miały... jedna drugiej nie trzyma się...

Biedne te, stare, wynędzniałe i zmordowane kości rozsypały się snadź prędzej, niż życzyła sobie tego ich właścicielka, bo w mieście przestano wkrótce widy-

79

wać ślepą żebraczkę, a dziewczynka, która dawniej była jej przewodniczką, zaczęła chodzić sama po ulicach miasta. Nie wyszła jeszcze była z najmniejszej małości, której kraniec stara żebraczka upatrywała w latach dwunastu. Do wieku tego nie dostawało jej jeszcze z półtora roku. Przy tym miała ona zawsze wzrost mały i kształty drobne, tylko nogi jej wydawały się zbyt długimi w stosunku do całości jej postaci, a pochodziło to stąd, że stara spódniczka, z której wyrosła, sięgała jej do kolan zaledwie. Chude, nagie nogi te nie znały znowu, co to obuwie jakiegokolwiek, czerwone były od chłodu i od ostrych kamieni pokaleczone. Oprócz spódniczki krótkiej miewała ona jeszcze na sobie kaftanik bardzo podarty i szmatkę jakąś płócienną, na kształt chusteczki zarzuconą na głowę. Szmatka ta jednak zsuwała jej się wciąż na plecy, bo utrzymać się nie mogła na włosach ogromnych i spierścienionych.

W ubraniu tym, z twarzą, która uderzała prawidłowością drobnych rysów i głęboką śniadością cery, z dwojgiem wielkich oczów, czarnych i błyszczących, przesuwała się ona chodnikami ulic, stawała przed wystawami sklepów, u bram wysokich kamienic

lub okien niskich domostw. Zrazu prosiła o jałmużnę •oczami tylko, które podnosiła milcząc ku twarzom przechodniów; gdy mijali ją nie zważając na niemą tę prośbę, nie szła za nimi, lecz czekała innych. Potem zaczęła wyciągać rękę i biec za ludźmi idącymi ulicą, przy czym szeptała coś monotonicznie i trochę jęklonie. Zauważono, iż stawała najczęściej przy tych oknach niskich domostw, za szybami których kwitły w wazonach zielone rośliny. Stawała przed oknami tymi długo i często, przypatrując się zieleni i kwiatom, czasem z uśmiechem, a czasem z posępnym wyrazem w oczach. W ogólności, w twarzy jej i poruszeniach uderzały sprzeczności rozmaite. Wzrok miewała posępny najczęściej, ku ziemi opadający albo rzucający z czarnych źrenic błyski nieufne i niespokojne, ale usta jej, drobne i blade, posiadały wyraz dziecin-

80

nej słodczy albo przejmującego cierpienia. Ruchy jej były też gwałtowne czasem, czasem też trwożne, powolne i zdradzające wielkie znużenie. W zimie składała małe, zsiniałe ręce i pochylając głowę przykładała je do ust swych. Tak szła»i wtedy wydawała się skurczoną i bardzo zgnębioną.

Gdzie nocowywała? kogo znała i z kim w porze tej życia swego przestawała? Nikt nie wiedział na pewno, bo po prawdzie nikt też się o to nie dowiadywał. Ci, którzy znali ją, bo dawali jej często jałmużnę, widywali ją czasem wchodzącą przed zapadnięciem zmroku w pewien wąziuchny, błotnisty i cuchnący zaułek miejski, a ktoś przechodzący raz w wieczór zaułkiem tym, wypadkiem spojrzawszy w niziuteńkie okienko o czterech zielonych szybkach, zobaczył izdebkę, a raczej czarny, niski, zakopcony kąt jakiś, w którym siedziała ona na słomie obok kulawego na nogi obie dziada-żebraka. Przy mdłym świetle malutkiej świeczki przyklepionej do brudnego stołka dziad-żebrak przewijał łachmany na kalekach swych nogach opowiadając coś przy tym z wolna i mrukliwie, a siedzące przy nim dziecko obejmowało rękami podniesione kolana swe i słuchało go z oczami wpatrzonymi w czerwoną, siwym włosem obrosłą twarz jego. Raz znaleziono ją z rana śpiącą w kątku miejskiego cmentarza, na małej mogiłce, żółciejącej gliniastą ziemią z rzadkiej i młodej jeszcze trawy. Dowiedziano się potem od cmentarnego stróża, że była to mogiła ślepej staruszki niedawno znikłej z ulic miejskich. Czasem przychodziła nocować do starego gmachu, na dziedzińcu którego wyhodowała się, a wtedy wstępowała na wysokie piętro i sypiała w pokoju panny Janiny, który teraz stał pustką.

W dnie słoneczne za to hasała ona z gromadką ulicznych dzieci po ciasnych podwórkach lub najbrudniejszych placach miasta. Z gwałtownością, z jaką oddawała się wtedy swawoli, z krzyków jej i skoków poznać można było, że wynagradzała sobie czas dla zabawy stracony i że rada była bardzo, iż znalazła

SI

na koniec rówieśników, którzy stojąc z nią na jednym zupełnie szczeblu społecznym, nie wypychali już ją ze swego wesołego grona. Coś jednak było w niej zawsze, co odróżniało ją od idiotycznych, wpółdzikich jej towarzyszy, coś delikatnego, powściągliwego i cicho cierpiącego, co nie zniknęło w zupełności wśród najgwałtowniejszych porywów swawoli jej lub dziecinnych gniewów. Byłyż to ślady kilkunastu miesięcy przepędzonych u panny Janiny we względnym dobrobycie i wśród miękkih, uszlachetniających uczuć albo rad i nauk małej staruszki wyrabiającej

włóczkowe roboty, a ślepiej żebraczki potem, czy też może odziedziczonych po kimś, z krwią wziętych i na dnie natury jej spoczywających?

Było w mieście kilka rodzin miłosiernych, które nie tylko dawały jej jałmużnę, ale pozwalały jej od czasu do czasu przytulić się w ciepłym kątku kuchennym i zachęcały ją do pracy jakiejś. Od zajęć, które jej tam dawano, nie stroniła. Owszem, w słotne lub mroźne dni przychodziła często sama do miłosiernych domów tych i prosiła, aby pozwolono jej wschody zamieść, podłogę w sieni i kuchni wymyć, samowar nastawić.

— Ja to wszystko umiem — mówiła.

Usiłowała wtedy zamiatać wschody i myć podłogę, ale nie mogła jeszcze należycie podołać zadaniu. Wielkie miotły i grube ścierki wymykały się z małych rąk jej, aż niecierpliwe kucharki lub młodsze odbierały od niej te narzędzia pracy i stosownie do stopnia litościwości swej lub barwy swych humorów rozkazywały jej iść precz z domu albo pozwalały wchodzić do kuchni. W ostatnim wypadku usiłowała ona stać się użyteczną czyszczeniem rondli lub nastawianiem samowarów. Obie zresztą czynności te spełniała wybornie, tylko że nastawiając samowary zamyślała się często, a raz nawet czyniąc to rozplakała się rzewnie i głośno. Samowar przypominał jej zawsze pannę Janinę i dzień ten, w którym po raz pierwszy w życiu przedmiot ten w mieszkaniu jej ujrzała.

6 — Orzeszkowa

82

Służące mawiały o niej:

— Tó dziecko, proszę pani, dobre jest przez to, że nigdy nic nie poruszy... żeby jej nie wiedzieć co kłaść przed oczy — nie poruszy!

Panie domów wchodząc czasem do kuchni głaskały ją po włosach i zadawały jej pytania różne. Na pytania odpowiadała krótko, łagodnie czasem i z uśmiechem, a czasem mrukiwie i niechętnie. Zapytywana przez tych, którzy znali ją od niedawna: „Czyją jest?” odpowiadała: „Wszystkich!” albo: „Niczyja!” Jeśli ją kto zapytał o matkę lub ojca, milczała uparcie. Rzadkie i obojętne pieszczoty, które spotykały ją od pań domów, przyjmowała sztywnie i obojętnie. Była w niej nieufność jakaś do czułości wszelkiej i wielka trudność w uczuwaniu jej i objawianiu.

Trwało tak rok czy dłużej nieco. Nagle mała żebrząca dziewczynka przestała ukazywać się na ulicach miasta, w domach miłosiernych dla niej, w sklepiku Złotki, wszędzie. Nie widywano już jej nigdzie. Zrazu nikt na to nie zważał, potem jednak znaleźli się ludzie, których zaciekawiło albo zaniepokoiło nagłe to zniknięcie dziecka. Zaczęto dowiadywać się i po trochu szukać. Litościwe panie, które widywały ją czasem w kuchniach swych i głaskały jej włosy, upatrywały ją pomiędzy ulicznymi dziećmi wyprawiającymi po dziedzińcach i placach wrzaskliwe harce, kucharki zapytywały o nią znajomych swych sług i stróżów domów, ktoś nawet poszedł po wiadomości o niej na dziedziniec starego gmachu, na którym widywano ją niekiedy, a Złotka odświeżywszy snadź w pamięci swej historię jej dzieciństwa, na którą własnymi oczami patrzyła, przyrzekła nawet czarkę wódki i kilka kopiejek zapłaty temu z dziadów lub bab żebrzących, który dziecko wynajdzie. Wszystkie te jednak kroki, niezbyt co prawda usilne, w celu odnalezienia Julian-ki czynione, nic nie pomogły. Nie było jej ani pomiędzy ulicznymi dziećmi, ani w starym gmachu, ani

wśród żebraków, ani na cmentarzu, ani na żadnym

S3

z dziedzińców i zaułków miejskich. „Rozstąp się ziemio!” — zniknęła.

Być może, iż istotnie rozstała się pod nią ziemia, iż zziębła, zgłodniała i chora, cicho usnęła ona na wieki pod płotem zamiejskiego ogrodu jakiego, a stamtąd zabrały ją ręce stróżów publicznego porządku i sprawiły jej pogrzeb bez dzwonów ni chorągwi, muzyki ni płaczów.

Przypuszczenie to jednak najmniej wydaje się prawdopodobnym. Istoty takie, jak ona, życie mają twarde. Fizyczne siły ich daleko wytrwalszymi zwykle bywają niż ich zasady moralne. Być może więc, że zasada moralna wpajana w Juliankę przez ślepą żebraczkę słowami: „Jeżeli rozminiesz się z siódmym przykazaniem, do turmy pójdziesz i w piekle będziesz!” zachwiała się wobec silnej pokusy lub zręcznej namowy jakiej i że słabe bardzo wyobrażenie mając o turmie, a czując, że piekło daleko, a przedmiot ponętny blisko, rozminęła się ona z siódmym przykazaniem, po czym zamknęły się za nią żelazem okute drzwi miejscowego więzienia?

Być może jeszcze, iż pochwyciła ją jedna z tych sieci, którą zbrodniczy przemysł rozciąga na piękność kobiecą, w zarodzie choćby dostrzeżoną, i że ukaże się ona jeszcze kiedyś na świecie — dorosłą i wykształconą — w szkole występku?

Zresztą, wzięła ją jeszcze może z miejskiego bruku poczciwa wieśniaczka jaka, wracająca z targu lub z kościoła a potrzebująca w chacie robotnicy małej, i siaduje ona gdzieś teraz na łące zielonej pasąc stadko gęsi białych lub burych owieczek, szczęśliwa — bo otacza ją natura świeża i zdrowa, nieszczęsna zawsze — bo sama i cudza wśród matek całujących swe dzieci i wśród dzieci bawiących się na rodzinnych swych progach.

Jakkolwiek bądź, Julianki nikt już nigdy w mieście naszym nie. widział, a za całe wspomnienie o niej pozostała długa historia o porzuconym dziecku, którą Złotka opowiadać lubi ludziom przychodzącym do jej

6*

84

sklepiku. Niekiedy wysłuchawszy opowiadania starej Żydówki ludzie mawiają:

— Smutna to historia!

Wtedy Złotka trzęsie głową w spłowiałym zawoju, podnosi w górę pomarszczony palec i mówi:

— Czy ja jedną taką smutną historię wiem o tych wszystkich ludziach, którzy na wielkim dziedzińcu tym mieszkali i mieszkają! Ja historii takich wiem bardzo wiele i żebym tylko mówić chciała...

Potem ze zwykłym sobie uśmiechem, pojętnym i wzgardliwym nieco, dodaje:

— I żeby ludzie słuchać mnie chcieli o takich robakach...

Wkrótce jakoś po zniknięciu Julianki do sklepiku starej Żydówki wbiegła kobieta zdyszana od pośpiechu, mizerna bardzo, kaszląca. Ubranie miała ona skromne bardzo i jasne włosy wijące się nad uwiędłą twarzą. Było jej tak pilno czegoś i niecierpliwie, że nie zważając na obecność osób kilku, nie witając się nawet z właścicielką sklepiku pochwyciła rękę Złotki i pytać zaczęła:

— Moja kupcowo! gdzie ona! co się z nią dzieje? czy zdrowa? czy żyje?

Złotka pochyliła się i chwil kilka szeptała jej coś do ucha. Kobieta słuchała szeptu jej

z niepokojem zrazu, potem z przestraczem, na koniec krzyknęła, twarz dłońmi zakryła i roztopiła się w łzy. Po krótkim tym, gwałtownym płaczu rzuciła się ku drzwiom wołając:

— To być nie może! ja ją szukać będę i ja ją znajdę!...

U drzwi jednak stanęła z obwisłymi rękami.

— Jak ja mogę ją szukać? — szepnęła — jak ja mogę o nią pytać? Ludzie domyślą się zaraz...

Daremna troska! Widząc niepokój jej i rozpacz, łzy i wahanie się obecni odgadli, że wąta ta, zwiędła, lękliwa kobieta była matką Julianki; ale nigdy nikomu poszlaka najmniejsza nie pozwoliła domyślić się, kto był jej ojcem.

Panna Antonina

Gdybym miała dwanaście córek, wszystkie co do jednej wykierowałabym na profesorów uniwersytetu! Tak, wszystkie co do jednej, chociażby mię za to ludzie biczowali, krzyżowali i kamieniowali, wszystkie co do jednej byłyby profesorami uniwersytetu! Tak! Dwanaście córek i dwanaście katedr! Takim było zawsze najdroższe marzenie moje... O! pokazałabym ja wtedy światu, co kobiety mogą i do czego są zdolne. Byłabym też szczęśliwą, bo widok dzieci moich wynagrodziłby mi wszystko to, co... przecierpiałam sama...

Istotnie, patrząc na nią, z łatwością uwierzyć można było, że w życiu swym przecierpiała wiele. Była to teraz kobieta lat trzydziestu kilku, chuda, koścista, trzymająca się zawsze prosto, chodząca żwawo i raźnie, z energicznymi gestami delikatnych, po-długowatych rąk, których błękitne żyłki przebijające się przez cienką skórę objawiały wysoki stopień fizycznego wycieńczenia. Wycieńczenie to widocznym też było w twarzy panny Antoniny. Z profilu widziana wyglądała dość jeszcze młodo, bo rysy miała prawidłowo i delikatnie zarysowane, lecz gdy się na nią wprost, twarz w twarz, patrzyło, wydłużenie chudych policzków jej, czoło okryte rojem drobnych zmarszczek i żółtawa, bezkrwista jej cera sprawiały wrażenie przedwczesnego zwiędnięcia. Kiedy wpadała w zapał, co zdarzało się bardzo często, cienkie, blade jej wargi drgały. nerwowo, a piwne, zagłębione oczy ciskały iskry i płomienie. Ubierała się zawsze jednostajnie, w czarną suknię, której stanik obcisłe zarysowywał wyprostowaną i suchą jej kibić, i w niepokalanie białe kołnierzyki i mankiety. Nigdy błyskotki żadnej ani żadnego przyozdobienia stroju, z wyjątkiem kawałka czarnej koronki, którym przysłaniała włosy swe, czarne niegdyś, teraz z lekka już siwiejące i dwoma gładkimi pasmami nisko na czoło zsunięte. Sposób ten czesania się nadawał wysokiemu czołu jej postać dość regularnego trójkąta i powiększał blask ognistych oczu.

SZ

— Tak: dwanaście córek i dwanaście katedr, i — nikt mi tego z głowy nie wybije! Ja nawet tego nie rozumiem, jak państwo możecie słuszności mi nie przyznawać. Cóż to? Powiadacie mi, że ptaki nie orzą i nie sieją, a jednakże żyją? Dziękuję! Śliczne mi to pocieszenie! Nie orać i nie siać! Ja bo jak patrzę na te nie orzące i nie siejące, to taka mię złość ogarnia, że bym je pięścią do siania i orania naganiała! Tak, pięścią naganiałabym; bo to próżniaczki są, lalki, pijawki, pasożyty wysysające soki z drzewa społeczeństwa! O! żebym miała córki, nigdy nie pozwoliłabym im na coś podobnego, nigdy, nigdy! Niechby lepiej poumierzały dziećmi! Takie są moje

przekonania i biczujcie mię, krzyżujcie, ścinajcie, a już ja od swego przekonania nie odstąpię!

Nie tylko biczować ją, krzyżować, ścinać, ale nawet zaprzeczać jej nikt nie myślał. Było to w malutkim, niskim pokoiku, znajdującym się pod dachem wysokiej kamienicy miejskiej. Panna Antonina siedziała na sprężynowej kanapce bardzo staro i ubogo wyglądającej, przez okrągłym stolikiem, na którym paliła się świeca stearynowa w żelaznym lichtarzu i stały trzy szklanki z herbatą. Przy ścianie przeciwległej znajdowało się łóżeczko wąskie, ze szczupłą, twardą i śnieżycie białą pościelą, dalej stała komódka pełna kajetów dziecinnych, książek ze zniszczoną oprawą, dalej dwa czy trzy żółte, stare krzesła, jakiś taborecik ze spłowiałym nakryciem, samowarek gotujący się na ziemi przed otwartym piecem, na ścianach kilka historycznych rycin z ilustrowanych dzienników wyciętych i szpilkami przymocowanych do obicia zasianego polnymi kwiatkami; u jednego okna kilka zielonych roślin w doniczkach i klatka z kanarkiem. Pokoik ten był nadzwyczaj czysty. Obicie z polnymi kwiatkami, wazoniki, ptaszek w klatce i śnieżnie usłane wąskie łóżko nadawały mu pewien charakter naiwności, na tle której dziwnie odbijała czarno ubrana, surowa i sucha postać jego właścicielki.

!

8

Patrzałam na nią z ciekawością i współczuciem. Ani dwanaście córek w połączeniu z dwunastu katedrami, ani „drzewo społeczeństwa”, ani uderzenia pięścią w stół nie zrażały mię do niej. Znałam ją od dawna.

— Jednakże — nieśmiało zaczęłam — pani sama nie zajmowałaś nigdy katedry profesorskiej, a któż powiedziec może, że nie siejesz i nie orzesz?...

Spojrzała na mnie bystro, podejrzliwie, jakby usiłując przekonać się, że w słowach moich złośliwości lub ironii nie było, potem smutnie skinęła głową a ręką uczyniła gest zniechęcenia.

— Oj! — rzekła — także tam sianie i oranie moje! Boże, odpuść!

Chude, długie, delikatne ręce swe na czarnej sukni splotła i cichszym znacznie głosem zaczęła:

— To prawda; dwadzieścia i jeden lat skończyło się na wiosnę, odkąd nauczycielką jestem. Prosto z pensji, tak, prościutko z pensji na nauczycielkę poszłam. Ani jednego dnia swobodnie po świecie nie bujałam. Ojca już na tej ziemi nie było, chora matka u krewnych mieszkała. Prosto więc z pensji — do cudzego domu! No i cóż dalej? Przez siedemnaście lat z domu do domu... a cztery lata, odkąd tu osiadłam, bo przekonałam się ostatecznie, że wszystkie ściany na świecie zimne i wszystkie serca cudze... Te ściany i te serca swoją drogą, a swoją drogą — własna głupota! Takem ja zupełnie do nauczycielstwa, jak wół do karety. Czy to ja nie rozumiem, co to jest gwiazda wiedzy i jak mnie do niej daleko? O! gwiazdo wiedzy! Kto tam o czym marzy i do czego wzdycha, a ja o niej tylko marzyłam...

Wzlatywałam też, wzlatywałam do niej i tędy, i owędy, i tak, i owak, ale — sposobów i czasu nie było. Głód moralny — i koniec! O! żebym miała córki...

Wszystko to mówiła z wielkim spokojem w postawie i ze spuszczonej oczyma.

Widocznie do zwie-rzań się i wywnętrzań nie przyzwyczajona, wstydziła się nieco, że tak długo o samej sobie mówi. Nagle

spostrzegła, że szklanki przed gośćmi stojące są już próżne. Zerwała się żywo z kanapki i pochwywszy szklanki do samowarka pobiegła. Chciałam wyreńczyć ją w nalaniu herbaty, bo samowarek stał na ziemi, a wiedziałam o tym, że nachylenie się sprawiało jej przykrość z powodu artretyzmu w nogach i ramionach, którego lekkich jeszcze ataków od pewnego czasu doświadczała. Dobre chęci moje bardzo energicznie odrzuconymi zostały.

— O, nie! o, nie! — zawołała. — Tak mi jest miło służyć paniom w mojej chatce! Rzadko miewam gości, ot! prawie nigdy. Czasem chyba która z dziewczątek tych, młodych koleżanek moich, wpadnie do mnie na chwilkę, ale i to rzadko bywa, bo czasu nie-bożątka nie mają i z młodymi przestawać wolą. Nie mam ja też do nikogo prentensji o nic. Każdy ma swoje zajęcie i stosunki... A te wielkie przyjaźnie i przywiązania pomiędzy obcymi sobie ludźmi to tylko w powieściach. O, córki dobre, kiedy kto ma... o! córki...

Postawiła na stole szklanki z herbatą, starannie pokroiła i na talerzu ułożyła bułeczkę, a czyniąc to uśmiechała się wesoło.

— Tak mi jest miło przyjmować panie w moim domku... I przy tym — dodała zaraz — wszystko w małym gospodarstwie moim robię zawsze sama, a to dlatego, aby przekonać ludzi, że kobieta, która samodzielnie żyje i do gwiazdy wiedzy wzdycha, niekoniecznie już w życiu praktycznym musi być niedołągą. „Samodzielność kobiety” i „gwiazda wiedzy”, ilekroć je wspomniała, nieuniknienie wprawiała ją w zapał. I teraz też szerokim, energicznym gestem wskazała nam ściany pokoiku swego i napełniające go przedmioty.

— A co? — zawołała — czysto, porządnie i choć ubogo, ale i trochę nawet elegancko! Obicie z maczkami i bławatkami sama wybrałam w sklepie, jakem się tu wносиła. I kwiatki są, i kanareczek, i ryciny

90

takie, na jakie mię stać było... Ot! niech przyjdą i zobaczą, że kobieta, która sama dla siebie na kawałek chleba zapracowuje, a naukę ubóstwia... niekoniecznie przecież musi być nie mytą i nie uczesaną.

— O kim to pani mówi, aby przyszli i zobaczyli? — zapytałam.

— Ot! — zawołała — albo to pani nie wiesz? Ko-bietożercy, tyrani, gwałciciele praw boskich i ludzkich, którzy odmawiają kobietom prawa do nauki i samodzielności, a gdy tylko która z nas palcem poruszy, u nich o pozwolenie nie poprosiwszy, arabskie awantury na nią wygadują... O! żebym ja miała córki...

Zauważyłam, że w marzeniach swych zanadto może jednostronną jest, dwanaście na raz kobiet na katedrach profesorskich osadzając, że przecież inne jeszcze gałęzie pracy ludzkiej...

— No, no! — przerwała — to tylko tak się mówi! Naturalnie, że są inne gałęzie... Ale ot, skąd mi się te katedry wzięły...

Zaśmiała się wesoło.

— Wiesz pani dobrze o tym, że ja w życiu moim z uczonymi ludźmi nigdy żadnych stosunków nie miałam. Po obywatelskich domach młodość całą przewłóczyłam się, a obywatelstwo nasze — wiadomo... Otóż raz tylko przez całe życie moje zdarzyło mi się spotkać profesora uniwersytetu. Miałam wtedy już lat pod

trzydzieści, wiesz pani? o mało, o mało żem przed człowiekiem tym na kolana nie uklękała. Mąż nauki! pani moja! pokolenia młode do gwiazdy wiedzy prowadzi! Śmieli się wtedy wszyscy ze mnie, mówili, że pomiędzy nimi bywają tacy i owacy. A mnie co do tego? Kapłan nauki i — koniec. Wtedy też na człowieka tego patrząc pomyślałam sobie: „Gdybym to ja na jego miejscu była!” Aż mi się w głowie od myśli tej zakręciło! Gdzie tam mnie, mizernemu robakowi, o takim szczęściu myśleć! Ale potem przyszło mi do głowy, że gdybym miała córki... I od tego czasu, ile razy pomyślę sobie o córce,

91

tyle razy obok ślicznej dziewczyny, zdrowej, szczęśliwej, matkę swoją z całego serca kochającej, widzę profesorską katedrę... Tak to czasem, pani moja, człowiek swój głód moralny różnymi wyobrażeniami uspokaja... Czasem ramiona tej dziewczyny mojej wymarzonej około szyi swojej czuję... a czasem widzę ją i słyszę przemawiającą z katedry...

Zaczęła mówić ze śmiechem, a kończąc miała łzy w oczach. Jak wszyscy przecież, których łez nie spostrzegali i nie ocierał nigdy nikt, nie lubiła ich pokazywać nikomu. Zarumieniła się trochę i pobiegła ku oknu, aby mi kwitnącą tam w doniczce pelargonie pokazać.

Oglądałyśmy właśnie pelargonie, gdy cichutko i z wolna otworzyły się drzwi wiodące na wschody i do pokoju wsunęła się dziewczynka dziesięcioletnia może, w długiej aż do ziemi, podartej sukieneczynie, z lnianymi włosami na tył głowy szczesanymi, więc odkrywającymi w pełni puciołowatą, różową, dwójgiem błękitnych oczu świecącą twarzyczkę. Wsunęła się i onieśmielona widokiem nie znanych sobie osób tuż przy drzwiach do ściany plecami przycisnąwszy się stanęła. Wnet za nią żwawiej i śmieiej wtargnął chłopak nieco od niej starszy, bosy, rozczochrany, w spencerku, z którego dawno już wyrósł, a po wtargnięciu jego wsunęło się jeszcze jedno dziecko, nie wiadomo już jakiej płci, bo w grubej tylko koszuli, znacznie młodsze od tamtych, z kromką czarnego chleba przy ustach.

— Jacyż to osobliwi goście? — zapytałam.

Panna Antonina zmieszała się trochę.

— Ano — zaczęła — to są dzieci stróża tej kamienicy... bardzo biednego człowieka i w dodatku pijaka...

— Uczniowie pani zapewne?...

— A uczniowie... dziewczyna jest łagodna i zdolna, chłopak zdolny także, ale...

— I to maleństwo także uczysz pani?...

— Ej, nie! przychodzi to sobie z rodzeństwem, kiedy samo chce, i przysłuchuje się tylko naszym lek-1 cjom... Jest to — dodała — na uniwersytecie moim i wolny słuchacz...

Uniwersytet ani na chwilę z głowy jej nie wycho-| dził.

— Ileż pani masz godzin lekcji na mieście? — za- [pytałam.

— Osiem.

— Ta więc, z tymi dziećmi, jest dziewiątą.

— Naturalnie. Osiem a jeden to dziewięć.

Kiedy z towarzyszką moją zegnałyśmy pannę An- [toninę, dzieci ośmieliły się już zupełnie i były w po-1 koiku jej jakby u siebie. Dziewczynka wspinając się | na

palcach ściągnęła z komody elementarz swój i ze-1 szyt zakreślony grubymi kreskami, chłopak czyścił I łupkową tabliczkę, a maleństwo, wdrapawszy się na [taboret, z podniesioną głową i otwartymi usty po- [dziwiało kwitnącą pelargonie. Jakież było zdziwien-1 nie nasze, gdy na schodach spotkaliśmy dążące w górę jeszcze jedno dziecko ubogo ubrane i jeszcze I jedno, i jeszcze jedno...

— Dokąd idziecie wszyscy? — zapytałam jedno ze spotkanych dzieci.

— Do panny Antoniny — odpowiedział mi malec, który, jak dowiedziałam się potem, w sklepie jakimś zajmował posadę wymywacza naczyń, wymiatacza podłóg i roznosiciela po mieście zakupionych towarów.

— A ileż rodzice wasi płacą pannie Antoninie za to, że was uczy? — zapytałam jeszcze malca.

— A kto by tam miał rodziców jakich! — odkrzyknął chłopiec, po trzy schody od razu przesadzając.

Widocznie miłość panny Antoniny dla „gwiazdy wiedzy” — platoniczną nie była.

Po raz pierwszy poznałam ją, gdy była jeszcze | zupełnie młodą, bo nie miała więcej nad lat dwadzieścia cztery. Nosiła jeszcze wtedy kolorowe suknie i czarne włosy dość pretensjonalnie zaczesywała, ale

93

nje była już świeżą i zaczynała stawać się chudą ■ kościstą. Zwiędnięciu temu, nader przedwczesnemu, towarzyszyła przecież świeżość uczuć do egzaltacji i naiwności posunięta. Zajmowała miejsce nauczycielki w trzecim już z kolei domu i po raz trzeci była pod wpływem najzupełniejszego złudzenia, że na zawsze albo przynajmniej na bardzo długo stała się przybranym członkiem rodziny, wśród której zostawała. W rzeczy samej rodzina ta, jakkolwiek z osób uczciwych i dobrze wychowanych złożona, o żadnym przybieraniu jej za członka swego ani myślała. Czuła się ona najzupełniej w komplecie i nie uciuwała potrzeby powiększania się przez przyjmowanie w siebie osób obcych. Obchodzono się z nauczycielką dobrze przez przyzwoitość i prostą życzliwość, trzymano ją, bo nie wiedziano, jaką by korzyść odprawienie przynieść mogło; przy tym z nadmiernej czułości wszystkim okazywanej i z przebijającego się niekiedy w mowie patosu, jak też czasem z loczków, które wysokie piętrzyła nad czołem, i z całonocnych przesiadywań nad książkami śmiano się po cichu. Śmiano się z nauczycielki tak cicho i tajemnie, że ona tego nigdy spostrzec ani dosłyszeć nie rrojła. W zamian każdy żywszy objaw grzeczności, każde cieplejsze nieco uściśnięcie ręki lub życzliwsze słowo przybierały w oczach jej znaczenie uczuć gorących i trwałych. Pod wpływem ich tajała cała w przywiązaniu i wdzięczności, z zapałem i gorliwością niezrównaną oddawała się na usługi każdego, kto ich zażądał. Przede wszystkim duszą i ciałem oddawała się uczennicom swoim. Ciekawym był istotnie widok, jak we wszelkich z nimi stosunkach heroicznie i skutecznie walczyła z wrodzoną sobie życzliwością i po- Pędliwością, zarówno jak z niedostatkami wykształcenia własnego. Pensyjka, z której zaczerpnęła była cały zasób swej wiedzy, była pensyjką bardzo mizerną. toteż zrazu panna Antonina zając mogła miejsce tylko nauczycielki początkowej. W tym trzecim jed-nak domu zostając udzielała już nauki średniej.

9i

Postęp ten nie przyszedł sam przez się; aby go zdobyć, przesiadywała była pięćset

nocy nad gramatykami różnymi, ze trzysta przynajmniej nad historią i jeografią i ze sto pięćdziesiąt nad arytmetyką. Były to już wszystkie prawie gałęzie nauki, których znajomości od niej żądano. Żądano wprawdzie jeszcze, i nawet bardzo usilnie, muzyki, ale w tej panna Antonina żadnymi już pod słońcem usiłowaniami wydoskonalić się nie mogła. Po prostu nie miała ucha do muzyki, a pomimo że ręce jej były kształtne i delikatne, palce uderzały zawsze i niezmiennie po dwa klawisze na raz. Muzyce więc całkiem za wygraną dała. Natomiast ilekroć ktokolwiek zapytał ją, dlaczego w pokoju jej po całych nocach pali się światło, podnosiła głowę i z oczami błyskającymi od zapału, śmiało i nawet z dumą odpowiadała:

— Kształcę się.

Kształcenie się było ambicją jej, namiętnością, drugim pragnieniem całej jej młodości. Postępowało czasem dziwnymi drogami: tak na przykład dla wprawienia się w język francuski tłumaczyła kilkotomowe powieści francuskie i uczyła się recytować na pamięć długie ich ustępy; ażeby zaś zdobyć szerszą wiedzę o świecie i ludziach, kilka miesięcy ślęczała nad ogromnych rozmiarów dziełem o strategii wojskowej. Szczególnie to skierowanie się jej studiów było wynikiem prostego wypadku. Pani domu lubiła czytać francuskie powieści; pan domu był eks--wojskowym. Suego więc, Dumasa, Sanda i strategię znalazła w starej bibliotece domowej i z kil-koletniego pyłu otarłszy za skarby znalezione uznała. Innych książek w domu nie było, ona sama skądże by mieć je mogła? Pensję brała niewielką i trzy czwarte jej odsyłała chorej matce. Za pozostałe pieniądze sprawiała sobie suknie tanie, ale tak co do barwy, jak co do kroju usiłujące zawsze mieć w sobie coś poetycznego. To dążenie do poetyczności w ubieraniu się, jako też piętrzenia loczków nad czołem świadczyć zdawało się, że w porze tej swego

95

życia panna Antonina oprócz dwu powyżej wymienionych miała jedno jeszcze, bardzo właściwe wiekowi jej pragnienie; zapewne marzyła czasem o tym, aby kochać, być kochaną, wyjść za mąż. Jednak na pewno powiedzieć można, że ten rząd pragnień i marzeń stał u niej na planie dalekim. Głównie i przede wszystkim szło jej o to, aby być członkiem rodziny jakiej i kształcić się. Była też najzupełniej pewną, że osiągnęła pierwsze z pragnień tych, a dokonywa drugiego, gdy niby piorun ugodziła w nią wiadomość, że przez caluteńkie dwa lata zostawała pod wpływem najzupełniejszego złudzenia i że z chwilą, w której uczennice jej potrzebowały rozpocząć naukę muzyki, ona z domu ich ustąpić musiała. Jak to! rodzina ta więc lubiąc ją i szanując uważała ją zawsze za osobę obcą i tymczasowo tylko niezbędną. Jak to! więc nie kochano jej naprawdę i odprawiano, gdy tylko jednej potrzebie jakiejś zadośćuczynić nie mogła! Była to dla niej trzecią już z rzędu niespodzianka podobna, wywarła na nią przecież wrażenie takie same zupełnie, albo może i silniejsze, jak pierwsza i druga. Zapomniała nawet o kształceniu się, Przez dwa tygodnie po całych nocach zalewała się łzami, po wszystkich samotnych kątach domu i ogrodu załamywała ręce i na pożegnanie całowała sprzęty i drzewa; duże już i ciężkie dzieci na ręce porywała dusząc je w uściskach i wlewając w ich Uszy całe dykcjonarze najczulszych wyrazów. Na koniec, gdy z twarzą spuchniętą od płaczu, zmęczona, chora prawie wsiadła do powozu i wyjechała za bramę ładnego wiejskiego dworu, osłupiałym wzrokiem powiodła po szerokich polach i jesiennym niebie, bo

doświadczyła takiego uczucia, jak gdyby świat cały był jedną bezgraniczną, głuchą, zimną pustynią.

W czwartym z kolei domu przebyła dłużej nieco jak w trzecim, niepospolicie nawet długo, bo całe lat trzy. Zawdzięczała to nowym postępom, które w kształceniu się swym dokonała, a które ppzwalało Jej dalej już nieco posuwać edukację młodych dzie-

%

wczą, nade wszystko zaś zawdzięczała staruszce pewnej, babce pani domu, której stała się ulubienicą, sługą i ofiarą. Nie mogąc już tym razem na żaden sposób łudzić się co do usposobień względem niej pani i pana domu, ludzi dumnych i zimnych, nie mogąc zdobyć sobie przywiązania dzieci, nieszczęśliwie przez naturę utworzonych, a źle wychowanych —■ przyłgnęła, można powiedzieć, przykleiła się do staruszki.

Przede wszystkim wyidealizowała ją sobie. W rzeczywistości osiemdziesięcioletnia przeszła osoba ta, jeżeli i posiadała kiedy jakiegokolwiek przymioty umysłu i serca, ze szczętem je utraciła i teraz przedstawiała już zaledwie niekształtne i niedołężne resztki ciała, ożywione zaledwie dostrzegalnymi resztkami ludzkiej duszy. Dla panny Antoniny jednak dziecinne kaprysy jej, samolubne wymagania i bezmyślne gadaniny były „wspaniałym i rozrzewniającym majestatem starości”. Co najważniejsze, że z jednej strony przypominała jej ona kochaną babkę w dzieciństwie utraconą, a z drugiej strony miała prześliczne, długie i gęste włosy z białością śniegu, a połyskiem srebra. Panna Antonina kwadransy i godziny przepędzała na klęczkach lub na niskim stołeczku u stóp fotelu lub łóżka staruszki, bawiła ją opowiadaniem powieści Suego i Sanda, studziła jej rosoły i gotowała ziółka, pielęgnowała ją w chorobach, popychała wózek jej po cienistych alejach ogrodu. W zamian tego wszystkiego staruszka pozwalała jej nazywać siebie babcią i od czasu do czasu nazywała też ją zdrobniałym imieniem Antosi. To ostatnie szczególnie sprawiało nauczycielce wielką przyjemność. Powoli cały ciężar „majestatu starości” na jej barki włożono. Ona upatrywała w tym dowód zaufania i szacunku, co napełniało ją uczuciem przychylności i wdzięczności dla ludzi, którzy zresztą patrzali na nią bardzo z góry. Drugim szczęściem jej w domu tym była możliwość dalszego kształcenia się, polegająca na czytaniu niemieckich filozofów, których pan domu był zwolennikiem wielkim i zbiór spory posiadał. W porach

więc, w których ani staruszka, ani dzieci jej nie potrzebowały, czytała, czytała, czytała filozofów niemieckich; kilkanaście miesięcy upłynęło, zanim zrozumiała, że nic nie rozumie i że cała ta ciężka praca, którą dokonała, nie przyniosła jej korzyści żadnej. W innym czasie odkrycie to napełniłoby ją smutkiem, teraz jednak nie myślała o biadaniu nad poniesioną stratą sił i czasu, bo najdroższa staruszka jej szybko bardzo zbliżała się do chwili, w której „majestat starości” ustępuje przed „grozą śmierci”.

Umarła.

Przed skonaniem resztki duszy jej wzmogły się na siłach, gasnącym wzrokiem szukała pośród obecnych panny Antoniny, a gdy ta, wzrok zrozumiawszy, przy łóżku jej uklękła, zeszkła i kostniejącą dłoń swą w znak błogosławieństwa na głowie jej położyła. Panna Antonina o chwili tej i o tym niemym błogosławieństwie wspominała zawsze z silnym wzruszeniem. Nazywała je jednym z najpiękniejszych

wspomnień swoich. Jednym za to z naj-przykrzejszych wspomnień było ofiarowanie jej w parę dni potem przez panią domu w rodzaju wynagrodzenia za czułość babce okazywaną jedwabnej sukni i szczerozłotej broszy, których naturalnie nie przyjęła, i oświadczenie, że przed miesiącami wakacyjnymi dom ich opuścić powinna. Panna Antonina uczyniła to, ale już nie w ten sposób, w jaki opuszczała dom poprzedni, bo bez płaczu, łamania rąk i całowania ścian i krzesel... Być może, iż gdyby nawet nie żądano, odjechałaby sama; po stracie staruszki i rozczarowaniu doznany względem filozofii niemieckiej nic tu już ją nie wiązało.

Gdy o parę wiorst od dworu mijała cmentarz, kazała furmanowi zatrzymać konie, poszła na cmentarz, posiedziała chwilę na murawie u brzegu mogiły staruszki, potem z obsychającymi na policzkach łzami do powozu wróciła i — pojechała dalej.

Należała ona do tej kategorii natur ludzkich, które niezmiernie troszczą się o możliwą doskonałość tego,

7 — Orzeszkowa

98

co czynią. Nie rozumiała nigdy, co to jest czynić cokolwiek byle kiedy i byle jak. O wczesnej bardzo porze zrywała się z pościeli z energią rumaka rwącego się do boju; ręka jej nabierała machinalnego ruchu sięgania po zegarek. Wiele już lat minęło, odkąd była nauczycielką, a jednak do lekcji z uczennicami swymi przystępowała zawsze z wewnętrznym niepokojem, który, jakkolwiek ukrywała go starannie, przebijał się w wyrazie ognistych jej oczu. Owszem, niepokój ten zamiast umniejszać się rósł z latami. Ze zwykłą sobie górnolotnością wyrażen mawiała: „Nauczycielstwo to kapłaństwo” i z namaszczeniem kapłanki a zapałem apostołki przeplatała lekcję języków, geografii i arytmetyki długimi mowami o pracy, miłosierdziu, braterstwie ludzi, wielkości nauki i tym podobnych bardzo pięknych i wzniosłych rzeczach.

Nie można powiedzieć, aby nauczania te, jakkolwiek przedmiotami ich były rzeczy piękne i wzniosłe, odpowiadały zasadom dobrze wyrozumowanej pedagogiki.

Pomimo woli i wiedzy panny Antoniny plątały się w nich wyrażenia i zwroty będące niby echami tłumaczonych dla wprawy we francuski język romansów, jako też studiowanej w celu kształcenia się filozofii niemieckiej. Przy tym zapał unoszący mówczynię gestom jej i wyrazowi twarzy nadawał cechy sprowadzające częstokroć na dziecinną twarz jej słuchaczy figlarnie uśmieszki. Bywały dzieci, które słuchając moralizatorskich mów jej śmiech w sobie tłumiły, i takie, które słuchały ich bardzo pilnie, ani pół słowa z nich nie rozumiejąc, i takie jeszcze, które rozumiały je trochę, a częściowe rozumienie to od czasu do czasu w postępkach swych ujawniały. Te ostatnie sprawiały pannie Antoninie rzadkie, lecz żywe radości. Były to niby krople rosy spadające na czoło palone gorączką.

Raz przecież, wkrótce po rozstaniu się z ową ukochaną staruszką, panna Antonina znalazła uczennicę idealną, taką, o jakiej marzyła od dawna, o możli-

99

wości znalezienia wątpić zaczynając. Dziewczynka bardzo pojętna, żywa, czuła, nie tylko uczyła się wybornie gramatyki, geografii, historii i arytmetyki, ale też niezmiernie okazywała zamiłowanie do tego, cc panna Antonina zwykła była nazywać „filozofią nauczania”. Długich i gorących rozpraw jej o braterstwie ludzkim, miłosierdziu, pracy, nauce itd. nie tylko z wielką uwagą i prawie chciwością słuchała,

nie tylko bystro i szybko podstawowy sens ich sobie przyswajała, lecz jeszcze zapalając dziecięcą wyobraźnię swą u ognia gorejącego w piersi nauczycielki z żarliwością wielką we wszystkich okolicznościach dziecięcego życia swego stosować je usiłowała. Tak na przykład spotkawszy raz na przechadzce ubogie, żebracze dziecko, zdjęła wykwintne, małe obuwie swe i ubogiemu dziecku je oddała. Służącym zabroniła nazywać ją „panienką” i co chwilę w twarz je całować chciała. Nad książkami przesiadywała do późnej nocnej godziny, co niekoniecznie dobrze oddziaływało na zdrowie jej, lecz pannę Antoninę w zachwyty nieopisany wprawiało. Z trudem wielkim przestudiowała ona była strategię wojskową i filozofię niemiecką bieżącego stulecia; w zamian o higienie w ogóle, a higienie dziecięcej w szczególności ze słyszenia zaledwie wiedziała. Zresztą, przez całe życie swe ciało i wszelkie jego potrzeby miała ona w wielkiej pogardzie. Wszystkim dla niej był — duch. „Będzie to piękny, czysty, wzniosły duch!” ~— mawiała zwykle o niepospolitym dziecku, które przez matkę swą, piękną i bardzo bawiącą się wdówkę, niezbyt uszczęśliwiane, do nauczycielki przywiązało się rzewnie i namiętnie. Przez całe dwa lata nie rozłączały się z sobą ani na jedną godzinę. Blade, wątłe, nerwowe dziecko zasłoniło przed panną Antoniną świat cały. Prócz niego nie widziała ona nikogo i nic. Poetyczność ubrania zniknęła całkiem z uwagi jej i pamięci; przestała włosy zawijać na loczki; w zamian kształcenie się nabrało dla niej wyższej jeszcze wagi. Tyle

7*

100

umieć, aby móc edukację ukochanej dziewczynki aż do końca doprowadzić — stało się najdroższym, najwyższym jej marzeniem. Doprowadzić ją do granic świata i rodziny, towarzyszyć jej w świecie, a potem na zawsze wejść w jej rodzinę, głowę swą na zawsze u piersi jej i w ścianach jej domu utulić, a może dzieci jej jeszcze kołysać, hodować, nauczać — wydawało się to pannie Antoninie szczytem szczęścia, zarówno jak najmożliwszą ze wszystkich pod słońcem możliwości.

Z serca jej i głowy nie wyszedł był jeszcze wyraz: na zawsze! Tym razem muzyka nie stawiała przed nią groźnego znaku zapytania; była ona bowiem udzielaną uczennicy przez kogo innego. Co się zaś tyczy innych nauk, o! panna Antonina wierzyła w siły własne; długie godziny nocne i poranne przesiadując nad stołem obładowanym różnego rodzaju podręcznikami i metodami, kształciła się z taką żarliwością, że żółtość cery jej i kościstość kibici czyniły szybkie i widoczne postępy.

W stroju i obejściu się z ludźmi stając się poważniejszą i surowszą, w stosunku do dziecka odmłodziła i odświeżyła się. Nie wiedzieć jak, z wyobraźni jej wywijając się poczęły cudowne bajki i historie, którymi bawiła i nauczała zarazem; nie wiedzieć jakim sposobem nauczyła się sama biegać i śmiać się, a lekcje ze zdwojonym namaszczeniem udzielane przeplatać wesołą i głośną zabawą. Nigdy też potem zrozumieć nie mogła, skąd się jej brała fizyczna siła taka, że dziewczynkę już dwunastoletnią niby piórko chwytala na ręce, aby móc ją silniej, ściślej do piersi swej przycisnąć, ani jakim sposobem czas ubiegał tak szybko, że szare godziny, które spędzały w kątku pokoju przytulone do siebie, zdawały się graniczyć z chwilami świtania, które często sinym światłem swym przyćmiewało żółty blask nie zgaszonej jeszcze lampy. O szarej godzinie, tuląc się wzajem do siebie, nauczycielka i

uczennica jednocześnie i z jednostajnie silnym przekonaniem po-
101

wiedziały sobie: „Nie rozłączymy się z sobą nigdy!” W parę miesięcy potem ktoś z poważnych krewnych dziewczynki uczynił matce jej uwagę, że nauczycielka taka, jak panna Antonina, edukacji panienki mającej i do błyszczenia w świecie przeznaczonej ukończyć nie jest w stanie, że trzeba jej nauki grun-towniejszej i szerszej, jako też kształcenia talentów, Co prawda, krewny ów miał słuszość zupełną; uznała też ją piękna i bawiąca się wdówka tym łatwiej i chętniej, że oddanie na pensję córki dorastać zaczynającej o lat kilka przedłużało matki młodość. Dziewczynka więc oddaną być miała na pensję. Nauczycielka o parę tygodni wcześniej dom opuszczała. W piękny poranek w podróżnym ubraniu na ganek wyszedłszy nie widziała ona ani błękitu nieba, ani zieleni okrywającej ziemię, ani słońca, ani ludzi. Nie płakała. Miała tylko spieczone usta, drżące ręce i na żółtych policzkach plamy ciemnych rumieńców. Drżącymi rękami objęła raz jeszcze uczennicę swą, która szeptała jej coś do ucha. Mówiła zapewne, że nie zapomni o niej nigdy i skoro tylko z pensji wróci... Panna Antonina uwierzyła widać słowem dziecka, bo uśmiechnęła się i wyraz pocieszenia na twarz jej spłynął.

Wsiadła do powozu — i pojechała dalej.

Wkrótce potem zaszedł w życiu jej wypadek wobec położenia jej dość osobliwy.

Miała starającego się — odmówiła mu. Był to człowiek niestary jeszcze, zamożny obywatel wiejski, bardzo uczciwy i dość ograniczony. Była to dla niej partia świetna, ostatnia zapewne sposobność wyjścia za mąż; zapewnienia więc sobie spokojnej i z wielu stron szczęśliwej nawet przyszłości. Wszystko to czuła i uznawała sama. Toteż walczyła z sobą i wahała się długo. Ostatecznie jednak, gdy przyszło do dania słowa konkurentowi, odmówiła. Dokoła uważano ją prawie za wariatkę i sama potem mówiła nieraz, że „wedle światowych względów sądząc” popełniła wielką niedorzeczność. „Ale — dodawała zaraz — nie mogła

102

postąpić inaczej. Człowiek to był dobry, uczciwy, ale

0 nauce ani o żadnych ideach i kwestiach literalnie, pani moja, pojęcia nie miał. Wspólności przekonań nie było pomiędzy nami żadnej i przywiązania do niego nie miałam. Wyjść za mąż bez przywiązania

1 bez wspólności przekonań byłoby to z mojej strony zaprzecić się swego ducha i stać się na świętym drzewie rodziny pasożytem. Nie mogłam". Osoby, które znały ją we wczesnej młodości, domyślały się, że była ona kiedyś silnie w kimś zakochana. Był to podobno jakiś brat czy kuzyn jakiejś pani domu. Można tylko było domyślać się tego, gdyż ona sama nie zwierzała się z tym nigdy przed nikim i parę razy tylko pochwycono ją na gorącym uczynku przypatrywania się fotografii jakiegoś mężczyzny, którą też co prędzej schowała na dno szczelnie zamykającej się szkatułki. Być może, iż echa zaznanych kiedyś wzruszeń, nadziei i cierpień znacznie przyczyniły się do tego, że w trzydziestym pierwszym roku życia nie chciała pochwytać przychylającej się ku niej gałęzi „świętego drzewa rodziny".

Później nieco doświadczyła ona wstrząśnień moralnych innego rodzaju. Po raz pierwszy w życiu swym znalazła się w domu, którego mieszkańcy posiadali wysokie umysłowe wykształcenie. Goście domu tego odznaczałi się po większej części

właściwością tą samą. Tam po raz pierwszy doświadczyła ona przebłysku pojęcia o tym, czym jest istotna nauka i jakimi drogami postępować zwykło na świecie kształcenie się. Z rozmów dokoła niej toczonych i książek, których dom ten był pełen, dowiedziała się, że przez długie lat kilkanaście wyobrażając sobie, że kształci się, czyniła nie wiedzieć co; czyniła coś istotnie, i to z trudem nadzwyczajnym, ale jak potem mawiała zwykle: „Było to, pani moja, takie podobne do kształcenia, jak pięść do nosa!” Uczyniwszy odkrycie to, załamała ręce i załapała się łzami, płakała przecież niedługo. Naprzód nie miała czasu, bo uczyła tam aż troje dzieci, następnie przyszło jej

103

na myśl, że ma dopiero lat trzydzieści dwa. Cóż? Wiek ten nie jest jeszcze starością. Uczzonego pana domu o kierownictwo, a wykształconej żony jego

0 pomoc prosząc rozpoczęła kształcenie się ab ovo *. Dopomagano jej w pracy tej szczerze i umiejętnie, ona sama zanurzała się w niej z naiwnym zapałem młodego dziewczątka. Toteż coraz wyraźniej, coraz szerzej spostrzegać zaczynała „gwiazdę wiedzy”, gdy rodzice małych uczniów jej, finansowo nadrujnowa-ni, wydzierżawili wieś swoją i w celu staranniejszego a tańszego wychowania dzieci w mieście osiąść umyślili. Nauczycielka o kilka dni wcześniej niż oni dom ich opuszczała.

Z pokoju swego wyszła w czerni cała, prosta, sztywna, a kto by ją wtedy po raz pierwszy zobaczył, myślałby pewnie, że była to kobieta szorstka

1 rozgniewana. Czoło jej było porżnięte zmarszczkami, ogniste oczy świeciły ponuro, chód i ruchy miały w sobie coś ostrego i popędliwego. Jednak pana i panią domu pożegnała z głębokim szacunkiem, dzieci uściśnęła serdecznie, milcząc do powozu wsiadła i pojechała dalej.

Odtąd cechy, których powierzchowność jej i obejście się stopniowo nabierały, niedobrze względem niej ludzi usposobiały. Ona też dobrych ich sposobień dla siebie nie oczekiwała. Powiedziała była sobie, że „wszystkie ściany na świecie zimne i wszystkie serca obce” i że „te wielkie przywiązania pomiędzy obcymi... to tylko w powieściach”. Powiedziała to sobie i z różowego morza iluzji, po którym przez całą młodość swą pływała, wpłynęła w gorzkie wody nieufności i podejrzliwości.

Nieufność i podejrzliwość malowały się w wyrazistych jej oczach wtedy nawet i wtedy szczególnie,

•Ab o v o (!ac.) —

od początku.

104

gdy ktokolwiek zwracał ku niej życzliwe lub serdeczne słowa. Na każdy objaw sympatii patrzyła w ten sposób, jakby zbadać chciała, czy nie jest braną za przedmiot żartu lub ironii. Jeżeli przekonała się, że nie był to żart ani szyderstwo, i wtedy jeszcze nie rozczułała się wcale. „Przyjaźń ludzka — mawiała — to wiatr, przyleci i — odleci. Kto by na nią w wieku moim liczył i spodziewał się czegoś od niej, temu bym powiedziała, że jest starym dzieckiem”.

Czy głębokie zwątpienie to było we wnętrzu jej raną wiecznie i mocno bolącą? nie mówiła o tym nikomu. Ale przejęta nim przestała całkiem garnać się ku ludziom, którzy też przygarnąć ją ku sobie ani myśleli. Była to jak z jednej, tak i z drugiej strony rzecz prosta i konieczna. Prosto też i koniecznie stąd wynikało, że panna

Antonina przez kilka lat następnych często miejsca zmieniała. Tu sama nie chciała być dłużej, tam jej nie chciano. Miała już teraz swoje gusta i wymagania. W jednym domu było jej za gwaro, w innym za cicho, w jednym za gorąco, w innym za zimno. Tak na przykład sypiając i ucząc dzieci w pokoju źle w zimie ogrzewanym, blisko okna niedbale urządzonego, dostała artrety-zmu, lekkiego zrazu, niemniej dokuczliwego. Gdyby to było dawniej, zniosłaby dolegliwość cierpliwie i w milczeniu, a za jedno słowo serdeczne, za jeden u-śmiech przyjazny zgodziłaby się, aby w dodatku dano jej jeszcze — suchoty. Ale teraz, wzajemny stosunek gospodarzy domu i nauczycielki określiwszy sobie całkiem inaczej, obraziła się za to zaniedbywanie wygod i zdrowia jej i o powóz i konie poprosiła. Zarazem powiedziała sobie: „Dość już tułaczkę tej i tego wycierania cudzych kątów!” Ogarnęło ją namiętne, nieprzeparłe pragnienie własnego kąta. Od dawna już nie miała matki, dla której pracowała za młodu. Była teraz zupełnie sama jedna i za siebie jedną odpowiedzialna. Przyjechała do miasta, najęła pokoik pod dachem trzypiętrowej kamienicy, urządziła go mniej jeszcze wedle swoich gustów, jak wedle swo-

105

ich zasad i poparta małymi stosunkami w mieście posiadanyimi zaczęła dawać lekcje po domach miejskich.

Osiedlając się w pokoiku swoim mówiła: „Doświadczam takiego uczucia, jak gdybym wracała z siedemnastoletniej podróży. Podróż tę zaczęłam młodziuchną dziewczeczką będąc. Siedemnaście lat, pani moja, przepodrożowałam. I cóż...”

Umilkła i zamyśliła się. Zapewne, do zwierzań się nieskłonna, samej siebie zapytywała: co w podróży tej zostawiła — co z niej przywiozła?

Dzień był zimowy, trochę mroźny i bardzo wietrzny. Z powietrza, z dachów, z ziemi gwałtowny wichur porywał śnieg twardy i ostry i z szumem, krzykiem, jękami miotał po ulicach miasta fale białego pyłu. Wszystko na świecie było białe i mętne. Na gzymsach domów i suchych gałęziach drzew krakały wrony, środkiem ulicy od czasu do czasu z głuchym klekotem dzwonek przelatywały dorożki, chodniki były prawie puste. Sklepy pozamykano szczelnie przed wiatrem i śniegiem; bramy domów zamknięte także i okna domów ze zbielałymi szybami milczały.

Wpółogłuszona przez krzyki i szumy wichru, wpółślepiąca miotającym się w twarz i oczy śniegiem, z dala już jednak dostrzegłam sunącą przede mną i fale śniegowego pyłu przerzynającą czarną, długą linię. Po chwili rozpoznałam, że była to postać ludzka i kobieca. W obcisłym futerku i do kostek podniesionej sukni, z rękami wsuniętymi w rękawy szubki, cienka, wysoka i wyprostowana kobieta szła prędko i równo, na wicher i wirującą w powietrzu śnieżycę zupełnie jakby nieczuła. Z tyłu głowy jej wiatr kręcił szalenie końcami czarnej jej woalki, ona zaś sama ani chwiała się, ani pochylała, ani zwalniała kroku..

106

Dopędzając ją zawołałam:

— Panno Antonino!

Stanąła jak wryta, obejrzała się, ale gdy chciała wyciągnąć do mnie rękę i na powitanie moje odpowiedzieć, zachwiała się i jak ktoś czujący, że upada, dłoń oparła o słup latarni.

Błądą była bardzo, usta miała wpółotwarte, oddechu jej brakowało. Dopóki szła — szła, gdy tylko stanęła, siły ją opuściły.

— Nic to, nic — siląc się na głos i uśmiech mówić zaczęła. — Przelekleś mnie, pani, wołając tak nagle. Zamyśloną byłam...

— Ależ pani nie przelekleś się, tylko się bardzo zmęczyłaś. Istotnie bo w taką pogodę...

— Co? ja się zmęczyłam? Oto także! Czy ja takie, pani moja, kursą odbywam i w takie zawieruchy chodzę! Kobieta pracująca silną być powinna.

Teorię tę wnet w praktyce stosując wyprostowała się i postąpiła naprzód. Dziwna rzecz! szła znowu prędko, równo, z kibicią wyprostowaną i podniesioną głową. I znowu za głową jej wiatr miotał i kręcił końcami jej woalki.

— Dokąd pani idziesz?

— Jak to dokąd? Naturalnie, że na lekcję.

— Czy na pierwszą?

— A któraż teraz godzina?

— Jest już, jak mi się zdaje, około dwunastej.

— Jak mi się zdaje... — z przekąsem powtórzyła — co to za fatalne przyzwyczajenie kobiecie nie wiedzieć nigdy na pewno, która godzina. Dlatego też wszystko u kobiet Bóg wie po jakimu idzie, a mężczyźni gardzą nimi i pomiatają... Że w tej chwili samo niebo pomiatało nami, była to rzecz pewna. Wicher odrzucił mnie o kilka kroków od towarzyszki mojej, aż pod ścianę kamienicy, nią zaś szamotał tak, że zdawało się, iż już, już na klęczki upadnie. Dla utrzymania przecież równowagi rozpostarła ramiona, okręciła się parę razy na miejscu i znowu mocno na nogach stanęła.

107

— Przeklęty huragan — mruknęła — spóźnię się na lekcję...

— Czy to będzie dziś pierwsza lekcja? — powtórzyłam zapytanie moje.

— At! jak można o takie rzeczy pytać? Sama pani mówiłaś, że już dwunasta. Cóż to? czy to ja pasożytem jestem, żebym miała do południa z założonymi rękami siedzieć? Od ósmej jestem na mieście. Idę na czwartą z kolei lekcję.

— Skądże idziesz pani i dokąd?

Szła z jednego końca dość rozległego miasta na drugi- W połowie drogi pożegnałam ją i wchodziłam już w bramę domu, do którego dążyłam, gdy wróciła kilka kroków i za rękę mię wzięła.

— Odwiedźże mię pani dziś albo jutro... tak mi zawsze miło dawnych znajomych u siebie widzieć... tylko przed ósmą, bo o ósmej otwieram swój uniwersytet.

Mówiąc to mocno ścisnęła mi rękę. Zza woalki od zamarzonego śniegu stężałej czarne oczy jej połyskiwały gorąco i smutnie.

Na ulicy towarzystwo jej stawało się niekiedy kłopotliwym. W grubym obuwiu i w kaloszach dla zaoszczędzenia obuwia wkładanych, brnąc w błocie albo najsrozsze ślizgawice przebywając tak równym i pewnym krokiem, jakby po gładkim granicie stapała, bystro i uważnie patrzyła ona dokoła siebie, a czynione spostrzeżenia i doświadczone wrażenia wyrażała głośno i z energią. Kobiety strojne często na ulicach ukazujące się albo dewotki z nabożnymi księgami dokoła kościołów krążące sprowadzały jej formalne ataki oburzenia. Przystawała na chwilę, oglądała się za

nimi i energicznie gestykulując nazywała je lalkami, pijawkami, pasożytami ssącymi drzewo społeczeństwa. Oczy jej zapalały się wtedy jak dwa żuźle, brwi zbiegały się i nadawały czołu wyraz bolesny i groźny. Znajomym mówiła wprost i w oczy, co o nich myśli. Matkom uczennic swoich,

108

zanadto dbającym o dokładne podobieństwo małych swych córek do żurnalów mód prawiła:

— Wstydz się pani, wstydz się! Czy chcesz pani córki swe na pasożyty wykierować i przyczynić się do zgubienia w zarodku emancypacji kobiet? Winszuję, ale nie zazdroszczę... Mieć na sumieniu tamowanie postępu ludzkości, piękna rzecz! Kiedy sprzeczano się z nią o „emancypację kobiet”, unosiła się i pomiędzy wielu innymi przytaczała niezmiennie i ten także argument:

— Dwanaście córek i dwanaście katedr, i nikt mi tego z głowy nie wybije! Nikt jej też z głowy wybić nie mógł, że wszyscy uczniowie szkół miejscowych bez różnicy płci byli najpiękniejszą ozdobą i nadzieją ludzkości, jak też przedmiotem budzącym w dobrze uorganizowanym sercu tkliwe uczucia. Na widok gromadki drobnych istot tych rojem ze ścian szkoły na ulicę wybiegających wzrok jej rozpromieniał się, twarz cała nabierała wyrazu niewymownej słodyczy i czułości. Wśród drobnej ludności tej posiadała widać sporą ilość znajomych, bo niektóre z dzieci witały ją uśmiechem i skinieniem głowy albo nawet do ręki jej przypadłszy pocałunkami ją okrywały. Bywały to najczęściej twarze dziecinne bladawe i smutne. Widocznie dziękowały jej one za coś, ale za co? — nie dowiedziałam się o tym nigdy.

Co dzień z rana wymiótłszy pokoik swój i opatrzywszy kwiatki i kanarka, mówiła do siebie: „Marsz w drogę!” i wychodziła na miasto. Maszerowanie to jej przecież słabło i wolniało na wschodach. Z coraz większą trudnością przychodziło jej wstępować na wysokie piętra. Usiłowała pokryć to, ale nie mogła.

— Albow to ja taka stara — mówiła śmiejąc się, a od bólu pomimo woli brwi zsuwając.

Starą nie była istotnie, bo nie miała jeszcze speł-na lat czterdziestu. Ale raz o szarej godzinie przyznała mi się, że artretyzm nabyty w ostatnim roku domowego nauczycielstwa coraz częściej i silniej ją

109

napastuje. Wyznanie swe uczyniła tak cicho, jak gdyby przez to zniżenie głosu do zrozumienia mi dawała, iż jest to głęboka i mnie tylko powierzona tajemnica.

— Pokoik ten — dodała — jest bardzo miłutki, ale

zimny w mrozy, a na wiosnę wilgotny. Zmieniać zaś mieszkanie — trudno!

Domyślałam się, że trudność ta pochodziła z przyczyn częścią ekonomiczną, częścią uczuciową natury. Zdrowsze i droższe mieszkanie było zapewne nad jej możność, lecz zarazem pozbawiłoby ją ulubionego obicia z polnymi kwiatkami, tych radosnych a wdzięcznych podziękowań dziecięcych, które na ulicach miasta pod stopy jej okryte obłoconymi kaloszami padały jak perły...

Chciałam mówić z nią o cierpieniu jej, coś jej doradzać, lecz szybko zmieniając przedmiot rozmowy mówić zaczęła o rozmaitych powieściopisarzach, poetach, filozofach, jako też o różnych „kwestiach i ideach”. Napelniająca pokoik jej szara

godzina zdawała się roić imionami, datami, cytatai, które gradem z ust jej się sypały. Na niskim taborecie przed palącym się w piecu ogniem siedząc, z patetycznie rozwartymi ramionami deklamowała wyjątek z poematu jakiegoś, deklamację swą przerywając dmuchaniem w stojący na ziemi samowar. Że zaś w poemacie owym znajdowała się wzmianka o Napoleonie I, skończywszy deklamować mówiła coś o strategii wojennej... Uczoną rozmowę tę ośmieliłam się przerwać zapytaniem, ile mieć może dochodu za udzielane przez się lekcje. Zmarkotniała i milczała przez chwilę. Bardzo nie lubiła, gdy ją o nią samą zapytywano; podejrzewała w tym zawsze jakieś ironiczne intencje. Tym razem jednak, bądź przez gościnność, bądź pod wpływem szarej godziny, łagodnie zabarwionej różowymi blaskami ognia, łagodnie odpowiedziała:

Cóż? Z początku szło mi wcale nieźle. Teraz gorzej trochę, bo konkurencja silna...

110

— Konkurencja?

— A tak; jest nas tu dających lekcje przepaść! W dodatku dziewczątka te, które gimnazja pokończyły, więcej ode mnie umieją i lepiej mczą, toteż naj- i lepsze lekcje im się dostają...

Więcej umieją? Boże! Ona jednak tak długo kształciła się i tak niepospolitą miała erudycję!

— Miałam kiedyś osiem godzin dziennie — rzekła • jeszcze — teraz mam już tylko pięć i bardzo lękam się... że na rok przyszły mniej jeszcze mieć będę.

Więcej już nic o tym nie powiedziała, ale przez dobre pięć minut siedziała na taboreciku swym mil- , cząca i zamyślona. Postać jej rysowała się w cieniu jak długa, cienka, czarna linia; chude, długie ręce bieleły na czarnej sukni; twarz wychyliła nieco na światło ognia, które w oczach jej, szklisto tkwiących w przestrzeni, zapalało drżące iskry. Zamyślenie to jej z osłupieniem graniczące i, odkąd znałam ją, pierwszy raz wymówiony wyraz „lękam się" wiele do myślenia dawały.

Po chwili jednak szybko i raźnie powstała, zapaliła świecę i herbatę urządzać zaczęła. Przy tym mówiła znowu o wielu rzeczach uczonych i wzniosłych. W godzinę potem pokoik jej napełnił się ubogą dziaiwą. Uprosiłam ją, aby pozwoliła mi pozostać. Lekcje trwały dwie długie godziny, w ciągu których pokoik przedstawiał istną szkółkę wieczorną z solowym i chóralnym bąkaniem sylab na elementarzach, z pisaniem liter i cyfr na zeszytach i łupkowych tablicach, z uderzaniem palcami w różne miejsca wiszącej na ścianie mapy, z klęczaniem, staniem w kącie, zapisywaniem złych i dobrych stopni etc. Wszystko to zakończyło się opowiadaniem bardzo ładnej bajki, utworem samej nauczycielki będącej, a w której były i poezja, i morał, i różne wiadomości o szerokim świecie. Dzieci w rozmaitych postawach na ziemi siedząc słuchały z zajęciem wielkim, zdradzającym się szeroko pootwieranymi oczami i ustami; panna Antonina zaś pomiędzy nimi na

111

taboreciku siedząca opowiadała bajkę swoją z przejęciem się nadzwyczajnym, z odpowiednią mimiką, gestykulacją i deklamacją. Po bajce nastąpiło rozdzielanie pomiędzy uczniów bułeczki czarnego chleba, którego też część sama nauczycielka z apetytem wielkim jeść zaczęła. Potem w pokoiku zrobiło się znowu cicho i pusto. Ogień w piecu zgasł; godzina była dziesiąta.

Przy świetle jednej świecy twarz panny Antoniny wyglądała okropnie znużoną, oczy jej nawet przygasły i kibić zgarbiła się. Ręce bezwładnie opuściła na suknię osypaną okruchami czarnego chleba na wieczerzę spożytego. Kiedy pożegnawszy ją odchodziłam, gasiła świecę i zapalała małą nocną lampkę w kącie pokoju wiszącą. — Pozwalam sobie na zbytek ten — rzekła jeszcze — grubych ciemności nie lubię, a nocami nie zawsze śpiam.

Któż odgadnie i opowie, o czym myślała ona, co czuła, gdy w długie zimowe noce na twardym, wąskim łóżeczku leżąc bezsennymi oczami wodziła po suficie i ścianach pokoiku, na którym chwiejne cienie sprzętów melancholijnie łączyły się i rozstawały ze smugami bladego światła?

Dla przyczyn różnych nie widywałam jej potem przez lat trzy, a gdy następnie zapytałam o nią u stróża kamienicy, pod dachem której po raz ostatni ją widziałam, odpowiedział mi, że od dość dawna już tam nie mieszkała. Dość długo pytać o nią i szukać jej musiałam, zanim na koniec dowiedziałam się, gdzie przebywa. Nie było w tym nic dziwnego. Od kilku miesięcy już ludzie widywać ją przestali.

Wszedłszy na korytarz szpitala wąski, długi, z bia-tymi jak śnieg ścianami i błyszczącą jak lustro posadzką zapytałam przechodzącego posługacza o osobę, którą odwiedzić chciałam. Wskazał mi jedne spo-

112

między drzwi, których dwa długie szeregi znajdowały się po obu stronach korytarza. Weszłam.

Znowu pokoik, ale bez obicia z polnymi kwiatkami, bez obrazków, kanarka i kwitnącej pelargonii. Czarne pręty żelaznego łóżka suchymi liniami rysowały się na ścianach białych jak śnieg, a tak wysokich, że trzeba było długo podnosić wzrok, aby dosięgnąć nim sufitu. Za ogromnym, nagim oknem ze zwiniętą u góry żółtawą sztorą, w gęstej jesiennej mgle chwiały się z wolna bezlistne szczyty topoli rosnących w szpitalnym ogodzie. Naprzeciw okna wysokie i jak zwierciadło od polityry błyszczące drzwi, przy łóżku stolik żelazny, u przeciwległej ściany stół i dwa żółte stołki. Czysto tu było, nago, smutno i okropnie nudno. W dobrze ogrzanym i oświeżonym powietrzu drgało nieujęte uczucie chłodu i unosiły się cklive wonie lekarstw.

Na żelaznym łóżku o wysokich, czarnych prętach, na białej jak śnieg pościeli, pod żółtawą kołdrą szpitalną leżała panna Antonina. Mocno siwe włosy jej całkiem były w tył odczesane, przez co odkryło się, przysłaniane dawniej, wysokie i wypukłe jej czoło. Przy twarzy zmalalej od wychudnięcia czoło to wyglądało ogromne, a okrywał je rój drobnych, gęstych, w różne kierunki krzyżujących się zmarszczek. Zapadłe oczy jej przypominały okryte parą zwierciadło; wąską linię ust bladych i ściśniętych okrążał wyraz milczącego cierpienia. Twarz ta woskową żół-tością swą odbijała od bieli poduszki, w zamian splecione ręce jej delikatne, z siatką błękitnych żyłek, wydawały się bardzo białymi na tle żółtej kołdry.

Zrazu nie poznała mię. Wzrok miała osłabiony, nade wszystko zaś nie spodziewała się odwiedzin jakichkolwiek; potem z uśmiechem wyciągnęła do mnie rękę i usiłując jeszcze być gościnną chciała podnieść się, usiąść. Nie mogła jednak. Była bardzo słabą i oddech miała krótki, ciężki, głośny. Leżąc więc powiedziała mi, że zostaje tu już od kilku miesięcy.

w

Zbierało się jej, zbierało na tę długą chorobę przez lat kilka, aż na koniec zebrało się. Artretyzm spadł jej na płuca, zapewne dlatego, że wiele chodziła po wietrze i słońcu, a przy lekcjach musiała ciągle mówić. Zresztą lekcji miała już w ostatnich czasach coraz mniej. Zmuszona była wziąć mieszkanie tańsze, które było chłodniejszym jeszcze i wilgotniej-szym od tamtego. Kiedy zachorowała, przez parę miesięcy leżała w mieszkaniu swoim, ale potem... kuracja kosztowała bardzo drogo i dozoru nad sobą akuratnego mieć nie mogła... Cóż? w szpitalu tym bardzo jest dobrze; lekarze dobrzy tu są i troskliwi, dozór dobry i wszystko na żądanie. W dodatku dobrzy ludzie wystarali się o to, aby mogła leżeć nie we wspólnej sali, ale w osobnym pokoju. Płacą nawet za to, ale cóż robić? Musi już ona przyjmować ofiarę tę i bardzo jest za nią wdzięczna.

Wszystko to mówiła cicho, z wolna i z uśmiechem. Potem spoczawszy minut parę, dodała:

— Tak, to już na świecie jest, pani moja! człowiek złożony jest z ducha i ciała i nie tylko duchowe, ale i cielesne dolegliwości mieć musi. I żeby to tak zaraz umierać, jak tylko duch albo ciało bardzo cierpieć zaczną, ale gdzie tam! Nim śmierć przyjdzie, wszystkiego doświadczyć trzeba... Taką już jest sroga rzeczywistość... Odpocząwszy nieco, wypytywać się zaczęła: co tam na świecie słychać? co piszą w gazetach? jakie nowe książki wyszły? czy w parlamencie angielskim odbyły się już narady nad dopuszczeniem kobiet do wotowania? itp.

Odpowiedzi na pytania te słuchała prawie z chciwością. Parę razy oczy jej zapłonęły dawnym ogniem i uśmiech szczery, prawie wesoły, okrzyknął usta. Potem westchnęła i utkwiała wzrok w kołyszące się za oknem bezlistne szczyty topoli.

— Tak, tak! — szepnęła — świat idzie sobie drogą swoją, choć ludzie jak muchy z drogi tej znikają... Chciałabym bardzo popatrzeć jeszcze na to wszys-

Orzeszkowa

114

tko... Mogłabym... wszakże tak bardzo starą nie jestem...

Miała wtedy lat czterdzieści parę — nie była więc już młodą, jednak widywałam kobiety w jej wieku tańczące na balach i inne, które w silnych ramionach kołysały malutkie wnuki. Ona nie mogła już dnia tego mówić ani słuchać więcej. Po półgodzinnej rozmowie żółte powieki jej opadły bezsilnie na zgasłe źrenice, ręce i wargi zacisnęły się w niezmiernym wysileniu woli powstrzymującej jęki.

Innego dnia wchodząc do szpitalnego pokoju znalazłam chorą wpółsiedzącą na łóżku z małą, otwartą szkatułką na kolanach. Tak była pogrążoną w rozpatrywaniu przedmiotów znajdujących się w szkatułce, że zrazu wejścia mego nie spostrzegła. Usłyszawszy dopiero powitanie moje podniosła głowę i z wolna, nie śpiesząc się, szkatułkę zamknęła. Była dnia tego trochę silniejszą, lekarstwo jakieś ulgę jej sprawiło. Po kwadransie rozmowy o tym, co na świecie słychać, z uśmiechem rzekła:

— Widzę, że spoglądasz pani ciągle na szkatułkę moją i pewnie ciekawa jesteś, co się w niej znajduje... Może nawet myślisz sobie: „Ot, chytra babina! uciułała sobie przez całe życie pełną szkatułkę pieniążków, a teraz na szpitalnym łóżku leżąc, liczy je dla rozrywki i może kupony od bilecików odcina!...”

Mówiąc to śmiała się tak serdecznie, że aż potem zakaszła się gwałtownie i przez

minut kilka leżała bez ruchu, z zamkniętymi oczami, prędko i chrapliwie oddychając; podniosła potem ciężkie powieki i omglonym wzrokiem długo na mnie patrzała. Nie śmiała się już ani uśmiechała; powoli i tak cicho, że zaledwie dosłyszeć ją mogłam, mówić zaczęła:

— Owszem, z przyjemnością pokażę pani, co mam w tej szkatułce. Nie ma tam klejnotów ani osobliwości żadnych, tylko... są wszystkie moje pamiątki... Otworzyła szkatułkę pełną przedmiotów jakichś w papiery i papierki pozawijanych. Rozwinęła pa-

115

pierek jeden i pokazując mi duży liść dębowy, tak zeschły, że prawie w proch rozsypujący się, rzekła:

.— Zerwałam to z drzewa, wyjeżdżając od państwa Skierskich... pamiętasz pani? z tego domu, gdzie mi tak dobrze było, gdzie tak wszystkich, wszystkich kochałam... Pod drzewem tym siadywałam zwykle przez całe lato z uczennicami mymi, z robotą, z książką— dobrze mi wtedy było... Myślałam, że tam długo, długo będę..., Może i zawsze. Kiedy już trzeba było odjeżdżać, wycalowałam drogie 'moje drzewo i liść ten na pamiątkę domu tego z sobą powiozłam... Nazywam go sobie zawsze liściem wiary, bo wierzyłam wtedy w serca ludzkie, w przywiązanie, wierność... Ach! jak wierzyłam!...

Zwłoki, a raczej prochy „liścia wiary” starannie znowu owinąwszy w papierek, powoli rozwinęła drugi-

— A to, widzisz pani, pasemko włosów mojej babuni... staruszki tej, której ostatnich lat osłodą byłam i która w chwili skonania tak czule mię pobłogosławiła... Białe to jak śnieg i błyszczy jak srebrno... Biedna, kochana staruszka! Nazywała mię zawsze Antosią!

Tu drżące trochę palce jej spotkały się w szkatułce z przedmiotem, przed ukazaniem którego zawahała się chwilę. Zdaje się, że blady, zaledwie dostrzegalny rumieniec na mgnienie oka zamigotał pośród zmarszczek jej czoła. Na koniec w palcach jej ukazała się fotografia. Podając mi ją szepnęła:

— To on!

Spuściła wnet oczy i długo riie mówiła nic.

Fotografia spłowieła i wpółzarta przedstawiała twarz młodego mężczyzny ani piękną, ani brzydką, tak już zresztą niewyraźną, że nic z niej wyczytać nie można było. Gdy przypatrywałam się jej, panna Antonina nie podnosząc powiek szepnęła:

— Widzi pani, każdy człowiek na świecie ma sobie w przeszłości swej poemacik jakiś. I ja go mam.

8«

116

Była to tylko chwila+. iskra czy róża przeleciała mi przez drogę. Coś pamiętam... jakieś ranki letnie w pięknym ogrodzie, jakieś wieczory jesienne przy ogniu kominka... zdaje mi się, że on mię prawdziwie kochał. A może i nie? — czy ja wiem... Zniknęło i jakże to dawno już było... dawno... dawno!

— Czy widywałeś go pani potem?

— Nigdy; najczęściej ludzi, z którymi rozstawałam się, nie widywałam już potem

nigdy. I jej także nigdy już nie widziałam...

Tu podała mi zeszyt dziecięcą ręką zapisany. Były to „wypracowania” owej najdroższej uczennicy jej.

— Co to było za dziecko — zawołała i dźwignięta wracającym jej dawnym zapałem usiadła na łóżku — była to, pani moja, dziewczynka genialna! Jak ona wszystko rozumiała, jakim stylem już pisała, jakie szlachetne, wzniosłe uczucia napępniały już to dziecinne serce!

Splotła ręce, wzniesione oczy jej płonęły.

— O, pani moja! żeby mi kto powiedział, żeby mi powiedzieć mógł, że nauki moje zostawiły w dziecku tym ślad trwałe, że ziarna, które w nie rzucałam, świat nie zdeptał i na cztery wiatry nie rozniósł... żeby mi kto powiedział, że jest ona teraz kobietą rozumną i wzniosłą... umarłabym błogosławiąc tego, kto by mi wlał w usta tę kroplę słodocy!...

Upadła na poduszki zmęczona, bezsilna, z dyszącą piersią.

— I nie odezwała się już ona do pani nigdy?

Odszepnęła bardzo cicho:

— Nigdy. Przyrzekała pisywać do mnie i gdy dorośnie, wezwać mnie do siebie, ale... dzieckiem jeszcze była... zapomniała!

Było tam jeszcze, w szkatułce tej, kilka innych przedmiotów starannie chowanych: spory zeszyt no-tat i wyciągów z książek najróżniejszej natury, długi spis tytułów dzieł przez całe życie przeczytanych, jako też imion ich autorów, słowem, ślady 117.

i pamiątki długoletniego, żarliwego kształcenia się-

Na wznak leżąc, z przymkniętymi od zmęczenia oczami, panna Antonina wynalazła w szkatułce jeden jeszcze papierek, a gdy go rozwinęła, zobaczyłam mały kąsek i trochę okruch czarnego chleba.

— To z mego pokoiku... tego, w którym pani bywałaś. Łamałam się tam z biednymi dziećmi czarnym chlebem wiedzy mojej i moich dostatków... Zmieniając mieszkanie wzięłam go trochę z sobą na pamiątkę...

Potem przez dość długi szereg dni następnych znajdowałam najczęściej pannę Antoninę pogrążoną w rozpatrywaniu zawartości swej szkatułki. Im słabszą była i więcej cierpiała, tym pilniej i nieustannie przyglądała się przedmiotom z papierków odwijającym. Przystawała już zapytywać o to, co na świecie słyhać. Często zdawała się zapominać o obecności mojej.

U ogromnego, nagiego okna z robotą siedząc długie chwile przypatrywałam się jej, gdy nad szkatułką swoją schylona w wychudłych palcach trzymała okruchy dębowego liścia albo pasmo siwych włosów, albo spłowiałą, mętną fotografię, albo jeszcze jeden z uścielających dno szkatułki zeszytów i wlepiając w nie oczy poruszała z wolna spieczonymi wargami, jakby wiodła z nimi tajemnicze, czułe niekiedy, a niekiedy gorzkie i gniewne rozmowy.

Raz, po długim wpatrywaniu się w jeden z zeszytów, żywym ruchem podniosła głowę i po dawnemu pięść ściskając zawołała:

— Żeby mi kto powiedział, po co ja tę strategię i tę filozofię niemiecką studiowałam! Siwieć zaczęłam... prawdę powiadam, pani moja, że nad tą strategią i

nad tą filozofią siwieć zaczęłam!

Mimo woli uśmiechnęłam się. Spostrzegła to; gniewnie wstrząsnęła głową.

— Śmiejesz się pani — sarknęła — przepraszam, ale wcale nie ma z czego. Kiedy kto gwiazdę wiedzy ukocha i dążyć do niej pragnie, a drogi prostej nie zna, omackiem idzie... ludzi to śmieszy, zapewne; ale tym, co sobie łby o ściany rozbijają, wcale nie wesoło... Oho! gdybym się ja drugi raz na świat urodziła albo gdybym córki miała...

Innego dnia, po całej godzinie rozpatrywania się w pamiątkach swoich, podniosła na mnie wzrok łagodny i pełen wyrazu prośby.

— Pani moja droga — rzekła — jeżeli ja z choroby tej umrę, bądź tak łaskawą i spal wszystko, co w tej szkatułce... Po co się to ma po szpitalnym śmietniku ciągać. Na wznak leżąc, omglonym, zadumanym wzrokiem z wolna ściagała chwiejące się w mgle jesiennej szczyty ogrodowych topoli; potem rzekła jeszcze...

— W ogień — i koniec. Spali się to i śladu po mnie na ziemi tej nie zostanie...

Tu, jakby wstrząśnięta brzmieniem wyrazów własnych, uczyniła ruch żywy; łokciem wsparta o poduszkę w pół podniosła się i prędko, ciężko dysząc, zawołała:

— Czy naprawdę żadnego, żadnego śladu nie zostanie?

W oczach jej nagle rozpromienionych malowało się niespokojne, gwałtowne, rozpaczliwe prawie pytanie. Pytaniem tym dręczyła się ciągle przez kilka dni następnych.

— Bo jeśli nic, nic nie zostanie... to po cóż było... to jakież sens...

Potem z rozwagą i łagodnie mówiła:

— A może i zostanie coś... Może w tych małych głowach i sercach zostało z nauk moich choć trochę. Z całej siły pragnęłam... starałam się... zresztą choćby i to, że czytać je nauczyłam...

Dręcząc się tak i pocieszając z kolei, słabła coraz bardziej. Dolna część jej twarzy wydawała się

119

coraz mniejszą, a czoło coraz ogromniejszym i wy-puklejszym. Po kilku dniach przestała już troszczyć się i o pozostawienie śladów swych na ziemi; przynajmniej nie mówiła już o tym. Całkiem prawie mówić przestała i leżała nieruchomo, czasem jeszcze tylko rozwijając który z papierków i na zawartość jego zwracając wzrok mdlejący w osłabieniu albo rozplómienny gorączką. Zapytałam ją raz, czy bardzo cierpi. Z cieniem dawnej patetyczności odpowiedziała:

— Czarne noce o tym wiedzą, a pewnie opowiadać tego nikomu nie będą.

Po chwili do siebie samej szepnęła:

— Gdybym miała córki...

Zaczęłam mówić jej, że przecież pomiędzy ludźmi...

— Tak, tak — podchwyciła — zapewne! Ludzie byli dla mnie zawsze więcej dobrzy niż źli. Ot i kiedy zachorowałam, przywieźli mnie tu w wygodnym powozie, najęli osobny pokój, z początku odwiedzali nawet czasem... potem przestali odwiedzać, bo każdy ma swoje zajęcia, stosunki... bardzo wdzięczną jestem za wszystko... ale te wielkie przyjaźnie i przywiązania pomiędzy obcymi... to tylko w powieściach...

Dnia pewnego znalazłam ją tak już słabą, że leżąc oddychać nie mogła. Ułożono jej

za plecami tyle poduszek, aby utrzymywała się w postawie siedzącej.

Na kolanach jej stała otwarta szkatułka.

Gdy usiadłam przy łóżku, nie poruszając głową, bardzo powoli wzrok na mnie zwróciła.

— Wiesz pani? — szepnęła — znowu doświadczam uczucia takiego, jak gdybym wracała z długiej, długiej podróży. Dwadzieścia sześć lat podróżowałam i ani jednego dnia swobodnie po świecie nie bujałam... I cóż...

Znowu nie dokończyła, ale ręce jej podobne do rąk

120

szkieletu, nad otwartą szkatułką rozwarte i drżące, zdawały się zapytywać: co w podróży tej pozostawiła i co z niej przywiozła?...

Marzy mi się nieraz, że kędyś, w niewidzialnej strefie duchowych dziejów ludzkości, istnieje mgławica jakaś ogromna i niezgłębiona, złożona z dusz, które życie dostało w postaci pąka pięknego kwiatu, a wypuściło z swych objęć poszarpane i zmięte. Duszo zmęczona, nie wynagrodzona, lecz w tę wymarzoną mgławicę; może ona kiedyś utworzy świat nowy i lepszy...

Prowadzone za rękę przez Janową, żonę mularza, weszło maleństwo do pięknego salonu pani Eweliny Krzyckiej i wylekłe, i zachwycone, drobnymi kroczkami drepczące po śliskiej posadzce, gotowe — stosownie do okoliczności — wybuchnąć płaczem albo i śmiechem. Korallowe usteczka drżały i krzywiły się do płaczu, wielkie szafirowe źrenice paliły się od zdumienia i ciekawości, a ślicznie wykrojone czoło otaczały gęste, gęste włosy z barwą i gorącymi połyskami ciemnego złota. Była to pięcioletnia dziewczynka, bardzo ładna. Obok prowadzącej ją barczystej i silnej kobiety, w swej perkalowej, długiej aż do ziemi sukieneczynie przypominała białawego motyla ze zwiniętymi skrzydłami. O kilka kroków od progu drgnęła z przestachu i już, już krzyknąć miała wniebogłosy zapewne, lecz nagle wrażenie trwogi ustąpiło snadź przed uczuciem radości, bo gwałtownie wyrwijąc rękę swą z grubej dłoni Janowej i przysiadając na posadzce, ze śmiechem i czułością niezmierną wołać zaczęła:

— Ciucia! ciucia!

Pierwsze spotkanie, groźnie zrazu zapowiadające się, przybrało charakter całkiem przyjacielski. Malutki pinczerek, który rzucił się był na wchodzące osoby z zajadłym i piskliwym szczekaniem, stanął przed siedzącym na ziemi dzieckiem i wpatrywać się w nie zaczął parą czarnych, błyszczących, pojętnych oczu. Dziecko zatopiło w śnieżnej ogromnej jego szerści dwie malutkie czerwone rączki. Lecz w tejże chwili nad dwojgiem zaznajamiających się ze sobą istot stanęła kobieta około czterdziestoletnia, jeszcze piękna brunetka, wysoka i czarno ubrana. Mularzo-wa schylona we dwoje całowała białą jej rękę-

— Helka! czemuż wielmożną panią w rękę nie całujesz! patrzcie ją! z psem się już bawi! Niech wielmożna pani nie gniewa się na nią! To jeszcze takie głupie! Ale pani Ewelina gniewać się ani myślała. Przeciwnie, czarne oczy jej pełne ognia i czułości z wy-

123

razem zachwycenia tkwiły w twarzączce dziecka, którą Janowa grubą swą ręką ku niej wznosiła. Helka miała teraz łzy w szafirowych źrenicach i obydwoma rękami

trzymała się spódnicy Janowej.

_ Robiliśmy, wielmożna pani, dla dziecka tego wszystko, cośmy mogli, ale zwyczajnie u biednych ludzi grzeczności nie nauczyła się... Ot, teraz dopiero Pan Bóg los jej zsyła... sierocie!

— Sierota! — ze wzruszeniem powtórzyła pani Ewelina i pochyłona nad dzieckiem chciała zapewne wziąć je w ramiona. Lecz nagle cofnęła się. Wyraz litości twarz jej okrył.

— O, biedactwo! Jakże to ubrane! — zawołała — sukienka długa aż do ziemi... Zaśmiała się.

— A koszula jaka gruba i włosy!... Ona ma cudowne włosy, ale któż to takiemu dziecku splata warkocze!... Trzewiczki jakie grube i bez... bez poń-choszek... Wyprostowała się, palcem dotknęła srebrnego dzwonka, na przeciągły, ostry dźwięk którego Helka zaśmiała się, a Janowa szeroko otworzyła oczy.

— Panny Czernickiej! — rzekła krótko do zjawiającego się w drzwiach lokaja. W mgnieniu oka pośpiesznym bardzo krokiem weszła kobieta trzydziestoletnia, w czarną, obcisłą suknię ubrana, wysoka, chuda, z cerą ciemną i zwiędłą, z czarnymi włosami spiętymi z tyłu głowy wysokim, szylkretowym grzebieniem. Od progu bystre jej oczy obrzuciły mularzową i przyprowadzone przez nią dziecko chmurnym wejrzeniem, lecz gdy znalazła się o kilka kroków od pani swej, wzrok jej zabłysnął najpiękniejszą pogodą, a na wąskich, zwiędłych wargach osiadł pokorny i przymilający się uśmiech. Pani Ewelina, ożywiona bardzo, zwróciła się wnet do niej:

— Moja Czernisiu, widzisz,- to owo dziecko, o którym wczoraj ci mówiłam. Przypatrz się tylko! co to za rysy... jaka delikatność cery... a oczy... a włosy...

124

gdyby tylko troszeczkę utyla i nabrała rumieńców, można by ją drugiemu jakiemuś Rafaelowi na mo- j del do cherubinka przedstawić... Przy tym sierota!... wiesz, jakim wypadkiem znalazłam ją u tych pocziwych ludzi... w takim smutnym domostwie... wilgotnym, ciemnym... Zaświeciła mi tam przed oczami jak perła na śmietniku... Bóg mi ją zesłał... Ale, | moja Czernisiu! trzeba ją wykapać, uczesać, ubrać... I Zmiłuj się! za godzinę, za dwie najdalej, niech mi I to dziecko zupełnie inaczej wygląda...

Czernicka uśmiechała się rozkosznie, ręce u piersi gestem zachwycenia splatała, na znak pośpiesznego przytwierdzenia wszystkiemu, co pani jej mówiła, głową trzęsła. Pani Ewelina była w humorze wybornym. W wyborny też humor wpadła chmurna i posepna u wejścia panna służąca. Jak wprzód Helka przed pieskiem, tak teraz ona przed Helką na ziemi ! przysiadła i do dziecka, dziecinne szeplenienie na- I śladując, szczebiotać zaczęła. Potem z trudnością I wielką, lecz starannie ukrywaną, pochwyciła Helkę I w swe suche, sprężyste ramiona, znad ziemi unio- [sła, do piersi przycisnęła i twarz jej świszczącymi I pocałunkami okrywając z salonu ją wyniosła. Pani I Ewelina, rozpromieniona i od łez rozrzewnienia zaledwie wstrzymać się mogąca, przez chwilę jeszcze rozmawiała z Janową, która niezmierną dobrocią jej ośmielona i także rozrzewniona płakała i po raz wtóry opowiadała historię Helkj, sieroty po krewniaku jej, tak samo jak mąż jej mularzu, który z rusztowania spadłszy zabił się na śmierć, po czym j prędko i żona jego, a Helki matka, z cholery umarła. Sierota po ojcu i matce! Obie kobiety, wdowa po bogatym panu i żona mularza,

rozzewniły się do łez na dźwięk tego słowa. Pani Ewelina chwaliła j bardzo Janowej i mężowi jej uczucie chrześcijańskiego miłosierdzia, z jakim przytuliła do siebie to biedne, a takie śliczne dziecko; Janowa sławiąc dobroć i miłosierdzie pani Eweliny, dziecko to pod stałą opiekę swą przyjmującej, policzki swe, i beZ

125

tego czerwone, od krwistej barwy rękawem lustryno-wego kaftana natarła. Skończyło się na tym, że mu-larzowa byłaby na klęczki przed panią Ewelina upadła, aby skraj sukni jej, niby świętej, ucałować, iecz pani Ewelina powstrzymywała ją słowami, że przed Bogiem tylko na klęczki upadać trzeba, po czym prosiła mularzową, aby wzięła od niej kilka rubli na cukierki dla dzieci swoich. Teraz Janowa zaśmiała się przez łzy rubasznie i wesoło.

— Dam ja im cukierki! — zawołała — albo to pańskie dzieci, żeby im cukierków trzeba było. Jeżeli już wielmożna pani taka łaskawa, to za pieniądze te sprawię Wickowi buty, a Marylce i Kaśce chusteczki na głowy...

Na koniec pożegnały się. Janowa w powrocie do chaty swej ze dwadzieścia razy zatrzymała się na ulicach miasta, przed dwudziestu napotkanymi osobami sławiąc anielską dobroć i miłosierdzie pani Eweliny. Pani Ewelina zaś pod odejściu Janowej osunęła się na ^kanapę i wsparła na białej dłoni czoło obciążone tęskną i zarazem rozkoszną zadumą.

0 czym myślała? O tym zapewne, że Bóg w nieprzebranej dobroci swej zesłał na mroczną i chłodną drogę jej życia ciepły i jasny promień słońca... Promieniem tym miała jej być odtąd śliczna ta sierotka, wypadkiem wczoraj znaleziona, a dziś za córkę przybrana... O, jakże ona kochać będzie to dziecko! Czuje to po przyspieszonym oddechu swej piersi, po tej fali życia i młodości, która, zda się, nagle nappełniła całą jej istotę i aż wzdymała serce. Było już jej tak pusto i nudno na świecie, czuła się tak samotną, taki grobowy chłód ją ogarniał. Już, już zastygnąć, zestarzyć, w martwą apatię lub w ciemną Melancholię wpaść miała, gdy oto Opatrzność dowiodła jej raz jeszcze, że czuwa nad nią, że wśród najgłębszej nawet niedoli ufności w czuwanie to tracić nie należy... Byleby Czernisia prędko oczyściła

1 ubrała tego aniołka...

ta zaduma pani Eweliny przerwana została przez

126

dwie kosmate łapki, które wspinając się na jej kolana zaplątywały się w koronki jej sukni, a ostrzem pazurków dosięgały jej ręki. Obudzona, wzdrygnęła się i gniewnym gestem odtrąciłaś od siebie natrętne- I go pieska. On gniew jej wziął za wesołe żarty. Zbyt długo snadź był kochanym, aby móc łatwo w od- I trącenie uwierzyć. Zaskomlił radośnie i znowu kos- I matymi łaokami darł koronki i drapał atlasową rękę. I kę swej pani. Tym razem poskoczyła z kanapki, za- I dzwoniła.

— Panny Czernickiej! — rzekła do zjawiającego I się lokaja.

Czernicka wbiegła zdyszana, z rumieńcami na I ciemnych policzkach, z rękawami czarnej sukni za- I winiętymi po łokieć.

— Moja Czernisiu! weź, proszę cię, Elfa i niech on I tam przy tobie w garderobie zawsze już będzie. Drze mi koronki, nudzi mię...

Kiedy panna służąca schyliła się, aby wziąć pieska, na wąskich wargach jej przemknął uśmiech | szczególnie. Było w nim trochę szyderstwa, trochę smutku. Elf

warknął, cofnął się i przed ujmującymi ; go kościstymi rękami uciec chciał na kolana swej pani. Ale pani Ewelina usunęła go z lekka, kościste zaś ręce pochwyciły tak mocno, że aż zaskomlił. Czernicka bystre spojrzenie przez mgnienie oka zatopiła w twarzy swej pani.

— Jaki ten Elf zrobił się nieznośny... — szepnęła nie bez pewnego wahania w głosie.

— Nieznośny! — powtórzyła pani Ewelina i z gestem niechęci dodała: — Nie pojmuję już, jak można głąm tak bardzo lubić takie nudne stworzenie...

— O! on był kiedyś wcale innym! Ł

— Nieprawdaż, Czernisiu, wcale był innym. Byli kiedyś prześlicznym... Ale teraz...

— Teraz zrobił się nudnym...

— Okropnie nudnym... Weź go do garderoby I i niech się już nigdy nie pokazuje w pokojach...

Czernicka była już w progu, gdy usłyszała znowu:

127

— Czernisiu!

Odwróciła się z pośpiechem pokornym i przymilnym uśmiechem.

Cóż tam z naszą małą?

— Wszystko będzie wedle rozkazów pani. W łazience wanna już gotowa. Paulina kąpać będzie Hel-kę.j

— Panienkę... — od niechcenia przerwała pani Ewelina.

— Panienkę... Ja kroję sukienkę z tego błękitnego kaszmiru, co to w komodzie...

— Wiem, wiem...

— Kazimiera pobiegła do sklepu z obuwiem, Janka posłałam do sklepu z gotową bielizną... sukienkę choć sfastryguję tymczasem... tylko proszę panią

0 koronki, wstążki i pieniądze na wszystko...

Koronek, wstążek, tiulów, gaz, kaszmirów, atlasów pełno było w szafach i komodach napełniających sobą kilka pokojów obszernej i pięknie urządzonej willi pani Eweliny.

Czernicka dość długo otwierała

1 zamykała szafy i szuflady nie przestając przecież ani na chwilę ścisnąć w dłoni banknotu sporej wartości. Potem był w garderobie wielki gwar zażartego targowania się i kupowania; potem jeszcze spora część wyjętych z szaf i komód przedmiotów, jako też część wartości rozmienionego banknotu znikły w przepaścistym kufrze stanowiącym osobistą własność panny służącej. Na koniec z wypogodzoną twarzą, widocznie zadowolona zyskiem z przybycia do domu sierotki otrzymanym, pośpiesznie zaczęła ona fastrygować i szpilkami upinać naprędce sporządzoną sukienkę. Nazajutrz dopiero krawcy, szewcy i szwaczki rozpocząć mieli formalną robotę około garderoby panienki. Tymczasem zaś panienka ta, wykąpana już i uczesana, lecz jeszcze w grubej koszulinie swej i z bosymi nóżkami, siedziała w pokoju Czernickiej na ziemi i wśród najczulszych pieścizot z Elfem zapominać zdawała się o całym świecie.

0 całym świecie też zapomniała utopiona w głę-

128

bokiej zadumie pani Ewelina. Zadumy tej nic już teraz nie przerywało. W obszernym

salonie, świetnym od przystrajających go zwierciadeł, obrazów i paśowych adamaszków, parlowała cisza głęboka. Przez wpółotwarte portiery widać było kilka większych i mniejszych pokojów, pogrążonych również w ciszy i półcieniu. Ukośne promienie zachodzącego letniego słońca wnikając przez szczeliny zapuszczonych żaluzji ślizgały się tu i ówdzie po ścianach, kobiercach i złożonych ramach obrazów. Zza okien dochodziły wonie rozkwitłych róż i świergoty ptactwa, w głębi domu, w sali jadalnej, z cicha pobrzękiwały ustawiane do wieczerzy naczynia.

Pani Ewelina dumiała o swej niedoli. Nie przesadzała bynajmniej myśląc, że jest bardzo nieszczęśliwą. Istotnie, wdowa od lat wielu, bezdzietna, z sercem gorącym a samotnym, nie była nawet tak bogatą, aby móc zawsze przebywać tam, gdzie życie przedstawiało dla niej najwięcej jeszcze uroków, a najmniej smutków i znudzenia. Majątek jej był wprawdzie znacznym, nie tyle jednak, aby kłopoty i interesy różne nie przykuwały ją niekiedy i na czas pewien do tak brzydkiego, smutnego, nudnego miejsca, jakim jest Ongród. Teraz szczególnie z pięknymi i obszernymi dobrami, posiadanymi przez nią w okolicach Ongrodu, stało się coś niezwykłego. Były tam jakieś umowy do zawarcia, jakieś długi do spłacenia, jakieś nieuniknione gospodarskie wydatki do poniesienia — a wszystko to odejmowało pani Ewelinie wszelką możliwość wyjechania za granicę albo przynajmniej zamieszkania w największym z miast krajowych. Przebyła więc tu blisko dwa już lata, lata ciężkie, nużące. Obca wszystkiemu i wszystkiemu, otoczona prozaicznymi widokami małego miasta, tęskniąc do wzniosłych artystycznych uciech, które stanowiły dotąd największy urok jej życia, a których naturalnie tu całkiem pozbawioną była, żyła ona jak pustelnica, zamknięta w willi swej z obrazami swymi, fortepianem, Czernisią i Elfem. Życie jej tu o ty-

129

je czyste było, o ile smutne, a jednak spokój sumienia nie był zupełnym. Nie czyniła nic dobrego i wyrzucała to sobie często i gorzko. Żądza czynienia dobrze była jedną z najżywiej drgających strun jej ducha. Dobroczynność sięgała w niej stopnia namiętności i wiele, wiele razy w życiu przynosiła jej uciechy moralne, zastępujące szczęście, którego nie zaznała nigdy. Lecz... bywało tak gdzie indziej. Tu nie wiedziała nawet, jak i co czynić, aby najgłębszą potrzebę szlachetnego serca swego zaspokoić. Wprawdzie kiedy niekiedy tym i owym dawała ona hojne jałmużny, ale nie czyniło to zadość sercu jej ani wypełniało czasu, ani zadowolnić mogło sumienia. Ona w wielkich miastach przywykła do dobroczynności pracowitej, czynnej, pod wodzą światłych kierowników duchowych dokonywanej, a oddające się jej osoby prowadzącej na strychy wysokich kamienic, w ciemne suteryny, do przytułków i ochron, nad stoliki ze srebrnymi tacami w przedsionkach świątyń umieszczone itp. Niedostatek sposobów do wykonywania takiej właśnie dobroczynności dręcząc ją dolewał jedną więcej kroplę do gorzkiego jej kielicha. Nagle w Ongrodzie uformowano tak zwane Towarzystwo Dam Dobroczynnych. Pani Ewelina, jako naj-namiętniejsza zapewne mieszkanka miasta, do wzięcia udziału w czynnościach towarzystwa tego wezwaną została. Była to pierwsza radość, jakiej od lat dwu doznała. Będzie więc mogła czynić dobrze! Siły serca, których tyle czuła w sobie, znajdą dla siebie ujście jakieś! Oko jej zazna jeszcze roszącej je zazwyczaj na widok nędz ludzkich łzy litości i rozrzewnienia!

0 ucho jej objią się dziękczynne i błogosławiące wyrazy tych, pośród których zjawi się niby anioł pomocy

1 pocieszenia! Stała na wezwanie natychmiast. Wskazano jej dzielnicę miasta, w której wyszukiwać miała ubogich. Szukając zaszła wypadkiem do domostwa zamieszkiwanego przez rodzinę mularza i zobaczyła Helkę. Dziecko przedstawiło się jej w malowniczej jakiejś pozie. Bawiło się podobno z psem

8 ~ Orzeszkowa

130

czy z kotem, czy może siedziało przed progiem chaty oblane słońcem, które we włosach jej rozpałało ogniste błyski, czy może jeszcze, zdumione widokiem powozu, koni i pięknej, strojonej kobiety, stanęło w progu jak wryte i utkwilo w niej dwoje źrenic, w których ona dojrzała upalny szafir włoskiego nieba —dość że od razu wydało się jej niezwykłym, prześlicznym i że gdy przyłożyła usta swe do policzka dziecka, na którym istniały jeszcze ślady tylko co jedzonego krupniku ze słoniną, pomimo śladów tych serce jej uderzyło żywiej i na dźwięk wymówionego przez Janową wyrazu: „sierota!” łza litości i rozrzewnienia zrosiła jej oko. Zaprażyła dziecka tego, zaprażyła go na wyłączną swą własność z zapalem i mocą duszy namiętnej jak wulkan a samotnej jak łódź :ia burzliwych przestworzach morza zblakana... Teraz przedmiot ten pragnień jej był już pod jej dachem. Oddano go jej na zawsze i zaprawdę, bez trudności! Teraz kochając dziecię to uspokoi tęskniące swe serce, a osłaniając je macierzyńskimi skrzydły zadowolni sumienie swe, rozkazujące jej czynić dobrze!... Lecz gdzież ona jest, prześliczna dziecina ta? Gdzie jest ten zesłany jej przez Opatrzność anioł pociechy i ukojenia? Dlaczego Czernisia nie przyprowadza jej dotąd? Biedactwo! jeszcze pewnie nie ubrane! Ale że umyte już i wykapanie, to pewna, trzeba by pójść do pokoju Czernickiej, uściskać je, ucałować, do serca przytulić...

Zerwała się z kanapki, biegła przez salon i w połowie drogi ze splecionymi u piersi rękami stanęła. W drzwiach przeciwległych ukazała się Czernicka prowadząca za rękę Helkę, ale jakżeż zmienioną! Jakaż metamorfoza! Białawy motyl ze zwiniętymi skrzydłami przemienił się w świetnego kolibra. Różowe wstążki niby piórka czy skrzydełka pstrzyły błękitną sukienkę. Z puchów białych koronek wysuwały się okrągłe nóżki obciążone pończoszkami delikatnymi jak sieć pajęcza, a nienaknymi w malutkich, błękitnych trzewiczkach; ogniste włosy utrefione, wo-

131

njejące trzymała w karchach opaska z szylkretu. Stojem tym zachwycona i strwożona, wonią ulatującą z włosów jej i koronek upojona, Helka stała w progu salonu z ustami znowu do płaczu skrzywionymi, ze szczupłymi ramionami sztywnie w obawie zgniecenia sukni rozpostartymi w powietrzu, z oczami, które to spuszczały się ku cudownym trzewiczkom, to podnosiły się ku twarzy pani Eweliny nieśmiało i wilgotne. Pani Ewelina poskoczyła i pochwycawszy ją w objęcia, teraz dopiero okrywać ją zaczęła gorącymi pocałunkami. Potem poprowadziła dziecko do sali jadalnej, gdzie wraz z nim usiadła przy stole zastawionym piękną porcelaną i wybornymi przysmakami. W pół godziny potem Czernicka wchodząc do jadalni znalazła Helkę siedzącą na kolanach nowej swej opiekunki i zupełnie już z nią spoufaloną. Niezmierna dobroć i czułość pani Eweliny prędko bardzo wlały w serce

dziecka śmiałość i ufność. Z policzkami trochę zatłuszczonymi. nie krupnikiem ze słoniną tym razem, ale ciastkiem z konfiturami, wyciągała ona malutki paluszek swój ku różnym nie znanym jej dotąd przedmiotom o nazwę ich pytając.

— Co to? Pani, co to?

— Filizanka — odpowiadała pani Ewelina.

— Fili-zian-ka... — z niejaką trudnością powtarzała Helka.

— A po francusku nazywa się to: la tasse!

— Tas, tass, tas-tas-tas! — szczebiotała Helka.

Kobieta i dziecko miały pozór istot doskonale szczęśliwych. Czernicka ze swą szklanką herbaty opuszczając jadalnię uśmiechała się w sposób sobie właściwy, trochę szyderski, trochę smutny.

Taki , był pierwszy dzień pobytu Helki w domu pani Eweliny, a po nim nastąpił długi, długi szereg dni podobnych lub może dla kobiety, zarówno jak dla dziecka, jeszcze szczęśliwszych. Bawiły się z sobą wybornie. W letnich miesiącach po ładnym ogrodzie willę otaczającym od rana do wieczora prawie Suwała dziewczynka do barwnego kolibra podobna.

132

Drobne, wykwintnie obute jej stopki obiegały po zwirowanych ścieżkach klomby napełnione kwiatami; złotymi włosy okryta i ukwiecona jej główka przesuwała się nad niskimi grupami zieleni jak napowietrzne, anielskie zjawisko. Szczebiot i śmiech dziecięcy rozbrzmiewał daleko, aż za żelazie sztachety przedzielające ogród willi od zamiejskiej ulicy. Pani Ewelina, na obszernym i ozdobnym ganku siedząc godzinami całymi, zapomniała o książce trzymanej w ręku, ścigała wzrokiem malutką, lekką, strojną istotę, uchem łowiła każdy dźwięk szczebiotu jej i śmiechu, a czasem zbiegłszy ze schodów ganku zaczynała gonić ją po ścieżkach ogrodu. Wtedy wśród tej dziecinnej zabawy, której całym sercem oddawać się zdawała, można było spostrzec najlepiej, ile sił i życia było jeszcze w tej już jednak niemłodej kobiecie. Policzki jej rumieniły się, czarne oczy płonęły, kibić nabierała zwinności i giętkości dziewczęcej. Gonitwa kończyła się zwykle rzuceniem się Helki na szyję pani Eweliny, wzajemnymi pieścotami i długim przesiadywaniem na kobiercu murawy, pośród kwiatów, z których układały wspólnie bukiety i wieńce. Za żelaznymi sztachetami na chodniku ulicy przechadzający się mieszkańcy miasta zatrzymywali się często, usiłując przez otwory sztachet przypatrywać się ślicznej grupie, która wydawała się tym piękniejszą, że tłem jej był pałacyk malowniczo pośród ogrodu bielejący, a tym więcej rozrzewniającą, iż wiadano powszechnie, że kobieta ta nie była matką tego dziecka. Dwie te istoty, obce sobie krwią, a tak ściśle z sobą spojone, najsilniejsze wrażenie wywierały w białe zimowe dni, gdy wchodziły do natłoczonego ludnością miejskiego kościoła. Na tę malutką, całą w atłasach i łabędzich puchach, i na tę kobietę w sobolach i aksamicie zwracało się wtedy parę tysięcy oczu ludzkich. Różową teraz i wiecznie uśmiechniętą tę dziecinę porównywano do róży wychylającej się ze śniegu, lecz jakież porównanie znaleźć można było dla jej opiekunki? Nazywano ją po pro-

133

stu: świętą! Taką opieką i miłością otoczyć dziecię obce, niskiego pochodzenia, sierotę! W taki sposób używać bogactwa swego! Było to istotnie godne uwielbienia.

Uwielbiano też powszechnie panią Ewelinę, ilekroć łagodna i zadumana twarz jej przesuwiała się boczną nawą wspaniałej świątyni, a u drzwi kościelnych stojąca Janowa, zapalę porwana, całą siłą obu swych łokci rozpychała ściśnięty wokół niej tłum, z łoskotem na kolana padała i pocziwe, błękitne oczy swe topiąc w widzialnym jej szczycie wielkiego ołtarza, a rękawem świątecznej algierki łzę na czerwonej twarzy rozcierając, głośno prawie wołała:

— A szczęście wiekuiste niech jej świeci na wieki wieków, amen.

Nierozłączne w dzień, nie rozstawały się też ze sobą i w nocy. Małe rzeźbione z orzecha łóżko Helki, istne arcydzieło stolarskiej sztuki, umieszczone było tuż przy łóżku pani Eweliny. Na nim własnymi rękami opiekunki swej rozebrana i w batystową nocną koszulkę przyobleczona, na webowej, haftami okrytej pościeli Helka usypiała codziennie cichym, uśmiechniętym snem doskonale szczęśliwej istoty. Pani Ewelina układając ją do snu czyniła nad nią w powietrzu znak krzyża, po czym, gdy Czernicka układa-dała kołdrę jej w malownicze draperie, mówiła:

— Jaka ona śliczna, Czernisium!

— Jak aniołek — odpowiadała panna służąca.

Czasem Helka, nie śpiąca jeszcze, rozmowę tę słyszała, z białych puchów pościeli wybuchał głośny śmiech dziecięcy przerywany wołaniem:

— Pani ślicznieszka! ślicznieszka! ślicznieszka!

— Co ona bredzi, Czernisium! — z głębokim zadowoleniem uśmiechała się pani Ewelina.

— Co to za rozum w tej dziecinie! Jak ona panią kocha! — podziwiała Czernicka. Przy tym przez całe dni i wieczory w salonie, w ogrodzie i w sypialni odbywała się wciąż prawie edukacja Helki. Pani Ewelina uczyła ją mówić po

francusku, zgrabnie chodzić, siedzieć i jeść, ładnie ubierać lalki, gustownie dobierać kolory, do snu układać się w pozycji pełnej wdzięku, splatać rączki i oczy wznosić w górę przy modlitwie. Wszystkie nauki te udzielane i przyjmowane były wśród harmonii i przyjacielskości wzajemnej i zupełnej. Śród zabawy i żartów dziecko kształciło się prędko i wesoło, po roku pobytu w domu swej opiekunki Helka płynnie już szczebiotała po francusku, umiała na pamięć mnóstwo francuskich modlitewek i wierszyków, a gdy szła, biegła lub jadła, Czernicka spoglądając na nią z podziwem, do pani swej mawiała:

— Co to za ruchy! Jaka gracia! Można by doprawdy myśleć, że panienka urodziła się w pałacu...

— Tak ją już Pan Bóg obdarzył, moja Czernisium — odpowiadała pani Ewelina.

Co jednak panią Ewelinę najbardziej w dziecku tym zachwycalo, to szczególny zmysł piękna, który objawiał się w niej z dniem każdym wyraźniej. Istotnie, Helka nabierała do rzeczy wytwornych i pięknych zamiłowania z namiętnością graniczącego. Najłżejszą dysharmonię kolorów spostrzegała natychmiast, najłżejsza warstewka pyłu na podłodze dostrzeżona wstręt w niej budziła: wybornie już oceniała stopień piękności każdego sprzętu; gdy zmęczoną była i chciała spocząć, umiała wybrać i samej pani domu wskazać sprzęt najwygodniejszy; parę razy gorzkimi łzami płakała, gdy przyniesiono jej trzewiczki nie tak piękne jak te, o jakich marzyła. Pani Ewelina z rozkoszą spoglądała na szybki ten rozwój estetycznych skłonności dziecka.

— Moja Czernisiu — mówiła — jaki ona ma popęd do wszystkiego, co piękne, jaka w niej delikatność natury i wrażliwość na każde dotknięcie zewnętrznego świata. Mój Boże! żebym ja ją mogła do Włoch zawieźć! Jakżeby to maleństwo szczęśliwy® było pod tym ślicznym niebem włoskim, w tym rozkosznym klimacie, pośród tych cudownych widoków włoskiej natury...

135

Marzenie zawiezenia Helki do Włoch wzmogło się W pani Ewelinie bardziej jeszcze, gdy dnia pewnego odkryła w niej ona talent, ale to widoczny i wielki talent do śpiewu. Helka miała już wtedy skończonych lat osiem i przebyła w domu pani Eweliny blisko trzy lata. W pewien pogodny dzień jesienny, na chwilę samotną pozostawiona, siedziała na ganku pośród stosu nagromadzonych tam dla niej poduszek i ubierając lalkę, tak prawie dużą jak ona, w suknię piękniejszą jeszcze od tej, która ją przystrajała, nuciła jedną z francuskich piosenek, których mnóstwo umiała na pamięć. Stopniowo nucenie jej przechodziło w śpiewanie; lalka z rąk jej na poduszki upadła, a Helka z oczami utkwionymi w niebo, z rękami splecionymi u piersi donośnie i żałośnie wyśpiewywała:

Le papillon s'envola, La rose blanche s'effeuilla *, La la la la la la la...

\
Głosik jej był istotnie czystym i silnym. Istotnie też w gorąco kochanym i czule pieszczonym dziecku rozbudzić się musiała uczuciowość gorąca i rzewna, bo smutne losy białej róży opiewała z przejęciem i uczuciem takim, że aż drobna pierś jej wznosiła się wysoko, a na ciemnozłotej rzesie błysnęła łza. Pani Ewelina, niewidzialnie spoglądająca na nią przez otwarte okno salonu; tonęła w zachwycie i od dnia tego zaczęła wieczorami uczyć ją muzyki.

Wieczorami w małym pokoju Czernickiej paliła się na stole lampa, zegar ścienny monotonnie tętnił nad Przepaścistym kufrem, zza firanek ukazywało się skromnie zasłane łóżko. Cicho tu było. Trzy garderobiane drzemały nad robotami swymi lub cichutko szeptały w przyległym pokoju; z głębi domu, z sa-

*Le papillon, s'envola... (fran.) — motyl obleciał, płatki białej róży opadły...

136

lonu, załatywały pojedyncze, przeciągłe dźwięki poruszanych z kolei fortepianowych klawiszy. Niekiedy ozwały się donośnie przez panią Ewelinę wymawiane: f, g, h itd.; niekiedy gama dziecinnego śmiechu rzuciła tu parę nut srebrnych albo przyciszone odległością dało się słyszeć dziecinne śpiewanie:

La rose blanche s'effeuilla, La la la la la la la...

Na jasnym tle obfitego światła lampy postać panny służącej, wysoka, cienka, w obcisłą suknię ubrana, z wysoko sterczącym z tyłu głowy grzebieniem, rysowała się w liniach ciemnych i ostrych. U nóg jej na miękkim, ładnym podnóżku w skurczonej i smutnej postawie leżał Elf. Ramiona jej suche, rękawami ociągnięte i długie kościste ręce zwinnie i zgrabnie poruszały się około leżącej na kolanach materii. Szyła pilnie, lecz ilekroć odgłosy odbywającej się w sali lekcji muzyki przylatywały do niej, chmurny wzrok jej spływał na leżącego u stóp jej pieska; dotykała go z lekka końcem stopy i z właściwym sobie uśmiechem mówiła:

— Słyszysz? Pamiętasz? I ty kiedyś tam byłeś!

Wkrótce potem spełniło się pragnienie pani Eweliny; majątkowe interesy pozwoliły

jej wyjechać na kilka miesięcy za granicę, powiozła do Włoch swoją Helę; Hela uprosiła o pozwolenie powiezienia z sobą Elfa. Czernicka pojechała także.

Po upływie kilku miesięcy, w piękny dzień letni, willa pani Eweliny, przez czas nieobecności jej obumarła, ożywiła się znowu. W ogrodzie kwitły pyszne astry i lewkonie, salon jaśniał swymi zwierciadłami i paśowymi adamaszkami, w sali jadalnej pobrzękiwały z cicha szkła i porcelany, pani Ewelina siedziała w salonie zamyślona bardzo, smutna nieco i tęskna.

137.

Helki przy niej nie było, ale z głębi domu od strony garderoby dochodziły chwilami dźwięki donośnego wesołego jej głosu i śmiechu. Bawiła się w tej chwili wybornie. Czernicka siedząc na podłodze garderoby otwierała kufry podróżne, wydobywając z nich niezliczone przedmioty do niezliczonych użytków przeznaczone, trzy garderobiane zaś i mularzowa Janowa, stojąc dokoła w postawach pełnych ciekawości i zdumienia, przyglądały się z kolei panience i wydobywanym na jaw cudom europejskich rzemiosł. Wszystkie twierdziły jednogłośnie, że panienka bardzo urosła. Istotnie Helka dosięgała wieku, w którym dziewczątka nabierają szczególnej i harmonijnej kształtów ich nadwerężającej długości nóg. Długie, cienkie te nogi, przybrane w bardzo ciasne i wysokie kamasze, czyniły ją trochę niezgrabną. Regularny owal jej twarzy nadwerężył się też nieco przez lekkie wychudnięcie, będące zapewne skutkiem długiej podróży; odkryte ramiona jej były chude i czerwone. Śliczne dziecko zaczęło przedzierzgiwać się w niezgrabnego podlotka, którego jednak rysy zapowiadały przyszłą piękność młodej dziewczyny.

Mularzowa uwiadomiona o powrocie pani i panienki przez jedną z garderobianych, u której to uprosiła, wydziwić się nie mogła naprzód małej krewniaczce swej, a potem rzeczom jej wydobywanym z dwu oddzielnych tłumoków. Przysiadła na ziemi obok Helki, która pokazywała jej i tłumaczyła wszystko.

— Drugi kapelusz... — wykrzykiwała — trzeci... czwarty... o! dla Boga! Wieleż ty, Helko, masz kape-luszów?

— Tyle, ciotko, ile sukienek — tłumaczyła Helka — do każdej sukienki jest stosowny dla niej kapelusz...

— Co to za pudło?

— To neseser podróżny...

— Na cóż to?

— Jak to na co? Widzi ciotka, tu są różne przegródki, a w nich wszystko co potrzeba do mycia się,

138

czesania się i ubierania... Oto grzebienie, mydelko, szczoteczki, szpilki różne, perfumy...

— Jezus, Maria! i to wszystko twoje?

— A moje! Pani ma taki sam neseser większy, a ja mniejszy...

W tej chwili Czernicka wydobywała z tłumoka lalki różnej wielkości, jako też i inne zabawki dziecinne najrozmaitszego rodzaju. Były tam prześliczne ptaki, gdyby żywe, osobliwe zwierzątka, gospodarskie przyrządy srebrnie i złoto połyskujące itp. Janowa usta szeroko otworzyła, zarazem oczy jej napełniły się smutkiem.

— Mój Boże! — szepnęła z westchnieniem — żeby to moje dzieciaki choć

zobaczyć to wszystko mogły...

Helka popatrzyła na nią chwilę, zamyśliła się, potem żywo rzuciła się do swych zabawek i łachman-ków, z ferworem wielkim niektóre z nich Janowej ofiarując.

— Weź, ciotko, tę sowę dla Marylki, a tę rybkę dla Kaśki... dla Wicia niech będzie może ta harmonika... do niej tylko dotknąć się trzeba, a zaraz bardzo ładnie zagra... Weź, ciotko, weź! Pani nie będzie gniewać się, pani taka dobra i tak mię kocha... Weź jeszcze i tę różową chusteczkę dla Marylki, a dla Kaśki tę błękitną... ja takich chusteczek mam dużo... bardzo dużo...

Janowa z oczami pełnymi łez pochwycić chciała krewniaczkę w swe potężne ramiona, lecz lękając się zgnieść strzępiaste i skomplikowane jej ubranie, grubą ręką swą tylko po atłasowej twarzyczce jej powiodła. Podarunków nie przyjęła stanowczo, ale podnosząc się z ziemi rzekła:

— Dobrze z ciebie dziecko! Choć na wielką panią rośniesz, ale biednymi krewnymi, którzy kiedyś przytulili cię do siebie, nie pogardzasz...

Gdy Janowa mówiła to, Czernicka, pochylona dotąd nad kufrem, wyprostowała się i prędko, dobitnie sarknęła raczej, niż wymówiła:

139

— Ej, moja pani Janowo! kto to może wiedzieć, jakim jeszcze kiedyś będzie, wielkim czy małym?

Janowa nie odpowiedziała nic, z rozrzuwionym bowiem śmiechem oglądała się za Helką, która chichocząc i na swych długich nóżkach podskakując jak wesoła i zwinna kotka kręciła się wkoło niej i wszystkie kieszenie odzieży jej cukierkami napychała.

— To dla Marylki — wołała — a to dla Kaśki, a to dla Wicka... a to, ciotko, dla wujaszka Jana...

Nagle wzdrygnęła się i posmutniała.

— Tutaj tak zimno! — nadąsanymi usteczkami wymówiła — we Włoszech daleko piękniej i milej... tam ciągle słońce świeci... pogoda... takie piękne lasy pomarańczowe... My tu z panią długo nie wytrzymamy... pewno znowu pojedziemy tam, gdzie tak ciepło...

Czernicka wkładała już na nią miękki jak puch, ciepły paltocik, ale Helka wyrywała się z rąk jej.

— Aj! — zawołała — jak ja długo już pani nie widziałam; pójdę do pani! Adieu, ciotko!

I rzuciwszy rączką całusa Janowej pobiegła w podskokach, nucąc donośnie:

— Pójdę do pani... do mojej drogiej... do mojej złotej... do mojej najmilszej...

— Jak ona kocha swoją dobrodziejkę! — zwróciła się do Czernickiej Janowa.

Wieczoru tego pani Ewelina opłynięta zwojami białego peniuaru siedziała przed gotownią smutna i tęskna. Helka w rzeźbionym łóżeczku swym, wpół-zakopana w puchach, batystach i haftach, głęboko już usypiała; na gotowni dwie świece dopalały się w wysokich lichtarzach; za fotelem pani Eweliny stała Czernicka rozczesując i do nocnego spoczynku układając krucze jeszcze i długie włosy swej pani. Po chwili milczenia pani Ewelina ozwała się:

— Wiesz, moja Czernisiu, mam kłopot...

— Jakież, z czym? — tonem pełnym czulej troskliwości zapytała panna służąca. Po krótkiej chwili wahania pani Ewelina słabym głosem odpowiedziała:

m

— Z Helą!

Dość długo potem milczały obie. Czernicka z wol- ' na lekko wodziła szczotką po kruczych, jedwabistych włosach. Twarz jej odbijająca się w zwierciadle go-towalni okrytą była wyrazem zamyślenia. Po chwili ozwała się:

— Panienska... rośnie.

— Rośnie, moja Czernisiu... i trzeba by już myśleć o jej edukacji. Guwernantki do domu nie wezmę za nic, bo nie cierpię mieć w domu obce osoby... I nie pojmuję, eo uczynię.

Czernicka znowu milczała chwilę. Potem z westchnieniem wymówiła:

— Jaka to szkoda, że panienska nie jest już takim małym dzieciątkiem, jakim przybyła tu do nas...

Pani Ewelina westchnęła także.

— To prawda, moja Czernisiu, tylko takie małe dzieci są prawdziwie miłe i sprawiają rozkosz niezmaconą. Hela wyszła już z najmilszego dziecięcego wieku. Trzeba już ją uczyć, strofować...

— Spostrzegłam właśnie, że od jakiegoś czasu pani jest zmuszoną dość często strofować panienskę...

— Naturalnie; charakter jej zmienił się znacznie. Stała się kapryśną... dąsa się na mnie byle o co...

— Pani przyzwyczaiła panienskę do swej nadzwyczajnej dobroci...

— To prawda. Rozpieściłam ją. Niepodobna jednak taką już dużą dziewczynę pieścić tak, jak kiedy była taką malutką, zgrabniutką... taką przytulną...

— Paniencie trudno dogodzić... Dziś rozgniewała się na mnie bardzo za to, że czesząc ją, mocniej trochę pociągnęłam pasemko włosów...

— Doprawdy? rozgniewała się na ciebie? Pamiętam, że i dawniej sykała często i rzucała się na krzesło, gdy ją czesałaś, ale dopóki była małą, było to bardzo zabawne i dodawało jej wdzięku... teraz stać się może nieznośnym... Chciałabym mylić się, ale zdaje mi się, że... będzie złośnicą...

141

— Pani przyzwyczaiła panienską do swojej nadzwyczajnej dobroci — powtórzyła Czernicka.

Umilkły. Czesanie włosów na noc miało się ku końcowi. Z twarzą schyloną nad głową swej pani, na której układała leciuchny nocny czepeczek, Czernicka cichszym znacznie i wahającym się głosem ozwała się jeszcze:

— Może pani w tych dniach będzie miała gości...

— Gości! jakichże, moja Czernisiu? Kogo?

— Może ten pan przyjedzie, na którego koncercie pani była we Florencji i który potem przez kilka wieczorów tak ślicznie grał u pani...

Obłok rumieńca przepłynął po twarzy pani Eweliny, którą długa podróż i późna wieczorna godzina uczyniły podobną do zwiędłego kwiatu.

— Nieprawdaż, Czernisiu, że gra on prześlicznie! Jest to prawdziwy i wielki artysta!

Ożywiła się, głos jej stał się silniejszym, przygasłe przedtem oczy błysnęły.

— A jaki piękny! — szepnęła Czernicka.

— Nieprawdaż? o! ci Włosi! Jeśli który z nich pięknym jest, to już pięknym — jak marzenie...

Marzącym krokiem przebyła przestrzeń dzielącą gotowalnię od łóżka, a gdy była już rozebraną i gdy Czernicka układała kołdrę w malownicze fałdy i dra-perie, marzącym głosem zaczęła:

— Moja Czernisiu! zmiłuj się, dopilnuj, żeby wszystko w domu dobrze i ładnie uporządkować... Salon odświeżyć... tak jak to ty umiesz... bo ty masz wiele dobrego gustu i zręczności... Może... wypadkiem... ktokolwiek do nas przyjedzie... Przez wiele następnych wieczorów pomiędzy panią Ewelina i Czernicką toczyły się przy gotowalni krótkie i urywane rozmowy.

— Czy zauważyłaś, Czernisiu, że Hela szpetnieje?

— Zdaje mi się, że panienka nie jest już tak zgraja, jak była...

~~ Staje się całkiem niezgrabna... Nie pojmuję,

142

skąd wzięły się u niej takie długie nogi... broda jej też wydłużyła się jakoś dziwnie.

— Zawsze jednak panienka jest bardzo ładna...

— Nie będzie tak ładną, jak można było spodziewać się przed paru laty... Mój Boże! że też to czas ten leci, leci, leci i unosi z sobą wszystkie nadzieje nasze... Nazajutrz jednak twarz jej jaśniała bardzo błogą nadzieją. Na gotowalni leżał woniący liścik z Włoch przybyły.

— Moja Czernisiu! będziemy miały gości...

— Chwała Bogu! Pani weselej trochę będzie. Od powrotu z zagranicy pani ciągle taka smutna...

— O! moja Czernisiu, czegóż bym wesołą być miała! Świat ten tak jest smutny! Te szczególnie dusze, które gonią za ideałem, za doskonałością, wiecznie tylko zawodzić się muszą...

Po chwili milczenia dodała:

— Hela na przykład... Co to było za śliczne, miłe, zabawne dziecko... a teraz...

— Od powrotu naszego z zagranicy panienka ciągle nadąsana jakoś... czy smutna...

— Gdzie tam smutna! Czegóż by ona smucić się miała? Dąsa się na mnie za to, że nie zajmuję się nią tak ciągle, jak dawniej... Mój Boże! czyż ja mogę przez całe życie niczym innym nie zajmować się, jak tylko tym dzieckiem...

— Pani przyzwyczaiła panienkę do swojej nadzwyczajnej dobroci — powtórzyła Czernicka.

W samej rzeczy, Hela była smutną, ale zarazem i dąsała się straszliwie.

Wypieszczone i od dawna samymi tylko rozkosznymi wrażeniami pojone jej nerwy rozstrajały się pod wpływem żalu, z którego przyczyny i natury nie zdawała sobie jasnej sprawy, lecz który co chwila pobudzał ją do płaczu lub złości. Przy czesaniu się i ubieraniu krzyczała' teraz wniebogłosy prawie, tupiała nóżkami, ścisnęła piąstki — ledwie że nie biła Czernickiej. Kiedy pani Ewelina milczeniem lub półsłówkami odpowiadała na

143

pieszczotliwe jej szczebioty albo i zamykała się przed nią w swej sypialni, siadała w kącie salonu na niskim stołeczku i skurczona, z wydętą twarzą, szepcząc do samej

siebie gniewne monologi zalewała się łzami, po czym oczy jej nabrzękle i czerwone skłaniały panią Ewelinę do ostatecznego wyrokowania, że Hela jest złością i widocznie szpetnieje. Czasem przychodziło jej na myśl robić coś na złość swej zobojętniałej dla niej opiekunce; kto wie? tym sposobem może zwrócić na siebie znowu jej uwagę. Gdy pani Ewelina z oczami wlepionymi w książkę w najgłębsze popadała zadumy, krokiem kocim, z ukośnymi wejrzeniami skradała się do fortepianu i zaczynała z całej siły obu rękami uderzać w klawisze. Niegdyś kakofonia taka wykonana przez wychowankę jej wywołałaby wesoly śmiech pani Eweliny i sprowadziłaby na dziecko grad całusów. Teraz przecież Helka była daleko mniej zabawną, a pani Ewelina, zapadała często w smutki i tęsknoty. Teraz zrywała się ona, biegła ku dziecku i karcila je surowymi napomnieniami, a niekiedy lekkimi uderzeniami po swawolnych rączkach. .Wtedy Helka rozplakana i drżąca padała przed nią na klęczki, całowała kolana jej i stopy wyszeptując długie, namiętne litanie najczulszych nazw.

— Moja droga — mówiła — moja złota... moja najmilsza... proszę... proszę...

I z wzniesionymi oczami, ze splecionymi rękami klęcząc milkła. Czowała, głęboko i boleśnie czowała, że chce o coś prosić, lecz o co i jak? Nie wiedziała.

W czasie jednej ze scen podobnych, dnia pewnego, lokaj zjawiający się w drzwiach salonu oznajmił gościa z włoskim nazwiskiem. Pani Ewelina, która z właściwą sobie czułością i dobrocią rozczulać się Już zaczynała pokorną a pełną wdzięku postawą dziecka i już, już w objęcia swe pochwycić je miała, na dźwięk wymówionego nazwiska drgnęła, wyprostowała się i śpiesznie podażyła na spotkanie wchodzącego do salonu pięknego Włocha i słynnego artysty.

144

Gdy witała go, uśmiechy i rumieńce, które twarz jej oblały, uczyniły ją podobną do świetnie rozkwitłej róży.

Wizyta trwała długo, bo aż do późnego wieczora. Gospodyni domu i gość rozmawiali po włosku z ożywieniem wielkim, z widocznym i z obopólnym pragnieniem wzajemnego uprzyjemnienia sobie czasu. Niebawem przyniesiono wiolonczelę, pani Ewelina siedząc przy fortepianie akompaniowała grze słynnego wiolonczelisty. W jednym z przestanków zaczęli rozmawiać z sobą ciszej niż wprzód — być może nawet, iż mieli sobie coś poufnego i tajemnego do powiedzenia, bo głowy ich kłoniły się jedna ku drugiej, a Włoch sięgał po białą rękę kobiecą niedbale na klawiszach spoczywającą, lecz w tejże chwili pani Ewelina usunęła się i usunęła rękę, brwi jej ściągnęły się w sposób wyrażający przykre wrażenie, ze zniecierpliwieniem przygryzła wargę i głośno

O muzyce mówić zaczęła. Przyczyną tego gwałtownego wzburzenia duszy i fizjonomii było spotkanie się oczu jej z parą utkwionych w niej szafirowych jak niebo włoskie i jak to niebo ognistych oczu dziecinnych. Hela, skurczona i cicha jak ptak zraniony, siedziała w pobliżu na niskim podnóżku i z cienia spadającego na nią od fortepianu wpatrywała się w opiekunkę swą jak w tęczę. We wzroku tym upiornie w jeden punkt skierowanym była żałość i trwoga, i prośba... I przez następnych dni parę pani Ewelina i gość jej nie mogli powiedzieć sobie nic poufnego i tajemniczego; rozmowa ich toczyć się musiała po ubitych i odkrytych gościńcach, bo Hela ani na chwilę prawie nie opuszczając salonu, rozumiała wybornie i sama nawet nieźle

mówiła po włosku.

Po paru dniach pani Ewelina oczekując miłego gościa swego siedziała na kanapce z czołem na dłoni wspartym, pogrążona w tęsknej i zarazem rozkosznej zadumie. O czym myślała? O tym zapewne, że Bóg w nieprzebranej dobroci swej zesłał na mroczną

1 chłodną drogę jej życia ciepły i jasny promień

14 5

słońca. Promieniem tym stał się dla niej genialny i śliczny ten człowiek wypadkiem na szerokim świecie spotkany, a teraz za drogiego przyjaciela duszy i serca przez nią przybrany. O! Jakże on ważną rolę w istnieniu jej odegra! Czuje to po przyspieszonym oddechu swej piersi i po tej fali życia i młodości, która, zda się, nagle nappełniła całą jej istotę i aż wzdymała serce. Było już jej tak pusto i nudno na świecie, czuła się tak samotną, tak przez wszystko zawiedzioną. Już, już zastygnać, zestarzeć, w martwą apatię lub w ciemną melancholię popaść miała, gdy oto Opatrzność dowiodła jej raz jeszcze, że czuwa nad nią, że wśród najgłębszej nawet niedoli ufności w czuwanie to tracić nie należy. Byleby tylko genialny, piękny i drogi przyjaciel ten przybywał prędzej...

Tu zaduma pani Eweliny przerwana została przez dwie małe rączki, które jak płatki śniegu spadły, na czarne koronki jej sukni i nieśmiało, błagalnie jakby pięły się ku jej szyi. Obudzona, wzdrygnęła się i powściągnąwszy zniecierpliwienie z lekka usunęła od siebie Helę. Ona usiłowała jeszcze zniecierpliwienie jej brać za wesoły żart. Zbyt długo kochaną była, aby móc prędko w odrzuceniu uwierzyć. Zaśmiała się z cicha, pieszczotliwie i znowu nieśmiało rączki topiąc w koronkach próbowała dosięgnąć i objąć jej szyję. Tym razem pani Ewelina poskoczyła z kanapki, zadzwoniła:

, — Panny Czernickiej!

Czernicka wbiegła ze zwojem jedwabistej materii w rękach, z pasemkiem jedwabiu na szyi, z mnóstwem szpilek w staniku sukni, zarumieniona silnie i śpiesząca się. Od tygodnia przeszło dyrygowała ona założoną w garderobie fabryką nowych sukien i wszelakich strojów.

— Moja Czernisiu, weź Helę i niech ona tam przy tobie będzie, kiedy u mnie są goście. Przeszkadza mi rozmawiać z gośćmi... Nudzi mię...

— Panienska niegrzeczna!

1 — Orzeszkowa

Z tymi słowami panna służąca schylała się nad dzieckiem, a po ustach jej wiał się właściwy uśmiezek, trochę sarkastyczny i trochę smutny; pierś zaś ściśnięta czarnym, ciasnym stanikiem drgała ni to powstrzymywanym śmiechem, ni to tłumiona złością. Wziąwszy rękę Helki, która ze zbielełą twarzą stała nieruchoma jak słupek, przez chwilę bystro patrzyła w twarz swej pani.

— Panienska zmieniała się... — wymówiła z wolna.

— Zmieniała się — powtórzyła pani Ewelina i wzdychając, z gestem największego zniechęcenia dodała: — nie pojmuje już teraz, jak mogłam tak bardzo lubić takie nudne dziecko!...

— O! było ono kiedyś wcale inne!

— Nieprawdaż, Czernisiu? wcale inne. Była kiedyś prześliczna... ale teraz...

— Teraz zrobiła się nudna...

— Okropnie nudna... Weź ją i niechaj już ciągle będzie przy tobie...

Czernicka wyprowadzając za rękę osłupiałą wciąż i jak płótno zbieła Helę w progu jeszcze usłyszała:

— Czernisiu!

Odwróciła się z pośpiechem pokornym i przymilonym uśmiechem.

— Cóż tam z moją morową suknią? dopilnuj, proszę cię, aby dziś ładnie do stołu nakryli... rzuć też okiem na deser... Włosi, wiesz? Nic prawie prócz owoców i lodów nie jedzą...

— Wszystko będzie wedle rozkazów pani... proszę tylko o klucz do materii i koronek i o pieniądze na wszystko...

W pokoju Czernickiej cicho było. Zegar wiszący nad ogromnym kufrem wybijał właśnie północną godzinę. W pobliżu firanek osłaniających łóżko panny służącej bieleło pod ścianą śnieżnie usłane z orzecha rzeźbione łóżeczko dziecinne. Na stole obok maszyny do szycia paliła się lampa, a na jasnym tle obfitego jej światła ostro i ciemno rysowała się postać pilnie pracującej kobiety. U nóg jej na ładnym podnóżku

m siedziała Hela piastując na kolanach swych uspiętego glfa. Czernicka starannie układała i pilnie zszywała kokardy z czarnej mory, lecz gdy z głębi domu, z salonu, do ucha jej doleciały połączone płaczące tony fortepianu i wiolonczeli, chmurny wzrok swój utkwiała w pochylonej nad pieskiem głowie Heli, a palcem uzbrojonym w srebrny napastrzek z lekka jej dotykając wymówiła:

— Słyszysz? pamiętasz? i ty kiedyś tam byłaś!

Dziecko podniosło twarz znacznie od paru dni pobladałą i na starszą towarzyszkę patrzyło w milczeniu oczami pełnymi wrosłego w nie jakby zdumienia.

— Cóż tak oczy na mnie wytrzeszczasz? Czegóż dziwisz się! Och, poszłabyś lepiej spać... Nie chcesz? Myślisz, że cię pani zawoła? Nieprędko to nastąpi. Żal mi cię trochę. Chcesz? To powiem ci jedną długą ładną bajkę...

Hela podskoczyła na stołku tak, że aż się Elf obudził. Bajka! Niegdyś słuchała często bajek opowiadanych jej przez panią Ewelinę.

— Cicho, Elf ku, cicho! No, nie śpij znowu! Słuchaj! bajka będzie długa i ładna.

Czernicka dziesiątą z kolei wykończoną kokardę rzuciła na stół i zaczynając układać jedenastą, spod brwi na rozweselone nieco dziecko spoglądała. Palce jej drżały trochę i wzrok. posepniał. Po chwili przyciszonym głosem i zawzięcie szyjąc zaczęła:

— Była sobie razu jednego w szlacheckiej okolicy jednej młoda, przystojna dziewczyna. Żyła ona sobie szczęśliwie u rodziców swoich, pomiędzy braćmi i krewnymi swymi, pod błękitnym niebem bożym i między zielenią kochanej ziemi, pracując ciężko, to prawda, ale zdrowa, hoża, rumiana i wesoła. Było już jej lat piętnaście i już ją był chłopiec-sąsiad za żonę upatrył, gdy wtem wypadkiem zobaczyła ją jedna bogata i bardzo dobra pani. Ta pani zobaczyła młodą tę dziewczynę raz w niedzielę, kiedy w świątecznym ubraniu niosła ona z lasu dzbanek Poziomek. Zobaczyła i zaraz bardzo pokochała. Za
io»

co? Nie wiadomo. Podobno dziewczyna miała piękne oczy, może też do twarzy jej

było na zielonej miedzy, w złotej pszenicy, z czerwoną wstążką przy kaftanie i dzbankiem poziomek w ręku. Dość że dobra pani przyjechała ślicznym powozem przed chatę jej Todziców i — zabrała ją sobie. Mówiła, że da jej edukację, w świat ją wprowadzi, los i szczęście jej zapewni... Los... i szczęść...cie!

Dwa ostatnie wyrazy wymówiła przeciągle, ze świstem, i rzuciwszy na stół jedenastą kokardę rozpoczęła układanie dwunastej.

— Cóż dalej? Co dalej? Moja panno Czernicka, co dalej? — trzepotało się na stołeczku dziecię. Elf nie spał także i siedząc na kolanach dziecka dwojgiem czarnych, okrągłych oczu pojętnie patrzył w twarz opowiadającej.

— Dalej — było tak. Dobra pani kochała bardzo, ale to bardzo młodą dziewczynę przez calutkie dwa lata. Trzymała ją wciąż przy sobie, całowała często, uczyła mówić po francusku, zgrabnie chodzić, mówić i jeść, paciorkami na kanwie wyszywać... potem...

— Co potem? Co potem?

— Potem zaczęła ją lubić daleko już mniej, aż na koniec raz wypadkiem spotkała jednego hrabiego. Wtedy młoda dziewczyna zrobiła się bardzo nudna i — poszła do garderoby... Całe szczęście, że miała ona wiele dobrego gustu i zręczności, dobra pani więc kazała ją wyuczyć krawiectwa i różnych robót i zrobiła z niej swoją pannę służącą. Gdyby nie nadzwyczajna dobroć tej pani, dziewczyna miałaby teraz swoją chatę w szlacheckiej okolicy, męża, dzieci, zdrowie i twarz rumianą. Ale pani ta zapewniła jej los i szczęść...cie. Od lat dwunastu szyje ona dla niej stroje po całych nocach, ujada się z jej garderobianymi i lokajami, każdego ranka wkłada jej na nogi pończochy i trzewiki, a każdego wieczora urządza z kołdry jej gustowne draperie... Trzydzieści lat ma dopiero, a wygląda na starą kobietę... Wychudła, szerniała i na oczy zapadać zaczyna... Starość jej

149

prędko przyjdzie i pamiętać o tym musi... O! musi ona pamiętać o swojej starości, bo gdyby sama o niej nje pamiętała, to dziś czy jutro, kiedy dobra pani kogoś innego zechce na miejsce jej w garderobie posadzić, wrócić by musiała chyba do szlacheckiej okolicy swojej na łaskę braci, na pośmiewisko ludzkie, na... nędzę! Ot... początek bajki!

Na stole leżało już wykończonych kokard kilkanaście. Czernicka wzięła długi, szeleszczący kawał czarnej mory i układać go zaczęła w malownicze fałdy i zwoje. Palce jej drżały mocniej niż wprzódy, a żółte powieki mrugały prędko, prędko, dlatego może, aby zdusić łzy, które drżały na rzesach. Spojrzała na Helę i zaśmiała się głośno.

— Ależ! — zawołała — wytrzeszczyłaś oczy tak, jak byś mnie nimi pożreć chciała. I psisko to także wlepią we mnie swoje ślepie, niby bajkę rozumie. Bo to bajka jest... Chcesz słuchać dalej?

— Co było potem? — szepnęło dziecko.

Czernicka z wielką powagą w głosie i na twarzy odpowiedziała:

— Potem — był hrabia...

— A jaki był — ten hrabia?

— Ten hrabia był — żonaty. Ksiądz spowiednik wytłumaczył dobrej pani, że

żonatego kochać nie trzeba, bo można za to pójść do piekła i — sam po hrabi nastąpił.

— A gdzie był ten ksiądz spowiednik?

— Ten ksiądz spowiednik był w Paryżu — ale wkrótce pani wyjechała z Paryża i w mieście jakimś, wypadkiem, zobaczyła śliczną papugę, bladoróżową, z czerwonym dziobem...

Hela uczyniła żywe poruszenie.

— W Wiedniu... — zawołała — w jednym ogrodzie jest tak dużo, dużo papug... takie śliczne... śliczne...

— Otóż to; tamta papuga była jeszcze śliczniejszą . tych, które są w Wiedniu... Pani kupiła ją sobie i bardzo pokochała. Więcej jak przez rok nie rozłą-

czała się z nią nigdy. Na noc przenoszono ją z klatką z salonu do sypialnego pokoju. Pani uczyła ją mówić po francusku, karmiła ją najwyborniejszymi przysmakami, gładziła jej piórka, całowała w dzióbek...

Tu skończyło się fałdowanie kawałka mory. Czernicka pyszną draperię zawiesiła na poręczy krzesła i rozpoczęła mozolne strzępienie igłą końców szerokiej morowej szarfy. Pod ciosami igły materia wy. dawała ostre chrzęsty, zegar nad kufrem wybijał go-dzinę pierwszą, z salonu przyplęnęły znowu milczą, ce wprzód przez dobry kwadrans, a teraz jak gdyby w namiętny uścisk rzucające się tony wiolonczeli i fortepianu.

— Co potem? Co było potem? — zaszemrał nie-cierpliwy i zarazem trwożny szept dziecięcy. Elf nie był ciekawy końca bajki. Usnął w objęciu Helki.

— Potem... nie pamiętam już, dlaczego i jakim sposobem papuga zrobiła się bardzo nudną... i poszła do garderoby. W garderobie posmutniała, przestała jeść, zachorowała i zdechła. Ale pani nie żałowała jej wcale, bo miała ślicznego pieska...

— Wiem! już wiem — nagle zawołała Hela.

— Co wiesz?

%

— Koniec bajki.

— No to powiedz.

— I piesek poszedł do garderoby...

— A potem? »

— Potem była dziewczynka...

— I cóż?

— Pani dziewczynkę kochała...

— A potem — wtrąciła Czernicka — spotkała jednego sławnego muzyka...

— I dziewczynka poszła do garderoby.

Ostatnie trzy wyrazy Hela wymówiła szeptem zaledwie dosłyszalnym. Czernicka podniosła oczy znad morowych strzępi i ujrzała twarz dziecięcą dziwnie wyglądającą. Była to mała, pięknie zarysowana twarz, biała w tej chwili jak opłatek, z dwoma stru-

151

gami cichych bujnych łez, z wolna toczącymi się po policzkach, z dwojgiem oczu szafirowych, wielkich, które zza łez podnosiły się ku niej z niemym, łezdennym, zda

się, zdumieniem. Zrozumiała bajkę... ale dziwić się nie przestała.

Czernicka znowu kilka razy powiekami mrugnęła. Wstała i dziewczynkę z podnóżka podniosła.

— No — rzekła — dość już bajek i płaczów, i nocnego siedzenia. Zachorować możesz... Idź spać.

Nie opierając się wcale, cichą jak sen, a wciąż podnoszącą ku niej pytające zza łez oczy, rozebrała i na pościeli złożyła. Potem wzięła Elfa, który już na podnóżku ułożył się był do snu, i w kształcie pociechy zapewne położyła go na jej kołdrze. Nachyliła się i suchymi, wąskimi wargami czoła jej dotknęła.

— No — rzekła — cóż robić? Nie byłam zła dla papugi, nie byłam zła dla Elfa, nie będę też zła dla ciebie... dopóki tu będziesz. Śpij!

Lekkim ozdobnym parawanem zasłoniwszy jeszcze dziecinne łóżko od światła lampy, usiadła znowu przy stole i poczęła zszywać na maszynie białe jakieś muśliny. Suche i zwinne ramię jej obracało żywo korbę maszyny, a koło maszyny turkotało dopóty, dopóki w przedpokoju zaspany lokaj nie zamknął drzwi za odchodzącym gościem. Na ścianie bielał już wtedy późny ranek jesienny. Z sypialnego pokoju pani Eweliny ozwał się dzwonek. Czernicka porwała się z miejsca i przecierając oczy całonocną pracą zmęczone pośpiesznie z pokoju wybiegła.

Od ponownego wyjazdu za granicę pani Eweliny, który nastąpił wkrótce po wyjeździe z Ongrodu słynnego artysty, upłynęło pół roku. Drobny gęsty deszcz marcowy bez najlżejszego szelestu padał z popielatego nieba, a choć na świecie dobra jeszcze godzina pozostawała do zapadnięcia wieczora, w malutkim, niskim domostwie mularza Jana robiło się już ciemno.

W mętny i dżdżysty dzień wiosenny dwa małe, nad samą prawie ziemią umieszczone okna skąpo oświetlały izbę dość obszerną, z niskim, belkowanym sufitem, ze ścianami okrytymi szerniałym i chropowatym tynkiem, z podłogą glinianą i wielkim piecem do pieczenia chleba i gotowania służącym, a zapelniającym całą prawie czwartą część izby. Piec był wielki, a jednak w starych tych, niskich i cienkich ścianach czuć było zgromadzoną przez zimę stęchłą wilgoć. Zresztą stały tam pod ścianami ławki, stoły, parę krzeseł z żółtego drzewa, komódka ze świętymi obrazkami, dwa niskie tapczaniki do spania, beczka z wodą i beczułka z kwaszoną kapustą, a w pobliżu pieca wąskie i niskie drzwiczki prowadziły do malutkiej izdebki będącej sypialnią właścicieli domostwa.

Teraz w większej izbie zgromadzona rodzina mularza zabierała się do jedzenia wieczery. Jan, krępy, silny człowiek, z głową nastrzępioną twardymi jak szersć, a jak las gęstymi włosy, tylko co wrócił od roboty, twarz i ręce umył w konwi z wodą i zdjawszy mularski fartuch swój gliną i wapnem oblepiony, w kamizelce i rękawach grubej koszuli zasiadł przy ścianie za stołem. Janowa, bosa, w krótkiej spódnicy i chustce na piersi skrzyżowanej, z grubą, potarganą kosą odrzuconą na plecy, w przepaścistej głębi pieca rozpalila duży ogień i gotowała przy nim zacierkę. Pod ścianą na tapczanie siedziała i głośno gwarzyła gromadka dzieci. Było ich troje: chłopak dwunastoletni, krępy i silny, z czupryną jak u ojca gęstą i najeżoną, i dwie dziewczynki od lat ośmiu do dziesięciu, bose, w długich aż do ziemi spódniczkach, szczupłe, ale rumiane i śmiejące się na całą izbę. Rozśmieszał je tak Wicek, który

wpółleżąc na tapczanie i dziwne rzeczy bosymi nogami dowodząc opowiadał im o przygodach swych doświadczanych w szkółce początkowej, do której od roku uczęszczał. Dopóki Janowa nie rozpałała ognia w piecu, zdawać się mogło, że w izbie tej oprócz dwojga rodziców i trojga małego rodzeństwa nie było ni-

153

kog° - Gdy jednak błysk płomienia oświecił ciemny wprzód przeciwległy kąt izby, ukazała się siedząca na drugim tapczaniku jedna jeszcze mała istota ludzka. Była to także dziewczynka, około dziesięcioletnia, której jednak twarz i ubranie błysk ognia ruchomy i słabo tu dochodzący oświetlał mętnie i migotliwie. Widać tylko było, że siedziała ona na tapczaniku i podwiniętymi nogami, w najgłębszy kąt wsunięta, w postawie skurczonej i zziębłej. Tuż przy niej połyskiwały brązowe guziki przyozdabiające niewielki, ale wykwintny kuferek, z którego dwie małe i blade jak opłatek ręce wydobywały od czasu do czasu różne drobne przedmioty. Z ruchu rąk tych można było z łatwością odgadnąć, że skurczona i zziębła istotka grzebieniem z kości słoniowej długo i starannie czesała swoje włosy, w których migotliwe błyski ognia rozpałały niekiedy wśród cienia gorączkowe połyski. Raz błysnęło też wydobyte z kufereka w srebro oprawione lustro...

— Mamo! mamó! — zawołała młodsza z dwu bawiących się na tapczanie dziewczynek — Hela znowu czesze się i przypatruje się sobie w lusterku...

— Ona dziś już trzeci raz czesze się, a dwa razy myła sobie paznokcie — wzgardliwie zauważyła starsza dziewczynka.

— Elegancka! Lala! — dorzucił chłopiec — czy to jej jak nam w konwi myć się... Umoczy ręczniczek swój w wodzie i pecka nim sobie twarzyczkę... Ot! stłukę ja jej to lustro, zobaczmy, co będzie!

I wszystko troje z wielkim tętentem bosych nóg rzucili się ku ciemnemu kątowi.

— Daj lustro! Daj! Daj!

Dwie małe, blade jak opłatek rączki w milczeniu i bez najlżejszego oporu wyciągnęły się z cienia i oddawały rozswawolonej gromadce lustro w srebrnych ramkach. Dzieci porwały je, lecz łupem tym jeszcze nie zadowolone, ściągnęły z tapczana kuferek z angielskiej skóry i usiadłszy dokoła niego na ziemi, po raz setny zapewne przeglądając poczęły za-

354

wierając się w nim grzebienie, szczotki, szczy puste flakony od perfum i pudełka od mydeł.

Janowa tymczasem, nie zważając wcale na krzyk; i śmiechy dzieci, a może nawet i w dobry humor przez nie wprawiona, rozmawiała z mężem o dzisiejszej robocie jego, o przykrościach, które wyrządzają jej sąsiadka, o Wicku, który dziś zalenił się i późno do szkoły poszedł. Potem niosąc ku stołowi wielką, dymiącą się misę zawołała dzieci na wieczerzę.

Wezwania tego nie trzeba im było po dwa razy powtarzać. Wicek i Marylka jednym skokiem byli już na ławie obok ojca, któremu po jednym ramieniu na szyję zarzucili. Kaśka przyskakowała do stołu, uciepiona do spódnicy matki krajającej w drodze chleb razowy z wielkiego bochna. Janowa obejrzała się.

— Hela! — zawołała — a tyż? dlaczego nie idziesz jeść?

Zsunęła się z tapczanika i kiedy szła ku rodzinnemu stołowi, drobna postać jej

oświetlona w pełni w sposób szczególny, jaskrawy odbiła się od otaczającego ją tła. Szczupła i nad wiek swój wysoka, miała ona na sobie szubkę z błękitnego atlasu labędzim puchem obszytą. Atlas był jeszcze świeży i błyszczący, ale śnieżne niegdyś obszycie wyglądało jakby wydobyte z popiołu. Ubranie to, z którego już wyrosła, sięgało jej zaledwie do kolan, poniżej długie, chude jej nogi wpółokryte były łachmankami pończoch pajęczej cienkości i bucikami wysokimi, na długi rząd błyszczących guziczków spiętymi, ale przez otwory których przeglądały nagie prawie stopy. Ściągnęła i chudą twarz jej z wielkimi, zapadłymi oczami otaczały włosy ogniste, starannie uczesane i opasane świeżo snadź włożoną, kosztowną wstążką—W tych niskich, ciemnych ścianach, pomiędzy tymi dziećmi bosymi i w grubej odzieży strój ten, jako też delikatność cery jej, rąk i ruchów okrywały ją współmiesznym, wółbolesnym piętnem głębokie; z całym otoczeniem jej dysharmonii. Przez chwilę słyhać tylko było uderzanie łyżek o misę i mla-

155

skanie pięciu gąb, z wielkim smakiem zjadających zacierkę ze słoniną przekąsywaną razowym chlebem. Hela jadła także, ale powoli, delikatnie i bardzo mało Kilka razy podniosła do ust chleb i zacierkę i położywszy łyżkę na stole, siedziała cicho, z rękami splecionymi na kolanach, "wyprostowana na stołku swoim, tak wysokim, że stopy jej w paryskich, podartych bucikach nie dosięgały ziemi.

— Czemu nie jesz więcej? — zwróciła się do niej

Janowa.

— Dziękuję, już nie chcę — odpowiedziała i drżąc z zimna otulała się, jak mogła, swoją za wąską dla niej i za krótką atlasową szubką.

— Czym to dziecko żyje, to już ja doprawdy nie wiem! — zauważyła Janowa. — Gdybym jej co dzień kawalątka mięsa nie usmażyła, toby już chyba do tego czasu z głodu umarła. A i tego jeszcze nigdy, nigdy do końca nie zje...

— Et — flegmatycznie zauważył Jan — przywyknie kiedyś, przywyknie...

— A ciągle też zimno jej i zimno... Nasze dzieci latają po dworze bose i w koszulach, a ją tu w izbie przy piecu, w tym niby to futerku febra wciąż trzęsie...

— At — powtórzył Jan — przywyknie kiedyś...

— Pewno! — przytwardziła Janowa — ale ot, tymczasem żal bierze patrząc... Już ja często gęsto i samowarek nastawię, a herbatą ją napoję...

— Tak i trzeba — potwierdził mularz — przecież płacą nam za nią...

— Płacą, to płacą... ależ nie tyle, żebyśmy ubóstwo nasze dla niej na bogactwo odmienić mogli...

— Bo i nie potrzeba, przywyknie.

Wicek i Marylka opychali się jeszcze chlebem i za-C1erką. Kaśka przekomarzała się z nimi jeść im przeszkadzając. Jan otarłszy usta rękawem koszuli po-Kał rozpytywać się syna o szkolne jego nauki i prowadzenie się, w przyległej izdebce zapłakało kilka-"uesięczne dziecię. Janowa, która misę, łyżki i pół

bochna chleba ku piecowi niosła, obejrzała się na Helę.

— Idź, pokołysz Kazia i zaśpiewaj mu tam, jak to ty umiesz...

Rozkaz ten wydawała głosem łagodnym, daleko nawet łagodniejszym niż ten, jakim do dzieci swoich przemawiała.

Hela, posłuszna i milcząca, krokiem lekkim i pełnym gracji, wcale do porywistego i ciężkiego chodu dzieci mularza niepodobnym, wsunęła się w całkiem prawie ciemną izdebkę, a po chwili miarowemu stukotowi biegunów kołyski wtórować zaczął słaby, lecz czysty i rzewnością nabrzmiały śpiew dziecinny. Innych piosenek jak francuskie nie umiała, ale tych za to pamiętała mnóstwo. Francuskie zaś śpiewanie to zawsze i nieodmiennie wprawiało w zachwyt rodzinę mularza, a dlatego może najbardziej, że było dla niej niezrozumiałym. I teraz także dzieci umilkły. Jan obu łokciami rozparty na stole i Janowa, myjąca naczynie przy piecu, milczeli. W ciemnej izdebce miarowo stukwały bieguny kołyski, a czysty i smutny głos dziecinny na przewleklą, melancholijną nutę wyśpiewywał zwrotkę ulubionej piosenki:

Le papillon s'envola, La rose blanche s'effeuilla, La la la la la la la...

Janowa podeszła do stołu, Jan podniósł głowę. Popatrzyli na siebie, pokiwali głowami i uśmiechnęli się z szyderstwem trochę, trochę ze smutkiem.

Jan sięgnął w zanadrze i rzucił na stół rozpieczętowaną kopertę.

— A ot! spotkałem dziś na mieście posesora Krzyc-kiej. Szedł do nas, ale zobaczywszy mię zawołał i oddał mi to...

Janowa grubymi palcami swymi z widocznym i głębokim uszanowaniem wydobyła z koperty banknot dwudziestopięciorublowy, stanowiący połowę

257

rocznej sumy, którą im pani Ewelina, na utrzymanie i edukację Heli aż do jej zupełnego dorostania wypłacać przyrzekła.

— No — zaczęła Janowa — przysłał jednak... chwała Bogu... myślałam, że...

Urwała, bo obok niej, przy stole, stanęła Helka. Z ciemnej izdebki, gdzie kołysała dziecko, widziała oddającego żonie kopertę z pieniędzmi i usłyszała wymówione nazwisko swej dawnej opiekunki. Jakby jej w jednym mgnieniu cała dawna żywość wróciła, zeskoczyła z łóżka Janowej, przy którym stała kołyska, i przypadła do stołu z zarumienioną twarzą, z błyszczącymi oczami, uśmiechnięta i drżąca, nie od zimna już, ale od wzruszenia. Wyciągnęła ku kopercie obie ręce.

— Od pani — wołała — to od pani... czy... czy...

Tchu jej brakło.

— Czy pani o mnie co pisze?

Jan i Janowa popatrzyli znowu na siebie, pokiwali głowami i uśmiechnęli się.

— Ej, ty głupi dzieciaku! gdzie bym tam pani miała do nas o tobie co pisać... przysłała, ot, pieniądze na utrzymanie twoje. Bądź wdzięczna i za to!

Hela w mgnieniu oka znowu pobladła, sposepniała i otulając się szubką swoją odeszła ku piecowi. Wicek pochwycił kopertę i czytał Marylce wypisany na niej adres, Kaśka drzemała na ławie z głową złożoną na kolanach ojca. Jan, biorąc z ręki żony banknot, z wahaniem w głosie zaczął:

— Może by to... schować dla niej... na dalsze czasy. Za dwadzieścia pięć rubli wyżywimy dziecko, a te drugie niechby... składały się...

— Niechby składały się — brodę na rękę w zamyśleniu wspierając odpowiedziała Janowa — tylko

^ widzisz, Janku, teraz by ją oporzadzić trochę trzeba...

— Jak to oporzadzić? Toż pozwolili jej całą garderobę wziąć ze sobą...

— Ach! garderoba! Dobrze to było do pałacu, ale

tutaj... Wszystko to takie cieniutkie, delikatne, niemocne... albo to ja mogę prac takie rzeczy jak należy... Ot, jedna dopiero zima minęła, a na miejscu tych jej sukien w kufierku same łachy zostały.

— Ano, kiedy oporządzić, to oporządzić. Tylkoż mi, kobieto, zbytków żadnych dla dziecka tego nie rób... niech chodzi tak jak nasze dzieci... a jeśli grosz jaki zostanie, na dalsze czasy dla niej schować...

— Ale! jak nasze dzieci! kiedy to takie delikatne! Bosą nogą na podłogę stąpi, kaszle... trzy dni koszulę ponosi, płacze, pytam się: „Czego płaczesz?” „Koszula brudna!” — powiada... A myje się to, czesze się i kurczy się po kątach przez całe dni... jak kotka.

— At — bębniąc palcami po stole zakonkludował Jan — przywyknie... Gdy mularz i żona jego w sposób ten naradzali się nad Helą, ona stała przed piecem i zapadłymi, przygasłymi oczami patrzyła w dogasający ogień. Widać było, że namyślała się nad czymś głęboko; po chwili stanowcze jakby postanowienie powziąwszy odwróciła się i cichutko otworzywszy drzwi od sieni wymknęła się z domostwa. Na ulicy znacznie widniej było niż w chacie, jednak szarzało już z wolna i chłodem przeszywająca mgła marcowego deszczu napelniała powietrze. W mgle tej brzegami znanych sobie dobrze uliczek, a potem ulic Helka przesuwała się zrazu prędko, potem coraz powolniej. Chwilami zmęczona bardzo przystawała; w wąskiej piersi jej brakowało oddechu, źle obute nogi słabły, kilka razy zaniósła się chrapliwym kaszlem. Szła jednak wciąż dalej i dalej, aż znalazła się na Zamiejskiej ulicy, u początku której, pośród bezlistnych teraz drzew ogrodu, stała willa pani Eweliny. Podeszła do żelaznych sztachet, popatrzyła na ogród. Posunęła się dalej, ku bramie. W bramie furtka była otwarta. Weszła na dziedziniec. Tu, w głębi dziedzińca, w dwu oknach oficyny, w której było mieszkanie stróża-świecił ogień. Snadź gotowano tam wieczerzę.

oficyny stróż rozrąbywał na drzazgi klocek drzewa. Zresztą cicho tu było i pusto, uderzenia siekiery klucho i miarowo tętniały w mgle deszczowej, z blaszanej rynny na bruk dziedzińca ciekła z monotonnym szmerem wąska struga wody. Hela przesunęła się pod ścianą pałacyku i suchą, bo zwirowaną ścieżką weszła do ogrodu. Tu stanęła przed schodami wysokiego ganku, na którym pani Ewelina przesiadywała zwykle całe dni letnie. Teraz schody, ganek i okrażające go ławki pokryte były wodą. Hela zaczęła wstępować po schodach, woda pluskała spod jej paryskich, podartych bucików. Nagle wydała okrzyk radości i miłosnym gestem wyciągnęła obie ręce. Spod ławki, z kąta ganku, w którym leżał zwinięty i do kłębka zmoczonej w błocie peli podobny, z zajadłym, piskliwym szczekaniem rzucił się ku niej Elf. Nie poznał jej był zrazu, bo też długa sierść jego, przemokła, splątana, całkiem prawie zasłaniała mu oczy. Gdy jednak przemówiła do niego i na mokrych deskach przed nim usiadła, wskoczył na jej kolana, a skomląc z radości, lizać zaczął twarz jej i ręce. Stworzenie to było wychudłe także, zziębnięte, głodne zapewne, brudne...

— Elf ku mój! Elf ku! piesku mój drogi, złoty, najmilszy!

Tulili się do siebie i całowali się wzajem.

— Elf ku! a gdzie pani? gdzie pani? nie ma pani naszej! nie ma! nie ma!

Wstała i psa niosąc w objęciu zbliżyła się do jednego z wychodzących na ganek okien domu. Usiadła na ławce i wnet zerwała się z niej.

— Popatrzmy przez okno, Elfku, zobaczymy, co tam w pokojach dzieje się... Może tam pani jest... może nas zawoła...

Uklękła na ławce. Woda, której wiele zgromadziło się we wklęsłości ławki, plusnęła spod jej kolan. Nie uważała na to.

— Patrz, Elfku, patrz!

m

Podniosła pieska i obok twarzy jej kosmaty py. szczek jego do szyby przycisnęła.

— Widzisz, Elfku... Wszystko tak samo, jak by. Ło... pasowe firanki takie piękne... a tam to duże lu. stro, przed którym pani ubierała mnie czasem... a tam... przez otwarte drzwi widać, póki jadał-ny...

Umilkła; pożerała oczami wszystko, co we wnętrzu mieszkania dostrzec mogła.

— Widzisz, Elfku, ten kołyszący się fotelik... Jalt na nim wygodnie siedzieć...

Bywało, siadę i kołyszą się... kołyszę się... caluteńką godzinę... i lalka moja, ta duża, kołysała się ze mną...

Elf zmęczył się niewygodną pozycją, wysunął się spod jej ramion i opadł na ławkę.

Osunęła się też wkrótce na nią i dziewczynka.

— Oj, Elfku, Elfku! i ty, i ja... byliśmy tam niegdyś...

Siedziała w wodzie. Ubranie jej tak było przesiąknięte wilgocią, że czuła spływające jej po plecach chłodne strumienie. Stopy jej, pod paryskimi, podartymi bucikami, nagie prawie, drętwiały. Siedziała jednak i tuliła do piersi wychudłego, mokrego Elfka, który od chwili do chwili ręce jej lizał.

— Widzisz, Elfku, tam gdzie teraz tyle błota... latem jest trawnik, a ja z panią siedziałam na nim tyle, tyle razy i układałyśmy bukiety. A pamiętasz, ty, Elfku, Włochy? To ja uprosiłam panią, abyś tam z nami jechał! Jak tam pięknie, prawda? Ciepło, zawsze zielono... słońce tak świeci... świeci... morze takie szafirowe... nad morzem takie wielkie, białe ptaki latają... A pamiętasz, jak panna Czernicka lękała się płynąć po morzu... Gdzie teraz panna Czernicka? Z panią pojechała. A my, Elfku, nie pojedziemy już z panią nigdzie... nigdzie... nigdzie...

Ciężka, kamienna senność ogarniać ją zaczęła. Pochyliła głowę na poręcz ławki i mocno wciąż trzymając przy piersi sennego też Elfka — usnęła. Świecie robiło się coraz ciemniej; siekiera strój

umilkła, W oknach oficyny zgasł blask ognia, drobny, gęsty deszcz wciąż bez najlżejszego szelestu spadał na ziemię i tylko po rogach pałacyku z blaszanych rynien ciekły z monotonnym szelestem wąskie strumienie wody.

Okolo północy dostukawszy się do stróża i na pytania swe otrzymawszy odpowiedź, że istotnie stróż widuje od czasu do czasu dziecko to, które mu wieczorem z chaty zginęło, Jan mularz z zapaloną latarnią wszedł na ganek i nad jedną z otaczających go ławek stanął jak skamieniały. Stał, patrzył, wstrząsał głową i, nie wiedząc dlaczego, grubą ręką swą, z niechcenia niby, przesunął po oczach, podniósł potem w silnych ramionach swych dziewczynkę, która obudziwszy się, senna, spłakana i słaba, rozpaloną twarz swą na ramię jego zwiesiła. Zniósł ją z ganku i szybkim krokiem ku chacie swej z nią podążył. Biorąc Helkę odrzucił precz śpiącego na piersi jej] Elfa,

który też w milczeniu poszedł znowu pod ławkę i ciężko wzdychając zwinął się w kłębek na mokrej podłodze ganku.

Orzeszkowa

Więc i ta nawet kobieta miała kiedyś nad głową błękit wiosenny, a w sercu słońce szczęścia! Więc i takie nawet pylinki ludzkości, malutkie i szare, posiadają wspomnienia swe, o których z głośnym, rubasznym śmiechem mówią dopóty, dopóki w oku ich nie zakręci się łza. Proszę! Kto by się spodziewał, że ta Romanowa wiodła kiedyś życie szczęśliwe i wesołe, któremu nawet nie brakowało odrobiny poezji. Ona i poezja! Dziwny związek dwu sprzecznych z sobą składników, który, aby w retorcje życia móc dostrzec, trzeba by chyba oko w drobnowidz uzbroić.

Znałam ją od lat kilku, niemniej, gdy opowiadała mi przeszłość swoją, przypatrywałam się bacznie i ciekawie całej powierzchowności jej, a szczególnie grze zmarszczek jej twarzy. Jakkolwiek od lat już kilkunastu przebywała w mieście, nie przyswoiła sobie nigdy całkowitego ubrania miejskiego. Posiadała sztukę wyszukiwania na rynkach miejskich owych spódnic grubych i sztywnych, które z farbowanych na barwy różne lnu i konopi tkają na krosnach swych kobiety wiejskie, a które w języku miejscowym noszą nazwę samodziału. W samodziałowej zatem spódnicy, sztywnej i mieniającej się czerwonymi i sinymi pręgi, w grubym i ciężkim obuwiu na ogromnych stopach, w kaftanie po miejsku już nieco skrojonym i perkalowej, kwiecistej chustce, po wiejsku znowu zawiązanej na głowie, w ten sposób że tworzyła czepek ukazujący z przodu dwa pasma siwiejących włosów, stała przede mną rozgadana, śmiejąca się, szczęśliwa tym, że pozwalano jej gadać... gadać... gadać. Była może kiedyś przystojną, ale teraz twarz z ciemną skórą, czołem wąskim i pomarszczonym, z pomarszczonymi policzkami i zwiędłymi usty przypominała zgniecioną kartę starego żółkłego papieru. Mały, zadarty nos rzucał na twarz tę wyraz głupowatej trochę wesołości, a siwe małe oczy spod gęstych, wypukłych brwi błyszczące były i bardzo fywe. Ręce jej objawiały życie spędzone w ciężkiej i nieustannej pracy. Z dala na nie patrząc można było

U» j. -

mniemać, że okrywały je rękawiczki tego odcienia orzechowej barwy, która nosi nazwę „koloru Bis. marek”. Były one dziwnie grube w dłoniach, o węzło. waty ch palcach, wiecznie poznaczone czarnymi i czerwonymi bliznami, świadczącymi o częstym ich stykaniu się z ogniem i kipiátkiem. Ręce te u piersi splótszy i siwymi oczami błyskając opowiadała:

— Bywało, proszę pani, zimową porą, jak g0 smotrytiel* po siano posyła, założy do sań parę koni, do dyszla dzwonek przywiąże... i woła na mnie: „Ewka!” chodź! a żywo! razem pojedziemy!” Smotrytiel Czasem z sieni krzyczy: „Roman! a po ci ten dzwonek?” „Żeby wilki w lesie nie napadli” — odpowiada. Ale ja wiedziałam, że to wcale nie dla wilków, tylko dlatego, że ja strasznie lubiłam z dzwoniem pocztowym jeździć. Drugiemu może by i nie pozwolili żonki brać z sobą, ale jemu co innego. Drugiego takiego pocztyliona na żadnej stacji (stacji), od naszej aż do samego Wilna, nie było. Najlepszą czwórkę koni jemu zawsze dawali. Kiedy gubernator albo jaki wielki generał przejeżdżał, nikt go nie wiozł, tylko Roman. Kiedy pan jaki przyjeżdżał, to, bywało, smotrytiela prosił: „Tylkoż Romana mnie dajcie!” Bo to,

proszę pani, wysoki był, piękny jak dąb mężczyzna, brunet taki, jakby jemu kto włosy i wąsy smołą posmarował, silny w rękę taki, że niech Pan Bóg broni, i niepijący. Wódki na Wielkanoc chyba pokosztuje albo czasem piwa szklanek wypije, ale nikt go nigdy pijanego tak jak innych, nie widział. Konie lubił jak dzieci, po całych dniach, bywało, to czyści zwierzęta te, to karmi, to poi, a kiedy nic już koło nich do roboty nie ma, to tak sobie przy nich w przeorynie stanie, grzywy im głaszcząc i gada do nich jak do ludzi... Czasem i mnie od roboty odwoła: „Ewka! a chodź no tu!” Co robić? Choć od gotowania

•Smotrytiel (z ros.) — tu: nadzorca, naczelnik konnej stacji pocztowej.

165

albo od balii odejdę, a do stajni idę. On mnie za rękę i do przeoryny ciągnie. „Patrzaj no — mówi — jakie u tej bestii oczy mądre!” A koń patrzy się na niego jak człowiek i pysk mu na ramieniu kładzie jak pies- „Przynieś no mu kawałek chleba” — mówi. Pójdę, bywało, do chaty i przyniosę. A co robić? Kiedy on tak te zwierzęta lubił. Stoim tedy w prze-orynie, on z jednej strony konia, ja z drugiej. „Daj mu chleb sama” — mówi. Daję. Kota tam w stajni trzymali, takiego wielkiego, burego, co, bywało, jak zobaczy chleb w ludzkim ręku, z góry po drabinie złazi, na żłobie końskim siada, miauczy i w oczy patrzy. „Dajże k r y s z k ę (troszkę) i kotu” — mówi. Ja troszkę chleba to koniu dam, to kotu i śmieję się jak wariatka, a on nie śmieje się. tylko to na mnie, to na te bestie patrzy i taki szczęśliwy, że aż mu oczy błyszczą. Inne pocztyliony kłóca się, bywało, na dziedzińcu albo w karczmie piją, albo biją się w swoich chatach z żonkami, a on ciągle tylko mnie by przy sobie trzymał i swoje konie pieścił... Strach, jak on te bestie lubił...

I ją snadź lubił on bardzo, a ona wiedziała i pamiętała o tym, tylko mówić nie chciała, albo nie mogła. Pewniej, że nie mogła; przygarbiła się trochę, na wąskim jej czole zmarszczki poruszyły się jak fale, żółte powieki mrugnęły kilka razy prędko... prędko...

— Ale cóż tam było wtedy, jakieście saniami razem po siano jeździli?...

Wyprostowała się, wilgotne oczy jej błysnęły, zadęła znowu śmiać się.

— Czysty to śmiech był, proszę pani... cha, cha. ' cła... Parę koni, bywało, założy, tłustych.

wykarmionych, jak szkło błyszczących, dzwonek do yszła przy wiąże i krzyczy:

„Ewka! chodź no tu. ® żywo!” Ja na to jak na lato! Cap, łap chustkę Da głowę, przed chatę wylatuję i starej Kaśki wołam, 6 y dziecko i strawy gotującej się dopilnowała...

— A któż to była ta Kaśka?

366

— Wdowa po kowalu, proszę pani, taka stareńka... stareńka i bardzo biedna... Jak jej mąż umarł, przy córce zamężnej, co za chłopca wyszła, mieszkała, aż zięć z chaty wypędził... Do syna kowala mieszkać po. szła, a syn rozpił się, w świat poszedł i zginął b^ wiadomości żadn ej... starą matkę porzuciwszy... Pan' Bóg wie, co z nim stało się... Czy zmarł gdzie pod płotem, zwyczajnie jak pijak, czy może i okradł kogo, to go do turmy wzięli i daleko zesłali... i To ta Kaśka zwyczajnie, podziac się gdzie nie mając na naszej stacji żyła... Smotrytielowi i pocztylionowym żonkom posługiwała, a latem krowy pasła... Oj, pani moja... biednaż ta Kaśka była na swoje stare lata, biedna!

Tu rękę podniosła, policzek na dłoni wsparła, a na twarzy jej odmalowało się takie przerażenie, że zmarszczki jej nawet jakby w nim osłupiały. O przyczynie przerażenia tego,, które ją ogarnęło, wiedziałam dobrze.

— Pewno w tej chwili o Michałku swoim pomyślałaś?

Twierdząco wstrząsnęła głową.

— Moja droga pani, moja najdroższa pani, co z nim będzie? Co z nim stanie się?

Czy on tak samo zmarnuje się jak ten syn Kaśki?...

Mówiąc to, patrzała mi w oczy, a wzrok jej nieruchomy wśród znieruchomiałych zmarszczek twarzy tak stawał się przenikliwym, jakby pragnęła do wnętrza duszy mojej zajrzeć i dowiedzieć się, co ja o tym myślę. Czy Michałek jej tak samo zmarnuje się jak ten syn Kaśki? Pragnęłam odpowiedzieć przecząco, ale nie mogłam. Wołałam zwrócić ją znowu ku jej przeszłości.

— Więc wołałaś starej Kaśki, aby ci dziecka i strawy dopilnowała...

Jak u wszystkich natur pierwotnych, wrażenia i humory najsprzeczniejsze budziły się w niej i za" stepowały wzajem z szybkością dla ludzi ucywili* r wanych niepojętą. Słoneczne wspomnienie rzucił";

167

znowu na twarz jej żywą grą rysów i zmarszczek. Znowu śmiejąc się mówić zaczęła:

— Taki, proszę pani, z tego Romana mego był psotnik i śmiechulski, że tylko jemu byle śmiać się i dokazywać... Bywało, ja w chustce na głowie przez próg wyskoczę i Kaśki wołam, a on przyskoczy, wpół mnie schwyci i jak małe dziecko na saniach posadzi... Chustka mi z głowy spadnie, śmieję się tak, że aż mi d u c h z a b i e r a, i ani obejrzę się, jak on na saniach stanie, na konie krzyknie i haj! lecim... Ja siedzę, on stoi, w jednej ręce lejce trzyma. w drugiej bat... ale bata on na konie nie używał, tylko wesprze się, bywało, na nim, żeby mocniej stać, bo stojąc jeździć strasznie lubił, i tak, bywało, wyprostowany, słuszny, piękny, jak ten młody dąb, co choć wiatr dmie, jego ani ruszy, leci i ani drgnie... Czasem tylko na mnie spojrzy i zagada: „A co, Ewka, nie zimno tobie?” i znów na konie: „Hej, hej, dzieci, hej, hej!”, aż po drodze i polu rozlega się... Najpierwej, proszę pani, to my tak drogą pocztową trzy wiorsty przelecim... Dzwonek dzwoni, kopyta końskie po śniegu czach--czach, czach-czach! Słońce, choć to zima, świeci, niebo wszędzie takie błękitne, pole z jednej strony i z drugiej strony takie białe, białe, że aż oczy mroczą się, drzewa przy drodze migają i wróble krzycząc zrywają się przed końmi...

Oczy jej zaiskrzyły się i policzki zapłonęły. Z rubaszną żywością gestykulować i poruszać się zaczęła, rękoma ukazując niby te pola, drzewa i wróble, o których opowiadała, a postacią naśladowując to wyprostowaną postawę Romana, to rwanie się koni, to własne ówczesne rozweselenie i rozchichotanie.

— Potem, pani moja, braliśmy się z gościńca na Prawo, jak dziś pamiętam, że na prawo, i wjeżdżaliśmy w las, w którym Siennica stała. Tu już nie można było tak lecieć jak przez gościniec, bo droga °yła wąska i kręciła się między drzewami.

Roman do koni przemówi: „Wolniej, dzieci, wolniej!” i choć

368

lejców ani przyciągnie, konie wolniej iść zaczynają Mowę jego bestie te rozumiały.

Wtedy, bywało i on przy mnie na saniach siądzie, nogi wyciągnie bat przy sobie położy i po lesie ogląda się. Strasznie las lubił, bo synem leśnika był w puszczy

hodowa-nym i w osiemnaście lat po ojcu osierociawszy p0. czylionem został. Siedzi tedy, bywało, i ogląda się. „Patrzaj, Ewka — mówi — jakie te drzewa wysokie, hej, aż pod niebo rosną!” „Aha!” — mówię; A on znów: „Patrzaj, Ewka, co śniegu na gałęziach... ot, zdaje się, że złamią się zaraz!” „Aha!” — mówię. Patrzę, pani moja, i dziwuję się, że drzewa takie wysokie śniegiem oblepione: A on znów: „Patrzaj, Ewka, jak tam słońce przez gąszcze prześwieca się i śnieg błyszczący”. Prawda, że błyszczał, aż oczy mrużyły się. A cicho tam było, pani moja, jak makiem posiał. Ani wiatorku najmniejszego, ani głosu ludzkiego znikąd nie słysząc... Czasem tylko sucha ga-łęź gdzieś zatrzeszczy i złamie się albo wrona zleci na drzewo i zakracze. Końskich kopyt nawet nie słysząc, tak pomaleńku sobie stąpają, i sań nie słysząc, tak suną się po śniegu jak po puchu. A Roman do mnie: „Śpiewajmy!” — mówi. Ja na to jak na lato: śpiewajmy! Dużo on bardzo piosenek ślicznych umiał: od swego ojca, co w wojsku kiedyś służył, i od swej matki, co po dworach służyła, nauczył się i mnie ponauczał. Jak zawiedzieni tedy jednym głosem: „Stój, poczekaj, moja duszko...” albo: „Bywaj, luba, zdrowa”, to te śpiewanie nasze po całym lesie rozlega się i zdaje się, że aż pod niebo idzie, i zdaje się, że go te wysokie, takie wyprostowane i śniegiem oblepione drzewa słuchają. U Romana lejce tak wolno wiszą, że aż ciągną się po ziemi, konie jak dzieci pomaleńku, równiuteńko sobie idą, a my objawszy się wpół i po lesie patrzaj ąc śpiewamy i śpiewamy te, nie przymierzając, dwa ptaki... Wtem, jak oberwie się z gałęzi kawał śniegu, jak spadnie jemu na głowę, a mnie na sam nos, jak rozsypie się nam niby grad po plecach i po kolanach... Ja w krzyk, °n 169

w śmiech-. i śpiewanie nasze skończone... Roman jejce w garść, znowu na saniach stoi i na konie: jjej, hej!”. A tu i na polankę wjeżdżamy, gdzie siennica stała. Wtedy oboje z sań wyskoczmy i do roboty! Silna byłam, pani moja, jak chłop... toteż kiedy mąż siano na sanie składa, dobrze mu, b y-wało, ku pomocy jestem. On nosi i ja noszę, on składa i ja składam, a wciąż na wypródki biegamy, to od sań do Siennicy, to z Siennicy do sań, aż ułożym furę taką jak wielka góra. Wtedy Roman do mnie: „No, Ewka, a co teraz z tobą będzie?” — mówi. Niby to straszy, że już dla mnie miejsca nie ma. „Piechotę pójdiesz do domu!” — mówi. „To i pójdę — mówię — wielka bieda!” A on mnie wpół i na sianie posadzi, że aż utopię się w nim i tylko głowę moją widać. „Siedź, babo, a trzymaj się, żebyś z tej wysokości nie spadła” — mówi. Sam przy mnie siądzie i tak już, pomaleńku, do chaty wracamy...

— A biedy wielkiej w chacie waszej nie było?

— Ej, nie, proszę pani; bogactwa nie było, ale i biedy nie było. Statkowaliśmy i pracowali oboje, to i nie zazналиśmy głodu. Bywało, na obiad kapustę i groch albo barszcz i kartofle gotuję, na wieczrę znów kartofli albo bobu zwarzę i czasem słoniną okraszę. Wieprzaka co roku karmiłam, na Boże Narodzenie były z niego kiełbasy i kiszki, a na Wielkanoc Roman od ekonoma, albo od chłopca którego prosię kupował i za nogi trzymając do chaty przynosił... To i czegoż więcej żądać było? Istotnie, groch i kapusta, barszcz i krupnik, bób i kartofle, raz w rok prosię pieczone — czegoż więcej żądać było można? Romanowa z najgłębszym przekonaniem twierdziła, że nic nad to do życzenia mieć nie mogli. Pamięć jej opowiadała, że przy tym sposobie żywienia się była ona w porze owej doskonale szczęśliwą. Roman szczęśliwym był także, ale niedoskonale, bo stokrotnie pragnął posiadać kawałek

ziemi.

~ Ot, tak proszę pani, żądał on kawałka ziemi,

170

że mu to w dzień ani w nocy z głowy nie wychodzi, ło. Raz powrócił skądś i ledwie j a r m i a k * zdją}_ mówi: „Ewka, jaką ja chatę tam za miasteczkiem widział! tylko co, widać, ktoś ją zbudował, bo nowiuteńka, dach jeszcze żółty, cztery okienka z czerwonymi szlakami naokoło i drzwi ■ na czerwono po-malowane, ganeczek, dziedziniec, płotek z łoży, og. ród warzywny, kawałek pola — wszystko jest. Ot, żeby to my kiedykolwiek taką siedzibę mieli. Oj!” I może pani nie uwierzy, ale jak Boga kocham, prawdę mówię. Z dziesięć mil tego dnia ujechał, zmókł na ulewnym deszczu tak, że koszulę, w której jeździł, aż wykręcać musiałam, kieliszek wódki nawet dla rozgrzania się wypił, a snu mu z powodu tej chatki nie było. Położył się i z początku zasnął, ale potem ciągle mnie budził: „Ewka — odzywa się — czy ty śpisz?” „Nie, a co?” — mówię. „Żebyś ty widziała tę chatę! Koło okien czerwone szlaki na łokieć szerokie, przy samym lesie stoi i jak miarkowałem po miedzach, ze trzy morgi gruntu przy niej. Ot, żebyśmy to mieli trzy morgi gruntu! Oj!” Przewracał się i wzdychał wciąż do tej chaty jakby, za pozwoleniem pani, do kochanki. Wieczorem, bywało, kiedy już wszystko około koni robi, a nigdzie nie jedzie, przychodzi ze stajni do domu, bierze Michałka na ręce, po izbie go nosi aż pod sufit huśtając, tak że chłopiec rączynami o belkę za każdą razą opiera się, albo znowu śpiewa sam i jego śpiewać uczy, a potem zaczyna swoje, o własnej chacie i o gruncie. „Żeby mi Bóg dał — do chłopca mówi — we własnej chacie cię hodować! Żebym ja kiedy mógł na własnym gruncie orania cię uczyć! Żebym ja oczy przy śmierci zamykając myślał, że ty gospodarzem po mnie w swojej chacie zostajesz. Oj!” Westchnie, bywało, chłopca mnie odda, a sam w kącie izby siada, twarz ręką podpira i chmurzy się jak niebo na deszcz. Wtedy ja z dzieckiem zawsze przy nim siadę i P°”

•Jarmłak — długie okrycie zwierzchnie.

171

cieszam go mówiąc: „Może Pan Bóg da!” „Może!” __odpowiada i zaczyna różne projekty układać. Żeby tak gdzie lepszą służbę dostać, do wielkiego jakiego majątku na leśnika pójść czy co? Żalność mu prędko przechodziła, ręk nie opuszczał i zawsze miał nadzieję. „Jeszcze my, Ewko, młodzi — mówił — byle statek i pracowitość były, wszystkiego dochrapać się można”. A ja w to i wierzyłam. Kiedy on tak mówił, widać prawda była. I sama, bywało,

0 własnej chacie rozgadam się. Łuczywo zapalone

1 w szczelinę pieca wetknięte pali się jasno niby pochodnia, przy piecu stara Kaśka siedzi, konopie kręci albo motki zwija i bób gotowany zuje; my też na ławie, za stołem, nad misą bobu siedzim, a chłopak nasz, spory już, pucaty, rumiany, w koszulinie czystej naprzeciw nas na stołku niby siedzi, a na stole leży i z wytrzeszczonymi oczyma słucha, co my gadamy. A my bób jedząc o naszej chacie, cha, cha, cha! tej, do której jeszcze arti słominki nie było... Jak to my, proszę pani, na własnym gruncie gospodarzyć będziem, wiele tego siać, a wiele tamtego, jak sobie dwie izby ładnie ustroim, wieprzaków trzech karmić będziem i owieczek kilka, dwie krówki, klacz ze źrebięciem... Czasem aż pokłócim się z sobą o nasze przyszłe gospodarstwo... Ja kur żądam i kaczek, a on mówi: „Głupstwo te twoje kury i kaczki!

Ja ich trzymać nie pozwolę, bo szkody robią!" „Otóż będę trzymać" — mówię. „Otóż nie będziesz!" „Będę" — krzyczę, a on jak stuknie kulakiem w stół, to aż misa podskoczy i chłopiec rozplacze się. Wiadomo, mężczyzna, siłę swoją znał. A ja znów, bywało, cała struchleję i tylko chłopca płaczącego tulę, a na męża już i spojrzeć boję się. Ale u niego złość prędko mijała. Krzyknie raz, drugi, przez kilka minut nachmurzony siedzi, a potem: „Ewka, daj no mi chłopca!" I wszystko już skończone. Tylko kiedy czasem dzwonek wtedy odezwie się przed stacją, asmotrytiel zawoła: „Roman, konie zakładać!", Koman wstaje z ławy klnąc pocztę i pocztylionowskie

172

życie. „Żeby ich diabli porwali — mówi — z żoną i z dzieckiem posiedzieć nie dają! Wlecz się teraz na całą noc, żeby ich!..." A ja mu j a r m i a k po-dając i czerwonym pasem go przewijając z pociechą: „Poczekaj, kryszkę! — mówię — z własnej chaty nikt cię na całą noc wyganiać nie będzie!" Aha! własna chata... komu ją Pan Bóg daje, a komu nie daje... i memu Romanowi dał... tylko bardzo ciasną...

Po ciasną istotnie chatę dążyć miał pocztylion, gdy raz sześć koni do karety przejeżdżającej pani jakiejś założywszy wpadł do izby wołając:

— Ewka! paradny jarmiak włożyć kazali! Dawaj!

Ubierał się Spiesznie, przejeżdżającą panią była żona dygnitarza jakiegoś, smotrytiel kłaniał się jej uniżenie, a na pocztyliona o pośpiech wołał. Noc zapadała jesienna, czarna, dżdżysta i świszcząca wichrem. Stacja miała opętanych mil cztery i przed przybyciem do drugiej rzekę dużą nie mostem, ale promem przebywać wypadało. Romanowa według zwyczaju dopomagając mężowi do śpiesznego ubierania się, wzdychała: „W taką ciemną noc! przez rzekę!" „Głupstwo — odpowiadał — albo to ja pierwszy raz w ciemną noc i przez rzekę pojedę! Ot, jedna tylko bieda! konie lejcowe, te, co to tydzień temu kupione, ręki mojej jeszcze nie znają i narowiste. Dali mi je do poprawienia, ale bestie jak stawały dębem, tak stają. Jeżeli człowiekowi długiego czasu potrzeba, aby od złych nałogów odwyknąć, to cóż zwierzęciu". Kiedy powiedziałszy to stanął przed palącym się w piecu ogniem całkiem już ubrany, to w długim jarmiacu swym z czarnego aksamitu, w czerwonym pasie, ze świecącym medalem na piersi i futrzaną czapką z fantazją na krucze włosy włożoną wydawał się tak wysokim, silnym i pięknym, że Ewka o trwodze swej zapominając wpatrzyła się w niego jak w cudowny obraz. Dobrze uczyniła, że długo na niego popatrzała, bo nigdy więcej nie miała

173

g0 już widzieć. W dwie niespełna godziny potem, jak uściskałszy ją i dziecko wyszedł z izby ostrzegając, aby pamiętała na noc drzwi od chaty dobrze zamknąć, na kozieł wskoczył, lejce w garść schwycił j na konie zawołał: „Hej! hej! dzieci, hej, hej, hej!", w dwie niespełna godziny potem, jak kareta świecąc zapalonymi latarniami z głuchym turkotem oddaliła się od stacji i zniknęła w deszczowej i wietrznej ciemności zalegającej drogę pocztową, w niespełna dwie godziny potem u przewozu, gdy prom przepłynąwszy rzekę przybić już miał do brzegu, w deszczowej i wietrznej ciemności powstały straszne krzyki. Coś się tam okropnego z promem, z końmi i z ludźmi stawało. Kareta jednak, jadącą w niej panią i jej lokaja uratowano. Dwa konie tylko zadusiły się i pocztylion utonął.

Romanowa splasnęła rękoma.

— Ot, tobie i chata z czerwono pomalowanymi drzwiami! Ot, tobie i kawałek własnego gruntu! Wyciągnęli go z rzeki, na czerwono pomalowali mu trumnę i w żółtym piasku wykopali dół...

Ciężka łza ciekła po grubej i ciemnej skórze jej policzka; zgarbiła się, trzęsła głową i wilgotnymi oczami żałośnie patrzyła kędyś daleko... Nagle oczy jej oschły i błysnęły tak, jakby miała lat dwadzieścia, jak błyszczeć musiały wtedy, kiedy to Roman konie do sań założywszy wołał: „Ewka! razem pojedziem!” Wyprostowała grubą kibić swą i ręce pod fartuch zakładając, z widoczną niecierpliwością pytać mię zaczęła, co ma na wieczrę gotować. Z nogi na nogę przestępowała i aż drżała, tak jej się chciało co prędzej za drzwi wyskoczyć. Jednak gawędzenie, opowiadanie, żalenie się i chichotanie było jej namiętnością. Uszcześliwiał ją każdy, kto jej gawędzić z sobą pozwalał. Dlaczegoż teraz tak niecierpliwie rozmowę ze mną przerwać pragnęła? Zobaczyła snadź Przez okno kogoś, czyj widok oczy jej osuszył, kibić Zgarbioną wyprostował i nogi porywał do szybkiego legu. Zobaczyła przez okno "młodego, wysokiego

174

chłopca, który w surducie poplamionym, wysokich butach i czapce krzywo nieco na głowę włożonej dziedziniec przebywał dążąc ku wiodącemu do kuchni bocznemu gankowi domu.

Przez dziedziniec szedł krokiem zamaszystym, z głową tak podniesioną i takimi ruchami ramion, jakby każdemu, kogo by spotkał, zapowiedzieć chciał: „Do trzech ze mną nie gadaj!” Zawadiactwo i burda biły z ruchów i miny jego. Gdy wchodził na wschody ganku, zachwiał się parę razy i zaklął grubym, rubasznym głosem. Twarz Romanowej zachmurzyła się znowu i po chwili stała się nawet bardzo posepną. Wyraz bólu nappełnił szare jej oczy, trwoga z przerażeniem granicząca zatrzęsła wargami. Niemniej, pilno jej było iść, pilniej jeszcze niż przed minutą, gdy z dała tylko spostrzegłszy nadchodzącego dostrzec jeszcze nie mogła, w jakim przybywał on usposobieniu.

W kilka minut potem w kuchni rozlegał się i aż na dziedzińcu słyszeć się dawał grubiański, trochę ochryply, z łajaniem i przekleństwami pomieszany, o coś u kogoś dopominający się głos męski, któremu od chwili do chwili głos kobiecy odpowiadał: — Cicho, Michałku, cicho, cicho!

Przy jednej z ulic Ongrodu wznoszono wielką kamienicę. Wysoki parkan z desek odgradzał ulicę od świeżego i już prawie do wysokości dachu zbudowanego muru. Pomiedzy parkanem a murem wznosiły się szkielety mularskich rusztowań, sterczały drabiny, na chodniku okrytym rozbitymi ceglami i wapiennym pyłem stały drewniane naczynia z rozrobioną gliną i wapnem. Dość często, w porze dnia tak wczesnej, że na ulicy znajdowała się mała jeszcze liczba przechodniów, przed wznoszącą się kamienicą, o parę kroków od parkanu z desek, stawała kobieta wysoka, gruba, w ciężkim skórzanym obuwiu, w szty-

175

wnej samodziłowej spódnicy i szarej chustce zarzuconej na głowę. U ramienia jej wisiał kosz spory, zamknięty, nappełniony zapewne przedmiotami nabytymi w rzeźni i na rynku. Stawała przed parkanem z desek, twarz w górę podnosiła i ku szczytowi rusztowań patrzyła. U szczytu tego pracowało robotników mularskich kilkunastu,

układając cegły i żywo poruszając kielniami i ramionami. Ale ona na jednego z nich tylko patrzyła. Odosobniony nieco od towarzyszy swych, w białym fartuchu, osłaniającym go dokoła od szyi aż do stóp, stał on na rusztowaniu najwyższym i gorliwie, zręcznie, wprawnie pracował. Robota jego była taką, że spełniał ją stojąc; wysoka więc, silna i zgrabna jego postać, jako też głowa czarnymi włosami okryta z wypukłością rzeźby zarysowywały się na tle białawych obłoków. Inni robotnicy gwarzyli pomiędzy sobą, z opuszczonymi rękoma co chwilę odpoczywali, czasem zawodzili krótkie, lecz donośne kłótnie. On nic do nikogo nie mówił i nie odpowiadał; z niejakim wdziękiem przez siłę i doskonałą wprawę wytwarzanym nieustannie poruszał ramieniem w kielnię uzbrojonym i tylko czasem śpiewać sobie zaczynał głosem silnym i czystym; rzucał w powietrze kilka nut różnej piosenki i wnet ją urywał.

Kobieta z dużym koszem u ramienia, z podniesioną głową wpatrywała się w młodego robotnika tego, a im dłużej patrzyła, tym rozkoszniej szy uśmiech rozlewał się po jej twarzy ciemną, grubą, pomarszczoną skórą obleczonej, rozweselonej małym, zadartym nosem, świecącej dwójgiem oczu małych, szarych, bardzo żywych. Gruba, duża chustka, którą była okryta, zsunęła się jej całkiem na plecy ukazując głowę w białym przybrudzonym czepek. Potem i czepek Przekrzywił się i zsunął się na tył głowy, a spod niego na wąskie i w grube fałdy pomarszczone czoło rozsypały się rudawe i mocno posiwiałe włosy. Patrzyła wciąż i uśmiechała się coraz szczerzej, dobro-uszniej, rozkoszniej. Coraz liczniej ukazujący się na ^y Przechodnie zatrzymywali się cbok niej i za

176

nią, podnosili także głowy i z rozwierającymi się od ciekawości ustami poszukiwali w górze czegoś nadzwyczajnego, czemu by ta kobieta tak uparcie przypatrywać się mogła. Ona zgromadzających się dokoła niej ludzi nie widziała. Popychali ją oni i uderzali łokciami, ona tego nie czuła. Patrzyła. Przez otwór w parkanie wybiegł niewielki pies, kundel w czarne i białe plamy, a ujrzawszy ją przybiegł uradowany, przednimi łapami wspiał się o jej kolana i rękę jej polizał. Psa tego spostrzegła i wzrok ku niemu spuszcżając pogłaskała go grubą, czerwonymi i czarnymi bliznami okrytą ręką.

— Żuzuk! Żuzuk! — mruknęła — pana swego pilnujesz! Dobry Żuzuk!

Wtem z góry rozległ się głos męski:

— Czemu mama do domu nie idzie? Ludzie tylko schodzą się tu przez mamę jak na widowisko jakie!

Znowu twarz swą oblaną rajskim uśmiechem w górę podniosła.

— Przyjdiesz, synku, na obiad?

Młody robotnik mularski zstąpił był po rusztowaniu o kilka łokci niżej i przechylony nieco ku dołowi rozmowę z matką rozpoczął. Żuzuk, ujrzawszy go, z radosnym skomleniem rzucać się zaczął na parkan.

— Niech mama będzie spokojną, przyjdę z pewnością... . i

— Przyjdiesz? — wahającym się głosem zapytywała jeszcze.

Ale on schwycił znowu kielnię swą i już na nią nie patrzył. Raz tylko spojrział jeszcze w dół i zawołał:

— Żuzuk!

Pies zrozumiał rozkaz i z podwiniętym ogonem położył się u stóp rusztowania. W kłębek zwinięty leżał on tam całymi godzinami, od czasu do czasu tylko podnosząc głowę i sennym wzrokiem szukając w górze swego pana. Ilekroć młody robotnik brał zwawy i długo trwający udział w jakiejś dokonywanej się w mieście mularskiej robocie, Żuzuk miał pozór najszczęśliwszego pod słońcem psa. Wybornie

m
snadź żywiony i czule pieśczone, spokojnie wylegiwał się u stóp rusztowania i wesoło potem, ze sprężystymi skoki i zuchwałym szczekaniem, biegł ulicami miasta ślad w ślad za powracającym od roboty wysokim, zgrabnym chłopcem w białym fartuchu i czapce ubielonej wapnem, a zawsze z fantazją, więc krzywo trochę włożonej na czarne włosy. W tych porach, w których Żuzuk doświadczał niezmaconego dobrobytu i szczęścia, szczęśliwą też bywała i kobieta owa, która we wczesnej i porannej godzinie z ciężkim koszem na ramieniu oddawała się przed wznoszoną kamienicą niewypowiedziane błogim kontemplacjom. Zamieniwszy kilka słów z synem i pogłaskawszy Żu-żuka odchodziła krokiem tak zwawym i sprężystym, jak gdyby miała lat dwadzieścia. Tu i ówdzie zatrzymywały ją znajome jej kobiety, kucharki, tak jak ona, albo żony ubogich mieszczan, rzemieślników. Wtedy na chodniku albo pośród rynku słyhać było rozmowy głośnie, wśród których głos Romanowej brzmiał wesołością rubaszną i gadatliwą. Śmiała się i rozmachiwała rękoma.

— Jak Boga kocham — dowodziła — najlepszy z niego w całym mieście robotnik! Chlewiński, kiedy zaczyna co budować, ledwie go po rękach nie całuje, żeby do niego, nie zaś do kogo innego szedł na robotę. Co drugi przez dzień robi, to on w dwie godziny jak za siebie zarzuci. W ojca wrodził się. Silny taki, że strach, i robota mu pali się w rękę. Za zwierzętami tak samo jak ojciec przepada i t a k i zupełnie ojcowska natura... dalibóg... ojcowska...

Jejmość chuda i żółta, wielką chustką okryta, piskliwym głosem odpowiadała:

— Daj Boże! pani Romanowa! Daj Boże! tylko że Podobno nieboszczyk wódki nie znał...

Romanowa czuła się tym napomknięciem kumy memile dotkniętą.

I on tak samo znać jej nie będzie — wołała. —

** Boga kocham! nie będzie! Już miesiąc minął, jak Ust nie wziął... pracuje...

Chlewiński płaci mu po

Orzeszkowa

rublu za dzień... Czy to żarty? Pieniądze te mnie do schowania oddaje... „Mama — mówi — mnie piękny tużurek kupi i palto... a potem jeszcze i zegarek srebrny... będę sobie ubierał się jak pan!” Ot, zobaczycie pani Wincetowo, że on o swoich pieniądzech prędko wiedzieć nie będzie... Wzbogaci się strasznie, pierwszym majsterem w Ongrodzie zostanie... Jak Chlewiński własne domy będzie miał...

— Daj Boże! Daj Boże! — piskliwym głosem powtarzała kuma, a złośliwie uśmiechała się. Ona, której mąż, garncarz, pijakiem był, wiedziała dobrze, co o tych wielkich nadziejach Romanowej mniemać należało.

— Memu — powiadała — nic nie pomaga... Już mu

1 emetyku do wódki wlewałam i proszek jakiś, co mnie kabalarka dała,

sypałam... zawsze to samo... Co zarobi, to w gorzałce utopi... W domu taka bieda, że choć ty z dziećmi giń i przepadaj...

Końcem chustki otarła załzawione oczy; Romanowa patrzyła na nią z obudzonym na nowo niepokojem, który jednak wkrótce przemijał. Świetlany obraz silnej i zgrabnej postaci syna wysoko, wysoko zarysowującej się na tle białawych obłoków, w oczach jej pozostał i nie dopuszczał do nich trwogi ani łez. Garniarz Wincenty i syn jej — co za porównanie! Tamten był zawsze robotnikiem lichym, pracować nie lubił i nie umiał. Mały, krępy, z czerwonym nosem i wiecznie mokrymi oczyma wyglądał na łajdaka i był nim od najmłodszych lat swoich. A jej Michałek taki słuszny, piękny, do ojca jak kropla wody do drugiej kropli podobny, tak jak ojciec i wesóły, i śmiały, robotnik w całym mieście najteższy, psy i koty nawet jak dzieci lubiący, miałby marnie przez wódkę przepadać? Oho! jak Bóg Bogiem, tego nie będzie! Bieda była i przeszła. Chłopiec pohulał trochę i ustatkował się już na zawsze.

— Niech Pan Bóg pocieszy! Niech Najświętsza Pan" na dopomoże! — ze współczuciem szczerym, ale te* i z wewnętrznym triumfem zęgnęła wyżółkłą, r°zaloną kumę i biegła dalej. Wbiegła do kuchni, kosz ztaWiała na ziemi, chustkę zrzuciła z głowy i żwawo, z zapalem brała się do swych zajęć. Z natury i przyzWyczajenia niepospolicie pracowita była, a choć jej iuż pięćdziesiąt lat życia przeminęło, zachowała jeszcze sporo tej siły, z jaką niegdyś mężowi w ciężkich jego robotach dopomagała. Wodę wiadrami choćby z daleka nosić, drzewa narąbać, w każdej chwili dnia i nocy, w mróz piekący czy w deszcz ulewny, na drugi koniec miasta zbiegać, było dla niej drobnostką pełnioną zawsze raźnie i szybko. Po słonecznym początku życia pozostał jakby w jej duszy promień wesołości. W porach owych, w których Żuzuk i ona szczęśliwymi się czuli, usta jej nie zamykały się ani na chwilę. Krzątała się około ognia i ron-dłów, dolewała, dosypywała, kosztowała, siekała mięso, wałkowała ciasto i z włosami zebranymi pod biały czepek, z rękawami kaftana zawiniętymi po łokcie, z policzkami od ognia rozczzerwienionymi gadała, gadała... Ktokolwiek z domowników, którakolwiek z kum i znajomych, woziwoda, Żydówka roznosząca owoce, każdy, słowem, kto zjawił się w kuchni, był dla niej słuchaczem pożądanym. Miała bo też opowiadać o czym i czym się chlubić. Kiedy w dwa lata po śmierci męża do miasta z dzieckiem przywędrowała, ile to ona nacierpiała się nędzy i tęsknoty serdecznej przeniosła. Ze wsi do miasta! Ani wy, ludzie, nie wiecie, ile w przenosinach takich utrapień jest i smutków wszelkiego rodzaju. Idzie sobie przez miasto kobiecina biedna, po śliskich albo piekących kamieniach w podartych trzewikach stąpa, strwożenie wielkie ogłupia oczy jej, które kiedyś może i roztropne były, między chudymi policzkami usta marszczą się do płaczu, za rękę skrzywione też do pła-Czu dziecko prowadzi. Gdyby ją kto zapytał: „Dlatego i p0 co tu pr2ybyła?", odpowiedziałaby, że My męża nie stało, nędza ją gnała z chaty do chaty, 0 ,Woru do dworu, aż tu przygnały powieści ludzkie epszych losach, które w mieście znaleźć można,

12*

i pamięć na dawne rozmowy z mężem o tym, £.1 dziecko na człowieka wy kierować • trzeba. A jakżeby go ona tam na wsi na człowieka wykierowała? stuchem naprzód, a potem parobkiem byłby i jj. niec! W mieście zaś, o! wcale co innego. Tam ojciec

marzył dla syna o własnej chacie i kęsie własne ziemi. Tu matka włócząc się po nieznanych zrazu ulicach miejskich, głodna, źle odziana, przełękciona i stęskniona, przypatrywała się kamienicom wyso-kim i myślała: „Ej, żeby tak on kiedy własną kamienicę miał!” Więc przede wszystkim do faktorki, przez krewną jakąś w mieście mieszkającą następczoną, z prośbą o służbę. Służba znalazła się, z pensją malutką, z jedzeniem niedostatecznym, z okrutną zależnością od ludzi obcych i nieokrzesaną, nieumiejącą wieśniaczką gardzących. Potem może będzie lepiej.

Gdzie tam! długo było bardzo źle. Nacierpiała się strasznie: i złego obejścia się, i obelżywych wyrazów, i ciągłych z domu do domu przenosin, i przymusowego bezrobocia połączonego z głodem, chłodem, trwogą o przyszłość własną i dziecka. Wspomnienia, o, te wspomnienia znikłego szczęścia, własnego ogniska, rodzinnych stron... Chociaż ich tym imieniem nazwać, nie umiała, chociaż znaczenia wyrazu wspomnienie nie rozumiała by nawet, piekły ją one tak samo, jak piekłyby tego, kto by był w stanie opisać je ślicznym wierszem. Nic a nic nie wiedziała o Włochu Alighierim, który ten rodzaj męki ludzkiej określił nieśmiertelnym wierszem, ale kiedy sfukana i nową zmianą miejsca zagrożona, trochę głodna, samotna jak ten bocian, któremu piorun gniazdo roztrzaskał, w ciasnej i zimnej kuchence przy lampce palącej się bladą i cuchnącą iskrą siedziała łokciami o stół wsparta i na wzór wszystkich ludzi żalonych kołysała się to w tył, to naprzód, wtedy myśl Alighiereg" wypowiadać była zwykła językiem własnym, strofą piosenki, której ją jeszcze matka, ubogiego ogrodnika

181

żona, w dzieciństwie nauczyła. Nie śpiewała przecież, tylko wzdychając mówiła, a raczej mruzczała:

Oj dolo moja, dolo, gdzieś się podziała, Czyś w wodzie utonęła, czy z wiatrem zleciała?

___ W wodzie utonęła, oj, w wodzie, w wodzie dola moja utonęła!

Za piecem coś zaszleściło, senny głos jakiś zamruczał. Znękana kobieta zrywała się ze stołka, chwytając lampkę i biegła za piec. Tam na ziemi leżał siennik, a na sienniku spało dziecko, chłopak spory już, z cerą bladawą, ładnymi rysami twarzy i gęstwiną czarnych włosów rozrzuconą dokoła głowy. Z mocno ściśniętymi pięściami, w grubej koszuli u piersi rozwartej, z bosymi nogami, wysuniętymi spod jakiejś starej sukiennej szmaty, spał jak kamień. Kobieta schylała się nad uspiętym chłopcem i przyświecając sobie lampką przypatrywała się mu oczyma, które prędko osychały z łez, a napępniały się uczuciem zachwycenia.

Lata przechodziły, los jej poprawiał się nieco. Jakim sposobem zdołała nauczyć się sztuki kucharskiej, nigdy się jej nie ucząc? Ani ona, ani nikt powiedzieć by nie potrafił. Zmieniła, co prawda, z powodu nieumiejętności swej miejsc z dziesięć, ale tu zobaczyła to, tam owo, dochodziła sama, odgadywała, kombinowała, z książek uczyć się nie mogła, bo czytać nie umiała. Tak, nie umiała czytać i w ogóle nic wcale nie umiała. Jednak nauczyła się sztuki swej jako tako i otrzymywała służbę w domach nieco zamożniejszych, lepiej opłacaną, u ludzi też lepiej wychowanych i więcej ludzkich. A wtedy już i Michałek dorastać zaczynał i do szkółki miejskiej uczęszczać. Potem u garncarzy Wincentostwa na chrzcinach miała niewysłowione szczęście pana Chlewiskiego, pierwszego w mieście majstra mularskiego, [jaPotkać i

poznać. Majster Chlewiński przychodził
O garncarza na chrzciny już z łaski tylko, albowiem
185

był to człowiek ubierający się w cienki surdut i I brny łańcuch od zegarka, posiadający dwa domy i I drewniane wprawdzie, ale własne, i w jednyrrj I z nich zajmujący mieszkanie z bawialnym pokojem I ozdobionym kanapą i firankami u okien. Mu. larstwem przecież trudnił się jeszcze gorliwie, zna-1 czne zyski zeń ciągnąc. Do tego wspaniałego majstra I baba przyczepiła się jak smoła. Chodziła za nim, bla-1 gała, jęczała, całe dzieje swoje w najpatetyczniejszy sposób mu opowiadała, do żony nawet jego poszła i w ręce ją całowała, aż dopięła swego. Majster Mi-chałka jej za ucznia mularskiego przyjął. Ona oczyma wyobraźni widziała już chłopca swego w takim cienkiem surducie, w jakim Chlewiński chodził, i posiadaczem dwóch własnych domów. Późnymi wieczorami, kiedy sama we wpółciemnej kuchni siedziała, przed oczyma jej stawał wysoki, piękny pocz-tylion, w czarnym, długim j a r m i a k u i czerwonym pasie, a ona ze łzami w oczach a szerokim uśmiechem na ustach do niego mówiła: „A co, widzisz, jak ja synka naszego ślicznie wychowała i wy-kierowała! Nie doczekałeś się ty chaty własnej, będzie ją miał on!”

Niewielka kuchnia, której blisko połowę zajmowała maszyna kuchenna, a jedyne okno wychodziło na wąskie przejście śmieciem spiętrzone, a wysokim płotem od sąsiedniego dziedzińca odgródzone, bywała widownią scen rozmaitych, pomiędzy którymi zdarzały się i wesołe. Ze zgrabną postawą i czarnymi włosami ojca, syn Romana wziął po matce małe i szare jej oczy, które szpecąc go trochę, wyrazem swy®j zdradzały zachodzące w nim samym sprzeczności. Były one błyszczące i żywe, ale nie jak u matki dobroduszne i trochę głupowato wesołe, lecz namię® i hulaszcze. Malował się w nich burzliwy niepoM połączony z wielką chciwością uciech. Można J rzec, że w tych błyszczących, wciąż zmacony I i niespokojnie od oczu ludzkich uciekających źren!y cach przejrzały się męty miejskie i obraz swój w "i

1

pozostawiły. W zamian uśmiech jego był szczery, świeży, odkrywający dwa rzędy białych zębów, rzucający mu na twarz wyraz słodyczy i uczciwości. Ęiedy idąc do matki przechodził przez dziedziniec w mularskim fartuchu swym i ubielonej czapce albo w niedzielę i święta w czystym surducie i za kolana długim obuwiu, z ruchów jego zgrabnych i dziarskich i twarzy jaśniejącej zadowoleniem poznać w nim było można pracowitego i uczciwego robotnika, któremu nie brakowało ani chleba, ani zapracowanej i pewnoś siebie budzącej niezależności. Idąc pogwizdywał sobie, a nieodstępny Żuzuk biegł obok niego lub przed nim w wesołych podskokach. Gdy przekraczał próg kuchni, rozlegać się w niej zaczynały donośne śmiechy. Ani matka, ani syn nie umieli śmiać się półgłosem, a ten pocieszny Żuzuk nabawiał ich zawsze wesołości niepomiernej. Wpadłszy za panem swym do kuchni rozpoczynał on naprzód z miejscowym kotem przezabawne gonitwy i wałki, które jednak kończyły się prędko, bo Michałek, za psami przepadając lubił także koty i nad dobrym swoim znajomym mrużkiem ulubieńcowi swemu długo znęcać się nie pozwalał. Owszem, siadłszy na ławce i kota na kolana swe wzięwszy, psu za karę na dwu łapach stać

rozkazywał. Żuzuk stał na dwu łapach i o litość wzywającymi oczyma dokoła kuchni wodził, a Romanowa z warząchwią lub durszlakiem przy maszynie kuchennej stojąc, kładła się niemal od śmiechu. W gruncie rzeczy śmiech ten jej nie tyle był obudzonym przez Żuzuka, ile stanowił wyraz doskonałego jej w tej chwili uszcześliwienia; uszcześliwienie wzrastało jeszcze, gdy po ukończeniu obowiązkowych zajęć zasiadała z synem do obiadu. przy białym sosnowym stole u okna umieszco-zasiadali oboje, a Michałek Żuzukowi siadać też Rozkazywał. „Siadaj jak pan!” — wołał. Kundel * białe i czarne łaty siadał na stołku jak pan, ple-
^mi o ścianę wsparty, z pyskiem zadartym dumnie; *** oyo to na krótko, bo mu w tej pozycji zapach

potraw długo utrzymać się nie pozwalał. Wciągał w nozdrza miły ten zapach i wspaniałą postawę pauza na pokorę psa zmieniając, wyprostowany jak struna i z błagającym wyrazem oczu na dwóch łapach stawał. Z drugiej strony bury kot siedział na ramieniu Michałka i patrząc w jego talerz głośno mrucał. Romanowa z pełnymi jedzenia ustami od stołu do maszyny kuchennej i na powrót biegła usługując synowi. Karmiła go, jak wróblica małe wróblątko, w usta mu niemal jedzenie wkładając. W szarej godzinie pod płytą maszyny ogień kuchenny dogasał czerwonymi iskrami, a jeżeli to by-ło w niedzielę lub święto, Michałek wyciągał się jak długi na porządną pościelą zasłanym łóżku matczynym. Ona na stołku siadała przy nim, pies u nóg jej usypiał i kot na ciepłej jeszcze płycie spał mrużąc głośno. Matka i syn gawędzili. W głowie młodego robotnika roily się różne szlachetne ambicje. Do wojska go nie wezwano, bo był u starej matki jedynakiem. Więc przyszłość cała przed nim była wolna i obiecująca mnóstwo rzeczy, których pragnął tak, że na wspomnienie ich aż drżał z niecierpliwości. Przede wszystkim za rok najdalej postara się, aby cech mularski udzielił mu urzędowo tytuł czeladnika. Dotąd prostym i najemnym robotnikiem był; gdy czeladnikiem zostanie, do godności majstra już tylko krok jeden. Cechmistrz Chlewiński zręczność jego w rzemiośle zna, lubi go bardzo i jedną tylko rzecz ma mu do zarzucenia. No! ale tej rzeczy nigdy już nie będzie... Co było, to przeszło, a teraz nie będzie on myślał o głupstwach, tylko o tym, aby jak najprędzej wyzwolić się na majstra. Majstersztyk, czyli jakąś doskonałą robotę mularską, będącą niby egzaminem wyzwalającego się czeladnika, zrobi on taki, jakiego panowie cechowi nigdy jeszcze nie widzieli. Będzie to piec z mechanizmem i ozdobami własnego jego pomysłu. Z twarzą ku sufitowi zwróconą i nogami na poręcz łóżka zarzuconymi leżąc, a rękoma szeroko rozmachując, dług0

i z zapalem opowiadał o piecu tym matce, która nic wcale ani mechanizmu, ani ozdób wymyślonego przez syna majstersztyku nie rozumiejąc, z podziwu j uwielbienia dla synowskiego rozumu szeroko otwierała oczy i usta. On na jej łono wylewał dalej błogie rojenia swoje. Kiedy już majstrem zostanie, będzie mu wolno posiadać własne swe narzędzia, na swoją rękę robotników najmować i podejmować się wielkich robót. Kamienice bogatym ludziom i urzędowe budynki na swoją rękę, tak jak teraz Chlewiński, budować zacznie i zarabiać ogromne pieniądze. Pięc lat nie minie, a domek sobie, choć drewniany, kupi, ożeni się i matkę do siebie weźmie. Ożeni się zaś nie z kim innym, tylko z córką majstra Chlewińskiego, która teraz

podlotkiem jeszcze jest i do guwernantki chodzi. Ta Zośka Chlewińska czternaście lat może ma teraz, czy co, a taka już piękna, że człowiekowi aż ćmi się w oczach, kiedy na nią patrzy. Swawolnica też straszna; ile razy przyjdzie on do jej ojca, szczebioce z nim jak sikorka i z Żuzukiem jego bawiąc się śmieje się do rozpuku. Figle mu też stroi różne; czapkę chowa, do fartucha kokardki kolorowe przypina, a jak ją onegdaj matka za to strofować zaczęła, łzy jej w oczach zakręciły się. „Widzi mama — odpowiedziała — ja pana Michała bardzo lubię!”

Słuchając opowiadania tego Romanowa tajała z radości. Spiesznym szeptem i z cichym, rajskim chichotem zapytywała:

— A matka co jej na to? co na to? a b a ć k o (ojciec) co jej na to?

— Matka akurat wtedy naleśniki w kuchni smażyła, zaśmiała się i mówi: „To może pana Michała na naleśniki zaprosić, kiedy ty jego tak lubisz?” A Chlewiński przez kuchnię do domu' wtedy powracający poklepał mnie po ramieniu i odpowiedział: „Żebyś, panie Michale, rad moich słuchał i do-,rze sprawował się, może byś kiedy zięciem moim

został. Czemu nie? Córek mi Pan Bóg dał cztery. Za

grafów ich nie powydaje, a z ciebie, jeżeli tylko sam zechcesz, pierwszy w guberni majster kiedyś być może!” Dziewczyna usłyszawszy to jak koza za próg skoczyła, ale kiedym mimo ich domu przechodzą to przez okno tak zaśmiała się do mnie, że mnie aż zachciało się płakać...

I teraz westchnął ciężko.

— Ot — rzekł — puste słowa! Albo to Chlewiński córkę swoją mnie da! Romanowa, która z zachwycenia wielkiego zsunęła się ze stołka i na ziemi siadła, oburzyła się:

— Oho! nie da! — z przekąsem zawołała. — Czemu by nie miał dać! Wielka figura! Ty, żebyś chciał, mógłbyś i z księżniczką jaką ożenić się!

W głosie jej brzmiało głębokie przekonanie o prawdzie tego, co wypowiadała.

— Bardzo edukowana będzie! do guwernantki chodzi!

Baba z zapalem trzepać zaczęła:

— A ty nie edukowany? a ty nie chodził do szkoły? Czytać i pisać po polsku i po rusku umiesz, liczyć umiesz i — Bożeż mój, Bożeż, czego ty nie umiesz! Wszystko umiesz!

Chłopiec nie odpowiedział. Myślała, że zasnął, i po cichutku wstawszy z ziemi, na palcach odeszła zamierzając także do chwilowego spoczynku na ławce się ułożyć.

Ale on dalekim był od snu.

Podniósł się wkrótce i usiadł.

— Pójdę, mamó — rzekł.

Słowa te, zda się, poderwały Romanową z ławki, na której już leżała. Siadła także i wyprostowała się jak struna.

— Pójdziesz, synku? A dokąd?

Wahającym się głosem odpowiedział:

— Tak sobie... pójdę... przejść się...

Przyskoczyła do niego.

— Nie idź, synku, no, nie idź! Posiedź jeszcze trO". che... Samowar zaraz

nastawię i herbaty ci zrobi-Jak Rozalia państwu-kolację poda, przyjdzie tu z na

j siedzieć... W gospodarza i woza grać będziem-•• a potem wyśpisz się dobrze na moim łóżku i jutro rano stąd do roboty pójdziesz...

Obejmowała go ramionami, błagała, aby został. W zmroku napelniającym kuchnię widać było trwo-żne migotanie jej oczu. On stał nieruchomy i chmu-rny. Spuścił głowę, zamyślił się. Po chwili przecież podniósł twarz i z zuchowatą rubasnością zawołał:

_ Ot, pójdę i koniec! Czy to ja dziecko jestem, żebym miał trzymać się maminej spódnicy. Niech mi mama z moich pieniędzy trzy ruble da! Kobieta splasnęła rękoma.

— Znów! — krzyknęła.

Wtem do ciemniejącej kuchni przyplłynęły basowe, powolne dźwięki kościelnych dzwonów. Na Roma-nową jakby natchnienie jakieś spłynęło.

— Ot i na nieszpory dzwonią! Prosiłam o pozwolenie, żeby pójść dziś na nieszpory! Pójdę! Chodź ze mną, synku, na nieszpory!

Milczący i chmurny wziął z ławki czapkę swoją i gdy matka stary, wutowany paltot i dużą chustkę spiesznie na siebie zarzucała, szerokimi krokami ku drzwiom zmierzał. Ona pewną była, że już bez niej wyjdzie, ale brakowało jej w gardle głosu, aby go wołać i wstrzymywać. Dzwony kościelne huczały wciąż poważnym basem, do którego wmieszał się dźwięk wiolinowy, jasny, wołający, wołający... Michałek oderwał rękę od klamki i około głowy i piersi uczynił gest szybki i szeroki. W zupełnej prawie ciemności stał i zaledwie domyślać się było można, że przeżegnał się. Romanowa to spostrzegła.

— A widzisz! — zawołała. — Diabła od siebie krzyżem świętym odpędzasz! Pan Bóg woła! Słyszysz, jak Pan Bóg woła!

Wskazujący palec wyciągnęła w stronę, z której do-' chodziły dźwięki dzwonów.

No, chodźcie, mamó, razem! Razem wychodzili na ulicę i do kościoła dążyli. Ża-en z wielkich tryumfatorów ludzkości nie pysznił

188

się tak ze zwycięstw swoich, jak pyszniła się wtedy Romanowa. Szła chodnikiem zamaszysto i prędko łokciami i całą swą grubą osobą niemiłosiernie szturchając i rozpychając przechodniów, na całe gardło śmiejąc się i gadając. On także na ulicy fantazji i zij. chowatości nabierał. Pogwizdywał sobie i śmiechowi matki rubasnym swym, ale dźwięcznym, bo młodym śmiechem wtórował. Czasem łokciem w bok ją uderzył.

— Niech mama patrzy... Zośka Chlewińska z matką i starszą siostrą...

Usta sobie dłonią zakrywał i oczy wytrzeszczał tak jakby zgrabnego i ładnego istotnie podlotka pożreć chciał nimi. Pani majstrowa z córkami szły także na nieszpory. Były to panie już kapeluszone, ale zresztą skromne w ubraniu i nosów do góry nie zadzierające. Michałek usiłował zająć im drogę przed kościołem i bardzo nisko, nie bez pewnych jednak zamiarów elegancji, czapkę przed nimi zdejmował.

Spod skromnego kapelusika szafirowe oczy podlotka figlarnie i serdecznie ku niemu zerkwały, pani majstrowa zaś uprzejmym kiwaniem głowy Romanową witała.

Pomiędzy nią a kucharką zachodziła wprawdzie wielka różnica społecznej pozycji,

ale Chlewińska niezupełnie jeszcze zapomniała, że była córką ubogiego dorożkarza, a mąż jej w chwili zaślubienia jej znajdował się na niskim hierarchicznym stopniu mularskiego czeladnika. Romanowa wstępowała na wschody kościoła powoli już, poważnie, z podniesioną głową. Wydymała ją całą duma niezmierna. Ot, kto ona taka! najlepsza sługa w całym Ongrodzie: w bogatych domach służy, takiego syna ma i takie majstrowe przyjaźnią się z nią jak z równą? Ot, co ona za jedna! Ale w kościele przed bocznym ołtarzem na kolana padała i bez książki do nabożeństwa (me umiała czytać) modliła się pokornie, żarliwie, ze łzami w oczach i głośnymi westchnieniami. Czołem uderzała o kościelną podłogę albo jak długa rozciągnęła

189
się na niej krzyżem. „Ojcze nasz, któryś jest w niebie” mówiła i przez chwilę płaczliwe chlipy dalszemu ciągowi pacierza przeszkadzało. Z ramionami rozpostartymi leżąc, twarz swą ciemną, pomarszczoną, głupowatą znad cegieł podłogi podnosiła i w górę słała spojrzenia pełne takiej wiary i takiego namiętnego błagania, i takich wielkich, przy świetle świec woskowych srebrnie gorejących łez, że zdawało się, iż musi ono przebić kopułę kościelną i wdrzeć się do świecącego nad nią wieczornymi gwiazdami nieba.

Za nią Michałek czasem stał i pacierze szepcząc i widoczną jednak dystrakcją po kościele zerkał, uśmiechami i kiwaniem głowy witając znajomych płci męskiej i żeńskiej; czasem zaś klękał, modlił się z żarliwością od matczynej nie mniejszą, bił się co moment pięścią w piersi i nawet trochę płakał. W pierwszym wypadku prawie na pewno wnosić można było, że przez tydzień jeszcze, dwa albo nawet trzy tygodnie co dzień on będzie po gorliwej pracy do matki przychodził, z nią i pokojową Rozalią wieczorami w gospodarza grać, Żuzuka pieścić i dla Zosi Chlewińskiej koty i koguty z gliny lepić odpowiednio je z wierzchu malując. Ale kiedy półgłosem i z ferworem wielkim trzepał pacierze, a od bicia się jego w piersi aż echo rozchodziło się po kościele, był to znak zły. Ogarniały go snadź wtedy potężne pokusy, od których bronił się w kościele żarliwą modlitwą i skruchą. Wtedy też z twarzy jego zniknął ten uśmiech szczery i świeży, który ją czynił młodzieńczą, i pociągające, szare, mętne źrenice uciekały od ludzkich oczu, posepniał i często bez przyczyny w złość wpadał. Kipiało w nim coś, z czym ■alczyć usiłował, a Romanowa z rękoma splecionymi Piersi, z wargą drżącą, z mrugającymi szybko polkami patrzyła na niego i ciągle, ciągle myślała Wąskim błotnistym zaułku, pośród którego żółto słoni y szk*anne' muślinową firanką z wewnątrz

za-

Drzwi te i obok nich znajdujące się okno świeciły wieczorami jak dwoje żółtych, mrugających oczu Odpowiadało im o kroków kilkadziesiąt wyżej nieco : połyskujące i bledsze światelko latarki. Była to y, tym miejscu latarnia jedyna. Zresztą, zaułek z dwoma rzędami rzadkich małych domków i rozdzielających je długich parkanów zalegała gruba ciemność, w której niewyraźnie czerniały domki milczące i szczelnie zamknięte, parkanów wcale nie widać było, a u stóp latarniowego słupa połyskiwały mokre kamienie bruku i pomiędzy kamieniami stojące wody. Ku szklannym drzwiom oświetlonym z zewnątrz żółtym światłem prowadził stopień drewniany, wysoki i nadpróchniały. Na stopniu tym w kłębek zwinięty leżał w ciemności i na deszczu

niewielki pies w czarne i białe łaty. Szerść jego była moką i najeżoną, kurczył się i drżał z zimna. Głodnym być musiał, bo leżał to już tak od samego rana, od czasu do czasu tylko z przestrachem odskakując na stronę przed ludźmi, którzy przez drzwi te wchodzili i wychodzili, lecz wnet po zamknięciu się drzwi zajmując znowu uprzednią pozycję. Była to pozycja bardzo niewygodna, bo nie tylko na deszcz padający przez dzień cały, ale na gęste krople wody z dachu spływające wystawiona. Pies jednak nie opuszczał jej. Czasem westchnął albo pysk podjąwszy krótko i żałośnie zawył, czasem też zdawał się ucha nadstawić na głosy ludzkie rozlegające się we wnętrzu budynku, jakby wśród nich znajomy sobie głos rozpoznawał czy rozpoznać pragnął.

We wnętrzu budynku gwarów wielkich zazwy-j czaj nie bywało. Zbierające się tam towarzystwo bawiło się zapewne w izbach oddalonych nieco od zaułka i których okna wychodziły na dziedziniec wąski, pusty, ze wszech stron parkanem otoczony. Stamtąd też mętnie i niewyraźnie do uszu nasłuchującego Psa dochodziły stukania kul bilardowych, rozpoczyna[^]

. nie kończone śpiewanie, krótkie wybuchy ochry-Sych śmiechów i rozmów. Nagle pies zerwał się na wszystkie cztery łapy. Tuż za oświetlonymi drzwiami, jo których tulił zmokły i drżący od zimna grzbiet swój, usłyszał głos swego pana zmieszany z kilku innymi głosami. Zawrzała tam kłótnia zawzięta; słychać było uderzenia, upadek na ziemię ciężkiego jakiegoś ciała, brzęk rozbitego szkła, zanoszący się śmiech paru głosów, gru.biańskie łajania i przekleństwa kilku innych, aż z impetem i trzaskiem wielkim rozwarły się drzwi ze szklannymi szybami, a z nich wypadł i po wysokim stopniu na bruk zaułka stoczył się człowiek wysoki i silny, bez czapki i paltota, chwiejający się na nogach i pięściami ku gwałtownie zamkniętym drzwiom wygrażający. Widocznie wypchnięty został. Twarzą zwrócony ku żółtym światelkom, za którymi znowu zrobiło się cicho, wygrażał pięściami i bełkocącym głosem wykrzykiwał przekleństwa i groźby. Pies zeskoczył z drewnianego stopnia i ze spuszczonego ogonem przytulił się mu do nogi. Chłodne powietrze i odkrytą głowę jego skrapiający deszcz drobny orzeźwiły nieco szynkowego gościa. Przestał krzyczeć i wygrażać i zataczając się trochę począł iść zaułkiem. Nie był jeszcze zupełnie pijanym i wiedział, dokąd i po co idzie. Bełkotał nieustannie, to mrużąc niewyraźnie, to głosem podniesionym prawiąc o jakiejś kompanii, którą ugaszczą, a która niegodziwie się z nim obeszła. Przyrzekał też odpłacić jej za to, gdy tylko wróci. Kilka kroków uszedłszy przed słupem latarni stanął i wrzeszczeć zaczął: — Mamo! dajcie pieniądze!

Blade światło latarni padało mu na głowę okrytą Kstwina czarnych, rozczochranych włosów i na twarz ze ściągłymi, ładnymi rysy, oszpeconymi w tej chwili ciemnymi rumieńcami i błędnym migotaniem oczu. rzez całe pięć minut rozmawiał ze słupem latarni. ~ Niech mama odda moje pieniądze — bełkotał. p°tem z wielkim uniesieniem krzyknął:

— Pieniądze oddaj!... czy słyszysz?

I znów coś niezrozumiałego mrużąc, z takimj ruchami i gestami, jakby usiłował słup latarniowy

0 czymś przekonać i ku czemuś skłonić. Nagle rozwidniło się mu trochę w

głowie. Poznał omyłkę swo-ją, splunął, zaklął i poszedł dalej. Z zaułka skrę. cił na dość szeroką, widniejszą nieco ulicę i szedł samym jej środkiem w mroku rozwidnianym z rzadka rozstawionymi latarniami. Wlókł się raczej, niż szedł, bo nogi pod nim chwiały się i zataczały, a jednak postawa i gesty jego wyobrażały nieograniczoną pewność siebie. Przechodniów w tej porze na ulicy prawie nie było; czasem jednak przemknął po chodniku niewyraźny i śpieszący cień ludzkiej postaci. Wtedy on prostował się, przystawał

1 oglądając się za przechodzącymi wygrażał im zaczynał. Bardzo stanowczo oświadczał, że nie boi się nikogo i że gdyby nawet sam generał albo książę podszedł teraz ku niemu, on by mu powiedział: „Pa-szoł proc z!” Generałów i książąt nie było prawdopodobnie pomiędzy tymi cieniami ludzkich postaci, które na widok pijanego zawadiaki przyśpieszały kroku i szybko w bramach domów albo na skrętach ulicy znikwały. On szedł dalej, chwiejający się, lecz nieustraszony, a tuż za nogą jego wlókł się i pełzył prawie pies ze zmokłą sierścią, z pyskiem ku ziemi zwieszonym i podwiniętym ogonem. W mroku przerywanym światłami latarni zwierzę ukazywało się, to znowu znikowało, podobne do małego, drżącego cienia pokory i smutku. Tak człowiek i pies wchodzili na dość obszerny dziedziniec i wstępowali na boczny ganek stojącego w głębi jego domu. Człowiek z całej siły uderzył pięścią w zamknięte drzwi, ale po raz drugi nigdy uderzać nie potrzebował, bo cicho i prędko otwierały się one natychmiast. Ktos tam czuwał widocznie i przybycia jego oczekiwał, aby jak najprędzej wpuścić go do wnętrza i przez to hałasowi wszelkiemu zapobiec. Bez czepka ani chustki na głowie, z rozczochranymi włosami, b°sa'

1

w samodzielowej spódnicy swej i grubej koszuli, cicha jak grób Romanowa drzwi otwierała i starannie ootem zamknawszy je, lampką z wysokim kominkiem przyświecała w ciemnej sionce niepewnym krokiem ;vna. Cicha jak grób stawiała lampkę na kuchennym stole i ręce u piersi splatając zwracała się ku wchodzącemu, za którym pełznąć prawie wsuwał się 2użuk i wlatywał ostry powiew chłodu. Jak kwadrans temu przed słupem latarni, tak teraz przed nią przybyły stawał i spokojnie znowu mówił:

— Mamo! dajcie pieniądze.

Ona szklannym wzrokiem na niego patrzała i ani słowa na ustach jej, ani, zda się, oddechu w jej piersi nie było. On głos podnosił nieco:

— Niech mama odda mnie moje pieniądze!

Grubą, czerwoną dłonią swą z rozpostartymi palcami uderzał się w piersi i pochylony ku niej, z błyszczącymi oczami, nagłym szeptem bełkotał:

— Jak Boga kocham, mnie potrzeba... mnie koniecznie potrzeba!... Jeżeli nie oddacie, pójdę i powieszę się! U mnie tam jest wesola kompania... ja ją na traktament zaprosiłem... Wypchnęli mnie za drzwi, bo nie miałem już czym ich traktować...

Bestia Szłomka na kredyt nie daje... To wstyd! aż mnie w gardle wyszło ze wstydu. Ten kum maminy, Wincenty, krzyczał, że ja hołysz... Pokażę mu, jaki hołysz... Przede mną panowie czapki zdejmują... Chlewiński mnie w ręce całuje, żebym jego córkę za żonę brał... o! a on mówi, że ja hołysz... hołysz on sam, gałgan, pijanica...

Tak mówił przez dobre minut pięć. A ona nic, ani słowa, ani tchnienia. Patrzała tylko na niego i powieki jej szybko mrugały. On niecierpliwiał się i za rękaw koszuli targać

ją zaczynał. Wtedy kiwała głową i cicho mówiła:

— Ty znów pijany...

Na przypuszczenie to oburzał się i stanowczo mu Sprzeczał.

1 Orzeszkowa

— Chyba mama pijana... ja wódki jeszcze w gę[^] nie brał... Ja jestem najlepszy robotnik w Ongrodzie przede mną panowie czapki zdejmują. Chlewiński mnie po rękach...

I nagle przerywając sobie, a rękę z rozpostartymi[^] palcami, którą tłukł się w piersi, w pięść ściskając ochrypłym głosem krzyczał:

— Pieniądze oddaj, czy słyszysz? Co to? czy ja do swoich zapracowanych pieniędzy prawa nie mam! Otwieraj! bo jak nie otworzysz, siekiere[^] chwycę i tak kufer lupnę, że w trzaski się rozleci...

Kobieta zerwała się z miejsca i skokiem tak ciężkim, że aż drżały od niego stołki kuchenne, do kufra przypadłszy siadła na nim. Bosymi stopami w podłogę wparta siedziała prosta, w twarz syna wpatrzona, bez głosu, tylko z pierśią dyszącą ciężko. Zdawało się, że ciałem swym krwawicę syna przed nim samym osłonić usiłowała. On miotał się przed nią, rozmachiwał rękoma, to szeptał przekonywająco, to wydawał krótkie wykrzyki. Ile razy głośno krzyknął lub zatupał, z ust jej z przeciągłym syczeniem wychodził jeden tylko przyciszony, błagający wyraz: „Cicho! cicho! cicho!”

Z oczami błyszczącymi jak u rozgniewanego zwierzęcia chwycił ją na ręce i z kufra ściągnąć usiłował. Wtedy i jej małe, szare źrenice rozplomieniały się także. Silną swą pięścią uderzała go w pierś tak, że niepewnie na nogach stojący zataczał się pod przeciwległą ścianę. Wnet jednak przyskakiwał znowu, a z nim razem i Żuzuk, który mniemając zapewne, że ktoś panu jego krzywdę wyrządzić próbuje, spod progu zrywał się i w obronie jego szczekając stawał-Hałas złożony z tupotania nóg męskich, z pijanych wykrzyków, ze szczekania psa wzmagął się coraz bardziej, a siedząca na kufrze kobieta jednostajnie[®] wciąż przeciągłym syczeniem powtarzała: „Cicho! cicho! cicho!” I Na koniec wzruszeniem niezmiernym siłą pozbawiona, przejęta trwogą, aby ludzie hałas usłyszawszy me

Wpadli tu i wstydu jej nie zobaczyli, zsuwała się z kufra na ziemię i twarz rękoma zakrywszy głośno płakać zaczęła- Wprzód powtarzała wciąż: „Cicho! ci-cko! cicho”, teraz sama zawodziła i szlochała, bez oainięci już o niczym, głośno i jękliwie. Jak śmiać tak i płakać cicho nie umiała. Ale ten głośny

się.

wrażenie.

ołącz jej sprawiał na Michałku szczególne przysiadł na ziemi obok matki i także popłakiwać zaczął- Pięści do oczu przyciskając zalił się:

_Ja nieszczęśliwy człowiek jestem... zgubiony...

ze wszystkim zgubiony. Ze mnie ludzie śmieją się i za drzwi mnie wypychają... Nikt mnie nie żałuje, nikt nade mną litości nie ma... biedny ja na świecie sierota... biedny, nieszczęśliwy... bez ojca i bez swojej chaty... i matka na mnie płacze... chyba mnie już i Pan Bóg Przenajświętszy przeklnie, kiedy matka nade mną, synem swoim, łzami

kapie...

Ujrawszy go płaczącego i żalów jego słuchając Romanowa tajała jak śnieg na słońcu. Ręce mu na szyję zarzucała i twarz jego łzami oblewając mówiła:

— Prawda, oj, prawda, że ty sieroteczka mój biedny, bez ojca hodowany i własnego kąta nie mający...

— Kiedy mama pijakiem mię nazywa — żalił się dalej.

Ona przez łzy chichotać zaczynała.

— Oj, to ja, synku, tak sobie, ze strachu żartowała... Jaki ty pijak! Tak tylko źli ludzie gadają, mnie i tobie wstyd chcąc zrobić... Ty najlepszy robotnik i najpiękniejszy kawaler w Ongrodzie... Ty by 1 księżniczką ożenić się mógł... Chlewiński niemal w ręce cię całuje, żebyś do niego na robotę szedł...

Patrząc wtedy na nich i rozmowy ich słuchając można by myśleć, że oboje pijanymi byli. Tak zresztą ' było. Płacz i skargi syna upajały ją jak trunek. Cza-Sbern- gdy tak oboje czulili się i popłakiwali, on trun-

faei

m wypitym w ciepłe kuchni rozmarzony pochylał na kuter lub na matczyne kolana i usypiał, ia v °na'

szczęśliwa, z niepomierną

siłą swo-

bezwładne ciało jego na łóżko wciągała, kołdrą go

19 S I

otulała, buty mu z nóg ściagała i sama, lampkę za-dmuchnąwszy, kładła się na wąskiej, nagiej ławce i przykryta tylko starą wełnianą chustką. Żużuk, szczę. I śliwy także, zwijał się w kłębek w kącie kuchni przy i samym piecu, kot spał na płycie głośno mrużąc^ I a tam, hen, w ciemnym, błotnistym zaułku dwa żółte, i mrugające światełka błyszczały w zupełnej ciszy i nikt ku nim tej nocy nie dążył. Wypadki takie by. I wały jednak rzadkie. Najczęściej Michałek po roz- 1 rzewnieniu chwilowym z ciężkością, lecz z gwałtów- i nymi gestami podnosił się z ziemi i znowu do matki I 0 pieniądze wołał. Z sercem tającym od czułości i 1 żalu, wiecznie lękając się, aby ludzie nie usłyszeli i i nie nadeszli, drząc wstawiała także, otwierała kufer i i paczkę asygnat synowi w dłoń wpychała. Chlipała i i powtarzała znowu: „Cicho! cicho! cicho! sieroteńku i mój biedny! Cicho już! Cicho!"

W parę minut potem ulicą i zaułkiem prowadzący- il mi do szynku Szlomy szedł znów chwiejący się i za- I wadiacko gestykułujący pijak, a za nim pies ze zmo-kła szerścią i spuszczonego pyskiem włókł się, podo- i bny do małego, drżącego cienia pokory i smutku.

Następowały potem dni, potem tygodnie, w któ-rych zgrabnego i dzielnego robotnika nikt nigdzie w mieście nie widywał; natomiast u drzwi to tego, to owego szynku zawsze widzieć było można psa w czarne i białe łaty, strzegącego stanowiska swego z wy- I trwałością granic nie znającą. Wychudły, smutny, i z szerścią mokrą albo najeżoną, od czasu do czasu tylko odchodząc dla pożywienia się na śmietniku jakim, zwijał się on w kłębek albo w znużeniu wielkim wszystkie łapy wyciągnąwszy, tęsknymi oczyma spoglądał na drzwi i ścianę domu.

W tym samym czasie i Romanowa także zmieniała się do niepoznania. Błyszczące i żywe oczy jej przygasaly, osłupiałym spojrzeniem spoglądając spod brwi

ściągniętych i zjeżonych; na policzkach i czole osiadały czerwone plamy. Raźna zwawość jej rucho* zmieniała się w ociężałe i senne suwanie się po świeci

cie, gadatliwość ustępowała miejsca grobowemu milczeniu. O synie jak grób milczała, a jeśli ją ktokolwiek zapytaniem do muru przycisnął, zdobywając się na pewną i nawet zuchwałą minę kłamała. Powiadała, że go Chlewiński na wieś wysłał, aby tam w zastępstwie jego dyrygował budowaniem wielkiego pałacu. oczach słuchacza czy słuchaczki niedowierzanie spostrzegłszy, długo i z niepospolitą żywością wyobraziła o tym pałacu przez syna jej budowanym opowiadać zaczynała. Miały tam być sufity i piece takie, jakich nikt jeszcze nigdzie nie widział i jakie jeden tylko Michałek jej na całym świecie robić umie. Takiego pałacu jak ten, który on teraz tam, o dziesięć mil od Ongrodu, buduje, nie ma w całej Polsce ani nawet w Paryżu. Opowiadając przejmowała się tak dalece mularską chwałą swego syna, że zaczynała sama we wszystko, o czym mówiła, wierzyć. Oczy jej błyskały znowu, głos podnosił się i opadał, kibić od uczuwanej dumy wydymała się i grubiała. Nagle urywała wspaniałą swą opowieść, powieki jej mrugać, a wargi drżeć zaczynały; porywała wiadro i bez żadnej potrzeby biegła po wodę albo wypadłszy z kuchni kryła się w ciemnej drwalni, z której po kilku zaledwie minutach z brzemieniem polan w ramionach wychodziła. Czarodziejski pałac wraz z rusztowaniem, na którym z gorliwością i wdziękiem poruszał kielnią młody, wysoki robotnik, przed omamionymi na chwilę oczami jej rozsypywał się w gruzy. Innym więc razem innego kłamstwa próbowała. Mówiła, że sama wysłała Michałka na wieś do swojej rodziny. Ciotki tam ma, które za nim przepadają, i stryjecznych braci, gospodarzy dostatnich, których chłopiec odwiedzać czasem musi, bo strasznie lubią i ją, i jego. I jak o pałacu owym, tak i o tej rodzinie swojej szeroko i długo ludziom rozповідаła. Znowu wpadała w złudzenie sprawiane własnymi słowami, znowu •^zczęśliwienie i duma rozpromieniały twarz jej i wydymały postać, i znowu bez żadnej potrzeby bie-8,3 do drwalni i za stosem polan ukryta załamywała

ręce, aż w stawach trzeszczały, i przyciszonym głosem zawodziła:

— Oj, nie ma u mnie ani ciotek, ani bratów, ani rodziny żadnej, ani żadnej duszy swojej... Oj, biedna ja na tym świecie, opuszczona sierota, na dziecka rodzzonego zgubę patrząca!

Nie zaczepiona, milczała i tylko do tych, ku którym największe czuła zaufanie, zbliżała się i tajemniczo szeptała:

— Co z tego będzie? co z tego będzie?

Policzek swój tak w porach owych czerwonymi plamami ocetkowany, jakby nań wielkie krople krwi trysnęły, na dłoni opierając, osobie, przed którą stała, patrzyła w oczy wzrokiem śmiertelnie zranionego •zwierzęcia.

— Te szyby tam w zaułku... to, proszę pani, czyste wilcze oczy! Kiedy mnie Roman po lesie woził, raz w nocy patrzę, co tak świeci się między zaroślami? Roman do mnie: „To wilk!” — mówi. Ja aż trząść się zaczęłam od strachu, a on śmieje się. Jak Boga kocham, śmiał się wilka zobaczywszy. Niczego nie lękał się. „Nie bój się — mówi — ucieknie bestia od dzwonka!” I to prawda, że uciekł od dzwonka. Ale ja teraz, jak idę tym zaułkiem, a te drzwi i to okno zobaczę, to zaczyna mnie tak trząść,

jak wtedy, kiedy wilka w zaroślach śród nocy zobaczyłam... Wilcze oczy! czyste wilcze oczy!

Z wyrazu twarzy jej odgadnąć można było myśli, której wypowiedzieć nie umiała, że miejski wilk ten dziecko jej zjada, a ona mu go z paszczy wydrzeć nie może.

Próbowała wydzierać. Wieczorem, gdy nic już do roboty nie miała, zarzucała chustkę na głowę i do miasta wybiegłszy godzinami całymi chodziła po zaułku. Pod parkanami i ścianami małych domków chodziła w jedną i drugą stronę, zatrzymując się często przed dwoma żółtymi światełkami, krążąc dokoła nich, nasłuchując u okna, podchodząc ku drzwiom-Pomimo ciemności Żuzuk poznawał ją i ku jej ręce wspinając się lub podskakując skomlił z cicha i za"

199

łosnie. Gdy szła, szedł za nią i za nią też powracał. Czasem obie te zasmucone istoty chodziły tak jedna za drugą przez dobrą część nocy, lecz bywały i takie wypadki, w których kobieta z energicznie zdecydowanymi ruchy i dumnie napuszoną postawą wchodziła do szynku, a za nią więcej niż kiedy pokorny i zmaleć usiłujący wsuwał się pies. Co tam za tymi drzwiami i tym oknem robili? Nie wiadomo; lecz po kwadransie lub więcej kobieta wychodziła, dla stłumienia zapewne płaczu końcem chustki, którą na głowie miała, usta sobie zatykając, a zwierzę wybiegało skomląc przeraźliwie, z jedną łapą podniesioną i skurczonym grzbietem. Po każdej z tych niefortunnych prób wydzierania dziecka z paszczy miejskiego wilka Romanowa stawała się na czas jakiś czymś na kształt automatu poruszającego się siłą rozpędu, lecz w którego głowie nie było myśli ani pamięci o niczym. Ona w pełnieniu zajęć swych tak gorliwa zazwyczaj, zanieczyściła je w stopniu, który wymagał pobłażliwości niemałej. Nie przez lenistwo przecież czyniła to, lecz przez ogarniającą ją co chwila roztargnienie i zamyślenie, które u niej przybierały pozór sennej ogłupiałości. Bywała to też ogłupiałość brudna. Nie myła się wtedy, nie czesała i wcale nie ubierała. Rozczochrane włosy opadały jej na twarz spod spłowiałej chustki lub brudnego czepka. Kaftan rozwierał się u piersi, na nogi wkładała stare kalosze. w których chodziła cicho jak widmo i powoli jak przez sen. I tylko czerwone plamy usiewające tóółką jej cerę i załamywanie rąk częste, milczące, a tak silne, że aż w nich stawy trzeszczały, postać tę brudną i ogłupiałą przyoblekały jaskrawym światłem wielkiego cierpienia.

Nagle i najniespodziewaniej pierwszego lepszego ranka zjawiała się oczom ludzkim w metamorfozie nowej. Znowu żwawa i sprężysta, w kwiecistej chust-lub białym czepku na głowie, umyta, uczesana, ^ystym fartuchem w pasie przewiązana, twarz mia-** świeżą i rozpromienioną, oczy błyszczące, usta

200

rozwarłe w nieustannym gadaniu i donośnym śmie. chu. Wtedy nawet gdy milczała, zadarty nos jej i ru-chliwe zmarszczki na czole zdawały się śmiać i cieszyć. W przeddzień, wieczorem albo śród nocy Michałek przyszedł do niej. Przyszedł w stanie, który go czynił do człowieka niepodobnym.

Obdarty, bosy, wódką cuchnący, -z włosami zjeżo-nymi słomą i pierzem, ale całkiem prawie trzeźwy, przyszedł i u drzwi stanął. Postawę miał winowajcy, który nie śmie kroku naprzód postąpić, a wejrzenie błędne, w kąty kuchni uciekające, czasem zdające się wzywać litości. Ona ujrzawszy go takim, z wielkim krzykiem, w którym

słysząc było i śmiech, i płacz, rzucała się mu na szyję i ku ławie kuchennej za rękę ciągnęła. Gdy usiadł już i czapkę mnąc w jednym ręku, drugą z roztargnieniem gładził Żuzuka, zaczynała krzątać się po kuchni. Przede wszystkim całą pościel swą za piec wносиła i tam na ziemi zaścielała. Nie mógłże on przecież bez przyzwoitej odzieży, z nabrzmiałymi policzkami i sińcami na czole ukazywać się ludziom! Będzie więc mieszkał za piecem dopóty, dopóki nie odnowi się od stóp do głowy. Pomagała mu rozebrać się z łachmanów, w jakich przybył, i ułożywszy go na pościeli swej za piecem, zajmowała się nastawieniem samowara i odgrzewaniem jedzenia, które codziennie na wypadek powrotu jego chowała. Herbatę i jedzenie niosła mu za piec i tam w zmroku, do którego wkradał się tylko bladym promień lampy, zaczynali ze sobą rozmawiać. Rozmawiali cicho, szeptem prawie. 'Ze szmerem rozmowy tej łączyły się odgłosy pocałunków, łzawe chlipanie, energiczniej wymawiane słowa przyrzeczeń i przysiąg. On skarżył się na samego siebie, ona go pocieszała. Słysząc było przy tym brzęk łyżeczki o szklankę uderzającej. Gdyby kto wtedy zajrzał w głąb szerokiego zapiecka, ujrzałby kobietę siedzącą na ziemi w bladym świetle i łyżeczkę z herbatą przytykającą do ust wyciągniętego w ciemności mężczyzny. go jak niemowlę, a po twarzy jej szerokim uśmie*

201

chem rozjaśnionej ciekły łzy. Czasem wielka, czerwona ręka z grubymi palcami wyciągała się z ciemności, brała jej rękę, i usta, których nie widać było, składały na niej głośny pocałunek. Tak trwało godzinę lub więcej, aż głos męski, senny mówił:

— Mamo! proszę nakarmić Żuzuka!

Kobieta wyskakiwała zza pieca i dawała Żuzukowi resztki krupniku okraszone kilku kośćmi, a gdy pies zjadał je z chciwością, uśmiechając się głaśkała go po stwardniałej i błotem zlepionej sierści.

Nazajutrz do osób, którym wprzód mówiła o owych wilczych oczach i które zapytywała: „Co z tego będzie?“, zbliżała się znowu, ale już z wyrazem tajemniczej radości na twarzy. Żywo i szeroko gestykulując, z tryumfującym wejrzeniem, stłumionym szeptem mówiła:

— Wszystko już dobrze! Przyrzekł, jak Boga kocham, przyrzekł, że już nigdy nie będzie... I dotrzyma! Co teraz, to już, jak Bóg na niebie, dotrzyma! O, już ja go znam i wiem, że teraz to już dotrzyma!

Co najprędzej, w pierwszej wolnej chwili biegła do miasta i za wszystkie oszczędności swe — a miewała je często, nic wcale dla siebie nie potrzebując — kupowała synowi całkowite ubranie: surdut, palto, czapkę, a często i buty. Wszystko to kupowała u tan-deciarzy, więc bardzo tanio, a w ten sposób oporządziwszy syna, po paru dniach przebywania jego za piecem szła z nim na prymarię i, jak wyrażała się, doprowadzała go do spowiedzi. To doprowadzanie do spowiedzi powtarzało się niezmiennie po każdym powrocie Michałka z długiej, choć niedalekiej wędrówki-Łagodny wtedy i dający powodować sobą jak dziecię chłopiec spowiadał się, klęcząc modlił się żarliwie, bił się w piersi swoją czerwoną pięścią, potem wraz z matką wychodził z kościoła. Ona prowadziła go do swej kuchni i tam, bez świadków, przypatrywała się mu uważnie od stóp do głowy. Znowu był kkim jak wprzód. W promieniu wschodzącego słoń-ca albo w smudze białego światła bijącej od śniegu

202

w okno kuchenne, stał słuszny, zgrabny, silny, porzą. dnie ubrany, ze swoim szczerym i świeżym uśmiechem na ustach, z prostym i światłym wejrzeniem roztropnych, ognistych oczu. Nie rzucała się mu wtedy na szyję, tylko powoli do niego podchodziła i p0 ramieniu jego dłoń przesuując, a twarz ku niemu podnosząc mówiła:

— No, synku, a teraz idź starać się o robotę.

Gest jej był pieszczotliwy i miłosny, ale postawa i brzmienie głosu miały w sobie uroczystość, która w chwilach innych zdawała się być kobiecie tej całkiem niedostępną. Można by mniemać, że w kilku tych wyrzeczonych wyrazach mieściło się wszystko, czego wysławić nie umiała: przebaczenie, zapomnienie, błogosławieństwo...

O robotę nie było mu trudno. Szedł do Chlewiń-skiego, a ten przebaczał mu wszystko. Zamożny majster widoczną słabość miał do tego ładnego chłopca i doskonałego robotnika.

Słabość do Michałka miała też pani majstrowa i dzielili ją wszyscy prawie, którzy go znali. W dobrych tygodniach swoich pracowity aż do niezmordowanej gorliwości, grzecznym był, usłużnym i tak wesołym, że go znajomi figlarzem i szalapatem nazywali. Na imieninach i chrzcinach różnych tańczył zgrabnie i niezmordowanie jak nikt inny; kiedy w zapusty u którego z panów cechowych poprzebierani mieszczanie przedstawiali historię króla Heroda, on przebierał się za diabła i skokami, a także dowcipami swymi śmieszył aż do kolek w bokach całe towarzystwo. A ileż to u Chlewińskich bywało uciechy i śmiechu z tych glinianych kotów i kogutków, które dla panny Zofii lepił i tak ślicznie malował, że wygadały jak żywe! Grał także na harmonijce i śpiew^ różne pieśni silnym i czystym barytonem. W ogóle dla mieszczan i służby domowej okazywało się W" raźnie, że gdzie pan Michał był, tam było wesoł"j i bardzo przyjemnie. Wesołość też i przyjemność ^ rażały na widok jego szafirowe oczy i ładny buziar"

203

jednej z córek Chlewińskiego, która z podlotka wyrosła już na wysmukłe i w całej pełni kształtów rozwinięte dziewczę.

Raz robotnik mularski wracał od roboty swej o zmroku prawie, gdy mijając kamienicę jakąś usłyszał na chodniku żalosne, ciche miauczenie. Po gniewnym niepokoju, który ogarnął idącego w ślad za nim Żuzuka, domyślił się, że było to odzywanie się kota. Wszedł na chodnik, popatrzał w ciemny załom muru i rozpoznał istotnie paromiesięczne kocię wyrzucone tu snadź przez kogoś na słotę jesienną. Pochylił się, podjął z ziemi zziębłe i głodne stworzenie i trzymając je na dłoni, a okrywając końcem grubego fartucha patrzył na nie przez chwilę.

— Biedny ty! — uśmiechnął się do kocięcia — ale co ja z tobą zrobię? Do matki zaniosę, czy co?

Podniósł twarz i oko w oko spotkał się z rumianym buziaczkiem i szafirowymi oczyma Zosi Chlewińskiej. Szesnastoletnia mularzówna zarumieniła się tak, że aż jej uszy pokraśniały. Nieśmiałą jednak nie była.

— Co to takiego pan Michał w ręku trzyma? — stojąc pośrodku chodnika zagadała.

On zmieszał się bardzo. Rzecz dziwna! ten chłopak tak śmiały, gdy szło o spraszanie

na traktament wesołej kompanii, ten zawadiaka i szaleniec, gdy mu gorzalka zaszumiała w głowie, wobec dziewczynki tej, skromnej a przyjaźnie na niego patrzącej, zmieszał się i języka w gębie zapomniał. Po kilku zaledwie sekundach zrywając z głowy czapkę i jękając się wyrzekł:

— Dobry wieczór pannie Zofii!

Chciał ukłonić się elegancko, ale nogi formalnie w ziemię mu wrosły, więc tylko niezgrabnie głową kiwnął.

Dobry wieczór, dobry wieczór! — zaszcebiotała znowu mularzówna — ale co to takiego pan Michał z ziemi podniósł i w ręku teraz trzyma?

To jest, proszę panny Zofii, kocię! — wyjąknął. cieszyła się widocznie i wyciągnęła rękę. Choć

204

była w kapeluszu i zgrabnym paltocie, rękawiczek jednak nie nosiła. Małe, czerwone od zimna rączyny wyciągnęła po przedmiot wspólnie ich teraz zajmujący.

— A! — krzyknęła! — jaki ładny!

— Ładny, ale nie wiem, co z nim zrobić?

— Niech pan Michał mnie to kocię daruje!

— Czy panna Zofia hodować będzie to brzydaczko?

— Będę! Jaki pan Michał dobry, że zlitował się nad tym maleństwem i podniósł je z ziemi...

— A jaka panna Zofia dobra, że życzy sobie to hodować...

— Ja bardzo wszystkie stworzenia lubię...

— I ja też...

Rozmawiając tak patrzali sobie w oczy. Dziewczyna wsunęła kocię w szeroki rękaw swego paltota i pyszczek jego do różowych ust swych przykładła. Teraz fala rumieńca oblała czoło mężczyzny i popłynęła aż pod czarne jego włosy.

— Co ja bym, zdaje się, dał za to... — zaczął i urwał. ,

— Za co?

— Za to, żeby panna Zofia i mnie t y ż trochę lubiła...

Spuściła na chwilę oczy, ale wnet podniosła je znowu. Wyraz determinacji spłynął na jej młodziutką twarz. Cicho jak wprzód odpowiedziała:

— Ja pana Michała bardzo, bardzo lubię i od dawna już, od dziecka. Ale lubiałabym jeszcze daleko więcej, gdyby pan Michał... gdyby pan Michał... gdyby...

— Gdyby co? gdyby co?

— Gdyby pan Michał był... był zawsze taki ja* teraz... I ojciec, i mama bardzo tego pragną, żeby Pan Michał nie był... nie był...

Przytknęła znowu pyszczek kocięcia do ust swyc i zaledwie dosłyszalnie dokończyła:

2

Żeby pan Michał nie był nigdy innym jak te-
raz--

Zrozumiał i płomienne rumieńce uderzyły mu do twarzy.

— Panno Zofio! — szepnął — jak Boga kocham, jak mnie to życie miłe, przysięgam, że będę już zawsze taki jak teraz...

I Nie wiadomo jakim sposobem czerwona rączka mu-larzówny znalazła się w wielkiej, wapnem obielonej ręce mularskiego robotnika. Uścisk to był silny i

serdeczny. Bez słowa pożegnania rozbiegli się w przeciwnie strony. Za nim w wesołych podskokach podążył Żuzuk; ona w rękawie paltota unosiła zziębłe i, wynędzniałe kocię.

Przez całe kilka miesięcy Romanowa, Żuzuk i jedna z córek jednego z najdostojniejszych majstrów Ongrodu byli bardzo szczęśliwi. Potem...

Mularskie rzemiosło, dobrze opłacające się swym pracownikom, posiada jednak tę niedobłą stronę, że przez kilka miesięcy w roku zajęcia im nie daje. Od marca do października, najdłużej do listopada, pracuj, ile požadasz, ale gdy wielkie deszcze jesienne i śniegi zimowe spadną, zakładaj ręce i próżnuj, choćbyś, nie wiem jak i dlaczego, pracy potrzebował! Niektórzy biorą się na sposób, budują garncarskie piece i w zimowych miesiącach garnki lepia. Spróbował zrazu czynić tak i Michałek; w późnej jesieni szedł na robotę do garncarza. Ale nie udała mu się ta próba. Szopa zamknięta i duszna od palących się w niej ogni, włożenie do rozpalonych pieców gnębiły ruchliwą jego naturę, požądającą przy pracy powietrza, Przestrzeni, szerokich rozmachów dla silnych ramion i hulaszczej duszy. Przy tym rzemiosło garncarskie Wydawało mu się czymś poniżającym i odpowiednim tylko dla niedołęgów i biedaków. Słowem, w obrzydnie je wziął i przez cztery albo pięć miesięcy w ro-

206
ku żadnej wcale roboty nie miał. Romanowa bardzo dobrze pamiętała, że po raz pierwszy upił się w ciągu tych właśnie miesięcy bezrobocia. Miał wtedy lat dziewiętnaście. Bógże wie, co go po raz pierwszy ku wilczym oczom pociągnęło! Podobno garncarz Wincenty zaprosił go do Szlomy na traktament, a potem przez czas pewien dziewczka jakaś bezwstydnym swym, lecz czarnym i ognistym okiem przyciągała go tam niekiedy. Przez czas pewien bywało to tylko niekiedy, potem przybyły znajomości różne, -stosunki, możność i ochota do zbierania i zapraszania wesołych kompanii. Wesołe kompanie stały się namiętnością Michałka; pysznił się tym, że był w stanie spraszać je i częstować, i tym, że lepiej od innych w bilard grał, i tym jeszcze, że kobiecea część tych kompanii przepadała za nim. W bilard grał, hasał i hulał po szynkowych izbach, a możnaż hasać i hulać nie pijąc piwa zrazu, potem wódki, a potem tego już trunku będącego dla szynkowych gości napojem bogów, który wyrabia się z zapalonego spirytusu i ściekających doń kropel cukru topionego nad sinym płomykiem.

Przed matką i Chlewińskim Michałek czasem usprawiedliwiać się próbował.

— Człowiek pracujący rozrywki potrzebuje... — mówił.

W zimie zaś, kiedy roboty nie miał, powiadał o nudzie, która go tak paliła, że gdyby nie poszedł do szynku, utopiłby się albo powiesił.

Miał wielu kolegów, którzy nie nudzili się tak jak on. Gdy Romanowa zwracała na to uwagę jego, odpowiadał:

— Wielka rzecz! kapcany i niedołęgi! I pracować nie umieją, i bawić się nie potrzebują. Mleko u nich w żyłach płynie, a u mnie krew jak ogień.

Słowa te nasuwały kobiecie myśli, z którymi rady sobie dać nie mogła. Szumując rosół, siekając kotlety, obierając jarzyny, myślała, rozważała, kombinowała i ani rusz zrozumieć nie mogła... jak to może być...

207

— Jak to może być — mówiła do tych, względem których zaufanie miała — żeby on

przepadał dlatego, że lepszy od drugich... Kapcan jakiś i niezdara śpi sobie cały wieczór za piecem i nie grzeszy, a on przez tę ognistość swoją i najlepiej pracuje, i najwięcej Pana Boga obraża...

Czasem wpadała na pomysły, które nasunąć jej mogło tylko niezmierne wytężenie myśli. Z policzkiem na dłoni opartym, ze wzrokiem od zamyślenia aż osłupiałym mówiła:

— Jednakowoż, czy to uczone i bogate panowie nie mogą tak jakoś zrobić, żeby dla biednych i d u r n y c h ludzi inne zabawy były, jak te u S z l o - m y ? -

Po owym spotkaniu się Michałka z Zosią Chlewin-ską, zaszłam na wiosnę, Romanowa długo ani myśli, ani trosk takich nie miała. Przez całe lato i część jesieni chłopak jak wół pracował, naprawdę już z polecenia Chlewińskiego do wiejskiego jakiegoś dworu na robotę wyjeżdżał, grosiwa sporo w kufrze matczynym zgromadził: następnej już zimy wyzwolić się na czeladnika postanowił. Cechmistrz Chlewiński sam go do tego namawiał, w ostateczne ustatkowanie się jego uwierzywszy.

— Za rok — powiadał — na majstra cię wyzwo- lim, a za parę lat jeszcze, jeżeli rozum w głowie mieć będziesz... no...

Nie kończył pan majster mowy swej, tylko uśmiechał się filuternie i jedną ręką bujnego, płowego wása pokręcając, drugą pobrzękiwał swym srebrnym łańcuchem od zegarka. Do znajomych swoich mawiał:

— Ten Michał to moja prawa ręka. Zdatna bestia, az strach! Żeby tylko to... nie to... wolałbym go dla Zośki niż jakiego kiepskiego panicza! Ale może Bóg fla- że to... tego... młodość, wyszumi się!

W listopadzie Michałek nie miał już żadnej roboty 'tylko w kuchni matczynej przez

kilkanaście wie-

orów lepił dla panny Zofii rycerza z gliny. Teraz,

gdy była ona dorosłą, nie wypadało już ją kotami i kogutami obdarzać. Rycerz — to co innego. Postawi go sobie na komodzie w bawialnym pokoju. Na nie. szczęście, rycerza z gliny ulepić i cały ubiór, a także zbroję ładnie na nim wymalować przechodziło arty. styczne zdolności mularza. Lepił, lepił, malować próbował i sam spostrzegł, że robota jego zupełnie do niczego podobną nie była. Po gniewnym ściąganiu brwi i grubym brzmieniu głosu poznać można było, że już zaczynało w nim burzyć się coś i buntować. Przesiadywał jednak w kuchni całe prawie dni i wieczory, wlaził za piec spać usiłując, Żuzuka nowych sztuk uczył, do pokojowej Rozalii, nieszpetnej dziewczyny, czule oczy robił i gonitwy z nią po kuchni wyprawiał, z matką świeckie i święte pieśni śpiewał, słowem, próbował wszystkiego, co by go zająć mogło. Chmurzył się przecież coraz posepniej, jadł coraz mniej, głos jego grubiał, a gesty stawały się porywcze. Na koniec wieczora pewnego, rycerza, który już był w piecu garncarskim należycie wypalony, ale który ostatecznie podobniejszym okazywał się do barana z jednym rogiem niż do rycerza ze sterczącą dzidą, o ziemię cisnął, z matczynego kufra coś wyjął, czapkę schwycił i wyszedł... Znalazłszy się na ulicy, szedł zrazu prędko, potem powolniej i przeciw zwyczajowi swemu z głową spuszczoną. W ciemnym zaułku żółtawo błyszcząły jak zwykle okna

i szklan-ne drzwi Szlomy. Czarno zarysowujący się w ciemności wysoki mężczyzna dążył do dwu tych światełek i zbliżywszy się ku nim o parę kroków gwałtownym ruchem zwrócił się w stronę tę, z której przychodził-Z końca zaułka wrócił znowu, przed dwoma świecącymi punktami stał parę minut i poszedł dalej. Tak kilka razy zbliżał się ku wilczym oczom i oddalał się od nich, stawał przed nimi i minawszy je zdawał się od nich uciekać, aż na koniec z determinacją nagłą wskoczył na stopień drewniany, tu jeszcze sobie 1 czapkę na bok głowy przesunął, gwałtownie rękł j drzwi otworzył i za nimi zniknął. Na stopniu dreW-l

209

njanym pozostał i niebawem w kłębek zwinął się pjeS) który też za nim przyszedł. Nazajutrz wypadła niedziela. Spory plac przed kościołem okryty był śniegiem w nocy spadłym, bladym blaskiem słońca i szarym tłumem ludzi. Nabożeństwo niedzielne skończyło się przed chwilą. Ludzie różnych stanów opuściwszy kościół przechadzali się po placu albo stali grupami, rozmawiając i przypatrując się ruchliwemu tłumowi. Młodziutka mularzówna wychodziła z kościoła. O kilkadziesiąt kroków wyprzedziła matkę i siostry i z wysokich wschodów kościelnych zbiegła lekka, świeża, wesoła. Bardzo wesołą była, bo wiedziała, że jak bywało każdej niedzieli, u dołu wschodów ktoś zajdzie jej drogę, ukloni się pięknie, spojrzy na nią ognście i starać się będzie przez matkę jej lub ojca zauważonym zostać, w nadziei, że pozwolą mu iść z sobą przez ulicę miasta, a może i na niedzielne kołduny albo smażone kiełbasy zaproszą. To ostatnie zdarzało się od pewnego czasu dość już często i sprawiało mularzównie uciechę wielką. Zbiegała więc ze schodów lekko i wesoło, czerwoną kokardką, którą dziś skromny kapelusik swój przyozdobiła, z daleka świecąc. Okrągłe jej policzki kraśniały puszystym rumieńcem brzoskwini, czerwone rączki na wpół tylko schowała w rękawach taniego futerka. Nagle rozpromienione jej oczy rozwarły się szeroko i na całej twarzy rozlał się wyraz przykrego zdziwienia. Kto to taki stoi tam, na ostatnim stopniu wschodów, widocznie na nią czeka i śmieje się ku niej brzydkim, nieprzyzwoitym śmiechem? Była pewną, że zobaczy młodego chłopca, w grubym, lecz czystym i zgrabnym paltocie, w czapce krzywo trochę na czarne włosy włożonej, z postawą skromną, grzeczną, trochę nawet elegancką. Zobaczyła człowieka w poplamionym surducie, obłoconym obuwiu, z czapką zsuniętą' na tył głowy i śmiesznie daszkiem sterczącą, z twarzą zaczerwienioną, mgła-wymi oczyma i tym jakimś okropnym, -wstrętnym Uśmiechem na ustach. Zbladła trochę, przygryzła pą-

14 —

Orzeszkowa

2

sową wargę i ze łzami, które nagle zakręciły się jej w oczach, rzuciła się w stronę wschodów przeciwną tej, w której on stał i wyraźnie na nią oczekiwał. aj9 on szybko przyskoczył ku niej i rozpychając ludzi w twarz jej zaglądał.

— Ja na pannę Zofię czekałem — nie zdejmując czapki zaczął głosem dziwnie zgrubiałym i trochę ochrypłym.

Nie odpowiadając, szybko chodnikiem iść zaczęła. Przyciskała się tak do kościelnego muru, że aż ubieliła sobie całą połowę futerka. Nie patrząc na nikogo, spod powiek

widziała, że ludzie, których tam pełno było, zaczęli patrzeć na nią i na niego. On szedł wciąż przy niej, dziwnie jakoś wahając się na nogach i ani trochę nie zniżając głosu wciąż mówił:

— Jak Boga kocham, ja na pannę Zofię całą godzinę przed kościołem czekałem... U mnie wesoła kompania jest, ale ja wszystko porzuciłem, żeby pannę Zofię zobaczyć... Niech panna Zofia tylko posłucha! Piękniejszej dziewczyny jak panna Zofia w całym Ongro-dzie nie ma...

Dziewczę splonęło ciemnym szkarłatem i więcej jeszcze cisnąc się do muru i ki;oku przyspieszając wyjąkało:

— Niech pan Michał da mi pokój! proszę sobie iść ode mnie! proszę... proszę... mi dać pokój!...

Łzy płynąć zaczęły po rozpalonych jej policzkach, z całej siły jednak wstrzymywała się od płaczu i spod energicznie w tym celu mrugających powiek zobaczyła wielką, czerwoną rękę z rozpostartymi palcami, którą towarzysz jej uderzał się w piersi.

— Jak Boga kocham — krzyczał — niech mnie w ten moment piorun ubije, jeżeli ja kiedy pannie Zofii co złego zrobić zechcę... Ja pannę Zofię kocham nad życie, nad bogactwo, nad wszystko...

Kilkanaście najbliższych znajdujących się osób wybuchnęło głośnym śmiechem na te oświadczenia miłosne grubym i ochryplym głosem pośród miasta i tłumu ludzi wykrzykiwane. Mularzówna na podobieństwo

211

onionego przez charty zająca uczyniła zwrot szybuj i nazad ku kościołowi biec zaczęła. Zapewne spodziewała się stamtąd odsieczy w postaci rodziców ■ rodzeństwa. Ale on spostrzegłszy, że ucieka od niego, za rękę ją schwycił.

— Ho! ho! — krzyknął — co z tego, to nic nie bę-jzje! Jak Boga kocham, nie puszczę! Co to? czy ja prawa do ciebie nie mam? Ja twój kochanek, a ty moja kochanka! My już przed Bogiem Przenajświętszym mąż i żona! Jeżeli ty uciekać ode mnie będziesz, ubiję* jak Bóg na niebie, ubiję! Ty moja i nikt nas nie rozłączy... żeby tam generał jaki albo książ brać ciebie chciał, nie dam! ubiję! a nie dam! jak psa ubiję!

Czerwoną ręką z rozpostartymi palcami bijąc się w piersi albo w powietrzu wygrażając krzyczał coraz donośniej i grubiej, a ją, z całych sił wrywającą się, ku sobie ciągnął. Coraz zwiększająca się gromada ludzi otaczała ich śmiejąc się z pijaka, litując się nad dziewczyną albo drwiąc z niej także; ktoś donośnie przywoływał policjanta, który też przez plac przebiegając pośpieszał ku miejscu, gdzie tłoczyli się ludzie i rozlegały się krzyki męskie i kobiece, bo i mularzówna wrywając się i szamocąc krzyczała także i głośno płakała. Ale zanim policjant do miejsca tego dobiegł, sam majster Chlewiński, przerażony, oburzony, jak najczerwieńsza piwonia zaczerwieniony, tłum rozepchnął, pijaka uderzeniem pięścią w pierś na otaczających ludzi rzucił, a obu ramionami córkę ogarnawszy bezwiednym ruchem, jakby ją przed oczami ludzkimi chciał ukryć, połą baraniej szuby swej głowę i plecy jej osłonił. Tuż za nim nadbiegła otyła nieco, sapiąca, przelęknięta majstrowa i, jak kura skrzydłami, ramionami trzepocząc rzuciła się także ku dziewczynie, trzęsącej się od płaczu i twarz na piersi °Jcowskiej chowającej. Dwie starsze siostry, jedna Malutka siostrzyczka i mały brat w gimnazjalnym Mundurku otoczyli ją ścisłym gronem.

Chlewiński ze

212

łzami w oczach zwrócił się do gromady ludzi, która stała i gapiła się jeszcze:

— Oj, wy! bydło, nie ludzie! — krzyknął — czy ^ nikt z was obronić nie mógł dziewczyny, kiedy jej taka krzywda stawała się!

W tłumie złożonym z rzemieślników, robotników służących kilka osób mruknęło:

— Kto by tam chciał wdawać się w kłótnie z pija. kiem! silny taki, że wołu ubić mógłby!

Ktoś inny tłumaczył się:

— Dziesiątnika przecież zawołałem...

Lecz byli i tacy, którzy śmieli się i teraz. Garncarz Wincenty, niezupełnie trzeźwy jak zwykle i który od dawna zazdrościł Chlewińskiemu dostatków jego i znaczenia, mokrymi oczyma swymi w oczy mu patrząc na całe gardło zarychotał:

— Dobrze ci tak! Nie trzeba było pozwalać dziewczynie z pijakiem romansować!

— A-le! — zaśmiało się kilku lokai i robotników — toż on mówił, że ona jego kochanką jest, a on jej kochankiem! Widać prawo ma tak mówić! To i cóż! Niech majster wytrząśnie sakiewkę, posag córce da i — wal do ślubu!

Scenie tej policjanci koniec położyli. Chlewińscy,

0 których jednostajnie obawiać się było można, aby apoplektycznego ataku nie dostali, wraz z rozplakаныmi starszymi i młodszymi dziećmi uprowadzili do domu Zośkę, która pomimo silnej budowy swej i dobrego zdrowia mdlała prawie z żalu i wstydu...

Tego samego dnia nad wieczorem Chlewiński wpadł do kuchni Romanowej. Można by powiedzieć, że przez te kilka poprzedzających godzin schudł i postarzał. Rumiane policzki jego wydłużyły się, białe, niskie czoło okryło się zmarszczkami, bujny wąs. wciąż targany, groźnie nad wargami sterczał. Zamiast, jak zwykle bywało, wejść z powagą, powołał

1 uprzejmie, choć nieco z góry, powitać kucharkę, wpadł z hałasem drzwi za sobą zatraskując i bez sio-wa powitania zwrócił się do kobiety, która na wid^o

213

. a0 i kufra powstała i jak słup nieruchoma ze sple-J;gnyrni u piersi rękami stanęła.

C przyszedłem — zaczął — aby imości zapowiedzieć, aby imość synkowi swemu zapowiedziała, aby syjkek imości progu mego nigdy już w życiu swoim nje przestępował... I niech mnie nawet nigdzie nie nawija się na oczy... a jeżeli córkę moją trzeźwy czy pijany kiedy jeszcze zaczepi, to daję słowo honoro-wego człowieka, że mu publicznie w pysk dam i jeszcze go do sądu zapozwę albo tak zrobię, żeby go umina własnym kosztem na Sybir wysłała... ot! niech to imość sobie pamięta i niech synek imości progu mego przestępować nie śmie...

Sapał, gestykulował, po kuchni rzucał się, krzyczał. Powaga i układność dostojnego majstra i poważnego cechmistrza zniknęła w nim ze szczeniem przed gniewem obrażonego chleבודawcy i zranionego ojca.

— Taki skandal wyprawić memu dziecku... memu... memu dziecku... I za co? Za dobre serce moje? za sprzyjanie moje? za to, że mu zarobek dawał? że mu go w domu moim jak krewnego przyjmował. Pfuj! łotr jaki!

Spluwał i znowu gadać i rzucać się po kuchni zaczynał.

— Dziewczyna tak jak zgubiona — krzyczał — ludzie jej i za lat kilka skandalu tego nie zapomną. Wszyscy teraz myślą, że ona z nim romans miała, i kłuć jej tym w oczy będą! Za mąż pójdzie, a jeszcze mąż, jak zechce jej dokuczyć, tym niebawym romansiem i tym skandalem kłuć jej w oczy będzie!

Ocierał chustką zachodzące łzami oczy i znowu Powtarzał:

Za co? za co? za co on moje dziecko takim nieszczęśliwym zrobił!

Kobieta stała wciąż przy kufrze jak słup nieruchoma. ze splecionymi rękoma. Twarz jej okryła się żół-^ bladością, powieki mrugały, wargę drżała. Od kil-

214

ku już godzin wiedziała o wszystkim, co przed kog. ciołem zaszło; spodziewała się tego, co ją teraz sp^ tykało. Kiedy Chlewiński wykrzyczawszy się i Wy karzywszy we wszystkie kąty kuchni już wplunął i ^ raz setny powtarzając, że Michałka na oczy swe wj, dzieć nie chce, ku odejściu miał się, Romanowa p^ ruszyła się z miejsca swego i ciężko stąpając, od pro-gu drogę mu zaszła. Tu pochyliła się i kolana jego ramionami objęła.

— Panie! — zaczęła — dziękuję za wszystko, Co pan dla niego zrobił i zrobić jeszcze chciał. Ja wiem., ja rozumiem... ja kolana pańskie za niego przeprasząc całuję!

Łzy jak groch spadały na stopy majstra, który I zmiękł trochę, podniósł ją i w głowę pocałował.

Kiedy w kilka dni potem Michałek według zwyczaju Swego wólpijany przyszedł z szynku i u matki o pieniądze swe upominać się zaczął, ona okazała się inną, niż dotąd w wypadkach podobnych bywała. Nikt nie wiedział, ile wysień kosztowało ją przy- j obleczenie się w tę surowość, z jaką teraz syna spotkała. Nie pociągnęła go już ani na ławę, ani za piec, ale od razu głosem podniesionym łajać zaczęła. Krzycząc, łajac i rozmachując rękoma wyrzucała mu krzywdę wyrządzoną mularzównie i poróżnienie się z majstrem, któremu zawdzięczał wiele; opowiadała

0 gniewie majstra i wszystko, co mówił on, powtarzała. Michałek teraz dopiero przypomniał sobie zajście przed kościołem i pomimo stanu, w jakim się znajdował, wiadomość o stanowczym zerwaniu z nim ojca Zośki ubodła go do żywego.

Otworzył zrazu usta

1 plecami o ścianę oparty pochylił głowę. Lecz pogiębienie to trwało krótko; zastąpił je niebawem szal gniewu podsycany żalem, którego doświadczył. Zaczął kłać straszliwie, obrzucając majstra obelżywy®1] nazwami. Wykrzykiwał, że nikogo nie boi się, że sa» sobie panem jest, że Chlewińskiego przez dach k°s* cioła przerzuci, a z córką jego ożeni się, bo żyć

215

^gj nie może i kochankiem jej jest, a ona jego kochanką...

Krzywda, którą gadaniem takim wyrządzał niewinnej dziewczynie i córce swego dobrodzieja, oburzyła w Romanowej uczucie sprawiedliwości. Przy tym, sztucznie zrazu podniecając się, stopniowo wpadała w gorączkę gniewu wzmaganą może strasznym uczu-wanym bólem.

__ Ty znów to samo! — wrzasnęła i podniósłszy ramię w twarz syna uderzyła.

Pierwszy to raz od czasu, gdy malutkim jeszcze był dzieckiem, uderzyła go. On tracąc do reszty przytomność porwał się do niej z zaciśniętymi pięściami, ale w tej

chwili pomiędzy nim a nią zjawił się mały i bardzo ruchliwy pośrednik. Był nim Żuzuk, który jak zwykle za panem swym przyszedłszy w kącie kuchni wyszukał kość jakąś i gryzł ją zawzięcie, lecz ujrzawszy pana swego w niezwykłym jakimś zatargu, rzucił się ku niemu i na Romanową szcękając wił się i skakał, jakby go tym zasłaniał i bronić usiłował. Skacząc tak i szcękając wplątał się mu pomiędzy nogi i poruszeniom ich i bez tego niepewnym, przeszkadzał. Jedno mgnienie oka — i stała się rzecz okropna. Otrzymałą wiadomością i uderzeniem matki rozwścieczony pijak z oczami krwią zaszłymi pochylił się, psa za kark pochwycił i za siebie go cisnął. Zwierzę z łoskotem uderzyło się o róg maszyny kuchennej, przeraźliwie jęknęło, konwulsyjnie kilka razy drgnęło i pozostało na ziemi z wyciągniętymi łapami, bez ruchu.

— Psa zabiłeś! wariacie! — krzyknęła Romanowa.

Przeraźliwy pisk Żuzuka i słowa te matki otrzeźwiły go nieco. Obejrzał się, spojrzął i rzucił się ku zabitemu zwierzęciu. Na ziemi usiadł, Żuzuka na ręce wziął, targał go, cucił niby, najczulszymi wyrazami 80 wołał, aż na koniec zwłoki psa na kolanach swych Położywszy rozplakał się jak dziecko. Silne wrażenie, Jakiego doświadczył, otrzeźwiło go całkiem. Po kwa-ransie płakania podniósł głowę i patrząc na matkę J*6^ z przejmującą boleścią w głosie:

216

— Teraz, mamó, już amen. Nic ze mnie nie będzie Kiedy ja mogłem Żuzuka mego zabić, to kiedykoU wiek i człowieka zabiję. Na katorżnika widać wyjdę, i po wszystkim.

I znowu zaczął, na ziemi wciąż siedząc, płakać i sztywniejące zwłoki Żuzuka pocałunkami okrywać Wtedy ona siadła przy nim i, jak dawniej bywało nie szczędziła mu pociech i pieczy. Znowu nastawi-ła samowar i poić go próbowała herbata, której jednak pić on nie chciał. I spać tej nocy nie mógł, jęczał za piecem i wciąż o Żuzuku mrucał łkając czasem. Strasznie żałował psa; straszniej jeszcze bolało go zerwanie z Chlewińskim. Przez całe trzy dni zza pieca nie wyłaził wstydząc się, smucąc i o własnej przyszłości zupełnie wątpiąc. Na czwarty dzień Romanowa do kościoła z nim poszedłszy znowu go do spowiedzi doprowadzała i znowu ku ludziom, względem których szczególne miała zaufanie, podchodziła z tajemniczym uśmiechem na ustach, radośnie szepcąc:

— Teraz to już przestanie, jak Boga kocham, przestanie! Żeby tylko jakim sposobem Chlewińskiego przeprosić... to już wszystko dobrze będzie. Już ja nie taka, żebym jemu łatwo uwierzyła, ale jak Bóg jest na niebie, tak teraz to już przestanie. Teraz przecież miała ona dopiero wstąpić na szczyt swej Golgoty. Zamordowanie psa zaciążyło Michałkowi na sumieniu i otworzyło w piersi jego najzjadliw-szego robaka — zwątpienie o samym sobie. Ile zaś razy przechodził koło kościelnego muru, przy którym tak ciężko obraził kochaną dziewczynę, tyle razy brała go nieprzewycięzona prawie chęć zawrócenia się ku szynkowi Szlomy. Chęć tę przewyciężał wprawdzie czasem, ale na krótko. Zima była, roboty żadnej nie miał. I przyjemności żadnej nie miał, bo jedyna uczciwa i porządnie żyjąca rodzina, która go dotąd chętnie w domu swym przyjmowała, drzwi swe przed nim zamknęła. Nie miał też już swej dawnej fantaz]1 i pewności siebie. Spostrzegać zaczął, że dobrze pr° wadzący się robotnicy unikali go, a majstrowie mU'

jarSCy mijając go na ulicy pogardliwie albo szyderco na niego patrzali. Ambicji miał dużo i te oznaki ludzkiego lekceważenia bodły go okrutnie. Zwątpił całkiem o sobie, zaniedbał się; trzeźwym nawet będąc chodził w surducie poplamionym i wykrzywionych ajbo podartych butach. Trzeźwym będąc o Chlewiń-skich nigdy przed nikim, nawet przed matką, najmniejszym słowem nie wspominał i gdy kogokolwiek z rodziny tej na ulicy spotkał, przechodził prędko ze spuszczonej oczyma. Zośkę tylko starał się widywać z daleka i tak, aby ona go nie spostrzegła. Ujrzawszy ją, gdy biegła ulicą albo w klęczącej postawie modliła się w kościele, wpatrywał się w nią jak w tęczę rozkochanymi i żalnymi oczyma. Skoro jednak przypuszczał, że spostrzec go ona może, uciekał i krył się w bramę jakiego domu lub w ciemny kąt kościoła. Za to, ilekroć był pijany, o niczym więcej, tylko

0 niej... Na ulicach, w szynkach, w kuchni matczynej wykrzykiwał jej imię oświadczając miłość swoją dla niej i odgrażając się, że jej nikomu nie da, że ją sobie zabierze, ojca jej zabije, a ją zabierze, ją zabije, a nikomu innemu jej nie da. Zdawać się mogło, że wraz z wódką, pił myśl 0 tej dziewczynie i żal nad jej utratą i dopóki mu trunek z głowy nie wywietrzył, myśli tej i tego żalu wyrażającego się w formie oświadczeń

1 pogroźek pozbyć się nie mógł.

Teraz zresztą rzadko już głowa jego wolną bywała od dymu gorzałki. Gdy pieniędzy zarobionych przez lato nie stało, żądał on od matki, aby mu swoje oddawała. Raz, spełniając pogroźkę dawną, siekierą rozwalił jej kufer; innym razem usiłującą uspokoić go porwał za włosy i plecy jej obił pięścią. Gdy bił ją, ona ani nie jęczała, ani broniła się, tylko w zwykły sobie przeciągły i błagalny sposób powtarzała: „Cicho! cicho! cicho!” Pragnęła, aby to przynajmniej, że on ją bił, w tajemnicy przed ludźmi pozostało. Nazajutrz lub w parę dni potem rozrzewniona i już uszczęśliwiona widziała go leżącego u nóg swoich. Wyrzeźwi-Wszy się przypominał sobie czyn swój, do nóg matki

jak długi padał, stopy jej i kolana całując i wciąż poJ wtarzając, że teraz to już z pewnością amen, i z niego nie będzie. Ona go wtedy w ramiona brak jak dziecko kołysała i pocieszała, herbatą znowu p[^] ła i upewniała, że Pan Bóg zlituje się... On już w t0 nie wierzył; w możliwość zwalczenia diabła, który g0 opętał, nie wierzył. Całując i przeprasząc matkę płakał jak bóbr, a potem na dni kilka za piec włązi} Wylazłszy z za pieca czas jakiś wałęsał się po mieście! lub przesiadywał w kuchni ze skurczoną postawą i posępną twarzą... potem zniknął znowu, a powracając żądał od matki pieniędzy... pieniędzy...

Skąd ona miała brać tyle pieniędzy, ile on żądał i ich teraz od niej? Przeciagle i błagalnie szepcąc: „Cicho! cicho, synku! Cicho już! Cicho!” oddawała mu wszystko, co zarabiała i cokolwiek od kogo kiedy i otrzymywała, tak że przy końcu zimy zamiast trzewików, których nie miała już za co kupić, nosiła podarte kalosze, a na łóżku jej zamiast dostatniej pościeli, która niedawno jeszcze piętrzyła się na nim, pozostał tylko wór wypchany sianem i za kołdrę służąca dziurawa chustka. Wyglądała teraz strasznie. Wychudła bardzo i zarazem ociążała i jakby zgrubiła, podobną stała się do niezgrabnego i sennie poruszającego się słupa. Rzadko czesane i do reszty siwiejące włosy spod spłowiałej chustki bezładnie spadały na

pomarszczone czoło, zapadłe policzki i naga, kościstą szyję. Z tą postacią i z tymi włosami, w obłoconej u dołu spódnicy, podartych swych kaloszach i kaftanie wiszącym na niej jakby na słupie, miała sama pozór pijaczki. Wyglądałaby też na szkaradną czarownicę, gdyby nie te jej oczy spod brwi zsuniętych spoglądające na świat z bezdenną żalnością, i nie to od chwili do chwili łamanie rąk tak silne, że aż stawy w nich trzeszczały, i w którym czuć było mocowanie się z wewnętrznymi krzykami rozpacz. Nie tylko prze cież nie wydawała krzyków rozpacz, ale nigdy prz^ nikiem słowem najmniejszym nie poskarżyła się na syna. Nie broniła go już

wprawdzie wymyślany®*

19

historiami o pałacach i familiach, ale też i nie obwinią. Jak grób milczała.

Nadeszła wiosna. Po kilkodniowym siedzeniu za ojcem Michałek rzekł do matki.

— Pójdę starać się o robotę.

— Idź, synku, idź i niech Bóg Przenajświętszy dopomoże.

Nie miała już za co sprawić mu nowego odzienia i z żalnością zmieszaną ze wstydem ściagała go wzrokiem, gdy wychodził na ulicę łachmanami prawie okryty. Surdut miał na sobie poplamiony, czapkę brudną i buty tak podarte, że ledwie mu z nóg nie spadały. Poszedł, z dwoma majstrami się widział i roboty nie dostał. Jeden z majstrów przyjął go nie chciał utrzymując, że ma już dostateczną liczbę robotników, z drugim pokłócił się, bo mu się zdało, że pogardliwie z nim się obszedł. Nazajutrz wywłócił się znowu na miasto, mówiąc, że do trzeciego jeszcze majstra pójdzie. Ale ona wiedziała dobrze, że i ten trzeci na robotę go nie weźmie. Przez dzień cały zamyślała się nad czymś głęboko i widać było, że układała w głowie swej jakieś plany. Obiad zgotowała fatalnie, zamiast soli sypała do potraw cukier i odwrotnie. Gdzie jej tam było teraz myśleć o smaku zupy i sosów! Dziwiła się nawet temu, jak ludzie mogą dbać o takie rzeczy. Sama nic przez dzień cały w usta nie wzięła i tylko z twarzą okrytą czerwonymi plamami myślała nad czymś i coś w głowie swojej układała.*O zmroku zarzuciła chustkę na głowę i na miasto wybiegła. Skierowała się ku domostwu Chlewińskich, ale gdy przed bramą jego stanęła, nogi jej tak zadrżały, że aż na drewnianej ławeczce dla nocnego stróża tam umieszczonej usiąść musiała. Posiedziała chwilę, po czym wstała i na dziedziniec weszła. W głębi dziedzińca stał niski, ale dość duży dom drewniany, który Chlewińscy wynajmowali lokatorom różnym, spory dochód z tego mając. Sami Mieszkali w niewielkiej oficynie, naprzeciw której stały drwalnie i chlewiki, z przyczepioną do nich

—
220

drugą i także komuś wynajętą oficynką. Kilka tedy rodzin mieszkało na tym dziedzińcu, porządnym paN kanem i ładnie malowaną bramą oddzielonym od uli, cy miasta, nie należącej wprawdzie do głównych ale dość ludnej i często turkocącej kołami przejeżdżających dorożek. W bawialnym pokoju Chlewińskich, przyozdobionym kanapą, gięte krzeselka stały rzędem pod jedną ścianą, pod drugą politurowaną komodę okrywały różne tanie graciki, wśród których sterczały dwie świece stearynowe w posrebrzanych lichtarzach. Muślinowe firanki wisiały u dwu niewielkich okien zastawionych zielonymi roślinami, papierowe obicie w czerwone cętki okrywało ściany, podłoga była pomalowana na czerwono i bardzo czysta. Przed

kanapą dokoła stołu, na którym kipiał samowar i paliła się lampa, cała rodzina majstra piła herbatę, jedząc przy tym razowy chleb z masłem i wędzoną kielbasą. Gospodarz domu, bez surduta, w kamizelce i rękawach kolorowej koszuli siedział rozparty na kanapie, majstrowa stała przy samowarze, jedna ze starszych dziewczyn poiła herbatą najmłodszego braciszka, druga zatapiała się w jakiejś szydełkowej robocie, chłopcy w gimnazjalnych mundurkach siedzieli z obu stron ojca pożerając ogromne porcje jedzenia. Zośka trzymała na kolanach małą siostrzyczkę, która z kolei miała na swoich kolanach tłustego kota. Dostatnio więc, spokojnie i ludno było w tej skromniutkiej bawialni i razem jadalni; przez okno nie zasłonięte jeszcze okiennicami ukazywał się dziedziniec zieleniejący już marcową trawą i oblany światłem wschodzącego księżyca.

Jednak oprócz osób licznym kołem otaczających stół z samowarem i lampą była w pokoju tym jedna jeszcze kobieta, cień raczej kobiety, pokorny, cichy, z dala od światła lampy u pieca stojący. Dawniej, gdy wchodziła tu o tej porze, pani majstrowa witała ją uprzejmym kiwaniem głowy, pan majster zaczynał grubo trochę, ale przyjaźnie z niej żartować, panienki szczebiotały jak sikorki, a Zośka obejmo-

221
wała ja nawet za szyję i w oba policzki ucałowywała. Zapraszano ją do stołu i częstowano herbatą, a ona, dumna i wdzięczna, zaczynała gadać, gadać i śmiać się z całego swego uszczęśliwionego serca. Teraz zaledwie kilka kroków od drzwi postąpić ośmieliła się i nikt ją do zbliżenia się nie zapraszał. Stała przy piecu i z cicha przemówiła:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Wszyscy odpowiedzieli: „Na wieki!” i z daleka obojętnie głowami kiwnęli.

Chlewiński, na kanapie rozpostarty, zachmurzył się i zapytał:

— A czego chcecie?

Z cicha, pokornym i błagalnym głosem prośbę swą wypowiedziała. I choć majster z niechętnie wydeitych ust wnet wyrzucił porywczą, odmowną odpowiedź, nie odchodziła. Stała jak w ziemię wryta, oczyma dokoła pokoju wodząc. Pokój ten budził w niej dziś większe niż kiedykolwiek zachwycenie.

„Ot, dostatek — myślała — ot, spokojność świata, ot, raj! A ja myślała, że i on kiedyś taki dom i taki dostatek, i takie wszystko będzie miał”.

Usta jej wykrzywiły się jakby do płaczu, cicho załamała ręce i powoli, z trudnością mówić znowu zaczęła:

— Panie! Niech pan zlituje się! jemu nikt roboty nie da!...

— A niech go diabli wezmą! — sarknął majster. — Cóż mnie do tego? ja go znać nie chcę!

W pokoju zapanowało ciężkie milczenie. Wszystkim snadź obecność Romanowej przykrość sprawiała; nikt przecież! zgnębionej kobiety obrażać nie chciał. Ona stojąc niewzruszenie znowu oczyma po pokoju wodziła.

„Bożeż mój! — myślała — jednym ludziom na świecie tak, a drugim inaczej... Mnie zdawało się, że i ja kiedyś z nim razem w takim domu żyć będę...”

I znowu przemówiła:

Panie! żeby jego ojciec z grobu teraz wstał, położyłby się nazad do trumny.

Nikt nie odpowiedział. Majster niemiłosiernie targał swój srebrny łańcuch, majstrowa głośno sapła jedna z panienek podniósłszy twarz znad roboty, tośny wzrok na kobietę pod piecem stojącą zwróci}^ gimnazjaliści otwierali szeroko okrągłe swe oczy, Zośka pochyliła nisko głowę i czoło ukryła w puszystej sierści kota. Kobieta przemówiła znowu:

— Panie! czyż to już tak wszystko skończy się, On pić przestanie... jak Bóg jest na niebie, przestanie. Już ja nie taka, żebym jemu łatwo wierzyła, a wiem że teraz to już przestanie. Żeby tylko on u pana robotę dostał! On jednego pana kocha i wstydzi się... Taki robotnik... Niech pan zlituje się...

Taki robotnik! Była to słaba strona Chlewińskiego. Rzeczywiście, taki robotnik! Mocniej jeszcze targnął łańcuch swój, czuprynę dłonią rozczochrał. Chlewińska półgłosem do męża przemówiła:

— Żeby tylko do Zośki pretensji nie miał... to może by można było...

Ale w tej chwili Zośka z kolan swych siostrzyczkę wraz z kotem zsunęła, z krzesła zerwała się i z twarzą zalaną łzami przed ojcem na klęczki upadła. Ręce jego i kolana całując, głosem od płaczu przerywanym mówiła:

— Tatku! niech tatko zlituje się! On może poprawi się... tatku, to okropność, żeby on tak już przepadł... On pewno, tatku, pewno poprawi się... Niech tatko pozwoli jemu przyjść do nas... Niech tatko spróbu-je... - I

Aż zanosila się dziewczyna od płaczu, a była to ulubienica całej rodziny. Na łzy jej nikt tu obojętnie patrzeć nie mógł. Starsze siostry popodnosiły głowy i na ojca patrzyły, majstrowa jednego z gimnazjalistów, ulubieńca ojcowskiego, w ramię pchnęła.

— Nuże, Ignas, prosz ojca!... — a sama nalewała szklanke herbaty z zamiarem podania jej tej nieszczesnej... tej matce...

— Ej, tatku! — zawołał srebrnym głosem dwunastoletni uczeń — czy to tatko Pan Bóg, żeby ra°"

2

wiedzieć, czy kto p>oprawi się, czy nie poprawi! A jak przez tatke człowiek przepadnie, to co będzie? A? i Zośka-

Otóż to. Najważniejszą rzeczą było to, że Zośka ołakała i że łajdaczyna ten zdatnym był do roboty ialc sam diabeł. Ignas . miał rację. Nie darmo był on pierwszym uczniem w swej klasie. Czy to kto Panem gogiem jest, aby mógł wiedzieć, co z kim jeszcze będzie!

Podniósł pan majster głowę, córkę do piersi przygarnął i na kobietę stojącą u pieca daleko już łaskawszym okiem patrzył. Namyslał się jeszcze, nie mówił nic, ale po sposobie, w jaki poruszał wąsami, poznać było można, że rozrzewnionym czuł się. Nagle wszyscy podskoczyli na krzesłach swych, majstrowa krzyknęła: „Jezus Maria!", a majster: „Co to jest!" Zośka zerwała się na równe nogi z. twarzą bladą jak płótno, a stojąca u pieca kobieta drgnęła od stóp do głowy. Rękoma chwyciła się za głowę i z pokoju wypadła. Przyczyną tego powszechnego przestachu było gwałtowne zadzwonienie szyby rozbitej kamieniem, który na środku pokoju upadł. Zarazem gruby, ochryply głos na dziedzińcu krzycheć zaczął:

— Zośkę mi dajcie! czy słyszycie, wy...

I z ust człowieka w obdartym odzieniu zataczającego się po dziedzińcu posypał się na majstra i jego rodzinę grad obelżywych, karczemnych wyrazów.

— Kiedy ja ją kocham — krzyczał — to wy jej przede mną chować nie śmiecie! Ja taki sobie pan jak i drugi! Dziewczynę wezmę i po wszystkim, a kto »nie sprzeciwiać się będzie, u b i j ę, ot tak!

Pfzy ostatnich wyrazach drugi kamień w okno uderzył i druga szyba rozbiła się z brzękiem.

~~ Zośka! — krzyczał pijak — chodź tu do mnie!

a twój kochanek, a ty moja kochanka! Jak nie

Wyjdiesz, wszystkie okna powybijam, drzwi wyła-

j' °jca i matkę twoją ubij ę... a ciebie wezmę! szyba brzęknęła pod uderzeniem kamienia.

2

W domu majstra zrobił się popłoch nieopisany.

Zośkę siostry w najodleglejszym od dziedzińca p^j koiku chowały sobą ją zasłaniając, służące i dzieci płakały, majster z żelaznym kruczkiem do rozgrzebywania węgla ku drzwiom się porwał wstrzymywany przez sapiącą strasznie i rozszlochaną żonę.

— Zabije cię kamieniem albo ty go zabijesz ty^ żelazem i kryminal będzie! — obejmując męża ramionami, krzyczała.

Ignas wyskoczył z domu przez okno do ogrodu i p0. biegł po policjantów.

Na dziedzińcu zaś zgromadził się coraz większy tłum ludzi. Z głównego domu, z oficyny, z sąsiednich dziedzińców, hałasem i brzękiem tłuczonego szkła zwabieni, zbiegali się ludzie różnych płci, stanów i wieków. Przechodnie uliczni stawali przed otwartą bramą i przypatrywali się scenie, której szczególnie każdy wyraźnie oświecał blask księżyca. Wysoki człowiek, w podartej odzieży i bez czapki, z rozczochraną gęstwiną czarnych włosów, zataczał się tam krzyząc, łając, o dziewczynę jakąś wciąż upominając się i od czasu do czasu rzucając w okna kamienie z kieszeni surduta wyjmowane. Dwaj policjanci ze szpadami u boków ująć go usiłowali, ale on opiera! się im z siłą niepospolitą. Odpierał ich łokciami i oslepał uderzeniami w twarz, a nogą odpychał kobietę włóczącą się u stóp jego. Była to Romanowa, która z krzykiem okropnym do stóp mu upadła.

— Michałku! synku! zlituj się nade mną nieszczęśliwą, idź stąd, idź, idź stąd!

Kolana jego obejmowała. On zataczał się w różne strony dziedzińca, a ona za nim na klęczkach czol-j gała się za kolana go chwytając, ramiona ku nie®u podnosząc, na Boga Przenajświętszego i na prochy, -ojca go zaklinając, aby krzyżeć i bić szyby przeS j i szedł stąd sobie, szedł stąd sobie... gdziekolwiek,) i gdziekolwiek, byle stąd!... Potem sił jej już do m®! wienia zabrakło; pełznąć za nim i wciąż kolana J =>

obejmować usiłując szeptała tylko, a raczej bez tchu syczała:

__ Cicho! cicho, cicho! O Bożeż mój, Boże, cicho, synku, oj, cicho!

Jeden z policjantów, pięścią pijaka na ziemię obalony, z trudnością dźwigał się z ziemi, gdy nagle koła nowozu zatrzymały się przed bramą, ludzie rozstąpili się, na dziedziniec śpiesznie, choć z powagą, wszedł cZ}owiek w wojskowym ubraniu.

— Policjmajor! pan policjmajor! — zaszemrano w tłumie.

Przejeżdżający ulicą zobaczył tłum, usłyszał krzyki i jęki, wyskoczył z powozu, a teraz ujrawszy w oficynie, którą z bliska mijał, potłuczone szyby, podwładnych swych borykających się z człowiekiem jakimś i jakąś kobietę z jękami na klęczkach pełzającą po dziedzińcu, donośnym głosem, na pijaka wskazując, zawołał:

— Związać!

— Co! — rozmachując rękami i cofając się nieco krzyknął pijak — mnie związać! Niedoczekanie twoje! ty...

Romanowa zerwała się z ziemi i ramionami otoczyła go usiłowała.

— Synku, nie sprzeciwiaj się! — jęczała. — Synku, na rany Chrystusa Pana, milcz! wszak to generał, czy słyszysz? sam pan generał!

Było to dolanie oliwy do ognia. Zawsze po pijanemu odgrażał się, że gdyby sam generał zaszedł mu drogę, powiedziałby mu to i owo. Teraz w dodatku Pewnym był, że ten generał przyszedł po jego Zośkę.

— Paszół prócz! — krzyknął i rękę z kieszeni wyjął. Jeden jeszcze kamień świsnął w powietrzu, ale lym razem ugodził nie w szybę żadną, tylko w ramię wysokiego i urzędową czynność swą pełniącego urzędnika. W parę minut potem skrupowano mu ręce ' Cała gromada dziesiętników wiodła go do policyj-biura, a wkrótce powozem policmajstra w celu TM Wysłanym nadjeżdżał sędzia śledczy.

Orzeszkowa

w*TM n

226 |

Godzina nie upłynęła, księżyc oświecał jeszcze uij. ce miasta, gdy skrupowanego więźnia prowadzono ky miejscowej turmie. Przy dokonywanym w biurze policyjnym badaniu zrozumiał on, co uczynił, co s»| z nim stało, co go czekało, i wytrzeźwiał całkiem Przed wejściem w drzwi więzienne obejrzał się i dły. gim, żalonym spojrzeniem ogarnął kobietę, która z chustką zsuniętą na plecy i głową odkrytą, jak grób milcząca szła przez całe miasto za gromadą wiodą, cych go policjantów. Popatrzał na nią, pokiwał głową i łagodny już jak baranek wszedł do więzienia, a ona na ciężkie i żelastwem skrzypiące drzwi, które zamknęły się za nim, rzuciła się z takim rykiem płaczu, że nawet pozostali na ulicy policjanci, litością zdjęci, długo odpychać ją od nich nie śmieli.

W kilka miesięcy potem na mocy odnośnych arty- ! kułów prawa za czynną obelgę wyrządzoną wysokiemu urzędnikowi w czasie pełnienia przezeń urzędowych czynności Michałka wysłano do rot aresztanc-kich na lat pięć.

Jednak i po upływie tych lat pięciu nie wrócił on już do Ongrodu. Co się z nim stało? Nie wiadomo. Zjadł go zapewne całkiem wilk miejski.

Romanową bardzo nieprędko potem raz jeszcze widziałam. Siedziała w kruchcie kościelnej na ceglanej podłodze, z czerwonymi piętami wyglądającymi ze szmat, którymi owinięte były jej nogi, z grubym kijem u nóg leżącym, w łachmanach. Zupełnie podobną była do innych starych żebraczek, które tam zazwyczaj przesiadywały, i tym tylko wyróżniała się pomiędzy nimi, że oczy jej zza opadających na nie pasem białych włosów wyglądały jak dwie krwawiące się rany. Wypalił je ogień kuchenny i wygryzły lzy-Zresztą w kruchcie kościelnej mróz ją

piekło, wilg^oż dławiała, koleżanki-żebaczki pięściami w bok, a kijami w pokaleczone nogi ją uderzały...

227

Hej! hej! jakże daleko za nią pozostała ta droga oocztowa, po której w dniu zimowe jeździła, gdy słońce świeciło, pole było białe, niebo błękitne, dzwonek dzwonił, konie po śniegu biegły czach-czach, czach-czach, a mąż jak młody dąb na saniach stojący zwracał się ku niej z troskliwym pytaniem: „Ewka! czy ci nie zimno?” W wielkim mieście wielkich Niemiec Joanna Lipska codziennie przechodziła około gmachu, którego front teraz właśnie rozszerzano i przyozdabiano, najlżejszej uwagi na niego nie zwracając. Wielkim było państwo i wielkim zbudowany przez nie gmach sądowy. Cóż ona z potężnymi wielkościami tymi mieć mogła wspólnego? Wiedziała, że w tych obszernych ścianach porzniętych szeregami wielkich, jasnych okien rozstrzygają się losy tych, którzy wiodą majątkowe spory lub popełniają występki i zbrodnie. Majątkowych sporów ona mieć nie mogła nie mając żadnego wcale majątku, gdyby zaś kiedykolwiek nasunęła się jej myśl, że może być obwinioną o popełnienie zbrodni, wprost parsknęłaby śmiechem. Ale myśl ta nie nasunęła się jej nigdy i nigdy wielki gmach sądowy nie zwrócił na siebie szczególnej jej uwagi. Był on tak wielkim, a ona była tak mała ze swym skromnym nazwiskiem, ze swym zupełnym ubóstwem i ze swą szczupłą, dziewiczą kibicią. Nosiła zawsze czarną wełnianą suknię i czarny kapelusz, ani ozdobny, ani modny, lecz spod którego widać było gęstwinę ślicznych włosów tak prawie jasnych jak len, gładkich i lśniących nad czołem, w prosty, ciężki warkocz zwiniętych z tyłu głowy. Cerę twarzy miała bladawą i często zmęczoną, małe, różowe usta i wielkie, szare oczy, które kryształową swą przezroczystością przypominały czasem oczy dziecięce. Młoda była i niewątpliwie ładną, lecz każdy znawca ludzi poznałby w niej od razu jedną z tych dziewcząt, w każdym mieście licznych, które nie bawią się i nie stroją nigdy, jadają niewiele, oddychają powietrzem wąskich ulic i ciasnych izdebek. Taki sposób życia tamuje rozwój wdzięków i zarazem ukrywa je przed ludźmi. Nie pielęgnowane i nie uwydatniane, kwitną one ado i więdną niepostrzeżone, jak kwiaty, które zdroniaty i spłowiąły w cieniu; zaćmiewa je i zasłania Często łopuch byle jaki, lecz wygodnie i pysznie rozstający się w blasku słońca. Dziewczyna z lnianymi 0sy i delikatną, dziewiczą kibicią byłaby może

230

i bardzo ładną, gdyby miała cerę świeższą, swobodniejsze ruchy, świetniejszy strój, gdyby na koniec chciała i umiała rzucać się ludziom w oczy śmiało, zalotnie. Ale widoczne było, że czynić tego nie chciała i nie umiała. Błada i przywiędła, z ulicznym gminem zmieszana, w swojej wiecznej czarnej sukience szła ona ulicami miasta śpiesznie, z kibicią trochę naprzód podaną, z czołem trochę pochylonym, a drobne i kształtne jej stopy w grubym, brzydkim obuwiu prędko, prędko, bez względu na grację ruchów stąpały po nierównych kamieniach chodnika. Teraz codziennie zeskakiwać musiała z chodnika i okrążyć mularskie rusztowania wzniesione u ściany sądowego gmachu. Raz tylko podniosła głowę, popatrzała na robotników pracujących u szczytu rusztowania, popatrzała chwilę i pobiegła dalej. Pomiedzy nią a tym gmachem wielkim i napełnionym posepnymi dźwiękami sporów i zbrodni cóż wspólnego być mogło?

Nikt a nikt nie zwrócił był na to uwagi, ale to pewna, że przed niedawnym czasem wyraz jej twarzy bywał bardzo smutny i stroskany, a czarna suknia oszyta u dołu białą taśmą. Nosiła żałobę po ojcu i ciągle myślała o tym, że powinna koniecznie znaleźć sobie sposób zarabiania na życie, aby nie obciążać sobą ciężkiego życia brata. Była to myśl pozioma i prozaiczna, niemniej rysująca często głęboką zmarszczkę na jej młodziutkim czole. Cierpiała wtedy bardzo i dużo myślała, nie tylko nad sobą, ale czasem nad całym światem i różnymi jego urządzeniami. Czasem także wyglądała tak, jakby wstydziała się czegoś, i wtedy jej oczy zdawały się pokornie prze* mawiać do ludzi: „Przebaczcie mi, że istnieję!”

Dopóki żył stary ojciec, wiedziała, że żyje dla niego, a także nie znała nędzy. Teraz chodziła po świecie z nieustanną myślą: I

„Na co ja komukolwiek czy czemukolwiek przydać się mogę?”

Często bywała głodną i miewała podarte obuw

231

itr[^]śląc o kawałku chleba czy bułki albo o całych trzewikach, myślała zarazem:

„Wszakże biedny Mieczek sam nie ma zawsze kawałka mięsa i koszule jego drą się już w kawałki!... A tu ja jeszcze siedzę mu na karku!”

Była to troska pozioma, prozaiczna, przyobleczona w głowie dziewczyny w formę trywialnych słów; niemniej ilekroć nikt jej nie widział, drobne jej ręce załamywały się rozpaczliwym ruchem, łzy młode, więc rześiste, opływały policzki, a drżące z żalu usta szeptały pytanie:

— Na co ja komukolwiek czy czemukolwiek na świecie przydać się mogę?

Miała znajome i rówieśnice, które w -takim samym, jak jej, położeniu żyły sobie zupełnie spokojnie, a niekiedy nawet i wesoło. Zręcznie i chciwie chwyciły one drobne, codzienne przyjemności życia, karmiły się nimi, oczekiwały lepszej przyszłości, nie rozglądały się po świecie i nie oglądały się na nikogo — było im dość dobrze. Ona tak nie mogła. Dlaczego? Może sama natura stworzyła ją nieco inaczej, może naturze dopomogły w tym rozmowy usłyszane, książki przeczytane, widoki tych i owych istnień sąsiednich, trochę wiedzy przelanej w jej głowę z ust ojca, który niewiele przed wydaleniem się swym z tego świata wydalony został z posady nauczyciela miejscowej szkoły męskiej. Gdyby był dłużej posadę tę zachował... a! wcale inaczej działałoby się teraz z dwojgiem jego dzieci. Ale zachować jej nie mógł. Dlaczego? Da-leka przyszłość zdumiewać się nad tym będzie: tymczasem wszyscy to łatwo odgadną. W sile wieku usłyszał, że nie ma prawa pracować tak, jak chciał i umiał, ani pożywać owoców swej pracy. Może już Przedtem cierpiał wiele i zdrowie sterał. Na miejskim cmentarzu nie otworzy się już mogiła i nie wyjrzy niej przedwcześnie osiwiła głowę pedagoga z za-[^]rwienionymi od pracy oczami i wielką chmurą arszczek, którą na czole jego złożyły nie lata, lecz na chwila, ta, w której mu w ścianach szkoły po-

232

wiedziano: „Idź stąd precz!” Poszedł, a gdy tyłk0 zniknął, przed córką jego stanęły znaki zapytania: Co czynić? Pozostać z bratem? gotować mu obiady, na. prawieć jego bieliznę, wieczorami czytywać mu książ. ki rozrywające po pracy biurowej w landraturze? * Wszystko to czynić chciała i umiała, niczym z tego nie gardziła, lecz ta jego biurowa praca... Zaledwie na wyżywienie i przyzwoite odzienie dla jednego

starczy, na koniec, choć gotowanie obiadów, zamiatanie mieszkania, naprawianie bielizny nie były dla niej robo-tami trudnymi ani upokarzającymi, ale dusza jej zaspokoić się nimi nie mogła, jak płomyk wiła się w jej piersi, buchała w górę, rwała się wyżej... Pomimo trosk i zatrudnień bardzo poziomych miała ona, ta młoda dusza, poezję swoją i ambicję. Pragnęła czynić coś i czymś być.

Dość długo Joanna biła się z różnymi myślami i zamiarami, aż dnia pewnego wbiegła do małej swojej kuchenki widocznie wzruszona. W rękę trzymała kożas z bielizną, którą do maglowania niosła. Pomimo że był dość ciężki, prędko wbiegła po wąskich i stromych wschodkach i z łatwością postawiła go na stole. Szczupła i blada, miała jednak siłę organizacji nerwowych i czynnych. Postawiwszy kosz na stole pozostała nieruchomą i zamyśliła się. Stała na podłodze z desek grubych i sterczących czarnymi głowami gwoździ; nad nią zwisał sufit niski, belkowany, ciemny od pyłu i dymu; pod czterema ścianami oklejonymi lichym i pstrym obiciem stało parę stołów i ław drewnianych, szafka z kuchennym i kredensowym naczyniem, łóżko zasłane szczupłą i białą jak śnieg pościelą. Tu sypiała; pokój przyległy służył za sypialnię i pracownię jej brata i było to już całe ich mieszkanie znajdujące się na tak zwanej salce, czyli górnym pięterku domu, który wyglądał zupełnie tak, jakby wzór jego dokonany został przez pięcioletniego architekta za pomocą ustawienia z siedmiu kafel

•Lardatura (z niem.) — starostwo.

233

dwóch trójkątów u dołu a jednego w górze. Takie górne trójkąty domków miejskich zawierają w sobie najtańsze mieszkania, dlatego Lipsyccy zajęli je po śmierci ojca. Na dole znajdował się szynk ze sklepikiem od ulicy a wąskimi drzwiczkami od dziedzińca i mieszkała rodzina właściciela szynku. Dziedziniec roił się od mieszkańców różnej płci i wieku.

Promień zachodzącego słońca wnikający przez maje okno oblewał złotem głowę stojącej nieruchomo dziewczyny, a na czarnej jej sukni nielitościwie odkrywał starannie zacerowane rozdarcia. Splecione ręce zwiesiła na suknię, powieki miała spuszczone i na ustach marzący uśmiech. O czym z- taką rozkoszą marzyła? Czy o tanecznym wieczorku jakimś? O nowej sukni z wesołą, jasną barwą? Może o czułym słówku albo ognistym spojrzeniu kochanka?

Obudziła się z zamyślenia swego, podniosła twarz i głośno klasnęła w ręce. Był to gest radości. Z dziecinną też prawie radością poskoczyła z miejsca i uchyliła drzwi sąsiedniego pokoju. Tu jednak palec do ust przyłożyła i sama siebie upomniała:

— Cicho!

Potem cichutko znowu samą siebie zapytała:

— Śpi czy nie śpi?

W pokoiku przybranym w dość liczne, ale staroświeckie i ubogie sprzęty na twardej kanapie leżał młody mężczyzna średniego wzrostu, uderzającej chudości ciała, z twarzą ściągłą, dość ładną, ale której białość niemal papierowa raziła pozorem niezdrowia i martwoty tym przykrzej, że odbijała od krótkiego, czarnego zarostu i okrywających oczy okularów. Niegdyś Mieczysław Lipski był dzieckiem zdrowym, choć zawsze trochę powolnym i nieśmia-tym, ale trwało to krótko. Miał lat szesnaście i ukoń-czył pięć klas gimnazjalnych, kiedy cera jego nabierać zaczęła tej przykrej monotonnej, papierowej białości, ręce wychudły, ruchy zleniwiały; bolące

oczy z porady lekarza okryto mu wtedy, jak starcowi, c'emnymi okularami; odtąd nigdy już ich nie zdejmó-

234

wał. Szkołę porzucił, do rzemiosła był za słaby — Za, czał pracować w biurze landratury. Kariera jego by}a złamana na zawsze. Dlaczego? Nikt sobie o tym dokładnej sprawy zdać nie mógł. Po prostu uległ by} naciskowi czegoś niewidzialnego, ale przecie istniejącego — gdzie? w szkole? w domu osmuconym dymisją ojca? czy w sposobie życia ubogiej rodziny? czy w moralnym powietrzu, którym oddychało to miasto? Można by dociec, lecz trudno dociekać...

— Czy śpisz, Mieczku? Mieczku, czy śpisz?

Nie spał już, usłyszał ciche zapytanie siostry i, jeszcze niewyspany po ciężkiej pracy, biedny kancelista landratury leniwie wyciągając się na kanapce wydobył z gardła wzajemne, nieokreślone, gapiowato brzmiące pytanie:

— Ha?

Potem, podniósłszy się nieco, oba ramiona w całej ich długości w górę wyprężył i głośno poziewając, dopóty usta szeroko otwierał, dopóki mu ich nie zamknął prawdziwy grad pocałunków. Śmiejąc się głośno i mocno całując brata w usta, policzki, czoło, Joanna wołała:

— Mam już, Mieczku, mam! mam, czego chciałam! Znalazłam!

Leniwie, obojętnie, ale bardzo łagodnie uwolnił się z jej objęcia i przewlekłym, nosowym trochę głosem zapytał:

— No, cóż tam takiego? Istna wariatka z ciebie! Co znalazłaś? Pieniądze czy co? Poważniejąc nagle, odpowiedziała:

— Zajęcie.

Kancelista wyprostował się całkiem, zdjął okulary, wytarł je chustką, włożył na powrót i zza ciemnych szkieł zaczerwienionymi, mrugającymi oczami patrząc na siostrę zapytał: *

— Jakie? A pieniądze czy 3 tego będą?'

Joanna stała o parę kroków przed nim i opowiadała mu po raz pierwszy wszystkie troski i zmartwienia" którymi dotąd daremnie zasmucać go nie chciała. Nie-
235

dawno powzięła już była zamiar wyjechania gdziekolwiek na początkującą nauczycielkę, bonę, zarządzający wiejskim jakim domem... gdziekolwiek i na cokolwiek, byleby już raz coś z sobą zrobić, coś rozpocząć... Ale wahała się. Sama nie wiedziała dobrze, do czego zdatną być może, bo uczyła się tylko w domu, niewiele... To, co umie, umie dobrze, sam ojciec przecież ją uczył... ale niewiele... Przy tym tak jej było żal rozstawać się z bratem! Dwoje ich tylko na świecie, a on często niezdrów bywa- i jej starań potrzebuje... ^

Tu w szarych oczach opowiadającej zakreśliły się jzy, lecz wnet zniknęły. Dziś spotkało ją wielkie szczęście. Rożnowska, właścicielka magła, kobieta dostatnia i położenie jej znająca, zapytała ją, czyby nie chciała uczyć jej wnuczek, dwóch niewielkich dziewczynek, bardzo mądrej nauczycielki jeszcze! nie potrzebujących. Naturalnie, propozycję tę z wdzięcznością przyjęła. Małe Rożnowskie przychodzić do niej będą na lekcje, bo tam, przy turkocie i zawierusze magła, uczyć się nie sposób. Ale to tylko początek. Rożnowska przyrzekła, że zarekomenduje ją jakiejś

swojej znajomej, która na tej samej ulicy ma dwa domy i chłopca, którego chce do szkoły przygotować. Chłopiec ten przyjaźni się z wnuczkami Rożnowskiej i razem z nimi na lekcje przychodzić będzie. Ale i to tylko początek. Byle zacząć! Ten duży Kostuś na przykład, syn tego ślusarza, który wiecznie w szynku siedzi i pije, a którego matka zabija się praniem bieleziny, już ma dwanaście lat, a czytać jeszcze nie umie i często za ojcem do szynku wsuwać się zaczyna. Matka nad tym chłopcem ręce łamie i gdyby go ktokolwiek chciał uczyć i od złego odwodzić, choć uboga, wynagrodziłaby to wedle możliwości... Jest jeszcze w perspektywie dziewczynka tego mularza, który im w tym roku piec naprawiał i córkę z sobą czasem Przyprawdzał, i malutka Mańka, córeczka stróża, której też wkrótce pora będzie uczyć się czegoś. Wlek. Dzieci te zna już ona dobrze, Dużego Kostusia

236

nieraz do swej kuchenki przyprowadzała i rozczochraną jego głowę zanurzała w wodzie i szorowała mydłem, po prostu piorąc tego chłopca, tak jak jego matka pierze bieliznę. Ten śmieszny Kostuś, taki duży barczysty, z wielką głową, chodzi zawsze zgarbiony a stąpa tak ciężko, aż drży podłoga; łobuz też z niego ulicznik, wódkę już lubi, a jednakże dla niej łagodny jak baranek, daje się myć, czesać, napominać... Pewna jest, że można będzie tego chłopca od ulicy i szynku wyratować; co się zaś tyczy tej malutkiej Mańki, to od dawna już przepadają obie za sobą...

— Ty zresztą wiesz, Mieczku, że ja w ogóle za dziećmi przepadam... Nie wiem dlaczego, ale tak jest. Może to po ojcu... Ot, myślałam i — wymyśliłam. Rożnowska mi pomogła... Ale to tylko początek. Ziarnko do ziarnka, zbierze się miarka, a później... później...

Wszystko to mówiła z wielkim i coraz większym zapałem; w ciemnym pokoju, z oknem od północy, żaden promień słońca nie padał na nią, a jednak na czole jej mknęły widoczne blaski i rumieńcem wezbranego życia staczały się na policzki. Mieczysław siedział prosto i sztywnie, zza okularów swych wpatrując się w nią nieruchomo. Nieruchome też były rysy mizernej i sennej jego twarzy i trudno byłoby odgadnąć, czy to, co mówiła mu, sprawia na nim jakiegokolwiek wrażenie, czy też żadnego wcale nie sprawia. Tyle tylko, że oczu nie spuszczał z ożywionej jej twarzy i że chude palce długich i białych jego rąk, które wsparł o kolana, coraz żwawiej bębniły po wytartym suknie ubrania. Gdy Joanna mówić przestała, przewlekłym swym, nosowym głosem powtórzył za nią:

— Później... Później!...

A potem szczególnym ruchem, zakłopotanie czy żarliwość oznaczającym, wsuwając szyję w krochmalny kołnierz koszuli nie bez wahania się zapyta:-

— No... cóż... takie dalekie projekta układasz... a za męża wyjść nie myślisz?

237

Wzruszyła ramionami.

— Wątpię, aby to kiedykolwiek stać się mogło.

Wiesz o tym, że nikogo prawie nie znamy, nigdzie nie bywamy... jakżeby więc? jakim sposobem? Zresztą, może... ale spuszczać się na to nie mogę...

Z szyją wciąż w kołnierz wsuniętą i podniesioną nieco głową brat wpatrywał się w nią jak i wprzódy, tylko po wąskich jego wargach, czarnym wąsem ocienionych, przewijało się coś na kształt żartobliwego uśmiechu.

— No... — zaczął znów — a ten... doktor?

Tym razem Joanna zarumieniła się i ze zdziwieniem na brata spojrzała. Jak to! więc odgadł on w niej to, o czym nigdy przed nikim ani jednego słowa nie wymówiły jej usta! On, tak obojętny i senny, musiał jednak pilnie na nią spoglądać, kiedy mógł, nie wiedzieć z czego, z oczu jej chyba, z gry rysów odgadnąć... Zresztą, nie było tu o czym mówić. Nie było tu wcale ani romansu żadnego, ani nawet jego przypuszczenia. Ot, tak jakoś serce uderzyło żywiej. Musiało przecież kiedyś żywiej uderzyć młodym będąc, ale zresztą milczało, bo nie było w nim nadziei.

Rumieniec zgasł na twarzy Joanny, oczy jej i usta przybrały wyraz szczególnej powagi. Po chwili milczenia ciszej niż przedtem mówiła, odrzekła:

— Mój Mieczku, ty wiesz dobrze, że byłyby to dla mnie marzenia zbyt wysokie... Doktor Adam był dla nas bardzo dobrym w czasie tak długiej choroby ojca... i powiem ci szczerze, że wydaje mi się on ideałem człowieka. Ale właśnie dlatego, że tak jest, wiem dobrze, że nie myśli on o mnie i nie pomyśli nigdy...

Pochyliła głowę i dokończyła cicho:

— Tylko widzisz... miasto nasze takie ciasne... ludzie tu wszystko jedni o drugich wiedzą i czasem spotykać się ze sobą muszą... więc chcę, aby on wiedział, że ja... wiem dobrze, iż między nami nic nigdy nie będzie, ale chcę... aby wiedział, że zasługuję przynajmniej na jego szacunek...

238

Podniosła twarz i przez szybę okna patrzyła w górę, wysoko, jakby w niedoścignionej oddali widziała jakąś tęczę idealną, która zawisała nad szarym jej życiem. Mieczysław wydobyl szyję z krochmalnego kołnierza i spuścił głowę. Palce jego bębniły wciąż po kościstych kolanach, usta nieco się rozwarły. Trudno byłoby powiedzieć, czy smutnym czuł się, znudzonym albo jeszcze sennym. Nagle zapytał: — No, a ileż ci płacić będą?

Joannę zapytanie to obudziło natychmiast z zamyślenia czy marzenia. Natychmiast górną, rozwiewaną swoją tęczę opuściła dla spraw powszednich, które miały dla niej ogromne znaczenie. Wesoło znowu powiedziała bratu, że zarobek jej będzie niewielkim, jednak w ich wspólnym życiu zaważy wiele. Zresztą, to tylko początek... ziarnko do ziarnka, zbierze się miarka, i później, później...

Mieczysław wstał. Prosto, sztywnie postąpił kilka kroków, phude swe ramiona w wytartych rękawach zaokrąglił dokoła kibici'siostry i mocno ją kilka razy w czoło pocałował. Ona skoczyła mu na szyję. Uradowana była i zdziwiona. Objawy czułości bywały u niego tak rzadkie, że takiego, jak teraz, prawie nie pamiętała. Potem dopiero, gdy wzięwszy czapkę wyszedł do biura, a ona pogrążona w myślach sama jedna siedziała w kuchence, po głowie jej przemknęło: „Czy on tak rozczulił się dla mnie z powodu tego przyszłego zarobku? Więc o niczym więcej nie pomyślał, tylko o pieniądzach!...”

Jednak tego wieczoru smutne myśli prędko od niej uciekły. Przy zapadającym zmierzchu z dołu, spod podłogi, wzbijać się ku niej zaczęły wciąż głośniejsze, niesforne gwary, stukania, krzyki. Była to chwila, w której, gdy światło dnia usypiało, budził się i życie swe rozpoczynał szynk. Jakby odgłosy tego nocnego, podziemnego życia z miejsca ją poderwały, Joanna zerwała się z ławki i szybko zbiegła na dziedziniec-Biegła ku mieszkaniu ślusarza-pijaka i żony jego, pr®" czki.

Po drodze sukni jej uczepliła się dziewczyn[^]

a

239

malutka, bosa, puciołowata, rumiana i z kaczymi ruchami obok niej biegnąc, razem z nią zniknęła za drzwiami ciemnej sionki. Gdy po upływie dość długiego czasu wyszły obie na dziedziniec, za nimi ukazał się ślusarz, człowiek barczysty, z twarzą obrzękłą od pijaństwa, załzawionymi oczami i wielką, rozczochraną czupryną nad wąskim czołem. Z ubrania i całej postaci jego wiał nieporządek przyzwyczajęń, nie był jednak dnia tego pijanym, tylko czegoś uradowanym i rozrzewnionym. Za progiem mieszkania swego pochylił się i schwyciwszy rękę Joanny z całej siły swych warg ją pocałował. Jednocześnie duży Kostuś, barczysty, ciężki, cały w grube płótno odziany, bosymi stopami ciężko o kamienie uderzając, z dzbankiem pełnym wody pobiegł na schodki prowadzące do mieszkania Lipskich. Od dość dawna już oddawał on czasem Joannie różne gospodarskie przysługi. Rzecz dziwna! Dwunastoletnie to dziecko miało już czoło zmarszczone i patrzyło na ludzi spod brwi, nieufnie, czasem przebiegle i ze złością. Matka, zapracowana i wiecznie zgryziona, często łajała go i nawet biła; ojciec, który przepadał za nim, przynosił mu z szynku niedopałki cygar i obwarzanki cuchnące wódką; zdrojem zabawy, rozkoszy i poznania życia był mu — szynk. Jednak od niedawna to stare dziecinne serce po raz pierwszy może rozkwitło uczuciem innym niż uczucie krzywdy, bojaźni, bosych nóg i karczemnych wrażeń. Nigdy w życiu nie widział tak ślicznej panienki, jaką w oczach jego była Joanna, i nie słyszał ani tak łagodnego głosu, ani tak ciekawych powiastek jak te, które opowiadała mu ona, ilekroć gotowała obiad lub naprawiała bieliznę, a on dopomagał jej, w czym mógł, albo przy ścianie kuchenki siedział na ziemi, obejmując ramionami swe | Podniesione kolana i patrząc na nią już nie spod brwi 1 dziko, lecz śmiałym, roztropnym wzrokiem. Odkąd [m> powiedziała, aby był dobrym dla malutkiej Mań-I S1> nie bił jej nigdy, nie szczypał i nie straszył, bar-, często widzieć ich można było trzymających się

240

za ręce i z powagą przechadzających się po dziedzińcu. Często też wstępowali w ten sposób na wschodki i wchodzili do kuchenki Lipskich.

W kuchence bywało potem codziennie bardzo gwarno. Zza cienkiej ściany górnego pięterka domu wychodziły na zewnątrz cieniuchne głosy dziecięce, bąkające:

— A... b... c..., A... b... c...

Inne, starsze nieco, prawily:

— Pszczoła, acz mała, pożytecznym jest owadem. Ma cztery skrzydełka, sześć nóżek, dwa różki i żądło...

Albo:

— Pięć razy sześć trzydzieści... cztery od dziesięciu — sześć itd.

Duży Kostuś okazał się szczególnym wielbicielem kaligrafii. Nic mu się tak bardzo nie podobało, jak wodzenie piórem po papierze, to słabiej, to mocniej, i gdy tylko zaczął już pisać litery, formalnie lubował się swymi arcydziełami. Joanna sama ułożyła dla niego kaligraficzne wzory. Miała w tym swój cel. Chłopiec zakreśliwszy całą stronicę brał papier w obie ręce, szerokie plecy w płóciennym spencerze garbił nad stołem i głośno, z tryumfem, z prawdziwą rozkoszą odczytywał swoje pisanie:

— Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło... Choć ubogo, ale chędogo... Pieczone gołąbki nie wpadają do gąbki...

W porze owej Joanna nigdy już nie bywała smutną. Nawet gdy szła ulicami miasta, można było spostrzec w ruchach jej i wyrazie twarzy znaczne zmiany. Wyglądała różnie, zdrowiej i pogodniej. Obuwie jej nie było już nigdy podarte ani suknie tak zniszczone. Odkwitła. Zdobycze jej były bardzo małe, ale wiadomo, że pojęcie wielkości i małości jest na tym świecie niezmiernie względne. Dla niej drobiazgi te byty prawie zbawieniem. Od jednych otrzymywała małe kwoty pieniężne, inni wynagradzali ją inaczej, jak mogli. Praczka bezpłatnie prała ich bieliznę; mularz-

841
posiadający obszerny ogród, przynosił im warzywa i Owoce; mieszkający naprzeciw piekarzowie w dodatku do miesięcznego rubla przysyłali co dzień małą bułkę chleba; stróż domu darmo drzewo na opaf rąbał, a czasem to i owo na rynku kupił i przyniósł w prezencie panience, która dla jego małej była tak dobrą... Jakże zdziwiła się, gdy spostrzegła, że nawet pijak-ślusarz płacić jej pragnął monetą innej wprawdzie natury, ale która niemniej posiadała dla niej cenę wysoką. Ilekroć wracając z miasta wchodziła na dziedziniec, człowiek ten, nie wiedzieć skąd, zjawiał się także. Czy ujrzawszy ją przez okno wypadał z szynku lub wysuwał się z za węgła domu, u którego próżniaczo godzinami przesiadywał, lub w lepszych dniach swoich przerywał ślusarską robotę i wychodził ze swego mieszkania, dość że zawsze, nieodmiennie, z zegarkową regularnością gęsta czupryna i niskie, ciemne czoło pochylało się przed nią, a żółte, obrzękłe wargi wyciskały na jej rękę głośny, przeciągły pocałunek. Był to w gruncie rzeczy obrzydliwy pocałunek pijaka, którego ślady bezwiednie prawie i co najprędzej ocierała z ręki, który jednak brylantem wpadał do jej serca. Jak brylanty, radością świeciły jej oczy, gdy przyniosła i pokazała bratu pół tuzina śnieżnych nowych koszul, którymi zastąpiła tamte... drące się w kawałki. Tego dnia także do czarnego zawsze swego kapelusza przypięła gałązkę sztucznych kwiatów... Teraz na ludzi patrzyła śmiało i spokojnie; ale był w mieście jeden szczególnie człowiek, z którego spojrzeniem, ilekroć spostrzegła go, spotkać się pragnęła, chociaż usiłowała o tym nie myśleć. Był on dla jej ojca bardzo dobrym w czasie długiej jego choroby, widywała go wtedy często, buchała rozmów, które z uczonym pedagogiem u-Przejmie prowadził — potem przybył na pogrzeb 1 gdy chwiejąca się szła za trumną, rękę jej oparł swoim ramieniu. I nic więcej pomiędzy nimi nie ale ona o tym nigdy nie zapomniła. Teraz wiewała go tylko na ulicy, z daleka, gdy zgrabnym

5 - Orzeszkowa

242

jednokonnym powozikiem objeżdżał domy swoich pa_ cjentów. Ilekroć spostrzegł ją, kłaniał się grzecznie Nic więcej. Jednak w jej sercu struna jakaś uparła się drzeć przy każdym jego spotkaniu i śpiewać jej o nim w godzinach ciszy. Powiedziała sobie: „Niepodobna!” Ale nikt już więcej nie sprawiał na nią najlżejszego wrażenia, a czasem w nocy księżycowe po dniu pracy spoczywając, lecz jeszcze nie śpiąc) przez szyby małego okna patrzyła w górę, wysoko... To wielkie szczęście, o którego zdobyciu nie marzyła, wydawało się jej wtedy tęczą idealną, w niedoścignionej oddali zawieszoną nad szarą ziemią...

Czasem też wyobrażała sobie, że jest drobnym robaczkiem uwijającym się, ile tylko sił starczyło, u podstaw wyniosłej, aż niebotycznej budowy. U podstaw. Wyraz ten gdzieś słyszała, czytała. Otóż była tam teraz. Wyżej promiennie było i świetnie. Ludzie tam dźwigali i kuli marmury drogocenne, ściągali z nieba promienie słońca, szukali klejnotów, świat i siebie stroili w blaski. Ona razem z mnóstwem podobnych sobie maluczkich istot zbierała w cieniu drobne pyłki, ale tak zupełnie poprzestawała na tym, że przed jej wyobraźnią przyszłość stawała pogodna, pełna i nawet z owej górnej tęczy nieznanego i na zawsze niemego uczucia nie spadała na wargi jej żadna kropla goryczy, tylko spływało czasem trochę tęsknoty i smutku...

Często w późne wieczory bezecne pieśni, ohydne śmiechy, niesforne tupoty i stuki szynkowe z dołu, spod podłogi, buchały w ciemną lub oświetloną księżycem kuchenkę. Dziki ten hałas unosił się wtedy nad białą pościelą, nad myślami, marzeniami i dziecięco czystym, cichym snem Joanny.

Chociaż uczyła dość znaczną liczbę drobnych dzieciv nie przestała przecież zajmować się pilnie mały® gospodarstwem swoim i brata. Dlatego codziennie,

243

raz albo i dwa razy na dzień po prowizję i różne sprawunki wychodziła do miasta. W tych wycieczkach najczęściej mijać musiała z bliska wielki gmach sądowy, ale nigdy na niego najmniejszej nie zwracała uwagi- Był on tak wielki, a ona była tak mała! Rozległe wnętrze jego napełniały odgłosy sporów i zbrodni, cóż więc mogła ona mieć z nim wspólnego? Jednak — jakim sposobem się to stało, trudno dociekać — pewnego dnia weszła do jednej z sal tego gmachu i wskazano jej zaraz miejsce, które miała zająć. Była nim ława oskarżonych. Nigdy potem nie potrafiła zdać sobie sprawy, jakim sposobem przebyła tłum i doszła do tego miejsca. Zdawało się jej wtedy, że wszystka krew zbiegła się do jej głowy, kipiała tam, szumiała, jęczała, paliła w policzki i czoło jak rozpalone żelazo. W oczach jej ludzie, ściany, sprzęty mgliły się i mąciły tak, że dokoła siebie widziała tylko jakąś pstrą, migotliwą masę. Gdy rozpoznała na koniec, że masa ta miała kilkaset ludzkich oczu, które wszystkie z wyteżoną ciekawością spoglądały na nią, doświadczyła takiego uczucia, jakby odartą z wszelkiej odzieży postawiono ją nagle pośród miejskiego rynku. Zapragnęła gwałtownie zerwać się i uciec, ale w zmaconej do głębi swej istocie miała mętne uczucie, że było to niepodobieństwem. Ci, którzy w tej chwili patrzali na nią, widzieli szczupłą, delikatną dziewczynę w czarnym, skromnym ubraniu, drżącą, przełękłą, aż po pasma jasnych włosów płomiennie zarumienioną.

Była to największa z sal wielkiego gmachu. Kościelna prawie wysokość nadawała jej pozór impo-nujący; uroczyście wrażenie sprawiały purpurowe kobierce i okrycia długiego stołu, za którym zasiedli ^dziowie. Tłum ludzi różnych stanów napełniał szeregi ław ustawionych przy wnijściu. W poprzecznych fanach wysoko umieszczone cztery ogromne okna jednolite, białe, nużące światło na wysokie, 'a'e> jednolite ściany, na poważne postawy sędziów, zalegający połowę sali pstry, ruchliwy, głuchymi

244

rozmowami szumiący tłum. Tu i ówdzie jaskrawy kwiat zakołysał się na kobiecej głowie, zadzwonił i echem odbił się w górze głośniejszym wymówiony wy. raz. Woźny sądowy wymówił kilka głośnych, dobitnych słów i zrobiła się wielka cisza, wśród

której dał się słyszeć głos przewodniczącego sądowni:

— Sprawa Joanny Lipskiej, obwinionej o utrzymywanie szkoły bez pozwolenia władz...

Słowa te powróciły Joannie przytomność. Powstała i na kilka zapytań przewodniczącego odpowiedziała cicho, lecz wyraźnie. Potem usiadła znowu.

Ogniste rumieńce zniknęły z jej twarzy, ukazując zwykłą jej bladość. Zarazem widać było, że ogarnia ją zamyślenie tak natarczywe i nieodparte, iż odrywało wzrok jej i słuch od rozgrywającej się przed nią a tak z bliska obchodzącej ją sceny. W szeroko otwartych jej oczach odmalowało się zdziwienie. Wzniosła je w górę ku ozdobnym gzymsom przeciwległej ściany; czasem głową czyniła ruchy takie, jakby we wnętrzu swym usiłowała coś nadzwyczaj dziwnego zroau-mieć i — za nic nie mogła. Trudno było powiedzieć na pewno, czy zwracała jakąkolwiek uwagę na zeznania świadków. A jednak były one głośne i trwały długo. Otyła i siwa Rożnowska w staroświeckiej mantyli i z płaskim, czerwonym kwiatem na kapeluszu, chustką ocierając spoconą, wielką, dobroduszną twarz, po kilkakroć powtarzała wyznanie, że ona to głównie wszystkiemu jest winna. Sumienie jej inaczej mówić nie pozwala. Przysięgła, że powie prawdę, i prawdę mówi. Ona to pierwsza namówiła do tego Lipską.

Dziewczyna jest ubogą i sierotą, potrzebowała zarobku, ona zaś ma wnuczki. Gdyby wiedziała, że jest w tym co złego, pewno by nie namawiała, ale na Chrystusa przysięga, że ani jej przez głowę nie przeszło, że do złego namawia. Siwe ma włosy, całe życie przeszło jej w tym mieście i niech wszyscy zaświadczą, czy kogo kiedykolwiek do jakiej nieU' czciwości namówiła. Zachłysnęła się płaczem, jesczZ® raz powtarzać zaczęła, że namawiała... nawet proS1

245

la... ale dano jej znak, aby umilkła już i usiadła. Przyjaciółka właścicielki magła, posiadaczka dwóch domków, malutka, sucha kobiecina, błyszcząca w tym zgromadzeniu kaszmirową suknią i eleganckimi manierami, przyciszonym głosem, ale z przymilającym się uśmiechem oświadczyła, że książki, które jako corpus delicti* leżały przed sądem, istotnie kupiła i darowała Lipskiej, która jej syna do septimy przygotowała tak dobrze, że teraz, gdyby nie był jeszcze zbyt małym, przyjęto by go może i do seksty **. Bardzo sumiennie uczyła, bardzo sumiennie... tak sumiennie, że uczyła się ona w obowiązku zapłatę jej podwyższyć. Gdyby była wiedziała, że w tym jest co złego, byłaby pewno tego nie uczyniła, ale słowo honoru daje, że nie wiedziała. Cóż? Kto ma dziecko, ten o edukację jego dbać musi, a tu pod boki guwernantka uczciwa, sumienna i tańsza od innych, bo biedna sierota... Tu wykonała przed sądem dyg elegancki i pełny uszanowania, po czym milutko zawsze uśmiechnięta, lecz z drgającymi trochę usty i powiekami obok Rożnowskiej usiadła. Od zapytywanej z kolei praczki, żony pijaka-ślu-sarza, najmniej dowiedzieć się było można, bo ta kobieta, wysoka i chuda, z twarzą wszere i wzdłuż zoraną bólem i troskami, w grubej, krótkiej spódnicy i wielkiej chustce zarzuconej na głowie, tak była strwożona i rozżalona, że prócz kilku niewyraźnych, ledwie dosłyszalnych słów, nic wymówić nie mogła. Ramiona jej drżały pod wielką chustką, z o-czu wypieczonych parą wrzátku i spieką żelazek !zY jak groch padały na grube, poparzone, u piersi splecione ręce. Z całej jej mowy dosłyszeć można było tylko wyrazy: syn dwunastoletni, ojciec pijak, szynk w tym samym domu, nauka, dobra

panienka... Odprawiono ją prędko, a miejsce jej zastąpił mularz. Ien mówił za siebie i poprzedniczkę swoją dużo,

•Corpus delicti (lac.) — dowód przestępstwa. "Septima, seksta (z lac.) — nazwy początkowych klas w szkole pruskiej.

246

prędko i tak głośno, że parę razy zalecano mu, aby głos zniżył, czemu natychmiast był posłusznym, ale ręką żylastą i silną targając mosiężny łańcuch zegarka albo na głowie burząc gęstwinę twardych włosów, wnet znowu w ferwor wpadał i głośniejsze niż wypadało, dowodził, że gdy za uczenie swojej córki płacił pannie kartoflami i warzywem, to widać bardzo szło mu o to, aby córka cokolwiek umiała. Zaś posyłać ją na pensję — za drogo mu było. Więc cóż miał robić? I cóż on takiego zrobił? Albo i ta panienska: co ona takiego zrobiła?... Po zadaniu tego pytania rozstawił ręce z takim gestem i tak wytrzeszczył oczy, jakby tuż przed jego wzrokiem cały świat przewracał się do góry nogami, a on za nic zrozumieć nie mógł, dlaczego tak się z nim dzieje? Po tym mularzu zeznawali i świadczyli jeszcze: piekarz, stróż domu, jakiś dorożkarz i jakaś wdowa po urzędniku, na koniec i najdłużej ten, kto dokonał odkrycia, że na górnym pięterku domu, którego dolne piętro zajmował szynk, gromadka drobnych dzieci dowiadywała się o tym, że pszczoła ma cztery skrzydełka, sześć nóżek, dwa różki i żądło, że cztery od dziesięciu sześć, że nie trzeba czynić drugiemu tego, co nam nie miło itd.

W chwilowej ciszy, która zapanowała, gdy umilkł głos ostatniego z zeznających, wzrok Joanny powoli spłynął z góry ku tłumowi napełniającemu połowę sali.

Wszyscy siedzieli na ławach, pilnie, w milczeniu śledząc bieg sprawy. Nad pstrą i nieruchomą W tej chwili masą wzbijał się jeden człowiek, który nie siedział, ale stał. Ażeby móc lepiej wszystko widzieć, stał on za wszystkimi ławami, na jakimś małym podniesieniu, tak plecami do ściany przyciśnięty, jakby mu one do niej przyrosły.

Oczy Joanny przyrosły do jego twarzy i napełniły się wyrazem przerażenia.'

Był to jej brat, ale jakże inaczej wyglądał ni* zwykle! Suche ramiona swoje w wytartych rękawach skrzyżował i mocno do piersi przyciskał; na papierowe blade jego policzki wystąpiły plamy czer

247

wone i wzbijały się aż pod brzegi ciemnych okularów. Oddychał prędko i usta miał nieco rozwarte, co zresztą zdarzało mu się często, tylko że w tej chwili ten charakterystyczny rys jego twarzy nie rzucał na nią wyrazu ani gapiowatości, ani martwoty, lecz nieopisanego udręczenia. Z wyteżoną uwagą słuchał on krótkiego, lecz energicznego oskarżenia, które wygłosił prokurator, i splątanej jakoś obrony adwokata. Potem przewodniczący sądowi zwrócił się do Joanny oznajmując jej, że ma prawo wyrzec w tych rozprawach ostatnie słowo, i zapytując, co by na swą obronę powiedzieć mogła i chciała.

Nad wysoką, ciężką poręczą ławy oskarżonych podniosła się znowu szczupła, jasnowłosa, czarno ubrana dziewczyna. Powieki miała spuszczone, postawę spokojną i tylko głos trochę drżący:

— Uczyłam dzieci, myślałam, że czynię dobrze...

Tu na mgnienie oka w twarzy jej zaszła uderzająca zmiana. Jakby zawrzały w niej gwałtowne jakieś uczucia, podniosła czoło, oczy jej błysnęły, usta drgnęły i

poprawiając ostatnie swe zdanie, głośno, wyraźnie rzekła:

— Myślę, że dobrze czyniłam.

Bezwarunkowo była winną. Rzecz dziwna jednak, dlaczego przewodniczący sądowi nie powstał zaraz dla udania się z towarzyszami swymi do komnaty narad, lecz przez parę minut siedział z podniesioną trochę głową i jak w tęczę wpatrywał się w obwinioną — z jakim wyrazem oczu? — tego z powodu oddalenia nikt z tłumu dostrzec nie mógł. Patrzali też na nią i jego towarzysze, z których jednemu [^]wi zsunęły się mocno. Trwało to bardzo krótko, "unutę najwyżej, dwie minuty, po czym wstali i o-oeszli. Nie wracali długo. Sprawa była prosta i jasna, dlategoż narada trwała tak długo?

Tubalnym głosem woźny oznajmił, że sąd do sali Posiedzeń powraca.

szmerem szumiących drzew wszyscy powstali, stołem zasłanym sukniem przewodniczący stanął

248

pospołu z towarzyszami swymi i zaczął czytać wyrok. Zauważono, że czytał nieco cichszym głosem niż ten, którym wprzód przemawiał:

— Joanna Lipska skazana została na dwieście talarów kary pieniężnej, a w razie niewypłacalności na — trzy miesiące więzienia.

Posiedzenie sądowe zamknięte; publiczność odpływa z sali. Tu i ówdzie prawnicy pomiędzy sobą szepczą, że dziewczyna ta jest szczęśliwa, bo małym jeszcze kosztem przestępstwo okupi.

Jednak małość i wielkość są pojęciami nadzwyczaj względnymi. Tak zapewne myślał Mieczysław Lipski, który po usłyszeniu wyroku najłżejszego poruszenia nie uczynił i stał przy ścianie jak wprzód, skrzyżowane ramiona do piersi przyciskając. Urzędnik jakiś w kołnierzu z rzadka haftowanym złotem przechodził tamtędy i spostrzegłszy go zatrzymał się przed nim. Znał go widać i z życzliwym uśmiechem zaczął:

— No, cóż, panie Lipski? Dobrze skończyło się wszystko. Ale jakże będzie?

Sztraf * czy więzienie? Jutro rano sam przyjdę do was. Ale zapłaćcie lepiej...

Dwieście talarów rzecz niewielka, a panienki szkoda...

I pobiegł dalej. W teże chwili Mieczysław oderwał się od ściany i skoczył ku wyjściu. Paru biurowych kolegów chciało go trzymać i mówić coś, może doradzać... Ale jego oczy były tak rozpalone, że zza ciemnych okularów widać było ich błyski, a ostre łokcie rozpychały wszystkich i wszystko dokoła. Tak wypadł do długiej, jasnej galerii z rzędem ogromnych, jasnych okien, którą przepływała publiczność, z wolna znikając w dole na wschodach. Tu obejrzał się i we framudze jednego z okien spostrzegł Joannę, która tam stała, może czekając na niego, nioze nie mając siły czy odwagi torować sobie drogi wsro tłumu. W tej chwili wiodła ona wzrokiem za grups osób znajdujących się już u przeciwległego końca

•Sztraf (z niem.) — kara pieniężna.

249

galerii. Były to dwie kobiety i jeden mężczyzna, powszechnie w tym mieście znany, przystojny, wzięty, przez panie szczególnie lubiony doktor Adam. Jak mnóstwo ludzi innych, przybył on tu dziś dla wysłuchania ciekawej sprawy sądowej i łatwo było spostrzec, że wychodził pod wpływem poważnych i smutnych wzruszeń. Przecież, gdy jedna z jego towarzyszek, wysoka i strojnie ubrana panna, z uśmiechem

przemówiła do niego, uśmiechnął się także i w początku wschodów pośpieszył podać jej ramię. Joanna uczuła w tej chwili, że ktoś ją chwyta za rękę, i zobaczyła Mieczysława, który schylony nad nią prędko i cicho mówić zaczął:

— Idź sama do domu. Ja teraz z tobą iść nie mogę. Mam w mieście pilne interesa. Za parę godzin wrócę. Idź sama do domu.

Wpatrywał się w nią rozognionymi wciąż oczami i mocno ściskając jej rękę dodał:

— Nie lękaj się... nie lękaj się tylko... nie lękaj!

W kilka godzin potem Mieczysław Lipski znużonym krokiem wstępował na wschody swego mieszkania. Powoli przeszedł kuchenkę i w przyległym pokoju z głośnym stęknieniem usiadł na twardej staroświeckiej kanapie. Był widocznie ciężko znużonym, twarz jego wróciła do swej jednolitej, papierowej białości; gestem zamyślenia i stroskania Przesuwał długą, białą swą rękę po zmarszczonym czole. Nie zdziwiło go to wcale, że Joanny w kuchence n'e zobaczył. Zeszła może na dziedziniec do praczki albo może zabrała ją na ten dzień do siebie poczciwa Roźnowska.

Jednak Joanna znajdowała się w kuchence, tylko -działa w ciemnym jej kątku, ukryta za wysoką P^oęczą łóżka. Widząc wchodzącego brata nie zer-Wa*a się zaraz, jak to bywało zwykle, aby przywitać

' zapytać, czy czego nie potrzebuje. Nie mogła mo-

250

że od razu wyrwać się z zamyślenia albo miała do niego trochę żalu za to, że tak nieprędko wracał. Po kilku jednak minutach wstała i powoli, cicho weszła do przyległego pokoju.

— Jesteś więc! Gdzieżeś była?... — zapytał Mieczysław.

— Byłam w domu, tylko mię nie spostrzegłeś. Roźnowska przysyłała prosząc, abym do niej na resztę dnia przyszła, ale nie chciałam... Myślałam, że zaraz przyjdiesz... przyszedłeś tak późno...

— Aha! późno — mruknął kancelista.

Dziewczynę ta obojętność jej brata na jej losy widocznie w serce kłuła. Stała o parę kroków przed nim ze splecionymi na sukni rękami, oczy jej głęboko zapadłe smutnie świeciły pośród bardzo mizernej twarzy.

— Myślałam, że zechcesz pomówić ze mną w ostatnim dniu... przed rozstaniem...

— Jaki ostatni dzień? jakie rozstanie? — mruknął znowu brat.

— Czyżbyś już zapomniał, że jutro zaprowadzą mię do więzienia?

Po twarzy jej przebiegło kilka nerwowych drgnień. Zaraz jednak mówiła dalej:

— Trzy miesiące to czas dość długi... a i potem najpewniej nie wrócę już do

ciebie, tylko gdziekolwiek w jakąkolwiek służbę pójdę... Trzeba więc pomyśleć o twoim gospodarstwie. Dziś wieczorem spiszę dokładnie bieliznę twoją i odzienie,

abyś wiedział, co masz, i okradać się nie dawał. Matką Kostusia umówię, aby co dzień z rana przychodziła mieszkanie ci uprzątnąć i samowar nastawie. W domu już

jadać nie będziesz, bo któż by ci teraz gotował? Ale ja pójdę na chwilę do

Roźnowskie) i dowiem się, czyby nie chciała za zapłatę obiad ci dawać. Miałbyś u

niej jedzenie zdrowsze niż w re" stauracji... Pamiętaj także, gdy wieczorem siada®

do pisania, lampę uważnie zapalać, bo masz z^F czaj czynić to tak, że pokój napełnia się dyme®

i swędem, co ci bardzo na oczy szkodzi... W spiżarni przy kuchni jest trochę masła, kaszy, mąki, a w piwnicy kartofli i warzywa sporo... dobrze zrobisz oddając to wszystko Rożnowskiej, jeżeli u niej jadać będziesz. Zawsze to ci trochę pieniędzy oszczędzi...

Gdy tak mówiła, Mieczysław patrzył na nią z dziwnym wyrazem oczu. W tych przedwcześnie zmordowanych i chorych oczach było tyle wesołości i razem tyle żalu, że trudno byłoby powiedzieć, czy wybuchnie on zaraz śmiechem, czy płaczem. Gdy Joanna mówić przestała, zapytał:

— Czy skończyłaś?

— Tak — odrzekła — zresztą przez dzisiejszy wieczór i jutrzejszy ranek może jeszcze coś przypomnę sobie...

Nie spuszczać z niej wzroku przez kilka sekund wstrząsał głową, tak jakby dziwił się czemuś lub nad czymś ubolewał. Potem nosowym swym, przewlekłym głosem mówić zaczął:

— I ty naprawdę myśleć mogłaś, że ja pozwolę na to, abyś szła do więzienia i trzy miesiące przesiedziała ze złodziejami i zgubionymi kobietami, w brudach, w błocie?...

Teraz Joanna zdziwiła się bardzo.

— Jakże może być inaczej? Wyrok sądowy... ostateczny...

— Czyś nie słyszała? Dwieście talarów kary pieniężnej albo więzienie!... dwieście talarów... wyraźnie: dwie-ście! Czy nie słyszałaś?

Uśmiechnęła się i ramionami wzruszyła.

— Owszem, słyszałam. Ale to wszystko jedno, mnie sumę tę dostać jest tym samym, co zdjąć

gwiazdę z nieba! ani pomyślałam o tym. . ~ Aha! nie pomyślałaś! —■ zawołał kancelista i tym razem zerwawszy się z kanapy wyprostował ^ w całej swej cienkości i wysokości, a długie, Jciste ramiona szeroko rozpostarł, co wszystko na-0 mu niejaki podobieństwo do wietrznego

młyna. W postawie tej, miotając w powietrzu ramionami jak młyńskimi skrzydłami, wołał:

— Zobaczą cię stróże więzienni tak, jak swoje uszy bez lustra! Plwam ja na pieniądze tam, gdzie idzie o honor, a może i życie mojej siostry! Bagatela! trzy miesiące w mokrych murach, w brudzie, błocie, ze złodziejami i łajdaczkami! Nie spod ogona sroki wyskoczyłaś! Jesteś córką profesora, dobrze wychowaną i delikatną... Dlatego żeśmy zbiednieli, to mamy już tarzać się po więzieniach ze złodziejami i pijakami! Cha, cha, cha! cha, cha, cha!

Nie chodził, ale biegał po pokoju oddychając prędko, nerwowo śmiejąc się i gestykulując.

Joanna szeroko oczy ze zdziwienia otwierała.

— Ależ na miłość boską! Mieczku! co ty wygadujesz! Skądżebyś ty wziął tyle pieniędzy? Wszak to niepodobieństwo!

Stanął i dłonią o stół uderzył.

— Otóż wziąłem! Otóż dostałem! Otóż przekonasz się, że nie jestem takim

niedołęga, na jakiego wyglądam, i że ty nie jesteś już tak znowu zupełnie sama na świecie!

Poskoczyła i ręce jego na swoje pochwyciwszy mocno je ścisnęła. Mnóstwo uczuć wstrząsnęło jej rysami: niespodziana nadzieja wyzwolenia się od czegoś, przed czym w tajemnicy swej duszy śmiertelnie drżała, radość, którą jej sprawiał ten wybuch braterskiej czułości, najbardziej przecież przestrasz...

— Skąd wzięłeś te pieniądze, Mieczku? Jakim sposobem dostałeś te pieniądze? Drogi mój, co ty zrobiłeś?

Spróbował ręce swe wydobyć z jej dłoni, ale ona je z całych sił coraz mocniej ścisnęła.

— Skąd wziąłem? Nie ukradłem ich przecież. Wiesz o tym dobrze, że nie ukradłem. Pożyczyłem* — i koniec!

Joanna od stóp do głowy zadrżała.

— Pożyczyłeś? — krzyknęła — ależ to dla ciebie ostatnia zguba! Jakże ty będziesz mógł tak wie

253

sumę zwrócić? Suchym chlebem chyba żyjąc! A któż ci pożyczył! Bogatych ludzi nie znamy, pierwsza Rożnowska dałaby, gdyby miała, ale nie ma. I nikt z tych biednych ludzi takich wielkich pieniędzy nie ma! Któż ci więc jej pożyczył? Kto? kto? kto? I dopóty' ściagała go tym natarczywym, gwałtownym pytaniem, dopóty wzrok swój gorejący i strwożony w jego oczach zatapiała, dopóki z niechęcią i prawie z gniewem nie wymówił nazwiska jednego z najbardziej znanych w tym mieście lichwiarzy.

Joanna uderzyła głośno w dłonie, a potem nimi twarz sobie zakryła.

— Boże! — mówiła — Boże! Boże!

Przez parę minut prócz tego jednego wyrazu nic mówić nie mogła. Biedny jej brat ze zwichniętym życiem przez nią, dla niej oddawał się jeszcze w ręce lichwiarza, wstępował w przepaść długów, zgryzot, nędzy... Odjęła ręce od oczu i obejmując go ramionami błagać zaczęła, aby pozwolił jej iść do więzienia. Mówiła mu, że jest zdrową, silną, młodą i może wszystko wytrzymać, że słusznym jest, aby niosła odpowiedzialność za to, co czyniła sama; że ten dług, który zaciągnął, stokroć więcej sprawia jej bólu i trwogi niż te trzy miesiące... tam!... A gdy on przecząco wciąż głową wstrząsał i z wielkim wzruszeniem, lecz stanowczo powtarzał: „Nie, Joasiu, nie, nie! Ja na to przystać nie mogę!” — osunęła się na klęczki i rękami kolana jego objawszy błagała go gradem słów, które przechodziły w namiętne krzyki.

— Mieczku! najdroższy! pozwól, pozwól, pozwól mi tam pójść, a pieniądze te odnieś temu, od kogo je wzięłeś... Zaraz, zaraz, zaraz je odnieś! Pozwól, braciszku! złoty, pozwól mi tam pójść!

Płakała gradem łez. Wielki warkocz jasnych włosów odwinął się z jej głowy i rozpleciony, stargany !jugą bladego złota osypywał grube obuwie kan-łsty. Ale on, schyliwszy się prędko i podnosząc

254

ją z klęczek, długimi swymi, twardymi ramionami mocno do swej piersi przycisnął.

— To już, moja droga, być nie może. Pieniądzy tych oddać nie mogę. Są one już u tego urzędnika, który tu przyjść miał jutro rano, aby cię do więzienia zaprowadzić... a teraz nie ma po kogo przychodzić! Cha, cha, cha, cha!

Śmiał się trochę gapiowato, a trochę nerwowo, ze szczególnym zmieszaniem tryumfu i goryczy. Ona cicho, głęboko na jego piersi płakała. Stało się. Dlatego przez kilka godzin do domu nie wracał, że starał się o pieniądze i odnosił je temu, komu należało. Wdzięczność bez granic, radość wyzwolenia, żal nad bratem i trwoga o jego przyszłość przejmowały do głębi dziewczynę starganą strasznymi wrażeniami tego dnia. Nie mogła mówić, tylko z całej siły przyciskała się do piersi tego dziwnego chłopca, który miał pozór tak zgnębiony i zamarły, wydawał się zwykle tak obojętnym, a teraz...

Przycisnęła usta do jego ręki i cicho rzekła:

— Niechże więc będzie tak, jak ty chciałeś. ,

Zmęczony Mieczysław położył się na kanapie za

stołem okrytym kancelaryjnymi papierami. Joanna wróciła do kuchni i zakrzętała się około nastawiania samowaru. Napełniła samowar wodą i z dzbankiem w rękę stała chwilę nieruchoma. Potem, widocznie zmuszając się do ruchu, nabrała z piecyka węgli, które także do samowara wrzuciwszy, znowu zwiesiła ręce na suknię i stała prosta, sztywna, szklanym wzrokiem patrząc na stojącą u ściany szafkę. Sprzęt ten przypomniawszy jej smadź o czymś, bo postąpiła ku niemu i zaczęła z niego wyjmować szklanki i łyżeczki. Ale te ostatnie wypadły jej z ręki na podłogę, ona zaś zamiast je podnieść pochwyciła nóż i bułkę chleba. Ruchy jej były prędkie i nerwowe, co chwila powstrzymywane nieodpartym zamyśleniem. Na koniec no i chleb na stół rzuciła i rękami twarz zakrywając a czoło przyciskając do drzwiczek szafki, wybuch

255

nęła gwałtownie tłumionym płaczem. Co ona teraz z sobą pocnie? Jaka teraz będzie jego przyszłość? O, straszna pustka jej życia, a straszniejsze jeszcze jego troski, zgryzoty, ruina! Stłumiła łkania i płakać przestała. Lękała się, aby jej płacz w przyległym pokoju nie był usłyszany, i przestała płakać. Ale nic robić nie mogła; formalnie nie mogła. Trzeba jej było myśleć, myśleć, myśleć i myślami tymi zjadać własne serce. Usiadła na ławce przy oknie i myślała. Osłupiały wzrok jej błędził za szybami nie widząc nic prócz kilku czarnych, brzydkich dachów i kawałka nieba zasnutego wydobywającym się z kominów tłustym dymem. Nie było w tym widoku żadnej rozrywki i żadnej pociechy, więc też twarz Joanny stawała się coraz bardziej posepna. Łzy jej oschły, ale bladą zazwyczaj cerę zapłynął odcień przykrewnej żółtości, a po spłó-wiałych ustach po raz pierwszy w jej życiu wić się zaczął gniewny, cierpki uśmiech.

Wtem drzwi do kuchenki skrzypnęły i ukazały się w nich dwie dziecinne postacie. Był to duży Kostuś w swym ubraniu z grubego płótna, bosy, ciężki, przygarbiony i za rękę prowadzący małą pucatą Mańkę, prędko drepcącą bosymi także nóżkami, wydobywającymi się prawie po kolana spod luźnej, spłowiałej sukieneczki. Nie upłynęło paru sekund, a chłopak, lękliwie i z zaszępiłą jakąś czułością spod brwi spoglądając, przed Joanną ukląkł, dziewczynka zaś, trzepocąc małymi nogami i rękami, z cichym chichotem na kolana jej wskoczyła, nóg Joanny leżał pęk czeremchy, która teraz I Waśnie rozkwitała na świecie, a której sporą garść ^yn ślusarza narwał zapewne w czyimś ogrodzie I 1 ttilcząc tu na podłodze położył. Silny zapach tego I różnego, wiosennego kwiatu napełnił kuchenkę.

°stuś zaś, wciąż tym samym spojrzeniem przy- [Rzanego i lękliwego zwierzątka spod brwi na Patrząc, wyjął z zanadrza spory zeszyt i roz-i arłsZy g0j p0W0li czytać zaczął:

256

■— Próż-niac-two jest oj-cem wszyst-kich grzechów. Kto ra-jio wsta-je, te-mu Pan Bóg da-je...

A mała Mańka także zza sukienki wyjęła elemen-tarzyk, stary, zbrudzońy, zgnieciony, i rozwierając go na tej karcie, gdzie się znajdował alfabet, zaczęła:

— A... b... c...

Joanna zaczęła z cicha śmiać się i całowała zmarszczone czoło chłopca i jędrny, rumiany policzek dziewczynki. Oni ucieszyli się tym bardzo. Stąd powstał mały gwar. Z sąsiedniego pokoju nosowy, zaspany głos zapytał:

— Kto tam taki, Joasiu? Z kim rozmawiasz?

Joanna spłonęła ciemnym rumieńcem i twarz ku oknu odwracając odpowiedziała:

— Dzieci...

— Dzieci! — zawołał Mieczysław i natychmiast stanął w progu. Na policzki jego znowu wybiły się czerwone plamy i oczy mu pały, ale tym razem gniewem.

Właściwie był to gniew pochodzący z przestachu, który wyraźnie malował się na twarzy, w postawie i wszystkich ruchach kancelisty.

— Znowu dzieci! — powtórzył głosem podniesionym — czy zupełnie już zginać mam przez te przebrzydłe bębny? Czy nie dość już było biedy? Jeszcze może miejsce w biurze i ostatni kawałek chleba mam stracić!

Gestykulował popędliwie i nogą w podłogę uderzał. Przestach niespodziewaną siłą nadawał jego głosowi. Przeraźliwie prawie krzyknął:

— Precz mi stąd, malcy! Żeby tu od rana dzisiejszego noga wasza nie postąła, bo jak was jeszcze kiedy zobaczę, na gorzkie jabłko stukę. Precz! precz!

Chłopiec i dziewczynka w mgnieniu okna zniknęli-

Joanna zapaliła lampkę, urządziła herbatę i ra' zem z pokrojoną na talerzu bułką zaniósła ją bratu, który przy zapalonej też lampie pilnie już pisał. dziennie spędzał nad takim pisaniem długie godzl' ny i w biurze, i w domu. Postawiwszy szklankę i ta
257

lerz na stole, pochyliła się i pocałowała schyloną nad papierami głowę brata. O! najlżejszej do niego nie czuła urazy. Miał prawo tak postąpię, był przelęknionym, lękanie się to rozumiała. Tylko czuła, myślała, że znowu koniecznie coś z sobą począc wypada, jak najrychlej, jak najrychlej!

Tymczasem usiadła w kuchence i zaczęła wyszywać na nowej chustce do nosa cyfrę Mieczysława. Czeremcha przez dużego Kostusia przyniesiona napełniała kuchenkę odurzającym zapachem; samowar stojący u pieca szumiał i parą buchał, z dołu, spod podłogi, dochodziły głucho szmery, nad którymi od chwili do chwili wzbijał się stuk przewróconego sprzętu albo kłótlivy czy hulaszczy okrzyk. Szynek tam rozpoczął swoje nocne, podziemne życie.

Ale co tam takiego zaszeleściło za wysoką poręczą łóżka i ze zmroku, tuż przy ziemi, wysuwać się zaczęło z nieokreślonymi formami?... Zwierzątko? dziecko? Jakieś dwie rączki opierały się o podłogę... jakieś jasne włosy odbiły się bladym złotem na tle

brudnej ściany, jakaś para oczu zaświeciła przeczystym błękitem... Było to dziecko, które przez kilka sekund po cichu pełznąć na czworakach nagle z wybuchem śmiechu wskoczyło na kolana osłupiałej w swym smutku dziewczyny.

Duży Kostuś uciekł, a mała Mańka schowała się tylko za łóżko i czekała, póki pan nie przestanie gniewać się i krzyczeć. Ona tu i dziś nocować będzie, jak wiele razy nocowała, a teraz chce trochę z elementarza poczytać, pokazać, co już umie... że już wszystko umie... wszystko, od a do p... od p nie umie, ale wczoraj nauczył się...

Chciała zapewne powiedzieć jutro, a powiedziała Wczoraj, ale to nic! Joanna znowu całowała ją 1 ZaPytywała, czy rodzice jej wiedzą o tym, że tu nocować zamierza.

2 przyległego pokoju zabrzmiało pytanie: Kto tam znowu? Z kim rozmawiasz, Joasiu?

z cicha i z wielkim zmieszaniem Joanna odrzekła:

"^Oraeszkowa

258

— To Mańka... Czy mam powiedzieć jej, aby szła precz?

W przyległym pokoju przez długą minutą panowało milczenie, aż przewlekły, nosowy głos męski wymówił:

— Daj jej trochę herbaty.

W dole pod podłogą rozległo się znowu głośnie stuknięcie i zawrzał bezładny hałas. Czy tam pijak jaki upadł i głową uderzył się o róg ławy? Może człowiek na człowieka podniósł pięść tak silną, że go obalił na ziemię okrytą śmieciem i zalaną trunkiem? Może to takim stukiem i krzykiem zawrzała tam bezrozumna, bezecna zabawa?

Nad zuchwałym hałasem szynku w kuchence o-świetlonej małą lampką i napełnionej zapachem czeremchy blada dziewczyna, z twarzą zmęczoną i zapłakanymi oczami, trzymała na kolanach bosc, puca-te, śmiejące się dziecko. Zza krótkiej, spłowiałej sukienki tłusta, czerwona rączka dziecinną wyjęła znowu mały, zbrudzony, zgnieciony elementarzyk, a srebrny głosik zadzwonił długim, figlarnym śmiechem. Z przyległego pokoju ozwało się przeciągłe syknięcie:

— Ciiicho!

— Ciiicho! — schylona nad dzieckiem powtórzyła Joanna.

Maleństwo stłumiło srebrną dźwięczność swego głosu i tłustym, krótkim paluszkiem o każdą z liter uderzając, cicho, szeptem prawie czytało:

— A... b... c...

Chwedora, żona parobka Klemensa, zamiotła glinianą podłogę izby, śmiecie zgarnęła do kąta, nie myśląc wcale o wyrzuceniu ich za próg, obierzyny kartofli wysypała do cebrzyka napełnionego pomyja-mi, a umieściwszy pod ławą to pożywienie, przeznaczone dla krowy, drewnianą deską zasunęła otwór pieca, w którym dwa spore garnki zawierały zgotowany już obiad dla niej i dla jej rodziny. W jednym z tych garnków znajdował się barszcz z boćwiny i burakowego kwasu; w drugim — krupnik jęczmienny z kartoflami, czyli — wedle zwyczaju chłopów tych okolic — jedna potrawa kwaśna, druga praśna. Spożytymi one być miały w godzinie południowej, teraz zaś ranek był jeszcze wczesny. Ale Chwedora wnet musiała wyjść z chaty, bo najęła się na dzień ten do pełcia dworskich ogrodów warzywnych, a mąż jej, Klemens, od godziny już w pobliżu dworu orał ziemię pod zasiew jesienny.

Była to chłopka młoda, wysoka, silna, ze skórą twarzy i rąk grubą i ciemną, lecz w tej porze dnia czystą jeszcze, bo tylko co po wodę poszedłszy umyła się pod studnią. Przez tę grubą i ciemną skórę jej policzków przebijały się silne rumieńce; z niskim czołem, małym, zadartym nosem i grubymi wargami, jako też z szerokimi bary i dużymi, płaskimi stopy — nie była wcale piękną, lecz biły z niej zdrowie, siła i hoźość. Strój jej składał się z krótkiej i pstrej spódnicy, z szarawej, grubej koszuli i pasiastego, szerokiego fartucha przewiązanego kilkakrotnie stan okalającą, w domu z różnobarwnych nici utkaną, sztywną taśmą. U szyi jej błyszczał brązowy, poświęcony medalik, a głowę okrywała chustka w czerwone kwiaty tak z tyłu czaszki zawiązana, że nad czołem widać było dwa szerokie pasma włosów gęstych, czarnych, ale zrudziałych i bez połysku.

Gdy na czas nieobecności swej urządziła już swe gospodarstwo, pochyliła się nad stojącymi na ziemi glinianymi naczyniami i z jednego z nich nalewaj?0 mleko do małego garnka wołać zaczęła:

261

— Tadeusz! Tadeusz!

Trudno było zgadnąć, do kogo stosowało się to wołanie, bo na pozór nikogo prócz niej w izbie nie było. Ale był to tylko pozór. Po chwili na szerokim tapczanie służącym tu za łóżka, pod r a d n e m, czyli wielkim kawałem szarego płótna okrywającym siennik i sianem wypchaną poduszkę, poruszać się zaczęła żywa jakaś istota. Zrazu obecność jej zdradzały tylko szelesty poruszanego siana oraz wydymanie się i opadanie grubych zgięć radna. Potem nad tapczaniem i radnem wzbił się czarny rój niezliczonych brzęczących much, a spod płótna wydobywać się zaczęły dwie małe, ciemne stopki i dwie również małe, okrągłe rączki, aż rąbek radna uchylił się całkiem i w spływającym na tapczan wąskim pasie słonecznego światła ukazało się dziecko, którego pierwszym gestem było zatopienie obu rąk w rozczochranych włosach, a pierwszym krzykiem wpółpłaczli-wym, wpółśmiejącym się:

— Mamo!

Gdyby jej był zaraz przy sobie nie zobaczył, byłby najpewniej wrzasnął płaczem na całą izbę; ponieważ jednak szła właśnie ku niemu z garnuszkim w rękę, zdecydował się na śmiech głośny i radosny.

— Dajcie, mamo! dajcie! dajcie!

W słonecznym świetle i brzęku much, których mnóstwo na nim i nad nim latało, siedział na poduszce wypchanej sianem, utopiony w grubych zwojach radna. Czuprynka jego, jasna jak len i bardzo rozczochrana, jeżyła się w strony wszelkie, oczy świeciły jak turkusy, a pływały jeszcze we mgle rozespania, usta pąsowe wierzchy warg miały czarne jak u Murzyna. Wczoraj, dla rozrywki zapewne, tłu-st3> lgnącą ziemią umalował sobie na czarno wargi, brodę i koniec nosa. Policzki dziwnym trafem zosta-y nie tkniętymi i spod ogorzeliżny swej, okrągłe 1 Pulchne, tryskały rumieńcem różowym jak zorza. Urodził się na Gromniczną i miał dwa lata i dwa-2leścia dwa tygodnie wieku swego. Od roku prze-

262,,

szło nie ssał już piersi matczynej, natomiast codziennie, jak w tej chwili, przypinał się z całej mocy do brzegu garnka, który matka przy ustach mu trzymała, i pił mleko powoli, z lubością, z rozstawionymi krótkimi - palcami rąk, z wydobytym spod radna

nagim kolanem- i z głuchym postękiwaniem, objawiającym doskonale zadowolenie i głęboko uczuwaną błogość. . •

Był to Tadeusz.

Wypiwszy mleko miał widoczny zamiar zanurzyć się znowu z głową w grube fale radna, ale Chwedora krzyknęła nań, aby natychmiast wstawał, bo jeżeli nie, to wybije go d z i a h ą.

Wprawdzie gdy t tak surowym głosem krzyczała, w siwych jej oczach migotała pieszczota, a kąty ust drgały uśmiechem; niemniej przecież Tadeusz w mgnieniu okna zsunął się z tapczana i wyskoczył na środek izby, albowiem dziaha była jedyną znaną mu dotąd klęską ziemskiego żywota.

Narzędzie to przedstawiało się przecież w dość wdzięcznej postaci owej różnobarwnej i sztywnej taśmy, która po kilkakroć owijała grubą kibić jego matki, lecz gdy tylko Chwedora rozwiązywać ją i od-wijać zaczynała, Tadeusz gotów był wnet uczynić wszystko, czegokolwiek by tylko odeń żądano. Bosa tedy i w krótkiej koszuli, rozczochrany i z uczernio-nym końcem brody i nosa, wyskakiwał on teraz po izbie rozpędzając dokoła siebie roje much i zabiegając wciąż przed matkę, która starannie nakrywała garnki z mlekiem i z dużego bochna krajała małe porcje chleba.

Chowając porcję tę za koszulę rzekła:

— Nu, chadziem, synku! (pójdźmy).

— Do taty? — zapytał.

— Do sadu — odpowiedziała.

Brała go z sobą zawsze do żniwa i pelcia. Co* z nim uczynić miała? W chacie pozostawić? Musia przecież izbę zamknąć, a dziecko więzić trudno. ^ dziedziniec folwarczny puścić go samego, aby

263

piesek bez dozoru czołgał się po pokrzywach, żal jej było. Więc zabierała go z sobą; ale o robieniu mu jakiegokolwiek toalety przy wyprowadzaniu go w świat szeroki ani pomyślała. Toaleta Tadeusza dokonywała się naj regularniej w świecie raz na tydzień w poranek niedzielny — wtedy już nadzwyczaj energicznie, starannie, z pomocą balii pełnej wody i ogromnego grzebienia, nie bez obustronnych krzyków syna i matki, a czasem i interwencji dziahy. Dziś zaś był piątek, więc czystość tak koszuli, jak twarzy i całego ciała Tadeusza rozpoczynała szósty dzień swego istnienia i naprawdę już wcale nie istniała.

I. Nic to. Czepiając się spódnicy matczynej biegł on przez dziedziniec folwarczny dziwnie drepcząc małymi stopkami, aby dorównać szerokiemu krokowi matki, a wciąż po drodze ciesząc się to kogutem, który rozgłośnie w ogniste skrzydła uderzając przeciągle zapał; to kotem, który na okapie strzechy łamane sztuki pokazywał; to sznurem kaczek, które ku ziemi pochylając szerokie dzioby z wolna ciągnęły po trawie; to gołąbkami, który frunął znad strzechy czworaku i latał nad nią w kółko, w kółko: to indyczką ćwierkającą na indyczęta, aby szły za nią w gęsty klomb z bzu i głógów; to starym Rubinem, kundlem, z| Ogromnym, kiciastym ogonem, który przyjaźnie otarłszy się o spódnicę Chwedory szedł za matką i dzieckiem powoli, z głową schyloną i łagodnie pozwalał dziecinnej rączce głaskać się po wełniastej, mokrej od rosy sierści.

•Perlita rosa błyszczała jeszcze na krzewach i trawie folwarcznego dziedzińca, który

pomimo zamieszkujących go ptaków i zwierząt pogrążonym był w ciszy i wyglądał pusto. Wszyscy ludzie wyszli już stamtąd do roboty. Szerokie wrota stodoły, stajenki i obór szczelnie były pozamykane, tu i ówdzie za-Jdwie nad jakim kominem wzbijał się słupem dym, °ty od słońca, albo jakaś pozostała w domu gos-Łit yni w ProSu stanąwszy na trawę i rosę buchnęła

264

z balii strugą pomyj czy mydlin lub donośnie zawołała na kury, aby im rzucić wymiecioną gdzieś z kąta garść przeszłorocznego pośladu.

Na obszerne, szczelnie pozamykane budynki, na trawę zroszoną i wzdymającą się szorstkimi krzakami łośpuchu, chrzaniu i ostu, na klomby z przekwitłych bzów i kwitnących głógów, na białe ścieżki w różne kierunki śród zieleni wydeptane i otaczające dziedziniec niskie opłotki spadała olbrzymia, jednolita złota płachta słonecznego światła, cała drgająca miriadami iskier i w głębokiej ciszy powietrza rozspiewana głosami niewidzialnie prawie poruszających się liści i niewidzialnych śród liści ptaków i owadów. Prędko idąc Chwedora ozwała się:

— Bóg miłosierny piękną pogodę daje!

Tadeusz nie odpowiedział nic na tę uwagę matki, bo nie myślał wcale o tym, że pogoda była piękna. On tylko czuł ją w Sobie. Całe jego dziecinne ciało pojąc rozkoszą wzbierała w nim ona żądzę życia i ruchu. Toteż opuściwszy spódnicej matki zaczął jak źrebię wierzgać nogami, tarzać się po trawie; gdy oddalała się nieco, zrywał się i dopędzał ją ze swą lnianą grzywą rozwianą na cztery wiatry, z głośnym krzykiem i śmiechem, z oczami rozpalonymi od słońca i szczęścia. Za bramą szli przez chwilę drogą wysadzaną topolami, aż stanęli oboje i spoważnili nagle.

Na twarzy Tadeusza spoważnienie to odmalowało się przez nadzwyczajne wytrzeszczenie oczu i szerokie otworzenie się na czarno umalowanych ust. Ale twarz jego matki wyrażała pokorę i pobożność.

Stali u stóp kapliczki złożonej z wysokiego podmurowania i wznoszącej się na podmurowaniu drewnianej 'niszy. U brzegu niszy wśród bukietów ze sztucznych i świeżych kwiatów stał posąg Najświętszej Panny z drzewa niezgrabnie wyrzeźbiony, z jaskrawo pomalowaną twarzą, bardzo stary. Nad głow? posągu połyskiwała korona z posrebrzanej blachy'

265

a od szyi aż do stóp spływał mu płaszcz z czerwonego aksamitu, pozłocistą taśmą dokoła oszyty. "

Kapliczka ta była wysoką i w ten sposób zbudowaną, że ku drodze zwracała się profilem, a otworem niszy ku dworowi, nad którym z wysokości swej panowała, na każdym niemal punkcie jego widzialną będąc.

Chwedora z pobożnie schyloną głową przeżegnała się trzy razy i coś z cicha poszeptała, potem schyliwszy wzięła Tadeusza na ręce i podniosła go ku niszy.

— Bozia! — trwożnie jakoś wymówiło dziecko.

— Aha! — odpowiedziała matka — przeżegnaj się, synku.

Ale że sam jeszcze by tego uczynić nie potrafił, wzięła rękę jego w swoją i przenosząc ją ze spoconego czoła na odkrytą pierś synka ze skrucną i prośbą w głosie mówiła:

— W imię Ojca i Syna...

Przez parę minut stali oboje ze wzrokiem utkwionym w posąg. W oczach dziecka malowała się ciekawość połączona z zadziwieniem; na ogorzałą, ciemną twarz Chwedory wybił się wyraz pokornej, gorącej prośby, napełnił oczy jej wzniesione w górę i głęboką zmarszczką przerznął niskie czoło. Podnosiła wciąż dziecko wysoko, najwyżej, jak tylko mogła, i nie mówiąc nic niewyraźną może myślą błagała Najświętszą, aby je miała w swojej opiece.

Jedynym było, po kilku latach małżeństwa przyszło na świat jak anioł pokoju, bo Klemens, odkąd miał syna, szanować zaczął jego matkę i nigdy już Pomiedzy nimi ani kłótni nie bywało, ani nawet trwogi o przyszłość. Ojciec dla miłości dziecka zaprzysiągł, że wódki ustami nie dotknie, i dotrzymał Przysięgi.

Chłopi zazwyczaj kochają bardzo swe dzieci, szczególnie zaś i najbardziej synów. Wtem gdzieś w pobliżu rozległ się głos męski: Hooo! hooo! nuże! hooo!

I

266

Wołanie to płynęło cichym, złotym powietrzem basową przeciągłą nutą. Chwedora oderwała wzrok od niszy i spojrzała na pole, W pobliżu płotu rozdzielającego ogrody warzywne z polem wysoki, silny chłop, naprzód nieco podany, szedł za pługiem ciągniętym przez parę koni i basowo, przeciągle, trochę ponuro wołał na konie:

— Hooo! hooo! nuże! hooo!

Matka i syn poznali od razu Klemensa. Tadeusz począł wierzgać, zrywać się i wrzeszczeć:

— Do taty! do taty! do taty!

— Nie można, synku! nam trzeba do sadu!

Jeszcze tych słów nie domówiła, gdy twarz dziecka jak ziemia ulewnym deszczem zalana została łzami. Tylko co szczęśliwy był i wesoły jak młode źrebie wśród bujnej łąki, teraz płakał ulewą łez, a wrzeszczał, tak, że aż wróble na topolach przelekły się i ze strachu rozszechotały się przeraźliwie. Okropnie, namiętnie zachciało mu się taty. Jednak Chwedora dla poskromienia zachcianki syna nie udała się tym razem do argumentu dziahy. Owszem, szczęśliwy uśmiech rozwarł grube jej wargi i przycisnęła do piersi wrzeszczące, Wierzgające dziecko.

— Dobrze już, dobrze! — mówiła — oj, ty durniu maleńki! Zawołam ja do ciebie taty, poczekaj, zawołam! Niechaj do synka przyjdzie!

Stanąwszy przy płocie warzywnego ogrodu donośnie zawołała:

— Klemens! hej, Klemens!

Kilkanaście tylko zagonów dzieliło ją od orzącego chłopca, który podniósł głowę i również donośnie zawołał:

— Chwedora? a czego chcesz? (czego chcesz?)

— Chadzi! — wołała, jednym ramieniem przy* trzymując u piersi dziecko, a drugim dając mężowi wzywające znaki — chadzi tutki, chutko. (prędko) chadzi!

Konik pośrodku zagonu zatrzymał i ciężkim, szero-

267.

Jim krokiem przebywszy małą przestrzeń stanął z przeciwnej strony płotu. [— C z e h o? — zapytał.

Lecz Chwedora odpowiedzi jeszcze nie zdążyła, gdy Tadeusz wyrwawszy się z jej objęcia, nogami

0 płot zaczepiony, rękami chwycił koszulę ojca. Akrobatyczne to ćwiczenie nie odbyło się bez sprowadzenia znacznych nieporządków w skromnej toalecie malca. Pomiedzy dwojgiem wysokich i silnych ludzi nagie ciało dziecinne przez chwilę świeciło na słońcu jak posążek z połączanego brązu. Klemens zdjął dziecko z płotu, wziął je w żylaste ramiona

1 z pochyloną nieco głową patrzył mu w twarz. Roz-szczebiotany, z uradowanymi gestami, Tadeusz opowiadał ojcu, że krówka Białuśka poszła na paszę, kiedy jeszcze on spał, a kundel Rubin tak szczekał na jakiegoś żebraka, tak szczekał, że aż pan we-k o n o m... pan wekonom (ekonom)... i zupełnie już nie wiedział, co by takiego powiedzieć chciał o panu wekonomie, natomiast pytać zaczął, czy go także dziś na konia posadzi, tak jak to był uczynił jutro, nie! wczoraj, nie, ani jutro, ani wczoraj, tylko za dwa tygodni e...

Patrząc na syna Klemens zapytał żonę:

— Czego klikała? (czego wołałaś?)

— Ot! czego? napał się do tatka tak, że niech Pan Bóg broni! Ani mnie jego na rękę utrzymać, ani na ziemię puścić, bo sam w pole polecą. To i zawołałam, żebyś ty tu przyszedł. Co mnie z nim robić! Paskudnik taki! s z ałun (swawolnik)!

— W skórę jemu za to, że taki... — zamruczał chłop, ale szczególnym przeciwieństwem z tymi słowami żylaste ramię mocno cisnęło dziecko do widzialnej zza rozwartej koszuli kosmatej piersi, a wśród twarzy, kosmatej także od szorstkiego, gęstego zarostu, w szerokim, błogim uśmiechu błysnęły dwa rzędy śnieżnych zębów. Z drugiej strony płota także śmiech rozsunął grube, czerwone policzki kobiece. ■Mąż i żona mieli piękne, zdrowe, białe zęby. Nad

268

dzieckiem, które pomiędzy nimi szamotało się i szczebiotało, spojrzenia ich spotkały się ze sobą przyjaźnie i wesoło. Jednakże Klemens miewał zwykle powierzchowność trochę ponurą. Zasmucało go to, że własnej ziemi nie miał i po dworach za parobka służyć musiał.

Miał też w przeszłości swej nieszczęścia i grzechy, które, gdy sobie przypominał, wzdychał albo w złość wpadał. Dużo pieniędzy stracił był na przeklętą wódkę i ze stryjecznym bratem przegrał proces o trzy morgi gruntu. Teraz przecież nikt nie domyśliłby się w nim tych ciężarów i smutków życia. Wyciągnął nad płotem ręce, żonie dziecko oddając i pod gęstym, szerokim wąsem błyskając wciąż w uśmiechu białymi zębami, gniewnie niby mówił:

— Bóg wie, po co tu przyszli oboje i jeszcze człowieka od roboty odwołują! Czy ja tu z wami cały dzień barszkować będę? Na, masz! zabieraj sobie tego paskudnika i do roboty ruszaj!

Całus tak głośny, jak wystrzał małego pistoletu, rozległ się nad płotem, a na tłustym, ogorzałym karku malca, tuż pod jasnymi jego włosami, od energicznego przyciśnięcia ust ojcowskich powstała czerwona plama. Klemens odwrócił się z wolna i ciężko stąpając dążył ku opuszczonemu pługowi. W połowie drogi obejrzał się i dostrzegł jeszcze czerwoną chustkę Chwedory migocącą w coraz gęstszej zieleni ogrodu. Tadeusza nie zobaczył, bo malec na własnych już nogach przedzierał się u boku matki przez zielska zarastające ogrodową miedzę, ale nad gąszcz zielony wzbił się i do ucha chłopca doleciał głos dziecka, cienki, przenikliwy, prawiący o czymś

nieustannie i w tej letniej pogodzie wydający się nieskończoną, przenikliwą pieśnią ptaszecią.

Rozległy i z urodzajności swej słynny ten ogród^o warzywny z dwu stron swych stykał się z polem[®]

269

i tą drogą, przy której wznosiła się święta kapliczka, a dwoma innymi — słał się do stóp odwiecznych, rozłożystych lip, które tam stały długimi rzędami i teraz całe w pachnącym kwiecie, jakby tysiącem przytłumionych harf, brzęczały rojami latających nad nimi pszczół. Tam gdzie przerzedziły się gałęzie lip, widać było sad owocowy pocięty w regularne kwadraty, pełne drzew złojących się od dojrzewających owoców, porysowany w długie szeregi krzewów, czerwonych już od jagód.

Z drugiej strony lipy rozstępowały się szeroko i jak na dłoni widzialny odkrywał się ogród spacerowy, okryty gładkim trawnikiem i siecią krętych ścieżyn, połyskujący białymi mostkami łączącymi brzegi wąskich kanałów, których woda tu i ówdzie rzucała na trawniki nieregularne tafle kryształu. Tam w małych, cienistych gajach mieszały się różne odcienie zieleności różnych gatunków drzew i różne barwy okrytych kwiatami krzewów. Nad murawą i wodą powietrze napełniały niezliczone roje białych i bladeżółtych motyli; w głębi zaś tego pięknego miejsca stał dom jednopiętrowy, ale na podmurowaniu swym wysoki, tak biały, że w słońcu aż srebrny, z rzędem dużych pootwieranych na oścież okien i dużym gankiem, ocienionym gęstwiną pnących się i zwiłanych powoi. Kapliczka z wysoko umieszczoną niszą i ten ganek obszerny i cienisty znajdowały się wprost naprzeciw siebie i nad rozległą przestrzenią patrzyły na siebie przez szerokie okno, utworzone w rozerwanym szeregu lip.

Do południa brakowało już tylko jednej godziny; na warzywny ogród spadał skwar lipcowy, ciężki i palący. Niemniej kipiało tam gorące i przyśpieszone życie roślinne i ludzkie. Nad zajmującymi obszerną przestrzeń zagonami nisko rosnących warzyw pochylało się ze dwadzieścia kobiet, których głowy w jaskrawych chustkach wyglądały na słońcu jak jajecznej wielkości piwonie. Spomiędzy rozłożystych uraków, delikatnie wyciętych liści marchwi, czołga-

270

jących się łodyg ogórków wyrywały one pokrzywy, lebiody, mokrzyce, marchewnik, psiemięty i pełno tego zielska nabierając w pasiaste fartuchy zanosily je w jeden z rogów ogrodu, gdzie go już wzbierała się duża góra. Wyrywanie i odnoszenie zielska odbywało się zwawo i w zupełnym prawie milczeniu, niemniej w cieniu lip i na małym podniesieniu gruntu umieszczony nadzorca, młody i rześki chłopak noszący tytuł pana namiestnika, poczuwał się do obowiązku gromienia bab i wołania na nie o pośpiech i gorliwość. Czynił to bez gniewu, bo i nie było za co się gniewać; ale gdy tylko dostrzegł, że dwie głowy zbliżyły się do siebie w celu poszeptania o czymś czy dwie ręce opadły na pasiasty fartuch, wyciągał ramię ubrane w szary płócienny rękaw i donośnie wołał:

— Dzieuczata; ej, dzieuczata! (dziewczęta) nie próżnujcie! Czas darmo tracie! Toż heto h r e c h! (to grzech)

Albo: .1

— Baby! ej, baby! Nie rozpuszczajcie języków! Czy wam nie wstyd! Pieniądze

weźmiecie darmo! toż heto hrech!

Myslałby kto, że mu wiele zależało na zbawieniu dusz tych kobiet, bo wciąż je argumentem jednym do gorliwości napędzał. Ale na te głowy wyglądające w słońcu jak bajecznej wielkości piwonie snadź ten argument działał skutecznie, bo twarze chłopiek oblewały się potem, brązowe i do kolan obnażone ich nogi żwawo biegały po miedzach, gąszcze zielone przeredzały się szybko i coraz więcej ciemnej ziemi ukazywało się na zagonach.

Chwedora pracowała tak jak inne, więcej może od innych, bo była niepospolicie silną i pracowitą. Kilka razy jednak przerywała na chwilę swą pracę dla dwu przyczyn: naprzód srebrzący się w słońcu doifl ze swym cienistym gankiem wydawał się jej pięk" nością nad pięknościami i nie mogła sobie odmówić

271

przyjemności rzucenia nań od'czasu do czasu zachwyconego spojrzenia.

Przed godziną na cienistym ganku ukazały się trzy Jcobiece postacie i już tam pozostały. Z oddali nie można było rozróżnić ich rysów i dojrzeć, czym były zajęte, ale w ramach splecionych z gęstwiny powojów i w jasnych swych sukniach przypominały Chwedorze święte obrazki. Raz jedna z nich zbiegła po szerokich wschodach i ścinać zaczęła z wysokich krzewów jaskrawe georginie i drzewiaste róże. Suknia jej wydawała się złocista, a twarz i ręce białymi jakoby śnieg. Lecz więcej jeszcze od tego obrazku pracę Chwedory przerywał Tadeusz. Trzy razy już od przybycia w to miejsce wybuchał on wrzaskliwym płaczem. Chciało mu się do ojca, którego basowe wołania czasem go dolatywały, chciało mu się do matki, która wciąż z miejsca na miejsce przechodziła wzbraniając mu za sobą włązić na zagony, i Bóg wie, czego jeszcze. Było mu zbyt gorąco czy nudno, czy go w nagie nogi pokrzywy srodze piekły. Trzeci raz już wrzeszczeć zaczynał.

Za pierwszym razem Chwedora zaniósła mu kawał chleba i po głowie pogłaskała.

— Cicho, synku, cicho! Kiedy będziesz grzecznym, tatko dziś na konika posadzi! Pocieszony, gębę sobie chlebem zapchawszy, umilkł.

Lecz gdy po raz drugi płacz jego rozszedł się po ogrodzie, Chwedora głowę znad zagonu podniosła i krzyknęła:

— Cicho że! bo jak dam d z i a h ą!

Umilkł znowu.

Za trzecim razem daremnie przez kilka minut krzyczał. Chwedora odnosiła zielsko na róg ogrodu i znajdowała się daleko, pod lipami, pan namiestnik donośnie wołał:

— Baby! ej, baby! a żwawiej! Bóg jest na niebie, 4 wy czas marnujecie! Wszak heto hrech!

Chwedora, ażeby grzechu nie popełnić, z wysoko Podkasaną spódnicą żwawo na zagon wracała, a Ta-

272

deusz bez obietnicy konika i dziahy tym razem pocieszył się, że aż zaśmiał się na całe swe małe gardło. Rozśmieszyła go tak bardzo sikorka z żółtym brzuszkiem i błękitnymi skrzydłami, która tuż przed nim wyfrunęła z krzaczystej leszczyny i zniknęła w gęstwinie maku.

Chłopca coś za tym ptaszkiem w mak pociągnęło. Wstał z trawy i prędko, prędko pobrnął pomiędzy wysokie łodygi, gęsto rosnące i u góry kwiatami wszelkich odcieni

czerwonoci przyozdobione. Zaledwie kilka kroków uczynił, sikora znowu zerwała się z ziemi, zafurczała tuż przed nim i zniknęła. Zapewne wyleciała już z maku i ze znalezionym tam robaczkiem wracała do gniazda w krzaczystej leszczynie, ale on o tym nie wiedział. Zachciało mu się ją dogonić, a może tylko zobaczyć. Brnął więc dalej, łamiąc naokoło łodygi maku, ale nikt tego nie widział i nie słyszał. Był on tak małym i szelest sprawiał niewiele większy jak sikorka. Jednak podróż stawała się coraz więcej utrudnioną.

U spodu gęstwiny znalazły się zielska, które oplątywały drobne jego stopy. Upadł, lecz nie krzyknął, tchu głośniejszego z siebie nie wydał, tak mu się chciało wynaleźć i znowu spłoszyć sikorkę. Nie mogąc z powodu owego zielska i gęstości iść, zaczął pomiędzy nimi pełznąć, a czynił to po cichu, z wytrzeszczonymi oczami i ruchami głowy czyniącymi go podobnym do kota czatującego na mysz lub ptaka. Czasem z wysokich łodyg osypywały się kwiaty maku i chłodnymi, delikatnymi płatkami spadały mu na plecy i głowę. Wtedy zatrzymywał się na klęczkach i rękami wsparty o ziemię, z otwartymi ustami patrzył w górę. Sikorki nie widział, ale za to mnóstwo czerwonych i różowych punkcików kołysało się nad nim na tle nieba takim błękitnym, jakim były patrzące w górę jego źrenice. Nagle, gdy na kolanach i rękach pełną jeszcze trochę przebył swej trudnej drogi, roztworzył się przed nim mur wysokich łodygi a ukazała się obszerna i widna przestrzeń. Zarazem

273

ogarnęły go mocne zapachy kopru, kminu, kolendry, pietruszki i olśniła żółtość mnóstwa kwiatów, z których jedne należały do ogórków, a drugie do nasturcji. Nie wiadomo jakim sposobem było tam nawet parę wielkich krzaków nagietek. Słowem, żółtość taka, jakiej nigdy jeszcze nie widział. Olśniony, zerwał się na równe nogi i z wyciągniętymi rękami biegł wprost ku nagietkom. Jak przed chwilą sikorki, tak teraz zachciało mu się nagietek. Byłby je zapewne rwał pełną garścią, ale o kilka kroków przed krzakiem stanął tak przelęknięty, że do wrzaśnięcia zabrakło mu sił i czasu. Przedmiot, który w nim taką trwogę obudził, był zarazem przedmiotem nadzwyczaj zajmującym. Składał on się z wysokiej tyki, u której wierzchołka czerniało kilka niewyraźnych łachmanów i jak strzępiaste ramiona kołysały się dwie słomiane wiechy. Był to strach wystawiony na wróble, ale Tadeusz nie znał jeszcze tego wojennego instrumentu ogrodników. Obie piąstki mocno ze strachu ściśnięte przyciskając mocno do obu policzków stał chwilę, na kołyszące się wiechy słomiane patrzył w widocznej niepewności, czy uciekać mu wypada albo też szczególnemu zjawisku dłużej przyglądać się można. Zląkł się strachu najpewniej więcej od wróbli, przeciw którym wzniesionym on został i które tak się już z nim oswoiły, że wielką chmurą z przeraźliwymi krzykami to wznosiły się nad owijającym mnóstwo tyczek cukrowym grochem, to znowu nań opadały.

Krzyki ich były tak przeraźliwe i było ich tak wiele, że jakkolwiek Tadeusz zupełnie był oznajomionym z tym gatunkiem ptaków i nawet wiedział, że nazywają się one w o r o b i j e *, to jednak ponieważ mgdy aż tyle razem ich nie widział, odwróciły mu °ne uwagę od wysokiej tyki ze słomianym strachem.

Caluteńki wskazujący palec jednej z rąk zatopił V' °twartych ustach i patrząc na latające, krzyzące

• W o r o b j e (białorus.) — wróble.

i groch objadające wróble zdawał się coś głęboko rozważać. Wyraz zamyślenia okrył mu twarz, która już teraz od łez zmieszanych z piaskiem nie miała ' ani jednego miejsca, które by nie było szarym albo czarnym. Śród tych gęstych plam i rysunków widać było tylko trochę rumieńców na policzkach, brzegi warg pąsowe i błękitne źrenice, bardzo zamyślane. Długo z ust palca nie wyjmując dumał. Cóż? Kiedy wróble mogą latać około tego stracha, czemużby on przelecieć nie mógł? Zielone strąki grochu są bardzo smaczne. Wiedział o tym z doświadczenia, bo mu raz ojciec garść z pola przyniósł. Oho! takie rzeczy nie zapominają się nigdy! Pamiętał dobrze," jaki to był smaczny ten groch. Tutaj niektóre strąki wisiały wysoko, ale niektóre zupełnie nisko. „Nie, polecę!"

I puścił się rozorami przez kopr, kmin, kolendrę, pietruszkę, ogórki, nasturcje... Ale za dużo tu było wszystkiego, aby mógł „lecieć". Zagony były pełne, a rozory wąskie i zarosłe zielskiem. Zamiast lecieć, szedł, czasem padał, czasem pełzł. Doszedł jednak i w chwili właśnie, gdy chmura wróbli z krzykiem wzbijała się nad wierzchołki tyczek, on laźł spodem, tu i ówdzie zrywając zielone strąki i chciwie potem niosąc je do ust.

Znajdował się już teraz daleko od pielących kobiet. Rozdzielała go z nimi znaczna przestrzeń i ukrywała ściana maku, gęstwina białych kminów i żółtych kor prów, na koniec całej las grochu i fasoli. Albowiem za grochem rosła fasola, także na tyczkach, tylko że później od grochu rodząca owoce, teraz dopiero kwitła czerwono, różowo i biało. Wróblów tam nie było, bo ziarn nie było, i Tadeusz także spostrzegł wkrótce, że już wyszedł z grochowego raj. Tyle jednak zjadł strąków, że było mu dosyć, a czując jeszcze na podniebieniu słodkawy ich smak, czuł się też bardzo wesołym.

Fasola sadzoną była znacznie rzadziej niż groch, toteż z łatwością i nawet podskakując przebył ten miły gaik, aż w skraju jego znalazł przestrzeń, na

której już nie było warzywa żadnego. Był to skraj warzywnego ogrodu, łagodnym spadem połączony z ogrodem spacerowym i rzędem lip ocieniony. Warzywa już tu nie było... ale co tak błyszczą tam między trawą?

Błyszczała tam woda, bardzo zresztą niewiele wody. Z owych kanałów zdobiących spacerowy ogród przejściem jakimś, które sama sobie wytworzyła, zbiegała tu ona do jakiejś jamy, może przez nią samą wydrążonej, może kiedyś w jakimś celu tu wykopanej. Słowem, było to nic więcej jak jama napełniona wodą. Ale na gruncie spadzistym i od bliskości kanałów wiecznie mokrym rosły dwa wielkie krzaki kaliny, zasiał się istny las niezapominajek, skakało w trawie mnóstwo zielonych żab.

Tadeusz obie ręce niosąc do włosów krzyknął:

— Aj, aj! niezabudki!

Znał on te kwiaty tak dobrze jak wróble i groch. Pełno ich bowiem było w parowie, nad rzeką, gdzie często prowadziła go Chwedora, gdy szła do swojej ciotki na drugą stronę parowu albo włąziła do rzeczki, aby dokoła wystających z niej kamieni raki łowić. Niedawno jeszcze narwał on z pomocą matki dwa pęki niezabudek, z których jeden zanieśli potem wspólnie do kapliczki i złożyli u stóp świętego posagu, a drugi przez kogoś ze dworu posłali tej paniencie, która teraz przed cienistym gankiem rwała

i układała w bukiety róże i georginie. Wiedział więc, że te śliczne kwiatki zrywać trzeba dla Bozi i dla panienki, pamiętał, że gdy ich wtedy zerwał wiele, matka go potem całą drogę do chaty na rękach niosła, co bardzo lubił.

Bzucił się więc do niezabudek i zaczął je z całej siły drobnymi swymi rękami rwać, rwać... Jeden kwiatek zrywając szeptał:

— H e t y j dla Bozi! (hetyj — ten). ' A drugi:

— Hetyj dla panienki...

Czasem wyrwał kwiaty z korzeniami lub z całej

276

siły mocował się z łodygą, tak była do zerwania trudną; wtedy sapał, stękał i gniewnie mruczał:

— K a b ciebie licha wziął o... K a b ciebie p a-r a l u s z... (żeby cię diabeł wziął, żeby cię paraliż).

A potem znowu:

— H e t y j dla panienki... h e t y j dla Bozi...

Roztargnienie mu sprawiały żaby i ptaki. Pierwsze co chwilę wyskakiwały spod czarnych, bo błotem oblepionych jego stóp i plusk w wodę! A malec patrząc na to zanosił się od śmiechu. Ptaki znowu wylatywały z kalinowych krzaków i fruwały mu tuż prawie przy uszach.

— K y s z! — wołał machając więzią niezabudek — kysz! a kysz!

A potem znowu rwąc niezabudki:

— H e t y j dla Bozi...

Wtem stanął i radośnie krzyknął. Sikorka, znowu sikorka, ta sama pewno, co tam w maku była. Oh! siadła sobie teraz na kalinowej gałęzi i wraz ze śnieżnym, okrągłym kwiatem kaliny kołysze się to w górę, to w dół, pomalutku... żółtą główką kręci...

Na ustach malca urwały się wyrazy: „H e t y j dla panienki!...” Jedną ręką trzymając pęk niezapominajek, drugą wyciągnął ku sikorce, krzyknął, pochylił się, poskoczył... Delikatne kwiaty wraz z łodygami i korzeniami swymi rozsypały się nad brzegiem jamy, woda silnie plusnęła. Tadeusz zniknął.

Nic, ani krzyku, ani jęku, ani jednego zawołania na matkę lub ojca. Czasu nie było.

Mgnienie oka. Na dnie jamy, pod słupem stojącej, zielona we j wody synek

Chwedory i Klemensa leżał na wznak i nieruchomo, a na umurzonej twarzy i zabłocone nogi jego kładły się długie, śliskie trawy koloru pleśni.

Ptak z żółtą główką i błękitnymi skrzydełkami kołysał się na kalinowej gałęzi, to w górę, to w dół, pomalutku... zielone żaby skakały na mokrej trawie lipy pachniały i jak tysiącem przytłumionych harf dzwoniły brzęczeniem zlatujących na nie pszczoł.

277

Z przeciwnej strony ogrodu z dala dochodził głos namiestnika:

— Czy wam nie wstyd? Bójcie się Boga! toż h e t o h r e c h!

Z innej strony, od pola, płynęło czasem basowe, głębokie wołanie idącego za pługiem chłopca: ' — Hooo! hooo! nuże! hooo!

Nad kipiącym morzem kwitnącego, miłosnego, rozśpiewanego, olśniewającego życia wznosił się z jednej strony cienisty ganek dworski, z drugiej kapliczka ze świętym posągami. Patrzyły one na siebie przez szerokie okno rozerwanego szeregu lip. Przed gankiem kobieta rwąca róże i georginie z dala świeciła licem i rękami białymi jakoby

śnieg. W niszy kapliczki korona świętego posągu jaśniała i promieniała jak zawieszona w powietrzu gwiazda świetna i nieruchoma.

|TX7 ieczór był niepóźny, ale bardzo ciemny; na nie-■VV bie usłanym chmurami nie świeciła ani jedna gwiazda, wiatr posuwiście hasał, wirującymi słupy wzbijał się w górę, gamami szumów, jęków, gwizdań śpiewał w głębokiej kotlinie, na której dnie leżał równy, szeroki szlak zamarzłej rzeki. Rzeka, wąskie jej wybrzeża, wysokie ściany kotliny majaczyły w grubych ciemnościach mętną białością okrywającego je śniegu. Z jednej strony, na górze, panowała zupełna pustka, tu i ówdzie tylko przerywana czarnymi, cienkimi liniami drzew, z drugiej strony, wyżej jeszcze, wiejskie domostwa kreśliły na tle ciemności łańcuch grubych, czarniejszych niż ona punktów. Połyskiwały też one rzędem drobnych świateł, podobnych do czerwonawych, mrugających oczu. |, Z daleka, nisko, nad samym szlakiem rzeki posuwała się postać zupełnie samotnego człowieka. Na tle mdławej białości śniegu wydawała się ona cienką linią szybko przerzynającą grube, ale mniej od niej czarne ciemności. Wznoszące się ze stron obu wysokie ściany kotliny zmniejszały jej rozmiary, można by pomyśleć, że jest to nieskończona małość płynąca po morzu nieskończonej wielkości. Wielkie morza nocy i samotności rozlewały się ■ wkoło niej; zbałwa-nione szumiące wichry zdawały się nieść ją po szerokim, dzikim, ponurym łonie natury, wobec której sił, gróźb, ogromu była ona kroplą, okruchą, ziarnem piasku, źdźbłem trawy upadłym na dno przepaści...

Jednak pomimo pozorów nadawanych mu przez otoczenie człowiek idący po dnie przepaści silnym tyć musiał, bo jak zręczny i wyćwiczony pływak porze wzburzone wody, tak on szybko, niezachwianie, w linii prostej pruł posuwiste fale i wirujące słupy wicherów. To, co go otaczało — jakkolwiek czarne, dzikie i bezludne — nie czyniło kroku jego powolnym Bi trwoźnym. W zamian coś go z tyłu popychało, gnaio, parło coraz dalej, coraz gwałtowniej. Ku cze-Ku .jakiemuś może punktowi wybawienia czy

280

schronienia, widzialnemu tylko jego oczom, ciemnością i uderzeniami wicherów oslepiamym, a może i tym oczom nawet nie znanemu i tylko ognistymi zgłoskami wypisującemu na tle nocy krzyk: Naprzód! naprzód! byle dalej!

Szedł prędko, równo, w linii niezachwianie prostej, cicho jak widmo sunące po mniej czarnych niż ono ciemnościach; czasem tylko u stóp jego rozległo się krótkie, metaliczne stuknięcie kija o wystający spod śniegu kamień wybrzeża.

Wtem stanął, jak wryty stanął i głowę podniósł ku rozciągniętemu na górze łańcuchowi czarnych punktów, czerwonawymi światełkami mrugających. Na łańcuch ten widocznie patrzył, a w pogwizdy wicheru, który spod stóp jego wybuchnął wirującym słupem, wmieszał się okrzyk ludzki, zdziwienia pełen, z jednego tylko, lecz przeciągłego dźwięku złożony:

— A!

Zadziwił się. Kilka minut patrzył w górę i raz jeszcze, ale już cichszy i krótszy wykrzyk rzucił pomiędzy dwa nieskończenie długie jęki wicheru:

— A!

Potem szedł znowu dalej, lecz znacznie powolniej niż przedtem. Po ruchach jego głowy poznać można było, że z usilnym wytężeniem wzroku spoglądał na rzekę, na

szczyt przeciwległej ściany, pusty i tylko rzadkimi liniami cienkich drzew majaczący, na mdławo bielejące zagłębienia i garby tej wyniosłości, u której stóp postępował z wolna, coraz wolniej.

...Niegdyś, niegdyś w błękitie i złocie letniego dnia nad tą rzeką schylała się młoda jeszcze chłopka w pstrej spódnicy do wysokości kolan podniesionej, z pralnikiem, którym silna jej ręka rozgłośnie uderzała o szare płótna przykryte płynnym kryształem wody. Tuż za nią z łożinowego kosza osłoniętego czerwoną chustką wydobywało się na świat boży małe-pyzate, Inianowłose dziecię i ciekawymi, chciwymi świata oczami patrzyło na błękity i złoto dnia let'

tal

niego, na usiany kamieniami piasek wybrzeża, na płynne kryształy wody i schyloną nad nimi, białym pralnikiem szare płótna uderzającą, na silnych i nagich nogach jak na potężnej podstawie opartą matkę-

Znowu stanął. Tam gdzie na górze ostatnim ze wszystkich światelkiem mrugał ostatni, czarny i nieco od innych grubszy punkt łańcucha, od dołu wspinać się zaczynała droga szeroka po mniej stromej niż gdzie indziej spadzistości sunąca coraz wyżej. Z jednej jej strony stały w ciemnościach i z cicha szumiały sosny, z drugiej wiły się kręte, niewyraźne cienie płotków, na których, niby na poręczy wschodów bogacza, śnieg rozesał puszyste poduszki.

Stanął, na drogę pnącą się w górę wyteżonym zapewne wzrokiem patrzył i znowu w szum wichru lecącego po ściętych teraz kryształach rzeki wmieszał się okrzyk ludzkiego głosu pełen zdziwienia: — A!

Długo stał w początku drogi. Wahał się, czy z samym sobą walczył? Kijem silnie uderzył o kamień, rękę do głowy podniósł i wnet ją wzdłuż ciała opuścił. Z wolna, coraz wolniej iść zaczął drogą, wspinając się po spadzistej górze, coraz wyżej...

...Niegdyś, niegdyś drogą tą na tę górę wchodził chłop wysoki i silny, białą koszulą świecąc w jesiennej mgle, bose stopy zatapiając w piasku, a na plecach niosąc sieć, przez której szerokie oka połyskiwały srebrne łuski i różowe skrzela rybie. A za nim wyrostek bosonogi, z hardo odrzuconą głową, z zawieszoną na ramię wyższą od niego wędą, biegł jak młode źrebię, grzywę rozwiewając, podskakując, ku braciom, którzy ciekawie wyglądali zza płota, dzieje Połowu opowiadając tak rozgłośnie i tryumfująco, że głos jego daleko rozlegał się po wsi i pomiędzy rzadkie sosny wpadając rozbijał się nad mogiłami w ty-Sl3c śpiewnych, wesółych dzwonek... r. Wszedł pomiędzy sosny, kilka razy potknął się o mogiły niskimi krzakami otoczone, śniegiem przy-

282.

sypane i tuż przy ziemi niskimi krzaczkami sterczące. Jak olbrzym domki liluputów, szerokimi krokami prze-stępował mogiły i krzaki kierując się ku czemuś, co czerniało pośrodku wiejskiego cmentarza, znacznie wyższe od krzaków a niższe od drzew, które teraz pod dotknięciem wiatru głośno zaszumiały i ciszej, przeciągle westchnęły. Stanął i z bliska patrzył na ściany cmentarnej kapliczki, na drzwi jej próchniejące, wykrzywione, jednak zamknięte. W westchnieniach drzew z wolna poruszających w ciemnościach wachlarze swych gałęzi wmieszał się dźwięk ludzkiego głosu do westchnienia podobny:

— A!

Rękami uczynił parę żywych poruszeń, coś metalowego zadzwoniło mu w palcach i chwilę dzwoniło przy drzwiach, aż otworzyły się one i ukazały głąb kapliczki czarną, w górze dwoma małymi oknami jak mgławosrebrnymi plamami świecąca. Wszedł i na chwilę zupełnie zlał się z czarną ciemnością, ale wkrótce u wysokości jego piersi błysnęła ognik latarki, który przecież najciemniejszej nitki światła na niego nie rzucił. Była to latarka kryta, mała; światło jej wąskim i chwiejnym strumieniem wymykające się zza małej szyby, blaszanym półkolem z trzech stron osłoniętej, odwrócił od siebie, a skierował ku niskiemu ogrodzeniu, za którym u ściany, na wielkich plamach pleśni mętnie zamajaczyły linie rozpiętego na krzyżu Chrystusa. Z wielkiego, drewnianego, prosta- czą ręką wyrzeźbionego krucyfiksowi wąski i chwiejny strumyk światła przesunął się nieco dalej i oświecił obraz, na którym Bóg Ojciec w falującej, szkarłatnej szacie dłoń trzymał na białym globie. Bóg Syn w spłowiałych szafirach dwa palce wznosił w górę, a Bóg Duch Święty białym gołębiem z rozpiętymi skrzydłami ulatywał aż pod czerwoną ramę obrazu. Znowu strumyk światła zakołysał się w czarnej przestrzeni i upadł na wielką, grubą szmatę papieru bez ram wiszącą u wystającej deski ściany. Tam święty Jerzy z rozwiniętym nad głową proporcem pędził na

283

koniu malowanym w białe i czarne pręgi, a w chwiejnym strumieniu światła postaci ludzka, kształty zwierzęce i linie proporca, ukazując się, to znikając, tu wydłużając się, tam skracając, tworzyły całokształt dziwny, naturze nie znany, groźny, do apokaliptycznych potworów albo rycerzy podobny. Dokoła kapliczki przeciągłej, rozpacznie westchnęły drzewa, wiatr z jękiem wpadł przez szczeliny okien i zaszmotał starą kartą, która wzdeła się i jak skrzydło ptasie z szelestem uniosła się w górę. Zdawać się mogło, że apokaliptyczny rycerz zrywa się z miejsca, na którym go przykuto, i z proporcem, podobnym do kosy, na koniu o lwiej grzywie wnet w przestrzeń uleci. W jęki wiatru przez szczeliny okien wlatujące wmieszał się szept ludzki, gruby, przerażony: ,

— Jezu miłosierny! ratuj duszę moją! I ...Niegdyś, niegdyś pacholę chłopskie w świąteczną sukmankę odziane, przez matkę za rękę tu przyproawdzone, klękało u drzwi tej kapliczki i z trwogą, która walczyła z zachwytem, wznosiło błękitne, niewinne oczy na wielki krucyfiks i wymalowanego wśród papierowej karty konnego rycerza z proporcem...

Latarkę zgasił. Wszedł z kapliczki, drzwi jej pozostawił otworem i nie zatrzymując się już ani na chwilę, wysoki nawet wśród wysokich sosen, powoli znowu, krokami olbrzyma przestępował krzaki i mogiły-

Z cmentarza wszedł na drogę, szerokość jej przebył i rękę położył na wrotach pierwszej z rzędu zagrody wsi. Zanim je otworzył, wyteżonym wzrokiem na chatę w głębi podwórka stojącą popatrzył i raz jeszcze przeciągle wymówił: . — A!

Głową zakołysał, jak ktoś głęboko, bez granic zdziwiony. Wrota skrzypnęły, drobny cień psa szybko i z głośnym szczekaniem od progu chaty posunął się Podwórkiem; zza okna mrugającego w ciemnościach czerwonym światłem słycać było głos gruby, sil-

284

ny, ale świeży, młodzieńczy, prędko, długo, nieprzerwanie opowiadający o czymś,

opowiadający, opowiadający...

Była to chata starego Szymona Mikuły, który teraz w obszernej i niskiej izbie siedział na zydlu, przy ustach trzymając wielką glinianą fajkę, na krótkim cybuchu osadzoną. Miał zapewne lat przeszło sześćdziesiąt, lecz nie wyglądał wcale na jednego z tych ojców rodzin, których synowie okładają razami lub spod strzechy już ich nie potrzebującej wypędzają. Na tle odymionej ściany, o którą opierał szerokie i trochę tylko przygarbione plecy, w mdłym świetle palącej się na stole lampki z wysokim kominkiem postać jego w białe płótno przyodziana zarysowywała linie potężne, grube kłęby dymu, - które nieustannie z ust wypuszczał, zasłaniały, to odsłaniały głowę wielką, nad czołem wyłysiałą, a z tyłu otoczoną wieńcem siwych włosów, i rysy duże, ściągłe, rumianą cerą powleczone, bujnym, twardym wąsem zjeżone, oświecone dwojgiem oczu błyszczących i mądrych, które spod gęstych i obwisłych brwi spoglądały ze spokojną energią i ostrą przenikliwością. Ręce jego, z których jedną zasunął pod przepasującą koszulę czerwoną taśmę, a drugą fajkę przy ustach trzymał, wielkie, silne, żylaste zdradzały przechowaną wybornie zdolność do pracy i żelazną siłę ujęcia. Łatwo było domyśleć się, że gdy ten starzec wstanie, wyprostuje się i przemówi, wszyscy tu obecni śpiesznie i pilnie spełnią wszystko, cokolwiek im spełnić rozkaże. Obecnych zaś w izbie tej było wielu, a wszyscy w tej chwili siedzieli lub stali nieruchomo, w milczeniu, w postawach takich, w jakich uwagę ich i ciekawość P^o chwyciło opowiadanie, którego słuchali.

Najstarszy syn Mikuły, bednarz, chłop około czterdziestoletni, rękę z heblem, którym wyglądał leżący przed nim ząb brony, oparł na ławie i ponuro opU'

285

ścił twarz, tak okrytą gęstwiną czupryny i zarostu, że pośród niej jak iskry pośród zarośli błyskały czarne, ogniste oczy. Żona jego, równa mu prawie wiekiem, stała przed kominem, na którym palący się ogień od stóp do głowy blaskiem swym oblewał kibić jej "wysoką, wyprostowaną, silną, z głową dumnie w tył odrzuconą i skrzyżowanymi u piersi ramio-ny. Tuż za tą poważną, o pięknych rysach i energicznej postawie gospodynią chaty, w cieniu nieco, za px-zezroczystym kołem i wysoką przańnicą kołowrotka siedziała córka Mikuły, która przed chwilą przedła, ale teraz z ręką podniesioną ku płowej kądzieli znieruchomiła, pasowe usta rozwarła i wszystko w niej, krępa kibić i ciemne ręce, zadarty nos i rumiane policzki, błękitne oczy, a nawet rudawe włosy po wąskim czole rozrzucone, zdawało się być zaczarowanym w zdumieniu i przerażeniu. Przerażoną też, ale bardziej jeszcze zaciekawioną wydawała się stara, mała, szczupła babuła, która przy samej ziemi na niecce dnem do góry przewróconej siedząc miała przed sobą sito pełne strąków fasoli. Łuszczyła je była przed chwilą i z kilku strąkami w kościstej, żółtej ręce głowę jakby oklejoną okrągłym, czerwonym czepekkiem wysuwała pod światło ognia, które dziwne rumieńce kładło na jej pomarszczone czoło i migotliwe iskry krzesalo w zapadłych, lecz bystro biegających oczach. Ciekawą też i zdziwioną wydawała się młodziutka, jak jutrzienka świeża, jak brzoza wysmukła żona młodszego syna Mikuły. Na zydlu w świetle lampki siedziała ona naprzeciw ponurego bednarza 1 u piersi okrytej granatowym kaftanem kołysała Paromiesięczne dziecko. Wielki kosz z łoży, w którym spało inne niemowlę, na grubych sznurach zwiisał u odymionej belki sufitu obok szerokiego tapczana zasłanego sianem i okrytego radnem. Dwie dziewczice,

frędzlami płowych włosów przysłonione głowy Pochylały się nad izbą ze szczytu wysokiego i roz-c^teg0 pieca; z za szerokich pleców bednarza wy-yiało się płowowłose, piętnastoletnie pacholę, z kłę-

286

bami sznurów na kolanach i z iglicą do wiązania wię-cierzy w rękę. W pełnym oświetleniu lub chwiejnych półświatłach dwanaście tych istot ludzkich różnej płci i różnego wieku nieruchomą grupą napełniało niską izbę, w której wiele miejsca zajmowały gospodarskie statki, rybackie narzędzia i rozłożyste krośna tkackie. Pośrodku izby stał opowiadający. Był to młodszy z dwóch synów Mikuły, trzydziestoletni, wysoki, zgrabny człowiek, którego postawa i ubiór okazywały pewność siebie połączoną z dążeniem ku niejkiej już wytworności. Tylko co snadź powrócił z drogi, bo jeszcze nie zdjął zgrabnego kozuszka, od którego czarnego baraniego kołnierza silnie odbijała ruda-wość jego krótko przystrzyżonej brody i świeża ru-mianość cery. Złote włosy z rudawym odcieniem na tył głowy odrzucone ukazywały czoło bielsze od twarzy, śmiałe i roztopne. Trzymał jeszcze bicz, którym w podróży konie poganiał, i z żywymi gestami ramion i głowy opowiadał:

— Dalibóg, prawdę mówię! Żebym zdechł, jeżeli kłamię! Cały świat był dziś w miasteczku i wszyscy tak o tym gadali, że i targu żadnego nie było. Wszyscy gadają, że to jest Bąk, ten sam, co to dziesięć lat temu ze współnikami — żeby im dobra nie było! — troje ludzi zamordował...

— Żydów zdaje się, czy co? — rękę ku włosom niosąc mruknął ponury bednarz.

— A toż — potwierdził opowiadający — dwóch Żydów i jedną babę, co wtedy u nich nocowała, zamordowali, a całego bogactwa trzydzieści r u b l ó w u nich znaleźli. Wtenczas jego złapali i przekonali (Sie, że to ten sam Bąk, który już przez kilka lat gdzieś indziej w dalekich stronach dokazywał-Kramy odbijał, pieniądze chfalszował i tylko ttle, że jeszcze nie zabijał... Aż tu i zabijać już zaczął!... Aż tu i sąd nad nim zrobili, do katorgi jeg° osądzili i na wieczne czasy na Sybir osadzili, a on z turmy uciekł. Uciekł szelma, odzienie inne w; ożył i na robotnika do jakiejś chfabryki poszedł."

poszedł na robotnika do jakiejś chfabryki i był tam rok, dwa roki, trzy roki za fałszywym paszportem był... Aż i tam jego złapali i bili za to, że uciekał, nie żart, jak bili, gadają, że sto pletni * szelma dostał.

— Aj! — żałośnie jąknęła młodziutka kobieta, dziecię w ramionach kołysząca.

— Aaaa! — ze zdziwienia głową zakołysała baba.

Pacholę z za pleców bednarza wyglądające szeroko otworzyło oczy, których pogodę i niewinność zmaciła trwoga.

— Wytrzymał! Ot, mój Boże! i wytrzymał! — nie zmieniając poważnej postawy i ramion nie rozplatając zauważyła gospodyni.

— Ale! — wykrzyknął opowiadający — czort duszy jego nie wziął! W bolnicy** trochę poleżał i w Sybir go pognali. Zagnali go het, aż na sam koniec świata, żeby już drugi raz nie uciekał. A on wziął i taki uciekł...

— Z katorgi uciekł? — fajkę z ust wyjmując, po raz pierwszy odezwał się stary Mikuła.

— Ale, tatku, z katorgi. Był tam rok, dwa roki, trzy roki, aż nogi wziął za pas i

hajda w świat! Słyszę, po całutkim cesarstwie pisma rozesłali. Do gubernatorów i do policmajstrów, i do stanowych ***, i do wołostnych kancelarii **** pisma rozesłali, że, mówią, taki a taki z katorgi uciekł, że, mówią, szukać jego i łapać wszystkim, kto tylko żyje, przykazuje się... Słyszę, po całutkim cesarstwie szukali, aż ot!... Kab jeho wołki zduszył y... tut znaleźli...

— Aj! — zza kołowrotka wrzasnęła Hanulka.

Gospodyni ramiona rozplotła i po raz pierwszy

•Fletnia — bat spleciony z rzemienia, którym wy-mierzano karą chłosty. t"Boliica (z ros.) — szpital.

** Stanowy (z ros.) — urzędnik policyjny, komisarz. *• Wołostna kancelaria (z ros.) — kancelaria gminy.

288

przestrach roztworzył nieco jej piękne i jeszcze rumiane usta.

— H d z i e? — ozwał się znów Mikuła — h d z i e tu znaleźli? Z durnego gadania durniom pociecha...

— Dalibóg, tatku! — niezadowolaniem ojca żywo dotknięty, szeroko ramieniem i batem rozmachując wykrzyknął opowiadający.

— Żeby mnie choroba ruszyła, jeżeli łgę! Tut znaleźli... o dwie mile od nas siedział... w chfabry-c e znów robotnikiem był, za fałszywym paszportem znów był... Ot i fałszywy paszport poznali, ot już i łapać mieli, a on nie dureń, wziął i znów uciekł... psia jego krew... jaki mądry! cha, cha, cha, cha!

Sam jeden śmiał się, inni milczeli, a Mikuła brwi ściągając zapytał:

— A nie breszesz*, Aleksy? A nie wymyślił, żeby baby straszyć?... A próbował kiedy b a ć k a ** zwodzić! A?

Teraz młody chłop strwożone nieco spojrzenie zrazu na ojca rzuciwszy z obrazą w głosie odpowiedział:

— Jeżeli ja łgę, to i pisarz łże. Od pisarza ja najwięcej i nasłuchał się o tej h a w a n t u r z e, bo do kancelarii pismo przyszło, że on tu tylko co był i znów przepadł... to musi jeszcze daleko nie zaszedł, to żeby jego szukać... takie pismo przyszło...

— Może ichfotografię do kancelarii przysłali? — zapytał bednarz.

Aleksy z pogardą ręką machnął.

— Z takich, jak on chfotografii nie rysują-z innych rysują... Ale pisarz mówił, że pismo przyszło... Szukajcie, mówi, jeżeli Boga kochacie, szukajcie, a to, mówi, całemu światu wielka bieda będzie... Rozboje będą, mówi, złodziejstwa, grabieże będą! to i to będzie... A jak jego kto złapie, to zaraz do turmy odstawim, mówi... Już teraz, mówi, nie sto pletni, wprzód, ale dwieście jemu wsadzą za to, że drugi

• E-eszesr (białorus.) — kłamiesz.

»» B a ć k o (białorus.) — ojciec.

289

raz uciekał... w kajdany mocne, żelazne okują i na całutkie już życie do katorgi zaprzęgą... ot, jak!

Nikt nie poruszał się i nic nie mówił. Mogło się zdawać, że przez tę spokojną, ciepłą, ludną izbę przepłynęło ponure widmo z głową potępieńca i krwią ociekającymi plecami. Na koniec Mikuła wyprostował się, fajkę o brzeg stołu uderzył popiół z niej otrząsając i z ręką wyciągniętą ku leżącym na stole, przez syna z jarmarku

przywiezionym pieniądzom wymówił:

^ — Sprawiedliwie! tak szelmom wszystkim robić trzeba. Niechaj nie dokazują, cudzego nie ruszają, niewinnej krwi nie marnują, bo tego zabronił Pan Bóg najwyszejszy, a wszystkim niewinnym ludziom od niesprawiedliwości i krzywdy obrona i ubezpieczenie być powinno. H o d z i! *

Kilka zmiętych asygnat za koszulę włożył i po wszystkich obecnych, po synach, synowych, córce i wnukach wodził błyszczącymi oczami, które w tej chwili przybrały wyraz surowy i twardy. Grube zmarszczki falowały mu po szerokim czole, w całej postaci malowała się wyraźnie myśl, której jednak nie wypowiadał, że gdyby ktokolwiek z tych, na których patrzył, wstąpił na taką drogę, po jakiej szedł tamten, u samego jej początku pierwszy i nieubłagany opuściłby na niego tę wielką, żyłastą, z brązu zda się, wykutą swą rękę...

— H o d z i! ■— wymówił i po worek z tytoniem sięgnął.

Wszyscy milczeli. "Wiedzieli, że ilekroć stary wyraz ten wymówi, wszelkie spory i sprawy rodzinne i inne stanowczo rozstrzygniętymi zostają. Aleksy bat oparł o ścianę, do żony zbliżył się i, pochylony, jedną ręką po plecach ją głaskał, a palcem drugiej, wodził po uśpionej twarzy i czerwoną czapką okrytej Słowie niemowlęcia. Bednarz posunął heblem po na Wpół wygładzonym zębie brony; kołowrotek Hanulki j, * H o r i z l (bialorus.) — dosyć. "~1§?raeszkowa

290

zaturkotał; gospodyni garnek z gorącą wodą z komina wyjmowała...

Drzwi skrzypaneły, do izby wpadł naprzód ujadając i warcząc nasrożony, zjeżony, kudłaty kundel, a zaraz potem ozwało się przy progu wymówione pozdrowienie:

— Niech będzie pochwalony...

Głos, który je wymówił, gruby był, ochryply i czuć w nim było przyśpieszony oddech.

— Na wieki wieków... — chórem odpowiedzieli przytomni.

Mikuła, z dłoni czyniąc sobie daszek nad oczami, ku drzwiom spoglądał; gospodyni oczy od ognia odwróciła, hebel bednarza i kołowrotek Hanulki umilkły znowu.

— Panie gospodarzu i pani gospodyni — mówił u progu głos gruby i ochryply — podróżny jestem i łaski waszej proszę. Pozwólcie godzinkę w ciepłej chacie posiedzieć; ogrzeję się i dalej pójdę... długo wam nie dokuczając...

— Prosim! wejdźcie sobie i posiedźcie — odpowiedział stary.

— Czemu nie? wejdźcie, bądźcie łaskawi i ogrzejcie się sobie... — grzecznie zaprosiła gospodyni.

W szeroki pas światła, od ogniska padający, wszedł człowiek rostry, barczysty, lecz bardzo chudy, w ubraniu składającym się z wysokich butów, wsuniętych w nie spodni z grubego sukna i dość cienkiego, na jednym ramieniu szeroko rozdartego surduta. Do podróżowania w wietrzną noc zimową ubiór ten nie był stosownym; toteż od chłodu może twarz jego bardzo wydłużoną i kośćmi policzków sterczącą okrywała błądź przypominająca cienki, żółtawy papier. Do zmiętej bibuły podobnym było jego czoło wysokie, powiększone jeszcze małym wyłysieniem, za którym pobłyskiwały rudawe włosy.

Rudawy wąs ocieniał mu wąskie usta; podługne oczy ze źrenicą tak szafirową, że z dala uwagę ta. ich barwa zwrócić musiała, szybkim, wszystko, zda|

się, od razu widzącym spojrzeniem ogarnęły całe wnętrze izby.

— Siądźcie, bądźcie łaskawi, odpocznijcie! — od komina nie odchodząc przemówiła gospodyni. — Jasiek — na syna zawołała — podaj panu stołek! Nazywała go panem, bo surdut miał na sobie, a chociaż u progu przemówił tym językiem, jakim' w tej chacie mówiono, znać było, że nie posługiwał się nim zwyczajnie.

Usiadł na stołku, gruby kij z żelaznym u końca okuciem pomiędzy kolanami umieścił i silnie zatarł długie, czerwone, z grubymi palcami ręce. Podniósł przy tym twarz i uśmiechnął się tak, że wyglądał współbezmyślnie, współwesoło.

— Oj, zimno, zimno... — zajęczał — i głodno! — dodał, ale żartobliwość z twarzy . mu nie zniknęła. Można by myśleć, że skarży się żartem.

— Wiater dziś taki, że nie daj Boże — zauważył Aleksy.

— Chcecie jeść? — głowę znad roboty podnosząc i ciekawie na przybyłego patrząc zapytał bednarz.

Znów ręce zacierać zaczął.

— Zjadłbym, pewno, że zjadłbym sobie, gdybym co miał, ale na drogę zapasu nie wziąłem...

Uśmiechał się żartobliwie, na podobieństwo kpiarza, który towarzystwo zabawić i wesołością swą ująć dla siebie pragnie, ale ochrypli głos skrzypiał jak niewysmarowane koło wozu, a wzrok chciwie W głębi komina tonął.

— Dwa dni w drodze... — zaczął znowu — gdzie!... pamięć mi w głowie zamarzała czy co? już dwie niedziele* w drodze... Idę, taj idę, taj szukam, czego nie zgubiłem, i nie wiadomo tylko, czy znajdę... cha, cha, cha, cha!

Mówił głośno, jeszcze głośniej śmiał się. Kij wysu-mu się spomiędzy kolan i upadł na ziemię; schy-

*Niedziela (z ros.) — tydzień.

19»

292

lił się i podniósł go z niezmierną gibkością i szybkością ruchów.

Wszyscy milczeli. Nikt tu prócz ojca rodziny rozkazów żadnych nie wydawał.

Mikuła obojętnie na przybyłego patrzył, a potem z wolna ku starszej synowej głowę zwrócił.

— Krystyna! — majesz szto iśći? jeżeli masz, to gościa potrachtuj *...

— Tołkanica** z makiem je — odpowiedziała.

Stary otoczył się kłębem dymu.

— Z daleka? — zapytał.

Gość z wytężeniem na niego patrzył.

— Z Prus — odpowiedział.

— Pewno do jakiej chfabryki, bo najwięcej Miemców do chfabryk idzie...

— Pan Miernie c? — cienkim głosem i z nadzwyczajną ciekawością zapytało piętnastoletnie chło-pię.

— Ja nie Niemiec, ale z Niemiec idę... do fabryki idę... gdzie płócienka robią, bo słyszę, zarobek dobry... a niedaleko stąd, słyszę, koszary budują... może tam najmę się, bo i mularstwo znam... byle zarobić, byle żyć; biednemu człowiekowi byle

zarobić, byle żyć...

— Oj, to prawda! biednemu człowiekowi byle zarobić... byle żyć! — z głębokim zrozumieniem potwierdziło parę głosów.

Krystyna postawiła na stole misę pełną kartoflanej kaszy, szarej od przymieszanego do niej maku, zastygłej i tak stwardniałej, że ją nożem krajać było trzeba. Położyła też przy misie nóż i spory kawał czarnego chleba. Kiedy chodziła po izbie, ruchy jej były poważne, twarz spokojna, a głowę ciągle dumnie trochę podnosiła. Może przewodniczące jej położenie w ludnej chacie, może zgodne pożycie z mę-

» 1Vi a j e s z szto iśc 1... (białorus.) — czy masz c0" do jedzenia... poczęstuj.

••Tołkanica (białorus.) — gotowe kartofle cione z makiem.

293

żem i szczęśliwe macierzyństwo oblekały ją cechami powagi i osobistej godności.

Była też grzeczną.

— Jedzcie, bądźcie łaskawi — zapraszała gościa.

Długie, chude, czerwone jego ręce pochwyciły naprzód chleb i do ust go poniosły, lecz niespokojne oczy zdawały się jeszcze czegoś szukać po stole.

— Nie gniewajcie się, panie -gospodarzu — ale zmarzłem jak kość... żeby można dostać kieliszczyków wódeczki... wódeczki!

Żarłocznie chleb przeżuwał znowu gestem wesołego kpiarza ręce zacierał.

— Czemu nie można? można! — spokojnie odrzekł gospodarz. — Krystyna! daj wódki!

Bednarz głowę znad roboty podniósł, oczy mu chciwie błysnęły. Krystyna przyniosła butelkę i kieliszek z grubego, zielonawego szkła, który gospodarz w połowie napełnił i do ust go niosąc ku gościowi głowę skłonił.

— Na zdrowie! — rzekł i wypił powoli, prawie po kropli.

Kiedy gość brał napełniony po brzegi kieliszek, grube palce jego drżały.

— Na szczęście! — odpowiedział i od razu z chciwością sporą miarkę trunku w gardło sobie wlał.

Bednarz patrzył na starego i nieśmiało trochę po butelkę sięgał. Stary milczał.

Bednarz więc wypił i butelkę ku bratu wyciągnął.

— Aleksy, piej! -

— Nie chcę, nie b u d u pici, żonka zabroniła! — odmówił młody chłop i na całą chatę głośnym parsknął śmiechem. — Dalibóg, zabroniła! — mówił dalej — jak przyczepiła się do mnie: „Nie pij, Aleksy, i nie pij! Kiedy mnie choć trochę lubisz, kiedy Boga najwyższego boisz się, nie pij! Przysięgnij, że nie będziesz pić, przed krzyżykiem Przysięgnij!" Widzę ja, że nijak nie odczepię się od abskiego języka, wziąłem, taj przysięgłem i już musi będzie, jak wódki nie pokosztowałem. Może ja Jelenka, a? czy ja łgę?

294

295

Młoda kobieta, w serdecznym śmiechu białe zęby ukazując, ręką go po twarzy pogładziła.

— Kab ty skis, kiedy ty przez moje gadanie pić przestał!... sam wielki taki wyrósł, to i rozumu nabrał...

Baba wstała z niecek, do stołu podeszła i na butelkę patrzeć zaczęła.

— Piej! — rzekł do niej stary.

Z kieliszkiem w rękę pokłoniła się wszystkim dokoła i wypiwszy, rękawem koszuli zapadłe usta otarła. Gość wlepił w nią oczy tak, jakby rysy jej rozpoznawać usiłował. Ogromne kawały kaszy pożerał, okruchy jej z garści do gardła wsypywał, a w miarę tego jak głód zaspokajał, coraz ciekawiej i uporczywiej przypatrywał się wszystkiemu i wszystkim. Chwilami zdawało się, że czegoś lub kogoś wzrokiem szukał. Spoglądał na tapczan, potem na szczyt pieca, potem znowu na tapczan. Nagle zapytał:

— A żonka wasza, panie gospodarzu, żyje?

— Już dawno umarła... z dziesięć років już będzie, jak umarła... — zagadała baba, wypitą wódką skrzepiona i ożywiona. — Tego samego lata umarła, jak mnie ze dwóra odprawili... wtenczas mnie Szymon do swojej chaty przytulił; niech jemu Pan Bóg najwyższy za to we wszystkim dopomoże! „Krystynie w gospodarstwie pomagaj”, powiedział...

— Umarła — przerwał gość, a znieruchomiałe jego oczy tkwiły znowu w twarzy rozgadanej baby. — A wam, matko, Nastula na imię... we dworze gospodynią folwarczną byliście.

— A toż! — z uradowaniem wykrzyknęła baba.

— A skądże wy o tym wiedzieć możecie? — zagadnął Aleksy.

Ale przybyły pytania tego nie usłyszał, czy na nie odpowiedzieć nie chciał. Po ścianach teraz oczami wodził...

— Dawności, panie gospodarzu, tę chatę zbudowali?

Powoli, obojętnie Mikuła odpowiedział, że chata jest starą, a tylko niedawno podniósł ją trochę, przegniłe zręby nowym drzewem zastąpił, większe okna wyciął...

— Ja też patrzę, że izba jakby niezupełnie ta, co była...

— Alboż byliście tu kiedy? — zagadnął bednarz. Nie odpowiedział znowu. Jeść nie przestając, oglądał się dokoła. Na bednarza i na Aleksego długo popatrzał i nagle jakoś rzekł:

— Ot jak. Starej już nie ma! A po chwili dodał:

— I Jaśka nie ma!

— Jakiego Jaśka? — fajkę od ust odejmując i bystro na gościa patrząc zapytał stary.

— Ot, jakiego! — zaśmiał się gość — a toż waszego trzeciego syna, panie gospodarzu!

— Czy wy tutejsi, że tak wszystko wiecie? — zagadała Jelenka.

— Musi byliście tu kiedy! — zza czerwonych powiek wlepiając w niego spłowiałe, ale ciekawe oczy przemówiła baba.

— Widać ze wszystkiego, że wam tu być nie pierwszozna — ozwał się Mikuła.

Tak obłożony pytaniami, przybyły zrazu twarz ku stołowi pochylił, a potem z głuchą jakąś złością mruknął:

— No, byłem, byłem... to i co, że byłem?

W mgnieniu oka jednak złość czy niecierpliwość poskromił i obojętnie mówił:

— A byłem tu... za robotnika najmowałem się wtedy, kiedy nowy dwór budowali... przy budowaniu nowego dworu pracowałem...

- Dawno to już było, może i ze. dwadzieścia lat temu — zauważył Mikuła.
- Więcej niż dwadzieścia — poprawił gość.
- Nie żart, jak wtenczas dużo cudzych ludzi do kgo budowania przychodziło...
- zauważył bednarz.

A dużo. I ja przychodził.

*

Z<J6

Stary uważnie na gościa popatrzył.

— Cościś mnie mroczy w oczach... albo zdaje się, że was znam... albo zdaje się, że nie znam...

— Jak Boga kocham — zagadała się baba — k a b ja z tego miejsca nie wstała, kiedy i mnie nie tak samo... albo zdaje się, że was znam... albo zdaje się, że was nie znam... Musi wy kiedy ze mną rozmawiali, jak przy budowaniu nowego dworu byli... Przybyły uśmiechał się i z dziwną uporczywością patrzył na jej wyschłe, pomarszczone, jak wosk żółte ręce. /

— Oj, rozmawialiście ze mną, matko — zaczął — rozmawialiście nie raz, nie dwa i nie dziesięć razy... oj, przynosiliście mnie w tych rękach swoich chleb nasmarowany miodem albo masłem, któreście z pańskiej spiżarni pod sekretem brali... cha,, cha, cha, cha!

Śmiał się głośno, z podniesioną twarzą; a oczy mu gorzały jak dwa rozżarzone węgle.

— K a b mnie dziś w nocy uduszyło, kiedy pamiętam... nie pamiętam... czy ja z wami rozmawiała, czy nie rozmawiała, czy wam kiedy chleb dawała, czy nie dawała, niczego nie pamiętam, tylko mnie zdaje się, że albo was znam, albo nie znam... taki znam! taki nie znam!... a! co to takiego?

Dwie pary oczu: jedna bystra i przenikliwa, spod siwych, obwisłych brwi spoglądająca, a druga spłowiata, od ciekawości połyskująca i żywo biegająca pod czerwonymi powiekami, wpatrywały się w przybysza, który zaniepokoił się, znowu ręce zatarł, bezmyślnie roześmiał się i ze stołka powstawszy szerokimi krokami do komina podszedł. Tu, w całej wysokości swej wyprostowany, ręce za plecy założył i wzrok spuścił ku dziewczynie, która przy zbliżeniu się jego prząść przestała i w zalęknieniu czy zawstydzeniu ręce na kolana opuściła. Ze spuszczonego ku niej wzrokiem przemówił:

— A ty córka gospodarza?

Odwracając od niego twarz zarumienioną szepnęła:

297

— Ale. Córka.

— Musi najmłodsza? Musi tobie dwudziestu lat nie ma...

— A nie ma...

r— A starsza siostra, Maryśka, żyje czy umarła?

— żyje...

— Za mąż poszła?

— Poszła...

— Gdzież ona? W tutejszej wiosce?

— W Dubrowlanach... w mężowskiej chacie Siedzi...

— Aha! w mężowskiej chacie... we własnej chacie... to dobrze... ach, ach, ach...

Jak powiew wichru westchnienie gwałtowne i krótkie pierś mu podniosło. Zamilkł. Przy długim stole rozmawiano. Piętnastoletni Jasek swawolnie przekomarzał się z babą, że potajemnie drugi kieliszek wódki wypila, ona uderzając się pięścią w piersi krzyczała:

7 •— Breszesz jak pies! Kab mnie chwolera porwała, kiedy wypiałam!

Bednarz mówił coś do żony, spod ściany kołowrotek biorącej. Jelenka śmiała się głośno z kłótni Jaśka i baby. Jedne tylko tam usta milczały, powoli ciągnąc dym z krótkiego cybucha i jedna para oczu zza przezroczystego dymu, spod siwych, obwisłych brwi ciągle, przenikliwie patrzyła na stojącego przed kominem gościa. Wtem nad gwarem podniósł się donośny, pewnością siebie brzmiący głos Aleksego. Bokiem do stołu przyparty, szeroko rozłożył się on na zydlu i z głową mimo woli jakby, lecz zawsze podnoszącą się hardo, ku gościowi zawołał:

— A o Baku nie słyszeliście tam czego po świecie chodząc, ha?

Wszyscy umilkli odpowiedzi ciekawi, ale i gość Przez dobre pół minuty milczał. Potem spokojnie odpowiedział:

Czemu nie słyszałem? słyszałem. Cały świat o ^m tylko teraz i gada.

298

— A gadają, nie daj Boże nikomu, żeby tak o nim ludzie gadali! — zawołał młody chłop. — A jak myślicie: złapią jego czy nie złapią?

— Może złapią, może nie złapią... — flegmatycznie odpowiedział gość.

' — Dobrze byłoby, żeby złapali, a to pisarz mówił, że jak, broń Boże nie złapią, wszystkim bieda będzie... Rozboje, mówi, będą, grabieże będą, to i to, mówi, będzie... Co to, szelma taki, jeżeli na wolności zostanie, czy mało jeszcze biedy ludziom narobi...

— Czort jego złapie, kiedy on taki mądry! — wykrzyknął bednarz, którego drugi kieliszek wódki trochę rozchmurzył — dwa razy uciekał... to i teraz uciec potrafi.

— Już to mnie największa ciekawość, jak on mógł wtenczas, dziesięć lat temu, z turmy uciec. Jaż nie raz i nie dwa razy w mieście był i turmę widział... Mury takie, o Jezu! żołdacy ze sztykami* wszędzie... ptakiem trzeba być, nie człowiekiem, żeby wylecieć stamtąd... A on wyleciał... K a b j e h o... ot, mądry! Ścianę zębami przegryzł czy co?

— Ej, nie — krótko wymówił gość.

— A jakże? Bo żeby i kratę żelazną rozpiłował, toby przez okno wyskoczyć nie mógł... przez takie wysokie okno... jakby na kamienie z trzeciego piętra buchnął, toby mu od razu dusza z ciała uciekła...

Teraz stojący przed kominem człowiek, z rękami wciąż za plecy założonymi, swobodnie kołysać się zaczął w obie strony, z lekka przestępując z nogi na nogę. Było w tym poruszaniu się coś, co miejskiego dandysa przypominało. Z góry patrzył na przemawiającego doń młodego chłopca.

— On nie wyskakiwał przez okno, ale wyleciał... — z drwiącym uśmiechem przemówił.

— Chyba na tych skrzydłach, które mu czort przypiął — obruszył się bednarz.

— Nie na skrzydłach on wyleciał...

* Sztyki (ros.) — bagnety.

299

— To może na wieźmowej łopacie... — zażartował Aleksy.

Kobiety i niedorośli Jasiak zawtórzili jego śmiechowi.

— Na parasolu — wyrzekł gość.

Wszyscy umilkli. On, kołysał się przed kominem jeszcze swobodniej i po wszystkich obecnych z góry wzrokiem wodził. Może tak fanfaroni uliczni chełpią się przed zebraną w szynku publicznością wyższym stopniem swej uczoności i biegłości w światowych sprawach.

— Głupstwo! — mówił — dla nie wiedzącego to zdaje się cud, a dla wiedzącego głupstwo! Ot, jak on zrobił, ten Bąk, kiedy z tarmy uciekał...

Wziął swój kij, który przedtem tuż przy sobie o komin oparł, i odpowiednio nim gestykulując opowiadał:

— Wziął parasol, wielki taki parasol, rozpiął go, w dół, ot tak, obrócił, i razem z parasolem, ot tak, hyc przez okno... Żeby bez parasola, toby na łeb, na szyję zleciał i kark złamał... ale parasol spuszczał się w dół pomaleńku, pomaleńku, bo wiatr jemu prędko zlatywać nie pozwalał, aż spuścił się do samej ziemi... a Bąk tyle tylko, że jak długi wyciągnawszy się na bruku, nosem o kamień uderzył... Z nosa krew pociekła i kości okrutnie zabolowały, ale co tam! Za pas nogi wzięwszy, hajda w świat! Trzy lata potem jego szukali... parasol pod turmą teraz znaleźli, a jego trzy lata darmo szukali... eha, cha, cha, cha!

Przy tym opowiadaniu cała jego długa, koścista twarz zajaśniała doskonałą, dziecięcą prawie wesołością. Wyglądał jak niedorośle chłopię, które z filuterną przekorą opowiada o popełnionej psocie.

Obecni w zdumieniu podnieśli twarze i pootwierali usta. Wśród ogólnego milczenia głos gruby i surowy zza kłębow dymu wymówił:

A wyż skąd wiecie, jak to było?

~ H e t o ż praua! skąd wy wiecie? — zawtó-tyło pytaniu parę głosów.

300

Jakby w natarczywości tych pytań niechętnie dla siebie wyzwanie usłyszał, zuchwale głowę podjął i spod brwi, które zbiegły się groźnie, rozplómiionym okiem dokoła powiódł.

— A wiem! To i co, że wiem! rozumnego gadanie głupiemu dziw... Aaaa! Gęby pootwierali!... skąd wiem? Albo to ludzie języków nie mają i nie opowiadają... opowiadali, a ja słuchał... Pfuj!...

Splunął i nagle zaniepokoił się znowu, zmaconym wzrokiem dokoła rzucił, na kij swój spojrzął, ręce zatarł. Aleksy hardo w twarz mu patrzył.

— Cościś wy, panie — zaczął — bardzo już dużo o tym Bąku wiecie. Może wy kiedy jego i widzieli...

Lekceważąco ramionami wzruszył.

— A gdzie ja jego mógł widzieć? Nie widziałem. Z Prus idę... więcej jak dwadzieścia lat w tych stronach nie byłem. ,

— To szkoda, bo żebyście go widzieli, tobyście nam powiedzieli, jak on wygląda... Łatwiej byłoby złapać... Oj, złapałbym ja go, złapał z wielką ochotą i wprzód, nimby policja dowiedziała się o nim, sam bym mu kawał skóry z pleców zdarł...

— Pi, pi, taki młody, a już by ludziom skórę z pleców zdierał! — uśmiechnął się

przybyły.

— A kiedyż on rozbójnik! — zrywając się z ławy krzyknął młody i sierdzisty chłop — sam pisarz dziś mówił: „Kramy odbijał, pieniądze chfałszował, a już najgorsza rzecz, mówił, że troje ludzi ze spółni-kami swymi zabił...” Czy to bestii takiej żałować? Oj, oj, i jakbym ze skóry łupił!... niech drugich nie ubij a...

Pięścią w powietrzu wygrażał.

— Cichocie! cichocie, Aleksy! Nie kryczy tak! — ciągnąc za połę rozpiętego kożucha uspokajała męża młoda żona.

Bednarz ręką z heblem w powietrzu zamachnął-

— K a b jemu tak dobra na świecie nie było, jak qn niewinnych ludzi pogubił...

301

— Oj! — jęknęła Hanulka — jeszcze i teraz może rozbijać zacznie...

— P e u n o, że zacznie... — zagadała baba — co to, rozbójnik taki, w krwi ludzkiej wykapany...

— Kab jemu kości pokruciał o... K a b jego paralusz naruszy ł...

— Czy zacznie, czy nie zacznie — ponuro odezwał się bednarz — a łapać jego trzeba, bo jeszcze szajkę sobie dobierze i konie będzie kraść...

— Niedoczekanie jego! — zawołał Aleksy — będzie on konie kradł, jak kat jemu dwieście pletni w plecy wsadzi...

— Aj, aj! — piskliwie wrzasnęła Hanulka.

— A tobież co? — obruszył się Aleksy, ale zaraz spojrzał na żonę, która całą swą szczupłą kibić naprzód podając lamentowała także.

— Oj, oj, oj! a! a! oj, oj!

Stara Nastula wyschły policzek na dłoni oparła i głośno wzdychała:

— Bożeż mój, Boże! oj, Bożeż miłosierny...

Piętnastoletni Jasiak stał jak skamieniały, z oczami

wytrzeszczonymi, aż obydwie ręce do ust przyłożył i trzęsącym się głosem zahuczał:

— Hu, hu, hu, hu!

— Ot, przełękli się, że rozbójnik pletniami dostanie! — zaśmiał się Aleksy.

Przybyły nie stał już teraz w tak wyprostowanej jak wprzódy postawie. Kiedy Aleksy pierwszy raz wspomniął o pletniach, widać było, jak pod cienkim sukniem podartego surduta łopatki jego poruszać się zaczęły i powoli podnosiły się w górę, kark zaś, jakby pod nagłym uderzeniem, w dół opadł i broda dotknęła piersi.

Ciekawość, czy szelma wytrzyma? — mruknął bednarz.

Ojej! i jak wytrzyma! — twierdził Aleksy — jelicze potem w łańcuchach na koniec świata pójdzie, a jak przyjdzie tam, gdzie jemu' być przykażą, to

302

od rana do nocy młotem pod ziemią będzie walił albo taczki ciągał...

— Oj, biednyż on, taki biedny! — westchnęła Jelenka izymane w ramionach niemowlę mocniej do piersi przycisnęła.

— Oj, na co jemu było na ten świat przychodzić? Na co Pan Bóg najwyższy na ten świat jego przysłał? — wzdychała Nastula.

— Ja by, zdaje się, nie wytrzymała... Wzięłabym, t a j bym się utopiła... — prawiała Hanulka. <

Krystyna znad statków, które myła, wyprostowała się, ramiona znowu u piersi

skrzyżowała i wysoka, silna, kształtna, ciemnymi oczami w ogień patrzyła. Piękne jej usta kurczyły się trochę i zsunęły się ciemne brwi. Kiedy wszyscy umilkli, odezwała się głębokim, basowym głosem:

— Ataki i tego kiedyś matka na rękach swoich nosiła i kołysała...

Przybyły nagle ku niej się zwrócił.

Długo na nią patrzył, aż pochylił się prawie ku samej jej twarzy i grubym, świszczącym szeptem wymówił:

— Pilnujcie wy dobrze swego synka, oj, dobrze swego Jaśka pilnujcie, żeby on nigdy takim nieszczęśliwym nie był...

Kobieta ze zdziwieniem i trochę z przestachem głowę odgięła, ale gość prędkim ruchem zwrócił się w inną stronę izby, w tę stronę, gdzie pod ścianą za stołem siedział gospodarz chaty. Mikuła milczał dotąd; zwyczajem jego snadź było, że wszystkim wprzód mówi pozwalał, a potem zdaniem swoim spór lub rozprawę rozstrzygał i kończył. Rękę z fajką w powietrzu zawiesił i powoli spokojnie przemówił:

— Sprawiedliwie. Nad takim i Pan Bóg najwyższy litować się nie przykazał. Sprawiedliwie-Już nam te koniokrady, grabieżniki, chfałszoW-niki i inne szelmy dość nadokuczali. Czy to nie*

303

winne ludzie na to h o r u j a *, żeby oni ich dobrem, a broń Boże i krwią karmili się i poili? Niewinnym ludziom od wszelkiej krzywdy obrona i ubezpieczenie być powinny, a żeby dla takich ciężkich grzechów nijakiej kary nie było, nie można, nijak nie można. H o d z i.

Przybyły wpatrywał się w mówiącego i słów jego słuchał z takim wyteżeniem, tak chciwie, że aż wargi jego rozwarły się i zeszywniały rysy, a tylko powieki nad znieruchomiałymi źrenicami prędko, prędko mrugały. Stary umilkł, a on jeszcze kilka sekund patrzył, patrzył, słuchał, jakby czegoś, słowa jakiegoś jeszcze nie wymówionego oczekiwał. Na koniec koścista twarz w ogniu mu stanęła, namiętny błysk strzelił ze źrenic. Ręką machnął.

— H o d z i! — powtórzył i zaśmiał się krótko, ostro. — Dobrze wam, gospodarzu, mówić hodzi! Ale czy temu, kogo jak dziką bestię po świecie gnają, aby dognawszy na gorzkie jabłko zbić, a potem do katorgi zapędzić, hodzi czy nie hodzi? to już on tylko w swojej duszy wie, świat, ludzi i dzień narodzenia swego przeklinając! Każdego człowieka nieszczęście spotkać może i żadna matka nie wie, kogo tarą... na rękach swoich kołysze...

Przelotnie na Krystynę i na Jelenkę spojrzawszy, zachłysnął się, ślinę głośno przełknął, umilkł.

— Każdego nieszczęście spotkać może — spokojnie i powoli odezwał się Mikuła — ale taki już najgor-s z e j s z y, który drugiego człowieka ubija...

— Najgorszy, najgorszy! — powtórzył — a wiecież Wy, panie gospodarzu, że najgorszść czasem blisko, °j> jak bliźniutko najlepszości leży... i żeby nie zdarzenie jakie albo tam... różności, co ich wszystkich Przeliczyć trudno, może by zamiast tej najgorszości była najlepszość...

I W gardle mu zaschło. Szerokimi krokami ku stołu-

• Horować (białorus.) — harować, ciężko pracować.

wi podszedł, kieliszek wódką napełnił, jednym haustem ją przełknął i do komina wrócił.

— H o d z i! — zaczął znowu, ciągle ku staremu Mikule zwrócony — dobrze wam mówić, h o d z i! A czy wy wiecie, jakim sposobem ten Bąk, którego teraz jak dziką bestię ścigają, żeby go na gorzkie jabłko zbić, pierwszy raz w biedę wpadł? Może pierwszy raz w biedę on wpadł za takie głupstwo, że i plunąć nie było na co! A bieda trzęsie tego, kto na niej jedzie... oj, panie gospodarzu, jak trzęsie! tak że czasem w człowieku duszę podszewką do góry przewróci! Wszelka dusza ludzka ma podszewkę, tylko że u jednego wyjdzie ona na wierzch, a u drugiego nie wyjdzie... ot co!

Znowu podszedł ku stołowi, ale wódki już nie pił. Machinalnie wyciągnął rękę ku butelce, lecz nie dotknąwszy jej, znowu do komina wrócił. Nozdrza jego rozdymały się i poruszały, brwi podnosiły się, to opadały; natura gwałtowna, zuchwała, zgorzkniała tryskała mu z oczu ponurym ogniem i z piersi szybkim oddechem. Śmiał się jednak przed kominem znowu stojąc.

— H o d z i! — powtórzył jeszcze, jakby ten wyraz z ust starca wyszły utkwiał w nim jątrzącym ostrzem. — Żeby to tym wszystkim diabłom, które duszę ludzką targają, każdy miał moc powiedzieć: h o d z i! i żeby już one tak od tego jednego słowa i uciekały! U jednego te diabły śpią, a w drugim obudzą się i na potępienie" jego prowadzą. A czy wy myślicie, panie gospodarzu, że jak diabły duszę ludzką na potępienie prowadzą, to jej ktokolwiek wybawić się od nich pomoże? cha, cha, cha, cha! słominki nikt nie poda, żeby człowiek za nią uczepić się mógł i z jamy wyleźć. Kiedy człowiek pośliźnie się i jak świnia w gnój wpadnie, czy jest na świecie kto taki, co by zlitował się i na suche pole go wyprowadził? Ho, ho! nikt i nie obejrzy się, a jeżeli obejrzy się, to na to tylko, aby nogą popchnąć! Czasem i samemu smród obrzydnie... uciekać od niego zażąda — gdzie tam! nie

pozwoła! Huź ha! Jak charty lisa gonia, aż dogonia, nazad w smród zapędzą i targają, męczą, dopóki znów do krwi kasać nie zacnie! A co ma robić? Kiedy wojna, to wojna! Kiedy przepadać, to już wprzód dobrze najadłszy się i napiwszy, a choć i łeb cudzy roztrzaskać, to co? I tak zgubienie, i tak zgubienie... Niechajże przynajmniej wrogi popamiętają... a kto wróg? cały świat wróg, kiedy nikt ratować ani myśli, a każdy zgubić żąda...

Znowu ku stołowi, ale już ze skrzyżowanymi ramionami poszedł i trochę naprzód pochylony Mikule w twarz spojrzął. Stary od paru minut już całą górną część swego potężnego ciała naprzód pochylił i na gościa swego tak przenikliwie patrzył, że aż ręka trzymająca fajkę na ławę mu opadła. Teraz oczy ich po raz pierwszy spotkały się w długim spojrzeniu; plecy starego w tył się odgięły i o ścianę oparły; głos gościa urwał się jak rozerwana struna. Odwrócił się, znowu przed kominem stanął, ale nozdrza poruszać się mu przestały i znacznie ciszej niż przedtem mówić zaczął:

— Czy to właśnie każdy od razu już do głębokiej jamy wleci? Nie każdy. Może i ten Bąk nie od razu ludzi zabijał. Ot, ciekawość, jaka to jego historia? Gdzie on urodził się i w jakim to miejscu matka jego na rękach swoich nosiła i kołysała? Musi on wtenczas jeszcze rozbójnikiem nie był, musi on po jakiejś drabinie schodził, póki

zeszedł aż tam, skąd już ani Bóg, ani diabeł jego nie wyciągnie. Nie wiem tam, co on takiego robił, nim ludzką krew rozlał, ale %szę, jak rozlał, samego siebie zląkł się i z turmy ucieklszy dochfabryki pracować poszedł. Czy dali spokojnie pracować?... nie dali. Złapali i znów w smród zagnali... Znów uciekł, a uciekając, jak jemu kto na drodze stanął, może i drugi raz, czy ja wiem? krew ludzką rozlał... Ale potem, słyszę, w chfabry-Ce dwa lata znów spokojnie przesiedział... Bardzo już j^oże zląkł się i siebie samego, i tej kary, co jego cze-

ła- Albo to kto dowiadywał się, co on tam sobie

21 Orzeszkowa

306

myślał i zamierzał? Czort chyba o niego dowiadywał się... więcej nikt...

Dotąd wszyscy w milczeniu, zaciekawieni i zdziwieni, słuchali mowy jego zuchwałej i namiętnej zrazu, a teraz coraz więcej żałosnych nut przybierającej. Ale Aleksy dłużej już milczeć nie mógł.

— Ej, ej! panie! — zawołał — cościś wy już nadto bronicie rozbójników!

Gość wyprostował się znowu i młodemu chłopu w same oczy spojrzął.

— Oj, oj! — z szyderstwem w głosie i poruszeniem głowy odpowiedział :— w ciepły kożuch wlaż i kon-tent, że mu dobrze! A nad takim, z którego i skórę zaraz zedra, żadnego już zlitowania mieć nie trzeba?

Stary Mikuła fajkę od twarzy odjął, krzaczyste brwi zsunął i twardo, krótko, srogo wymówił:

— Nie trzeba. ..

Można by myśleć, że dwa te wyrazy gościowi w twarz rzucił i że on uderzenie ich poczuł, tak szybko całym ciałem zwrócił się ku starszemu i z cichym śmiechem parę szerokich kroków uczyniwszy tuż przy nim usiadł.

W tej chwili drzwi izby skrzypnęły znowu, parę osób weszło i przy kominie wszczęły się rozmowy. Ale przybyły zdawał się wcale tego nie spostrzegać, na stołku tuż przy gospodarzu usiadł, szerokimi, ale kośćmi chudych łopatek sterczącymi spod surduta plecami ku izbie się zwrócił i łokciem szeroko na stole oparty twarz swą ku twarzy starego pochylił. Blisko nich nikogo nie było: Jelenka z dzieckiem, które obudziło się i zapłakało, pod przeciwległą ścianą usiadła, Aleksy hałaśliwie wiodł rej przy kominie, bednarz u przeciwnego końca drugiego stołu nożem coś około zęba brony robił. Tylko stara Nastula, w której bezzębnych ustach niepostrzeżenie dla wszystkich ze trzy czarki wódki zniknęło, pośpiesznym ruchem wsunęła się tuż prawie pod ramię przybyłego i z chciwą ciekawością ucho ku niemu pochyliła.

Wkrótce też usłyszała półgłosem wymówione słowa:

307

— Panie gospodarzu, a co z waszym Jaśkiem słyhać?

— Z jakim Jaśkiem? — szorstko odrzucił stary.

— Az trzecim waszym synem.- Dwóch tu jest, a trzeciego nie ma... czy wy już o nim ze wszystkim zapomnieli, panie gospodarzu?

Za plecami pytającego dłonie jakieś głośno splas-nęły i babski piskliwy głos zagadał:

— A kab ja wieku swego nie dożyła! Kab mnie język w kół się obrócił! Kab mnie ręce jak te gałęzie wierzby powykręcało, kiedy ja o nim zapomniała,

0 Jaśku moim najmilszym, o sokoliku moim biednień-kim... Toż ja jego, kiedy on na świat rodził się, od matki przyjmowała, toż ja jego na rękach swoich nie raz i nie dziesięć razy nosiła... swoich dzieci nie miała, ale jego miała i polubiła jak rodzoneńkiego synka.

Głowa baby czerwonym czepcem oblepiona, z kosmykami białych włosów na pomarszczonym czole, z policzkami od wódki zarumienionymi, trzęsła się

1 w obie strony kołysała tuż nad ramieniem przybyłego, w same prawie ucho rzucając mu gorące i wódką cuchnące oddechy. On głowę nieco w tył odgięta na rękę opierał, z przymrużonymi oczami zawodzenia jej słuchając. Ale wkrótce przerwał jej pytaniem:

— To wy, panie gospodarzu, ze wszystkim już Jaśka nie pamiętacie? On że wasz pierwszy był... najstarszy...

Jakby przemocą z milczenia wyrwany stary chmurnie odrzekł:

— Czemu nie pamiętam? Pamiętam... a wyż jego dobrze znali?

— Oj, i jak dobrze! Tęgi chłopiec był z niego, roztropny, śmiały...

— Nadto już śmiały — mruknął stary, popiół z fajki wytrząsając. — A wy słyszeli, co jemu wydarzyło się?

Widocznie, pomimo zachmurzenia i przenikliwych spojrzeń, które czasem na gościa rzucał, ochotę do

308

mówienia o najstarszym synie uczuwać zaczynał. Ale stara Nastula zawiodła znowu:

— Oj, wydarzyła się jemu bieda, biefluleńka! oj, k a b im Pan Bóg grzechów ich nie darował, jak oni jemu, młodzieńkiemu i durnieńkiemu, wtenczas nie darowali!

Zgubili oni jego, jak tego psa zmarnowali... Nieboszczyca matulka jego mnie bratanicą przychodziła... a on mnie babulką nazywał...

Gość starego Mikułę zapytał:

— A cóż to jemu wydarzyło się takiego?

Stary przez pół minuty szczękami poruszał, jakby twardego coś przeżuwał. I nie chciało mu się z tym nieznanym mówić, i do mówienia ochota go brała.

— Ot — zaczął — z głupstwa poszło... Może on pierwszy raz i za sprawiedliwość pokutował... Proces nam Dubrowlańcy sąsiedzi... k a b im dobra nie było, wytoczyli... nu, mnie gromada za planipotentą wybrała, ja do miasta jeździł i z hadwokatem gadał, tym, znaczy, co przed sądem nas bronił. Do miasta Jaśka z sobą brałem idohadwokata brałem, tak sobie, bez przyczyny... nadto już jego lubiłem, a kiedy czego naparł się, to i na wszystko pozwalałem... K a b mnie Pan Bóg najwyższej-s z y za te pobłażanie jemu nie karał...

Baba w mowę mu wpadła:

— Oj, lubili jego i hołubili wszyscy dobrzy ludzie i na wszystko jemu pozwalali, bo nadto mileńki był i łaskawy... rączki, bywało, na szyję zarzuci i tuli się do człowieka jak ten baranek, a oczki miał jak te wasilki* w życie...

Stary na zawodzenie baby nie zważając coraz już chętniej dawne dzieje z pamięci wywodził.

— Nie żart, jaki on był rozumny, ale n a d t o już zuchwały i ze wszystkim nie taki jak inne chłopcy-Ani u niego robota, ani zabawa nie była taka jak u wszystkich...

Kiedy pracuje, to rwie jak ten kon

* Wasilki (białorus.) — chabry.

309

ognisty, a kiedy hula, to tak, że i rady nie dasz... Bywało, że za szyję obejmie i całuje, mało nie udusi, a innym razem hardo postawi się i żeby tam nie wiem komu, jak osa rzuci się w oczy. Łajał ja jego dobrze, dobrze, ale najwięcej pobłażał... a taki nic złego on wtenczas nie robił...

Zamyślił się. Głową trząsał.

— Na zgubienie ja jego brał z sobą do miasta i do hadwokata — prawie już gadatliwie mówił dalej. — Słuchał on, co my z sobą gadali, słuchał i wracając, bywało, mówi: „Tatku, ja tego ubiję, kto nam niesprawiedliwie ziemię zabierać przyjdzie!” Ja tylko śmieję się. Młody, taj durny, myślę. A ziemia sprawiedliwie do nas należała, ale przedawnienie zaszło. I proces my przegrali. Kiedy my proces przegrali, Dubrowlańcy ziemię odbierać przyszli, a my zawzięli się nie oddawać. Nie o d d a m o i nie o d d a-mo! Całą gromadą, bywało, wyjdziem i napastników tych, kab im Pan Bóg grzechów ich nie darował, przepędzamy. Dokazywali wszyscy, dokazywał i Jasiek. Nu, myślę, dobrze. Kiedy wszyscy, to i niechaj i on. Aż tu na wiosnę mówią: u r ę d n i k * przyjedzie i Dubrowlańcom ziemię oddawać będzie. Bieda! Z u r ę d n i k i e m nie to co z chłopami. My rękami machnęli. Niechaj będzie i tak! niechaj będzie i nasza krzywda! Pan Jezus więcej cierpiał! Ale nie wszystko my, jak potrzeba, było, przeliczyli. Nie przeliczyli my tych młodych, a nadto zuchwałych, co na swój rozum brali i znowę robili... Przyjechał u r ę d n i k jakiś wysoki i dwóch niższych z sobą przywiózł i dawaj po polu chodzić, temu to, a temu to Przeznaczać i darowywać... A nasze chłopcy jak wypadną z kosami, taj z grabiami, taj z kijami... może dwudziestu ich było, a mój Jasiek przed wszystkimi, Jak jaki generał... Urzędników przepędzili...

Baba nagle w okrutny gniew wpadła. Pięścią jed-neJ ręki o dłoń drugiej uderzała krzycząc:

• U r ę d n i k albo uradnik (białorus.) — starszy policjant.

310

— K a b jemu Pan Bóg nie darował, że on taki zuchwały był... Kab on wskroś ziemi przepadł, jak on siebie samego marnie zgubił...

— On już przepadł! nie przeklinajcie, babulko — ku wólpijanej zwracając się sarknął przybyły i znowu pilnie starego słuchać zaczął.

A stary rozgadał się na dobre. Może i nie myślał o tym, do kogo mówi; bo go ból stary, prawie zapomniany, znowu za serce ugryzł, a wspomnienia o najstarszym, utraconym synie mgły ubiegłych lat rozpędały.

— Znaczy — mówił — bunt. Znaczy, sprzeciwienie się władzy. Nu, do turmy ich wzięli i sąd nad nimi robili. Innych wypuścili albo trochę tylko ukarali, a jego na trzy lata do turmy osądzili... zaczynsz-2 z y k *, mówią. Nu, dobrze. Trzy lata nie wiek. A jemu tylko osiemnasty roczek wtedy szedł... Nie bardzo ja i smucił się, że on tam trzy lata posiedzi. Rozumu, myślę, nauczy się, łagodności nauczy się...

— Nauczył się? — zapytał przybyły — cha, cha cha! Cóż? Czy nauczył się? a? Stary w ziemię patrząc wielką głową trząsał.

— A-le! nauczył się! Kab hetak czorci złe dusze uczyli! Jak powrócił do domu, to i dnia spokojnego w chacie już nie było. Siądzie, bywało, i opowiada, jak złodzieje

po nocy kraść chodzą i wszystkie zamki otwierają. „Na wszystko są sposoby, mówi, a ja wszystkie sposoby wiem”. Albo mówi: „Ochota to ludziom po takich chatach siedzieć: biedować i horo w a ć, kiedy na świecie tyle bogactwa jest i do niego łatwym sposobem dojść można”. Ja jego kułakiem w plecy: „Ot, tobie, mówię, łatwy sposób o złodziejstwie i paskudztwie nijakim nie myśleć!” A on do mnie: „Nie b i e j, tatku, bo ucieknę i tyle mnie zobaczycie!” Za czapkę i do karczmy. Pić nauczył się. Wprzód nie pił, wiadomo, dziecko, co jemu siedemnaście latek ledwie skończyło się. A tam i tego

• Zaczynszczyk (białorus.) — ten, który zaczął podżegacz, prowodyr.

311

nauczył się. Upije się, bywało, i po całej wiosce h a-wantury dokazuje: z parobkami bije się, dziewczęta łapie... Ja do niego dobrym sposobem: „Czy tobie wstydu nie ma, Jaśku? czy ty Pana Boga nie boisz się?” A on w śmiech: Ej, tatku, mówi, albo ja takie rzeczy widział, albo ja o takich nasłuchał się... tam będąc? Wy głupi, w swojej wiosce siedzicie i nic nie znacie, a ja teraz uczony!” Oj, uczony on zrobił się, jak trzy lata w turmie pobył, uczony! Kab tych gubernierów, co jego tam uczyli...

Przybyły śmiał się cichym, długim, piersiowym śmiechem. Potem głową trząść zaczął.

— Oj, panie gospodarzu, w wiosce swojej siedzicie, ziemię rękami swymi drapiecie i nic nie znacie! Żebyście tych gubernierów zobaczyli i żebyście posłyszeli, jak oni waszego synka nauczali, toby was, panie gospodarzu, może z samego strachu p a-ralusz naruszy ł...

Stary żywym ruchem głowę podniósł i znowu z taką uwagą jak kilka razy przedtem na przybyłego popatrzał. W głosie, jakim wymawiał on ostatnie słowa, były jakieś dźwięki, które o słuch jego ze szczególniejszą mocą uderzyły.

— Sztoż het o? — wyrzekł powoli — albo ja was kiedyś znał, albo ja was nie znał... czysta o d u r a *! Kto wy taki?

Ale w tej chwili przybyły zaniepokoił się i twarz .odwrócił ku kominowi, dokoła którego coraz większy wszczynął się ruch i gwar. U ognia ciągle podsycanego zanjiasz dwóch kołowrotek Hanulki i Krystyny, które stały tam przedtem, znalazło się pięć. Dwie dziewczyny weszły już były wprzód i z kołowrotekami swymi po obu stronach Hanulki usiadły, a teraz, tylko co, przybyła jeszcze jedna, którą Aleksy żartami witał, a Krystyna uprzejmie zapraszała, aby usiadła przy niej. W chacie Mikuły rozpoczynała się zimo-Wa> gwarna, długa wieczornica.

•Czysta o d u r a (białorus.)

— istne otumanienie.

312

Przybyły bystro na skupioną u ognia grupę ludzi popatrzał i znowu zwrócił się ku staremu. Ale Mikuła z wzrokiem w ziemię utkwionym, z cybuszką w ustach, pograżył się już w zwykłym sobie milczeniu. Zza dymu, ulatującego mu z ust i fajki, twarzy jego prawie widać nie było; czasem tylko głową kołysał, jakby myśl nad czymś wyteżał, jakby we wnętrzu swym dziwił się czemuś. Nastula za to coraz większą ochotę do rozmawiania z nieznanym okazywała. W sposób tajemniczy i przez nikogo nie spostrzeżony butelka z trochę jeszcze wódki na dnie znalazła się tuż przy jej łokciu. Załzawionym jej oczom przybyło blasku, wyschłym ręką żwawych

i sprężystych gestów. Jak w szczypce schwyciła w garść rękaw surduta przybyłego.

— To wy naszego Jaśka znali — nie zawodząc już, jak wprzód, ale prędko i cicho trzepać zaczęła — pewno wtedy jego znali, jak przy budowaniu nowego dworu byli... Biednyż on, biedny! Nacierpiał się on, nacierpiał od rodzonego b a ć k a, nim na wieczne czasy w świat sobie poszedł.TM

Oczami ku staremu Mikule rzuciła i głos zniżając, tajemniczo ciągnęła dalej:

— Bił! jak tego psa bił własnymi rękami, kijem, czym popadło... Kab jaz tego miejsca nie wstała, kiedy łgę... Jak pierwej pobłażał i hołubił, tak później, kiedy biedulek z turmy powrócił, bił... Za rozprowadanie o złodziejach i za pijaństwo, i za hultaj-

stwo, za wszystko, bywało, bije, taj bije.....Ja jemu,

mówi, te paskudztwa, które on stamtąd przyczynił, z ciała i z duszy wybije!"

Bywało, matka do jednej ręki jemu przyczepi się, a ja do drugiej i krzyczmy: „Oj, nie męcz ty, Szymonie, rodzonego dziecka, grzechu na duszę nie bierz, bo jak do reszty w złość wpadnie, z chaty uciecze i duszę swoją zgubi!" A on nas jak te bulby* z rąk pootrzęsa i jak zwierz tyl*0 sapie taj mruczy: „Będzie jemu bieda ode mnie, 0J>

* E u i b y (bislorus.) — kartofle.

313

będzie kiedyście bieda, jeżeli nie poprawi się! Ubiję, a łotrem na wieki zostać nie pozwolę!" I z drugimi synami już inaczej zaczął... I dla drugich już srogości nabrał: „Pobłażał ja starszemu, mówi, i ot, na jakiego on wykierował się... młodszym już pobłażania żadnego ode mnie nie będzie"> Oj, piekłoż, piekło zrobiło się wtenczas w chacie... Matka, bywało, płacze, płacze, aż w niemocy legnie, b a ć k o jak ten zwierz rozjuszony tylko za Jaśkiem oczami wodzi, żeby go na czym złapać i karać, młodsze chłopcy jak te zające ze stulonymi uszami chodzą, a Jasiak nieborak cierpiał i cierpiał, jak ta trzaska wysechł, jak ta chmura zasepił się i już, zdaje się, troszkę spokojno-ści i upamiętania przychodzić na niego zaczęło... Upokorzył się przed ojcem, upokorzył się przed rodzonym, słuchać zaczął... aż tu raptem wziął taj uciekł. Nie wytrzymał taki i uciekł... Może on od ręki ojcowskiej, co nad jego młodością zlitowania nie miała, uciekł... Może on od naboru, znaczy, od tego, żeby go w żołdacy nie wzięli, uciekł... Może jego kto taki, z kim on w turmie zaznajomił się, namówił... wziął taj uciekł... i oczy nasze już jego, mileńkiego, nigdy nie widziały, i uszy nasze jego głosiku srybrniён-kiego nigdy nie słyszały... Matka po nim płakała i siostra płakała, Maryśka, starsza, bo tej, Hanuli, jeszcze na świecie nie było i zdaje się po ścianach tej chaty, chatynki jego rodzonej, łezki po nim ciekły... tylko b a ć k o o nim nigdy ani zagadał, nigdy nie zlitował się, synka swego rodzonego, najstarszego nie pożałował... taki on już srogi!

Trudno byłoby powiedzieć na pewno, czy przybyły słuchał lub nie słuchał tajemniczej, to śpiewnie zawodzącej gadaniny wótpijanej baby. Łokciem o stół oparty, na długiej kościstej ręce głowę oparł i powieki przymknął... Można by myśleć, że zadrzemał i że Przykre mary tułały się po jego uśpionym mózgu, bo wargi jeg0 wydeły się tak, że rudawe wąsy ostrą kępą sterczały mu pośród twarzy. Wtem niespodzianie ra-ku butelce wyciągnął i zbliżywszy ją do ust

314

resztę znajdującego się w niej trunku parą chciwymi łykami połknął. Ze stukiem

butelkę na stole stawiając, zaśmiał się i drwiąco na babę popatrzył.

— Oj, ty głupia babulo! jeżeli ani razu nie pożałował, to czemu najstarszego wnuka Jaśkiem nazwał? a? Musi kiedy najstarszy wnuk na świat przyszedł, on o najstarszym synku swoim wspomniał? a?

Mikuła ocknął się z zamyślenia, fajkę nieco od ust oddalił, całym swym wielkim ciałem pochylił się ku gościowi, a prawą rękę do czoła podniósł.

— W imię Ojca... i Syna... — zaszeptał.

Ale gość powstał, stołek, na którym siedział, ze stukiem odsunął i szerokimi krokami ku przeciwległej ścianie odszedłszy w cieniu przy karmiącej dziecko Jelence usiadł.

W tej samej chwili drzwi rozwarły się i zamknęły z trzaskiem, do izby wpadła dziewczyna wysoka, barczysta, zdyszana, z ospowatą, rozognioną od szybkiego biegu twarzą i kołowrotek u progu postawiwszy krzyknęła:

— Ratujcie! Dzieuczata, kiedy Boga kochacie, ratujcie, chłopcy i d u ć!

Za oknem dały się słyszeć głośnie tupania, śmiechy, hukania. Ktoś po szybie zabębnił i w ścianę kijem uderzył. Dziewczyny z wizgiem, z krzykiem, ze śmiechem pozrywały się z siedzeń i ku drzwiom rzuciły.

— O Jezu! zamykajcie! drzwi zamykajcie! nie puszczajcie! zaraz len palić i głupstwa wygadywać będą! ludzie! ratujcie! rozbójników tych nie puszczajcie! Murem pod drzwiami stanęły, zamykający je skobel z całych sił przytrzymując. Jedna zapalone polano z komina schwyciła i z nim jak z gorejącą chorągwią w obronnej postawie stanęła; druga wiadro pełne wody ku ziemi chyliła, trzecia zydel przeciągnęła i drzwi nim przywaliała. Potrzebą odparcia napastników przejęły się tak silnie, że naprawdę strach ich ogarnął. Głosy ich stawały się coraz piskliwsze. Hanulka czerwona od nateżenia, z jakim skobel przyciskała, drzeć zaczynała. Dwie dziewczynki, z których starsza zaledwie dziesięcioletnią była, obudzone krzef
315

kiem, jak kłódki zsunęły się z wysokiego pieca i starszym dopomagając, najwięcej sprawiały hałasu. Bose ich stopy, jak motyle migotały pomiędzy kraciastymi spódnicami dziewcząt, frędzle płowych włosów podnosiły się, to opadały na białe koszule i od snu zaróżowione twarze. Ale najgłośniej ze wszystkich krzyczała i najszerzej suchymi, lecz sprężystymi ramionami rozmachiwała stara Nastula.

Przemocą wbiła się w gromadę dziewcząt i ku drzwiom się parła.

— Puszczajcie! — krzyczała — a hetoż jaka moda, żeby chłopców na wieczornicę nie puszczać? A jakaż to wieczornica, kiedy na niej chłopców nie ma? A za co wy ich karzecie? a za co wy ich, nieboraków, na mrozie trzymacie?

Hanulkę odepchnęła, drzwi na oścież rozwarła i w boki się wzięwszy ku ciemnej sieni zawołała:

— Chadzicie, chłopcy! Nu, chutko* chadzi c i e!

Sienie napełniły się ciężkim tupotem, w drzwi tłoczyło się czterech młodych parobków. Dziewczyna polano zapalone w rękę trzymająca na inną zawołała:

— Ulana, lej wodę! Kiedy Boga kochasz, lej!

Ogromna, ospowata Ulana wiadro ku ziemi przychyliła; woda szeroką strugą rozlała się po podłodze z gliny ubitej. Ale dla napastników nie było to żadną przeszkodą. Ze stukiem zydel przewrócili i jeden z nich z rąk uciekającej dziewczyny wydierał płonące polano.

— Aj, ludzie! — krzyczała — ratujcie, ludzie!

— A będziesz mówiła: „lej”, a będziesz do złego namawiała?

W mgnieniu oka do pierwszej z brzegu kądzieli płomień przytknął. Len prysnął iskrami, prąśnica jak zapalona świeca zajaśniała. Wielka Ulana wybuchnęła głośnym płaczem. Płonący len do niej należał.

, — Oj, żeby' was Pan Bóg za moją szkodę pokarał! żeby wy...

* Chutko (hiałorus.) — prędko.

316

— A będziesz lać wodą? A będziesz wodę pod nogi lać ludziom? — z płaczącą drażnili się chłopcy.

Bednarz i Aleksy w parę sekund ogień w prąśnicy rękami zagasili; Krystyna pocieszała skrzywdzoną, po nową kądziel dla niej do bokówki idąc. Pocieszyła się też natychmiast i tak jak inne za kołowrotkiem usiadła.

Nastula drzwi zamknęła, bo zimno z sieni szło do izby. Chłopcy, z których jedni byli w kozuchach, inni w siwych siermięgach, -a wszyscy w ciężkich, wysokich butach, teraz dopiero przed gospodarzem domu się skłonili.

— Dobry wieczór! — chórem huknęli.

Nie odpowiedział. Czyżby zadrzemał? Wszyscy jednak wiedzieli, że stary Mikuła ospałym nie był, że długie, gwarne wieczornice lubił i uprzejmie na po-drowienie gości odpowiadał, a czasem nawet, choć -zadko, grubym śmiechem wtórzył swawolom mło-Jzieży. Dziś milczał. Ręka z fajką u piersi mu zawisała i wszystkie fałdy wielkiego czoła w dół się osunęły ciężką chmurą wisząc nad krzaczastymi brwiami. >?ał czy dumał? gniewał się czy wspominał? Chłopcy do komina odeszli i za dziewczętami stanąwszy papierosy zapalali; Nastula znowu na przewróconych nieckach usiadła i gadała, gadała, suchymi ramionami rozmachując; kołowrotki zaturkotały chórem, hucznie, nad ich turkotem szumne, wesołe wzniosły się rozmowy. W izbie zrobiło się bardzo gorąco i duszno.

U ściany przeciwległej, tej, pod którą siedział stary Mikuła, w cieniu na zydlu, u którego końca przy samych już prawie drzwiach stała beczułka woń kwaszonej kapusty wydająca, toczyła się rozmowa turkotem kołowrotków i gwarem wesołych głosów głuszona. Przybyły siedział tam obok Jelenki, która żadnego udziału w napełniających izbę swawolach i żartach nie biorąc karmiła, a potem na rękach kołysała swe paromiesięczne dziecko.

— Wesołe u was wieczornice... — zaczął.

317

— A... wesołe — odpowiedziała.

— Dawno wyszłaś za Aleksego?

— A już na przyszłego Piotra cztery lata będzie.

— A wieleż teraz masz lat?

Uśmiechnęła się i wstydliwie głowę pochyliła. •

— Czy ja wiem? Musi na Jerzego dwadzieścia skończyć... •

— Phi — gwizdnął gość — stara z ciebie kobietka. No, a dobrze ci tu żyć?

— Czemu niedobrze? I bardzo dobrze, daj Boże, kab tak do wieku było...*

— Aleksy dobry, a? nie bije?

Zarumieniała się.

— Jeszcze tego nie było — nieco gniewnie sarknęła.

— A lubi?

Teraz zachichotała z cicha i zamiast odpowiedzi niemowłą głośno w czoło pocałowała.

— Chleb w chacie zawsze jest? — zapytał jeszcze.

— Chwała Bogu, jest. Jeszcze tego nie było, żeby chleba zabrakło. Czego nie ma, a chleb zawsze jest.

— Bednarz pewnie dużo zarabia?

— A zarabia. I m ó j zarabia, i b a ć k o zarabia... jak przy gospodarstwie roboty nie ma, z Jaśkiem ryby w rzece łapie i w miasteczku sprzedaje; wprzód sam jeden na ryby chodził, a teraz ze dwa już roki jak z Jaśkiem chodzi...

— Z Jaśkiem chodzi — powtórzył gość, w ziemię patrząc zaczął i umilkł.

U komina z turkotem kołowrotek i gwarem głosów zmieszały się chrzęsty rozkasywanych orzechów i łuszczonego ziarna słonecznikowego. Chłopcy zza koszuli wyjmowali okrągłe gniłki i częstowali nimi dziewczęta; one drożyły się, przysuwane im pod same twarze garście z przysmakami odpychały, a potem nie chcąc niby przyjmowały, jadły i odwzajemniały się chłopcom, orzechy i ziarna na nich rzucając.

*Kab tak do wieku byio (białorus.) — oby tak było do końca życia.

318

Ile razy rzucony orzech ugodził kogo w czoło lub policzek albo garść ziaren rozsypała się po czyim baranym kołnierzu, tyle razy zza kołowrotek wybuchaly śmiechy. Jeden z parobków, za Hanulką wciąż stojący, najmniejszy w swawoli udział przyjmował, wciąż coś dziewczynie do ucha szeptał. Wielka Ulana między dziewczętami rej wiodąca zawołała na niego, aby zagadkę jaką powiedział. Wiedzieli wszyscy, że nikt tyle i tak pięknych zagadek nie umie, co krępy Damian, z głową okrytą włosami tak czarnymi i kędzierzawymi, że zlewały się one prawie w jedną całość z czarnym baranym kołnierzem kozucha. W tej kruczej gęstwinie włosienia czerwieniły się tylko tłuste policzki i świeciły czarne, błyszczące oczy.

— Kiedy zagadki, to niechaj będą zagadki — na natarczywe wezwanie dziewcząt odpowiedział, wyprostował się, na całą izbę chrząknął, więcej jeszcze policzki wydał i z jedną ręką na kłębie opartą zaczął:

Jedu, jedu, ,

Ni dorohi, ni śledu, Konia biczom pohaniaju, Na śmierć pohladaju. *

Umilkł i wszyscy milczeli. Parę kołowrotek umilkło.

— No, sztoż het o? — kpiącym tonem zapytał mądry Damian.

Nikt słowa zagadki znaleźć nie umiał. Dziewczęta z zakłopotaniem ku sobie zerkały, chłopcy lekceważąco i żadnej niby uwagi do nierozwiązalnej im zagadki nie przywiązując papierosy palili i końcami nóg przytupywali. Damian drugą ręką wziął się w boki-

— A toż czółno! — wzgardliwym tonem wymówił-

— A prawda! — chórem zawołało kilka głosów i wszyscy słowa zagadki powtarzając zadziwili

•„Jedu, j e d u...” (białorus.) — Jadę, jada, ani drofł ani śladu, poganiam konia biczem, na śmierć SP glądam.

— Aaaa! jedu, ni dorohi, ni śledu... wiadomo, na wodzie... konia biczom pohania-ju... znaczy, wiosłem wodę... aaa! prawda! taki to czólno!

— Czemuż ty, Damian, po cichu mnie nie powiedział, co to! Żebyś powiedział, to ja bym zgadła — półgłosem zagadła Hanulka.

— D o b r e, to ja jeszcze jedną powiem.

Znowu policzki wydał, chrząknął i zaczął:

Pełen chlewiec Białych owiec, Odin baran bleje. *

Skończywszy nachylił się, niby to orzech z ziemi podniósł, a Hanulce w samo ucho szepnął:

— Język!

— Język! — wśród powszechnego milczenia zawołała dziewczyna.

— Aaaa! — zadziwili się znowu wszyscy — prawda! nie ma co, prawda! Ot, rozumna! Taką młodzień-ka, a taka rozumna! Czy tylko tobie Damian nie powiedział? Pewno powiedział? praudu skaży!**

Dziewczyna jak piwonia czerwona kryjąc się za kądziel błagalnie ku mądrymu parobkowi oczy wznosiła.

— Nie powiedziałem! — wykrzyknął Damian — b r e s z e c i e! nic nie powiedziałem...

I jakby chciał burzę nowych zapytań od siebie i ulubionej dziewczyny odpędzić, zaraz dodał:"

— Chcecie? to jeszcze jedną powiem!

Filuterny uśmiech rozsuwał tłuste jego policzki, z czarnych oczu śmiech tryskał Maleńka ja, czornieńkaja, Wsiu kołodu woroczaje. ***

• „Pełen chłewle c...” (białorus.) _ pełen chlew białych owiec, jeden baran beczy.

"Praudu skaży (białorus.) — powiedz prawdę.

* „Maleńka] a...” (białorus.) — maleńka, czarniut-ka, a całą kłodę przewraca.

— Nu, s z'to het o? — zapytał garścią usta zakrywając.

Nastula w szerokim śmiechu bezzębne usta otworzyła i ramionami ku niemu zamachała:

— Oj, kab ty skisz zagadką taką! Oj, nie raz i nie dwa słyszała już ja tę zagadkę! Toż to — pchła!

Głosem duszonym przez garść, którą usta zakrywał, potwierdził:

— A toż pchła!

A czarne jak węgiel oczy nad wielką ręką błyszczały, śmiały się, po chiczoczających dziewczętach z tryumfem spoglądały. Drugą ręką po kryjomu obejmował kibić Hanulki granatowym kaftanem ściśniętą.

Przybyły obok milczącej Jelenki siedząc zagadek i towarzyszących im żartów słuchał ze szczególną pilnością i ciekawością. Dłonie na kolanach oparł i cały naprzód pochyłony uśmiechać się zaczął, naprzód słabo i niewyraźnie, potem coraz szerzej i jakby rozkoszniej. Ile razy u komina wymówiono rozwiązanie jednej z zagadek, głową ruch potwierdzający czynił; komuś, kto by na niego patrzył, zdawać by się mogło, że wszystko, co mówiono, było mu dobrze znanym, tylko zapomnianym

zostało i przypominało się teraz, przypominało natarczywie, rój wspomnień za sobą wiodąc. Nikt przecież w tej chwili uwagi na niego nie zwracał, wkrótce też i sam uśmiechać się przestał, na sąsiadkę znowu spojrzął.

— Czśmuż ty tam nie idziesz bawić się ze wszystkimi? — zapytał.

Wraz z niemowlęciem kołysząc się to w tył, to naprzód, odpowiedziała:

— Nie chcę... niechaj sobie bawią się zdrowi!

— A mówiłaś, że dobrze ci żyć... to czegoż smutna? Musi Aleksy niedobry, a? pewno niedobry? M u s i tak już w rodzie u nich, że wszyscy niedobrzy?

Z chciwą ciekawością w młodą kobietę oczy wlepi'; Ona nie na niego, ale w przestrzeń patrząc i kołysac się nie przestając odpowiedziała:

221

— Ej, nie. I Aleksy dobry, i wszyscy dobrzy, tylko ja n a d t o Mikołajka mego odżałować nie mogę...

— Jakiego Mikołajka?

— A synka...

Tu cichym, ale śpiewnie zawodzącym głosem opowiadać zaczęła, że przed kilku miesiącami zmarł synek jej starszy, półtora roku mający. Takie to śliczne było dziecko! Chodził już, mówił, nie żart, jaki już był rozumny. Wszyscy po nim płakali, nawet dziadek, choć taki srogi, płakał, ale potem zapomnieli, nawet ojciec rodzony zapomniał. Ona tylko nijak zapomnieć nie może. Pochyliła się nad niemowlęciem i ciszej dokończyła:

— Wiadomo, dziecko, takie maleńkie jak ta jago-da, s k o c i ł o się * ze świata... jak ta kruszyna w ziemię wpadło...

Po okrągłym, różowym jej policzku płynęła duża łza i jak brylant błysnąwszy na granatowy kaftan upadła.

W napętniającym izbie gwarze opowiadanie młodej matki wydawało się delikatną, nieśmiało brzęczącą struną: łza jej upadła w śmiechy i hałasy jak cicha kropla rosy w swawolne i szumne fale potoku. Na świeżą jak poranek, zasmuconą twarz jej przybyły patrzył, patrzył szerzej niż zwykle otwartymi oczami i łzie jej przypatrywał się dopóty, dopóki nie przestała wilgotną plamką świecić na granatowym suknie kaftana. Coś widocznie dlań niezwykłego uderzyło go, zadziwiło, zbudziło w nim strunę jakąś trwożną, smętną, której dotąd pigdy może w sobie nie słyszał. Jak wicher gwałtowny i krótki westchnienie pierś jego Szeroką i zapadłą podniosło:

— Ach, ach, ach!

W zamian z twarzy młodej matki smutek nagle zniknął. Ożywiła się ona i oczami ku bawiącej się u komina gromadce spoglądającymi ciekawie, wesoło błysnęła.

•Skocić się (gwar.) — stoczyć się, umrzeć. ~ Orzeszkowa322

— Oj! — wykrzyknęła — bajki gadać będzie... Na-stula bajki gadać będzie...

Szybkim ruchem zwróciła się ku gościowi.

— Posłuchajcie tylko... możej wy mileńkie, posłuchajcie! Ona ślicznie bajki gada, nie żart, jakie śliczne...

Baba u samej ziemi na przewróconych nieckach siedząca spomiędzy dwóch kołowrotek wychylała pod światło ognia głowę w czerwonym, okrągłym czepku i mówić zaczynała. Wśród powszechnego milczenia, przy wtórze kołowrotek głos jej stary, przewlekły, szepleniący rozchodził się po izbie:

— „Było sobie trzech braci: dwóch rozumnych, a trzeci dureń. Powyrastali i żenić się im pora przyszła. B a Ć k o ich i pyta:

— Którego z was, synkowie, naprzód ożenić?

Starszy mówi:

— Mnie, bo ja najstarszy.

Drugi mówi:

— I mnie, tatku, już pora.

A dureń także odzywa się:

— A i mnie już dawno byłaby pora.

— Nu — mówi b a Ć k o — idźcie wszyscy do lasu, a który najprędzej dużo jagód uezbiera, tego ja pierwszego ożenię.

Poszli oni wszyscy do lasu i tak zbierają, tak zbierają jagody, że ani wyprostują się.

Aby tylko prędzej nazbierać, zbierają i zbierają. Rozumni do durnia podeszli i pytają:

— A co, durniu? czy dużo jagód zebrałeś?

— Ej — mówi dureń — już ja zaraz i do domu sobie pójdę.

Pozazdrościli rozumni durniowi, wzięli zabili S°< nóż w serce wsadzili".

— Aj — jęknęło parę kobiecych głosów.

— Nu, nu, tak zaraz wzięli i zabili! — niedowierzająco i z powagą bajce przesadę zarzucił jeden z pa* robków.

323

Baba z wyrazem głębokiego przekonania głową trzęsąc powtórzyła:

— „Wzięli zabili, nóż w serce wsadzili, w ziemię zakopali, piaskiem przysypali, zamiast krzyżyka nad głową zasadzili wisznię i poszli do domu.

Aż tu tą samą drogą jedzie pan; zobaczył wisznię i myśli sobie:

— Wyrąbię ja tę wisznię i zrobię z niej dudkę. Wyrąbał wisienkę, zrobił z niej dudkę, jedzie sobie

i gra, a ta dudka śpiewa:

Nie graj, panoczku, nie graj, Serduszka mego nie targaj, Mnie bracia zabili, Nóż w-serduszko wbili, Czerepkim oczy nakryli, Piaseczkiem zasypali, Wiszenkę zamiast krzyża zasadzili...

Dziwuje się ten pan, dziwuje się, a dudka prosi i prosi, żeby on na niej nie grał".

— Aaa! — przerwało znów parę wykrzyków zdumienia.

— Taki śpiewała ta dudka, taki prosiła... nu! Nastuli oczy jak dwie srebrne iskry błyszczały,

związły wargi jej coraz więcej wyrazu przerażenia nabierały. Z łokciami opartymi o kolana i rozwartymi w powietrzu rękami prawiała dalej:

— „Przyjechał ten pan do tej wioski, gdzie durniowi bracia i ojciec żyli, zaskoczyła jego nocka, przyszedł on do nich i prosi, żeby jemu przenocować pozwolili. Pozwolili jemu przenocować, odprzągnął on sonia; do chaty wszedł i do gospodarza mówi:

— Jechałem ja — mówi — przez taki i taki las, pa-aż stoi sobie wiszenka, taka równa, taj wysoka.

a tę wiszenkę zrąbał i dudkę z niej zrobił. A żeby y wiedział, jak ta dudka gra! Nigdy jeszcze nie sły-^fem, żeby dudka tak grała. Weź, stary, i pograj

324

Wziął ten chłop dudkę, grać na niej zaczął, a ona śpiewa:

Nie graj, tatulu, nie graj, Serduszka mego nie targaj, Mnie bracia zabili, Nóż w serce wsadzili, Czerepkim oczy nakryli, Piaseczkiem przysypali, Wiszenkę zamiast krzyża zasadzili.

Zdziwił się stary i dał dudkę synom swoim, żeby oni na niej zagrali. Grają oni, a dudka śpiewa:

Nie grajcie, braciszkanie, nie grajcie, Serduszka mego nie targajcie, Wyście to mnie zabili, Nóż w serce wsadzili, Czerepkim oczy nakryli, Piaseczkiem zasypali, Wiszenkę posadzili.

Wtenczas wszyscy się domyślili, że rozumni zabili dumia, na mogiłkę poszli, piasek odgarnęli i wszystko tak znaleźli, jak dudka opowiedziała.

Wtedy tych braci do kancelarii zabrali i do turmy wsadzili."

Baba mówić przestała, a nikt nie odzywał się jeszcze, kołowrotki obracały się powoli, powoli, a z ich osłabłym turkotem mieszały się od czasu do czasu wydawane głośne westchnienia. Zdawało się, że z opowiedzianej bajki wypłynęły widma mordy i kary i niewidzialną chmurą w upalnym powietrzu tej izby zawisły. Jeden Aleksy, zawsze wesoły i butny, drwiąco uśmiechał się i na ucho Damianowi szeptał'

— Ot, zlekły się baby bajki! Nu, jaż im jeszcze lepszego strachu napędzę!

Wysunął się do sieni, a po dwóch minutach z trzaskiem drzwi otwierając na całą izbę krzyknął:

325

— Ratujcie, ludzie! Kto w Boga wierzy, ratujcie! Bąk idzie! rozbójnik Bąk idzie! ot, ót, już przyszedł! z takim wielkim, ostrym nożem przyszedł! Hu, hu, hu!

Dziewczęta wrzasnęły i pochowały się Za kądziele; nawet Krystyna drgnęła i na dziewczynki u nóg jej siedzące trwożliwie spojrzała; Jasiak krzyknął przeraźliwie i schował się za szerokie plecy ojca. Mężczyźni, z których paru przeleknęło się też zrazu, wkrótce poznali się na żarcie i śmiechem huknęli. Uspokoilo to i kobiety. Poważna Krystyna w gniew wpadła:

— Nie d u r y ś *, Aleksy! — na mężowskiego brata krzyknęła — ochota ludzi straszyć! Wstydz się!

Ale popłoch nie zaraz ustał. Snać wszyscy obecni dnia tego o Bąku słyszeli; parobcy z jarmarku przywieźli o nim opowiadania straszne; nasłuchały się ich kobiety. Hanulka ręką serce przyciskała.

— Biję, oj, jak biję i uspokoić się nie może! — jęczała.

Wielka Ulana kroplisty pot z czoła ocierała.

Wszystkie wyrzekały:

— Oj, kab ciebie, Aleksy... Żeby takiego straszego człowieka wśród nocy wspominać... jeszcze, nie daj Boże czego, i wywróżysz? Jeszcze i naprawdę kiedy przyjdzie...

— A przyjdzie! Z takim wielkim, ostrym nożem przyjdzie! — zażartował jeszcze młody chłop.

— Aj! — krzyknęło znowu parę głosów:

— H o d z i! — stanowczo wymówiła Krystyna 1 w silniejszy ruch kołowrotek swój puszczać doda-ta: — ot, zaśpiewajmy lepiej.

Głos miała piękny, rozległy, poważny jak cała jej Postać: wiedzieli wszyscy, że choć

od szesnastu już tat mężatką była, śpiewać lubiła bardzo. Równą, dłu-nić powoli snując z kądzieli, rozgłośnie, poważnie ^wiodła:

•Nie duryś (białorus.)

— nie pleć głupstw.

32 6

Oj, woły moje, da połowyje, Czemuż wy nie orezie, Oj, leta moi, leta mołodzieńkie, Czemu wy marnie idziecie... *

Chór głosów różnych: srebrnych i czystych, piskliwych i fałszywych, zgodnie przecież podjął:

Kab wołom moim da pasza była, To jeny pooralib, Kab letom moim da rozkosz była, To jeny pohulalib... **

Wielką, przewlekłą, wzdymającą się, tb opadającą falą płynęła pieśń w dusznym powietrzu izby, kołowrotki jej wtórowały równym, ale powolnym i przyciszonym turkotem; złotawo w blaskach ognia lśniły z kądzieli snujące się nici i błyskały, czasem brzęczały na piersiach dziewcząt różnobarwne sznury paciorek. Nad dziewczętami wiły się i w komin ulatywały błękitne dymy papierosów połyskujących w cieniu jak nadpowietrzne iskry i z cienia wyglądały czerwone policzki, kudłate głowy, rozpromienione oczy parobków. Z obu stron Krystyny dwie dziewczynki przysiadły na ziemi i nagie nogi daleko pod blask ognia wysuwając, głowy okryte płowymi frędzlami na kolana matki opuściły. Czerwony czepiec Nastuli kołysał się w obie strony, aż opadł na krawędź komina. Baba usnęła.

Ale właśnie w tej chwili stary chłop, samotnie i w milczeniu u ściany siedzący, powieki podniósł. Zdawać by się mogło, że z głębin jakichś jemu tylko znanych fale pieśni na powierzchnię życia go wyniosły. Podniósł powieki i z osłupiałą uporczywością

* „Oj, woły moje...” (białorus.) — oj, woły moje płowe, dlaczego nie orezie, oj, lata moje, lata młode, dlaczego marnie upływacie. M

„Kab wołom moi m... (białorus.) — żeby moje miały paszę, toby pooraly, żeby lata moje UP'J wały w rozkoszy, toby pohulały.

32 7

wpatrzył się w przeciwny punkt izby. Przed chwilą, gdy Aleksy z hałasem drzwi otwierając huknął: „Bąk idzie! rozbójnik Bąk idzie!” — gość obok Jelen-ki siedzący zatrzęsł się całym ciałem i jak miną podrzucony zerwał się z miejsca. Wprzódy bajki przez Nastulę opowiadanej słuchał z większym jeszcze wyężeniem uwagi niż wprzódy zagadek, jak w tęczę wpatrywał się w babę uśmiechając się czasem, oczami radośnie błyskając. Wykrzyk chłopca wyrwał go z zasłuchania i na kształt iskry elektrycznej zatrzęsł całym jego roslym, lecz chudym i wyniszczonym ciałem. Porwał się z miejsca, kij swój, który pomiędzy kolanami trzymał, w rękę mocno ścisnął i ku drzwiom się rzucił. Ale prawie zaraz wybuchnął śmiech parobków oznajmiający, że Słowa Aleksego obecni za żart poczytali. Przybyły zatrzymał się i do odejścia wciąż się mając, chwilę jeszcze zmaconymi oczami po izbie wodził. Na ściany, na sufit, na komin blaskiem ognia buchający patrzył i patrzył, aż wzrokiem spotkał u ściany siedzącą, nieruchomą postać starca. Powoli w dół ku ziemi opuszczać się zaczął. Za beczułką, na glinianej podłodze przysiadł, widać było, że tylko na chwilę przysiadł, kij w obu spuszczonej rękach trzymając. Całe ciało jego

ukryło się za beczką, zza której tylko stalową iskrą pobłyskiwało okucie jego kija i nad którą wznosiła się jego głowa. Na tę głowę spojrzął Mikuła powieki wznosząc i nie odrywał już od niej osłupiałych oczu. W padającym na nią z komina ukośnym szlaku światła, półcieniem otoczona, głowa ta wydawała się zawieszoną w powietrzu i uporczywie, nieruchomo, na starego Mikułę patrzyła- Stary rękę do czoła podniósł i gwałtownie za-szeptał:

— W imię Ojca i Syna...

Potem ręka jego powoli w dół osuwać się zaczęła, Palce, jakby władzy pozbawione, rozwierały się, sztywniały, aż fajka wysunęła się z nich i na ziemię upadaj On tego nie spostrzegł.

— Jezu Chryste! — zaszeptał znowu i cały naprzód pochylony patrzył na twarz, która z przeciwległej strony izby na niego patrzyła i coraz podobniejszą stawała się do maski tragicznej, chudej, wynędzniałej, kośćmi policzków pod zapadłymi skrońmi sterczącej, żalością niezmierną, niby wewnętrznym łkaniem wstrząsanej.

Wykrzywione jej usta były silnie zwarte, a jednak przemawiała ona, wyraźnie do starego przemawiała: „Tatulu, czy poznajecie mnie? oj, tatulu, przypomnijcie sobie, jaki ja kiedyś był, i zobaczcie, jaki ja teraz!”

— Jezu Chryste, naj miłosiernej szy, zmiłuj się nad nami! — zaszeptał stary. U komina przewlekłe, chóralnie rozległa się strofa pieśni:

Oj, zyjdzi, zyjdzi, jasny miesiaczeńku, Jak młynowoje koło, Wyjdzi, dzieuczyno, serce jedyneńkie, Perehowory do menie słowo *...

Twarz znad beczki wyglądająca, w powietrzu jakby zawieszona, do starego przemawiała, wyraźnie przemawiała: „Pamiętasz ty, tatulu, oj, czy pamiętasz ten dzionek letni, słoneczny, kiedy ty na górę wchodził, sieć z rybami na plecach niosąc, a ja za tobą, boso biegł i skakał po piasku, z radości tak krzycząc, że aż rozlegało się po wiosce i między sosny nad mogiłki dzwonkami leciało?... Pamiętasz, tatulu, oj, czy pamiętasz?”

U komina pieśń z wtórem kołowrotek wzmagała się coraz i rosła, zdawało się, że ściany chaty rozsadała:

Jak mnie do ciebie wyjści, Do ciebie howoryci,

* „o j, zyjd:i, zyjd? i...” (białorus.) — oj, wzejdt wzejdz, jasny miesiącku jak młyńskie koło, WJ dziewczyno, serce jedyne, przemów do mnie słow

329

Koli ludzie śmieję utsia, Szto mnie z toboju nie życi *...

Głowa nad beczką, w powietrzu jakby zawieszona, powoli trząść się zaczęła, powiekami ku staremu Mikule mrugając. „Nie żyć mnie z tobą, tatku, nie żyć jnnie w tej chacie, gdzie chleba nigdy nie brakuje

71P W łrfrwł*!" — -----

-j —SUA1c uiiitrući

i. ludzie w zgodzie żyją, czasem na wesołe wieczorku za-
-----uyie aaiej zająć

tego, co mnie z tyłu goni, oj, tak goni, kora na nlpmrh

O--"JJIt ^aacm na wesoft

nice schodząc się i weseląc. Przypadkiem ja tu zaszedł, sam me wiedząc, gdzie idę, byle dalej i uciec od tego. co mnie * t.vh, oTM; ^ +,i. ___

" - -- a. t- j i la gum, u

aż mnie skóra na plecach cierpnie, to

m/^lzi CłTY^ -ir» i _____ 11 •

ze

„ _____ —\r\j piecze... Przypadkiem ja tu przyszedł i nie wytrzymał, taj do chaty zaszedł, ale mnie tu nie żyć... Zaraz wstanę, taj pójdę, bo grzechów dużo na świecie popełniłem, a żeby za nie żadnej pokuty nie było, nie można, tatku... ty sam powiedział i osądził, że nie m o ż n o..."

Ku trzęsącej się nad beczką głowie głowa starego także trząść się zaczęła. Zdawało się, że odpowiada, powtarza:

„Nie można, synku nijak nie m o ż n o!"

Nagle wyprostował się stary, lecz silny Mikuła, ogromną, żylastą rękę po oczach przesunął i gwałtownym SZeDtem zaklął*

nym szeptem zaklął:

- To i zgiń, przepadnij, kiedy taki... Pfuj, maro z tamtego świata! jaka nieczysta siła ciebie po świecie wodzi? Zgiń, przepadnij!

-O---, r - ...^.^LA^HAJ ;

Szerokimi plecami do izby się zwrócił, a do ściany twarzą tak ponurą i groźną jak gromowa chmura.

— Zgiń i przepadaj, kiedy taki... — powtórzył.

O chropowatą ścianę oparł wielkie, wyłysiałe, w sto

fałd i zmarszczek wyrzeźbione czoło. Nic już wiedzieć nie chciał.

?zbę nappełnił teraz wesoly, swawolny

śpiew:

330.

U polu krynica, U jej woda saczytsia, Mołodoj mołojczyk, Wielkij ladauczyca. Robić on nie chce, Ani pracowaci, Tylko pić, hulaci, Dzieuki namawlaci *.

Tym razem kobiety śpiewały same; parobcy nie tylko nie wtórzyli im jak wprzódy basowymi, oderwanymi nutami, ale nawet śpiewania ich nie słuchali. Czy obrażały ich zawarte w pieśni żarty „z mo-łodego mołojczyka"? Czy ważniejsza od śpiewów sprawa do głowy im przyszła? Skupili się w ścisłą gromadę, szeptali o czymś pomiędzy sobą, czasem urywane słowa wykrzykiwali. Nagle pieśń urwała się w połowie strofy, jak wstęga nożem przecięta, a w ciszy, która zaległa izbę, rozległ się śmiały, butny głos Aleksego:

— A paszport, panie, masz? Pokaż, panie, paszport, niechaj my wiemy, kto ty taki!

Stary Mikuła znowu twarzą zwrócił się ku izbie i z wielkimi dłońmi o kolana opartymi siedział jak struna wyprostowany, spod ciężkiej chmury zmarszczek na to, co działo się u drzwi izby, patrzący.

U samych prawie drzwi izby sześciu mężężyzn otoczyło beczkę, nad którą przed kilku minutami wznosiła się sama jedna głowa przybyłego. Na czele gromadki Aleksy w rozpiętym kozuchu, z zapalonym papierosem w ustach i głową butnie'

podniesioną do przybyłego przemawiał. Inni mu wtórzili:

— Paszport pokażcie... teraz bez paszportu nikomu nie można włóczyć się po świecie...

— Może ty Bóg wie kto — grubo i posepnie krzy-

• „U o o 1 u krynic a...” (białorus.) — w polu źródło, woda 7 niego się sączy, miody chłopiec wiew* ladaco. Robić nie chce. ani pracować, tylko pic, n lać, dziewce ,mv zaczepiać.

331

knął bednarz — a my odpowiadać za to będziemy, że ciebie nie złapali...

— Może ty ten Bąk, którego za niewinną krew ludzką ścigają — przenosząc głosem innych zawołał mądry Damian. Nie darmo nazywano go mądrym Damianem: on pierwszy przed chwilą spojrzawszy na siedzącego za beczką gościa nową jakby zagadkę Aleksemu i bednarzowi szepnął:

: — Może to Bąk.

Zza beczki zerwał się człowiek groźny, z okiem rozbłysłym wściekłością ściganego zwierzęcia, z rozdętymi nozdrzami, ze srogim przekleństwem na ustach. Zerwał się, kij swój żelazem okuty podniósł i szeroko nim zamachnąwszy ku drzwiom poskoczył. Ale w mgnieniu oka parobcy za ramiona go pochwycili. Rozległy się hałaśliwe krzyki:

— To ty taki! Zamiast paszportu kij nam pokazujesz! ho! ho! dobry ty m u s i ptaszek...

— Bąk, pewno Bąk... łapajcie, trzymajcie!

— Trzymajcie, ludzie, kiedy Boga kochacie, nie puszczajcie!

Przerażone dziewczęta na podobieństwo owiec zbiły się u komina w niemą od trwogi gromadkę, wielka Ulana na piec nawet ze strachu lazła, dwie małe dziewczynki do ziemi przypadły i twarze schowały w spódnicy matki, która przed ogniem stanęła, ramiona u piersi skrzyżowała i ciemnymi, zamyślonymi oczami na odgrywającą się u drzwi scenę patrzyła. Stara Nastula tylko nie widziała i nie słyszała nic; z głową 0 krawędź komina opartą spała, od czasu do czasu coś przez sen pomrukując i pośpiewując.

U drzwi walczono. Chwytanego niełatwo było pochwycić. Silny, choć chudy, sprężysty, z członkami do walki snadź wyćwiczonymi, wydierał się on chwytającym go ręką, łokciami i nogami napastników uderzając. Wzmagało to ich zaciętość.

Łajali

1 klęli. Na koniec Aleksy pierwszy, potem bednarz — najzaciętsi lub najsilniejsipochwycili go tak sil-

3 2

nie i zręcznie, że żadnego już poruszenia uczynić nie mógł.

— Postronków! — zawołali — hej, baby! postronków dawajcie!

Ale Krystyna ramion nie rozplotła. Patrzyła, patrzyła, a zamyślane jej oczy zdawały się powtarzać:

„Taki i tego kiedyściś matka na rękach swoich nosiła i kołysała!”

Od krawędzi komina dygocący głos uspionej baby zanucił:

Nie grajcie, braciszkwie, nie grajcie, Serduszka mego nie targajcie...

A spomiędzy gromady chłopów głos pokorny, błagalny, od trwogi dygocący

przemawiał:

— Puśćcie mnie, ludzie, jeśli Boga w sercach macie, jeżeli zbawienia duszy żądacie, puśćcie. Ja wam nic złego nie zrobię, pójdę stąd, zaraz pójdę, na wieczne czasy z oczu wam przepadnę, tylko puśćcie, oj, puśćcie...

Parobcy zaśmieli się szydersko, groźnie i dalej o postronki do bab wołali, ale starego Mikulę dygocący, błagalny głos, który pośród gromady parobków przemawiał, na kształt czarodziejskiej siły z ławy podniósł. Jak wysoki, stanął, rękami zamachał, usta otworzył i nic nie powiedziawszy z otwartymi usty znowu na ławę opadł. U krawędzi komina śpiąca baba zanuciła:

•

Nie graj, ta tulu, nie graj, Serduszka mego nie targaj, Braciszkanie mnie zabili. Aleksy do sieni, zapewne po postronki, których kobiety nie podawały, skoczył. Chwytny zaszamotał się znowu i wychylił się nieco spomiędzy otaczających go postaci i ramion. Zmalały był, skurczony, plecy mu poruszały się i głowa wtulała w ramiona tak, jakby

333

już skóra jego kurczyła się i drgała pod uderzeniami pletni. Struga bledzi trupiej spadała mu na twarz, nieopisana męka wykrzywiła usta i miotała skórą czoła, która to podnosiła się ku złotawym włosom, to opadała ku oczom biegającym i rozrzucającym dokoła błagalne spojrzenia. Wydawał się w tej chwili zbiornikiem najsroźszych cierpień świata, arcynędzarzem.

— Przypadkiem do was zaszedłem — zdyszczonym głosem mówił — przypadkiem, na godzinkę, bez żadnej złej myśli... byle odpocząć... i zaraz pójdę... pójdę... nic złego nie zrobię... tylko mnie puśćcie, jeżeli Boga w sercu macie... jeżeli kroplę litości... jeżeli zbawienia duszy... puśćcie... na rany Jezusa Pana... oj, ludzie!...

Krystyna teraz głośno wymówiła:

— A taki i tego kiedyś matka na rękach swoich nosiła i kołysała...

A tuż prawie przy ziemi senna baba śpiewnie mruczała:

Braciszkanie mnie zabili, Nóż w serce wsadzili...

— H o d z i! — rozległ się po izbie głos wszystkie inne przenoszący, do rozkazywania nawykły. — H o-dzi! puszczajcie jego! rozstapcie się i puszczajcie! Mikulę wstał znowu z ławy i już na nią jak wprzód nie opadł, ale ciężki, wielki, w swym białym odzieniu twardą taśmą przepasanym, prosty, choć z głową na pierś spuszczoną, ku środkowi izby postąpił.

— Puśćcie jego i rozstapcie się! — powtórzył.

Po chwilowym zdumieniu i wahaniu rozstąpili się parobcy; jeden Aleksy ze sznurami w ręku z sieni powracający sprzeciwić się próbował: I — He to Bąk, baćku! jak Boga kocham, Bąk!

Ponuro spojrzął nań stary.

— Milcz! — wymówił i na stojącego przed nim ze zgarbionymi plecami człowieka wzrok pełen błyskawic podniósł.

334

— Idzi — orzekł — i d z i...

Po chwilowej przerwie dokończył:

— I boisz nie hreszy!*

Ale ten nie szedł jeszcze, na starego patrzył, aż parę szerokich kroków uczynił, na ziemię runął i do wielkiej, bosej, pyłem okrytej stopy Mikuły ustami przyłgął. Łzy jak groch toczyły się po policzkach starego. Prędkim ruchem za koszulę sięgnął, w rękę mu zaszeleściły papierki, ku leżącemu nachylił się i wyprostował się natychmiast.

— Boisz nie hreszy! — powtórzył i z naleganiem, ze strachem jakby kilka razy wymówił:

— I d z i... i d z i ż e... chuczej idz i...

Po sekundzie zaś, wielkie ręce splatając, dokończył szeptem:

— Z Bohom!...

Na dworze było ciemno, niebo chmurami usłane nie świeciło ani jedną gwiazdą, wiatr posuwił się hasał, wirującymi słupy wzbijał się w górę, gamami szumów, jęków, gwizdań śpiewał w głębokiej kotlinie, na której dnie leżał szeroki szlak zamarzłej rzeki. Nisko, nad samym szlakiem rzeki szedł znowu człowiek zupełnie samotny.

Na tle mdławej białości śniegu wydawał się on cienką linią szybko przerzynającą grube, ale mniej od niej czarne ciemności. Wznoszące się ze stron obu wysokie ściany kotliny zmniejszały jego rozmiary. Można by myśleć, że był on nieskończoną małością, płynącą po morzu nieskończonej wielkości. Wielkie morza nocy i samotności obejmowały go dokoła; zbał-wanione, szumiące wichry zdawało się niosą go po szerokim, dzikim, ponurym łonie natury, wobec której sił, grózb i ogromu był on kroplą, okruchą, ziarnem piasku, źdźbłem trawy upadłym na dno przepaści...

•Boisz nie hreszy (bialorus.) — więcej nie grzesz.

Był to jeden z tych domków, które wydają się uśmiechami wsi albo jej echem spadłymi pomiędzy ulice i kamienice miejskie. Maleńki, biały, z ganeczkiem na dwóch słupkach, stał w ogrodzie zaniedbanym, któremu właśnie zaniedbanie nadawało pozór gęstwiny zielonej i świeżej. Dziedzińca nie miał wcale; od ulicy przedzielala go część ogrodu i parkan z desek tak wysoki, że ani domku z ulicy, ani ulicy z okien domku zupełnie widać nie było. Z dala — kątek cichy i ładny; z bliska — ruderka, której ściany powyginane od starości, niedbale pobielone ukrywały się do połowy w splotach fasoli wijącej się na tykach. Oprócz fasoli trochę kwiatów rosło na klombie pod ganeczkiem, na którym stały dwie ławki wąskie i stare.

Wewnątrz domku pokoiki były małe, sufity niskie, podłogi grube, piece niezgrabne z zielonych cegieł.

Do jednego z tych pokoików Klara Wygryczówna wbiegła z kuchenki żwawo i nucąc, bo nuciła zawsze, gdy była zadowolona. Miała na sobie suknię perkalo-wą w różowe i szare paski, fartuch płócienny i rękawy aż do łokcia zawinięte. Rękoma świeżo umyтыми, jeszcze zaczerwienionymi od zimnej wody, prędko zdjęła fartuch, zwinęła go i schowała do szuflady starej komódki myśląc: „Trzeba go już wyprać! już bardzo poplamiony”. Po czym odwinęła rękawy i zaczęła wkładać do koszyka kawałki pokrojonego perkalu, nożyczki, napaśtek, nici. Obejrzała się po pokoju i ze stojącej w kącie etażerki zdjęła książkę, którą także włożyła do koszyka. Wybiegła jeszcze do kuchenki i przyniosła niedużą kromkę chleba, wsunęła ją pod perkal napełniający koszyk. Wtedy już zaśpiewała głośno na nutę walcową: „La, la, la! la, la, la!” — wybiegła na ganek. Tu zatrzymała się, spojrzała na fasole i klombik z

trochę kwiatów. Fasola miała już pełno strąków, ale tu i ówdzie wychylały się jeszcze spo-śftśd jej ogromnych liści kwiaty czerwone jak ogień. Jeden z tych Wygryczówna zerwała i wsunęła we włosy. Były to włosy czarne, kręące się nad czołem.

a z tyłu głowy zwinięte tak luźno, że mnóstwo krętych pasemek rozsypywało się po karku i ramionach. Kwiat fasoli wyglądał w nich jak płomyk. Dziewczyna nie była doskonale piękną, ale miała świeżość lat dziewiętnastu i wdzięk żywości niezwyklej, odbijającej się w ruchach, w oczach, w uśmiechach. Uśmiechała się i teraz, patrząc na ogród. Czowała się wesołą. Zrobiła już wszystko, co trzeba było zrobić, i miała przed sobą parę godzin swobody zupełnej. Ojciec był w biurze, brat w szkole, siostra w szwalni; obiad zgotowany oczekiwał na ich powrót w piecu kuchennym. Ona, po uprzątnięciu mieszkania i zgotowaniu obiadu, czowała się trochę głodną. Dlatego wzięła do koszyka kawałek chleba. Zje go szyjąc w miejscu bardzo ulubionym, to jest w altanie z bzu koralowego, która znajdowała się u końca ogrodu, u samych sztachet otaczających ogród książęcy. Ilekroć mogła przesie-siedzieć w tej altance godzinę albo dwie sama jedna, z robotą i swymi myślami, wpadała zawsze w humor wesoły. Ta iskra lubiła samotność. Ta główka młoda bardzo miała o czym myśleć. Nigdzie zaś nie czowała się tak samotną, nie myślała tak dobrze, jak w tej altance bzowej. Tam za sztachetami niskimi ciągnęła się aleja cienista z drzew bardzo starych, które rozstępowały się naprzeciw altanki, ukazując za trawnikiem rozległym pałac nieduży, ale piękny, z dwoma basztami i trzema szeregami okien długich a wąskich. Ciemno-popielata ściana pałacu, jego okna i balkony wysuwały się znad krzewów rozrzuconych po trawniku wspaniale i tajemniczo. Tajemniczość pochodziła z milczenia panującego zawsze w pałacu i dokoła niego. Okna tam były wiecznie zamkniętymi i ogród wiecznie pustym. Czasem na drogach i trawnikach pracowali ogrodnicy, ale nikt nigdy po nich się nie przechadzał. Nie opodal altanki znajdowała się w sztachetach bramka, także wiecznie zamknięta. Miejsce to, utrzymywane starannie, było jednak opuszczonym. Kła-ra wiedziała ze słyszenia, że właściciel pałacu, książę Oskar, nie mieszkał tu nigdy. Nie obchodziło

® — Orzeszkowa

338.

jej w stopniu najmniejszym, czy pałac miał albo nie miał mieszkańców. Lubiała na niego patrzeć i patrząc doświadczać uczucia piękna, którego miała w sobie instynkty silne.

Teraz siedząc na wąskiej ławeczce, z jednym krzakiem bzu koralowego za sobą, a drugim przed sobą, jeszcze nie patrzała na pałac ani cieszyła się jego pięknnością. Szyła pilnie. Przed nią na stole malutkim, z jedną nóżką wkopaną w ziemię, stał koszyk z kawałkami perkalu i wyglądającą spomiędzy nich książką. Na czytanie i na zachwycanie się jeszcze pora nie przyszła. Robota była pilną. Kupiła niedawno perkalu na sześć koszul dla małego brata: szyła zaledwie czwartą. Kiedy wszystkie uszyje, przyjdzie kolej na reperowanie bielizny ojca, a potem będzie musiała uszyć dla siebie nową suknię, bo te dwie, które posiada, już się kończą. Niestety! wołałaby, aby inaczej było, ale już się kończą i trzeba zrobić nową. Najtańsza nawet coś kosztuje, a gdy w którym miesiącu zdarzy się sprawunek podobny, musi dobrze połamać głowę, aby pensji ojcowskiej na inne rzeczy nie zabrakło. Dotąd jakoś nie zabrakło nigdy, ale ojciec nie zawsze ma wszystko, czego mu potrzeba. Bo

potrzebowałyby ze swoim słabym zdrowiem jedzenia pożywniejszego, zwłaszcza owoców.

Myśl o jedzeniu przypomniła jej kawałek chleba wzięty z domu. Wyjęła go z koszyka, ugryzła trochę i położywszy na stole szła dalej.

W tej samej chwili aleją, która z trzech stron obejmowała duży ogród sąsiedni, szedł od strony pałacu mężczyzna dość wysoki i bardzo zgrabny, w ubraniu domowym z materiału kosztownego i skrojonym wykwiłtnie, w małym kapeluszu pilcowym na ciemno-łłowych włosach. Spod kapelusza widać było owal twarzy delikatny i blady, policzki gładko wygolone i wąsik złotawy, ocieniający wargi cienkie, mające wyraz trochę ironiczny, trochę znudzony. Mógł mieć lat trzydzieści kilka; ruchy były młodzieńcze, zgrabne, trochę niedbałe. Szedł zrazu ze spuszczoną

339

wą, a potem przypatrując się drzewom i podziwiając ich wspaniałość. Stały one nieruchomo w powietrzu cichym i w bladym złocie słońca, już prawie jesienno, gdziegdzie przeświecając liściem żółkłym lub zarumienionym. Kiedy niekiedy uschłe liście z małym trzaskiem kruszyły się pod stopami idącego, który coraz zwalniając kroku prowadził wzrokiem po dwóch zielonych ścianach alei, od szczytów natykanych złotem i czerwienią, do pni grubych, okrytych porostami jak szmatami koronek zielonawych. Myślał, że wcale uroczym kącikiem jest ten ogród, choć nieduży i znajdujący się w mieście niedużym. Ale może dlatego właśnie jest uroczym, że napełnia go cisza taka, jakiej prawie niepodobna znaleźć w miastach wielkich i nawet w rezydencjach wiejskich, ale wielkich. Długo żyć w takiej ciszy mógłby chyba kameduła; ale na czas jakiś może być ona bardzo przyjemną. Wydziela się z niej coś kojącego i zarazem obudzającego marzenia niewyraźne. Chciałoby się w tej ciszy i wśród tych drzew starych widzieć idyllę. Czy tylko widzieć? Może także i brać udział w sielance naiwnej jak baśnie o pasterzach zakochanych, tajemniczej jak gniazda ukryte w zielonych gęstwinach. Nie są to zapewne marzenia bardzo mądre, ale w tym miejscu rodzą się w wyobraźni same przez się, niby sny nikłe, po których zostaje przez parę godzin trochę tęsknoty na dnie serca. A cóż zresztą na świecie jest bardzo mądrym? Gwar i ścisk ludzki, każdy bez wyjątku, ciecze takąż ilością głupstwa co mądrości; a nawet jest to proporcja ustanowiona zbyt optymistycznie. Owszem, w gwarach i ściskach ludzkich Mądrość do głupstwa znajduje się w stosunku szczupłego odsetka. I prawda do fałszu także. Ta cisza i te drzewa nie kłamią przed nikim ani przed samymi sobą. A proszę mi pokazać wśród ludzi takie cudo, które by nie znało udawania, obłudy, pochlebca, zalotności. Mężczyźpi są pochlebcami, kobiety zalotnicami, a nieraz spotkać można oba te pięk-ne Przymioty połączone w osobnikach płci każdej.

340

Przyjaźń mężczyzny i miłość kobiety — żart natury ukazującej ludziom ideały dlatego, aby przez całe życie byli dziećmi goniącymi za motylami. Ale nie każdy pozwala aż do końca wyprowadzić siebie w pole. Są tacy, którym doświadczenie, nawet niezbyt długie, udziela przekonania, że z motyla pochwyconego wkrótce pozostaje na dłoni trupek dość obrzydliwy. Takim miło jest odetchnąć niekiedy ciszą i- samotnością, z których wydziela się zapach idylli — będącej błagą poetów. Bo w rzeczywistości idylla miewa ręce czerwone, a w sercu pociąg magnetyczny do

kieszeni pasterza zakochanego. Tu, z dala od ludzi, korzystnie byłoby czytać Rochefoucaulda *. Co za pędzel ciemny i wierny prawdzie życia — ciemnej! Trzeba koniecznie przyjść do tej alei z Rochefoucaul-dem i pod drzewami usiadłszy...

Usiadłszy! Ale gdzie?

Czy są tu jakie ławki?

Dla zobaczenia, czy w alei starej i cienistej jest jakie miejsce, w którym mógłby usiąść z Rochefou-cauldem, podniósł głowę i stanął jak wryty. O kilka kroków, przed sobą, tuż za sztachetami, zobaczył dziewczynę w sukni perkalowej w różowe i szare paski, na wąskiej ławeczce, pod krzakiem bżowym, szyjącą pośpiesznie. Kwiat fasoli gorzał jak płomyk w jej czarnych włosach; czarne kędziorki wiły się po karku schylonym nad robotą i po białej szlarze ** obejmującej szyję u brzegu stanika. Średniego wzrostu, wątła i zgrabna, z cerą bladawą i paśowymi usty, miała pozór delikatny i zarazem bardzo świeży. Szybkość, z którą szyła, nie przeszkadzała jej sięgać kiedy niekiedy po kromkę chleba leżącą na stoliczku zbitym z dwu desek grubych i od starości popękanych. Odgryzła kawałek i przeżuując go szyła znowu. Chleb był ciemny, zęby, które się w nim zatapia-

•Rochefoucauld — Franciszek la Rochefoucauld (1613—1680), moralista francuski, autor znanych i ciekawych się wielkim powodzeniem „Maksym”, który są odbiciem jego pesymistycznego stosunku do świata. Twierdził on m. in., że czynami ludzkimi kieruj zawsze egoizm, próżność i interes osobisty.

** S z l a r a — obszywka, wypustka.

34

...jy, białe i równe jak perły. Dwie, trzy minuty szycia i znowu ręka, błyskając napaśckiem, wyciąga się po kromkę coraz mniejszą. Za to roboty już wykonanej przybywa. Zszywanie dwu kawałków perkalu zbliża się do końca. Jeszcze jeden kęs chleba i jeszcze ściągów kilkanaście, jeszcze jeden i jeszcze kilkanaście, aż białe ząbki zamiast chleba przecinają nitkę zaprawioną; dziewczyna wyprostowywa kibić, i przechyloną nieco głową przypatruje się robocie wykonanej i znać uznaje, że robota jest dobrze wykonaną, że chleb był smaczny, że pogoda piękna, bo z ust jej wybiega wesoła nuta walca: — La, la, la! la, la, la! la!

Młody mężczyzna postąpił parę kroków i wyszedł zza drzew, przez których gałęzie dość długo przypatrywał się dziewczynie. Suche liście zaszeleściły mu pod stopami. Ona szybko obróciła twarz, okrytą wyrazem zdziwienia. W oczach jej ze źrenicą złotawą i błyszczącą było trochę przestachu. Odkąd przychodzi tu, więc od lat trzech przeszło, pierwszy raz widzi kogoś przechadzającego się po tym ogrodzie. Ale przestach trwał krótko. Powierzchowność człowieka zobaczonego niespodzianie sprawiła wrażenie miłe. Był też widocznie grzecznym, bo spotkawszy się oczyma z jej spojrzeniem, podniósł nad głowę kapelusz, co odsłoniło czoło pięknie wykrojone i mające pomiędzy brwiami zmarszczkę pionową. Ta zmarszczka, wobec młodości postawy i twarzy, od pierwszego wejrzenia rzucała się w oczy, zarówno jak podłużny kształt i białość ręki podnoszącej kapelusz. Przez parę sekund zdawał się wahać czy namyślać; potem szybko przystąpił do sztachet i z kapeluszem ciągle Podniesionym nieco, bardzo grzecznie wymówił:

— Czy mogę zapytać panią, kto mieszka w tym ładnym domku?

Oczyma wskazywał białą ruderkę topiącą się W splotach fasoli.

Ona, zmieszana trochę, odpowiedziała:

— My tam mieszkamy...

342

Zaraz jednak poprawiła się:

— Ojciec mój, Teofil Wygrycz, ja i rodzeństwo moje...

Układ jej i sposób mówienia objawiły, że była nawykłą do uprzejmego obchodzenia się z ludźmi i że zmieszana zrazu, prędko odzyskiwała śmiałość.

— Miłe ustronie — zauważył.

— O, bardzo! — potwierdziła z oczyma pełnymi zachwytu; — tak zielono tu jest i spokojnie...

— Gniazdko zaciszne — dodał i zaraz zapytał jeszcze: — Któż to zasadził przy domku te piękne rośliny, które ocieniają go w sposób tak malowniczy?

Uradowana pochwałą, odpowiedziała z żywym blaskiem oczu:

— Nieprawdaż, że ślicznie fasola wyrosła nam w tym roku? Sadzimy ją z siostrą każdej wiosny, ale nigdy jeszcze nie była tak wysoką i gęstą...

— Jest istotnie wysoką i gęstą nad podziw. Na klombie też widzę kwiatki. Czy także są przez panią zasiane lub zasadzone?

— Trochę lewkonii i rezedy... tylko trochę, ja i siostrawmoja nie mamy czasu uprawiać więcej...

— Siostrzyczka pewnie starsza?

— Owszem, młodsza ode mnie o lat cztery...

— Więc ma lat?

— Piętnaście...

Umikli; ona, znowu zmieszana, spuściła twarz nad robotą i szyć zaczęła; on, oparty o sztachety, patrzył na nią i nie odchodził. Zmieszanie, które ją ogarnęło, pochodziło właśnie ze sposobu, w jaki patrzył na nią.

Zdjął był przed chwilą kapelusz i oczy jego w oprawie podłużnej, duże, bardzo szafirowe, miały pod czołem, przekreślonym zmarszczką głęboką, uśmiech żartobliwy. W tym uśmiechu oczu, postawie, w sposobie mówienia trochę powolnym i rozdzielającym sylaby wyrazów, nie było wcale niegrzeczności, ale z całej osoby nieznajomego uderzała pewność siebie i wy-tworność, które ją mieszały. Przy tym wiedziała, że młoda panna nie powinna wdawać się w długie roz-

343

mowy z ludźmi nieznanymi, ale paliła ją po prostu ciekawość: kto to taki? skąd i jakim sposobem znalazł się w tym miejscu, zazwyczaj bezludnym? Myślała: „Jakby to się zapytać?” — ale żadna forma zapytania nie przychodziła jej do głowy. Szyła tedy, a przez głowę jej mknęły myśli: „Może odejdzie sobie? Może ja powinnam wstać i odejść? Ale byłoby to niegrzecznie. Po cóż mam uciekać? Jestem przecież w swojej altance. Niech on sobie idzie, skąd przyszedł! Kto to taki? Kto to być może? Przystojny... głos szczególnie ma bardzo miły...”

On, pomilczawszy parę minut, głosem istotnie bardzo miłym, mającym w sobie coś z miękkości aksamitu, przemówił znowu: * — Co to pani robi?

Nie podnosząc głowy ani oczu odpowiadała:

— Szyję koszulę dla brata...

Nie widziała uśmiechu, który przemknął po ustach nieznajomego.

— Braciszek dorosły?

— O nie, o dziesięć lat młodszy ode mnie...

— Więc pani jest najstarszą z rodzeństwa?

— Tak.

— Ale ja w jednym powiedzeniu pani spostrzegłem pewne opuszczenie... pewien brak... Mówiła pani: mój ojciec, ja i rodzeństwo moje... A mama?

Po kilku sekundach milczenia odpowiedziała z cicha: ;

— Od czterech już lat nie mamy matki. Umarła...

— I pani zastępuje ją rodzeństwem...

Wciąż szyjąc, z głową pochyloną, cicho odpowiedziała:

— Staram się o to... pragnę bardzo... o ile podobna...

Z ust i z oczu nieznanego zniknął uśmiech żartobliwy, ramię jego silniej oparło się o sztachety, po chwili też przemówił:

— Widzę książkę w koszyczku... pani lubi lekturę?

Tak, bardzo lubię czytać...

344

— Cóż to jest... ta książka?

Wyciągnął rękę nad sztachetami; ona, nie zaraz i z wahaniem, jednak podała mu przedmiot żądany. Cóż on sobie myśli, doprawdy? Stoi i stoi! Rozmawia i rozmawia! I nie mówi, kim jest! To niegrzecznie, choć z drugiej strony... jest bardzo grzecznym! Książka miała okładkę grubą i zniszczoną, cała zresztą była zniszczoną, czytana zapewne po wiele razy i przez wiele osób. Nieznajomy otworzył ją, zaczął przewracać kartki i zatrzymał wzrok na wierszach, przy których znajdował się znak zrobiony ołówkiem.

— Czy to pani podkreśliła te wiersze?

— Tak — cichutko odpowiedziała.

— Tak się pani podobają?

Pogłosem zaczął czytać wiersze podkreślone:

...przenoś moją duszę utęsknioną Do tych pagórków leśnych, do tych łąk zielonych,
Szeroko nad błękitnym Niemnem rozciągnionych; Do tych pól malowanych zbożem
różnaitem...

Jakkolwiek półgłosem tylko, czytał jednak pięknie. Dziewczyna doświadczyła wrażenia szczególnego. Nigdy w życiu nie słyszała poezji czytanej głośno, a ten głos był taki aksamitny, przejęty pieśczością, z czymś jeszcze na dnie, jakby z trochę smutku... On głos ten swój zawiesił na chwilę i pomyślał: „Jednak daleko znalazłem się od Rochefoucaulda... w stronie zupełnie przeciwnej...” I czytał dalej:

...Gdzie bursztynowy świerzop, gryka jak śnieg biała, Gdzie panieńskim rumieńcem
dziewicelina pała, A wszystko przepasane jakby wstęgą, miedzą Zieloną...

Jej, nie wiedzieć skąd i dlaczego, łzy zaczęły cisnąć się do oczu. Bywało z nią tak zawsze, ilekroć słuchała muzyki, co zdarzało się niezmiernie rzadko. Za

345

wstydziła się ogromnie, a obok wstydu uczuła trochę gniewu. Cóż znowu? Nie tylko rozmawia z nią, ale nawet czyta sobie głośno jej książkę, jakby od stu lat byli z sobą znajomymi! a nazwiska swego nawet nie powiedział. Zebrała się na śmiałość i ręce z robotą na kolanach składając, z poważnym, nawet surowym wyrazem twarzy

zapytała:

— Pan daleko stąd mieszka?

Czuła sama, że wymówiła to pytanie głośniejszym głosem, niż chciała, i że z pewnością już brwi ściągnęła. Ale to tak zawsze: kiedy trzeba zdobyć się na wielką śmiałość, zawsze się coś przesadzi!

On podniósł oczy znad książki i trochę niedbale odpowiedział:

— Bardzo blisko...

Potem przeczytał jeszcze dwa wiersze:

...Śród takich pól przed laty, nad brzegiem ruczaju, Na pagórku niewielkim, we brzoźowym gaju...

Ale jakby w czasie czytania tych dwóch wierszy namyślił się, zamknął książkę i rzekł z ukłonem:

— Dotąd jeszcze nie przedstawiłem się pani. Nie przypuszczałem, aby rozmowa nasza mogła się tak przeciągnąć. Ale teraz widzę, że będę pragnął, aby mogła się powtarzać...

Spuścił na chwilę oczy, pomyślał, potem dokończył:

— Jestem Juliusz Przyjemski, mieszkam w tym dużym domu...

Wskazał pałac książęcy. Dziewczyna poweselała; czuła, że przyzwoitości towarzyskiej stało się zadość, ale była trochę zdziwioną.

— Myślałam, że w tym pałacu nikt nie mieszka...

— Dotąd, oprócz służących, nikt w nim nie mieszkał> ale wczoraj przybył tu, na czas jakiś, jego właściciel.

Książę! — zawołała.

346

— Tak; książę, który z powodu interesów majątkowych zabawi tu czas jakiś...

Ona pomyślała chwilę i z wahaniem zapytała:

— A pan przyjechał z księciem?

— Tak — odpowiedział — przyjechałem z księciem.

Oskarem...

— Pan jest zapewne u księcia Oskara w gościnie?

— Bynajmniej, pani. Jestem domownikiem księcia, jeżdżę i przebywam z nim wszędzie i zawsze...

Zastanowił się chwilę i dodał jeszcze:

— Jestem domownikiem i zarazem przyjacielem najbliższym księcia.

Pomyślała: „Pewno sekretarz albo plenipotent księcia!” Wiedziała o tym, że wielcy panowie miewają plenipotentów i sekretarzy. Co ona tam zresztą wiedzieć mogła, jakie urzędy znajdują się przy dworach książęcych! Pewno są liczne i rozmaite. Ale uczuła zadowolenie z tego, że świeżo poznany człowiek nie był gościem książęcym. Wcale nie wiedziała, dlaczego ją to ucieszyło, ale ucieszyło.

— Czy książę jest młody? — zapytała. Przyjemski zawahał się chwilę, a potem z uśmiechem, który wydał się jej trochę dziwnym, odpowiedział:

— Tak i nie; żyje niezbyt długo, lecz doświadczył wiele...

Potakująco wstrząsnęła głową.

— O, tak! Wyobrażam sobie, ile szczęścia i przyjemności doświadczyć musiał!

— Pani tak myśli?

— Naturalnie. O Boże! Będąc tak bogatym może robić zawsze, co mu się tylko podoba!

Cienkimi palcami przerzucając od niechcienia karty książki odpowiedział:

— I nieszczęście jego w tym tylko... że mnóstwo rzeczy przestało mu się podobać. Zastanowiła się chwilę.

— Pewno — rzekła — wiele rzeczy może okazać si?

347.

nie takimi dobrymi jak z początku albo z daleka...

— Pani to już rozumie? — z niejakim zdziwieniem zapytał.

Z wesołym uśmiechem odpowiedziała:

— Żyję niedługo, ale już wiele doświadczyłam...

— Na przykład? — zapytał żartobliwie.

— Miałam już kilka albo i kilkanaście takich wypadków, w których czegoś bardzo chciałam, o czymś bardzo marzyłam, a potem przekonałam się, że nie warto było chcieć i marzyć...

— Na przykład? — powtórzył.

— Na przykład, pragnęłam mieć przyjaciółkę, ale taką serdeczną, serdeczną, z którą mogłybyśmy żyć prawdziwie razem.

— Co to znaczy: żyć prawdziwie razem?

— To znaczy: nie mieć nic osobnego, tylko wszystko wspólne. Wspólnie myśleć o wszystkim, wzajemnie pomagać sobie we wszystkim, wspólnie cieszyć się i biedować...

— Piękny program. Czy udał się pani?

Spuściła twarz nad robotą. /

— Nie udał się. Już ze dwa razy myślałam, że mam taką przyjaciółkę, i byłam ogromnie szczęśliwą, a potem...

— Pani pozwoli dokończyć? Potem przekonała się pani, że po pierwsze: te przyjaciółki były daleko mniej mądre od pani, więc niepodobna było razem z nimi myśleć; po drugie: że prawdziwie nie kochały panią... Tak?

Szyjąc ciągle, twierdząco skinęła głową.

— Nie wiem, czy były mniej mądre ode mnie, ale że nie kochały mię prawdziwie, to pewno.

On mówił z wolna:

— Obgadywały panią... kopały pod panią dołki... Za byle drobnostkę obrażały się na panią, a same co Moment obrażały...

|| Zdziwiła się ogromnie i podniosła głowę: Skąd pan wie?

J Zaśmiał się.

348

— Książę doświadczał tego samego, tylko na bardzo szeroką skalę. Był z początku niezmiernie czułym i naiwnym, wierzył w przyjaźń, w miłość, w szczęście... un tas de choses * w tym rodzaju, a potem przekonał się, że jedni ludzie jego nudzą, a innych on nudzi, że każde serce ma na dnie interes, a każda radość zdradę... Dlatego jest zarazem i młodym, i starym. V

Słuch&ła uważnie, potem ze współczuciem szepnęła:

— Biedny! Taki bogaty, a taki biedny!

Przyjemski zamyślił się. Stał ciągle oparty o sztachety, wzrok spuścił ku ziemi i zmarszczka pomiędzy brwiami stając się głęboką rzuciła na twarz wyraz znużenia i cierpienia. Ona przez chwilę patrzyła na niego z zamyśleniem, a potem z żywym błysnięciem oczu zawołała:

— Jednak są rzeczy zawsze miłe, piękne, dobre i książę, pomimo że tyle doświadczył, musi być jednak bardzo szczęśliwym...

Podnosząc powieki zapytał:

— Jakież to rzeczy?

Żywym gestem wskazała na ogród za sztachetami:

— Na przykład taki ogród! O Boże, ileż razy siedząc tu myślałam, jakie to szczęście móc sobie zawsze, gdy tylko się podoba, chodzić i siedzieć pod takimi drzewami, patrzeć na piękne kwiaty, mieszkać w domu z taką piękną architekturą... Ja szczęśliwą już jestem, ile razy siedzę tu i tylko patrzę na linie tego pałacu, takie zgodne i eleganckie, na te drzewa, na ten trawnik... Wie pan, w kwietniu tyle fiołków bywa na tym trawniku, że trawa znika prawie pod nimi i robi się on cały fioletowy, a zapach idzie od niego tak silny, że aż do naszego domku dochodzi...

— Pani jest bardzo wrażliwą na piękność...

Ona ożywiła się teraz ogromnie. Z żywymi gestami i wesoło opowiadać zaczęła:

— Co ja się też napracowałam i nastarałam o to,

◆Un tas de choses (franc.) — mnóstwo rzeczy-

349

aby w tym domku zamieszkać!... Zobaczyłam go raz wypadkiem. Przechodziłam ulicą, brama w parkanie była otwartą i przy niej stał stragan z owocami. Zaszłam, aby kupić trochę owoców dla ojca... Patrzę, taki śliczny domek stoi w ogrodzie jednym, a tuż obok drugi ogród, daleko większy, z takimi pięknymi drzewami. Tak mi się zechciało, aby ojciec i dzieci mieszkali w tym domku, pomiędzy tą zielonością, w takim spokoju miłym... sama też Bóg wie co dałabym była za to, aby tu mieszkać... Ale było bardzo trudno... Musiałam wynaleźć właściciela, dobić się do niego, bo jest to bogaty człowiek i mieszka w środku miasta, w kamienicy ogromnej. Kilka razy do niego chodziłam, zanim zechciał rozmówić się ze mną. Potem okazało się, że to dla nas trochę za drogo, że trzeba było czekać, że przenosiny kosztują wiele!... E! mnóstwo było bied i trudności rozmaitych, ale przewyciężyłam wszystkie i, dzięki Bogu, przenieśliśmy się tutaj... Już przeszło trzy lata temu...

— Więc pani miała lat szesnaście, kiedy dokazywała takich czynów bohaterskich. Zaśmiała się.

— Do bohaterstwa to daleko, ale trzeba było silnego postanowienia. Jestem też przekonana, że zdrowie ojca podtrzymuje się jako tako tylko przez to, że mieszka on w takim dobrym powietrzu i w takiej ciszy. Gdybyśmy byli pozostali na dawnym mieszkaniu, w zaułku brudnym i krzykliwym, kto wie, co by było? A tu ojciec ma się nielepiej wprawdzie, ale i nie-gorzej, i wszystkim nam dobrze...

— Dobrze! — z zamyśleniem powtórzył Przyjemski — więc pani czuje się zupełnie szczęśliwą, odkąd tu mieszka?...

Szyjąc, smutnie wstrząsnęła głową.

— Niezupełnie; bo wcale, wcale nie jestem spokojny o zdrowie ojca i przyszłość dzieci...

— A o swoją?

Tym razem podniosła na niego oczy ogromnie zadziwione:

350

— O swoją przyszłość? A cóż mi się stać może? Jestem już przecież dorosłą i w każdym wypadku dam sobie radę...

— To pani szczęśliwszą jest od księcia, bo on nie może dać sobie rady...

— Z czym?

— Ze wszystkim. Sam nie wie, co ma zrobić z sercem zrażonym, bo po wielokroć zranionym, z dniem i godzinami, które nie mają celu.

— Biedny — westchnęła znowu, ale po chwili bardzo żywo mówić zaczęła:

— Mnie się jednak zdaje, że księżę mógłby być szczęśliwym, tylko albo nie chce, albo nie umie. Doprawdy, może jestem zarozumiała, ale zdaje mi się, że będąc na jego miejscu wiedziałabym, co zrobić z sercem i z życiem.

— Doprawdy? Cóż by pani robiła?

— Weszłabym na szczyt tej baszty, widzi pan... tej... na sam szczyt... i obejrzałabym z niego całuteńkie miasto. Zobaczyłabym wszystkich, którzy tylko w nim żyją, cierpią, czegokolwiek potrzebują i...

Urwała i najniespodzianie zapytała:

— Widział pan kiedy medalik z Matką Boską Paryską?

— Zdaje mi się... zapewne... niedobrze sobie przypominam...

,— Matka Boska Paryska stoi, a z obu Jej rąk leją się potoki promieni... takich promieni, co pocieszają i co oświecają, i co od złego bronią... Gdybym była na miejscu księcia, weszłabym na tę basztę, spuściłabym ręce i lałabym z nich potoki, potoki promieni... O Boże, jaka byłabym szczęśliwa!...

Mówiąc czyniła gęsta odpowiednie. Ukazywała na szczyt baszty, potem spuściła ręce i wstrząsnęła nimi, jakby coś z nich sypała na ziemię. Przyjemski słuchał, oczy jego pod zmarszczką głęboką nabierały blasku i miękkości.

— Ładnie, bardzo ładnie! — szepnął do siebie.

351

Ale zaraz z trochę ironii przemówił głośno:

— Święta wiara w zbawienne skutki filantropii! Nie będę jej pani odbierał. Nie trzeba pani nic odbierać i... nic dodawać... Nie wiem, jak tam z księciem, ale co do mnie...

Z lekkim uchyleniem kapelusza, który przed chwilą włożył był na głowę, dodał:

— Szczęśliwy jestem, że trafił mi panią poznać...

Twarz jej okryła się rumieńcem karminowym. Zaczęła prędko, prędko wkładać robotę do koszyka.

— Pora mi już do domu...

— Już? — zapytał z żalem.

Spojrzał na książkę, którą trzymał w ręku. ■ — Czy pani będzie łaskawą pożyczyć mi tę książkę do jutra?

— Owszem, z przyjemnością — uprzejmie odpowiedziała.

— Oddam ją pani jutro... gdy pani znowu o tej porze przyjdzie do tej altanki.

Dobrze?

— Dobrze — bez wahania odpowiedziała — ja tu co dzień przychodzę, kiedy tylko pogoda piękna...

— Oby jutro była piękną!...

Od strony domku głos dziecinny zawołał:

— Klarciu! Klarciu!

Na ganeczku z dwoma słupkami stał malec w mundurku gimnazjalnym, trochę więcej niż dziesięcioletni, i obu ramionami machając ku altance, na cały ogród wołał:

— Klarciu! Klarciu! Już przyszedłem! Ojciec też idzie, i Frania zaraz z magazynu przyleci... Chodź Prędzej i daj obiad! Okropnie jeść chce się!...

— Idę, idę! — odkrzyknęła i skinąwszy głową nowemu znajomemu odbiec miała, gdy on zatrzymał ją leszcze słowami:

~~ Niech pani mi na pożegnanie rączkę poda...

?ez wahania, z uprzejmym dygnięciem wyciągnęła

Skę i wtedy dopiero, gdy ta ręka zgrabna, ale ze skó-trochę zgrubiałą i szorstką, znalazła się w dłoni

3 52

białej, miękkiej i obejmującej ją uściskiem miękkim długim, rumieniec karminowy oblał twarz jej od czarnych kędziorów nad czołem do białej szlarki otaczającej u szyi brzeg stanika.

II

Dużo przed południem Juliusz Przyjemski siedząc z książką w ręku na ławce ogrodowej spoglądał często na domek stojący w fasoli pośród ogrodu sąsiedniego. Sztachety niskie i gałęzie drzew, rozstępują-cych się w alei, pozwalały widzieć dokładnie wszystko, co się dzieje dokoła tego domku.

Widział naprzód człowieka wysokiego, chudego z siwiejącymi włosami, który wyszedł na ganek w paltocie znoszonym, w czapce z gwiazdką, ze szczupłą teczką pod ramieniem. Za nim wybiegła Klara i obie ręce położywszy mu na ramionach coś mówiła do niego, aż podała mu czoło do pocałowania i do domu wbiegła. Chudy, siwy człowiek poszedł z wolna ku bramce w parkanie prowadzącej na ulicę, ale był w połowie drogi, gdy zatrzymało go głośnie wołanie z wnętrza domku:

— Tatku! Tatku!

Dziewczynka w sukni jeszcze nie dosięgającej ziemi, w błękitnej chusteczce na głowie, uczepiła się jego ramienia i razem już wyszli z ogrodu.

Przyjemski uśmiechnął się.

„Tatko poszedł do biura, siostrzyczka do magazynu... Ten Benedykt to sprytny ptaszek!... Powiedziałem mu wczoraj: «Dowiedz się!» — i dziś z rana już wszystko wiedział. Trzydzieści rubli na miesiąc, phi-1 bieda musi tam aż piszczeć. Naturalnie. Od tego są idylle, aby poetyzować na głodno! Czarny chleb za" jada, a w koszyczku poematy nosi..."

Spuścił wzrok na książkę, którą trzymał w ręku-

353

Nie był to Rochefoucauld, ale ta stara książka w podartej oprawie, którą wczoraj pożyczył od swojej nowej znajomej. Znowu kilkanaście wierszy zakreślonych ołówkiem; znowu więc ustęp ulubiony. Zobacz-mysz jaki.

Słońce już gasło, wieczór był ciepły i cichy, Okrąg niebios gdzieniegdzie chmurkami zasłany, U góry błękitnawy, na zachód różany...

Podniósł wzrok znad książki, zamyślił się.

„Jak ja to dawno czytałem, jeszcze w dzieciństwie... Bardzo to ładne! Tu szczególnie pod tymi drzewami, w tej ciszy, lektura bardzo stosowna... Dziś jeszcze nie oddam jej tej książki i przeczytam ją od początku do końca... Ciekawym, co też ona robi w tej chwili... za tą fasolą?”

Dowiedział się o tym natychmiast. Na mały ganek wyszła Klara dźwigając w obu rozpostartych rękach coś ciężkiego. Przyj emski pochylił się naprzód, aby lepiej widzieć, i zobaczył, że dziewczyna, z rękawami sukni do łokci odwiniętymi, niosła małą balię napełnioną płynem, który wylała z dala od domku, za rozłożystą jabłonią i krzakami agrestu. Gdy wracała z pustą już balią w opuszczonych rękach, zauważył, że miała przód sukni okryty fartuchem płóciennym.

— Zapewne pierze, skoro ma do czynienia z balią. Taka jednak delikatna i z rozumkiem... Jak ona wczoraj mówiła o tej Najświętszej Pannie Paryskiej... bardzo ładnie... bardzo ładnie...

Czytał, myślał, odchodził, powracał, odszedł na długo i w parę godzin po południu wrócił znowu prawie o tej samej porze, o której wczoraj zobaczył Klarę- Usiadł na ławce z tą samą książką w starej oprawie i co chwilę podnosił wzrok znad jej kartek spoglądając w ogród sąsiedni. Po pewnym czasie szybkim ruchem pochylił się, aby lepiej widzieć przez gadzie. Ktoś wyszedł na ganek z domku, nawet dwie osoby wyszły.

8Orzeszkowa

_ Lii

Jedną byia staruszka w czarnym ubraniu, w czar nej chustce na siwiuteńkich włosach, drugą Klara, ubrana jak do wyjścia na miasto, w zarzutce ciemnej i kapeluszu słomianym, opasanym wstążką. Zeszły z ganeczku i prędko przeszedszy ogród wyszły przez bramkę w parkanie na ulicę.

— Basta! — uśmiechnął się Przyjemski — poszła sobie i tu już pewno nie przyjdzie. Spłoszyłem ptaszy nę. Szkoda, bo jest milutką!...

Ruchem nerwowym zamknął książkę i poszedł ku pałacowi z pogłębioną zmarszczką pomiędzy brwiami.

Klara od samego rana myślała nad tym: pójść czy nie pójść? Dając śniadanie ojcu i dzieciom, sprzątajac mieszkanie, gotujac obiad, piorac fartuch swój i różne drobiazgi dziecinne, co chwilę zapytywała siebie: pójść czy nie pójść do altanki bzowej, gdzie z pewnością zjawi się zaraz po drugiej stronie sztachet pan Przyjemski? Robota szła jej dziś nie tak gładko jak zwykle, bo co chwilę stawała i myślała o spotkaniu wczorajszym.

„Dziwny wypadek! Spotkać człowieka nieznanego, rozmawiac z nim tak długo i nawet książkę mu pożyczyć! Nie słyszałam nigdy, aby ktokolwiek tak pięknie czytał. Jaki on miły! Dziwna ta jego zmarszczka na czole, taka głęboka, a pod nią oczy takie szafirowe, szafirowe, czasem śmiałe i śmiejące się, a czasem takie smutne! Jaki on miły! Raz tak jakoś na mnie popatrzył, że chciałam wstać i uciec... Uczułam coś takiego, jakbym się na niego obraziła nie wiedzieć za co, ale potem'zaczął mówić o księciu rzeczy takie zajmujące... Jaki on miły! Jak on to powiedział: «Pani nie trzeba

nic odejmować i nic dodawać!» Jaki on miły!..."

Ogień kuchenny piekł i rumieńcem gorącym okrywał jej policzki; stawała też często przed otwartym oknem i z rozkoszą czuła powiewy wiatru muskają ją po twarzy. Im więcej zbliżała się pora, w której zazwyczaj szła do altanki, tym większy niepokój ją ogarniał.

355

Wreszcie zrobiła już wszystko, zdjęła fartuch, wyjęła z szafki koszyk z robotą. Jeszcze raz: pójść czy nie pójść? Przy spojrzeniu na koszyk przypomniała sobie książkę pożyczoną wczoraj. Jakże? trzeba pójść choćby dlatego, aby tę książkę odebrać. Naturalnie, gdyby nie przyszła, cóż by uczynił z tą książką? Musiałby chyba ją odsyłać i sprawiłoby mu to kłopot z jej przyczyny. Ma się rozumieć, że pójdzie. To jej altanka, ma prawo w niej przesiadywać, a ten pan może sobie tam przychodzić albo nie przychodzić, co jej do tego! Jaki on miły!... I cóż w tym złego będzie, jeżeli znowu trochę z sobą porozmawiają?

Postanowienie powzięte tak ją ucieszyło, że biorąc koszyk i biegnąc ku drzwiom zanuciła:

— La, la, la! la, la la!

Ale drzwi otworzyły się, nim do nich dobiegła, i ukazała się w nich staruszka trochę krępa i -ciężka, w czarnej sukni, z twarzą okrągłą i rumianą, pod włosami jak srebro błyszczącymi, przykrytymi czarną chusteczką wełnianą. Klara z uciechą pocałowała ją w rękę ubraną w wełnianą mitenkę.

— Niech pani droga usiądzie — zapraszała.

— Nawet siadać nie będę — ciężko dysząc odpowiedziała staruszka, ale przez chwilę nie mogła mówić dalej, bo z niejaką trudnością wyjmowała coś z kieszeni sukni. Były to dwa rumiane jabłka i garstka cukierków na straganie kupionych. /

— Jabłuszka dla tatki, a cukierki dla dzieci — rzekła kładąc na stole przedmioty przyniesione.

Oczy jej duże i bardzo błękitne śmiały się pod siwymi brwiami i uśmiech dobroduszny rozchyłał szerokie usta. Klara pocałowała ją znowu w rękę.

— ■ Dlaczego pani nie chce usiąść?

— A bo mi pilno i przyszłam po ciebie. Teraz masz czas 1 możesz pójść ze mną do sklepów. Trzewiki nowe muszę kupić; widzisz, w jakich chodzę...

Wysunęła spod czarnej sukni i Klarze pokazywała dużą, płaską, w białej pończosze i prunelowym fletniku. wydeptanym i znoszonym.

— Bez ciebie nie kupię. Oni mię oszukają, Bóg wie jakie dadzą i będę miała niewygodę. Szlerek mi też trzeba do ogarniowania czepeczków; te, co były, podarły się na nic. Bez ciebie nie kupię. Zarzuć tam co na siebie i chodźmy.

Klara słuchała z głową pochyloną. Zrobiło się jej bardzo smutno, ale zaraz podniosła oczy i przemówiła raźnie:

— Dobrze, pójdę zaraz, tylko wezmę okrycie i kapelusz.

Zaraz też wyszły. Wyszędłszy Klara zamknęła na klucz drzwi domku i klucz włożyła do kieszeni sukni. Ojciec miewał zawsze drugi przy sobie. Gdy przechodziły przez ogród, staruszka mówiła:

— Rozmienimy w sklepach pieniądze i dam ci na wpisowe dla Stasia. Już pora

zapłacić, prawda?

— Dziękuję pani — szepnęła Klara. — Gdyby nie pani dobroć, nie wiem, jakim sposobem moglibyśmy Stasia posyłać do gimnazjum.

— Co tam, co tam! Ręka rękę myje. Ogarnirujesz mi czepeczki nowymi szlarkami, a?

— Z największą ochotą!

Przed bramką prowadzącą na ulicę obejrzała się na altankę bżową, przytuloną do ściany drzew wysokich i rozłożystych.

— „Adieu!” * — pomyślała i znowu zrobiło się jej ogromnie smutno.

Po zrobieniu sprawunków ze swoją starą znajomą i dobrodziejką biegła do domu śpiesznie, gdy w bramce ogrodu spotkała się oko w oko z jedną z tych swoich przyjaciółek, o których wczoraj opowiadała Przy-jemskiemu i które ją zawiodły. Zawiedziona, popłakała była trochę, ale nie chowała urazy do dziewczyny, która przyjaźniąc się z nią, wyśmiewała się z niej przed znajomymi nazywając ją praczką, fląderką itp-Nie była już z nią w przyjaźni, ale przebaczyła jej dawna i widywały się z sobą niekiedy. Blondynka)

* Adieu (franc.) — żegnaj.

357,

świeża i różowa jak wiosna, wystrojona, z kwiatami na kapelusiku ślicznymi, objęła ją i pocałowała. Na Klarze jej pocałunki sprawiały przykre wrażenie czegoś fałszywego, ale poddała się im uprzejmie. Paulin-ka była u niej i znalazłszy drzwi zamknięte odchodziła. Na zaproszenie Klary, aby wróciła, odpowiedziała, że nie ma czasu i że miała wpaść do niej tylko na chwilę, bo dziś, za godzinę, wybiera się na przechadzkę zamiejską z towarzystwem dość licznym. Idą do lasu, biorą z sobą różne jedzenia w koszykach, będą bawić się bardzo wesoło. Szkoda, że to towarzystwo jest nieznanym Klarze, bo może wzięłaby udział w tej przechadzce.

— Ej, nie — przerwała Klara patrząc na jasną i strojnie zrobioną suknię rówieśnicy — domu nie zostawiłabym na tak długo.

— A ojciec?

— Ojciec sypia po obiedzie. Ja ze Stasiem lekcje powtarzam.

Chciała pożegnać towarzyszkę, ale jakoś nie wypadało. Ta zaś mówiła, że wieczór wczorajszy spędziła w jej sąsiedztwie, u dozorczy pałacu książęcego, z którego żoną przyjaźni się jej matka.

— Zawsze cię namawiałam, abyś się z Perkowskimi zapoznała, mieszkając tak blisko... ale nie chciałaś. Wczoraj było nam wesoło, tańczyliśmy nawet trochę i jeden był tylko zawód: pan Przyj emski nie przyszedł...

Klara doświadczyła uczucia małego uderzenia w piersi, ale tak dobrze opanowała siebie, że nawet Powieka jej nie drgnęła. Paulinka zaś trzepała dalej:

— Bo książę Oskar w tych dniach przyjechał

1 przywiózł z sobą sekretarza, który nazywa się pan Juliusz Przyjemski, jest w wielkich łaskach u księcia, u Perkowskich był parę razy dla interesów, natural-nie> przecież musiał pomówić o różnych rzeczach

2 rządcą pałacu. Otóż oni go zaprosili na wczorajszy Wieczorek, a pomiędzy nami mówiąc, nawet i wydali

eri wieczorek dlatego, aby sekretarza księcia zapro-

się i przyjąć! Aż tu wziął i nie przyszedł! Szkoda, bo ogromnie byłam ciekawa tego pana Przyjemskiego! Młody podobno, brunet, przystojny i bardzo wesoły...

— Brunet!... — powtórzyła Klara.

Ale Paulinka śpieszyła się i wygadawszy, co miała najważniejszego, zegnała ją, znowu obejmując i całując.

— Szkoda mi ciebie, moja ty duszko droga, że tak ciągle w domu siedzisz... Do widzenia, do widzenia! Lecę na obiad, a potem na przechadzkę...

Klara wchodząc do domu powtarzała sobie w myśli: „Brunet!” — i śmiała się. Wcale nie brunet, tylko ciemny blondyn. I nie bardzo wesoły, ale owszem, trochę smutny. Paulinka jak zawsze trzepie o wszystkim, co wie i czego nie wie. Ktoś jej powiedział, że brunet bardzo wesoły, ona też powtarza. Pewno państwo Perkowscy zaprosili go na zbiorową przechadzkę za miasto, tak jak wczoraj na wieczór, i on pewno będzie im towarzyszył. Bo któż by nie chciał pójść za miasto, do lasu?... Jak im będzie przyjemnie i wesoło! Chciałaby tam być, w lesie, z tym towarzystwem; tak by chciała, że aż obu łokciami oparła się o starą ko-módkę i dłonie przycisnęła do oczu, które napełniły się łzami. Po dwóch minutach takiego stania z łokciami na komódce i twarzą w dłoniach zobaczyła ojca wchodzącego z ulicy do ogrodu i wybiegła na jego spotkanie.

Dzień przeminął i wieczór się kończył. W domku pomiędzy fasolą nawet już się skończył, bo małe okna jego pogasły, oprócz jednego, należącego do pokoiku Klary. Ona szła jeszcze, ale po godzinie dziesiątej zostawiła robotę na stole, z zamiarem powrócenia do niej wkrótce, i wybiegła na ganek. Wywabiły ją z pokoju ciche szelesty fasoli poruszanej małym wiatrem i gwiazdy, które świeciły naprzeciw niej, za oknem-Ganek miał parę wschodek, podziurawionych i kołyszących się od starości. Usiadła na jednej z nich, dłonią twarz podparła i wpatrzyła się w wieczór piękny cichy. Cicho tu było bardzo. Nikt już nie przejeżdż*

0 tej porze ulicą ciągnącą się za' parkanem, ustronną

1 prawie zamiejską. Od środka miasta dochodził szum daleki, przez odległość stłumiony i monotonny. Wielkie, drzewa w ogrodzie księżęcym czasem szumiały z cicha, czasem mjlkły i stały wśród zmroku jak ściana czarna. Niebo sierpniowe było pełne gwiazd, które ciemność nocną czyniły podobną do zmierzchu wieczornego, pozwalającego rozpoznawać zarysy przedmiotów dość oddalonych. Klara rozpoznawała swoją altankę ulubioną, przerwę w wielkiej alei i w głębi perspektywy, otwartej przez tę przerwę, ścianę pałacu, zarówno jak ściana drzew czarną wśród zmroku. Ale na jej tle czarnym jaśniał rząd świateł, które Klarze wydały się zrazu gwiazdami zza drzew przeświecającymi. Wnet jednak rozpoznała, że były to okna oświetlone. Rząd okien pałacowych, długich i wąskich, na górnym piętrze był oświetlonym. Odkąd Klara zamieszkała w sąsiedztwie pałacu, zdarzyło się to po raz pierwszy. Nic dziwnego, skoro w tej chwili przebywał w nim właściciel. Ciekawość, czy tylko książę znajduje się za tymi oknami oświetlonymi, czy także i sekretarz jego? Zapewne oni często albo i zawsze bywają razem. Ale pan Przyjemski może jeszcze nie wrócił z tej przechadzki zbiorowej za miasto, którą urządzili państwo Perkowscy. Może zaledwie teraz towarzystwo powraca z lasu. Czegóż mieliby

śpieszyć? Pogoda śliczna i oni pewno weseli. Przez kilka godzin chodzili po lesie, w którym o tej porze lata paprocie są takie ogromne i wrzos kwitnie...

Już przed paru minutami oparła była łokcie o kolana i twarz położyła na obu dłoniach. Teraz z twarzą w dłoniach myślała o tym lesie zamiejskim, w którym była kilka razy w życiu, i obraz jego Przedstawiał się jej bardzo wyraźnie, z drobnymi lawet szczegółami. Wyraźnie widziała gęstwiny zielone, pod którymi biegła ścieżyna kręta, z obu stron ścieżyny brzozy cienkie z białą korą, wrzos liliowy, siwy, paprocie krzaczaste. Tą ścieżką idzie para pan Przyjemski i Paulinka... idą obok siebie

360

i rozmawiają z sobą ciągle... on patrzy na nią szafirowymi, takimi bardzo szafirowymi oczyma, spod tej dziwnej zmarszczki, i mówi: „Pani nie trzeba nic odbierać i nic dodawać...”

Wszystko to: las i parę przez las idącą widziała pod zamkniętymi powiekami tak jasno, jak w dzień jasny, ale za to w niej samej robiło się ciemno...

Nagle usłyszała głos aksamitny, który dzieląc nieco sylaby wyrazów tuż nad nią wymówił:

— Dobry wieczór pani!

Nie wiadomo, co było w niej silniejszym: zdumienie czy radość. Byłaby raczej spodziewała się wszystkiego niż usłyszenia w tej chwili tego głosu i zobaczenia człowieka, który stał przed nią, z kapeluszem w' spuszczonej ręku, z twarzą, na której dojrzała pomimo zmroku uśmiech przyjazny i trochę żartobliwy.

— Przechadzając się po ogrodzie zobaczyłem panią na ganku i nie mogłem oprzeć się pokusie powiedzenia pani: „Dobry wieczór”. Piękny wieczór, nieprawdaż? W tej chwili szczególnie stał się bardzo pięknym. Pani tak była zamyślona! O czym? Z początku nie słyszała, co mówił, tak silnie uderzało jej serce. Potem też nie była jeszcze dość przytomną, aby na zapytania jego odpowiedzieć. Stojąc na wschodce ganku, wskazała wąską ławeczkę.

— Proszę, niech pan usiądzie...

— A może tu lepiej będzie... pod gwiazdami...

Ręką z kapeluszem wskazał niebo i usiadł na

wschodce ganku, która silnie zakołysała się pod nim. Ona usiadła także, nieco z dala.

Już odzyskiwała przytomność umysłu i śmiałość; uczuciem panującym stało się w niej teraz uradowanie ogromne, które też dzwięczało w głosie, gdy zapytała:

— Którędy pan wszedł do naszego ogrodu?

— Drogą bardzo pospolitą. Przez bramkę w sztachetach.

— To prawda! Nigdy nife widziałam jej otwartą, zapomniałam, że istnieje...

361

— Zawiasy i zamek były zardzewiałe i otwierały się z trudnością, którą pokonałem. O czym pani myślała?

Otwartość wrodzona i radość coraz większa podyktowały jej odpowiedź wymówioną w sposób wesoły:

— Myślałam, czy też państwo wrócili już albo może jeszcze wracają z przechadzki zamiejskiej...

Podniósł twarz ruchem oznaczającym zdziwienie.

— Kto to: państwo? — zapytał.

— Państwo Perkowscy i pan. Mówiła mi jedna znajoma moja, że państwo Perkowscy zaprosili pana na przechadzkę zbiorową, która musiała być bardzo przyjemną... Ale dlaczego pan nie był wczoraj na wieczorze u państwa Perkowskich? Bardzo pana tam czekano.

Przyjemski dość długo nie odpowiadał, a kiedy zaczął mówić, w głosie jego czuć było trochę śmiechu.

— Ani na wieczorze, ani na przechadzce zbiorowej państwa Perkowskich nie byłem. Ale jeżeli pani pozwoli, będziemy mówili o czym innym i daleko przyjemniejszym niż... państwo Perkowscy. Bardzo dziękuję za książkę, którą mi pani pożyczyła, i jeszcze jej nie oddaję. Przeczytam całą i za dni parę zwrócę. Wspaniały poemat! Znałem go, ale z daleka. Wdzięczny jestem pani za to, że zawiązałem z nim znajomość bliską. A teraz niech mi pani powie, jak pani cały dzisiejszy dzień przepędziła i czy nie wydał się pani długim? Dla mnie był bardzo długim. Co pani dziś robiła?

— To, co robię co dzień; nie ma o czym opowiadać...

— Ale przeciwnie; jest bardzo o czym i proszę pani, bardzo proszę...

Zaśmiała się wesoło.

— Owszem, czemuż nie miałabym opowiedzieć? Cóż? Uprzątnęłam mieszkanie, zgotowałam obiad, Wyprałam sobie fartuszek, robiłam sprawunki dla znajomej... cóż .więcej? Pomagałam bratu uczyć się lekcji i, nalewałam herbatę, szylałam...

362

Wszystko to Wypowiedziała swobodnie i z widoczną nawet przyjemnością. On zapytał:

— A nie czytała pani dziś wcale?

— Owszem, czytałam trochę, kiedy ojciec spał jeszcze, a Staś już lekcje umiał.

Frania dziś nastawiała samowar, a ja trochę sobie poczytałam. Książki dostaję czasem od jednej pani, która była na pensji nauczycielką moją...

— Pani była na pensji? _

Opowiedziała, że matka jej, z zawodu nauczycielka, uczyła ją sama do lat dwunastu, a potem zaczęła posyłać na pensję, której, jednak skończyć nie mogła, gdyż po śmierci matki ciągła obecność jej w domu stała się konieczną dla ojca i malutkiego wówczas rodzeństwa. Przestała chodzić na pensję z wielkim żalem, ale teraz wcale, wcale nie żałuje tego, bo przekonała się, że jest w domu potrzebną koniecznie, że ojciec i dzieci nie mogą w żaden sposób pozostawać bez opieki...

— Tak poważnej! — uśmiechnął się Przyjemski.

— Poważnej! — zaśmiała się — gdzie tam! Wiem sama, że wiele mi brakuje... ale robię, co mogę...

— Aby być aniołem pociechy i pomocy — dokończył z cicha.

Jej te słowa spłynęły w serce słodczą wielką; pochyliła głowę i umilkła.

Ale dla niego nawiązanie rozmowy przerwanej nie przedstawiało trudności najmniejszej. Trochę pochyłony ku niej, zaraz zapytał znowu:

— Któż to taki ta staruszka, z którą pani dziś wychodziła do miasta?

— Skąd pan wie?

— Widziałem z alei, w której siedziałem trzymając w ręku książkę, a myśląc o pani...

Ta staruszka była panią Dutkiewiczową, wdową po weterynarzu, chrzestną matką jej matki, osobą niezmiernie zacną, dobrą i czyniącą im wiele dobrego. Jest to prawdziwa ich przyjaciółka i dobrodziejka.

363

Dopomagała im nieraz w okolicznościach trudnych, teraz płaci wpisowe za Stasia.

| — Więc jest to osoba majątna? —■ zapytał Przy-|emski.

I — O, majątna! —z zapalem potwierdziła Klara — zajmuje dla siebie jednej trzy pokoje, trzyma służącą-

I — Życie zbytckowne — zauważył, a ona opowiadała dalej:

| — Mąż jej miał dochody znaczne i jej pozostawił majątek duży. Mówiła ojcu sama, że ma kapitału pięć-Rbaście tysięcy... I — Majątek duży... — powtórzył Przyjemski.

R — Bardzo duży — potwierdziła Klara — ale też używa go dobrze. Oprócz nam, dopomaga jeszcze kilku innym osobom...

I — Czemuż by nie? Ma czym się dzielić! I — Tak; i to jest dla niej wielkim szczęściem; inaczej, nie mając dzieci, nie miałyby żadnego celu życia.

On dokończył:

— Ponieważ zaś posiada piętnaście tysięcy, majątek duży, może naśladować Najświętszą Pannę Paryską!

Oparł się łokciem o wschodkę wyższą, głowę pochylił na rękę i zamyślił się tak głęboko, że Klara spostrzegła i odczuła to zamyślenie. Umilkła też, nie śmiąc już mówić dalej. Trwało tak ze trzy minuty, po czym Przyjemski wyprostował się i z podniesioną głową patrzył w gwiazdy. Przy ich świetle Klara zobaczyła, że zmarszczka jego pomiędzy brwiami była bardzo głęboką. Po chwili przemówiła z cicha:

— Gwiazdy spadają.

Ona także zniżając mimo woli głos odpowiedziała:

— W sierpniu zawsze wiele gwiazd spada. A po chwili dodała:

— Powiadają, że gdy gwiazda spada, trzeba tylko, dopóki nie zgaśnie, wymówić w myśli życzenie, a bę-

363

dzie spełnione... O, widzi pan? spadła znowu... I tam, i tam! Widzi pan, jak spadają! Patrząc w niebo, z którego to tu, to ówdzie spadały duże iskry złote, wnet gasnące w zmroku podniebiesz-

kim, rzekł z wolna:

— Niech pani wymawia życzenie... Spada ich tak wiele, że zawsze skończy je pani wymawiać przed zgaśnięciem którejkolwiek...

Milczała; on twarz obrócił ku niej. Siedział tak już blisko, że wyraźnie widziała jego oczy utkwione w jej twarzy.

— O co prosiłaby pani gwiazdy spadającej? Usiłując mieć głos swobodny odpowiedziała:

— Jestem szkaradną egoistką. Gdybym wierzyła, że spadające gwiazdy spełniają życzenia ludzkie, prosiłabym ich ciągle: niech ojciec mój wyzdrowieje! niech dzieci ucą się dobrze i będą dobre!...

— A dla siebie? — zapytał. Zdziwiła się bardzo.

— Jak to? Przecież ta prośba byłaby właśnie o to, czego pragnę najwięcej... więc

prosiłabym dla siebie.

— Egoizm szkaradny! — zauważył — ale czyż doprawdy nie chciałaby pani, aby gwiazdka złota przysłała pani jakieś... jakieś szczęście, takie wielkie, że serce przemienia w gwiazdę pałającą i zawieszoną wysoko nad wszystkim, co jest na ziemi?

Ona czuła, że serce jej przemienia się w gwiazdę pałającą, i właśnie dlatego, że to czuła, zażartowała wesoło:

— Jeżeli już koniecznie miałabym prosić o coś dla siebie jednej, to prosiłabym, aby tego lata jeszcze pójść za miasto i całe pół dnia przepędzić w lesie. Ogromnie lubię las.

Potem dodała zaraz:

— A pan o co najwięcej prosiłby gwiazdy spadającej?

— Ja?

Z zamyśleniem mówić zaczął:

— Prosiłbym gwiazdy złotej o wiarę, że są na ziemi

36 5

serca dobre, czyste, wierne, i o to, aby jedno z takich należało do mnie...

Umilkł trochę, a potem mówił dalej:

— Prosiłbym jej: „Gwiazdo jasna, daj mi zapomnieć o snach ciemnych, których miałem wiele...”

Słuchała słów i głosu czując smutek zmieszany ze słodyczą. Słodycz szła od melodii głosu, smutek od znaczenia słów mających dla niej głębię niezrozumiałą, alfe ciemną.

On wstał i już swobodnie przemówił:

— Może przejdziemy się po ogrodzie...

Wstała posłusznie i poszli w kierunku altanki bzowej, po trawie zroszonej, pomiędzy dwoma rzędami krzaków agrestowych.

— Prosiłaby pani gwiazdy spadającej o zdrowie ojca... Czy nie czuje się zupełnie zdrowym?

— O tak! jest bardzo słabego zdrowia... od dawna...

— Cóż jest ojcu pani? • — Coś piersiowego...

— To smutno! Zapewne się leczy?...

— Leczył się przed kilku laty, ale teraz już nigdy nie wzywa lekarza. Kuracje wiele kosztują, a pomagają niewiele, zapewne z powodu pracy biurowej, ciężkiej i nużącej. Cała rzecz w tym, aby zachowywał jak najlepiej higienę przepisaną. Musi wcześniej udawać się do snu, pić mleko, jeść jak najwięcej owoców.

Przyjemski zauważył:

— To ostatnie musi być bardzo łatwym do spełnienia. Mieszkając w ogrodzie dość dużym i mając pod bokiem drugi jeszcze większy... Ogród księcia ma owoce wyborne.

Klara uśmiechnęła się w zmroku. Jaki on dziwny! Co to ma jedno do drugiego, że ojciec jej potrzebuje dla zdrowia owoców i że ogród księżęcy ma ich wiele?

Pomiędzy dwoma tymi faktami nie ma związku najmniejszego.

On milcząc patrzył na nią, jakby czegoś od niej oczekiwał. Potem tonem opowiadania

niedbałego zaczął mówić:

366

— Dziś właśnie oglądaliśmy z księciem brzoskwi-niarnię, ananasarnię, inspekty i jest tam tak wiele różnych... dobrych rzeczy, że ksiązę powiedział mi, abym je posyłał państwu Per... Per... Perkowskim i w ogóle znajomym moim, jeżeli mam tu jakich...

Znowu przestał mówić i patrzył na nią. Ona zauważyła:

— Ksiązę musi być bardzo grzecznym.

I zaraz wskazała na pałac.

— Jak ładnie wygląda teraz pałac z oknami oświetlonymi! Wie pan? Kiedy dziś wieczorem pierwszy raz spojrzełam w tę stronę, wzięłam te okna za gwiazdy przeblyskujące pomiędzy drzewami.

Stali przy sztachetach, tuż obok altanki. W powietrzu cichym naprzód z lekka zaszumiały drzewa, a potem jakby w odpowiedź temu akordowi natury, rozeszły się w powietrzu dźwięki muzyki. Szły od pałacu zza okien oświetlonych i wnet umilkły. Ktoś tam wziął kilka akordów na fortepianie i zaraz grać przestał.

— Co to? Ktoś gra w pałacu? — szepnęła Klara.

Przyjemski odpowiedział:

— To on. Jest wielkim amatorem muzyki i często grywamy razem...

— Pan gra także?

— Grywam na wiolonczeli, a on mi akompaniuje na fortepianie i odwrotnie. Czy pani lubi muzykę?

W pałacu znowu zabrzmiały akordy i tym razem trwały dłużej, zlewając się ze słabym szumem, który znowu poszedł po drzewach i wnet umilkł, a akordy fortepianu jeszcze śpiewały. Klara z cicha odpowiedziała:

— Nie mogę nigdy słuchać muzyki bez takiego jakiegoś wzruszenia...

— A często pani jej słucha?

— Od śmierci mamy, która grywała ojcu wieczorami, słyszałam muzykę u znajomych może dwa albo trzy razy...

Przyjemski zawołał ze zdziwieniem:

367

— Czy podobna! Przez cztery lata słyszeć muzykę tylko dwa albo trzy razy!... Jak pani może żyć bez muzyki?..;

f Odpowiedziała z uśmiechem:

; — Cóż to tak ważnego, że nie mam tej przyjemności?...

— To prawda — potwierdził — cóż to ważnego nie mieć w życiu przyjemności... szczególnie w takim wieku...

. — To prawda — zgodziła się spieszenie — od dawna już jestem dorosłą...

Spojrzał w górę. | — Czy gwiazdy jeszcze spadają? .. Ona także patrząc na niebo odpowiedziała:

— O, spadają jeszcze! Widzi pan, teraz spadła jedna, tam nad tym wielkim drzewem... a teraz druga... nad samym pałacem, widzi pan!

I — Widzę... Niech pani mówi: „Chcę posłuchać pięknej muzyki!” Zaczęła śmiać się, ale on nalegał.

— Proszę powiedzieć: „Gwiazdo złota, daj, aby twoja siostra ziemską posłuchała

dziś pięknej muzyki!" Proszę powiedzieć...

* Niezdolna do oparcia się jego prośbie, ze śmiechem na ustach drżących zaczęła powtarzać: — Gwiazdo złota, daj, aby twoja siostra... | Ale urwała, bo powietrzem popłynęła muzyka już nie z akordów oderwanych złożona, lecz z tonów splątanych i ciągłych. Na twarzy jej, podniesionej jeszcze ku gwiazdom, odmalowało się zachwycenie. Z ustami rozwartymi nieco w uśmiechu wzruszonym i z oczyma, które pomimo zmroku miały blask złotawy, stała jak przykuta do ziemi, zasłuchana. Jego zaś mowa zniżyła się do szeptu.

; — Widzi pani, jak prędko gwiazdy spadające spełniają życzenia swoich sióstr ziemskich! Ale ja źle Porównałem panią do gwiazdy. Porównania tego nadużywano ogromnie i przypomina ono zjawiska zupeł-

3 8

nie inne... Przychodzi mi na myśl co innego... Czy pani wie, kto to był Heine? *

— Poeta niemiecki — szepnęła.

— Tak; otóż przyszedł mi do pamięci wierszyk Heinego, którym chcę dziś pożegnać panią...

Spuścił głowę i przez chwilę może przypominał sobie wierszyk Heinego.

Muzyka w pałacu stawała się coraz melodyjniejszą i wyraźniejszą; drzewa z cicha zaszumiały. Z melodią muzyczną i cichym szmerem drzew złączył się głos aksamitny, pełen pieszczoty, który mówił:

...Ty jesteś jak kwiat Piękną, czystą, powiewną: Gdy patrzę na cię, mł pierś Bolescią ściska się rzewną... I rad bym wznieść dłoń Do nieba z modlitwą śpiewną: Oby zachował cię Bóg Tak piękną, czystą, powiewną!

Wymawiając wyraz ostatni wziął jej rękę i pochylony pocałował ją krótko, prawie w powietrzu. Prostując się rzekł jeszcze:

— Niech pani tu zaczeka. Ja i mój przyjaciel będziemy zaraz grali dla pani...

Włożył kapelusz na głowę i prędko odszedł. Do cienistego ogrodu wszedł przez bramkę w sztachetach i zniknął pośród drzew. Dokoła Klary panowała przez kilka minut cisza zupełna, aż znowu powietrze zabrzmiało muzyką, ale już dwu na raz instrumentów. Za oświetlonymi oknami pałacu fortepian i wiolonczela zgodnie wykonywały jakiś utwór wielki i długi, którego tony napępniały cienie ogrodu, mieszały się ze słabym szumem drzew, czarem upajającym ogarniały dziewczynę opartą o sztachety i twarz kryjącą w dłoniach.

•Heine — Henryk Heine (1797—1856),. niemiecki poeta liryczny.

359

III

Zasnęła bardzo późno i obudziła się bardzo wcześnie. Zwykle w mgnieniu oka zrywała się z pościeli i jednym skokiem dopadała miski z wodą, w której pluskała się długo, jak ptak w piasku. Dziś usiadła na łóżku i słuchała. Głowę miała pełną i cała była pełną tonów melodyjnych i słów rytmicznych, pieszczących słuch i serce.

...Ty jesteś jak kwiat Piękną, czystą, powiewną...

Fortepian i wiolonczela wtórowały:

I rad bym wznieść dłoń Do nieba z modlitwą śpiewną...

Przezwyjężyła się, zeskoczyła z posłania i w pół godziny była już ubrana. Dopóki myła się, krzątała, czyściła swoje ubranie, dopóty, nic; ale gdy tylko stanęła przed

oknem zapinając guziki stanika, w głowie i, jak się jej zdawało, w niej całej zaśpiewało:

Oby zachował cię Bóg

Tak piękną, czystą, powiewną!...

Boże, Boże, co się stało? Co się z nią dzieje? Jaka ona szczęśliwa! Serce jej zatopione w słodczy niewypowiedzianej, o jakiej dotąd nie miała pojęcia... »Ja i przyjaciel mój będziemy grali dla pani...« Grali do późna, ona słuchała. Co za noc! Dla niej ktoś grał! Niśdy jeszcze tego nie było. On grał dla niej... dla fliej!... Jaki dobry! Mocno zacisnęła ręce i powiedziała sobie stanowczo: — Dosyc! Zarzuciła na plecy okrycie, na głowę małą chustkę 14 T Orzeszkowa

węlnianą, pochwyciła ze stołu kuchennego koszyk, nie ten od roboty, ale inny, większy, z rączką i nakrywką. Trzeba jej było pobiec dziś do miasta po trochę prowizji kuchennych. Ojciec i brat mogą jeszcze spać dobrą godzinę. Franię obudzi, aby zgotowała mleka i pilnowała domu. Przed obudzeniem siostry pobiegnie jeszcze do ogrodu i przyniesie dzbanek, który wczoraj zostawiła przez zapomnienie około małego klombu z kwiatami. Frania może go potrzebować i nie znaleźć. Wybiegła na ganek i stanęła jak wryta. Co to jest? Skąd to? Cóż za prześliczne owoce! Jak żyje nie widziała takich!

Na wąskiej ławce ganku stał kosz napełniony owocami przepysznyymi i ułożonymi z wielką umiejętnością ogrodniczą. Pośrodku z piramidki liści twardych wychylał się ananas, zupełnie złoty pod promieniem słońca zaledwie wschodzącego; otaczały go brzoskwinie różowe, żółte morele, zielone renklody, spod których wзираły jabłka rumiane i gruszki duże, siedzące na fugach melona powleczonego siecią żyłek delikatnych. Wszystko to było malowniczo zmieszane z liśćmi, które opadając okrywały cały koszyk, bijący zapachami ananasa i melona, zmieszanyymi ze świeżością rosy świecącej na liściach.

Klara stała z rękami opuszczonymi i silnie zaciśniętymi. Tylko w pierwszej chwili zdumienia mogła zawołać w myśli: „Skąd to?“ Po upływie minuty odpowiedziała już sobie: „Od niego!“ Ktoś przyszedł tu przed jej obudzeniem się jeszcze i ten koszyk postawił — z jego rozkazu. Przecież mówił, że książe pozwolił mu dawać owoce ze swego ogrodu, kcfmu tylko zechce. Rumieniec płomienny uderzył jej do twarzy.

— Niech sobie daje... ale nie nam! Nie mnie — powtórzyła — o, nie! Za nic!

Podarunek od człowieka zupełnie obcego — za nic!

Z siłą wielką uczuła w tej chwili, że był on dla niej obcym; zarazem strzałka bolesna przeszła jej serce—Cóż stąd, że to boli? Może sobie boleć, nie mniej .

371

prawdą jest, że on obcy. Nawet nie zna jej ojca! Jakżeby ojciec jej mógł zjadać owoce darowane przez człowieka nieznanego? Trzeba mu to oddać. Ale jak? Odesłać nie ma przez kogo. Może przez Stasia? Ach, nie! Trwoga przejęła ją na myśl, że Frania albo Staś obudzić się mogą i wybiec na ganek. Co ona by im powiedziała? Później namyśli się, jak uczyni, a teraz co najprędzej kosz ten schowa, aby nikt w domu zobaczyć go nie mógł. Prędko też zamknęła go w szafie kuchennej, od której klucz schowała do kieszeni. Szczęście, że wszyscy śpią jeszcze. Teraz obudzi Franię i pobiegnie do miasta.

Przez następne kilka godzin czuła się z kolei to spokojną i obojętną zupełnie, to rozżaloną tak bardzo, że ledwie mogła powstrzymać się od płaczu. Postanowiła zanieść kosz z owocami do altanki i poprosić Przyjemskiego, aby go sobie zabrał, jeżeli przyjdzie... Czasem była zupełnie pewną, że przyjdzie; czasem wątpiła. Jeżeliby nie przyszedł, postawi koszyk z drugiej strony sztachet. Spostrzeże go pewnie wkrótce on sam albo kto inny i rzecz będzie skończoną. Zapewne też pan Przyjemski obrazi się, nie będzie się starał jej zobaczyć i wszystko skończy się na zawsze. Były chwile, w których ta myśl nie budziła w niej żalu najmniejszego. Owszem, jeżeli ma myśleć, że lubi jego towarzystwo dla prezentów, to niech lepiej nigdy nie zbliża się do niej. Będzie wszystko tak, jak było przed trzema dniami, kiedy go jeszcze nie znała. Nie zaszkodzi to ojcu ani Frani, ani Stasiowi, ani nikomu na świecie; czegoż więc martwić się? i co ją to może obchodzić? Ale w pół godziny potem opanował ją taki żal ogromny, że nie wiedziała sama, co robi, i porzucając wszystko opierała się łokciami o starą komódkę, a rękoma przyciskała powieki, .aby nie płakać.

Na godzinę przed obiadem siedziała w altance bżowej szyjąc prędko, pilnie, z głową nisko pochyloną. °bok niej na ławce stał kosz z przepysznyimi owoća-

372

mi. Liście zwiędłe zaszeleściły w alei pod stopami, które je kruszyły. Klara niżej jeszcze pochyliła głowę i zaczęła szyć jeszcze prędeej. Czuła wielkie gorąco w twarzy i powieki jej nabrzmiewały. Nie widziała wcale roboty zża mgły kłująceej, która przysłoniła jej oczy. Głos dobrze znany wymówił za sztachetami: — Dzień dobry pani.

Podniosła głowę, ale wzrok jej nie spotkał się ze wzrokiem Przyjemskiego, który już tkwił w owocach piętrzących się obok sukni jej w różowe i szare paski. Z kapeluszem nieco podniesionym nad głowę Przyjemski znieruchomiał. Zrazu zmarszczka jego pogłębiła się bardzo, a usta przybrały wyraz gniewny. Ale trwało to kilka sekund, po czym piękna ta twarz rozpogodziła się zupełnie i nawet stała się tak rozpromienioną, jaką Klara jeszcze jej nie widziała. Ona teraz z gorąco zarumienionej stała się bladą; palce jej, trzymając nitkę jeszcze mokrą od łzy, która na nią spadła, trochę drżały. Przyjemski wyciągając rękę nad sztachetami przemówił z uśmiechem:

— Naprzód niech mi pani na powitanie rączkę poda...

Uczyniła to. Szorstka, trochę czerwona i trochę drżąca jej ręka znajdowała się przez chwilę w uścisku dłoni białej i miękkiej.

— Następnie niech mi pani powie, co to znaczy, że ten koszyk przywędrował tu za panią?

Podniosła głowę i ze spojrzeniem odważnym odpowiedziała:

— Przyniosłam go myśląc, że może pana tu zobaczę. Niech pan będzie łaskaw postawi ten kosz z drugiej strony sztachet, a potem przyśle kogo, aby go zabrał.

I obu rękoma podawała mu przedmiot, o którym była mowa, nie bez trudności, bo był ciężkim. Przyjemski milcząc, powoli, z zimną krwią zdobił, jak powiedziała: wziął od niej kosz i postawił go na trawie, z drugiej strony sztachet, po czym oparł się o szta-

373

chety i patrząc na nią oczyma napełnionymi blaskiem szczególnym, zaczął mówić:

— Dobrze. A teraz, kiedy egzekucja już spełnioną została, chciałbym poznać motywy dekretu...

Widziała, że nie jest obrażony, że owszem, pod żar-tobliwością, z jaką mówił, dźwięczała w jego głosie nuta więcej przyjazna niż kiedykolwiek. Toteż dość swobodnie odpowiedziała:

; — Doprawdy, nie potrafię panu tego wytłumaczyć. Ale to niepodobna... myśmy nigdy, ani mój ojciec, ani ja... Przecież można nie być bogatymi, a jednak...

— Wystarczać sobie — dokończył. Stał dość długo zamyślony, ale nie chmurny; owszem, zmarszczka jego była daleko mniej głęboką niż zwykle, prawie zniknęła. Po chwili zaczął znowu:

— A dlaczego pani przyjmuje różne rzeczy od pani... pani wdowy po weterynarzu?

— Ależ to zupełnie co innego! — z przejęciem się zawołała Klara. — Pani Dutkiewiczowa kocha nas i my ją kochamy! A od tych, których kochamy i którzy nas kochają, wszystko przyjąć można...

Po sekundzie zastanowienia dokończyła z rozważą:

— Nawet trzeba, bo nieprzyjęcie - znaczyłoby, że uważamy ich za obcych...

Przyjemski wpatrywał się w nią jak w tęczę. Potem zapytał z wolna:

— A od obcych nie przyjmuje się nic wcale?

— Nic! — patrząc na niego odpowiedziała śmiało.

— Ja zaś dla pani jestem obcym, co?

Złotawe źrenice jej zamigotały, w linii ust drgnął żal, wnet powściągnięty.

— Tak — szepnęła.

f Stał jeszcze chwilę oparty o sztachety, patrząc nie na nią już, ale kędyś daleko. Potem wyprostował się, odstąpił o krok od sztachety i podnosząc trochę kapelusz wymówił:

— Będę miał przyjemność złożyć dziś wizytę ojcu Pani!

^■c powoli aleją cienistą myślał:

3 74

„Voilà. ou la fierte va se nicher! * «Od tych, których kochamy i którzy nas kochają, wszystko trzeba przyjąć, bo nie przyjmując okazalibyśmy, że uważamy ich za obcych...» Bardzo delikatnie uczute, bardzo delikatnie! A co za święta wiara w kochanie! Kochamy, kochają! Voild ou la foi se niche! Foi de bucheron! ** Ale jakie to szczęście mówić: «Kochamy, kochają...* i nie śmiać się! Gdybym mógł jeszcze... choć raz w życiu powiedzieć: «Kocham, kocha® i nie zaśmiać się, ucałowałbym, idylko moja, stopki twe... w dziurawych trzewiczkach.»

Wielkim to było szczęściem dla Klary, że jeszcze w obecności Przyjemskiego nie klasnęła w ręce i nie podskoczyła z radości. Uczyniła to wbiegłszy do domu, zarumieniona, rozpromieniona, zdyszana. Więc nie obraził się, ale przeciwnie, obiecał być u jej ojca dziś jeszcze... dziś jeszcze! O, dobry, dobry!... Zrozumiała pobudkę obietnicy niespodziewanej. Gdy zaznajomi się z jej rodziną, zacznie bywać w ich domu, przestanie być obcym dla niej, będzie mogła uważać go za bliskiego znajomego, może za przyjaciela. Miała serce pełne wdzięczności. Zarazem przypominała sobie każde słowo, które dziś wymówił, każde poruszenie, które uczynił. Ogromnie śmieszył ją sposób milczący i poważny, w jaki spełnił jej życzenie

biorąc od niej kosz z owocami i umieszczając go na trawie, po drugiej stronie sztachet. Było to bardzo zabawne; tak poruszał się i wyglądał, jak gdyby spełniał czynność nadzwyczaj uroczystą, a jednocześnie uśmiezek prawie niewidzialny błąkał się mu po wargach cienkich i trochę filuternych. Śliczne ma usta, a takie oczy i czoło... Sama nie wie, co w nim najpiękniejsze. Chyba profil zarysowany delikatnie, z wypukłymi brwiami rozdzielonymi zmarszczką, w której jest tyle smutku i tyle rozumu... Nie, ani profil, ani usta, ani

_ oto, gdzie gdzie wiesz**

• V o i l a, ou la fiert é... (franc.)

mieszka дума. •• V o i U ou la fo i... (franc.) — oto, wiara! Wiara drwała!

375

oczy nie są w nim najpiękniejsze, tylko dusza, dusza piękna, wzniosła i taka jakaś smutna! Najpiękniejszą ze wszystkiego jest w nim dusza, pewno, niewątpliwie! I serce złote, które nie rozgniewało się na nią za to, że podarunku przyjąć nie chciała, ale owszem, zapragnęło jeszcze więcej zbliżyć się do niej... i Myśląc o tym wszystkim śpiesznie oszywała brzeg stanika białą jak śnieg szlarczką, a potem dobywała z komody pasek skórzany, ozdobiony klamerką stalową.

| W małej bawialni, która zarazem była jadalnią, spożywanie obiadu miało się ku końcowi. Pokój nieduży, którego część znaczną zajmował piec z zielonych kafli, miał sufit niski, podtrzymywany przez kilka grubych belek, podłogę pomalowaną farbą czerwoną i miejscami już spelzłą, ściany oklejone papierem błękitnawym w czerwone cętki. Pomiedzy dwoma oknami otwartymi na zieloną ścianę fasoli Teofil Wygrycz siedział na wąskiej kanapce z poręczami jesionowymi, przy stole zasłanym ceratą, zastępującą obrus. Na ceracie stało kilka talerzy z resztkami jada, karafka z wodą, solniczka, słoik szklany z chrzanem. U ściany przeciwległej, na starej komódce, obok niedużej lampy, wychylał się ze szklanki spory pęk rezedy. Dwoje młodszych dzieci siedziało po obu stronach ojca; Klara przyniosła z kuchni talerz z kilku gruszkami i stojąc zaczęła jedną z nich obierać.

| — Doskonale gruszki kupiłam dziś tateczce... Frania i Staś dostaną też po jednej.

— A drogie? — zapytał Wygrycz.

Twarz kancelisty, dobrze już podstarzałego, była c'ługą i kościstą, miała cerę żółtą i wyraz na wpół kwaśny, na wpół apatyczny, właściwy ludziom chorym chronicznie i spełniającym zajęcia nielubione. °czy tylko, takie jak u Klary piwne i z długą rzesą, Patrzyły niekiedy spod czoła bardzo pomarszczonego rozsądnie i łagodnie. Obok niego siedząca dziewczynka piętnastoletnia, blondynka, sucha i niedokrwista,3 74 „Voila ou la fierte va se nicher! * «Od tych, których kochamy i którzy nas kochają, wszystko trzeba przyjąć, bo nie przyjmują?: okazałibyśmy, że uważamy ich za obcych...» Bardzo delikatnie uczute, bardzo delikatnie! A co za święta wiara w kochanie! Kochamy, kochają! Voila ou la foi se niche! Foi de bucheron! ** Ale jakie to szczęście mówić: «Kochamy, kochają...* i nie śmiać się! Gdybym mógł jeszcze... choć raz w życiu powiedzieć: «Kocham, kocha» i nie zaśmiać się, ucałowałbym, idylko moja, stopki twe... w dziurawych trzewiczkach."

Wielkim to było szczęściem dla Klary, że jeszcze w obecności Przyjemskiego nie klasnęła w ręce i nie podskoczyła z radości. Uczyniła to wbiegłszy do domu, zarumieniona, rozpromieniona, zdyszana. Więc nie obraził się, ale przeciwnie,

obiecał być u jej ojca dziś jeszcze... dziś jeszcze! O, dobry, dobry!... Zrozumiała pobudkę obietnicy niespodziewanej. Gdy zaznajomi się z jej rodziną, zacznie bywać w ich domu, przestanie być obcym dla niej, będzie mogła uważać go za bliskiego znajomego, może za przyjaciela. Miała serce pełne wdzięczności. Zarazem przypominała sobie każde słowo, które dziś wymówił, każde poruszenie, które uczynił. Ogromnie śmieszył ją sposób milczący i poważny, w jaki spełnił jej życzenie biorąc od niej kosz z owocami i umieszczając go na trawie, po drugiej stronie sztachet. Było to bardzo zabawne; tak poruszał się i wyglądał, jak gdyby spełniał czynność nadzwyczaj uroczystą, a jednocześnie uśmiezek prawie niewidzialny błąkał się mu po wargach cienkich i trochę filuternych. Śliczne ma usta, a takie oczy i czoło... Sama nie wie, co w nim najpiękniejsze. Chyba profil zarysowany delikatnie, z wypukłymi brwiami rozdzielonymi zmarszczką, w której jest tyle smutku i tyle rozumu... Nie, ani profil, ani usta, ani

• V o i ! i, ou la fiert e... (franc.) — oto, gdzie
mieszka duma. . M

** V o i l a o u la foi... (iranc.) — oto, gdzie wiesz** wiara! Wiara drwała!
375

oczy nie są w nim najpiękniejsze, tylko dusza, dusza piękna, wzniosła i taka jakaś smutna! Najpiękniejszą ze wszystkiego jest w nim dusza, pewno, niewątpliwie! I serce złote, które nie rozgniewało się na nią za to, że podarunku przyjąć nie chciała, ale owszem, zapragnęło jeszcze więcej zbliżyć się do niej... [Myśląc o tym wszystkim śpiesznie oszywała brzeg stanika białą jak śnieg szlarczką, a potem dobywała z komody pasek skórzany, ozdobiony klamerką stalową.

I W małej bawialni, która zarazem była jadalnią, spożywanie obiadu miało się ku końcowi. Pokój nieduży, którego część znaczną zajmował piec z zielonych kafli, miał sufit niski, podtrzymywany przez kilka grubych belek, podłogę pomalowaną farbą czerwoną i miejscami już spelzłą, ściany oklejone papierem błękitnawym w czerwone cętki. Pomiedzy dwoma oknami otwartymi na zieloną ścianę fasoli Teofil Wygrycz siedział na wąskiej kanapce z porę-i czarni jesionowymi, przy stole zasłanym ceratą, zastępującą obrus. Na ceracie stało kilka talerzy z resztkami jadła, karafka z wodą, solniczka, słoik szklany z chrzanem. U ściany przeciwległej, na starej komód-ce, obok niedużej lampy, wychylał się ze szklanki spory pęk rezedy. Dwoje młodszych dzieci siedziało po obu stronach ojca; Klara przyniosła z kuchni talerz z kilku gruszkami i stojąc zaczęła jedną z nich obierać.

| — Doskonałe gruszki kupiłam dziś tateczce... Frania i Staś dostaną też po jednej. I — A drogie? — zapytał Wygrycz. " Twarz kancelisty, dobrze już podstarzałego, była długą i kościstą, miała cerę żółtą i wyraz na wpół kwaśny, na wpół apatyczny, właściwy ludziom chorym chronicznie i spełniającym zajęcia nielubione. Oczy tylko, takie jak u Klary piwne i z długą rzęsą, Patrzyły niekiedy spod czoła bardzo pomarszczonego rozsądnie i łagodnie. Obok niego siedząca dziewczynka piętnastoletnia, blondynka, sucha i niedokrwista,
376

z rysami jak u ojca wydłużonymi i wargami wąskimi, zagadała z żywością wielką: ,
— Czegoś się ty, Klarcu, tak dziś wystroiła?
Klara miała na sobie swoją codzienną suknię per-

kalową w paski, tylko świeżą szlarczkę u szyi i pasek z klamerką stalową. Nie była nawet uczesana jak należy, bo włosy nieposłuszne za nic w świecie nie chciały leżeć gładko ani trzymać się w więzach szpilek podwójnych. Pełno też było na czole i na karku pasemek ich kruczych i kędzierzawych, spośród których wyglądała różowa lewkonia. Usłyszawszy uwagę siostry nachyliła się do podjęcia z ziemi kawałka łupiny od gruszki, a wyprostowując się odpowiedziała spokojnie:

— Wcale się nie wystroiłam, tylko oszyłam stanik świeżą szlarką, bo tamta była już brudną.

— I pasek nowy włożyłaś — z przekorą zauważyła znowu Frania.

Klara nie odpowiadając siostrze, która miała w sobie ducha przekory i kłótni, położyła przed ojcem gruszkę obraną i nożyk z trzonkiem drewnianym.

— Będziemy dziś mieli gości, tateczku — rzekła.

— Gościa! — zadziwił się stary — któż to taki? Może pani Dutkiewiczowa?... ale to nie gość.

Klara zaczynając obierać drugą gruszkę spokojnie mówiła dalej:

— Parę razy spotkałam w ogrodzie pana Przyjem-skiego, sekretarza księcia Oskara, i rozmawialiśmy z sobą dość długo. Dziś powiedział mi, że będzie z wizytą u tatki.

Wygrycz wykrzywił usta.

— Potrzebna mi ta wizyta!... spać po obiedzie nie da... zmęczony jestem i trudno mi rozmawiać...

Mówił tonem gderliwym; czuł istotnie zmęczenie ciągłe i odzwyczaił się od ludzi obcych.

Frانيا zaś z żywością zdradzającą ostrość
języczka

zagadała cienkim głosikiem:

— To ty, Klarko, w ogrodzie znajomości robi z kawalerami! Jakimże to sposobem?..

377

—, Cicho bądź i nie dokuczaj siostrze! — ofuknął Wygrycz młodszą córkę, która też umilkła natychmiast.

Za to mały chłopak w bluzce i pasku skórzanym prędko trzepać zaczął:

— A ja wiem, kto to taki ten pan Przyjemski, bo syn ogrodnika księcia jest w jednej klasie ze mną i opowiadał, że księżę przyjechał i przywiózł z sobą takiego sekretarza, którego bardzo lubi... gra z nim na fortepianie i na czymś tam jeszcze... ten sekretarz nazywa się Przyjemski, bardzo jest wesoły i ile razy zachodził do ogrodnika, bawił się zawsze z dziećmi...

— Cicho, Staś — syknęła Frania — już kawaler Klar ki idzie!

Za fasolą słyhać było powolne, równe kroki; w minutę potem otworzyły się drzwi od sionki, tak niskiej, że wchodzący przez nie człowiek wysoki musiał pochylić głowę. Wszedł i jednym rzutem oka objął wszystko: pokoik z niskim sufitem, zielonym piecem

1 cętkami czerwonymi na błękitnawych ścianach, trochę nie dojezionej kaszy na talerzach, cztery osoby przy stole zasłanym ceratą, pęk rezedy na komódce. Klara z różowym obłokiem na twarzy, ale dość rezolutnie rzekła do ojca:

| — Tatku, pan Juliusz Przyjemski, mój znajomy.'

A do gościa: | — Ojciec mój...

Wygrycz wstał i wyciągając do przybyłego długą, kościstą rękę wymówił:

— Bardzo mi przyjemnie... Niech pan będzie łaskaw usiąść... bardzo proszę...

Klara zaś, już bez rumieńca, spokojnie, z uśmiechem trochę rozchylającym usta, zdjęła ze stołu naczynia i ze stosem talerzy w rękę wyszła do kuchenki, Wzrokiem ukazując siostrze, aby zabrała karafkę

2 wodą i ceratę. Spod zdjętej ceraty ukazał się stół Jesionowy okryty siatką z białej bawełny. Staś pobawił na nim szklanek z rezedą, zdjętą z komody.

Kiedy Klara po upływie kilku minut wróciła z ku-

378

379

chenki, uradowało ją ożywienie, z którym ojciec rozmawiał z gościem. Musiał to być czarodziej prawdziwy, skoro potrafił w czasie tak krótkim zetrzeć z twarzy człowieka zmęczonego i chorego wyraz apatii i skwaszenia. Zapytywał go był o miasto, w którym stary kancelista spędził całe życie, i tym sposobem dotknął od razu przedmiotu najprawdopodobniej dobrze znanego mu i nieobojętnego. Wygrycz mówił obszernie o ludności miasta, różnych jej warstwach, stopniu zamożności każdej z nich. Mowa jego, zrazu powolna i trudna, jak bywa z ludźmi odzwyczajonymi od prowadzenia rozmów, stała się po kilku minutach dość ożywioną; przy tym w ciemnych oczach był wyraz rozsądku, a kościste ręce czyniły niekiedy gest energiczny. Z takim gestem, wytłumaczywszy gościowi stosunki wewnętrzne miasta rzekł:

— Bieda w górze, bieda pośrodku, bieda na dole. Wiele brakuje do dobrego wszędzie i każdemu. Ale niech mi pan dobrodziej wybaczy, jeżeli powiem, że wina w tym po trosze takich ludzi możnych i pewno rozumnych, jak książę Oskar... \ Urwał, zawahał się.

— Niech pan dobrodziej będzie łaskaw przebaczyć, bo może nie powinienem tego mówić przed sekretarzem i podobno przyjacielem księcia...

— Ale owszem — z niejaką żywością przerwał

Przyjemski — owszem! jestem przyjacielem księcia i dlatego właśnie nadzwyczaj interesuje mię opinia, której książę tu używa. Będę nawet prosił pana o wytłumaczenie, w czym pan widzi tę winę?

Wygrycz uczynił na wąskiej kanapce poruszenie żywe.

— W czym wina? — zawołał — ależ, panie dobrodziej, to rozumie się samo przez się! Przeważna część dóbr książęcych znajduje się w tych stronach; w samym mieście posiada on pałac zbudowany przez jego dziada czy pradziada... Jest on tak możnym, posiada takie imię, że gdyby żył pomiędzy nami, gdyby ^ znał, gdyby wchodził w stan rzeczy i — ludzi, kazo

jego słowo mogłoby być poparciem, oświeceniem, każdy czyn błogosławieństwem... Przepraszam pana dobrodziej, ale sam rozkazałeś mi mówić... Książę buja po świecie...

E< Przyjemski wtrącił z cicha:

I — Od pięciu lat tylko nie był tu wcale. Przedtem mieszkał dość długo w dobrach swoich tutejszych, a po części w tym pałacu... I' Wygrycz rozkładając ręce zawołał: J — I jakby go nie było!... Wtedy także było tak, jakby go nie było!...

Oczy mu świeciły, na wąskich ustach wyraz ironii ? zastąpił poprzednie skwaszenie. Czuć w nim było teraz coś gorzkiego i ciężko przecierpianego; może niechęć pomiędzyklasową, milczącą zawsze i która wybuchała, może urazę do ludzi możnych, mającą naturę głębszą. Przyjemski siedział na krzeselku jesionowym, z głową trochę pochyloną i z kapeluszem w spuszczonej ręku. Postać jego, w czarnym półfraku wykwinna i zgrabna, profil z wypukłymi brwiami i cienkimi wargami pod złotawym wąsem odbijały od tła pokoiku błękitnawego z wielkim piecem zielonym. Ze spuszczonymi oczyma i bardzo powoli mówić zaczął:

i— Pozwoli pan, że stanę trochę w obronie księcia... tylko trochę, bo sam należę do tych, którzy najmniej wierzą w doskonałość człowieka... jakiegokolwiek. Chciałbym tylko powiedzieć, że książę nie jest wyjątkiem. Jeżeli posiada takie wady, nie spełnia jakich obowiązków i różne tam inne rzeczy... nie jest wyjątkiem. Każdy człowiek jest istotą marną, samolubną, Sienną w tym znaczeniu, że przelatuje po różnych Zmianach złego, jak motyl po kwiatkach... Wygrycz niespokojnie kręcił się na kanapce, aż wypchnął:

Ależ przepraszam pana dobrodzieja, nie każdy! każdy! Są na świecie ludzie uczciwi i którzy nie

lata

gaywj , ■ . po grzechach, jak motyl po kwiatkach. Ja panu ludzi, I uroctziejowi bardzo dziękuję za takie motyle! Przez

380

takie motyle źle jest na świecie! A komu wiele zostało danym, od tego także wiele będzie wymaganym! Książę wiele otrzymał od Boga, wiele też wymagać od niego muszą Bóg i ludzie... Ja pana dobrodzieja bardzo przepraszam, że mówię tu o pryncypale i przyjacielu... Ale człowiek, który zawsze milczy, potem nie może wytrzymać, aby nie wygadać tego, co się w nim nazbierało. Ublizać księciu nie chcę... może on jest i najlepszym człowiekiem, ale zapytam pana dobrodzieja: co on na świecie robi?

Rozłożył ręce kościste i aż trochę drżące od zapachu i z oczyma bardzo świecącymi mówił dalej:

— Co książę robi ze swego majątku, ze swego rozumu, ze swojej zamożności wielkiej? dla kogo? dla czego? Co? co robi?

Z rozłożonymi rękoma, pytająco, nagle patrzał na Przyjemskiego.

Ten podniósł powieki i odpowiedział z wolna:

— Nic a nic.

Wygrycza to przyznanie mu słuszności ochłodziło nieco. Podniósł w górę długi, złoty palec.

— Widzi pan dobrodziej!... a jednakowoż książę jest chrześcijaninem, to pie.rwszę; urodził się i posiada dobra w tych stronach, to drugie...

W tej chwili Klara, która siedząc u okna przez cały czas rozmowy garniowała

koronką jakiś biały czepiec, podniosła głowę i nieśmiało przerwała ojcu:

— Mój tateczku, mnie się zdaje, że nie powinniśmy sądzić surowo ludzi tak innych od nas, zupełnie in-nych...

— Jak to innych? Co za innych? Dlaczego innym. zwariowałaś czy oo? Wszystkich jeden Bóg stwarza i jedna ziemia nosi... wszyscy grzeszą, cierpią i mUS^ umierać, a to jest wielka jednostajność, ogromna je -nostajność... . —

— Pan ma rację — potwierdził Przyjemsia i eć pan powiedział rzecz głęboką... Błądzić, "eostaj. i umierać wszyscy muszą, i to jest wielka je "l

3

ność... ale byłbym bardzo wdzięczny panie Klarze za dalszy ciąg obrony przyjaciela mego...

Patrzył na nią oczyma tak rozpromienionymi, że ona uśmiechając się swobodnie mówić dokończyła:

— Mnie się zdaje, że ludzie tak możni i tak urodzeni, jak książę, żyjąc zupełnie inaczej niż my wszyscy, muszą... muszą nabywać innych wyobrażeń, potrzeb, przyzwyczajień, tak że później to, o czym my wiemy dobrze, dla nich jest niewiadomym, co dla nas jest obowiązkiem, im wydaje się niepotrzebnym albo zanadto trudnym. Może książę jest bardzo dobrym, tylko nie umie żyć tak, jak my wyobrażamy sobie, że żyć powinien... Może go też ludzie zrazili albo zepsuli przez pochlebstwo czy przez udawanie przed nim różnych rzeczy dla interesu...

Twarz Przyjemskiego przybierała wyraz coraz więcej zachwycony. W dziewczynę mówiącą wpatrywał się jak w tęczę. Wygrycz, przeciwnie, słuchał córki kwaśno i niecierpliwie. Gdy przestała mówić, machnął ręką.

— Babski rozum, panie dobrodzieju! Baby wszystko wytłumaczyć sobie umieją: a to to, a to owo! A to tak, a to owak! Z krupami przywykły mieć do czynienia i każdą rzecz rozdrabniają na krupy. U mnie zaś jedno prawo i jeden sąd: król albo cygan. Albo człowiek słucha prawa boskiego, służy bliźnim swoim i każdej sprawie dobrej, albo nie czyni tego. Pierwszy rooże sobie być nawet grzesznym człowiekiem, ale zawsze będzie czegoś wart; drugi trzech groszy niewart, i — po wszystkim.

Przyjemski z wolna odpowiedział:

— Sąd pana jest srogim i bezwzględny, ale pan-Klara stanęła pomiędzy nami jak anioł wyrozu-

mienia i słodczy... bo jest aniołem. I natychmiast, nie dając nikomu czasu do odpowie-zagadnął Wygrycza:

Czy pan zawsze pełnił zajęcia te, co teraz, czy 'jak mi się zdaje, trudnił się kiedyś czymś innym? ■"ygrycz skrzywił się kwaśno.

382

— Zawsze, panie dobrodzieju, zawsze, od osiemnastu lat życia swego pracuję w biurze. Jestem dzieckiem mieszczańskim, ojciec mój miał tu swój domek i był rzemieślnikiem. Mnie do szkół oddawał, pięć klas gimnazjalnych skończyłem i do biura wstąpiłem. A dlaczego pan dobrodziej zapytał mnie o to?

Przyjemski namyślał się chwilę, a potem z lekkim ukłonem rzekł:

— Otwarcie wyznam panu, że znalazłem nastrój myśli i mowy... wyższy...

— Niż się pan dobrodziej spodziewał! — podchwycił Wygrycz i zaśmiał się, ale ironicznie. — Widać pan dobrodziej przebywając w domu pryncypała i przyjaciela swego niewiele miał do czynienia z ludźmi ubogimi. Ubóstwo, panie dobrodzieju, niekoniecznie

znaczy to samo co idiotyzm!... Che, che, che!

Śmiał się ostro, ale znać było, że zdanie gościa po-

chlebilo mu i uczyniło go weselszym. — Jednak — ciągnął dalej — co się mnie

tyczy, miałem w życiu swoim pewne warunki sprzyjające... Ożeniłem się, uważa pan dobrodziej, z kobietą wykształconą, to raz, a najlepszą w świecie, to dwa.

Nauczycielką była, pokochaliśmy się i pobrali, chociaż pod względem materialnym mogła być lepszą partię zrobić. Ale nie żałowała tego nigdy. Byliśmy z sobą szczęśliwi. Co do wykształcenia, stałem od niej niżej i tyle tylko miałem rozsądku, aby to uznawać i z tego korzystać. Przy pracy biurowej zawsze jest kilka godzin wolnych, więc w tych godzinach czytaliśmy razem albo grywała mi wieczorami na fortepianie, bo ładnie grała... Ej, panie dobrodzieju, mam ja w życiu dobre wspomnienia, święte wspomnienia. I na tamtym świecie mam swoją świętą, z którą pragnąłbym się połączyć jak najprędzej, gdyby nie dzieci. Ale ona mi zostawiła te dzieci i znowu człowiek do tej ziemi przywiązany. Wiele ja, panie, zawdzięczam tej ^obie4 cie, z którą przeżyłem dwadzieścia trzy lata jak dwa dziesięcia trzy dni... ona także, umierając przytomni! dziękowała mi przed skonaniem... Rozstaliśmy

w zgodzie i" miłości, tak samo spotkamy się gdzieś tam... przed Bogiem...

Końcem kościstego palca otarł wilgotną powiekę, umilkł. Przyjemski ze spuszczoną trochę głową także milczał przez chwilę. Potem z zamyśleniem wymówił-

, — Więc są na ziemi poematy takich związków i takich wspomnień... • Wygrycz skrzywił się ironicznie. | — Jeżeli pan dobrodziej nie doświadczył i nawet nie widział takich związków i takich wspomnień, to... przepraszam za otwartość... ale pan dobrodziej jest jardo biednym!...

Przyjemski nagłym ruchem podniósł głowę i popatrzył na kancelistę z wyrazem zdumienia, które jednak wnet zniknęło.

I — Tak, tak... — wymówił — bieda i bogactwo posiadają znaczenia różne... bardzo różne... ŁZwrócił się do Klary pochylonej nad piętrzącym się na kolanach muślinem.

\$ — Książki pożyczonej od pani jeszcze nie oddaję i co więcej, proszę o pożyczanie drugiej w tym rodzaju, jeżeli pani posiada drugą.

— Pan chce poezji? — zapytała podnosząc głowę. ,— Tak, czegoś z poezji, którą znam, ale źle, z daleka...

Wygrycz wtrącił: •

— Żona moja zostawiła córkom biblioteczkę maleńką, w której znajdują się i poezje.

ftgrzecznie dodał:

— Klarcu, pokaż panu naszą biblioteczkę, może to wybierze... pjlara rzekła wstając:

— Jest w moim pokoju.

Boże! Czyliż można było nazywać pokojem tę klaczkę, znowu z zielonym piecem, z

jednym oknem, * dwoma grubymi belkami nad głową, z łóżkiem, stopem, dwoma krzesłami i małą szafką na czerwono ^Palowaną, do połowy oszkloną! Jaki pokój, taki

384

księgozbiór. Kilka półek, z dwoma setkami tomów w oprawach szarych, starych. Przyjemski stał tuż za Klarą, która palcem dotykając tomów wymieniała ich tytuły i imiona autorów.

— „W Szwajcarii” *... Może to...

— Niech będzie „W Szwajcarii”... Tyle razy byłem w tym kraju. Poemat znam; zdaje mi się, że znam... ale może nie, może i nie!

Biorąc książkę bardzo zniszczoną, ogromnie znać czytana, zatrzymał chwilę rękę jej w swojej i szepnął:

— Dziękuję za obronę przyjaciela mego... Dziękuję, że pani istnieje na ziemi... Wrócili zaraz do malutkiej bawialni. Przyjemski stanął przed gospodarzem domu, który wstał z kanapki, rękę z kapeluszem oparł o stół i zdawało się, że chce coś powiedzieć, ale waha się i namyśla. Po chwili mówić zaczął:

— Chcę pana o coś zapytać, o oś prosić i z góry przepraszam, jeżeli w moim zapytaniu czy prośbie będzie mała niedyskrecja...

— Owszem, owszem — skłonił się Wygrycz — niech pan dobrodziej nie robi sobie żadnej subiekcji. Jesteśmy sąsiadami i jeżeli mogę być w czymkolwiek użytecznym...

Przyjemski przerwał:

— Przeciwnie, ja to chciałem zapytać pana, czy nie pozwoliliby mi pan być użytecznym.

Mocniej opierając o stół rękę, mówił głosem bardzo miękkim, wprost aksamitnym:

— Rzecz się przedstawia tak: pan ma zdrowie słabe, dwoje dzieci, które jeszcze potrzebują wiele, warunki życia trochę... trochę ciasne... Z drugiej strony ja posiadam pewne wpływy, znaczne wpływy na księcia Oskara, który jest człowiekiem bardzo możliwym-bardzo możliwym... Jestem pewny, że gdy mu rz ^ przedstawię, książkę poczyta sobie za przyjem—

» „W Szwajcarii” — poemat Juliusza Słowackiego

385

szczęście oddanie panu wszystkich usług możliwych... Może temu małemu kawalerowi ułatwić edukację, a potem karierę... może też w dobrach swoich znaleźć z łatwością posadę, która by przy zajęciu mniej uciążliwym przedstawiała warunki... mniej ciasne... Jeżeli pan pozwoli mi pomówić o tym z księciem...

Zawiesił głos, czekał. Wygrycz słuchał zrazu ciekawie, potem z głową spuszczoną.

Gdy Przyjemski mówić przestał, podniósł na niego oczy, odchrząknął i odpowiedział:

- — Bardzo dziękuję panu dobrodziejowi za dobre chęci, ale z łaski książęcej korzystać nie chciałbym... nie, nie chciałbym... f — Dlaczego? — spytał Przyjemski.

^ Wygrycz odpowiedział:

i — Bo do korzystania z łask, panie dobrodziej, trzeba przywyknąć... Nie przywykłem. W warunkach ciasnych czy nie ciasnych, byłem przez całe życie, panie dobrodziej, sam sobie i robotnikiem, i panem.

Przyjemski podniósł głowę, z szafirowych źrenic jego strzeliła błyskawica gniewu.

Więcej niż kiedy w sposób powolny i rozdzielający sylaby wyrazów mówić zaczął:

— Widzi pan... A widzi pan... Czyni pan księciu zarzut z tego, że jest on niepożytecznym dla ludzi, a kiedy zdarza się mu sposobność stania się użytecznym, okazuje się, że przysługi jego byłyby nie przyjętymi...

— A tak, panie dobrodzieju, a tak — odrzucił Wygrycz z błyszczącymi także oczyma — bo gdybym wiedział, że ksiązę odda mi przysługę jak brat bratu, jak człowiek więcej obdarzony przez Boga mniej Zdarzonemu, ale równemu, tobym ją przyjął, °wszem, przyjąłbym i byłbym wdzięczny... Ale ksiązę Cuciłby mi dobrodziejstwo jak kość psu, a ja, choć Niebogaty, kości z ziemi nie podniosę... I Przyjemskiemu blady rumieniec wystąpił na potoczki.

To uprzedzenie — rzekł — fanatyzm... ksiązę

le jest takim, za jakiego pan go ma...

fe °rzeszkowa

386

Wygrycz znowu ręce rozłożył.

— Nie wiem panie dobrodzieju, nie wiem! I nikt tu o tym wiedzieć nie może... bo nikt tu księcia nie zna...

— W tym jądro naszego procesu — zakonkludował Przyjemski i wyciągnął do kancelisty swoją białą, długą rękę. — Proszę pana o pozwolenia zajrzenia tu jeszcze kiedy...

— Owszem, owszem — zgodził się grzecznie Wygrycz — a czy ksiązę i pan dobrodziej długo tu jeszcze zabawicie?...

— Dość krótko. Odjedziemy stąd do dóbr tutejszych księcia... ale może być bardzo,)że powrócimy i osiedlimy się tu na całą zimę...

Przy ostatnich wyrazach patrzył na Klarę, która oczyma rozpromienionymi patrzyła nie na niego, ale na ojca.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za gościem, rzuciła się ojcu na szyję.

— Tateczku, mój kochany, mój drogi, mój złoty, jak tatko dobrze zrobił!

Całowała go w ręce i w policzki. Wygrycz wykręcał głowę i krzywił się.

— No, dość już tego... daj mi szlafrok i pantofle. Spać pójdę... zmęczyła mię ta wizyta...

Klara skoczyła po przedmioty żądane i we drzwiach usłyszała ostry głosik siostry mówiący:

— Wie tatko! ten pan Przyjemski kocha się w Klarce. Uważał tatko, jak on to powiedział: „Bo panna Klara jest aniołem”. I tak na nią patrzył...

— A tobie nie pora jeszcze decydować o takich rzeczach... — zgromił ją ojciec.

Frania odgryzła się zaraz: . j

— Już nie jestem dzieckiem i jeżeli Klarka może mieć kawalerów, to ja mogę przynajmniej widzieć, że ich ma... .

Klara podawała ojcu szlafrok rękoma drżący®1-Wygrycz obrócił się do młodszej córki:

— Przykaś języczek i przestań dokuczać

a proś lepiej Boga, abyś była do niej podobną. Ten pan, kiedy mówił, że ona jest aniołem, prawdę mówił-

W szlafroku i klapiąc pantoflami wyszedł do swego pokoju.

Frania, zarzuciwszy na głowę chustkę, wybiegła do magazynu. Klara zawołała brata.

I — Przynieś kajet, powtórzmy artymetykę... | Chłopak pyzaty, ładny, z bystrymi oczyma, objął ją i z nadąsaniem mówić zaczął:

I — Ta Frania taka zła! zawsze tobie dokucza, zawsze chce klócić się z tobą!...

E; Klara głaszcząc czoło i włosy malca odpowiedziała:

— Nie trzeba mówić, że Frania zła; ona ma serce dobre i kocha nas wszystkich.

Tylko trochę prędka, powinniśmy jej to wybaczać...

Chłopak obejmując ją ciągle i ze wzniesionymi ku niej oczyma prawil:

— Ty lepsza, lepsza, lepsza... ty jesteś mamą moją, i Frani, i tatki...

Klara zaśmiała się i schylona, głośno, po dwakroć ucałowała pyzată buzię malca.

IV

Nazajutrz, kiedy Wygrycz w szlafroku i pantoflach udał się do snu poobiedniego, Frania powróciła do Magazynu, a Klara zasiadła z małym bratem nad kantem i książką, do drzwi małej bawialni ktoś z lekka ^pukał. Staś zerwał się z krzesła i w mgnieniu oka rzwi otworzył; Klara podnosząc twarz znad kajetu rata oblała się rumieńcem.

7~ Choćbym miał być natrętem, a rola ta jest wię-^ niż przykrą, bo śmieszną — w drzwiach już za-Bprzyjemski — przychodzę zrobić pani maleńką

388

propozycję. Ale naprzód: dzień dobry! czy dobry wieczór! bo już jest prawie wieczór, i zapytanie: dlaczego pani dziś nie była w swojej kochanej altance?

— Nie miałam czasu. Chodziłam do pani Dutkie-wiczowej po nowe czepeczki do garniowania i po pewną poradę gospodarską...

— Ach, ta pani DutkiewiczowaL. co ona kosztuje pani czasu, a mnie zgryzoty!...

— Panu? zgryzoty?

— A tak; bo drugi już raz przez nią zgryzłem się nie znalazłszy pani w altance o zwykłej porze.

Zamienili te słowa patrząc sobie w oczy tak ciągle, jakby spojrzenia ich za nic rozstać się nie mogły.

— Niech pan będzie łaskaw i usiądzie...

— Wcale nie myślę siadać i przyszedłem po to, aby pani także tu nie siedziała.

Widzi pani?

Pokazał książkę wziętą wczoraj od Klary, którą wchodząc wrzucił był w kapelusz.

— Propozycja moja jest taką: Pójdźmy do altanki i przeczytajmy „W Szwajcarii” wspólnie. Dobrze? Niech pani weźmie z sobą robotę. Będzie pani sobie szyła, a ja będę dla pani głośno czytał. Dobrze?

„Ach, jakby to było dobrze!” Ale obejrzała się na Stasia.

— Kiedy muszę powtórzyć z nim lekcję...

Malec, który z zaciekawieniem wielkim wysłuchał rozmowy siostry z gościem, objął ją i prosić zaczął:

— Idź, Klarcu, moja droga, moja złota, idź, jeżeli chcesz... Ja sam nauczę się lekcji. Wielka rzecz, je-ografia! Nauczę się na pamięć i wieczorem wydam przed tobą. Zobaczysz, będę jak rzepę gryzł!

— Pewno, Stasiu?

— Pewno! Jak tatkę kocham! jak ciebie kocham!

Radość oblewała jej twarz, ale jeszcze z zakłopotaniem szepnęła:

— A co będzie z samowarem?

— Ja samowar nastawię! Wielka rzecz nastawić samowar! — z zapalem wykrzyknął Staś.

389

— A jak tatko obudzi się, zawołasz mię z altanki?

— Zawołam! Wielkie rzeczy zawołać! I jeżeliby Frania wracała, to dopilnuję i także zawołam, żeby nie zobaczyła ciebie z tym panem, bo jak zobaczy, będzie tobie znowu dokuczać...

Klara zamknęła mu usta pocałunkiem i w dwie minuty potem z koszykiem, piętzącym się od muślinów i koronek, szła przez ogród obok Przyjemskiego, który mówił:

— Pani ma bardzo miłego braciszka. Chciałem ucałować go za to, że na moment uwolnił panią od... służby. Bo pani jest sługą swojej rodziny. Ale co to mówił ten miły chłopczyk, że jeżeli siostrzyczka zobaczy panią ze mną, będzie dokuczać? Klara zmieszała się bardzo, ale na szczęście w tej chwili zobaczyła w ogrodzie sąsiednim grę świateł tak piękną, że z zapalem zawołała:

— Widzi pan? Niech pan spojrzy, tam, w rogu ogrodu, jak po tej ciemnej alei prześlicznie ścielą się promienie słońca... zupełnie jak dywan z nitek złotych i ruchomych!

— Czy pani była kiedy w tamtym ogrodzie?

— Nie, nigdy; jakimże sposobem?

— Przychodzi mi myśl... Ze też pierwiej nie przyszła! Chodźmy razem obejrzeć ogród księcia!

Przelekła się tej propozycji.

— O, nie! — zawołała — wstęp do tego ogrodu jest wzbronionym przez księcia... Zaśmiał się prawie głośno.

— Jeżeli ja panią wprowadzę...

To prawda; jeżeli on pozwala, to zupełnie tak sa-mo, jakby sam księżę pozwalał. Pokusa była wielką, bo ileż razy patrząc na aleje Wspaniałe marzyła, aby choć raz w życiu przejść je * całej długości, posiedzieć chwilę w tym morzu zielni falującym takimi cudnymi światłami i cieniami!

nie przestała uczuwać trwogi. Stała przed al-anką wahając się, niepewna.

390

— A jeżeli spotkamy..

— Kogo?

— Księcia!

Przyjemski zaśmiał się znowu tak głośno, jak śmiejącym się nigdy jeszcze go nie słyszała.

— Nie ma go w domu... wyszedł jednocześnie ze mną... — upewniał.

— A może by lepiej w altance?

Ale on zaczął prosić:

— Ja proszę panią... Pani pewno ma od dawna chęć znajdowania się w tym ogrodzie, a dla mnie spełnienie chęci pani będzie szczęściem. Pani prosiła gwiazdy

spadającej, aby móc tego lata przejść się po lesie... Może przechadzka po tym ogrodzie choć w części zastąpi tamtą, wymarzoną... Ja proszę panią... Oparłaby się pokusie zwiedzenia miejsca, które miało dla niej urok prawie tajemniczy, ale prośbie jego oprzeć się nie mogła. Uległa rzekła:

— Dobrze, chodźmy!

— Brawo! — zawołał Przyjemski.

Wyglądali jak dzieci rozbawione, tak oboje byli weseli, roześmiani. Bardzo szybkimi krokami, prawie biegnąc przebyli przestrzeń dzielącą ich z bramką w sztachetach i weszli do alei szerokiej, w której ze stron obu stały potężne pnie drzew stuletnich, rozpuszczając na obie strony wysokie ściany gałęzi niezliczonych. Promienie słońca lały się w te zielone gęstwiny i przeświecały zza nich jak strugi złota, niektórym liściom nadając przezroczystość szklaną, inne pozostawiając w cieniach głębokich. Pas ziemi ciemnej, ciągnący się u podnóży pni grubych, zaścielała sieć, której oka były złote, nierówne i ruchome.

Klara umilkła, zwolniła kroku i uśmiech zbiegł z jej twarzy, której Przyjemski przypatrywał się z ciekawością i rozkoszą.

— Jaka pani wrażliwa!... — zauważył z cicha.

Nie odpowiedziała, szła jak przez kościół, lekko, prawie na palcach, zaledwie dotykając ziemi. W m" czeniu przeszli aleję równoległą ogrodowi, w który™
391

stał domek osadzony fasolą. Dopiero kiedy skręcili w drugą, równie jak tamta wspaniałą, tylko nieco krótszą, Klara jakby obudziła się ze snu. t — Nie idźmy już dalej — szepnęła, t — Owszem, idźmy! — nalegał. — Gdyby ta aleja prowadziła na koniec świata, szedłbym z panią i nie zapytywałbym o jej koniec...

I — Ponieważ jednak wiedzie nie na koniec świata, ale pod sam pałac... —

spróbowała zaśmiać się Klara. | — Ale nie — zaprzeczył Przyjemski — od jej końca do pałacu jest jeszcze paręset kroków, które zajmuje parter z kwiatami. Pójdziemy do kwiatów... I Klara stanęła. Nie potrafiłaby zdać sobie sprawy z przyczyn trwogi, którą uczuwała, ale pod jej wpływem z determinacją rzekła:

K — Tu usiądę... Na tej ławeczce z darniny... Jaka ławeczka miła i jakie miejsce śliczne! I Ławeczka z darniny była niska i tak mała, że tylko dwie osoby mogły się na niej pomieścić. Stała pod jednym z drzew najgrubszych i najbardziej rozłożystych, na trawie puszystej jak strzyżony kobierzec. Miejsce było nadzwyczaj ustronne; zielone ściany drzew zasłaniały pałac, ogród przyległy i inne części tego. Pomiedzy przeciwległymi pniami przeświecał kawał trawnika, na którym kładły się płachty ukośnych światel słonecznych; u końca alei, dość dalekiego, wychylał się zza drzew róg parteru kwiatowego i na tle zieleni' wyglądał jak plama złożona z barw łwietnych i niezliczonych. Zresztą nic wcale nie było tu widać ani słysać. Drobnie ptactwo świergotało w drzewach, z których niekiedy, to tu, to ówdzie, bliżej, dalej, zlatywał liść żółty lub rumiany i kładł K na ziemię bez szelestu najmniejszego. Tę ciszę Przerwał wy krzyk Klary. Siadając na ławeczce spo-fozegła wychylający się zza drzew róg parteru, splata rękoma i zawołała: — Boże! co tu kwiatów! i jakie śliczne! Przyjemski wziął z jej ręki koszyk z muślinami, po-

392

stawił go obok niej na ławeczce i dziwnie czegoś uradowany poprosił:

— Niech pani chwileczkę posiedzi tu sama. Ja wrócę natychmiast. Proszę tylko nie lękać się niczego i nie uciekać... Wrócę natychmiast.

Bardzo szybko oddalił się w stronę pałacu. Klara patrzyła za nim i widziała, jak na spotkanie jego wybiegł zza drzew chłopak niedorosły, w spencerze z guzikami błyszczącymi, zapewne ogrodniczek albo mały lokaj. Przyjemski coś mu powiedział, z gestu ręki wnosila, że wydał rozkaz, a gdy chłopak bardzo śpiesznie odbiegał, obrócił się jeszcze ku niemu i zawołał tak głośno, że usłyszała wyraźnie:

— Jak najprędzej!

Potem, wróciwszy, stanął przed nią z kapeluszem i książką w ręku. Ona zbierała już na nitkę duży kawał grubej koronki, którą miała ogarniować czepek leżący na jej kolanach.

— Czy to jest czepek pani... pani wdowy po weterynarzu?

— Pani Dutkiewiczowej — poprawiła — tak, nikt oprócz mnie od kilku już lat nie garniruje jej cze-peczków...

— A czy pani mi nie powie nic o tym dokuczaniu siostrzyczki, któremu ofiarował się zapobiec miły braciszek?

Zmieszana, nie podnosiła głowy znad roboty. Po chwili z przymusem rzekła:

— Frania niechętnie chodzi do magazynu, są tam z niej niezupelnie zadowoleni; chodząc sama po mieście zawiązuje stosunki, które na nią niedobrze wpływają...

Przyjemski dokończył:

— Ma wykrój ust i ruchliwość oczu osób kapryśnych i skłonnych do sprzeczek... Pani pewnie wiele cierpi od niej...

— O, nie! — z żywością wielką zawołała — ona jest bardzo dobrą, ma serce najlepsze. Tylko martwi nu? ogromnie to, że nie lubi szycia... Jednak trzeba, a y
353

uczyła się czegokolwiek, aby potem miała jakikolwiek kawałek chleba!

Obmyśliliśmy z ojcem, że będzie panną magazynową... cóż innego możemy? Ale ją to bieganie po mieście psuje i nie mogę w żaden sposób zaradzić temu. Jest to dla ojca i dla mnie wielkie, wielkie zmartwienie...

Mówiła to wszystko ze spuszczoną głową, szyc nie przestając. On słuchał jej uważnie, ale nie siadał i co chwilę spoglądał w stronę parteru, jakby stamtąd czegoś oczekiwał. Zobaczył na koniec chłopaka z błyszczącymi guzikami na spencerze, wybiegającego zza drzew i niosącego w ręku wielką więź kwiatów. Szerokimi krokami poszedł na jego spotkanie. Klara podniosła głowę, gdy odchodził, i zobaczyła, jak u końca alei brał kwiaty z rąk ogrodniczka czy lokaja i trzymającą je rękę za plecy założywszy śpiesznie ku niej powracał. Pomyślała, że kwiaty te były dla niej, i uczyniła poruszenie, od którego czepek i koronki zsunęły się z kolan jej na ziemię. Przyjemski, który znajdował się już o kilka kroków tylko od niej, przystąpił bardzo szybko, w mgnieniu oka przyklęknął na jedno kolano i jedną ręką podniósł spadłe na ziemię przedmioty, drugą podał jej więź kwiatów. Jedno mgnienie oka, jeden ruch, jedno spojrzenie w głębinę jej oczu i znowu stał przed nią, a ona twarz płonąca kryła w kwiatach. Naprędce zerwane, ułożone w więź niesforną, były to kwiaty bardzo piękne, rozmaite i pachnące. Woń ich silna i barwy jaskrawe zlały się dla jej zmysłów, serca, wyobraźni w jedno wrażenie wstrząsające z sekundą, w której ten piękny człowiek klęczał przed nią i zatapiał spojrzenie w głębinach jej oczu. On,

wzruszony także, prędko odzyskał swobodę. Siadając przy niej rzekł:

| — A teraz zapomnijmy o wszystkich kłopotach dobowych i niedomowych, o wszystkim, co złe, co małe, co boli — i pójdźmy w świat lepszy...

Głosem niezmiernie bogatym w tony i umiejętnie lch używającym czytać zaczął:

394

Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty, Usycham z żalu, omdlewam z tęsknoty, I nie wiem, czemu ta dusza z popiołów Nie wylatuje za nią do aniołów? Czemu nie leci za niebieskie szranki Do tej zbawionej i do tej kochanki?...

Minuty płynęły; liście żółte i rumiane padały z drzew kiedy niekiedy, tu i ówdzie; ukośne płachty światła za drzewami stawały się coraz krótsze, złote kółka na ciemnej ziemi coraz mniejsze i mniej liczne. Klara przestała szyc. Z rękoma opuszczonymi na kolana i źrenicami nalany iskrzącym się złotem słuchała. On czytał:

Płonęła wonna jak kadzidło mirry, I widać było, że nie wiedząc płonie, Głębszymi oczu stały się szafiry I prędsza fala białości na łonie...

Jej oddech stawał się szybszym. Czy to sen? Czy już umarła i weszła do raj? Z więzi kwiatów obok niej leżącej rozplywa się napowietrzny trunek zapachów; z drugiej strony głos piękny i wzruszony czyta:

Jest chwila, gdy się ma księżyc pokazać, Kiedy się wszystkie słowiki uciszą, I wszystkie liście bez szelestu wiszą, I ciszej źródła po murawach dyszą...

Liście bez szelestu padały z drzew to tu, to ówdzie; aleja dyszała spokojem i zaczynała nabierać zmięzchu. On czytał:

O takiej chwili, ach! dwa serca płaczą, Jeśli coś mają przebaczyć, przebaczą, Jeżeli o czymś zapomnieć — zapomną!

Minuty płynęły; poemat zbliżał się do końca. Kochanka uwiedziona „zniknęła jak sen jaki złoty”;

395

chanek, który wierzył, że „z tęczy wyszła”, żalił się na jej utratę:

Słowiki jęczą i fontanna płynie, Mówią mi o niej — ja serce otwieram I o śmierć prędką modłę się z rozpaczą...

Czytający oderwał wzrok od książki i przeniósł go na twarz towarzyszki. Z jej źrenic, nalanych iskrzącym się złotem, nieruchomych, dwie duże krople występowały i osiadały na rzęsach. Ruchem powolnym i wyciągnął ramię i okrył dłonią jej rękę, której nie [usunęła, tylko dwie krople spłynęły z rzęs na policzki powleczone obłokiem różowym.

| — Czy to są łzy żalu albo szczęścia? — bardzo cicho zapytał.

Po chwili milczenia, ledwie dosłyszalnie szepnęła: | — Szczęścia!

; Była pełną szczęścia niesłychanego, w sposób dziwny zmieszanego z bólem, ale uczyła teraz, że kibić jej opasuje ramię ostrożne, i obudziła się. Do szczęścia i bólu wmieszało się zawstydzienie tak silne, że je przygłuszyło. Ruchem strwożonym cofnęła się na najdalszy brzeg ławeczki i nie podnosząc powiek, prędko, bezładnie zaczęła zgarniać do koszyka muślin i koronki.

| — Już pójdę do domu — szepnęła. I On siedział pochylony naprzód, z łokciem na kolanie i wspierał na dłoni czoło, tak prawie jak jej twarz zarumienione. Delikatne jego nozdrza szybko rozdy-niały się i ścisnęły, ręka mięła szmatkę muślinu ruchem gwałtownym. Trwało to krótko; opanował się i znowu dłoń położył na jej rękę, ale

tym razem z siłą Prawie rozkazującą:

; ■— Pani nie pójdzie jeszcze, bo jeszcze nie skończyliśmy czytać poematu.

-Pierwszy raz, odkąd go znała, w głosie jego zaśmiały tony despotyczne. Trzymając dłoń na jej ręku i patrząc w ziemię zamyślił się, z lekka przygry-

396

zał dolną wargę. Po chwili cofnął rękę i daleko łagodniej przemówił:

— Płaczę mi się po myśli nuta, która wśród cudnego poematu „W Szwajcarii” wygląda jak zgrzytnięcie zębami wśród pieśni anielskiej. Cóż robić? Muszę ją pani zakomunikować. Razem słuchaliśmy pieśni anielskiej, razem usłyszymy zgrzyt.

Dlaczego ja jeden mam go słyszeć?

Usta jego przybierać zaczęły wyraz ironiczny, zmarszczka pomiędzy brwiami stała się bardzo głęboką. Po chwili milczenia mówił dalej:

— Kilka dni temu znalazłem w pokoju przyjaciela książkę, tłumaczenie polskie pieśni miłosnych Heinego. Nigdy ich przedtem w tłumaczeniu nie czytałem. Przez ciekawość zacząłem przeglądać, czytać. Tłumaczenie bardzo ładne, bardzo ładne.

Pamięć mam nadzwyczajnie lokalną. Kilka wierszy zapamiętałem. Jeden powiedziałem pani wczoraj; drugi powiem teraz. Niech pani uważnie słucha. Pochylony, z twarzą na dłoni i wzroku nie spuszczać z jej twarzy, powolutku wypowiedział piosnkę Heinego:

Oboje czcili się bardzo, Miłości wyznać nie śmieli, Patrzyli na się z ukosa, Chociaż miłością płonęli.

A gdy się wreszcie rozstali W najgrubszej serca żalobie, Pomarli od siebie z dala, Nie wiedząc nawet o sobie...

— Uważa pani... kochali się szalenie i „pomarli od siebie z dala, nie wiedząc nawet o sobie!” a to dlatego, że „czcili się bardzo”. Są to zgrzyty i dysonanse. Miłość wzniosła wykwita ze czci; cześć nakłada kaganiec na miłość wzniosłą. Nic na świecie nie jest prostym i łatwym, tylko wszystko skomplikowanym i trud-

397

nym. Czy pani już nie chce uciekać? Może skończymy czytać „W Szwajcarii”? Jakim ja wdzięczny pani za poznajamianie mię z takimi rzeczami! Większą część życia spędziłem za granicą, w towarzystwie literatur zagranicznych. Jednak i ta jest wspaniała!... Ja się wiele nauczyłem od pani...

Pomimo wzruszeń różnorodnych zaśmiała się serdecznie.

— Pan? ode mnie? o Boże! Czegóż ja kogokolwiek mogę nauczyć? Tylko Stasia czytać i pisać nauczyłam...

— A czego pani mnie nauczyła, wytłumaczę może później... teraz kończmy poemat.

I zaczął znowu czytać:

Kiedy się myślę w przeszłości zagłębię, Nie wiem, jak sobie jej postać malować...

Minuty płynęły; ona teraz szyla słuchając, ale źle, powoli i krzywo.

Głos czytający umilkł; na trawniku za drzewami już prawie nie było płacht złotych i z ciemnego pasa ziemi, w alei zniknęły oka złotej sieci. Natomiast światła zachodu błędząc po drzewach zapalały u ich szczytów różowe pochodnie i świece. Na dole zmierzchało; plama parteru, przedtem jaskrawa, zszarzała i tylko kwiaty białe wyraźnie na niej maja-tczyły.

f Klara wyprostowała w rękach czepek ogarniowany.

i] — O Boże! — zawołała — jakże ja ogarniowałam ten czepek?

— Cóż? — uśmiechnął się Przyjemski — krzywo?

— Zupełnie krzywo! Widzi pan? W tym miejscu mnóstwo zmarszczek, a w tym prawie wcale ich nie ma; tu przysunięte do brzegu, a tam odsunięte...

i — Katastrofa! pani to pewno sporze?

— Naturalnie, wszystko spruć trzeba; ale bieda niewielka, w pół godziny przegarniruję na nowo.

398

— Dwom panom służyć nie można. Pani chciała służyć zarazem poezji i prozie; proza się nie udała...

Zastanowiła się chwilę.

— Kiedy ja o tym inaczej myślę. Mnie się zdaje, że w każdym zajęciu, nawet najprozaiczniejszym, może być poezja. To zależy od zamiarów, z którymi robimy...

' — Od pobudek — poprawił. — To prawda. Pani ma rację. Ale dla jakiej pobudki garniruje pani czepki pani Dutkiewiczowej?

— Dla tej, że ją kocham, że jestem jej bardzo wdzięczną, że kiedy ubierze się w taki wygarniowany czepeczek, robi się taką ładną, miłą staruszką.

— Jakie to szczęście kochać panią Dutkiewiczową! — zauważył z westchnieniem.

— Dlaczego? — zapytała.

— Bo panią Dutkiewiczową można szanować i zarazem powiedzieć, że się ją kocha. A w rozmaitych innych wypadkach tak bywa: trzeba szanować i milczeć, albo mówić i uchybiać szacunkowi: „Oboje czcili się bardzo...”

Nie dokończył, bo z daleka, z ogrodu przyległego dało się słyszeć wołanie Stasia:

— Klarciu! Klarciu!

Nie znalazłszy siostry w altanie nie wiedział, gdzie być mogła, i wrzeszczał coraz głośniejsze na całe dwa ogrody. Klara z koszykiem w ręku zerwała się z ławeczki.

— A moje biedne kwiaty? — przypomniał Przyjemski — czy pani ich nie weźmie?

— Owszem, dziękuję panu — odpowiedziała biorąc bukiet, który on razem z jej ręką na chwilę zatrzymał w dłoni. Błyskawice strzeliły z szafirowych oczu, nozdrza ruchome znowu rozděły się szeroko; ale po kilku sekundach opuścił ręce i szedł obok niej aleją, w oddaleniu paru kroków. Na zawrocie alei zapytał:

— O której godzinie wieczornej pani kończy już wszystkie zajęcia domowe?

399

— O dziesiątej — odpowiedziała — ojciec i Staś zawsze śpią już o tej porze, i Frania najczęściej.

— Więc kiedy oni zasną i pani będzie wolna od... służby, niech pani wyjdzie do ogrodu posłuchać muzyki. Ja i mój przyjaciel zaczniemy grać dla pani od dziesiątej... Dobrze?

— Dobrze, dziękuję! — odpowiedziała i stanęła przy bramce w sztachetach, w cieniu drzew już dość gęstym.

— Dobranoc panu.

Wziął obie jej ręce w swoje i czas jakiś wpatrywał się w nie ze spuszczoną twarzą.

— Grając — szepnął — będę myślał, że pani tu stoi gdzieś koło sztachet i słucha mojej muzyki. Tym sposobem dusze nasze będą razem.

Szybko podniósł do ust jej ręce i z kolei pocałował obie.

W godzinę potem Wygrycz siedząc na wąskiej kanapce i z wolna pijąc herbatę bawił się z uczuciem przyjemności widocznym pięknymi kwiatami, stojącymi na serwecie siatkowej w dużym dzbanku glinianym. Formalnie pieścił się z nimi, wachał je, gładził dłonią. Szczególnie zachwycały go werbeny.

— Jak gwiazdy! — mówił z uśmiechem, który na tę chwilę cały kwas swój utracił.

: Klara zapalała lampę, przyrządzała ojcu herbatę, Stasiowi dawała mleko, krzątała się gawędząc, prawie szczebiocąc. Opowiadała, że była w ogrodzie książęcym, że czytała tam z panem Przyjemskim „W Szwajcarii”, że on dał jej te kwiaty, że widziała z dala parter znajdujący się pod pałacem i jak on wyglądał z daleka na tle ogromnej zieleni ogrodu. Biła z niej całej radość promienna; ruchy stały się zwinne, nerwowe. Widocznym było, że nie mogła usiedzieć na miejscu, że czuła potrzebę chodzić, biegać, mówić, wyrzucać z siebie nadmiar życia wezbranego. Niekiedy milkła w połowie wyrazu i stawała nieruchoma, oniemiała, ze wzrokiem i duszą odbiegłymi gdzie indziej. Wygrycz nie przypatrywał się jej bardzo, słuchał te-

400
go, co mówiła, czasem zamyślał się o czymś, ale nie kwaśno ani ponuro, owszem, jakby cień filuterności bładził mu po żółtych wargach. Frania, która od kilku minut powróciwszy z miasta słuchała opowiadań siostry, ozwała się nagle głosikiem ostrym i z oczyma biegającymi: ł

— Et! A mnie zdaje się, że nic z tego nie będzie. Ten pan Przyjemski kocha się w Klarce, ale żeby się z nią ożenił, to wątpię. On jest dla niej za wielkim panem... Tacy panowie tylko bałamuca biedne dziewczyny, a potem porzucają!

Wygrycz zatrząsł się cały.

— Cicho bądź, jędzo! — krzyknął — zawsze musisz kłuć siostrę. Kto ci tu mówił o jakim kochaniu się albo żenieniu?...

Zaczął bardzo kaszleć, obie córki rzuciły się do niego z wodą, herbatą, pastylkami, ale chociaż atak prędko minął i Frania skruszona stała się pieścizotliwą dla ojca i siostry, wesołość Klary zgasła jak świeca zdmuchnięta.

Przecież wiedziała o tym, że młode dziewczęta, jeżeli kochają i są kochanymi, wychodzą za mąż. Ale myślała o tym bardzo rzadko zawsze, a w stosunku do Przyjemskiego nie pomyślała ani razu. Dotąd widzieć go i rozmawiać z nim było dla niej szczytem pragnienia i szczęścia. Siostra brutalnie zerwała gazę dziewczą z tego, co działo się w jej sercu. W mózgu jej, jak mucha w pajęczynie, zwięzły słowa Frani: „To za wielki pan dla niej”. Zawsze czuła wyższość jego nad sobą, wyższość rozumu i elegancji. Teraz przybyło stanowisko. Jakkolwiek tylko sługa książęcy wyższego rzędu, był w porównaniu z nią wielkim panem. Nazywał księcia przyjacielem swoim, rozporządzał się w domu książęcym jak we własnym; kto wie? może był bogatym. Ostatnie to przypuszczenie zabolalo ją najmniej. Na dnie przecież miała to uczucie, że chociaż w porównaniu z nim była dziewczyną ubogą i skromną, nie dzieliło ich jednak nic nieprzewycięzonego. „Jeżeli kocha...” — myślała. W sercu jej śpie-

401

wało słowo czarodziejskie: „Kocha! kocha!” Gdy tylko ojciec jej odszedł do swego pokoju z gazetą pożyczaną od kolegi biurowego i po której przeczytaniu wnet usypiał, Staś już usnął i Frania zaczęła przybierać się do snu, wybiegła na ganek. Wieczór był ciepły, ale pochmurny, i gwiazd wcale nie było widać; tym goręcej wśród ciemności żarzył się szereg oświetlonych okien pałacu. Wiatr zrywał się spod chmur chwilami dość silny, chwilami ustawał zupełnie. Raz zerwał się i rozniósł po obu ogrodach wielką falę tonów muzycznych. Zza okien wysokich, wąskich, żarzących się od świateł, fortepian i wiolonczela zaczęły lać w ciemność ogrodu muzykę wielkiego stylu, poważną i spokojną. Klara przebiegła ogród i stanęła przy sztachetach, tuż u altanki bżowej. Oparta o sztachety, słuchała i nie myślała już o ni-czym, tylko czuła rozkosz niewymowną, rozplływającą się po całej jej istocie. Było w tej rozkoszy uczucie piękna, złożonego z nocy chmurnej, z okien wysoko świecących w ciemności, z westchnień wiatru, z opływającego to wszystko morza muzyki prawie uroczystej. Ale najwięcej było w niej rzewności, wdzięczności, namiętnego wzbijania się duszy ku tym oknom, podobnym do otworów rajy, przez które wylewała się jasność i harmonia rajska. Z oczyma wzniesionymi ku szeregowi punktów świecących patrzyła i słuchała. W pamięci jej zaszepotały słowa: „Dusze nasze będą razem!” i z mocą ogromną uczuła ich prawdę. Muzyka była duszą jego, która zlatywała do niej z góry i wchodziła w nią z pieszczotą palącą i słodką. Zakryła twarz dłońmi i oddychając szybko brała w siebie tony muzyczne jak powietrze; oddychała nimi myśląc, że oddycha jego duszą. ; Kwadransy upływały, po czym na minut kilka stało się cicho, w pałacu grać przestano, ale po kilku minutach znowu ozwała się muzyka cichsza, jakby więcej oddalona, bo wiolonczela umilkła i tylko fortepian śpiewał. Śpiewał dość długo, wiolonczela milczała; natomiast w alei, u samych prawie sztachet, ozwało

— Orzeszkowa

402,

się przyciszone stapanie. Klara wyprostowała się, jakby prądem elektrycznym uderzona. Za sztachetami, tuż przed nią stanął mężczyzna wysoki i w ciemności nawet zgrabny, wziął w dłonie obie jej ręce i szeptem przemówił:

— Musiałem koniecznie dziś jeszcze panią widzieć. Grając myślałem ciągle: „Pójdę do niej!” Przestałem grać i przyszedłem. Powiedziałem jemu: „Graj dalej, graj ciągle!”, bo chciałem rozmawiać z tobą przy wtórze muzyki!... Jaka noc chmurna i jak wiatr szumi! Prawda, że tony muzyki na tle tego szumu tworzą jakiś haft napowietrzny? Posłuchajmy razem.

Coraz mocniej ścisnął jej ręce w swoich, głowę przybliżył do jej głowy. Chwilę stali słuchając. Pieśń tęskna i namiętna spajała się z szumem wiatru, który powiał spod chmur i razem z nią uleciał pod chmury. Muzyka lała się dalej w ciemność ogrodu zupełnie cichą.

— Czy dobrze, że przyszedłem? Musiałem cię widzieć i pożegnać na cały dzień jutrzejszy. Dziś, zaraz, stryj mój przyjedzie i zabierze mię do siebie na całe jutro... Zobaczę cię aż pojutrze. Czym dobrze zrobił przychodząc dziś jeszcze, na chwilkę? Czy dobrze?

Upojona, prawie nieprzytomna, szepnęła:

— O, dobrze!

Pociągnął jej rękę tak, że cała pochyliła się ku niemu, i zaczął znowu szeptać:

— Idź do bramki w sztachetach, ja tam pójde, spotkamy się, pójdziemy do naszej alei, na naszą ławeczkę... dobrze?

Ona przecząco wstrząsnęła głową i zaszeptała błagalnie:

— Nie... Niech mię pan nie prosi... o, niech mię pan nie prosi, bo pójde...

Ruchem gwałtownym odsunął jej rękę, ale po sekundzie znowu przyciągnął je ku piersi.

— Tak! nie idź! Dziękuję, żeś nie poszła! niech rozdziela nas te sztachety. Ale nie odchylaj główki-przybliż ją... pochyl... tak! o, moja droga!

403

Głowa jej leżała na jego piersi. W ciemności to wietrznej, to cichej... fortepian śpiewał, tęsknił, kochał... Z twarzą przy jej twarzy, z oczami w jej oczach zapytał:

i — Kochasz mię?

i Kilka sekund milczała, potem jak powiew najcichszy z ust jej rozchylnych w upojeniu, wyszedł szept: I — Kocham!

— O, droga!

Lecz w tej chwili stało się coś nadzwyczajnego, rzed paru już minutami wychyliła się była z ciemności postać ludzka i kilka razy to zbliżała się na palcach do pary rozmawiającej, to znowu trwożnie się oddalała. Był to człowiek mający ubranie z guzikami metalowymi, które bieleły mu u piersi i rękawów, ilekroć znalazł się w cieniu mniej głębokim. Szeptu pary stojącej u sztachet nie mógł słyszeć, może nawet nie widział kobiety, którą zasłaniała wysoka postać męska; ale tę ostatnią rozpoznawał dobrze i przez parę minut krążył za nią w niepewności, oo ma uczynić.

U sztachet mężczyzna pochylony nad głową kobietą u piersi jego zwieszoną szeptał: f — Spójrz na mnie!... nie uchylaj mi ust... daremnie... wynajdę.. wezmę!...

W słowach tych, jakkolwiek bardzo cichych, brzmiał gwałt namiętności i woli człowieka nawykłego do zwyciężania. Ale o kilka kroków za nim zabrzmiał głos pełen uszanowania i nieśmiałości, jednak wyraźny:

— Jaśnie oświecony książę!...

Mężczyzna drgnął od stóp do głowy, rękę opuścił fodwracając twarz, machinalnie zapytał:

— A co tam?

— Jaśnie oświecony książę, stryj przyjechał i rozkazał szukać wszędzie jaśnie oświeconego...

Teraz dopiero ten, do którego stosowały się te sło-opamiętał się i ogarnął go gniew ogromny. Z ge-stem gwałtownym i głosem drżącym krzyknął:

404

— Precz!

W alei zaszeleściły kroki oddalające się, bardzo pośpieszne. On obrócił się znowu ku dziewczynie, która stała za sztachetami wyprostowana, zeszywniała, jak w ziemię wryta. Próbując uśmiechnąć się, zaczął mówić:

— Wydało się wszystko!... przeklęty fagas!... nie gniewaj się, bo uczyniłem to z obawy, abyś nie pierzchnęła...

Ona z.szeroko otwartymi oczyma zaszeptała:

— Pan... książę?

Było w tym szepcie coś prawie obłąkanego. On zaczął znowu:

— No tak: ale cóż stąd? Czyż dlatego...

, I próbował wziąć znowu jej ręce. Ale ona podniosła je ku głowie, zatopiła we włosach i z ust jej wypadł krzyk bez słowa... tak głośny, że rozległ się po dwu ogrodach. Jednocześnie odwróciła się i jak w przestraszu śmiertelnym biegnąc zniknęła w ciemnościach.

V

Książę Oskar powrócił z wycieczki na trzeci dzień około wieczora. W godzinę po powrocie szedł aleją ogrodu, tak chmurny, że aż posępny... Przy ławeczce darniny stanął, patrzył na niskie siedzenie i dokoła. Była to chwila poprzedzająca zmierzch. Na trawniku przeświecającym zza pni grubych leżały ukośne płachty światła złotego; na ziemi, w alei, drgały koła i kółka złote. W niskiej murawie ławeczki wiewało kilka kwiatów zapomnianych. Wszystko to było zupełnie tak samo, jak zawczoraj o tej porze.

Książę ruchem porywczym usiadł na ławeczce, ka-

45
pelusz zdjął, czoło na dłoni oparł i półgłosem wymówił:

— Niestety!

Przed godziną, gdy tylko powrócił, znalazłszy się sam na sam z kamerdynerem Benedyktem krótko kapy tał:

, — Cóż... tam?

ft Sługa dawny, ulubieniec, odpowiedział z niskim ukłonem:

— Żle, jaśnie oświecony książę!... Wynieśli się...

— Kto wyniósł się? — zawołał książę.

— Wygryczowie.

— Skąd się wynieśli?

— Z domku w tamtym ogrodzie.

— Kiedy?

— Dziś raniutko.

— Dokąd?

— Jeszcze nie wiem, ale jeżeli jaśnie oświecony książę rozkaże...

Chciał powiedzieć „dowiem się”, uznał jednak za lepsze nie dokończyć myśli. Czekał. Książę nie mówił nic. Stał twarzą do okna i nie odwracając się zapytał jeszcze:

— Nie widziałeś jej?

Owszem, Benedykt ją widział. Chcąc mieć ciągle na oku domek osadzony fasolą, wczoraj wieczorem, trochę po dziesiątej, szedł aleją graniczącą z tamtym grodem. Idąc usłyszał płacz. Zbliżył się ostrożnie, po "chutku i zza drzewa zobaczył ją klęczącą za sztafetami, z rękoma i czołem opartymi o sztachety, bardzo płakała. Raz podniosła głowę i patrzyła na pa- < Potem znowu wybuchnęła płaczem i tak pochy- : 'a się ku ziemi, aż jej ręce i czoło zatopiły się w tra-e- Ale kiedy pan Przyjemski zaczął grać w pałacu, wała się i jak strzała pobiegła do domu. To było @praj, pomiędzy dziesiątą a jedenastą wieczorem. ~ o siódmej z rana Benedykt poszedł do tego zna- @ego swego, który mieszka na tamtej ulicy, naprze-lch parkanu, i dowiedział się, że

Wygryczowie

406

wynieśli się stąd prawie o wschodzie słońca, a na ich miejsce wniosła się jakaś struszką ze służącą i z kotem.

Wszystko to Benedykt opowiedział tonem relacji zupełnie obiektywnej. Książę nie odwracając twarzy od okna rzekł:

— Możesz odejść.

Kamerdynerowi zdawało się, że wymawiając te dwa wyrazy miał głos bardzo zmieniony.

Teraz książę Oskar siedział na ławeczce z darniny, z czołem w dłoni, ogromnie smutny i zamyślony.

„Odkąd zniknęła jak sen jaki złoty...” Zniknęła! Ale to bagatela. Nic łatwiejszego, jak ją znaleźć. Słowo tylko powie Benedyktowi i jutro albo za dwa dni będzie wiedział o jej nowym mieszkaniu. Ale — czy szukać? Uciekła. Ni.ewieści instynkt zachowawczy pchnął ją do ucieczki. Taki jest porządek świata. Samica ucieka przed samcem, jeżeli nie ma założyć z nim gniazda. A ona — taka rozsądna i tak szlachetnie dumna — zrozumiała, że tu mogło być dla niej szczęście krótkie, a nieszczęście wielkie. Uciekła z płaczem ogromnym, ale uciekła! Jaka wola silna w tym dziecku! Jednak dla niego była słabą i on bywa — w wypadkach podobnych — bardzo słabym; kto wie, co by się stało? Dobrze, że się nie stało. Nigdy potem nie darowałyby sobie tego. Więc czy należy szukać i znowu zaczynać? wystawiać ją znowu na niebezpieczeństwo? Ja, bo dla niego... ach, dla niego uśmiechnęło się w niej zbawienie, odnowiona wiara w możliwość istnienia na ziemi wielu rzeczy, o których był już zwątpił. Przez te dni kilka czuł się wskrzeszonym. Szalonym szczęściem byłoby posiadać tę istotę przezystą i tak ponętą ciałem i duchem. Szalonym szczęściem byłoby jużstylko w tej chwili ją widzieć—Gdyby ją zobaczył, prosiłby o przebaczenie za to, zmałcił jej spokój, że wygnał ją z jej skromnego kąta, że przez niego płakała tak ogromnie... Tak; ale p®. prośbie o przebaczenie jaki ciąg dalszy? „Oby cię Ł>oSj zachował tak piękną, czystą, powiewną!” Nie zac

407

wały! Gdyby spotkali się znowu, nie zachowałyby pewno! Szkoda tego kwiatu!... A jednak...

Wstał i poszedł dalej. W alei równoległej z ogrodem zaniedbanym stanął znowu. Przypatrywał się domko-j wi w fasoli, mianowicie małemu gankowi, który nie , był pustym. Na wąskiej ławce siedziała tam staruszką w czarnej sukni i w białym czepku. Robiła pończochę, której druty w promieniu słońca migotały dokoła rąk jej jak iskierki stalowe. ■ — Pewnie pani Dut...kiewiczowa! | Namysłął się chwilę, potem otworzył bramkę w sztachetach i wszedł do ogrodu przyległego. K. Staruszką siedząca na ganku widząc nadchodzącego podniosła się z siedzenia i gdy on witał ją uchyleniem kapelusza, zagadała pierwsza, z uśmiechem dobrodusznym na ustach szerokich.

I— Czym mogę służyć księciu panu? Niech książę pan będzie łaskaw usiądzie na moim ganeczku... będzie to dla mnie wielki honor... proszę księcia pana!

i Przy tym dygała nie raz, ale dziesięć razy, co nie było łatwym z powodu małości ganeczku, którego część zajmował jeszcze kot opasły, leżący na dużej poduszce. Ona

jednak pomimo ciasnoty robiła dygi posuwiste i razem przysiadające, przy czym spod spódnicy krótkiej ukazywały się nogi w białych pończochach i prunelowych trzewikach.

— Niechże księżę pan zrobi ten honor mojej chacie i usiąść raczy... Czym służyć mogę?

Jeszcze raz dygnęła pokazując spod czarnej sukni białe pończochy i usiadła na uprzednim miejscu z drutami i nićmi na kolanach. Księżę nie usiadł, tylko wszedłszy na ganeczek odkrył głowę i grzecznie zapytał:

— Czy państwo Wygryczowie już tu nie mieszka-

Nie mieszkają... nie mieszkają... — potakująco **ęsząc głową potwierdziła staruszka — dziś z rana

408

przenieśli się gdzie indziej i ja teraz jestem sąsiadką księcia pana... che, che, che...

Księżę głosem aksamitnym zapytał:

— Czy z panią Dutkiewicz mam przyjemność?

— Tak, księżę panie, Dutkiewiczowa, do usług księcia pana...

— A czy można wiedzieć, dokąd przenieśli się państwo Wygryczowie?

Teraz z dużej i rumianej twarzy staruszki uśmiech dobroduszny i przymilony zniknął, a zastąpił go wyraz żałości połączonej z powagą. Oczy błękitne jak niezapominajki podnosząc ku niemu i głową w obie strony poruszając odrzekła:

— Nie można! nie można!

Palec pomarszczony do wysokości ust podniosła i raz jeszcze powtórzyła:

— Nie można!

Ale od tego ruchu kłębek bawełny spadł z kolan i potoczył się po dziurawej podłodze ganeczku. Próbowwała przyciągnąć go ku sobie nicią, ale to nie pomagało. Księżę podniósł i podał jej kłębek. Zerwała się z siedzenia i znowu uczyniła dyg posuwisty i przysiadający.

— Dziękuję księciu panu... Księżę pan fatygował się... bardzo dziękuję...

Plecami oparty o słupek ganku, ze zmarszczką bardzo głęboką na czole i rumieńcami na białych policzkach, księżę zapytał:

— Czy pani myśli, że byłoby mi trudno, znaleźć nowe mieszkanie państwa Wygryczów... gdybym poszukał?

Splotła palce krótkie, pulchne i zawołała:

— Dla księcia pana wszystko łatwo... Mój Boże, z takimi środkami i stosunkami co może być trudnego? Księżę pan znalazłby w moment ich mieszkanie, ale...

Uśmiechnęła się filuternie.

— Ale księżę pan nie będzie szukał. Był znać ciekawym wszystkich zjawisk świata,

i

409

i babinie tej przypatrywał się z niejakim zajęciem.

Przy tym czepek, który miała na głowie, gęsto ogarniowany koronką sztywną, wiele mu przypominał.

Dwa razy widział go w rękach Klary. Nie zmieniając

postawy stojącej skrzyżował tylko na piersi ramiona i znowu zapytał:

— Dlaczego pani mówi tak na pewno, że ja nie będę szukał państwa Wygryczów? Babina patrząc na niego zamrużyła powiekami już nie mającymi rzes i odrzekła:

— Bo księżę pan jest dobry... ja to widzę. Ehe, nie z jednego pieca chleb jadłam i niejednego księcia albo hrabiego widywałam, służąc w młodości za pannę służącą na dworach wielkich. Odgadnę wszystko, choćby z bagateli. I księżęta, i ludzie pospolici bywają różni. Ale księżę pan jest dobry. Odgadłam z bagateli. Księżę pan podniósł mi kłębek z ziemi; starość moją uszanował. Wiele jest księżąt i nawet ludzi pospolitych, co to tylko imainują sobie, że są księżętami, którzy by tego dla starej, prostej kobiety nie zrobili. Księżę pan ma dobre serce i umie szanować, to, co Pan Bóg i ludzie szanować rozkazali. Już ja to widzę i z oblicza godnego, i z mowy przyjemnej i z tego kłębka...

Zaśmiała się dobrodusznie, przyjaźnie. i|. Księżę Oskar stał z głową pochyloną. ■ — Opinia pani bardzo mi pochlebia... Ale chciałbym wiedzieć, jakim sposobem stało się to chasse-■croise *? Z czyjej przyczyny? Na czyje żądanie? | Staruszka prędko trzęsła głową, r — Rozumiem, rozumiem! Na jej żądanie... na jej własne żądanie! Przybiegła do mnie wczoraj z kościoła, w którym modliła, się cały ranek, przypadła mi do kolan i wszystko powiedziała... Komuż miała powiedzieć? Matkę jej i ją samą na rękę nosiłam... Kolana moje ściskając prosiła: „Przenieś się tam, babulu, a my przeniesiemy się do twego mieszkania... na

* Chasse-croise (franc.)

— tu: zamiana.

410

ten czas, dopóki..." Rozumie księżę pan? „Tylko — mówi jeszcze — ja z ojcem mówić o tym nie będę, bo nie mogłabym spokojnie, a jemu trzeba powiedzieć najspokojniej..." Poszłam tedy i sama panu Teofilowi rozpowiedziałam, wytłumaczyłam, zaproponowałam. To człowiek rozsądny. Zrozumiał, zgodził się i jeszcze mi dziękował. Córkę, kiedy przyszła do domu, uścisnął, trochę też i wygderał, trochę... W nocy podobno bardzo kaszłał, ale przejdzie mu to, przejdzie... Ja zaś dziś raniuteńko, łapu capu, manatki i graty swoje kazałam tragarzowi przenieść tu, ich tam, i już! Powiedziałam księciu panu wszyściuteńko, j&k było, bo to się należało... Serce nie sługa, a czy księżęce, czy chłopskie, to wszystko jedno. Kiedy boli, to boli... Więc pozostawić serce bolejące w niespokojności to okrucieństwo. Wszyściuteńko powiedziałam księciu panu...

Księżę milczał długo, był teraz blady i surowy. Po paru minutach podniósł twarz i zapytał:

— Czy nie uzna pani za możliwe, abyśmy zobaczyli się z panną Klarą raz jeszcee, ostatni, tu, w obecności pani?

Błękitne oczy staruszki oszklify się łzami. Z podniesioną ku niemu twarzą różową i pomarszczoną szepnęła:

— Księżę panie, to sierota i opiekunka sierot... chociaż uboga...

Tu, najniespodziewaniej, kot w białe i żółte łaty, który przed chwilą obudził się i leniwie wyciągał na poduszce, skoczył na kolana pani swojej i zrzucił tam psotę wielką, bo pończochę z kłębkiem na ziemię zrzucił i sam łapy w nici zaplątał.

— Psik! — zawołała Dutkiewiczowa — psik! na poduszkę! A na poduszkę! Chustką, wydobytą dla otarcia oczu mokrych, trzepnęła kota, który zeskoczył z kolan ciągnąc za sobą pończochę, druty, nici, wszystko, co tam było. Ale nikt nie zwrócił uwagi na losy pończochy ani wpląta7 nych w nią łap kocich. Książę Oskar stał teraz tuz

411

przed babina, która chciała kończyć zdanie przerwane.

— Chociaż uboga, książę panie, ale...

— Niech pani nie kończy... wszystko, co by pani mogła mi powiedzieć o panie Klarze Wygryczównie, wiem sam i może jeszcze więcej. Czy pani zechce powiedzieć ode mnie kilka słów panie Klarze?

t Dutkiewiczowa przez chwilę patrzyła na niego k oczyma mrugającymi. R — Czy książę pan nie będzie jej szukał?

Ze schyloną twarzą milczał, aż podniósł głowę i od-I powiedział: B — Nie będę.

| — Słowo książęce? — zapytała jeszcze. W Stał się bardzo bladym. Palił mosty za sobą; bardzo I cierpiał. Znowu po milczeniu chwilowym odpowie-B dział:

i — Słowo człowieka uczciwego. I Babinie twarz zajaśniała radością. I — Słucham teraz księcia pana. Owszem, powtórzę. Serce nie sługa: kiedy boli, to boli. Jeżeli można wylać na nie kroplę balsamu, to czemuż tego nie zrobić? Co książę pan rozkaże jej powiedzieć? 1 — Niech pani powie panie Klarze, że to, com jej okazywał, nie było żartem ani kaprysem, lecz z początku sympatią, a potem miłością i czcią — czcią dla jej czystości nieskalanej i dumy szlacheckiej. Niech jej pani powie, że przez tę cześć poświęcam miłość swoją, że żadne rozstanie — a Bóg jeden wie, ile już przebyłem rozstań — nie wstrząsnęło mną tak do głębi. że pragnę, aby wspomnienie o mnie... ■ Głos załamał mu się w gardle, w oczach zamigotało srebro wilgotne. Z głębokim ukłonem rzekł: g— Żegnam panią!

Babina zerwała się i dwa razy jeszcze dygnęła posuwisto i przysadzisto, błyskając spod krótkiej spódnicy pończochami białymi. Potem usiadła na ławce, Przyłożyła chustkę do oczu i rozplakała się. A kot w żółte łaty, nie mogąc wyplątać łap z nici, siedział

412

razem z pończochą, drutami i kłębkami na drugim końcu ganku i żałośnie na nią patrząc miauczał.

W pałacu szereg salonów był już oświetlony lampami i kandelabrami. Książę Oskar wchodząc do gabinetu wspaniale urządzonego obejrzał się na Benedykta, który szedł za nim.

— Czy pokojowiec Józef już odprawiony?

Kamerdyner zmieszał się.

— Nie jeszcze, jaśnie oświecony książę! Chłopak płacze i prosi...

— Pozostaw go na służbie!

W myśli dodał: „Co on winien?”

Benedyktowi wydał rozkaz:

— Poproś tu pana Przyj emskiego...

Szybko przebiegał pokój obszerny i rześcicie oświetlony, do którego po kilku minutach wbiegł mężczyzna trzydziestoletni, brunet, wzrostu małego, z oczyma

rozumnymi, ruchami żywymi, z wyrazem twarzy śmiałym i wesołym.

— Książę mię wezwał. Czy będziemy grali albo pisali?

Książę stanął naprzeciw niego.

— Dobry sobie jesteś, mój kochany! Mnie wściekłość ogarnia od pięt do nózgu, a ty mi proponujesz granie albo pisanie... Chcę ci to powiedzieć: jutro wyjeżdżamy na wieś... bądź łaskaw porozumiej się dziś jeszcze z plenipotentami, adwokatami i wszystkimi tymi figurami, niech do mnie na wieś przyjeżdżają, kiedy im czego będzie trzeba. Ja tu teraz nie wytrzymam! Ja potrzebuję ruchu, zmiany, zapomnienia i tego, aby ona mogła powrócić tam, gdzie jej było zdrowo i przyjemnie... Poświęć ty już dla mnie swoje Perkowskie i jedź ze mną, bo gdybyś nie chciał jechać, tobym cię zostawił, ale chyba bym tam sam jeden oszalał z desperacji...

Przyjemski siadł na fotelu i trochę żartobliwie wymówił:

— Czy desperacja księcia tak wzrosła?

Ten stanął przed nim i rzekł chmurnie:

413

— Nie żartuj, Juliuszu. Zabrnąłem głębiej, niżem się sam spodziewał. Cierpię jak utrapieniec.

Przyjemski spoważniał.

— W takim razie boli mnie to niewymownie. Panny Perkowskie są to peronele * głupie i pretensjonalne, które z rozkoszą poświęcam, i jutro z księciem jadę. Ale się nigdy nie spodziewałem, aby chwile, które książę spędzał pod moim nazwiskiem w sposób zapewne bardzo przyjemny, mogły skończyć się tak tragicznie.

Książę wybuchnął:

— Mój Juliuszu, ty jeden wiesz, co myślę o ludziach. Albo pochlebcy, albo wietrznicy, albo niewdzięcznicy...

I — Słyszałem już to nieraz — wtrącił Przyjemski. [— Kobiety także albo głupie i nudne, albo zabawne i rozpustne, albo mieszczące w jednym ciele dwa duchy, z których jeden jest niebieskim, a drugi piekielnym...

I — I to słyszałem.

, — Życie jest jednym wielkim bezsensem. Dopóki człowiek wierzy, ufa, dopóty czuje się szczęśliwym, ale jest dzieckiem. Są tacy, którzy do śmierci nie wy-astają z iluzji. Ale temu, kto z nich wyrośnie, co po-staje? Skoro wszystko jest fałszem, cieniem zwodni-(ym, puchem nietrwałym...

— To słyszę bardzo często... » Książę stanął.

■ — Otóż widzisz! Znalazłem to, w co wierzyć przestałem. Znalazłem w niej i nawet w jej otoczeniu to... w co już nie wierzyłem. Nawet w tej wdowie po weterynarzu jest coś, coś takiego...

I — W jakiej wdowie? po jakim weterynarzu? — zadziwił się Przyjemski.

I — O tym ty nie wiesz i mniejsza o to! Ale że też Wiedzy takimi ludźmi bywa coś takiego!... przez nią dowiedziałem się, że bywa...

•Peronele (z franc.) — młode, niedowarzone stworzenia.

414

Z nowym wybuchem zawołał:

— Wiesz, Juliuszu... to dziewczę sypało mi perły do duszy! A przy tym śliczna!... pięknnością skończoną nie jest, ale oddałbym sto piękności skończonych za jej

uśmiech słodki...

Opuścił ręce, rzucił się na fotel.

— Cóż, kiedy „zniknęła jak sen jaki złoty!”

Zakrył ręką oczy, umilkł. Młody brunet z wesołą i śmiałą twarzą zasepił się, myślał.

— Więc to jednak tak na serio! — rzekł półgłosem i więcej jeszcze spochmurniał. Po chwili wstał, zbliżył się do swego dostojnego przyjaciela i tonem pocieszenia mówić zaczął:

— Więc niech ją księżę odnajdzie! Nic łatwiejszego... w mieście tak niedużym. Księżę podniósł głowę i zatopił w nim spojrzenie ostre, twarde.

— Po co? — rzekł — to taka, której za milion nie można kupić ani milionem pocieszyć...

Przyjemski spuścił oczy.

— Niech mi księżę przebaczy. Rada moja była złą. Podyktował mi ją... naprędce... żal obudzony widokiem żalu księcia.

Teraz on zaczął szybko biegać po pokoju; targał czarnego wąsika, myślał, aż znowu stanął przed przyjacielem.

— Więc cóż? — zaczął wahającym się głosem. — Cóż? Innej rady nie ma. Księżę daremnie dotąd szukał na świecie uczucia prawdziwego, szczęścia, celu i różnych tym podobnych rzeczy. Zdaje się księciu, że je znalazł w tej dziewczynie, którą we dwa dni odszukać można. Biorę to na siebie. Odszukam ją i niech się księżę z nią ożeni!

Księżę Oskar podniósł głowę i spojrzał na powiernika takimi oczyma, jakby uszom własnym nie dowierzał.

— Co powiedziałeś? — zapytał.

Przyjemski śmiało powtórzył:

— Niech się księżę z nią ożeni!

415

Twarz księcia zaczęła szybko zmieniać wyraz, aż nagle po gabinecie obszernym i wspaniałym rozległ się wybuch śmiechu:

— Cha, cha, cha, cha! cha, cha, cha! cha, cha, cha! Głosem przez ten śmiech przerywanym księżę

Oskar mówił:

— Paradny jesteś, mój Juliuszu, paradny! Cha, cha, cha! Myślałem, że zginę z żalu, ale, cha, cha, cha! ty byś mógł rozśmieszyć umarłego, cha, cha, cha, cha! Wydobył z kieszeni chustkę, przyłożył ją do oczu i śmiał się tak, że aż śmiech przechodził w łkania.

— Cha, cha, cha! cha! cha! cha!

Ogniwa

Zaledwie śnieg okrywający dachy i ulice szarzeć zaczął we wczesnym zmroku zimowym, okna dużego i ozdobnego domu zajaśniały rześnistym światłem. Na ich tle złotym zarysowały się bogate festony firanek, wysmukłe postumenty lamp, grupy roślin i niestałe cienie postaci ludzkich. Gdy na ulicy ustawał turkot kół, dolatywały stamtąd przez podwójne szyby słabe dźwięki muzyki fotepianowej. Łatwo było zgadnąć, że ludzie się tam bawią; że powstawszy od stołu obiadowego muzyką i

rozmowami uprzyjemniają sobie chwile ulatujące tak szybko...

Przed bramą stało kilka powozów z pięknymi zaprzęgami i stangretami w liberiach, którzy zwiesiwszy głowy drzemali lub uderzali się zziębłymi ramionami po plecach i bokach. Ale z bramy wybiegł lokaj we fraku i wydał stangretom rozkaz odjechania do domów. Koła zaskrzypiały na śniegu, karety, porwane przez spragnione już ruchu konie, sznurem potoczyły się w głąb ulicy, nad którą teraz właśnie pomiędzy śniegiem szarzejącym a niebem jeszcze błękitnawym zapalać się poczęły dwa rzędy latarni. Potem ulica przycichła; czasem tylko jednokonne sanki przelatywały ze słabym dzwonieniem; na białe chodniki padały z okien magazynów nieruchome płachty światła, w których pojedynczo lub roj nie przesuwają się profile przechodniów. Wówczas z bramy oświetlonego domu wyszedł mężczyzna, którego broda siwa wydawała się płatkiem śniegu położonym mu na piersi. Paltot futrzany z kosztownym kołnierzem szczelnie okrywał postać dość wysoką, z plecami trochę przygarbionymi; brzeg czapki futrzanej dotykał złotej oprawy okularów. Ubranie, ruchy, sam sposób, w jaki naciągał rękawiczki, znamionowały człowieka należącego do wyższych warstw społecznych. Miał brodę siwą, plecy Przygarbione i okulary na oczach, ale z tymi oznakami starości nie zgadzał się krok przyśpieszony, jakim szedł po białym chodniku. W tym kroku, jako też w paru gestach, które uczynił, malowało się znie-

F — Orzeszkowa

418

cierpliwienie, coś na kształt chęci zostawienia za sobą jak najdalej domu, który opuścił.

Bo też ilekroć salony jego córki napępniały się gwarem rozmów błyskotliwych, lekkich, pustych, a w apartamencie zięcia rozkładano stoliki kartowe, uczuwał on zawsze niesmak, smutek, nudę i o ile było podobnym, opuszczał dom ich, będący także jego domem. Czy postarzawszy stracił serce do świata albo świat odwrócił się od niego? W obu zarazem przypuszczeniach było wiele prawdy. Dla niego, dziadka wnuków dorosłych, nawet ojcowie i matki rodzin byli młodzieżą. To bardzo dobrze; można przecież kochać młodzież i być przez nią kochanym. Tylko że on niedobrze już rozumie życie tych młodych pokoleń. Miał niegdyś ideały ukochane, które były mu miarą sądu o ludziach i rzeczach. Do tej miary przyłożeni: córka, zięć, wnuki objawiają wzrost nadzwyczaj mały. Nie chce być niesprawiedliwym i odzywa się w nim przywiązanie ojcowskie. Ani córka i zięć, ani wnuczki i wnukowie nie są znowu — plamami atramentu. Mają swoje zalety, wdzięki, zdolności, tylko że on rzadko może zgodzić się z nimi w czymkolwiek. Inne zdania i upodobania, inne wspomnienia. Pousy-pialiby ze znudzenia, gdyby zaczął im prawić o tym, co dniem i nocą napępnia jego pamięć. Mieszka przy córce i zięciu w zbytku i blasku, a dnie spycha z życia, jak z pleców wory jałowego żwiru, i wlecze się ku końcowi tak prawie powoli, jak teraz idzie chodnikiem ulicy. Bo wyszedłszy z bramy domu krokiem pośpiesznym, teraz zaledwie porusza stopami. Kiedy przebywa miejsca, na które pada z okien magazynów światło rozplamione, u szyi jego połyskuje kołnierz bobrowy, u oczu złota oprawa okularów, w rękę rzeźbiona gałka od laski. Lecz kiedy wchodzi na • przestrzenie pograżone w półmroku, nie ma już na sobie połysków żadnych i rozmija się z przechodniami wyprostowanymi, jak cień

przygarbiony, z płatkami śniegu położonym na piersi i drugim dobywającym się spod czapki, nad karkiem zwieszonym.

4 29

Lecz miejsca oświetlone stają się coraz rzadszymi, a zanurzone w półmroku .coraz obszerniejszymi. Ruch uliczny słabnie, turkotu kół nie słychać wcale i dzwonki u sanek odzywają się tylko kiedy niekiedy. Nawet latarnie zdają się płonąć słabiej za szklami mętniejszymi; chodniki też węższe, pustsze, mniej gładkie, u ścian niższych, za których oknami są wprowadzicie światła, ale nieduże i nieliczne, a nie ma wcale lamp wysmukłych, waz wspaniałych ani dźwięków muzycznych. Jest to dzielnica miasta znacznie uboższa od tej, w której znajduje się wspaniałe mieszkanie jego dzieci i jego. Nie nędza tu jeszcze mieszka, lecz ubóstwo bardzo jej bliskie, i jeżeli dostatek, to bardzo skromny. Skromne też sklepiki zastąpiły magazyny z wystawami świetlnymi, szyldy jaskrawe migocą w słabym świetle u bram starych i okien niewielkich; niektóre z nich, kołysząc się z powiewem wiatru, skrzypią nad głowami przechodniów. Kołysz się niekiedy i poskrzypuje deska z tłem ciemnym i wymalowaną na nim tarczą zegara, wielką, białą, podobną do twarzy starej i zapłakanej. Spłó-wiałe cyfry i wskaźniki wyglądają jak zmarszczki przez czas wyryte, a kurzawy letnie i deszcze jesienne złożyły na nią mnóstwo czarnych kropek jak za-; schłych łez. •

j Wzrok starego pana w futrze bobrowym wypadkiem spotkał się z malowaną twarzą zegara, która w powiewie wiatru z lekka zakolysała się i zaskrzypiała. Było to coś na kształt zaproszenia wymówionego tonem żalonym. Zegar na szyldzie!

Zegarmistrz! to bardzo dobrze! Właśnie zegarek jego potrzebuje naprawy. Od pewnego czasu opóźnia się wciąż i opóźnia, po parę minut co dzień. Sam go już ciągle nastawia, naprawia, posuwa, cofa — nic nie pomaga. A przecież zna się na zegarkach wyśmienicie i wszystkie, jakie są w domu, zostają pod jego dozorem wyłącznym i bezpośrednim. Upokarza" go trochę, 2e temu samodzielnie rady dać nie może. Skoro przeleż tak jest, trzeba dla przyjaciela starego wezwać

Ti'

420

porady lekarza. Wstąpił na parę starych wschodków, otworzył niskie drzwi sklepiku, lecz gdy zamknął je za sobą, nie od razu oddalił się od progu; przez minut parę stał słuchając i patrząc.

Izdebka była mała, niska, od sufitu do podłogi napełniona szmerem dziwnym, zgiełkliwym, stukot-liwym, monotonnym i zarazem niespokojnym, śpiesz-nym. Nie był to hałas, tylko szmer gwarliwy, nie wzdymający się ani opadający nigdy, lecz ciągle, jednostajnie, bez sekundy przerwy napełniający izbę od dołu do góry. Nic tu więcej słychać nie było: ani ruchu ulicznego, ani skrzypienia szyldów, ani żadnego dźwięku ze świata żyjących. Nic, tylko od sufitu do podłogi i od ściany do ściany ta rozmowa czy narada zegarów wiszących na ścianach i mówiących jeden za drugim, jeden za drugim, wielu głosami suchymi i stukotliwymi: „Tak-tak...” „Tak-to-tak...” „Tak-to-tak...” A w tym szmerze rozmowy czy narady, zda się wiekuistej, u okna jedyne, przy stoliku, na którym paliła się lampa z długim kominkiem, nad mnóstwem błyszczących kółek, sprężynek, haczyków siedział człowiek w ubraniu długim i wysza-rzanym, z dwoma płatkami śnieżnymi, jednym na piersiach, drugim

nad karkiem zgiętym. Była to broda siwa i siwe włosy dobywające się spod jarmułki aksamitnej. W wielkich okularach, z narzędziem delikatnym w ręku siedział i pracował około błyszczących drobiazgów. Czoło miał zmarszczone, wargi odęte i uwagę głęboką w oczach, połyskujących iskrą srebrną spod brwi siwych i powiek zaczerwienionych. Może ucho jego tak przywykło do stukotliwej rozmowy zegarów i tak się z nią zżyło, że dźwięki inne przebijały się doń z trudnością; nie słyszał otworzenia się drzwi i wejścia człowieka obcego. Ale w minutę po tym wejściu ze szmeru tej rozmowy wytrysnął głos donośny, dźwięczny, dziwnie żywy i świeży, który na całą izbę zawołał: „Ku-ku!” i P<£ tem już dalej miarowo powtarzał: „Ku-ku! ku-ku-aż za ósmym razem umilkł, a izdebkę napełniła zno-

421

wu gwarliwa i pomimo miarowości doskonałej śpie-szna, niespokojna narada zegarów. Stary Żyd z dwoma płatami śniegu starości podniósł głowę, wydęte od skupienia wielkie wargi jego rozciągnęły się w błogim uśmiechu, spojrzeniem pełnym zadowolenia powiódł dokoła i spotkał się nim z twarzą przybysza, na której także rozlewał się uśmiech. Powstał nieco ze stołka, jarmułki palcami dotknął i zaczął:

— Czego wielmożny pan...

Ale spostrzegłszy futro kosztowne, złotą oprawę okularów, postawę przygarbioną, lecz jeszcze wyniosłą, poprawił się:

— Czego jasny pan żąda?

Ale jasny pan zamiast odpowiedzieć na zapytanie szedł wprost ku ścianie z szemrzącymi zegarkami i stanął, przed .tym, który wydał był z siebie głos kukawki.

! — Skąd masz ten zegar? Staroświecki... śliczny... cyferblat osobliwy!... Skąd go masz? Czyj on jest? I Żyda jakby sprężyna podrzuciła znad stołka, zerwał się i dwoma śpiesznymi krokami stanął obok starego pana przed szafką hebanową, wysoką, z otworem, przez który wyglądało na świat oblicze zegara z kukułką.

« — Czyj ten zegar? A czyj ma być? On mój! Jak syn jest swego ojca, jak przyjaciel jest swego przyjaciela, tak on mój! A jasny pan myślał, że może ten zegar jest u mnie w reperacji? że zaraz kto przyjdzie

jego stąd zabierze? Aj, aj! Ja by kijem tego, kto by mnie ten zegar zabrać chciał!

Żeby mnie kto jego zabierał, to ja by takiego hałasu narobił, że ludzie by zbiegli się i musieli przepędzić tego, kto by mnie ten zegar zabierał... bo on jest mój... Mówił z żywością ogromną, z zapalem i razem ze iechem filuternym, lecz nagle przerwał mówienie uważnie wpatrzył się w gościa, który przecież na "go uwagi nie zwracając, z głową podniesioną, ustami trochę otwartymi, przypatrywał się zegaro-• aż zawołał:

422

— Daj no stołek i lampę, bo nie mogę dojrzeć pejzażu na cyferblacie. Widzę, że jest, ale nie mogę dojrzeć, jaki...

Przy ostatnich wyrazach wstąpił na stołek podsunięty mu przez Żyda, a uczynił to tak sprężyście, jak gdyby nigdy dotąd nie powlóczył nogami.

— Lampę dawaj! — zawołał.

— Zaraz, zaraz, jasny panie!

I słowa te mówiąc stary Żyd z lampą w ręku znalazł się obok gościa na drugim przysuniętym stołku.

— Genewa! — zawołał stary pan — tak, tak! fabryka szwajcarska, nie wiesz jaka?

— Dlaczego nie mam wiedzieć? Czy ja mogę czego

0 nim nie wiedzieć?

Z tryumfem wymienił nazwę fabryki już od dawna nie istniejącej.

— To była taka fabryka, jakiej już na świecie nie ma...

Stary pan, ożywiony ogromnie, przytakiwał:

— To prawda, ach, jaka to prawda, że takiej fabryki już na świecie nie ma! A jak on się nakręca?

Stary Żyd, jakby z rękawa klucz wytrząsł, już go trzymał w palcach. W rzeczy samej wyjął go ze skrytki znajdującej się w szafce.

— Ot, jak on się nakręca! Widzi jasny pan! A jak to dobrze, że ja go dziś jeszcze nie nakręcał, to mogę jasnemu panu pokazać. Aj, faj! taki stary klucz, a jak po oliwie chodzi!

— Tak! Aha! — mówił tamten. — A ja myślałem, że on się nakręca z tamtej strony, bo takie zegarki...

— Jasny pan ma omyłkę... takie zegarki nie nakręcają się nigdy z tamtej strony... to są wcale inne, które się nakręcają z tamtej strony... A teraz ja pokażę jasnemu panu te gzymsiki... Widzi jasny Pan> jaka to delikatna robota jest i jakie to rzeźbienie

1 złocenie fajn... .

— Empire! — szepnął stary pan. ~ I

— Ampir! cha, cha! Na moje sumienie, Jasny

423

pan zna się na zegarkach jak, za pozwoleniem, zegarmistrze! Czyste a m p i r! Już blisko sto lat ma...

— Poczekaj! poczekaj! a toż co za sprężynka?

— Nu, to jest taka sprężyna, że jak ja ją pocisnę, to zaraz z zegara wyleci ptak; skrzydłami załomocze i krzyczeć zacznie.

— Aha! prawda! widziałem raz taką maszynę...

— Kiedy jasny pan raz widział, to ja jaśnie panu drugi raz ją pokażę...

Stali na stołkach obok siebie, postawą różni, bo gospodarz był szczuplejszym i niższym od gościa. Światło lampy, którą Żyd trzymał w wysoko podniesionym ręku, padało na dwie twarze z rysami niepodobnymi, ale okryte jednostajnie wielką ilością zmarszczek. Obaj mieli okulary na oczach wlepionych w zegar z błogością jednostajną. Wtem nad ich głowami siwymi i twarzami pomarszczonymi, wysadzony z wnętrza zegara przez sprężynę przyciśniętą wyleciał ptak metalowy, kilka razy załopotał skrzydłami i dźwięcznie, świeżo, na całą izbę wołać zaczął: „Ku-ku”, „Ku-ku”. Żyd pierwszy zstąpił ze stołka na ziemię i pomógł gościowi to uczynić, po czym, zapominając o postawieniu lampy na stole, znowu na niego patrzył.

— Za pozwoleniem jasnego pana — szepnął nieśmiało — może ja mam omyłkę, ale mnie zdaje się, że moje stare oczy jaśnie pana poznały...

■ — Poczekaj, poczekaj — z żywością przemówił stary pan — mnie także coś się przypomina. Czy ja cię znałem kiedy?

■ — Jasny pan graf Ksawery ze Strumienicy...

■ — No, a ty? bo nie mogę przypomnieć sobie...

■ — Ja, Berek, syn Szymszela co w Strumienicy pacht trzymał.

B — Berek! Czy być może? Ależ pamiętam wybornie! Siostra moja brała cię za model do jakiegoś obrazka...

Żyd głową trząsał, potakująco; lampę postawił na stole, bo ręce drżeć mu zaczęły. Wyciągał z kąta stare esło z materacem wklęsłym i poręczą nadłamaną,

424

zapraszając gościa, by usiadł. Cmokał wargami, śmiał się, czerwone powieki mrugały pod siwymi brwiami bardzo prędko, jak od olśnienia. Usiadł na koniec, wpatrzył się w gościa i głową trzęsąc wydawał dźwięki niewyraźne, w których przecież słyhać było radość i zdziwienie. Ale i stary pan przypatrywał mu się z podziwem.

— Czy być może? Ty Berek!... ty... ten Berek z kręcącymi się włosami złotymi, z twarzą rumianą jak u dziewczyny, z oczami jak turkusy? Siostra moja wzięła cię za model do jakiejś figury w obrazie, potem często przychodziłeś do pałacu... Więc to ty jesteś?...

— Ja... ja sam, jasny panie! A jasny pan jest tym paniczem, co na wschody strumienieckiego pałacu nigdy inaczej Jiie wchodził jak po cztery przeskakując. Kiedy mnie jasna panna hrabianka malowała, a jasny graf Ksawery do tego pokoju, w którym my byli, wchodził, to jakby słońce wschodziło. Aj, czy ja nie pamiętam, jak jasny graf Ksawery konno jeździł i jak z panienkami tańczył!... Żeby nie wiem wielu paniczów na koniach jechało, to on wszystkich wyprzedził, i żeby nie wiem wiele panienek było, to one wszystkie tylko z nim chciały tańczyć... Ja to wszystko widział, choć przy płocie albo to za oknem pałacu stojąc...

— Ależ właśnie, właśnie — podchwycił hrabia — ja cię też najlepiej pamiętam stojącego przy sztachetach, na dziedzińcu lub w ogrodzie, i przypatrującego się wszystkiemu oczyma, które posiadały dziwnie naiwny wyraz ciekawości i uciechy... Nieraz mówiliśmy z siostrą o tobie, że wyglądasz, jakbyś cieszył się całym światem i nigdy dosyć nacieszyć nie mógł... <

Żyd śmiał się z cicha:

— A jasny pan czy nie cieszył się wtedy całym światem?

Hrabia zamyślił się i westchnął.

— Naturalnie — odpowiedział — młodość!... Ra' zem byliśmy młodzi, mój Berku!

Nie spuszczał z niego oczu Żyd znowu zapytał z cicha:

— A teraz?

— Teraz! cóż? Jesteśmy razem starzy...

Żyd oparł dłonie na kolanach, wzrok wlepził w ziemię, zgarbił się, zmałał.

— Cy! cy! — cmokał — czemu my nie mieli razem zestarzeć, kiedy my razem młodzi byli? Każdy człowiek na świecie, czy żyd, czy chrześcijanin, czy wielki, czy małeńki, ma. młodość i ma starość... i dla każdego młodość to radość, a starość to taki smutek, co jego już aż do grobu nie można z siebie zdjąć... Każdy to ma...

Umilkł. Hrabia milczą? także i tylko zegary na ścianach gwarzyły szmerem suchym, niespokojnym: „Tak-tak”, „Tak-to-tak”, „Tak-tak”, „Tak-tak”, „Tak--tak-tak-tak”.

Jeden z nich głębokim basem zaczął uderzać godzinę: „Raz, dwa, trzy!” Lecz zaledwie trzy razy. uderzył, odezwał się drugi, bardzo cienki, i wydzwonił: „Raz, dwa!” Przy szóstym uderzeniu dzwoniły już trzy głosy, a przy siódmym było ich ze

sześć. Siedem, osiem, dziewięć wydzwoniły chórem, który potem stopił się we trzy i we dwa głosy, kończąc ogłaszać godzinę dziewiątą. Hrabia z uśmiechem oglądał się dokoła. | Koncert! — szepnął, a potem z zamyśleniem dodał:

||— Mój Berku, ile to już godzin czas wybił dla ciebie i dla mnie!

■ — Nu — odpowiedział Żyd — dlaczego on nie miał ich wybijać? My byli daleko od siebie i nie widzieli się nigdy, i zapomnieli o sobie, a czas na zegarkach bił godziny i co którą wybił, to i dla jasnego pana, i dla mnie, bo on dla wszystkich godziny bije...

Chwilę milczał, potem podnosząc wzrok na gościa, nieśmiało zaczął:

[— Czy jasny pan graf wie, że ja rodziców jasnego fana pamiętam, jakbym ich wczoraj widział? Pan af ojciec był małego wzrostu, ale taki sobie dumny

*

426

na twarzy, a pani grafini miała takie ręce, co ja zawsze myślał, że to są białe kwiaty... te, co w ogrodzie rosły, i ogrodnik mówił, że nazywają się lii e... może ja źle pamiętam... i ile... hile... takie białe, piękne kwiaty, co bardzo pachną... Pani grafini miała ręce podobne do tych l i l ó w... Niech jasny pan się nie rozgniewa jeszcze, że ja zapytam: czy jasny tatko i jasna mama jeszcze żyją?

Tym razem w uśmiechu hrabiego była gorycz, gdy odpowiedział:

— Gdzież tam, mój Berku! Czyż podobna, abym ja posiadał jeszcze rodziców przy życiu? Te białe lilie, o których mówisz, od dawna już — w ziemi.

Głos mu drgnął, ale hamując wzruszenie, życzliwym głosem zapytał:

— A twoi rodzice? Ojca prawie nie pamiętam, ale matkę przypominam sobie bardzo dobrze. Szczupła, nieduża kobiecjna, spracowana, z twarzą zwiędłą, ale z pięknymi jeszcze oczyma, czarnymi i ognistymi jak płomienie...

Żyd milczał chwilę, po czym zwracając ku podłodze palec suchy i ciemny rzekł z cicha: •

— Te płomienie, co ich jasny pan pamięta, dawno już — w ziemi!

Zegary szemrały: „Tak-tak”, „Tak-tak”, Tak-to--tak-tak”; dwaj ludzie milczeli z duszami zatopionymi w szmerze czasu. Żyd pierwszy obudził się z zamyślenia i przemówił:

— A czemu ja winien tę wielką łaskę Pana Boga, że do mnie takiego starego znajomego przyprowadził?

Hrabia wyjął z kieszeni staroświecki zegarek i położył go na stole. Żyd z przyjemnością wziął go w palce i oglądając z uśmiechem zapytywał:

— A jaka na niego skarga? Czym on zgrzeszył? On późni się? Jasny pan próbował jego naprawiać i nic nie pomogło! Cy, cy! ja już widzę, że z nim niedobrze, on jest bardzo chory. Jego trzeba rozebrać i leczyć...

427.

Hrabiemu oczy błysnęły zza okularów. Zaniepokoił się i ucieszył.

— Czy możesz to zrobić zaraz?

— Czemu nie? Ja będę bardzo kontent, jeżeli jasny pan troszkę u mnie posiedzi i sam będzie widział, że ja temu choremu nic złego nie zrobię. Tylko ja sobie większą lampę zapalę, Bo do takiej roboty przy takiej małej lampie moje oczy za słabe...

Hrabia w coraz lepszym humorze zawołał:

— Dobrze ci, że możesz sobie większą lampę zapalić, a ja nie mam przy sobie tych okularów, których używam do naprawiania zegarków...

— Aj, aj! co to za bieda? U mnie jest kilka par różnych okularów; niech jasny pan dobrać sobie, która będzie najlepsza. Czy jasnego pana oczy tak samo proszą, żeby ich ze służby odpuścić?

— Oj, tak, mój Berku, bardzo nawet proszą... i diabelnie mi to dokucza. Bez okularów ani rusz, a i przez okulary czasem trudno...

Żyd wyjmując z szuflady kilka par okularów zauważył:

— To rychtyg jak mnie. Nasze oczy razem postarzały...

Po paru minutach obydwaj siedzieli pochyleni nad stolikiem, zatopieni w pracy rozbierania zegarka i oglądania różnych jego części. Rogowa oprawa okularów przerzynała liniami ciemnymi ich pomarszczone czoła, policzki, skronie i ginęła nad uszami w siwych włosach. Za wielkimi szklami oczy nabierały coraz większego skupienia, a światło lampy zapalało w nich srebrne połyski. Pracując rozmawiali, ale już tylko o przedmiocie zajęcia swojego, bo w tej chwili wszystko, co nim nie było, uleciało bez śladu z ich pamięci. Czasem milkli i przypatrując się, próbując, majstrując, od wielkiego natężenia uwagi zaczynali oddychać przeciągle i głośno. Czasem zamieniali się urywanymi zdaniami: i — Widzisz, widzisz, ot, gdzie bieda!

428

— Jeżeli ona tu, to my ją stąd wypędzimy! Ale mnie zdaje się, że ona gdzie indziej. Ale czasem zaczynali się sprzeczać.

— Co ty robisz? to nie tak trzeba robić! — niespokojnie mówił hrabia.

Żyd odpowiadał Uspokajająco:

— Niech jasny pan nie lęka się... jasny pan zaraz zobaczy, co z tego będzie...

— Ależ nic z tego nie będzie... tu pociśnij... stamtąd wyjm...

Wtedy Żyd głos podnosił i prawie krzyczał:

— Jasny pan ma omyłkę... tu jest takie delikatne sprężynki, że jasny pan ich nie widzi...

A hrabia także podniesionym głosem wołał:

— A to mi się podoba! Ja miałbym czegokolwiek nie dostrzegać w tym zegarku... Ale zobaczywszy, że Żyd po swojemu, lecz dobrze zrobił, mruczał z cicha:

— A prawda... prawda! miałeś rację!...

Tamten także, już uspokojony, pomrukiwał:

— Kiedy idzie o moją robotę, to ja zawsze mam rację...

Znowu umilkli, przyglądali się, majstrowali, przybliżali ku sobie czoła poprzerzynane zmarszczkami i ciemnymi liniami okularów, mieszały nad stołem ręce zwiędłe z delikatnymi ruchami palców suchych; oddechy ich głośne i przeciągłe łączyły się ze szmerem zegarów, płynących dokoła falą nieustanną.

Wtem z tej fali szmeru suchego i śpiesznego wydobył się głos basowy, bardzo czysty i wydzwaniać zaczął: „Raz, dwa, trzy!” Za czwartym uderzeniem przybiegł mu z wtórem, jak młodzieniaszek mężowi dojrzałemu, cieniutki głosik wiolinowy i wykrzyczał: „Raz, dwa!” A za trzecim uderzeniem swoim dostał wtór głosów innych, którym wnet przybiegły z pomocą jeszcze inne, aż chór cały, zgodnie uderzywszy kilka razy, stopił się znowu do trzech i dwóch głosów, kończących ogłaszać godzinę dziesiątą.

Dwaj ludzie podnieśli znad stołu głowy i opuścili na kolana ręce. Żyd mówił z uśmiechem:

— Nu, jasny pan dobrze zna się na zegarkach... Już ja widzę, że jasny pan ma do zegarków takie upodobanie, jak kiedyś do bystrych koni i pięknych pańienek...

Hrabia wesoło też odpowiedział:

— To prawda, mój Berku, to prawda, że nabrałem tego zamiłowania nie wiedzieć jak i dlaczego. Ot, różne dziwactwa czepiają się starości...

Żyd skrzywił się nieco i z niezadowoleniem zaczął mruzczyć:

— Dziwactwo! jakie to dziwactwo? Dlaczego to ma być dziwactwem? Zegarek - to jest piękna maszyna i temu rozumowi ludzkiemu, co ją wymyślił, honor robi. Czy ona kogo zabija, jak nie tu wspominając, fuzja albo armata? Czy ona kogo truje, tak jak te maszyny, co w wielkich fabrykach różne paskudztwa ludziom w nosy i gęby sypią? Zegarek to dla człowieka przyjaciel; on z nim jest, kiedy wesoło i kiedy smutno, on jemu pokazuje, co trzeba o której porze robić, on gada, kiedy nikt do człowieka nie gada, on jego uczy, że czas płynie i że on na tym czasie, jak na wielkiej rzece, też płynie do ogromnego morza...

Machnął ręką i dokończył:

— Wie jasny pan co? On dla człowieka czasem lepszy przyjaciel jak drugi człowiek, bo on nigdy — nie ąsa! Chi, chi, chi!

Zaśmiał się z cicha, ale hrabia z zamyśleniem słu-chał mowy jego i potakująco wstrząsając głową odpowiedział:

— Rozumną rzecz powiedziałaś: ta gadająca ma-yna jest z człowiekiem, kiedy wesoło i kiedy smutno... Czy wiesz, że ten mój zegarek był ze mną już lwtedy, kiedy to, jak powiadasz, miałem zamiłowanie do bystrych koni i pięknych pańienek...

— Aj, aj! — cmoknął Żyd — taki młody panicz ał już taki drogi zegarek!

Hrabia uśmiechnął się.

— Nigdy nie brakowało mi drogich rzeczy, ale zabrakło nieraz osób drogich... Nigdy nie zapomnę przedśmiertnych godzin mojej matki... Doktor powiedział, że śmierć zbliżać się będzie wtedy, gdy puls słabnąć zacznie, i poszedł spocząć, bo był strasznie znużony i niewyspany. Sam jeden zostałem przy jej łóżku i często, z zegarkiem w jednym ręku, a z jej ręką w drugim, badałem... czy już się zbliża?... Im więcej zbliżała się, tym rzadszym było uderzenie pulsu i zdawało mi się, że tym szybciej posuwa się wskazówka zegarka. Posuwała się, a w tej linii, którą pamiętasz, plus ustawał, ustawał... aż ustał. To, co zbliżało się, przyszło. Na zegarku było pięć minut i trzy sekundy po północy...

Żyd z wilgotnymi oczyma głową trząśł potakująco i zegary na ścianach szemrały chórem: „Tak-tak”, „Tak-to-tak”, „Tak-to-tak”, „Tak-to-tak”.

Otrząsając się ze wzruszenia hrabia zażartował:

— A nie uwierzysz, mój Berku, jaka na niego żywość czasem napada! Kiedy raz kochałem się na zabój w pewnej pani, a mogłem z nią bywać zawsze bardzo krótko, ile razy ukradkiem na niego spojrzałem, złość mię porывała taka, że gdyby tylko

wypadało, byłbym go cisnął o ziemię. W myśli łajałem go: „Nie lećże tak, głupcze! Postój sobie, wypocznij i niech razem z tobą czas się zatrzyma!” Ale on nie słuchał; leciał i szczęście moje... odleciało!...

Żyd z cicha zapytał:

— A czy jasny pan zawsze spał dobrze w nocy?...

Hrabia uczynił ręką gest ironiczny.

— A kiedy jasny pan nie spał, to czy myśli jasnego pana były zawsze wesołe? Nu, ja sam wiem, że one musiały być niewesołe. A kiedy jasny pan leżał w ciemności z niewesołymi myślami w głowie, to on wtedy bardzo pomału szedł?

— Jednak szedł — odpowiedział hrabia — i noce czarne przeciągały...

— A kiedy one przeciągały, wszyscy spali, tylko

431

on jeden do jaśnie pana gadał... A co on gadał? On jasnego pana pocieszał, że ta czarność przejdzie...

— Jak wszystko przechodzi — dokończył hrabia i na parę minut zamyślił się głęboko. Czuł się zdziwionym. Po co on tak długo tu siedzi i tak poufale rozmawia z tym łapserdakiem? Znał go niegdyś! Cóż stąd? Wspólnych wspomnień przecież mieć nie mogą ani w ogóle wspólności żadnej. Nie był dumnym i miał wrodzoną życzliwość dla ludzi; niemniej wiedział, jaka przepaść różnic rozmaitych dzieli go od Berka, niegdyś syna pachciarza, a obecnie zegarmistrza z podrzędnej ulicy miasta. Po prostu różnili się wszystkim i nie było pomiędzy nimi podobień-

■ stwa żadnego. Wszedł tu, aby oddać zegarek do naprawy, i zasiadł na długie godziny. Co więcej, wcale nie chciało mu się odchodzić i prawie niespodziewanie dla samego siebie zapytał:

— Jakże ci się powodziło, mój Berku? Jak powodzi się teraz? Czy masz rodzinę i dostateczne środki do życia?

[Żyd z wyrazem uciechy na twarzy podziękował za te pytania życzliwe i dość obszernie odpowiadać zaczął. Bogatym nie był, kapitałów nie zebrał, ale środki do życia posiadał jakie takie i nędzy nie cierpiał. Pracował jeszcze i zarabiał tyle, ile potrzeba na życie — a wiele mu potrzeba teraz, kiedy jest już sam i ma przy sobie jedną tylko wnuczkę, która go dogląda i także szyciem trochę zarabia? Rodzinę ma liczną, kilkoro dzieci, kilkanaścioro wnuków, ale to Wszystko... Machnął ręką

■ — Wie jasny pan co? Jest taka zagadka i ja bardzo ciekawy, czy jasny pan ją zna, czy nie zna. Jakim sposobem to może być, żeby człowiek miał rodzinę i razem nie miał rodziny?

■ Mówiąc to zatapiał w twarzy hrabiego wzrok badawczy i trochę filuterny.

— Nu, czy pan tę zagadkę zna?

Po ustach hrabiego przewinął się uśmiech ironiczny.

4

— Znam tę zagadkę, Berku, znam bardzo dobrze... Żyd obu dłońmi uderzył się o kolana i z frasunkiem zawołał:

— Aj, po co jasny pan ją zna? Jej lepiej nie znać! Nu, ale kiedy my obydwaj ją znamy, to już ja nie będę jaśnie panu o mojej rodzinie opowiadać. Oni porządne ludzie

i poczciwe ludzie, i niektóre to nawet edukowane i bogate, ale oni nie moje... oni swoje

i świata, nie moje...

Miał kilka córek, ale jedna tylko nie przestawała

nigdy należeć do niego. Kochała go i pielęgnowała, była światłem i rozkoszą jego oczu; ale dawno już jej nie widział i nigdy już nie zobaczy. Spotkały ją w handlu niepowodzenia i nieszczęścia. Z mężem i dziećmi wyjechała do Ameryki, aby szukać lepszego losu... Miewa niekiedy listy od niej, ale co to listy? On jej nigdy nie zobaczy i jest to taki wielki smutek, który można znosić spokojnie i cierpliwie tylko dlatego, że on z Boskiej ręki pochodzi, a z Boskiej ręki trzeba wszystko przyjąć spokojnie i cierpliwie... Co robić?

Żrenice jego, o których hrabia mówił, że były niegdyś błękitne jak turkusy, teraz szare i zamglone, pod czerwoną powieką zaświeciły łzami. Lecz wkrótce otrząsł się ze wzruszenia i wywdzięczając się za życzliwe pytania przemówił nieśmiało:

— Niech jasny pan nie rozgniewa się, że ja zapytam o siostrę jaśnie pana, o tę jasną panienkę hrabiankę, co kiedyś mi, biednego Żydka, na obrazie malowała. Aj, jaka to była śliczna panienka! Ja ją pamiętam. Czemu ja nie mam jej pamiętać, kiedy ja takiej ślicznej panienki nigdy już potem nie widział! To był anioł. Ona była taka piękna i taka dobra i taka sobie cicha i delikatna jak anioł! Ja pamiętam, że jaśnie pan żył z nią w wielkiej przyjaźni. Czemu ja nie mam tego pamiętać, kiedy ja potem takiej przyjaźni już nigdy nie widział. Czy ona żyje? Gdzie ona żyje? Co ona robi? Czy jej dobrze powodzi się?

433



Po chwili milczenia, ze wzrokiem utkwionym w podłogę, hrabia odpowiedział:

— Miałem trzy siostry, ale z tą, o którą pytasz, kochaliśmy się najwięcej. Żyje, powodzi się jej dobrze, ale dawno jej nie widziałem i może nigdy już nie zobaczę. Wyszła za Anglika, mieszka w Anglii; nie przyjeżdża tu nigdy, a mnie, bliskiemu podróży największej, trudno już puszczać się choćby w niewielkie... Ona dla mnie umarła, chociaż żyje... Cóż robić?

Żyd słuchał uważnie i głową trząsł smutnie.

— Jasny pan ma taki smutek jak i ja. I jasny pan prawdziwą rzecz powiedział: ona umarła, choć żyje. Ja tak samo o swojej Małce myślę. Ja myślę, że ludzie różnie umierają: jedne przez chorobę, drugie przez oddalenie, trzecie przez to, że odmieniają się, czwarte... Ale po co ja to jasnemu panu gadam, kiedy jasny pan sam wie...

Machnął ręką i zamilkł, a hrabia, ciągle wpatrując się w podłogę, krótko odpowiedział:

— Wiem.

Obaj umilkli, a dokoła zegary mówiły szmerem nieustannym: „Tak-tak”, „Tak-to-tak”, „Tak-to-tak”, „Tak-tak”, aż nagle wytrysnął ze szmeru głos donośny, na całą izbę wołający: „Ku—ku! Ku—ku!” Hrabia wstał i zbliżywszy się do zegara stanął przed nim. Futro miał rozpięte, bo mu się gorąco zrobiło w dusznej izbie, i na oczach swoje już okulary w złotej oprawie. Z głową podniesioną długo patrzył przez te okulary na zegar staroświecki, aż przemówił:

— Ile żądałbyś za ten zegar?

Żyd siedzący przy stole głowę podniósł i uśmiechając się odpowiedział:

— Co ja mam za niego żądać? ja za niego nic nie żądam.

— Jak to? przecież handlujesz zegarami!

I — Jasny pan powiedział prawdę. Ja zegarami handluję, ale ten zegar do handlu nie należy. Hrabia ze zdziwieniem obrócił się ku niemu.

28 — Orzeszkowa

434

— Dlaczego? To przedmiot mający cenę znaczną. Sam nabyłbym go chętnie.

Żyd wstrząsnął się potakująco.

— Ja wiem, że to jest drogi zegarek i że ja bym za niego dostał dobrą cenę, ale ja jego nie sprzedam. Czy jasny pan słyszał kiedy, żeby przyjaciel sprzedawał przyjaciela?

Hrabia patrzył na mówiącego prawie z osłupieniem.

— Czy być może? — zawołał — nie jesteś przecie bogaczem i jesteś Żydem, a Żydzi tylko grosz cenią!

Żyd z cicha odpowiedział:

— Jasny pan ma omyłkę.

A hrabia trochę ze śmiechem mówił:

— Jakąż ja mam omyłkę? Co ty tak wysoko cenisz w tym zegarku, że sprzedać go nie chcesz? Masz przecie tyle innych! Przez cóż ten może być dla ciebie takim ważnym czy drogim?

Był tak zaciekawionym czy zdziwionym, że usiadł znowu przy stole, na krześle z materacem wklęsłym i poręczą nadłamaną. Żyd zaś powoli mówić zaczął:

— Jeżeli jasny pan posłucha mojego gadania, to ja wszystko opowiem. Prędko już będzie czterdzieści lat, jak ja ten zegar mam. Ja jego za tanie pieniądze kupił i dlatego kupił, żeby za większe sprzedać. Ale wtenczas mój Mosze, który teraz kupcem jest i wielkie interesy ze zbożem prowadzi, był takim małym chłopcem, co do chederu * chodził, ja jeszcze więcej synów nie miał, bardzo lękał się, że Pan Bóg mnie więcej nie da, i bardzo jego kochał. Aj, jakie to było dziecko, ten mój Mosze! Żeby jasny pan jego znał, to sam dziwiłby się, że takie dziecko może na świecie być. A kiedy ja ten zegar kupił, to tego samego dnia mój Mosze powrócił z chederu taki słaby, taki smutny i taki mizerny, że mnie strach wziął, żeby on nie zachorował i żeby mnie Pan Bóg jednego syna nie

• Cheder (hebr.: izba do nauki) — początkowa szkoła żydowska, w której chłopcy od lat 4 do 13 uczyli się języka hebrajskiego oraz tłumaczenia religijnych ksiąg żydowskich, zwykle metodą pamięciową.

43 5

odebrał. Przyszedł mój Mosze z chederu, siadł w kącie, jeść nic nie chce, na ziemię tylko patrzy i mówi, że jego głowa bardzo boli i że on w chederze bardzo zmęczył się, że melamed * bardzo srogi i że on żyć już nie chce. Aj, aj! żeby takie dziecko żyć nie chciało! to jest dziwne, to jest straszne i to jest wielki grzech! Kiedy on to powiedział, ja za głowę schwycił się i jego matka za głowę schwyciła się, a jego siostry zaczęły płakać od tego, że Mosze żyć nie chce i że my sie-dzim trzymając się za głowy i kiwając się z wielkiego żalu... Wtenczas, raptem, ten zegar zakukał. A była wtedy godzina dziesiąta, to on długo kukał, aż dziesięć razy. Za pierwszym razem

Mosze podniósł głowę i zdziwił się, za drugim on już nie na ziemię patrzył, ale na niego, za trzecim razem oczy u niego zaświeciły i on krzyknął: „Aj, aj! tate, co to jest? skąd ty to wziął!” I zaczął śmiać się do zegara, tak jak nie przymierzając człowiek, co jego długo w ciemności trzymają, śmieje się, kiedy zobaczy słońce. Ja bardzo był kontent, że on śmieje się, skoczył na stołek i tę sprężynkę, co jasny pan wie, przycisnął, a jak ja ją przycisnął, to z zegara wyleciał ptak i zaczął skrzydłami łomotać i jeszcze mocniej kukać. Nu, jak on tego ptaka zobaczył, ten mój Mosze, to on już całkiem z kąta wyleciał, starszą siostrę obydwoma rękami porwał i zaczął z nią przed zegarem tańczyć, a jak on ze [starszą siostrą tańczył, to i dwie młodsze, takie maleńkie, że ledwie od ziemi odrosły, schwyciły sife za obydwie ręce i także zaczęły tańczyć. Oni nie tylko tańczyli, ale z wielkiej radości, że takiego pięknego ptaka zobaczyli, śmieli się na całą izbę, a jak oni śmieli się, to i matka, co przy ogniu obiad gotowała, zaczęła śmiać się. Ja ze stołka nie zląził i patrzył, jak oni wszyscy tańczyli i śmieli się. Ptak kukał, a ja przy tym zegarze na stołku stojąc w myślach Panu Bogu dziękował, że Mosze już nie chory i że

•Mełamed — nauczyciel w chederze.

28*

436

on już żyć chce, i że w moim domu taki wielki smutek przemienił się w taką wielką wesołość.

Musiała to być istotnie wesołość wielka, bo jeszcze teraz, po latach czterdziestu odblask jej padł na gęste zmarszczki jego twarzy, a echo ozwało się w śmiechu cichym i przeciągłym. Rozweselony, z oczyma błyszczącymi i rękoma rozłożonymi, mówił dalej:

— Nu, czy ja mógł wtenczas ten zegar sprzedać, kiedy mnie Pan Bóg przez niego swoją łaskę okazał? Ja jego troszkę bał się sprzedawać, żeby swego szczęścia od siebie nie odwrócić, a troszkę żałował dzieci, dla których ten ptak, co w nim śpiewa, był całą zabawą i taką radością, że jak on zaczynał kukać, to oni zaraz zaczynali przed nim tańczyć... Kupców ja na niego miał, ale zawsze myślał sobie: „Niech to będzie potem! Niech on sobie jeszcze trochę u nas pobędzie!” Aż Pan Bóg na mnie ciężką chorobę przysłał...

Odetchnął głęboko, oczy wzniosł ku sufitowi i mówił dalej:

— Kiedy Pan Bóg na mnie tę chorobę przysłał, to ja może przez cały miesiąc ani jednej nocy nie spał. Czy jasny pan wie, co to jest, kiedy człowiek mający we wnętrzościach wielkie bóleści, a w głowie czarne myśli, przez całą noc leży z otwartymi oczyma i w ciemność patrzy? Ja w tej ciemności wiele rzeczy widział, co ich żeby żaden dobry człowiek nigdy nie widział! Ja widział swoją śmierć i swoje dzieci, co beze mnie w wielkiej nędzy będą, i swoje grzechy, którymi Pana Boga obraził, i wielki strach, co mnie za nich na tamym świecie czeka... A kiedy ja tak leżał i na takie rzeczy otwartymi oczami patrzył, to jak tylko w tym zegarze ten ptak zakuka, zaraz te obrazy co w ciemności zawieszono, zmieniają się na inne. Czy jasny pan domyśli się, co ja wtedy widział w ciemności, jak ten ptak kukał? Ja wtedy widział Stru-mienicę i samego siebie, jak przy płocie od dziedzińca stoję i patrzę sobie na ten las, co tam zaraz za dworem był... Aj, jakie piękne lato! Ten ogród, co

43 7.

na nim biały pałac odbija się taki zielony i od niego bardzo przyjemne zapachy przylatują... Nad pałacem, na takim wysokim drzewie, taki wielki ptak, z długim dziobem, stoi na takim wielkim gnieździe i żabami, co ich z łąki przyniósł, swoje dzieci karmi... a w tym lesie, co ja na niego patrzę, takim zielonym, drugi ptak kuka... całkiem tak kuka, jak ten zegar... To ja na te obrazy patrzył, śmiał się do nich jak dziecko, kiedy jemu pokażą cacko, i dziękował Panu Bogu, że mnie dał taką nieżywą rzecz, co mnie na ciemnościach maluje takie światłości...

Umilkł i dość długo siedział z dłońmi złożonymi na kolanach i z głową zwieszoną. Hrabia, z czołem na | dłoni, uważny i zasłuchany, milczał także, a obie I głowy ich, siwe i pochylone, oblewał dokoła szmer (czasu potakujący, nieustanny: „Tak-tak”, „Tak-to-

I tak”, „Tak-to-tak”, „Tak-to-tak”.

[[Po chwili ze szmeru tego wyłonił się znowu głos Żyda zniżony, prawie szepczący: ' — Ja by jaśnie panu przez cały tydzień opowiadał różne rzeczy o tym zegarze i jeszcze bym wszystkich nie opowiedział. Ale jedną jeszcze opowiem. Niech jasny pan jeszcze tej jednej rzeczy cierpliwie

II posłucha.

f Opowiedział, że kiedy jego najmilsza Małka do i-Ameryki wyjeżdżała, on nie przeprowadzał jej na dworzec kolei, ponieważ czuł, że nie powstrzyma się od płaczu, a nie chciał, aby ludzie litowali się nad jego starymi oczyma, które jeszcze tak płakać muszą. Więc córka i dzieci jej pożegnały go tu, w tej samej izbie, i poszły sobie, a on jak nieżywy siadł na ziemi w kącie, ot, w tym kącie, i schwyciwszy się obydwoma rękoma za głowę, kiwał się i płakał) i ję-, czał do Pana Boga, za co On na niego takie wielkie nieszczęście przysłał. Lecz nagle on sobie pomyślał, że tu słyhać ten świst taki długi i ostry, z którym Pociągi oddalają się od dworca, i zachciało się mu ogromnie ten świst usłyszeć. „Niech ja jego posły-

438

szę — myślał — niech ja wiem, kiedy moja Małka i jej dzieci już tu przestaną być, kiedy oni dla mnie całkiem przepadną..." Wiedział, o której godzinie i minucie ten świst rozlega się zazwyczaj, i siedząc w kącie na ziemi, z głową w rękach, zaczął patrzeć na zegarek, na ten zegarek z ptakiem. Patrzył i myślał: za kwadrans, za dziesięć minut, za pięć za trzy minuty... Wtem rozległ się świst długi i taki ostry, że całkiem przeszył mu serce. Już jego Małka przestała tu być, już ona, choć żyje, dla niego umarła...

— Czy jasny pan uwierzy? Ja pamiętam, że było wtedy dwadzieścia trzy minuty po dziesiątej...

Hrabia wstał zamyślony.

— Mój Berku — rzekł — rozumiem dobrze, dlaczego nie chcesz sprzedać tego zegara. Czytasz ty na nim, tak jak ja na swoim — przeszłość.

Żyd głową potrząsnął z zadowoleniem wielkim.

— Jasny pan prawdę powiedział. Jasny pan na swoim zegarku, tak samo jak ja na swoim — czyta przeszłość. Ją każdy ma.

Stali teraz naprzeciw siebie, bliscy już rozstania, lecz ociągający się z pożegnaniem, czując kowala niewidzialnego, który kuł pomiędzy nimi ogniwa niespodziane, a dokoła postaci ich przygarbionych i zwątlonych fala czasu płynęła ze szmerem

nieustannym, stukotliwym: „Tak-tak”, „Tak-to-tak”. „Tak-to-tak”, „Tak-tak”. Hrabia usiadł znowu i nawet rozsiadł się na krześle jak do gawędy długiej, a ze szmeru napełniającego izbę wydobył się głos basowy, bardzo czysty i wydzwaniać zaczął: „Raz, dwa, trzy!” Za czwartym uderzeniem przybiegł mu z wtórem, jak młodzieniaszek mężowi dojrzałemu, cieniutki głosik wiolinowy i wykrzyczał: „Raz, dwa!” A za trzecim uderzeniem swoim dostał wtór głosów innych, którym wnet z pomocą przybiegły jeszcze inne, aż cały chór, zgodnie uderzywszy kilka razy, stopił się znowu do trzech i do dwóch głosów, kończących ogłaszać godzinę jedenastą.

439

Kilka miesięcy upłynęło. Wiosna była wczesna jeszcze, pogodna, słoneczna. Stary Berek wyszedł z izby napełnionej wiecznym szmerem zegarów i przed drzwiami stanął na dwu wschodkach, które rozdzielały je z chodnikiem. Wnet oblało go światło słoneczne, na którego tle złotym uwypukliła się postać jego, mała, wątła, trochę przygarbiona, w odzieniu długim i wyszarzanym, w czapce spłaszczonej, z wykrzywionym daszkiem. Pod daszkiem czapki uwypukliła się także w złotym blasku twarz okrągła, zwiędła, z małymi rumieńcami na policzkach pomarszczonych, w okularach, których rogowa oprawa przerzynała czarnymi liniami czoło, skronie i gubiła się za uszema we włosach siwych. Siwa broda połyskiwała na piersi jak kądziel z wyprzedzonego srebra.

Stał w świetle i ciepłe słonecznym, rozgrzany, rozweselony, spoglądający przez wielkie szkła okularów na ulicę wąską, pełną światła, ustrojoną u góry w pas błękitnego nieba. Godzina była południowa, ludność miejska ruszała się żwawo; z ulic pobliskich, od tej ludniej szych, dochodził dobrze znany gwar i turkot, w którym ucho Żyda niebawem rozróżniać i zaczęło odgłos mniej zwyczajny. Był to śpiew basowy, to wzdymający się, to milknący, to znowu płynący w gwarze gminnym nutą uroczystą. Berek wsłuchiwał się przez chwilę, po czym głową kiwnął i w znak, że zrozumiał znaczenie tego śpiewu. Orszak pogrzebowy przeciągał niedaleko i wciąż się przybliżał. Na wąskiej ulicy zrobił się ruch taki, jaki bywa zazwyczaj, gdy ludność śpieszy do oglądania rzeczy ciekawej. Na chodnikach zatętniały stopy śpieszące, zaszumiał gwar głosów podniesionych. Berko spokojnie stał na dwu wschodkach wznoszących się nad chodnikiem i patrzył w stronę, od której przybliżał się śpiew uroczysty. Przestrzeń paruset kroków dzieliła go od końca ulicy, za którym przeciągały zazwy-

440

czaj pochody żałobne. Ten także ukazał się wkrótce. Zza wysokiej ściany kamienicy wysunęło się naprzód kilka postaci w bieli, czarny krzyż wzniosł się w złotym powietrzu, chorągwie powiały czerwienią i szafirem i pochodnie zapalone błysnęły łańcuchem płomieni żółtych, martwych, smutnych. Śpiew żałobny wzdał się i połączył z turkotem kół powolnym i głuchym. Zaczerniały grube kiry. Wóz pogrzebowy, zaprzężony sześciu końmi i otoczony ludźmi okapturzonymi żałobą, wiózł na szczycie trumnę ociekającą srebrem. Potem znowu, przy z wolna oddalającym się śpiewie, chorągwie, pochodnie i za wozem wspaniałym długi szereg par ludzkich postępujących powoli, w żałobie grubej, ale strojnej. Ciężkie suknie wlokące się po bruku ulicznym, kropy czarne, ściekające od głów aż do ziemi, przepaski czarne na błyszczących kapeluszach. męskich, w rękach ociągniętych

czernią książki z modlitwami, jaśniejące na oprawach kością słoniową i złotem. Takich par szereg długi ciągnął pośród dwu rzędów pochodni zapalonych i dwu sznurów ludności tłum-liwej, cisnącej się na chodnikach i brzegach ulicy. Był to jeden z najwspanialszych i najbogatszych pogrzebów, jakie w tym mieście odbywały się kiedykolwiek.

Przez duże szkła okularów i perspektywę wąskiej ulicy Berek spokojnie patrzył na orszak przeciągający i czasem tylko w zamyśleniu potrząsał głową. Lecz gdy parę wyrazów wypadło z tłumy ulicznego i o słuch jego potrafiło, drgnął, wyprostował się i zaczął zapytywać, sam nie wiedząc kogo.

— Vos? vos? wer? * Kto taki? graf! jaki graf? co to jest? kto to umarł? czyj to pogrzeb?

Z tymi pytaniami tłoczącymi się na wargi bezkrwi-ste znalazł się na chodniku i przechodniowi jakiemuś zagroził drogę.

— No, cóż? Nie zatrzymuj mię, Żydzie! Czyj to

• W o s?... Wer? (jęz- żyd.) — co? kto?

441

pogrzeb? Hrabiego Strumienieckiego pogrzeb! Więc cóż? czego trzymasz mię jeszcze za połę? Którego Strumienieckiego? Ojca... ojca, starego hrabiego Ksawerego... Puszczajże, bo mi pilno!

Puścił połę przechodnia, głowę w tył przechylił i patrząc na błękitny pasek nieba mówił, prawie krzyczał:

— Aj! aj! on umarł? pan graf Ksawery umarł? Jak' to może być? Dlaczego on umarł? on był całkiem zdrów, kiedy do mnie przychodził! On kiedyś taki młody był i taki piękny, i taki wesoły, a teraz on umarł? Skąd to wzięło się, że on umarł?

Przechodnie śpieszący dla ujrzenia pogrzebu wspaniałego potracali go i ze zdziwieniem oglądali się na starca, który przez wielkie okulary patrząc w same niebo, ze sterczącą brodą srebrną, zawodził lament brzmiący zapytaniami. Zapytywał nie wiedzieć o co i nie wiedzieć kogo. Ktoś rozmachliwie idący odtrącił go aż pod ścianę domu; parę żydowskich podrostków przebiegając krzyknęło: „Sieh! sieh! a myszugenier!” *. Ale wszystko to nie trwało długo, bo stary Żyd, porwany jakąś nieprzemogłą siłą, począł biec, jak tylko mógł, w stronę, w którą pociągnął orszak żałobny. Ciemnymi rękoma zgarniając dokoła nóg odzież długą, biegł z chodnika na chodnik, z ulicy w ulicę, przygarbiony, z żyłastą szyją wyciągniętą naprzód, ze sterczącą kądzielą srebrnej brody. Spieszył ogromnie. O niczym nie myślał, tylko o do-ędzeniu orszaku pogrzebowego; innej chęci nie czuł, tylko tę jedną. Orszak posuwał się powoli, do-ędzić go nie było bardzo trudno. Berek wkrótce wpadł w jego szeregi ostatnie, ale się tym nie zadowolnił. Biegł jeszcze, zręcznie prześlizgiwał się wśród tłumy, gdzie ten najgęstszym był, robił nawet pięścią, aż znalazł się obok pań i panów idących pa-ami za trumną. Krewni zmarłego bliscy i dalecy, przyjaciele rodziny, znajomi najbliżsi, starzy i mło-

"Sieh! Sieh! a myszugenier! (jęz. żyd.) — Patrz! Patrat wariat!

442

dzi, wysocy i niscy, piękni i szpetni, lecz wszyscy wytworni, w żałobie grubej, nieco sztywni w pozorach nastroju uroczystego. Ciężkie suknie kobiece wlekące się po bruku, krepy czarne spływające od głów aż do ziemi, przepaski czarne na

błyszczących kapeluszach męskich, modlitewniki błyszczące od złota w rękach ociągniętych czernią, splecionych nabożnie. Za nimi turkot nieprzejrzanego szeregu powozów i tupot po bruku szarej masy pospólstwa trzymanej w oddaleniu. Na chodnikach, z dwu stron wozu obleczonego kirem i szeregu par ubranych w żałobę, słały się dwa szlaki bruku ulicznego, puste i oblane blaskiem słońca. Berko zwolnił kroku i zaczął iść po jednym z tych pasów, równoległe ze sznurem pań i panów. Oni szli równo i uroczyście; on dreptał i czasem potykał się o kamienie. Na tle ich sukien czarnych jego wyszarzana odzież wyglądała jak łachman uwiedły w rynsztoku. Na czapce spłaszczonej nie miał przepaski krepowej, a spod daszka wykrzywionego widać było czarne linie okularów przerzynające pomarszczoną skórę czoła i skroni. Wyglądał jak kropla, która wytrysnęła z szarej masy trzymanej w oddaleniu i upadła tuż za trumną ociekającą srebrem, obok kirów ciężkich i wytwornych.

Ale szedł. Może zwracano na niego uwagę i dziwiono się, skąd się wziął i czego idzie, ale on szedł. Na czele orszaku, w powietrzu promiennym wznosiły się wysoko ciemne linie krzyża i brzmiał uroczyście żałobny śpiew kościelny; on jednak szedł.

Wkrótce zaczął sam myśleć:

„Nu, skąd ja tu wziął się? czego ja leciał jak szalony? czego ja idę?”

Ale szedł. Dopóki biegł i przebijał się przez tłumy, nie myślał o niczym, party uczuciem, które było siłą pociągu instynktową, niejasną, lecz niezmożoną. Teraz począł myśleć i dziwić się samemu sobie i temu, za którego trumną dreptał obok krewnych i przyjaciół najbliższych, potykając się o kamienie.

„Nu, czego on wtedy siedział u mnie kilka godzin,

443

prawie całą noc? Czego on ze mną rozmawiał jak z bratem? Czego ja za tym wozem leciał, jak dowiedział się, że to on na nim jedzie? czego ja teraz za nim idę?”

Tak myślał, dziwił się coraz więcej i jemu, i sobie, ale szedł.

Za miastem stało się przestronnie, promiennie, czysto, świeżo. Pola z zieloną runią rozłożyły się ze stron obu, młode brzozy zasrebrzyły się kosą białą i zaszemrały kaskadami listków młodych; wiatry lekkie latały w złotym powietrzu, roznosząc wonie ziół dobywających się z ziemi, rzeka błysnęła w pobliżu błękitem tak gorącym, że zza wzgórz falujących wydawała się spadłymi na ziemię kawałkami nieba.

Berek od bardzo dawna już nie opuszczał miasta, a teraz, gdy tylko je opuścił, powiało nań — Stru-mienicą. Wiatr, brzozy, promienie rozsiane w powietrzu szeptały mu w oba uszy: Strumienica! Stru-mienica! Sto! przy płocie dziedzińca, patrzy na takie same brzozy, na taki sam kawałek wody błękitnej i słucha, jak ptak w lesie kuka...

Oczy wlepił w trumnę ociekającą srebrem.

— To był początek twój i mój...

Przez bramę na oścież otwartą orszak wszedł na cmentarz i wśród mogił usianych fiołkami rozsypał się po lesie grobowców i krzyży. Wtedy Berek, uderzony wielkim strwożeniem, przystanął, a gdy fala ludzka przepłynęła, pozostał samotnym.

Cmentarz był pełen drzew; stary Zyd wsunął się pomiędzy brzozy i z głową zwieszoną, z palcami rozpostartymi u rąk obwisłych, błędził przez chwilę pod ich gałęzmi płaczącymi, myśląc, nawet mrużąc półgłosem:

— Nu, czego ja tu przyszedł? skąd ja tu wziął się? czego ja tu wlaźł?
Ale nie odchodził i czuł, że pomiędzy nim a trumną spuszczaną do ziemi kował niewidzialny kuł ogniwa niespodziane.

444

U przeciwnego końca cmentarza stała pstra masa ludzi, wzbijały się śpiewy uroczyste, promieniał krzyż na grobowcu wysokim. Żyd ze spuszczoną głową dreptał pośród brzóz i rozmawiał z samym sobą... Brama cmentarza była ciągle otwartą na oścież, ale on nie odchodził: nawet usiadł pod brzozami...

Pod brzozami płaczącymi ulewą drobnych liści, wśród pni białych, nad mogiłą nakrapianą fiołkami, szarzała postać starego Żyda, przysiadła do ziemi, w czapce spłaszczonej, w wielkich okularach z rogową oprawą, ze srebrną kądzielą na piersi. Cmentarz staczał się po wysokim wzgórzu nad rzekę, za którą leżały pola zielone i piaski żółte. Żyd wyciągnął szyję i patrzył na piaski.

— Co to jest? — zamruczał — co to ma znaczyć? czy to on? ja nie wiedział, że jego stąd można widzieć!

Na żółtych piaskach majaczyło miejsce jedno, obwiedzione murem niskim i napełnione kamieniami sterczącymi. Nie było tam, tak jak tutaj, ani drzew, ani grobowców, nic, tylko mnóstwo kamieni sterczących, w blasku słońca czerwonych, i dokoła żółte piaski. Cmentarz żydowski.

Berek oparł łokieć na kolanie, twarz na dłoni i kiwał się powoli to w tył, to naprzód, w takt kowadła, które pomiędzy nim a trumną zasypywaną piaskiem kuło ogniwa niewidzialne. Z cicha mówił:

— Tu jest koniec twój i mój!

Przestał mrużyć, ale siedział jeszcze pod brzozami, szary w zieloności otaczającej, wśród świegotu ptastwa, nad mogiłą nakrapianą fiołkami.

A dwa cmentarze, jeden cały w drzewach i krzyżach, drugi ze sterczącymi kamieniami na piaskach żółtych, jedno wspólne niebo skuwało ogniwem wysokim i szerokim.

Leciał wiatr światem, ciekawy, niespokojny, słuchał gwarzeń, opowiadań wód, zbóż, kwiatów polnych, drzew przydrożnych i — szumiał. Szumiał

o wszystkim, co widział, co słyszał na szerokim, wielkim, na przedziwnym świecie, i leciał, aż przyleciał do krainy w wody, trawy i drzewa bogatej, która nazywa się Polesie litewskie.

Hej, przestworza wolinę, przestworza rozłożyste wiatrowi prędkiemu, na równinach, co skraje niebios dokoła podpierają, bez przeszkód, bez zasłon. Nie uderzy się tu wiatr prędko o żadną górę ani o żaden pagórek, nie powstrzyma lotu jego żadne wysokie miasto i chyba tylko las przed nim stanie z obliczem ciemnym i nad łąkami bezkreśnymi, nad rozlanymi po nich wodami zaszepcze słowo: tajemnica!

Ale dla wiatru las tajemnic nie ma. Są to dwaj przyjaciele. Przenika wiatr leśne gęstwiny od skraju do skraju i one mu wszystko, co widziały, słyszały, opowiadają. Przenikają się wzajemnie i w noc gwiazdziste, w dzień od'śniegu białe, w wieczory jesienne od chmur posępne, od deszczu szemrzące wiedzą ze sobą długie przyjaciół rozmowy.

Leciał tedy wiatr nad Polesiem, gdy letnie słońce miało się ku zachodowi i w blasku jego smółki na łąkach stały zarumienione jak zorze, a wody oblekały się w barwy

tęczowe. Na wodach w szyby wie-loramienne, w strugi leniwe rozlanych, jaśniały fiolet, purpura i złoto, a nad nimi w powietrzu rozpościerała się cisza błękitna, głęboka.

Wiatr ciszy nie mącił, albowiem nie był z wiatrów takich, co grzmią i huczą, wstrząsają i obalają, ale z takich, co kochają świat. Latał po świecie, ażeby zbierać jego prawdy i baśnie, minione dzieje, wyro-nione jęki, echa staczanych walk, ażeby zbierać pyłki jego nadziei, żuźle jego żalów, tony jego pieśni

1 nieść je w przestrzeń, w dal, w czas, w pamięcie, w serca...

Przeleciał wiatr prędko nad łąkami rozległymi, łagodną pieszczotą muskając w locie\rumiane smółki

447

i czerwone szczawie, łagodną swawolą w drobne fale marszcząc tęczowe wód powierzchnie, aż rozwinęła się przed nim wstęga wody wcale niż tamte innej, cicho stojącej w korycie rękoma ludzkimi wyżłobionym.

Wiedział wiatr, co to za woda i jak się nazywa. Przed połową stulecia tu był i wiedział, że jest to Kanał Królewski. Hej, hej, ten pasek wody blado-błękitnej, sennej, jakaż mu to przeszkoda!

Zanim motyl zdołał wzbić się z przybrzeżnej trawy na szczyt situ, u którego zwinął do snu pozłacane skrzydła, wiatr przeleciał nad Królewskim Kanałem i oko w oko spotkał się z roztoczonym jak wzrokiem sięgnąć, wysokopiennym, cienistym, przezroczystym lasem. Odkąd tu był, pół stulecia upłynęło, jednak poznał przyjaciela.

— Jak się masz? — zadmuchał wesoło.

Las w odpowiedź zaszumiał:

— Witaj, miły latawcze!

I wleciał wiatr do lasu uradowany, zwinny, przelatywał wśród świerków, brzoź, olch, dębów, ramionami owijając pnie starych przyjaciół i skrzydłami na ich konarach składając pocałunki przywita-lne.

— Jak się macie? — szemrał i szeptał. — Coście przez czas ten widziały, słyszały? Co się tu u was, dokoła was, działo, stawało?

A stare świerki, dęby, brzozy rozłożyste, ramionami powiewając, odpowiadały:

r — Działy się tu i stawały rzeczy dziwne, rzeczy głośnie, dzwoniące, płaczące, rozlegające się krzykami, jękami...

i — Co, co, co się działo? Jakie, jakie, jakie rzeczy? — z szybkością niezmierną szumiał, pytał wiatr, gdyż po to tylko istniał, aby dzieje ziemskie zbierać i po ziemi je roznosić albo nawet niekiedy pod samo niebo wznosić i niebu pokazywać.

Po lesie błąkały się światła zachodzącego słońca, W szerokie, złote pasy ubierając pnie drzew starych,

448

na mchach i paprociach migocząc mnóstwem iskier, w rozkwitłych różach dzikich zapalając rubinowe serca.

Róż dzikich, traw, paproci pełną była polana bardzo rozległa, wyniosłymi drzewami zewsząd otoczona, na którą wiatr wleciał i wnet po niej uwijać się począł z szybkością nadzwyczajną, wznosząc się i opadając, biadając, szukając, na różne tony szu-miąc:

— Co się tu działo? Co się tu, na tej polanie działo? Coś osobliwego, coś niecodziennego dziać się tu musiało: Czuję krew! O! długo, przedługo ziemia wydaje z siebie woń krwi swych dzieci, ludzi! Słyszę jęki! O, długo, przedługo powietrze trzyma pod obliczem nieba jęki dzieci jego, ludzi! Tu był bój jakiś i tu były zgony! Tu były rany, tętenty koni, krzyki! Mówcie, drzewa kochane, opowiadajcie, mówcie! Drzewa milczały, tylko po ich gałęziach przebiegł dreszcz lekki, krótki, jakby z zimna nagłego powstały, co dziwnym było w ten ciepły dzień letni. A właśnie w tej chwili wiatr z gwałtownością u niego niezwykłą, z szumem namiętym zapytywać począł:

— A toż co? A to co jest takiego? Tego natura nie uczyniła! To uczyniły ręce ludzkie! Tu nigdzie natura pagórków nie usypywała! Ten usypany jest przez ludzi! Kto? po co? dlaczego? A tenże krzyżyk na pagórku, wśród liliowych dzwonek, Boże, jak mały, prosty, biedny! — co znaczy? Mówcie, drzewa, o mówcie, błagam! Wtedy dąb wyniosły i silny, któremu kępa zwisających w dół gałęzi czyniła brodę długą, brzoza wysmukła i cała w długich, ku zjemi opadających warkoczach, świerk wyprostowany, w hełmie z iglicą strzelistą na szczycie, odpowiedzieli chórem przyciszonym szumów:

— To jest mogiła!

449

— Taka wielka, taka wielka, taka wielka mogiła! — zadziwił się Wiatr. Brzoza westchnęła:

— A krzyżyk tak mały!

A dąb zagadał:

— Śpi w niej wiele serc mężnych, spalonych na ołtarzu...

— Wiele serc, a krzyżyk jeden — zadziwił się znowu wiatr.

A brzoza znowu westchnęła:

— I taki mały, biedny!

Wyprostowany świerk potrząsnął hełmem zdobnym w strzelistą iglicę i przemówił:

— Jam najwyższy w tym lesie, najdalej widzę, wiem: są na ziemi bohaterzy wieńczeni i niewieńcze-ni, mający pomniki i ich nie mający.

Nabożnie wiatr wyszeptał pytanie:

— Jestże to mogiła bohaterów?

— Bezimiennych — odpowiedział świerk.

A dzwonki liliowe, gęsto dokoła krzyżyka rosnące, cicho zadzwoniły:

— Pomarłych młodo, młodo...

— Iw mękach — szepnęła róża z szczytu pagórka rosnąca, przy czym od rubinowego serca swego oderwała płatek jeden i na pagórek go rzuciła.

Upadł płatek, do motyla podoimy, na trawy wysokie, a róża westchnęła:

— Ja jedna kwiaty na tę mogiłę rzucam. Co lato, od półstulecia prawie, rzucam na nią wonne płatki moje, ja jedna!

To znowu odezwały się dzwonki liliowe:

— A my dzwonimy pacierz żałobny. Co lato, od półstulecia prawie, wydzwaniamy nad tą mogiłą pacierz żałobny... my jedne!

Wtedy wiatr prędki położył się na pagórku mogilnym, znieruchomiał. Ludzie widzieć by go nie mogli, lecz drzewa, trawy, kwiaty widziały.

Ciało jego przezroczyste, powiewne, z kryształu i szronu utkane wydłużyło się na pagórku w skrę-

29 — Orzeszkowa

450

tach wężowych i tysiącem złotych odbić zaświeciły w nim blaski zachodzącego słońca. Świeciły i migotały błyszczące odbicia te w skrzydłach jego ogromnych, które jak fale płynnego kryształu opadły na trawy polany, we włosach jego, które jak pajęczna tkań ze szronu rozpostarły się nad polaną, w ramionach jego, które jak kryształowe kolumny wznosiły się ku drzewom, gdy w powietrzu płynęło szemranie błagalne, ciche.

— Mówcie, o, starzy wiatru prędkiego przyjaciele! Wy, co przez wieki mieszkacie w świątyni dumania i czołami niebotycznymi podpieracie stropy samotni nieskończonych, zamyśleni świadkowie dziejów ziemi, tysiącustni, a milczący stróże mogił leśnych, bezimiennych, zapomnianych, nieuczczonych, wyśpiewajcie mi o tej mogile strofę życia i strofę śmierci, abym mógł unieść ją pod niebo i pokazać niebu, a potem nieść nad ziemią w przestrzeń, w dal, w czas, w pamięć, w serca...

Ostatni rąbek tarczy słonecznej za skraj ziemi zasunął się i zniknął. Natomiast zorza wieczorna w purpurze i płomieniach podniosła się za lasem i las napełniła światłami pożogi. W powietrzu, pomiędzy liśćmi drzew, na krzakach i trawach rozsypały się okruchy świetlnej łuny niebieskiej, mające czerwoność i ognistość płonących kropeł krwi.

Stary, potężny dąb, pałającymi kroplami krwi na gałęzistej brodzie świecąc, rozwarł szerokie ramiona, powiał nimi w powietrzu i tak szumieć zaczął:

— Przyszli tu w kilkuset ludzi i rozłożyli się obozem gwarnym, tłumnym, pstrym od odzieży rozmaitej, pobłyskującym orężem różnym.

Jedną tylko część odzieży mieli jednostajną: czapki ' czworokątne barwy amarantusów albo polnych chabrów i jedną cechę wspólną wszystkim: młodość.

Samo lato życia, lato gorące, kwitnące patrzyło z ich

451

twarzy, jeszcze znojem trudów i walk nie dotkniętych, jaśniało w oczach po brzegi pełnych zapału i nadziei. Rozłożyli się obozem, zbudowali ze splecionych gałęzi namiotów kilka: dla wodza, dla co lepszych koni, dla przyszłych rannych; u rozpalonego ogniska zgotowali sobie posiłek wieczorny i gdy roboty były już skończone, a na niebo nad lasem wzeszły gwiazdy, wzbili ku niebu i ku gwiazdom chór silnych głosów śpiewających hymn skargi, ufności i prośby. Hymnu tego my, drzewa, słuchałyśmy zdumione, wtórując mu szeptem ciekawości pełnym: „Co to będzie, co to będzie?”

Wodzem ich był człowiek świętego imienia, które brzmiało: Romuald Traugutt. Pytasz, dlaczego świętym jest to imię? Albowiem według przykazania Pana opuścił on żonę i dzieci, dostatki i spokój, wszystko, co pieści, wszystko, co raduje i jest życia pełną, czarem, skarbem, szczęściem, a wzięwszy na ramiona krzyż narodu swego poszedł za idącym ziemią tą słupem ognistym i w nim zgorzał. Nie tutaj zgorzał. Nie w tej mogile śpi. Kędyś daleko. Ale wówczas na czele hufcu tego na tę polaną przyszedł i patrzyłyśmy na niego my, drzewa.

Po razy wiele w czasach dalekich spod głazu niewoli, który tę ziemię tłoczył, wzbijał

się był słupek ognisty ku obiecanej krainie wolności wiodący i gromady ludzi za nim szły. Wzbił się i teraz, gromady ludzi za nim poszły, ta była jedną z nich, a on jej przywoził. Widziałyśmy jego czarnowłosą głowę z oczyma myśliciela i uśmiechem dziecka. Oczy miał mądre, smutne — podobno bratem bliźniaczym mądrości bywa u ludzi smutek — a uśmiech świeży, perłowy, z kroplą słodczy dziecięcej albo niewieściej. Przez czoło śniade palec tragicznych -przeznaczeń wcześniej przeciągnął mu zmarszczkę surową, niekiedy aż groźną.

I głos jego słyszałyśmy z brzmieniem jak stal dzwoniącym, rozkazującym, niekiedy aż groźnym.

452

Tak grzmieć musiał w wąwozie termopilskim głos Leonidasa.

Skąd wiemy o Leonidase? Pra-pra-ojcom naszym opowiadały o nim pra-pra-ojce wiatrów prędkich i nikt nie zgadnie, kędy, jak, kiedy o rzeczach wielkich i o rzeczach wiecznych rozpowiadają wiatry drzewom, drzewa chmurom, chmury gwiazdom, gwiazdy duchom, a baśnie i pieśni, wieści i powieści płyną jak świat szeroko i jak wieczność długo...

Czy Leonidas wiedział, że gdy wąwóz termopilski trupami hufca swojego zasypie, stopa niewoli ziemi greckiej nie dosięże! Jeżeli wiedział, błogo mu było uścielać te krwawą zaporę i jako pieczęć składać na niej siebie!

Ten nie wiedział. W orężnych sprawach ludzkich biegłym był, biegłość ta w dalekowidztwo wzrok mu zaostrzała, spostrzegał wyłaniającą się zza dnia ofiar i boju potworną czarną noc. Jednak szedł i prowadziły bo taką była moc słupa ognistego, który wówczas nad ziemię wzbił się, taką tęsknota za obiecana krainą wolności i takim był krzyż narodu jego, ciężki, nieznośny...

Ale nie o nim teraz opowiadać będę. O nim potem, długo. Długą być winna powieść o mężu wielkim, który po sobie zostawił imię głośnie.

Teraz o jednym z bezimiennych, z najmniejszych, z najmłodszych, o tym, nad którego głową niemal chłopięcą ręką niewieścia ten mały krzyżyk zasadziła.

Piękny maj był na świecie, kiedy tu przyszli. Konwalie kwitły obficie jak nigdy, niedaleko stąd nad błękitną strugą w kalinowych krzakach śpiewał słowik. Zielono było na tej polanie od młodych traw i paproci, kwiecisto od konwalij i róż dzikich, wonno, złoto i ciepło od wiosny. Gdy oni przyszli, uczyniło się na niej szumnie, dumnie i wesoło. Tak, tak, wesoło.

Nie niewolnicy to byli na arkanie przemocy do boju ciągnięci, lecz dobrowolni ofiarnicy wysokich oł-

453

tarzy. Ze światłem idei w głowach, z ogniem miłości w sercach, głowy i serca nieśli wysoko. Byli silni,

śmieli, gwarni i czy uwierzysz, wietrze prędkie? _

byli szczęśliwi. Zapewne uwierzysz, bo wiedzieć o tym musisz, że na Gwieździe, która nazywa się Ziemią, dusze ludzkie i szczęścia ludzkie istnieją w mnóstwie odmian i że jak motyl na kwiat wybrany dusza ludzka zlatuje zazwyczaj na tę odmianę szczęścia, która najwięcej do niej samej jest podobną. Ich duszę przyciągnęło ku sobie to szczęście, co rozkwita na wysokich górach i na kielich purpurowy, a koronę uplecioną z cierni.

Nie tylko przyszli, lecz także i przyjechali. Grzmiała ziemia od biegu osiodłanych koni i powietrze iskrzyło się od błysków obnażonych szabel, ilekroć stalowy głos wodza zawołał: E — Jazda!

Na czele jazdy wybór wodza postawił młodzieńca

O postawie wyniosłej i czarnym, iskrzącym się oku. Młody Herkules z kształtów, Scypio rzymski z rysów. Rodzinny dom jego stał niezbyt stąd daleko od dław do szczytu opleciony bluszczem, otoczony gę-twiną drzew odwiecznych, rozłogiem pól żyznych. Spod zielonych bluszczów wyszedł, tutaj przybył

1 z posłuszeństwem dziecka, z pośpiechem kochanka biegł na swym strojnym, ognistym arabie, ilekroć rozległ się głos wodza wołający:

B— Jagmin!

I Wtedy czapka kwadratowa krwawiła się mu nad fizarnymi jak noc włosami, dłoń leżała na głównej szabli, a za silnymi ramionami leciał poszum niewidzialnych skrzydeł... owych dawnych. Jt Ale ten mój, ten mój mały... (małym Tarnowskim Nazywano go w obozie) ani tak silny był, ani tak Urodziwy, ani nawet tak bogaty, aby na drogocennym, strojnie przybranym biegunie tu przybyć. Dlatego właśnie ulubieńcem moim stał się, że był wąty, ■obny, na twarzy różowy i biały, a oczy miał jak U dziewczyny, łagodne, nieśmiałe, czyste i tak błę-

454

kitne, jak te niezapominajki, które tu czasem u stóp moich rosną. Przebrana dziewczyna czy ledwie dorosłe chłopię! Wcale też niedawno minęło mu lat dwadzieścia. Jednak może i dlatego jeszcze ulubień-cem moim rychło stał się, że, we mnie ciekawość obudzał.

Dziwne w wieku tak młodym przepastne zadumy osiadały mu niekiedy w oczach dziewczycy}, łagodnych, a po twarzy różowej i białej przepływały takie łuny gorące, jakby tam w nim, we wnętrzu tej jego wątej, chłopięcej postaci coś płonęło, gorzało. I przedtem zresztą, zanim tu przybył, już go lubiłem. Mówiły o nim pomiędzy sobą te trawy rozczochrane, które wiecznie pochylają się ku sobie i o czymś mówić jedne drugim muszą. Mówiły o nim rzeczy miłe, ładne. W ciche wieczory szeptów ich słuchałem.

Urodził się nie w tych stronach, kędyś daleko, a w te strony przywiał go ów prąd górny, który wówczas światłem płynął i ludzi wysokich rzucał w ramiona i pod stopy maluczkich. On, ten mały, wysokim był wiedzą i myślą. Szybko podbijać musiał ich krainę,1 skoro tak wcześnie stał się jednym z jej mieszkańców. Był młodym uczonym, takim, co się u ludzi nazywa naturalistą. Mógłby był na szerokim świecie wstępować na drogi wysokie. Wstąpił na niziutką. Przybył w te strony, aby swą myśl i wiedzę rozdawać maluczkiem. Dlaczego w te strony właśnie? Nie wiem. Ale to rzecz pomniejsza. Przeznaczenie welonem tajemnicy osłonięte trzyma w dłoni kołczan z tysiącem trafów, którymi uderza w ludzi i rzuca nimi jak piłkami po świecie przestrzeni i po świecie zdarzeń.

Przyjechał był do pobliskiego stąd miasteczka i uwił tam sobie gniazdo nieduże, codziennie napełniające się szczebiotaniem piskląt ludzkich. Nie przyjechał sam jeden. Przywiózł ze sobą dziewczynę, siostrę młodszą, w sposób bajeczny, prawie aż zabawny do niego podobną. Ta sama drobność wzros-

455

tów, wąłość kształtów, te same rysy cery i na rysach rozlane wyrazy. I kochaliż się, kochali! Podobno odumarli im wszyscy bliscy i byli na świecie tylko we dwoje. Samotność serc sierocych i wspólność zagrody rodzinnej, kędyś daleko starymi lipami ocienionej, skrzepiały węzeł u kolebek zadzierzgnięty. Skrzepiała go jeszcze zapewne jednostajność tych gwiazd, które rządzą ludzkimi ukochaniami, chęciami, pracami. Pracowali razem. Brat uczył siostrę, siostra pomagała bratu i zawsze byli razem, we dwoje: w szkole, w domu, na ulicach miasteczka, na drogach polnych i leśnych. Aż zabawnie było patrzeć na tę parkę ludzi młodziuteńką, małą, jasnowłosą, różo-wotwarzą, wiecznie ze sobą sprzęgniętą i wiecznie z błyskami w błękitnych oczach i wesołymi uśmiechami na rumianych ustach. Ona go nazywała Ma-rysiem, a on ją Anielką.

Dobrze im było ze sobą i każdy z łatwością mógł zgadnąć, że dobrze im było na świecie.

Wkrótce jednak przyszedł czas, że na ulicach miasteczka, na polnych i leśnych drogach poczęli ukazywać się nie we dwoje już, ale we troje. Towarzyszem ich często bywać zaczął ów młodzieniec spod zielonych bluszczów, z postawą wyniosłą, silną i ze śniadym profilem Rzymianina, który to potem na tej polanie miał dowodzić jazdą. Ten zewnątrznie wcale do nich podobnym nie był; owszem, jakby innej rasy był, czerwieńszej krwi, spod zamaszystszego, potężniejszego młota natury. Pomimo to zawiązywało się pomiędzy tym trojgiem coś coraz serdeczniejszego: przyjaźń? miłość? jedna i druga razem? — aż dnia pewnego za sprawą nowego towarzysza dziewczyna zapłakała krótko, lecz rozpacznie. [Było to tak. W lesie tym, co tuż za miasteczkiem, siedziała z bratem na obalonej kłodzie i oboje z głowami ku sobie pochylonymi przyglądali się jakiejś pierzastej trawie, po której pełzał drobny jakiś owa-dek, gdy tamten śpiesznie nadszedł i przed nimi stanął. Szukał ich i znalazł. Od

dość już dawna wie-

456
dział, gdzie, kiedy najłatwiej znaleźć ich może. Zmieniony był, jakiś nie taki jak co dzień. Oczy mu gorzały, spod czarnego wąsa usta zdawały się krwią tryskać, burza uczuć wstrząsała śniadym czołem. Stanął przed nimi, bez słowa powitania odkrył głowę i ręką po kruczych włosach powiódł, a ręka ta, duża, silna, biała, herbowym sygnetem na palcu błyszcząca, trochę drżała. Zrozumieli i — zawiązała się szybko rozmowa.

— Już dzień oznaczony?

— Oznaczony.

— Kiedy?

— Za dni dziesięć.

— Gdzie?

— W Działkowiczach.

— Dokąd?

— Za Kanał Królewski, do lasów horeckich. Tu głos dziewczyny zawołał:

— Już!

A on brata jej zapytał:

— Postanowienia nie zmieniłeś?

— Chyba by dusza moja zmieniła się na inną!

- Więc razem?
- Razem.
- Za dni dziesięć do mnie i ze mną tam, gdzie będą wszyscy...

Zamilkli, bo rozmowę przerwał im płacz niewieści., Z twarzą ukrytą w drobnych dłoniach Anielka łkała

i było to łkanie rozpaczne.

Wiedziała, że to się stanie, lecz kiedy już, już stawać się miało, tak płakać poczęła, że aż całe wątłe jej ciało w tym płakaniu kurczyło się i drżało, aż jasne włosy rozsypywały się po ramionach i na szarą sukienkę przez palce przeciekały strumienie łez. Ale niedługo, niedługo. Mocowała się z łkaniami, ze łzami — i ustały. Wstała i ramionami otoczyła szyję brata. Przycisnęła się do piersi jego mocno, mocno i odrywając się od niej powtórzyła kilka razy:

457

- Idź, Marysiu, idź!

Twarz jej, od łez mokra, stanęła w uśmiechu takim, co to bólem usta kurczy, i rumieńce z niej zniknęły. Ale postać drobną z całej siły wyprostowywała i w oczach brata topiąc swe biedne, mężnie ze łzami walczące oczy powtarzała:

- Idź, Marysiu, idź! Trzeba!

W wieczór dnia tego w małym ogródku, gdzie rosło kilka jabłoni i trochę bzów kwitło, dwa głosy z cicha z sobą rozmawiały. Głos dziewczęcy prosił:

— On silny duchem, ale ciałem słaby, w ćwiczenia męskie niewprawny... Od dzieciństwa książka, nauka, górne myśli i zamiary... Odważny, lecz siła skąd? Kocha, jak kocha, ja jedna tylko wiem, ale czy zdoła? Nie tu urodzony, nikogo tam swego mieć nie będzie. Pan nigdy niczego się nie lękał, to poznać łatwo. Więc pan nie wie, co to trwoga taka... jak szyba lodu na sercu, jak nóż w sercu... O, panie... bądźcie wy tam'często razem...

On przyrzekał:

- Tam, gdzie nikogo swego mieć nie będzie, ja będę mu swoim. Przyjacielem mu będę, bratem, W potrzebie obrońcą. I jak razem odchodzimy, tak razem tam będziemy pierś z pierśią, dusza z duszą... I razem powrócimy... albo...

I z szerokiej piersi namiętne westchnienie wzbilo się pomiędzy wonie bzów i bzy tylko widziały, jak nad dwojgiem rąk dziewczęcych drobnych, drżących nisko pochyliła się męska twarz z rzymskim profilem i jak usta męskie purpurowe, gorące lgnęły się do nich pocałunkami długimi... Pierwsze to były pocałunki na rękach tych przez te usta składane. Czy i ostatnie także? Potem oczy ich zatonęły jedne w drugich i przy świetle gwiazd wiele sobie powieziały. Może usta powiedzieć pragnęły więcej jeszcze. lecz w tej godzinie wyroczej... nie mogły. Czy kiedykolwiek powiedzą? Przeznaczenie stoi za ludźmi, welonem tajemnicy zasłonięte, i w dłoni trzyma kołczan z tysiącem zdarzeń...

458

Lecz daj mi spocząć chwilę, wietrze prędko! Są ludzie i losy, o których bez spoczynku długo mówić nie mogą, takie nawet jak ja dęby silne. Dreszcze po konarach mi biegną i na liście występują krople chłodne.

Chłodna rosa na las spadała i bujne jej krople gęsto usiały gałęziastą brodę silnego

dębu. Toczyły się też one z wolna po długich warkoczach brzozy, rozpylonym srebrem świeciły na trawach, krzakach, liliowych dzwoneczkach, na płatkach róż dzikich, których serca, niedawno rubinowe, przygaszały, ciemniały.

Przygaszało, ciemniało również nad lasem niebo, z przezroczystą zasłoną drzew jaśniejąc już nie krwawym płomieniem, lecz bladym złotem zorzy. Od tego bładozłotego jeziora na niebie zawieszono szły lasem światła smętne, blade, przedwstępne gońce nocy, i rozplýwała się od nich po lesie melancholia, zadumana, tęskna...

Ale noc nie nadchodziła jeszcze i na niebie nie było gwiazd, tylko gdzieniegdzie pływały po nim od zorzy obłoki przezroczyste, do piór złotych albo do bladych rumieńców podobne.

Pod złotawym piórem niebieskim w mdlejących blaskach dziennych wyprostowany świerk zachwiał szczytem ciemnym, ramiona jego zadrżały i wkrótce rozwarły się szeroko, a nad polaną popłynął szura głęboki i dumny najwyższego z leśnych drzew. — Jam najwyższy w tym lesie, najdalej wzrokiem sięgam i widzę najwięcej.

Widywałem walki, które staczali oni w oddaleniu to większym, to mniejszym, niekiedy tak wielkim, że ich odgłosy dochodziły tu jak głuche turkoty, toczące się za skrajem firmamentu lub jak wzdęte poszumy lasów, gdy targa nimi przelatujący Wichur — Gwałt.

459

Wtedy tu, na tej polanie, panowały cisze letnie, gorące i wonne, motyle wieszały się na kwiatach, a na mchach i trawach igrały w promieniach słonecznych skrzydlate owadki.

Słowik też w kalinach śpiewać zaczynał i drobne ptactwo, przez gwar odegnane, przywabione przez ciszę, pomiędzy gałęzie nasze powracało.

A tam, we wściekłościach zwierzęcych, w podrzutach śmiertelnych kłębiły się ciała ludzkie i we wrzawie bojowej, w stukaniu gromów, w ulewie ogromnych błyskawic krew z nich ciekła na trawy, mchy, kwiaty i wsiąkała w drżącą od huków i hałasu ziemię...

Ale ja tobie, wietrze prędko, rzeczy tych, niegdyś widzianych, słyszanych nie opowiem. Gamami szumów swoich często opowiadam ziemi o jej smutkach, zagadkach, płonnych nadziejach i pewnych mogiłach albo w wichrzyste noce o rzeczach głębokich i wiecznych rozmawiam z chmurami.

Lecz zwykłych walk krwawych opiewać nie umiem. Nie do tego stworzony, ja, mieszkaniec pokojów leśnych, dający gniazdom ptasim przytułek bezpieczny i cienie kojące roztaczający nad wszystkim, co od skwarów usycha i mdleje.

Tylkom drżał od radości i szumem swym śpiewał niebu dziękczynne: hosanna! ilekroć tu powracali żywi i zwycięscy.

Zwycięskimi powracali nieraz i choć im na uzno-jonych czołach rozlewała się duma triumfu, w szeregi karne wyciągali się na głos wodza, w milczeniu oczekując słów jego rozkazów.

On serca ich w ręku swym trzymał i umiał podbijać je w górę. Odkrywał przed szeregami czarnowłosą głowę i za to, że były posłuszne jak dzieci a jak lwy odważne, że sile przemagającej rozproszyć się nie dały, że wstydem nie splamiły- krzyża, który przyjęły na swe ramiona — dziękował. Ale i wtedy jeszcze, gdy dziękował, głos jego

rozlegał się jak bojowe dźwięki i nie było w nim słodczy ani piesz-
460

czoty, hart tylko był i wola żelazna, trzymająca mocno wodze ich woli. Im zaś od tych dziękczyniń stalowych i krótkich na twarze, znojem oblane, prochem opalone, kurzawą okryte, spadał blask wniebo-biorącej radości.

A potem były tu opowiadania, rozmowy gwarne, ogniska, buchające wonnym dymem jałowców, wesołe rzenie koni, błogie spoczynki na mchach i trawach, szepty modlitw w świetle gwiazd i brzmienia przyciszonych hymnów chóralnych, z płomienną pokorą wzbijające się ku Temu, który jest nad gwiazdami.

Raz gdy wrócili tak, nie rozproszeni, nie osłabli, lecz owszem, w odwadze i wytrwaniu umocnieni, a na głos wodza: „W szeregi formuj się!” stanęli przed nim murem zwartym, on jednego z nich przez chwilę wzrokiem szukał i znalazłszy skinieniem ku sobie przywołał.

I któż wtedy, jak myślisz, wietrze prędkiej, przed nim stanął? Oto ten mały Tarłowski w tej chwili, o! wcale, wcale do białej i różowej dziewczyny niepodobny. Plamy krwi miał na odzieży i rękach, a pośród twarzy, przez dymy i kurzawę uczernionej, oczy błyskały mu niespokojnie, boleśnie, prawie ponuro. Stanął w zwyczajnej sobie postawie, nieco nieśmiałej, i czekał.

Wódz w milczeniu patrzył na tę postać wątłą, śladami walki ciężkiej okrytą, na te ręce drobne, a zakrwawione i coś z czułości ojcowskich albo z braterskich rozrzewnień przepływało mu po surowym czole. Potem wskazując go wyciągniętym w milczeniu szeregom rzekł:

— Życie mi dziś uratował. Cudem odwagi je uratował; cud, że nie zginął sam. Dziw, że w tym dziecku mieszka taki lew! Nie za to wdzięcznym mu, że żyję, lecz za to, że was jeszcze jako klamra sprzęgam i że jeszcze razem z wami służę nie żadnemu panu ziemskiemu, ale Umęczonej, że jeszcze służę. Uczcij-

461

cie w nim dzielnego rycerza Umęczonej! Ja mu dziękuję.

Tu ramieniem szyję tego małego otoczył i coś z anielskich tkliwości czy radości wykwiatać poczęło mu na usta, aż rozkwitło w uśmiech serdeczny, perłowy, świeży i bardzo dziwny pod czołem tragicznym.

Byłóż tam, było potem dokoła tego małego powin-szowań, uniesień, uścisków, zapytań, opowiadań. Kto widział, opowiadał; kto nie widział, zapytywał. Zdaje się, że tam za olchami na ręce go porwali i wysoko na rękach podnieśli, że dowódca-jazdy, w herkulesowym uścisku go trzymając, długo mu coś o siostrze, o pannie Anieli szeptał!... Jakże! Uratował klamrę tę drogocenną, która ich sprzęgała, wiedzę, która ich wiodła, wolę, która ich wolę trzymać umiała w okowach wytrwania i rozplomieniać ogniem nadziei — choćby przeciwko samej nadziei! Powszechną tu była wieczoru tego jakaś dziwna, dobra, braterska radość.

I na nim jednym tylko, który radości tej był przyczyną, wcale jej znać nie było. Wyglądał tak, jakby podzielać ją chciał, a nie mógł. Na pytania ledwie słowem krótkim odpowiadał lub nie odpowiadał nic; uściski odwzajemniał, lecz był wśród nich jakby we śnie, jakby w zamyśleniu roztargnionym.

Omył z siebie w strudze błękitnej kurzawę, krew, dym prochowy i miał twarz znowu białą i różową, nawet nie ogorzałą, bo jak u niektórych niewiast bywa, nie imają się

jej białości spieki słoneczne. Lecz myślał o czymś ciągle, niespokojnie, prawie posepnie, jakby dusza jego kołysała się nad przepaścią pełną wątpień, zapytań, zagadek.

Tak gdy gwiazdy wzeszły, położył się pod tą brzozą i gdy wszyscy już spali, nie spał. Żadne z nas, drzew, tego niepokoju i smutku jego zrazu nie zrozumiało. Jam pierwszy zrozumiał. Nie do tego był stworzony. Jak ja, który z niebem często o rzeczach wielkich i wiecznych rozmawiam, nie stworzonym do opiewania krwawych bojów ludz-

462

kich, tak on, w geniuszu natury i górnych myślach ludzkich rozkochany, do bojów tych stworzony nie był. Do czego innego był stworzony.

— Znałam go z bliska, znałam dobrze jego myśli i miłości — zaszeptała brzoza, której gęste listowie, w spływające ku ziemi warkocze zaplecione, srebrzyło się jeszcze gdzieniegdzie od wieczornej rosy, a suknia z białej rosy przeświecała zza długich warkoczy.

Znałam go z bliska, znałam dobrze jego myśli i miłości, bo dokoła mnie, z ziemi od pobliskiego strumienia wilgotnej wyrasta tłum ogromny roślinek przerozmaitych, przyziemnych, drobnych, wśród których krząta się, pelza, biega, podlatuje drugi tłum również malutkich, przyziemnych, przerozmaitych owadków, robaczków, a on, ten mały, z drobiazgiem tym przebywać lubił dziwnie i wówczas tylko na różowej twarzy jego jaśniało szczęście spokojne, błogie, gdy z nim przebywał. On doprawdy drobiazg ten kochał i kształtów jego, życia jego ciekaw był namiętnie.

Słusznie powiedział świerk wysoki, że był on rozkochany w geniuszu natury, ale ja tylko wiem, bom temu przyglądała się nieraz, jakie on z tym geniuszem rozmowy długie, ciekawe prowadził. I miłosne również, bo tak już jest pomiędzy ludźmi, że ciekawe i długie rozmowy prowadzić oni zwykli tylko z przedmiotami swojego kochania. Przedmiotem kochania jego była natura, lecz powstało przeciw niej kochanie drugie, tym płomienniejsze, że bolesne, i tu go przywiodło. O tamtej kochance zupełnie zapomnieć nie zdołał i przed obliczem śmierci, która co dzień spotkać go mogła, stojąc, wzrokiem i duszą wpatrywał się jeszcze w jej oblicze. W przerwach służby obozowej, w godzinach odpoczynku to bywało.

463

Inni, odpoczynkowi po ciężkich trudach radzi, zbierają się w gromadki, gwarzą, wspominają i nieraz śmiech wesoły wzbija się od nich nad tym polem bliskiej śmierci, a on jak zwykle chętnie milczący, cichy, chodzi w pobliżu moim pod tymi olchami cienistymi, po tym gaju kalinowym, nad strumieniem i co chwilę na ziemię pochylony czegoś między ziólkami czy owadkami upatruje, szuka, a znalazłszy w palcach albo w dłoni podnosi i przygląda się, wzrok i pamięć w tym zatapiając —• szczęśliwy!

Raz trzej, czterej towarzysze jego przyszli tam i zapytali, czego szuka tak pilnie i czemu tak baczenie się przypatruje? Trzymał wtedy w palcach jakieś piórko zielone, w dziwnie subtelny sposób wykrojone i wyrąbkowane, więc swoim cichym, łagodnym głosem mówić im zaczął o tym, jaka to jest roślina rzadka, jak on pragnął znaleźć ją kiedykolwiek, nie zasuszoną w zielniku, lecz żywą, jaki kraj oddalony, zamorski jest jej krajem rodzinnym, jak przez łądy i oceany wiatr nasiona jej tu przyniósł i jaki to

cud natury te wędrówki na skrzydłach wiatru, od bieguna do bieguna ziemi, nasionek tak drobnych jak pyłki. Innego dnia to samo powtórzyło się z powodu owadka złotawego, który trwożnie uwijał się mu po dłoni, a innego jeszcze z powodu wspaniałej korony nenufaru, która u brzegu strumienia rozkwitła, a którą on zerwał i w rękę trzymał, twarz pochyloną w upajającej woni jej zatapiając.

Towarzysze w ścisłą gromadkę wokół niego skupieni patrzali, słuchali, wszyscy go wzrostem, szerokością ramion, męskimi zabarwieniami twarzy przewyższając. Czapki ich czworokątne wyglądały na tle zielonym jak ogromne chabry i amarantusy, na odzieży mieli twarde, szerokie pasy i u pasów żelazem pobłyskującą broń. I dziwnie było patrzeć, jak te twarze ogorzałe, piętnem zmęczeń i niepokojów trawiących naznaczone, pochylały się ciekawie nad drobnym piórkiem roślinki albo złotawym ciałkiem owada i jak na te skazane głowy ukojenie i odpoczy-

464
nek spływały z cichych słów małego towarzysza, z zielonych tkanek rośliny, ze złotawych skrzydełek owada, ze śnieżnych płatków wonnej lilii wodnej.

Oto do czego był stworzony. I jeszcze do tych myśli, które przyjacielowi opowiadał wtedy, gdy wszyscy spali, a on, nie śpiąc u stóp moich na gęstych trawach leżał. Tamten nie spał także. Sen z oczu spędzała mu myśl o tej zagadce ogromnej, w którą ziemia ta i najlepsi jej synowie uplatali się jak w krwawą pajęczynę i może jeszcze o pozostałej daleko, tęskniącej pewno, płaczącej małej Anielce. Przyszedł do brata Anielki i długo obaj leżeli u stóp moich, twarzami ku sobie obrócenii, w milczeniu nocy rozmawiając tak cicho, jak cicho płaczą moje warkocze, gdy z lekkim szemraniem spływają z nich na trawę majowe deszcze nocne.

Cicho było. Na jednym z krańców obozu koń czasem zarżał, na innym z piersi uspiętego człowieka wyrwał się okrzyk głuchy albo wionęło ciężkie westchnienie. Ktoś w ostatniej bitwie raniony jęczał pod dębem w uplecionym z gałęzi namiocie, zza drzew otaczających polanę, na przestrzeniach mdło oświetlonych przez gwiazdy widać było czarne posągi uzbrojonych i nieruchomo stojących straży.

Oni dwaj ńa siebie wzajem albo na gwiazdy patrząc rozmawiali o tych czasach dalekich, w przyszłości dalekich, które będą albo nie będą, które jeżeli będą, wodami ukojenia i oczyszczenia obmyją świat, w których podobno miecze mają być przekute na pługi, a jagnięta sen spokojny znajdować u boku lwów...

O przyszłości świata, po wiekach walk, zbrodni i mąk rozkwitłej w raj niewinności, pogody i zgody, mówili z tęsknotą, z zachwyceniem, upragnieniem.

Szeptem cichym marzyli o tym celu przedalekim, ku któremu rzeką wrzącą i wieczną płyną marzenia ludzkich głów i serc najwyższych, a nie wiedząc nigdy, czy kiedykolwiek rzeka do celu swojego do-

365

pływie. Ach, ból i rozpacz tych marzeń bez ziszczenia, upragnień bez nasycenia, zagadek bez rozwiązania! Ach, niezgłębiony tego wszystkiego smutek!

— Bo chociaż przedmiot walki najdroższy jest i święty, przelana w niej krew ludzka trucizną w żyły spływa i rany zadane ranami kładą się na tych, co je zadają. Gniew, ból, śmierć to sępy pasące się na trupach radości, słodyczy i nadziei ludzkich. Zły ród przeciw sobie samemu szpony ich wystawiający! Nędzny ród, krótko żyjący, którego synowie nawzajem sobie skracają życie! Nieszczęsny ród, zewsząd w ciele

swym i w duchu swym zagrożony, którego synowie nawzajem ciałom i duchom swoim grożą! O! kiedyż będzie inaczej? Czy kiedykolwiek będzie inaczej? Dlaczegoż nie urodziłem się w tej porze późnej, gdy świat będzie innym, albo w tak wczesnej, aby oczy moje nie potrafiły otworzyć się na to, że mógłby być innym, gdyby, gdyby ludzie byli inni!

Po krótkim milczeniu ze smutnym uśmiechem mówić począł wiersz starożytnego poety:

— Baśń niesie, że Prometeusz do pierwiastku gliny, będącej podstawą istoty człowieczej, wlał po kropki każdego z pierwiastków zwierzęcych, samo serce człowiecze zaprawiając chciwością wilczą i wściekłością lwią. To jest przyczyną tych pomst i gniewów, które w ludzi uderzają zgonami strasznymi, i to jest przyczyną, że walą się w gruzy gmachy wspaniałe, że lemieszce wojsk wrogich rozorywują wały podbitych grodów.

— Horacjusz? — zapytał towarzysz mówiącego i w tejże chwili z porywczym gestem silnego ramienia znad trawy się podniósł.

— Podbitych grodów! — powtórzył, chwilę milczał, aż zawołał:

— Teraz inaczej być nie może!... Podbitych grodów. Teraz walka to powinność!...

Głos cichy, ale stanowczo brzmiący, namiętnemu wykrzykowi temu odpowiedział:

— Teraz inaczej być nie może. Dopóki gwałt, do-

30 — Oreeszkowa

póty święty przeciwko gwałtowi gniew! Dopóki krzywda, dopóty walka! Przez krew i śmierć, przez ruiny i mogiły, z nadzieją czy przeciw nadziei walka z piekłem ziemi w imię nieba, które na ziemię wstąpi...

— Może zstąpi...

— Kiedyś...

— Gdy nas już na ziemi nie będzie.

Tak oni czasem w zmrokach nocnych rozmawiali z sobą, gdy obóz spał i dokoła obozu na przestrzeniach mdło przez gwiazdy oświetlonych widać było czarne posągi uzbrojonych straży.

Aż przyszedł dzień...

...Szept brzozy zniżał się, tajał, umilkł; przemówił w zamian brodaty, silny dąb:

— Aż nadszedł straszny dzień. Straż daleka przyniosła oznajmienie...

Bo okrom bliskiej, wokół obozu rozstawionej, mieli oni straż swoją daleką, która tu przynosiła oznajmienia, ostrzeżenia, wieści. Przyniosła je ona tak, jak królewicz bajeczny dążył do zamku zaczarowanej królowny: przez zarośle cierniste, wrzawą upiorów napełnione, przez moczary bagniste, najeżone pasz-czękami smoków. Czasem strażnik ginął w uścisku upiora lub w paszczęce smoka, czasem docierał celu.

Z daleka już słyhać było tętent biegnącego przez las konia. . — Hasło?

— Z nadzieją czy przeciw nadziei!

Wpadł na polanę młody jeździec na koniu zdyszonym, z twarzą oblaną potem.

Południe skwarem piekło. Kilka głosów przyjaźnie zawołało:

— Kaliś! Pan Kalikst! Jak się masz?

Ale on na powitania czasu nie miał. Z konia zeskoczył.

— Gdzie naczelnik? Prowadźcie! Prędkiej!
Polaną szedł śpiesznie, przybysza nie widząc, mło-
467

dzieniec wysmukły, w szafirowej czapce na złotych włosach. Adiutant wodza. Ktoś do niego zawołał:

— Radowicki! Od poczty obywatelskiej... wysłaniec! Do naczelnika prowadź!
Adiutant i poseł obywatelskiej poczty dłonie sobie uścisnęli. Koledzy szkolni, sąsiedzi. Razem weszli do namiotu wodza. Obóz zaległa cisza. Taką ciszą martwą na powierzchni, a drżącą w głębiach, dyszy natura w przedchwili burzy piorunowej i wichrzy-stej.

Wkrótce do namiotu wodza weszli wezwani dowódca jazdy i paru towarzyszy innych, kunsztu orężnego mniej lub więcej świadomych. Narada.

Oczekiwanie trwało długo, aż Romuald Traugutt przed namiot swój wyszedł i otrzymane wieści ogłosił.

Biły z nich pioruny bliskiego boju i wichur śmierć wiał.

Wojsko ogromne nadciąga, już opasują las, oddziały jego piesze i konne już jak rzeki szumne lasem płyną. Przez las drzew przedzierają się lasy luf, pik, bagnetów. Za godzinę, za dwie tu będą. Poseł wieść przywiózł drogą długą i trudną, lecz przywiózł ją jeszcze w porę. Sto strzelb na jedną strzelbę. Sto pik na jedną szablę. Jak w baśniach. Lecz bywa to prawdą. Czy zleknią się tej prawdy? Kimże są? Nie niewolnikami są przez gwałt i przemoc ciągniętymi na pola krwawe, ale dobrowolnymi ofiarnikami wysokich ołtarzy.

Więc nie opuści ich duch ofiary i duch męstwa! I duch tej miłości, która ich tu przywiodła. Ci, co zginą, będą siewcami, którzy samych siebie rzucą w ziemię, jako ziarno przyszłych plonów. Bo nic nie ginie. Z dziś zwyciężonych dla jutrzejszych zwycięzców powstają oręż i tarcze. Lecz oni z siebie dobędą L wszystkie siły, wszystkie swe siły męstwa, karności, * wytrwania, aby zwyciężyć. Bojowy okrzyk ich: W imię Boga i ojczyzny! Z tym okrzykiem na śmierć czy na zwycięstwo do boju!

30*

468

Tak mówił. Słowa jego rozlegały się od brzegu do brzegu obozu, dźwięczne, krótkie, coraz głośniejsze, gorętsze i jak iskry sypały się na głowy tłumu, aż jak łan kwiatów na łące zakołysał się tłum ten i wyrzucił z setek piersi wzdętych grzmotowy okrzyk zapalu.

Potem zakotłowało tu, zawrzało. Siodłanie koni, przydziewanie zbroi, wołanie komend, formowanie się szeregów, głośnie rozkazy, ciche zlecenia. Kipiał ruch, dzwoniły głosy, tętniały końskie kopyta, broń błyskała w powietrzu pełnym słonecznego złota i upału.

Poseł poczty obywatelskiej miał odjeżdżać znowu drogą długą i nudną powracać tam, skąd przybył. Wprzód jednak zatrzymał konia przed jednym ze sformowanych już oddziałów pieszych i żołnierzowi spomiędzy wszystkich najmniejszemu wzrostem podał przedmiot tak drobny, że zaledwie dostrzec się dający, mówiąc:

— Od siostry!

Był to skrawek papieru niezmiernie drobno zapisany i zwinięty w sposób taki, aby go

w potrzebie z łatwością połknąć było można. Takie wówczas listy pisano ze świata do obozów.

Dowódca jazdy na pięknym swym arabie obok szeregów biegł, zobaczył, ku Tarłowskiemu głową skinął.

— Od panny Anieli?

Zamienili się spojrzeniami, na twarzach ich błysnął uśmiech. Był to kwiat ręką dziewczyny z daleka rzucony na te otwarte mogiły. Co pisała? Nie dowiedział się o tym w tej chwili jej brat, bo rozległa się głośna komenda, więc skrawek papieru śpiesznie u piersi skrył. Czy dowie się kiedykolwiek?

Potem wyciągali stąd w porządku, w milczeniu, aż na opustoszałej polanie pozostały tylko trawy zdeptane, kwiaty konające i namioty puste. Namiot dla rannych, u stóp moich stojący, w tej godzinie ich

469

odejścia pustym był tak jak i inne. Napełnić się miał wkrótce.

Nie odeszli daleko. Plan bitwy był podobno kunsztowny, biegły. Obrona i zarazem napaść. Zasadzka ukryta w nieprzeniknionej dla oka gęstwinie, a na luźniejszych przestrzeniach, za każdym drzewem przyczajone oko lufy i na każdym pólku mchowym czy paprociowym, w każdej cienistej alkwie z gałęzi dobyte z pochew szable.

Dziwnie to wszystko wyglądało, mówię ci, wietrze prędko, że dziwnie to wyglądało wśród ucętkowanej kwiatami zieloności leśnej i wśród majowych pędów sosen, które w milczeniu upalnej pogody swe jasne, wieloramienne świeczniki podnosiły nad twarzami ciemnymi, skamieniałymi, w milczącym oczekiwaniu.

Chodziły tam po tych twarzach poruszenia i błyski rozmaite: niecierpliwości, zapału, wyęzonego nasłuchiwanie, strącanych przez wolę na dno duszy bólów i trwóg. W powietrzu wolnym od szczebiotania ptaków, które złęknione odleciały, czuć było oddechy kilkuset piersi ludzkich, namiętne, niespokojne.

Aż z głębi lasu przyplływać począł szum coraz wzrastający... wzmagał się, przybliżał, coraz ogromniejszy... Jakby powietrzem nadlatywało, jakby dołem lasu nadchodziło coś strasznego...

— Baczność! Gotować broń!

Rozkazowi temu, który rozległ się tuż prawie za mną, odpowiedział z oddali głos inny, tak samo rozkazujący, krótki.

I było już widać...

Szara masa ogromna, posuwająca się naprzód z trudem i powoli wśród gęstych drzew, po ziemi najeżonej sztywnymi prętami latorośli, zasłanej sieciami podstępnych wiklin. Trudno jej było iść. W szumie jej kroków trzaskały łamane, stukały rąbane gałęzie.

Ale już wyraźnie było widać... I wtedy... Zastukały, zastukały za drzewami, po zaroślach, gęste, poje-dyncze, szbko, szybko po sobie następujące wystrzały

470

i rój błyskawic krótkich, ognistych, rozsypał się wśród drzew i zarośli.

Wnet od strony nadchodzących buchnął i potoczył się ogromny, długi grzmot i zarazem sunąc stamtąd poczęły gęste kłęby dymu. Rotowy ogień karabinów, zbity w sobie, ciężki, odpowiedział posiekanemu ogniowi strzelb, na znacznej przestrzeni

rozspanych.

Była to rozmowa dwu różnych ze sobą grzmotów, drżały od niej ze zgrozy najsilniejsze drzewa lasu.

Czy długo trwała?

Długo. Godziny upływały.

W dymach, które stawały się morzem napowietrznym, kłębiącym się i ciemnym, szara masa, wydłużona w kształt kolumn, to roztaczana w kształt półobry-czy, przybliżała się znowu i znowu cofała. Niewygodnie jej było, ciasno i wśród zasłon leśnych, ogniem ziejących, trwoźnie... Ale rosła wciąż, rosła, gęstniała, na odległościach coraz większych, dalszych. Tysiące coraz nowe, konne, piesze. Jak rzeki wezbrane, o wodach nieprzebranych. Ale też tysiąc zapór, przeszkód w tym świecie leśnym, napelnionym tworami nieposłusznymi, mającymi we własnym swym królestwie swoją wolę i swoją moc. Tysiące też tych stuków szybkich zza drzew i spomiędzy zarośli, które razem z rojami ognistych błyskawic rzucały roje pocisków celnych.

Ilekoć rozdzierało się na chwilę napowietrzne morze dymu, widać było bliżej i dalej, z jednej strony i z drugiej, postacie ludzkie rozciągnięte na mchach i wiklinach, jak czarne, leżące cienie.

Po obu stronach padały trupy. Lecz nie wszyscy upadający byli trupami. Upadł stąd niedaleko i rozciągnął się na paprociach mały Tarłowski, Ale żył...

Od początku bitwy, za rosochatą olchą na jedno kolano klęcząc, nabijał strzelbę, celował i strzelał, bez ustanku, zapamiętałe, szybko, z wprawą, którą obdarzyły go ćwiczenia obozowe. Jakby nigdy pragnieniem był nie biegł ku rajskiej erze wiecznego pokoju świata, jakby nigdy razem z poetą nie wyrzekął na

471

wlaną w serce człowiecze kroplę wściekłości lwiej... Coś lwiego czy tygrysięgo błyszczało mu w oczach

0 rozpalonym błękiecie, pod czołem ściągniętym w jedną zmarszczkę uwagi wyteżonej i zaciętości srogiej: w linię srogą jak krwawa uraza zaciskały mu się usta albo rozwarłe, dyszące, w pierś wątłą chłonęły węże dymu ziejące prochową wonią. Wtem nadleciało coś mającego w szarym dymie podobieństwo do wydłużonego ciała czarnej pszczoły i w ramię go ugodziło. Ramię" to zwisło u boku, strzelba z ręki wypadła, chciał porwać się z klęczek, zachwiał się i na wysokie paprocie upadł. Ale żył

1 po długiej chwili dwie pary silnych ramion zdjęły go z okrwawionych paproci i wniosły do tego namiotu u stóp moich stojącego, który już nie był pustym.

Pod dachem wysokim, z zielonych gałęzi uplecionym, na mchowych i paprociowych pościelach leżało już kilkunastu ludzi, w których trzewia lub członki żądła swe pograżyły czarne pszczoły. Nad nimi, od jednego do drugiego przechodząc, przyklękali dwaj ludzie z twarzami zatroskanymi, z czołami oblanymi potem, z rękoma czynnymi. Lekarze obozowi.

Ale wówczas dokoła polany tej stawało się już bardzo gorąco. Z coraz częstszymi, z coraz dłuższymi, gęstszymi grzmotami karabinowego ognia szara masa zbliżyła się już na odległość, z której można było rozpoznawać wzrokiem pojedyncze postacie, twarze, ubrania, bronie. Z żelaznym prawem liczby zaokrągląła się ona w obręcz i

opasywała polanę coraz zupełniej, coraz bliżej. Ludzie z tej i z tamtej strony poczęli spotykać się oko w oko i zwierać się pierś z pierśią.

W stukach i grzmotach obustronnych ogni dym gęstniał, napełniony ognistymi błyskawicami, krzykami, przekleństwami i wybijającymi się nad wszyli stko głosami komend krótkich, zdyszanych, coraz śpieszniej szych, zapalczywszych, śmiertelniejszych. Duszność i ciemność od dymu wzrastały; lały się w nich strumienie potu, ciekły strugi krwi. Coraz

472

ciaśniej stawało się tam, wrzaskliwiej, krwawiej, wścieklej, przekłeciej. Piekło, piekło, mówię ci, wietrze prędkie, szalało w tym naszym cichym, wonnym, kwiecistym, niewinnym raju leśnym. Piekło ludzkie.

I zdawać się mogło, że nad to, co się już działo, nic na ziemi straszniejszego dziać się nie może. A jednak...

Kiedy na ludzi spoglądasz, wietrze prędkie, nie mów nigdy: „Tu kres ich tragedii!” Bo nikt wśród wszechświata odgadnąć ani obliczyć nie zdoła tego szczytu najwyższego, na który wzbijać się mogą ich tragedie, ich zbrodnie i ich niedorównany we wszechświecie ból.

I oto...

Zza gęstwiny olch i osin, zza tej, co to, widzisz, naprzeciw mnie, spośród krzaczastych zarośli wyrasta, wysunął się oddział wojska konnego, lasem pik długich nad głowami najeżony, nad końskimi grzbietami pochylony i krzyk wydając przeraźliwy począł przez pustą polanę ku temu namiotowi pędzić. Zoczył namiot ten ludzi pełen i pędzić ku niemu począł, ku namiotowi, w którym sił i broni pozbawieni leżeli ludzie ranni, a nad nimi z rękoma czynnymi klęczeli lekarze.

Pędził oddział zbrojny w piki, na koniach chyżych pochylony, z krzykami przeraźliwymi, z twarzami opalonymi w ogniu bitwy i szalała mu w żyłach wściekłość lwia...

Lecz za mną tuż rozległ się głos stalowy, wrzask boju przewyższający:

— Jazda! na obronę rannych.

W mgnieniu oka z dowódcą swym na czele wlecieli na polanę. Czarni od dymów piekielnych, na zziajanych koniach wypadli zza drzew zarośli, nar przeciw tamtym, z podniesionymi szablami w rękach...

Słońce miało się ku zachodowi i zza dymu świeciło tarczą z rozżarzonej miedzi. Na ten poczet lecący, na jego spalone twarze i obnażone szable padł rdza-

473

woczerwony blask, bezpromienny, ponury. W tym blasku dopadli namiotu, już przez tamtych okrążonego, z wątlą ścianą gałęzi już rozwaloną. Straszliwy panował tam tłok i rozlegały się nieludzkie wycia i ryki. Całą siłą rozpędu koni w tłok ten uderzyli, z rąk sypiąc błyskawice szabel i pistoletowe strzały. Dowódca czarnowłosy, do Archanioła z mieczem płomiennym podobny, pierwszy szerokiego otworu dos-koczył i jakby nogi konia jego ziemia do siebie przykuła — stanął.

O, Jezu! Nie było już w namiocie rannych ani lekarzy. Były tylko trupy w krwi broczące i jeszcze otrzymujące nowe rany,- umilkłe albo w strasznym konaniu charczące. A w pośrodku tego pola mordów dokonanych dokonywał się już ostatni. Na ostrzach kilku pik osadzony i wysoko wzniesiony w powietrze mały Tarłowski

twarz białą jak chusta wystawiał na rdzawoczerwony blask słońca. Męczeńska twarz ta, o umierających oczach, z czerwonym sznurkiem krwi od złotych włosów do ust, konwulsją wstrząsanych, poznała jednak przyjaciela, ręka szybkim ruchem rzuciła ku niemu jakiś przedmiot czerwony i głos mdlejący zawołał:

— Jagmin! siostrze!

Ostatni dar, ostatnia myśl, ostatnie słowo! Jak ptak czerwony chusta krwią ociekająca zleciała na szeroką pierś dowódcy jazdy, lecz w tejże chwili upadł pod nim koń jego, kulą ugodzony i on sam wśród tłoku, dymu, wrzasku, stuku wystrzałów, ulewy ognistych błyskawic — zniknął!...

...Przestał szumieć dąb brodaty i cisza nocna zaległa polanę. Bo noc już nadeszła, mroczna, ale nie ciemna: przezroczysta, gwiazdzista, majowa.

Na pagórku mogilnym, na wysokich trawach wiatr leżał, tak lekki, że nie uginały się pod nim ku ziemi wysokie trawy. Ogromne skrzydła jego żałośnie zwinęły mu się u boków i smutnie rozsypały się po ziemi włosy ze srebrzystych szronów pajęczo uprzedzione. W wydłużonych skrętach jego kryształowego ciała

474

blado świeciły odbicia gwiazd i z odbić tych jedno tylko wzrastało w blask i wielkość, aż wzrosło w płomyk gorejący, od którego tajać począł kryształ jego piersi. Tajał od gorejącego płomyka kryształ piersi wiatru prędkiego i ściekał na wysokie trawy z szemraniem tak cichym, z jakim płaczą warkocze brzo-zy, gdy z nich na ziemię spływają majowe deszcze nocne. Tak na bezimiennej, zapomnianej, nieznannej mogile leśnej płakał wiatr.

I cicho znad traw zaszeleścił:

— A ten krzyżyk?

Ciche nad samą ziemią odpowiedziało mu dzwonienie:

— My, małe dzwonki liliowe, my, małe dzwonki, litośnienieśmy chłodziły jej rozpalone czoło i piły lejące się z oczu jej łzy.

Po latach, po wielu, o smętnej jesieni przyszła tu ciemna, drobna i u stóp pagórka twarzą padła na podłoże zioła.

Biedną twarzą! Bo nie była już białą ani różową; białość jej i różowość wypilo z niej życie. Biedne życie! Bo nie wiemy, co tam na świecie czyniła, a w oczach stała odbita samotność tęskniąca, gorzka.

Biedne ręce, niegdyś całowane tak miłośnie! Biedne oczy, niegdyś tak podobne do błękitnych, dziewiczych, czystych oczu brata.

On nieprzespane spał na dnie pagórka tego, z ostatnim jej pozdrowieniem, szczypteczką prochu na piersi w proch rozsypanej.

I tamten...

Leżała na pagórku do ziół żółkłych tuląc twarz uwiędłą i na ich kobiercu rozciągając suknię swą ciemną, biedną...

Myśmy wtedy nie miały kwiatów, jakże? w jesieni! więc tylko liściem chłodnym objęłyśmy twarz jej od płaczu gorącą i łzy piłyśmy, co długo płynęły z oczu.

Długo. Nieprędko z ziemi wstała i ten krzyżyk

47 5

mały, który przyniosła z sobą, wśród łądy naszych utkwiała. Potem drobna jej postać odeszła w zmierzch wieczorny, wśród żółtych drzew zniknęła i nie wróciła już więcej

nigdy...

...Teraz zaszumiał potężny, brodaty dąb:

— I płynęły lata za latami...

0 każdej wiosnie ptaki przylatywały tu gromadnie, wiewiórki po świerkach tańczyły i w trawach biegały, pełzały, podlatywały drobne owadki, robaczki. Róże dzikie odkwitwały i zawieszały się u koron ich motyle. Słońce kładło na trawy szerokie płachty złote. Od zórz wieczornych żeglowały niebem rumieńce obłoków. W zmrokach nocnych świeciły wysokie gwiazdy lub ciężkie, ciemne całuny nisko rozwieszały chmury. Płynęły dni za dniami, noc za nocami...

W głębokie jesienie huczały tu wichry, szumiały ulewy, szemrały deszcze nieskończone, a w śnieżyste, szkliste zimy my, drzewa, wznosiłyśmy nad tym wzgórzem grobowce ze szkła szronów i z marmuru śniegów, zimne, białe, koronkami obwieszane, brylantami osypane. Czasem na te grobowce zlatywały stada wron lub kawek, krakaniem grobowym powietrze napełniając, albo w królewskiej postawie zatrzymał się wśród nich jeleń wspaniały, przebiegło stado kóz płochliwych, drobny zając przemknął znacząc na śniegu zygzaki ciemnych śladów. Płynęły wiosny za wiosnami, zimy za zimami...

1 dwie rzeczy były niezienne. Zawsze stała tu wysoka od ziemi do nieba samotność z obliczem niemym.

I ciągle płynął tędy nieśmiertelny strumień czasu, niestrudzenie szemrząc: *Vae victis! vae victis! vae victis!...*

476

...Wiatr prędko już nie płakał. Kryształowe ciało jego wstawać poczęło nad wzgórzem mogilnym i coraz wyższe, silniejsze, potężniejsze, rosło.

Wstawał i na kształt powiewnej kolumny wzrastał do wierzchołków drzew, wysoko nad ich wierzchołki, jeszcze wyżej, cały w gniewnym szumie podnoszących się znad ziemi skrzydeł, w zawierusze włosów roztaczających się naokół olbrzymią siecią pajęczą, świecąca szklistym szronem. Aż, niebotyczny, wzdęty, niezliczonymi odbiciami gwiazd roziskrzony, roztoczył skrzydła latawca-olbrzyma, na las cały rzucając okrzyk:

— Gloria victis!

I zerwał się z mogiły, wzleciał nad las, szlakiem powietrznym dotarł ciemnego nieba i do gwiazd mrugających, do srebrzystych dróg mlecznych zawołał:

— Gloria victis!

A potem znowu ku ziemi spłynął i, niespokojny, gniewnym, czy świętym szalem zdjęty, szumiącym szlakiem ciemności przerzynając, nad polami, nad wodami, nad lasami, nad miastami i wioskami, na całą kulę powietrzną, która obejmuje ziemię, i na całe sklepienie niebieskie wołał:

— Gloria victis!

Zdumiewały się wołania tego słuchając pola, wody, lasy, wsie i miasta, Zdumiewała się kula ziemską i kula powietrzną, w zdumieniu zapytując, kto nad światem głosi tę ogromną, niesłychaną, tę fantastyczną, niespodziewaną nowinę? Czy baśń dostała skrzydeł i nocami poczęła świata przedziwne rzeczy opowiadać? Czy tak wołają duchy strącone z planet innych? Czy senne rojenia? Zjawy bezcielesne? Złudzy? I zaliż przemienienie świata głos ten zwiastuje lub jego skończenie?

477

A wiatr prędko od nieznanej, bezimiennej, wielkiej mogiły leśnej leciał i leciał, niosąc i niosąc w przestrzeń, w czas, w pamięć, w serca, w przyszłość świata triumfem dalekiej przyszłości rozbrzmiewający okrzyk: — Gloria victis!

Spis rzeczy

Julianka 5 Panna Antonina 85 Dobra pani 121 Romanowa 162' A... b... c... 228

Tadeusz 259 W zimowy wieczór 278 Pieśń przerwana 335 Ogniwa 416 Gloria victis
445